Bunsch Karol

Rok Tysięczny

powieść z czasów Bolesława Chrobrego

uzupełniona opowiadaniem obrona niemczy

Cykl: Opowieści piastowskie tom 3

PWZN

Lublin 1998

Przedruku dokonano

na podstawie pozycji

wydanej przez

Wydawnictwo Literackie

Kraków 1978

Bunsch Karol

Rok Tysięczny

powieść z czasów Bolesława Chrobrego

uzupełniona opowiadaniem obrona niemczy

Cykl: Opowieści piastowskie tom 3

PWZN

Lublin 1998

Przedruku dokonano
na podstawie pozycji
wydanej przez
Wydawnictwo Literackie
Kraków 1978

Część pierwsza

I

Na ciemnym niebie bezksiężycowej nocy migotały niezliczone gwiazdy. Ich odblask iskrzył się w zamyślonych oczach wtopionego w mrok człowieka. Głuchą ciszę górskiej pustaci zakłócał tylko chrzęst końskich żuchw.

Przerwał ją niski głos Stoigniewa:

- Powiadasz, Zyńka, że o śmierci kniazia Mieszka Zbrozło wiedział? Nie czas go szukać. Samemu trzeba powziąć postanowienie.

W głosie jego brzmiał zawód i wahanie. Po chwili dorzucił:

- Jeno jakie?

- Boże drogi są jasne i proste - padła z mroku odpowiedź. Stoigniew żachnął się niecierpliwie:

- Gdy własnego jeno szukać zbawienia. Iście trafiłem tu, choć po bezdrożach i w mroku. Jeno mi ostać i poniechać sprawy. Alem ja przysiągł w całości utrzymać Mieszkowe dziedzictwo, by na marne nie poszła praca mych przodków i krew mego rodzica. Obce odrośle na Piastowym pniu jeno soki żywe wyssą, jako jemioła z dębu. Adelajdziem przyrzekł, że nie zwolę, by je zaszczepiono. Tyś nikomu nic nie dłużen, tu siedzisz zali nad Mosiną - za jedno. Ale co byś sam rzekł o rodzicu, który w czas moru małżonkę i dziatki porzuci, by ratować jeno siebie? Lubo o żupanie, co z oblężonego grodu uciecze, powierzonych sobie wojów na przepadłe ostawując? Zali nie winni trwać, choćby na zatratę?

Pytał sam siebie. Gdy składał przyrzeczenia, nie było Ody i jej potomków, kraj jednoczył się w jednym ręku. Dotrzymać ich dziś to wywołać wojnę wewnętrzną, gdy grożą postronne. Wracał myślą do tej chwili, gdy przed dwudziestu laty rannemu w bitwie pod Cydzyną Mieszkowi składał to przyrzeczenie. Tam poznał siłę zdolną znieść od jednego zamachu wszystko, co jest obcego w kraju, i omal jej nie rozpętał. Od tego czasu zmieniło się wiele, zmienił się i on sam. Sięgnąć do tych sił byłoby łatwo i dziś, ale to, co wtedy uczynił bez wahania, teraz budzi w nim wątpliwości. A jeśli tego nie uczyni, czy zdoła dopełnić, co przyrzekł?

Jakby zgadując przyczynę rozterki wojewody, pustelnik rzekł:

- Tyle człek dłużny, na ile go stać, i tam powinność swą pełnić winien, gdzie go Bóg postawił. Wszędy grzechu ustrzec się można. Ja ludzi nie szukam, ale nie uciekam przed nimi. Boże słowo głoszę tym, którzy chcą go słuchać, bez nijakiej przemocy czy nakazów. Łacniej wierzą, gdy widzą, że żadnej z tego nie czekam korzyści, nawet ci, co je za niemieckie szalbierstwo uważać zwykli. I

dotrę z nim tam, gdzie żaden nakaz nie dotrze.

Stoigniew ważył coś w sobie. Odezwał się wreszcie:

- Tak, jak ty, zacząć należało. Aleć siłą ochrzcili Niemce Połabian, orężem ochrzcił Wtóry Otto Swena. I u nas, jako sam mówisz, chrzest dotarł tam, gdzie nakaz książęcy. Zda mi się, za późno ze słowem iść, gdy siłą chybiono. Zwalił się Kościół na Załabiu, w Danii nie ostało ni jedno biskupstwo. Jako Wacław w Czechach i duński Harald życiem przypłacił, że się przy chrześcijaństwie upierał. Bo gdy misja a podbój i ucisk to jedno, dzieckiem być trzeba lubo niewolnikiem, by przeciw mieczowi nie podnieść miecza. Kto siłą dobywa, siłą trzymać musi. Cóż zdziałają tacy jak ty? Prosto mówiąc, przed biskupem tu uszedłeś, bo prawa nie masz apostołować.

Jako lenna misje rozdają, nie darmo.

- Chrystus rzekł, że bramy piekielne nie przemogą Jego Kościoła. Nie wróci pogaństwo nigdzie, dokąd raz dotarło słowo Boże.

- Nie wróci, mówisz? A czemuż to Wojciech Sławnikowic cisnął swą trzodę i mnichem ostał? Po cóż mu pogan daleko szukać, gdy doma ich najdzie bez liku? A u nas? My mamy podpierać, co na sile jeno książęcej stoi, gdy na co inne potrzebna? Niechaj się zwali obcym na głowy. Nikt rozsądny nie czeka, aż spiętrzona woda jaz przerwie. Sam go zburzy, by mu fala nad głową nie poszła.

Urwał, ale Zyńka wiedział, o czym myśli Stoigniew. Kraj znał, może lepiej od wojewody, wiedział, że na uroczyskach i żalnikach po staremu pogańskie obrzędy się odprawują. Raz już przeżył próbę nawrotu pogaństwa, której początek dał młodociany wówczas Stoigniew. Gdyby dziś doświadczony i zażywający powagi zarówno w kraju, jak i u młodego księcia wojewoda znowu dał hasło nawrotu, zadepce wątły, dopiero wschodzący nieśmiały siew nowej wiary. Zapytał cicho:

- Zali wy nie wierzycie w jedynego Boga?

- Wolałbym wierzyć, że Go nie ma, niż że jest zły. Że krzywdzić zezwala słabych, że władzę daje okrutnikom, którzy burzą jeno stary ład, nowego nie wprowadzając. Ale nie w tym rzecz, zali ja wierzę, czy nie wierzę.

Zyńka w zamyśleniu zapatrzył się w niebo. Wskazując na nie, powiedział cicho:

- Spójrzcie na ten ład i piękno. Nie może być zły ten, co to stworzył.

- Ja muszę patrzeć na ziemię - szorstko odparł Stoigniew. - Szukam silnego sprzymierzeńca.

Zyńka zaczął po chwili milczenia:

- Kniaź Mieszko mądry był. Też szukał silnego sprzymierzeńca. Kraj ochrzcić postanowił nie z miłości do Boga, bo Go nie znał. Jeno w Jego Kościele widział ład i moc. Wyście w Rzymie bywali, nieobce wam pismo. Sami wiecie, zali jeno w mieczu jest siła.

- Kniaź Mieszko pozór chciał odebrać wrogiej napaści. Wżdy przymierza szukał i z cesarstwem, choć nie miłował Niemców. Ale ninie w Rzymie Krescencjusz rządzi, przed którym papież uchodzić musiał, sam pozbawiony oparcia, w Niemczech zasię rządzi ten, kto cesarskiego wyrostka ma w ręku. Raniej Kłótnik, ninie stara cesarzowa wraz z mogunckim Willigizem. Dla nich Kościół sługą i narzędziem. Ład, mówisz? Iście, na niebie, gdzie każda gwiazda, wielka czy mała, swoje miejsce i drogi ma. Patrzysz w nie, a nie wiesz, co się na ziemi dzieje. Ład i moc! Łońskiego roku na synodzie w Reims Arnold z Orleanu wszem wobec głośno powiedział, jaki to ów ład:

Kościół galijski posłuszeństwa Rzymowi odmówił.

- Jedna ma być owczarnia i jeden pasterz.

- Jeden pasterz! Iście, jak pamięcią sięgnę, jeden czestny człek, godzien tej nazwy, na Piotrowej stolicy siedział - Benedykt, piąty tego imienia. Dlatego na wygnaniu zmarł. A inni? Antychrysty - jako rzekł ów Arnold. Nie masz zbrodni, która by nie skalała Piotrowej stolicy. Jeden pasterz drugiego wyklina i wygania lubo głodem morzy, a trupa włóczy po ulicach.

Zaległo milczenie. Przerwał je przejmujący głos pustelnika:

- Zbliża się tysięczny rok. Antychryst uprzedzić ma przyjście Chrystusa.

Znaki będą na ziemi i niebie...

Urwał. Smuga jaskrawego światła spadającej gwiazdy przekreśliła niebo od wschodu na zachód i roztopiła się w zielonawej poświacie, która oddzielać zaczynała ciemny widnokrąg od jaśniejącego już nieba. Długo milczeli, wstrząśnięci niezwykłym zjawiskiem.

Ciszę przerwały nieśmiałe zrazu głosy budzącego się ptactwa, krótka czerwcowa noc ustępowała przed dniem. Stoigniew wstał:

- Konie rozstawne czekają, czas mi jechać, droga daleka.

Nie odchodził jednak. Zapytał cicho:

- Ty wierzysz, że skoro już przyjdzie Chrystus i sprawiedliwość uczyni?

- Wierzę, że przyjdzie. Jeno nie wiemy dnia ni godziny. Ale jak one panny mądre - każdy winien iść Mu naprzeciw, niosąc kaganek sprawiedliwości, nim jej słońce wzejdzie.

Stoigniew nic nie odrzekł. Zadumany dosiadł konia i ruszył w dół po stoku.

Bolesław patrzył czerwonymi z bezsenności oczyma na zwłoki ojca, złożone na wysokich marach w chłodnym cieniu poznańskiej katedry. Zdało mu się, że chłód ten wieje od rodzica; daleki już jest i obojętny. Nie odpowie na pytanie, które cisnęło się na usta młodego księcia:

- Cóżeś mi ostawił?

Wieść o śmierci ojca doszła Bolesława w dalekim Krakowie, gdy gotował się właśnie do odparcia zagrażającej napaści kijowskiego Włodzimierza. Rzucił wszystko i pognał do Poznania, nie śpiąc i nie jedząc, nie tylko by oddać rodzicowi ostatnią posługę, ale by uprzedzić knowania wewnętrznych wrogów, nie dopuścić do wykorzystania przez nich wstrząsu po śmierci Mieszka. Prócz macochy, której nienawiść do czasu obezwładniona niedojrzałością synów, nie brak i innych, od krewniaków do dawnych szczepowych i plemiennych książątek, którym podział Mieszkowego dziedzictwa przypomni nie zadawnioną jeszcze samodzielność. Dotąd uginać się musieli przed władcą wszystkich plemion lechickich. Teraz dzielnicowi książęta o ich przychylność zabiegać będą zmuszeni, wzajem przeciw sobie szukać sprzymierzeńców. Oda szukała ich już za życia małżonka. Przybywój i Odylen wiedzą, że los ich i życie związane są z jej zwycięstwem.

A zewnętrzni wrogowie? Jak szerokie rubieże Mieszkowej dziedziny, nie masz miejsca, skąd nie wyciągałyby się wraże ręce po jego spuściznę. Nie tylko Mieszko swoje państwo budował, budują wszyscy dokoła, każdy rad cudzy kamień w węgieł swej budowli wmurować. Czeski Bolesław

odebrać zechce wielkomorawskie dziedzictwo, Morawy, Śląsk i kraj Wiślan, Gejza Słowaczyznę. Włodzimierz jeszcze za życia Mieszka wykorzystał walkę między dziewierzami o spuściznę po Mojmirze, by zająć Grody»Czerwieńskie, teraz sięga po dalsze zdobycze, bo tędy łatwiejsza droga ku Morzu Czarnemu niż przez ziemie zajadłych Pieczyngów. Mazowsze szarpane przez Jadźwież i Prusaków. Grożą Prusacy i gdańskiemu Pomorzu, Lutycy szczecińskiemu na wyprzódki z Danią, nie poskromione jeszcze pogaństwo tego kraju otwiera im wrota. A na zachodniej granicy drapieżni margrafowie zawsze czekają jeno chwili sposobnej, by na czele zgrai łotrów ruszyć po nowe zdobycze. Czy trafi im się dogodniejsza pora niż ninie, gdy w Odzie znajdą chętnego sprzymierzeńca?!

- Wygnam jędzę wraz z jej pomiotem! - jak wyzwanie zmarłemu rzucił Bolko przez zaciśnięte zęby. Ale na twarzy Mieszka widniał rzadki za życia uśmiech, beztroski i obojętny. O czym myślał umierając? Że nie będzie już musiał odpowiadać na żadne pytania? A może odpowiedziałby jak ongiś: „Moja, nie twoja była praca, moja rzecz, jak będę dzielił dziedzictwo”.

W Bolesławie podnosił się bunt. Może wonczas była to prawda, ale nie dziś. Dwadzieścia sześć lat liczy, a połowę z nich spędził w walce. Jeżeli władza to trud i odpowiedzialność, cóż w budowę państwa włożyła Oda i przyrodni bracia, by z nimi dzielił dziedzictwo? Dzielił! Bronił ich dziedziny przed zewnętrznymi wrogami po to, by go z własnej wyzuli, skoro tylko znajdą sposobność. Oto co mu rodzic zostawił!

Ogniste płaty gniewu zatańczyły przed znużonymi oczyma Bolesława, powściągnął go z wysiłkiem. Emnilda na wyjezdnym błagała go o spokój. Sam rozumiał zresztą, że nie pora na wewnętrzną rozgrywkę. Jeśli Ody nie zaślepi nienawiść, też to pojąć musi. Gniew Bolesława ustąpił goryczy. Sercu folgować nie wolno, ni w miłości, ni w nienawiści. Gdy rodzic w starczej słabości dał mu folgę, dzieło swe pozostawił na skraju przepaści.

Znużony umysł Bolesława naszły wspomnienia. Za kilka godzin kamienny grobowiec na zawsze rozdzieli go z ojcem. Miłował jednak tego zamkniętego w sobie, samotnego człowieka, choć niejednokrotnie starli się. Z ulgą pomyślał, że gdy widzieli się po raz ostatni, rozstali się pojednani. Może nie wypowiedziane przyrzeczenie spełnienia nie wypowiedzianej prośby ojca, by oszczędzić małego Lamberta, lżejszą uczyniło samotną śmierć Mieszka. Bolesław dla tego wspomnienia oszczędziłby może i ojcowego imiennika, gdyby nie Oda. Z nią nie masz pokoju, może być tylko rozejm, którego każda ze stron wyzyskać nie omieszka, by się do walki przysposobić.

Wspomniał słowa ojca: „Długo myśl, nim miecz wyciągniesz z pochew”. Ale nie czas na długie myślenie, gdy naglą okoliczności. Nie czas nawet na spoczynek po dalekiej drodze. Jeszcze tylko ojcu ostatnią cześć oddać i jąć się trzeba dzieła, które pozostawił nie dokończone; gorzej, bo zachwiane.

Bolesław modlić się począł, ale myśl z uporem wracała do splotu czekających go spraw. Roztargniony, po chwili dopiero uprzytomnił sobie, że modli się po czesku. Tak go uczyła matka. Jakże inne byłoby położenie, gdyby nie odeszła przedwcześnie. Była rzeczniczką pokoju między bratnimi narodami, orędowniczką pokoju między słabym jeszcze chrześcijaństwem a nie wyplenionym pogaństwem. Bez użycia siły umiała je poskromić, gdy podniosło głowę po cydzyńskiej bitwie. A nade wszystko - gdyby żyła - nie byłoby Ody. Pokój z wujem»Pobożnym, pokój wewnątrz kraju i cała Mieszkowa siła w ręku Bolesława.

Otrząsnął się ze wspomnień. Nie wiodą do niczego, chyba, by jeszcze jaśniej unaocznić, kto

zagraża Mieszkowemu dziełu, które sercem i myślą za własne zwykł uważać. Znowu fala gniewu wzburzyła jego umysł. Jest prosta i łatwa droga, by wyzbyć się wewnętrznych wrogów. W kraju tli się bunt przeciw nowościom, by rozgorzeć, gdy jeno oddech chwyci. Po cydzyńskiej bitwie, gdy zdało się, że nie stanie księcia, na którego rozkaz lud głowy pochylił do chrztu, z trudem wybuch stłumiono. Gdy teraz dziedzic Mieszka sam rzuci żagiew, wytrąci ją z ręki plemiennych książąt, a pożoga zmiecie wszystko, co jest obcego w kraju. Nie stłumi jej już nikt!

Zdało się Bolesławowi, że echo z ciemnej głębi świątyni powtórzyło: nikt! On sam będzie pchany przez falę, która tylko niszczyć może, gdy trzeba budować. Wyciągnięty nie w porę miecz można jeszcze schować do pochew, żagiew - podłożona pod węgieł budowli - wypada z ręki. Mieszko był poganinem, gdy wprowadzał chrześcijaństwo, ale wiedział, że niezbędne ono dla zniszczenia tego, co zamierzył.

Bolesław przeżegnał się. Demon gniewu i nienawiści pokazuje mu drogę, która wiedzie w otchłań. Nie szukać łatwych dróg do trudnego celu. Przezornie, mozolnie, krok za krokiem, wśród przeszkód i niebezpieczeństw podjąć trzeba rozpoczęte przez ojca dzieło, by je kiedyś uwieńczyć i utrwalić poświęconą koroną. Choć rodzic w starczej słabości sprzeniewierzył się sam sobie, on nie może sprzeniewierzyć się ojcu.

Wspomnieniem pobiegł znowu w lata dzieciństwa i pierwszej młodości, gdy Mieszko z Dobrawką przy boku rozszerzał i umacniał zręby państwa, które pod swym dachem skupić miało wszystkie plemiona lechickie. Nieważna jest chwilowa słabość starego człowieka, ale wola jego, którą znaczyły czyny całego życia. Bolesław spojrzał w twarz ojca bez gniewu już i wyrzutu. Mieszko samotny był przez większą część swego życia, nawet oczu nie zamknęła mu umiłowana ręka. Oda nie przyszła tu z miłością, jeno po zdobycze, walka z nią to walka z tymi siłami, które sprzysięgły się na zgubę dzieła ojców i dziadów. Wygra ten, kto przystąpi do niej przemyślniej, działać będzie prędzej. A w trosce czy szczęściu nigdy nie jest samotny, ma przy boku umiłowaną niewiastę.

Przez ściągniętą od niewczasów i rozterki twarz Bolesława przemknął słaby uśmiech. Wcześniej nadążył z Krakowa niż Oda z Trzemeszna. Nie dziw, ona wdowie szaty uszyć musiała, on tylko konia osiodłać.

Spokój letniego wieczoru udzielał się Bolesławowi. Przez otwarte okna przenikał do świetlicy chłodniejszy powiew od rzeki, na jej ciemnej toni gasły już odblaski zorzy, a drobna fala iskrzyć się zaczynała odbiciem gwiazd. Z odległych bagien i rozlewisk Warty, Cybiny i Bogdanki, jak odległa kołysanka, dochodziły odgłosy żabich chórów, nie mącąc wieczornej ciszy, jaka po gwarze całodziennych uroczystości pogrzebowych zaległa Tumski Ostrów. Tłumy, które zbiegły się zewsząd, by oddać cześć zmarłemu władcy, odpłynęły zawiedzione. Nie było stypy starym obyczajem ni pieśni gędłków sławiących dokonania zmarłego, jeno ponure, niezrozumiałe pienia chrześcijańskiego, przeważnie obcego duchowieństwa. Nikt ostatniej woli odchodzącego władcy nie ogłosił. Nie spoczął Mieszko przy ojcach nad Świętym Jeziorem, nawet nie w gnieźnieńskiej bazylice przy boku swej pierwszej małżonki, która zjednać sobie umiała serca ludu. Gdy»Mieszko pojął Odę, stanęła nie obok niego, lecz między nim a wszystkim, co mu bliskie. Samotny był za życia i samotny już pozostanie na wieki.

Bolesław odwrócił się od okna, przy którym chłonął orzeźwiający powiew, i rzucił w mroczną głąb izby:

- Wybaczcie, że was zatrzymuję, lecz jutro mi wyjeżdżać, a naradzić się trzeba.

- Pożywić się wam i spocząć takoż - odpowiedział mu z głębi głos Mszczuja. Bolesław uśmiechnął się mimo woli. Dawny piastun ze starego nawyku dba o jego sen i jadło jak ongiś, gdy był wyrostkiem. Odparł życzliwie:

- Pożywić zda się nam wszystkim, wybaczcie, że o tym zapomniałem. Ale na sen nie czas.

Zaklaskał w dłonie, a gdy zjawił się komornik, polecił światła naniecić i przynieść wieczerzę. Po chwili żółty płomień oświetlił postacie dwóch mężów siedzących na zaścielonej ławie. Smutne oczy Mszczuja spod siwiejących brwi spoglądały na Bolesława z troską i współczuciem. Stoigniew zamyślony wzrok utkwił w pociemniałym otworze okna.

- Nad czym dumasz? - z pewnym zniecierpliwieniem zwrócił się książę do niego.

Siedzieli od dłuższej chwili, lecz Stoigniew nie odezwał się jeszcze. Gdy i teraz nie odpowiedział, Bolesław rzucił gniewnie:

- Gwiazdy liczysz?

- Nie. Liczę siły.

- Jam już policzył. Na druhów paliców jednej ręki mi starczy. Chyba wraże siły liczysz, bo moich nie liczyłbyś tak długo.

Bolesław mówił na pozór spokojnie, ale spod gęstych, wydatnych brwi patrzył badawczo na Stoigniewa. Zawsze trudno go było zrozumieć, chadzał swoimi drogami, odmienny od otoczenia, z którym nie szukał łączności. Nie to, co Mszczuj. Tego książę mógł być całkiem pewien, cokolwiek się stanie. Prócz osobistego przywiązania, zrodzonego we wspólnej niemieckiej niewoli, z rodu był, który służył Piastom od niepamiętnych czasów, nie pytając, dokąd wiodą, choćby na zgubę. Szli za wodzem, gdy wódz walczył o zwycięstwo. Na takich budowali ojcowie i dziady. Ale czas jest przełomowy, prócz rąk i serc trzeba głów, ludzi nie jeno gotowych iść, dokąd poprowadzi przywódca, ale którzy rozumieją jego cel i drogi do niego wiodące. Takim był tylko Stoigniew, ale wychowany przez Zbrozłę własne może mieć na oku cele i innymi drogami do nich zmierzać. Bolesław wiedział o starciu Stoigniewa ze starym księciem. Samego Mieszka, który nikomu ustępować nie zwykł, zmusił ongiś do ustępstwa wypomnieniem, że rodzic jego z dobrej woli zrzekł się działu po Ziemomyśle. Teraz, gdy Mieszkowemu dziedzictwu z jego woli czy pod naciskiem wrogów grozi rozdarcie, czy Stoigniew zechce się temu przeciwstawić, czy też, nie wierząc w Bolesława, sam działu zażąda?... A gdy zażąda on, zażądają i inni potomkowie Piastowego rodu. Milkliwość Stoigniewa niepokoiła księcia. Musi wiedzieć: z nim jest czy przeciw, ale kłaniać się nie będzie, choćby miał walczyć sam przeciw wszystkim. Zapytał porywczo:

- Cóżeś wyliczył?

- Od północy możemy być spokojni. Świętosława rządzi starym Erykiem, ma on zresztą własne obrachunki ze Swenem za popieranie Styrbjorna. Jomsborscy zbóje zasłonią Pomorze od Weletów. Sobiesław nawykł sam radzić sobie z Jadźwieżą i Prusami. Was czeka Włodzimierz. Mniemam, że uradzicie.

Bolesław odetchnął. Stoigniew wierzy w niego i myśli wraz z nim. Odparł już spokojnie:

- Jeszcze i wuj Pobożny, który z nim w przymierzu.

- Praski Bolesław do łoża przykuty, w Czechach zamęt, to późniejsza sprawa.

- A tutaj? Wiem ci, co się stanie, gdy ja na wschodzie Włodzimierzowi czoło stawiać będę?

- Bądźcie, panie, spokojni - wtrącił Mszczuj. - Ja wam poręczam za spokój w kraju, byście się jeno uładzili z księżną i biskupem.

Bolesław odparł z goryczą, przez zaciśnięte zęby:

- Unger pogrzebał rodzica w swojej katedrze. Nawet mnie nie pytał, choć wiem, że ojciec wolałby leżeć przy macierzy w Gnieźnie u Świętej Trójcy. Biskup dziś żądania stawiać może, nie ja. Z Odą zasię nie gadałem i nie będę. Co jej więcej mogę rzec, jak jeno że wyżenę ją... jeśli sił starczy. To ona wie bez gadania i ja wiem, co ona zamyśla.

- Dobrze, żeście biskupowi w tym ustąpili - wtrącił Stoigniew - bo nie pora z nim się wadzić, gdzie rodzic wasz spocząć winien. Za jedno, gdzie człek kości swe złoży, ale nie za jedno prostym ludziom, gdzie mogiły leżą książęce, bo to powagi miejscu dodaje. Rozumie to Unger, a ninie i na wasz młyn to woda, póki w Poznaniu wasza stolica, a w Gnieźnie ma być przyrodnich.

- Ma być, ale nie będzie - gwałtownie przerwał Bolesław.

Stoigniew jednak odparł:

- Ninie będzie. Nie pora Odzie wojnę wszczynać, nie pora i wam. Ona dobrze pamięta, i wy nie zapominajcie, że dziedzictwo jej synów pod papieską opieką i z Kościołem byście zadarli po nie sięgając. Na to sposobniejszego czasu potrzeba. I z Odą, i z Ungerem zasię gadać należy, by pomiarkować, co zamierzają. Nie byłoby dobrze, gdyby się z sobą ujednali. Nie chcecie gadać wy, zwólcie mnie.

- Chcesz, to gadaj, ja nie będę. Pilniejsze zresztą są sprawy. Skoro patrzeć, jak Pobożny po Śląsk i Morawy sięgnie, gdy ja z Włodzimierzem będę się zwodził. Wojska, co zebrane na pomoc Ottonowi, powiedziesz na południowe granice.

- Jeżeli Pobożny uderzy, nie ostoim się - odparł Stoigniew. - Zali nie szkoda krwie na darmo? Ninie on silniejszy, ale nie wieczny i chorzeje. Gdyby pomarł, poczną się, jak i u nas, działy i swary między dziedzicami, a żaden mu do pasa nie dorósł. Wtedy pora będzie odebrać, co ninie stracić możemy.

Bolesław zadumał się chmurnie:

- Prawyś! - mruknął. - Nie starczy sił na wszystko. Tedy ja zabiorę te wojska, by Włodzimierzowi drogę do domu pokazać.

- Rodzic wasz przyrzekł posiłki Ottonowi i na wsiadanym śmierć go zaskoczyła. Zwólcie, że ja je do niego powiodę.

Książę był wyraźnie zaskoczony. Także Mszczuj patrzył pytająco na Stoigniewa, zdziwiony, że wychowanek Zbrozły, sprawcy buntu północnych Słowian, doradza walkę przeciw nim przy boku Niemców. Milczeli przez chwilę. Bolesław wiedział, że Stoigniew nie zwykł wyrywać się z nie przemyślaną radą, przyszły mu jednak na myśl słowa, jakie ongiś słyszał od Zbrozły: „Ciężka wam jest północna Słowiańszczyzna, ale ciężka i Niemcom. A gdy bita przez nich i przez was scześnie, nie wy, ale margrafy zajmą jej ziemie”. Zapytał:

- Tak zamierzasz pomagać Ottonowi, jak ongiś Zbrozło jego rodzicowi pod Danewirke?

- Nie - odparł Stoigniew. - Okazało się nad Tongerą, że nie dostoją Połabianie Niemcom, ale skłóconych zazwyczaj Sasów z Frankami jednoczą, a młodego pana tutaj trzymają, gdy mu do italskich spraw pilno. Gdy dotrzymamy zawartego przez waszego rodzica układu, ręce będzie miał rozwiązane i nam swobodę ostawi. Może i uda się Rzym przekonać, by nam misję w słowiańskich krajach powierzył, bo nigdy nie przyjmą chrztu jako niemieckiego jarzma, a z rąk słowiańskich może by przyjęli. Jeno dowieść trzeba, że chcemy i możemy to przeprowadzić.

- Nie po myśli mi umacniać w Braniborze siostrę Ody po to, by ją tu poparła - szorstko wtrącił Bolesław.

- Ważniejsze, by jej nie poparli Pobożny i Kłótnik, a jeśli oni pomoc dadzą Ottonowi, my zasię nie dotrzymamy układu, łacno im będzie dla sprawy Ody młodego pana pozyskać.

- Drzewiej nie tak myśleliście - wtrącił Mszczuj niechętnie. - Pomnę ci ja dobrze, bo kniaź Mieszko syna w zakład oddać musiał, a jam lata w niemieckim lochu przesiedział dlatego, żeście po Cydzynie jeńców wyrznąć kazali i omal do buntu nie przywiedli przeciw nowej wierze. Cóże się zmieniło? Otto - pacholę nieletnie, władzę dzierży babka jego i Willigiz, ich by pozyskać trzeba. A gdyby się udało, nie nowina dukom i grafom nawet przeciw cesarzowi się buntować, a łupić chcą, nie wiarę szerzyć. Wżdy i Hodo na własną rękę sobie poczynał, choć kraj ochrzczony już był.

Stoigniew zrozumiał wymówkę, a zarazem niebezpieczeństwo, że u Bolesława przeważyć może zdanie starego woja i dawnego piastuna. Książę sam ongiś pod wpływem Zbrozły własnemu ojcu walki przeciw Weletom przy boku Niemców odmówił, a i teraz radę zrozumiał jako podstęp. Stoigniew zwrócił się do Mszczuja:

- Jako wy nie zabyliście śmierci swego syna w niemieckim lochu, nie zabyłem i ja, że rodzic mój z niemieckiej legł ręki.

Żywe musiało być wspomnienie, bo oczy zamgliły mu się. Skierował spojrzenie w ciemny otwór okna i ciągnął cicho:

- Noc była taka sama, miesiąc świecił, wonie ciągnęły od nagrzanych borów i łąk. Zda się, że świat do szczęśliwości stworzony. A gdym ujrzał, jak rodzic z bólu gryzie własną rękę, coś ci skonało we mnie... - Urwał, otrząsnął się i bystre spojrzenie zwracając na Bolesława, podjął: - Wszak ci i Zbrozło walczył z Weletami, gdy się z Wichmanem przeciw nam zmówili. A po cydzyńskiej bitwie jam zaprzysiągł staremu kniaziowi, że dziedzictwo jego w całości dla was zachowam. Tam oparcia szukam, gdzie je należć można, by przetrwać najgorsze, Niemce - nie Niemce. Ninie Ottona łacnie nam będzie pozyskać, bo już się przeciw opiekunom buntuje, a więcej w nim Greka niż Niemca. Nie trzeba nam jeszcze wroga w Kościele i cesarzu. Zadość ich mamy.

Bolesław milczał. Teraz sam ma uczynić to, w czym wyręki odmówił staremu i choremu ojcu. We wspomnieniu zabrzmiały echem pełne goryczy słowa Mieszka: „Bodajeś nie ujrzał, cośmy już nieraz widzieli, jak Weleci przeciw nam zawrą z Niemcami przymierze". I rodzic nie zapomniał widno śmierci brata Leszka z ich rąk. Bolesław przestał się wahać, ale naszła go inna wątpliwość. Zaczął:

- Jeśli Ottona przekonać mamy, że stać nas, by ciężar walki z Weletami z niego zdjąć, całe wojsko wysłać trzeba, jakie rodzic na wyprawę tu zgromadził. A na to i Oda zgodzić się musi.

Bolesław zacisnął zęby. Stoigniew odparł:

- Jeśli się nie zgodzi, powiodę drużynę z samego Poznania. I to korzyść będzie, gdy Otto ujrzy, że my chcemy dotrzymać układu, Oda zasię nie.

- Gadać by z nią trzeba, a ja się nie przełamię.

- Tedy gadać będę ja.

Nie czekając na wynik rozmowy Stoigniewa z Odą, Bolesław pognał do Krakowa. Spokojniejszy już był, gdy rozważył położenie, wiedział, na kogo i na co liczyć może, i myśl jednej sprawie poświęcić. Pieczyngowie chętnie skorzystają, że Ruś w Polsce wojuje, zmówić się z nimi trzeba. Byle przetrzymać do zimy, gdy warescy zbóje, posiłkujący kijowskiego kniazia, odejdą. Wtedy albo i Włodzimierz odejdzie z nimi, albo pora będzie z Rusią się rozprawić.

Zadumał się. Wszyscy są w walce ze wszystkimi, jako zwierz w lesie. Sam wśród walki się urodził i w niej wyrósł, ale dotychczas zaznał tylko upojenia nadmiarem własnych sił i rozkoszy zwycięstwa. Teraz dopiero poczuł gorzki smak bezsiły. Na walkę z Czechami już go nie stać. Zagrożone przez nich kraje do jego właśnie należą dziedziny, gdy je straci, jeszcze słabszy będzie. Porywczość buntowała się w nim przeciw ustąpieniu bez walki, ale czuł, że Stoigniew ma słuszność. Ninie walczy o czas, a na to trzeba cierpliwości. I jej musi się nauczyć.

Myślą wrócił do Stoigniewa. Co on wskóra u dwunastoletniego wyrostka, którym rządzi babka? Czy nie szkoda sił, których brak tak gorzko książę odczuwał? Ale stało się. Ufał w rozum Stoigniewa i jego obrotność. Przywiódł mu na myśl siostrę Świętosławę. Nie uwiadomił jej dotychczas o śmierci ojca. Prosić też trzeba dziewierza, Eryka Zwycięskiego, by na Danię miał oko.

Bolesław prędko zwykł podejmować postanowienia. Skinął na człapiącego za nim Wilczka Awdańca, a gdy ten się zbliżył, powiedział do niego:

- Pojedziesz w posły do Uppsali. Pokłoń się siostrze mej i Erykowi, powiedz, co się stało i jako tu jest. Niechaj Swena przyciśnie, bo ja na wschodzie ręce mam związane, wszystkim nie uradzę. Mniemam, że starczy, by mu zagroził, a Swen ruszyć się nie waży. Rozumiesz?

Wilczek głową skinął i już chciał konia zawrócić, jakby go książę wysyłał po wodę do studni. Wielki, grubokościsty i czarny, mrukliwy jak niedźwiedź i jak on potężnej siły, każdy rozkaz wykonywał, nie pytając, bezzwłocznie i dokładnie. Milkliwość jego, z powodu której bracia Milczkiem go zwali, zgoła w tym do niego niepodobni, czasami nawet niecierpliwiła Bolesława. I teraz rzucił popędliwie:

- Czekajże! Najdziesz tam może brata swego, Jaskotela. Rzeknij mu, niechaj wraca, nie będzie już musiał wybierać między mną a mym rodzicem. Wrochna tu za nim tęży pewnikiem, a i mnie bez niego smutno, bo nikt jak on śmiać się i śpiewać nie umie. Najdziesz, to przywieź bez zwłoki, choćby w miechu. Co się ma po obczyźnie wałęsać, kiedy mi tu każdej pary rąk brak.

Wilczek znowu skinął głową, ale Bolesław ciągnął:

- Wstąp do dom, bo dary jakoweś Świętosławie i Erykowi zawieźć przystoi.

U mnie w skarbcu pusto, bo na wojnę poszło, a po starym Audunie pewnikiem coś ci ostało, bo zbierać zwykł jako sroka. Sposobną porą oddam z nawiązką. No, jedźże już do licha - rzucił widząc, że Wilczek znowu zawraca konia.

Ruszyli w przeciwne strony, bo piliło. Bagna podeschły, na rzekach brodów przybyło, Włodzimierza jeno patrzeć, załogi z grodów pościągać trzeba i Emnildę z dziatkami z Krakowa wyprawić, bo i ten gród ubieżony być może, gdy czeską granicę ogołoci. Książę zaklął. Cały ciężar obrony państwa spadł na niego, na Odę jeno obrona działów swych synów przed nim. Im słabszy będzie, tym dla niej lepiej. Bolesław usiłował odgadnąć, co Oda odpowie Stoigniewowi. Chytra jest, rozmowa łatwa nie będzie.

Stoigniew, pożegnawszy księcia o świcie, wysłał komornika do nowego dworca na gródku strzegącym mostu na Tumski Ostrów po lewym brzegu Warty. Oda z synami tam się zatrzymała, widocznie też unikając zetknięcia z Bolesławem. Wojewoda czekał na powrót komornika, rozmyślając, co począć wypadnie, jeśli Oda i z nim rozmawiać nie zechce.

Komornik jednak wrócił wkrótce z oznajmieniem, że księżna skłonna jest mówić z wojewodą, ale bezzwłocznie, bo jest na wyjezdnym do Gniezna.

Istotnie Stoigniew z mostu już dostrzegł stojące u wjazdu ładowne wozy, na które pachołkowie znosili jeszcze dobytek. Oda widocznie garnęła, co się dało. Stoigniew zmarszczył się, ale wzruszył ramionami. Daleko Oda dobytku nie wywiezie.

Czekała na Stoigniewa, stojąc pośrodku świetlicy ogołoconej już ze sprzętów, kobierców i ozdób. Nie odpowiadając na jego pokłon, sama zaczęła:

- Słyszałam, że Bolesław wyjechał, zdałoby się tedy, że nic sobie wzajem nie mamy do powiedzenia. Skoro jednak przez posły mówić ze mną raczy, milszego mi mógłby wybrać niźli was. Ale słucham, a potem powiem swoje.

Wojewoda skinął głową obojętnie.

- Jako zapewne wiecie - zaczął - pilniejsze napaść odeprzeć, jaka od ruskiej ściany grozi nie jego jeno dzielnicy. Z wami rozprawiać będzie, gdy się z tym upora.

Oda dobrze zrozumiała, jaką rozprawę ma na myśli Stoigniew. Z błyskiem gniewu w oczach powiedziała:

- Wiem, że niesposobna mu pora na rozrachunek ze mną. Tedy o czym gadać?

- We własnym imieniu mówić z wami chciałem - rzekł Stoigniew.

Księżna odparła wyniośle:

- Wiem, co o mnie mówicie, alem nieciekawa, tym mniej tego, co mnie rzec macie.

Zrobiła ruch jakby ku wyjściu, wojewoda jednak zastąpił jej drogę. Patrzyła na niego z zimną nienawiścią i drwiącym półuśmiechem na swej pięknej jeszcze twarzy.

- Zalibyście się ważyli zatrzymać mnie we własnym moim dworcu? - zapytała.

- Widzę, że jak z własnego zabieracie mienie - odparł Stoigniew. - Ale o tę puściznę wojny między nami nie będzie.

- Między nami? - zaśmiała się z przymusem. - Któż to wy jesteście?

- Taki sam wnuk Ziemomysła jak wasi synowie.

- Bękart po greckiej niewolnicy - rzuciła pogardliwie.

Wojewoda przybladł, ale odparł obojętnie:
- Tedy lepszy niż bękarty po mniszce.

Zdało się, że Odzie ogień tryśnie z oczu i że rzuci się na stojącego pierś w pierś Stoigniewa. Syknęła przez zaciśnięte zęby:
- Łatwo znieważać wdowę i nieletnich wyrostków. Nie ważylibyście się tego rzec, gdyby żył małżonek mój.
- Tedy nieprawda, że wiecie, co o was mówię, bom to samo rzekł jemu w żywe oczy, gdyście na starym i chorym człeku szczecińskie Pomorze, które ongiś działem być miało mego rodzica, dla waszego pomiotu wymusili.

Opanowała się już i powiedziała zimno:
- Rozumiem tedy, że wojna o nie między nami. Na nią mnie jeszcze stać.
- Ninie nie stać nas na nic, co siły osłabia, przeciw postronnym wrogom potrzebne. Przyszedłem zawrzeć rozejm, ale nie prosić oń, bo nie mnie z niego korzyść. Wzajem wiemy, co myśleć o sobie, tedy słów szkoda tracić, bo i mnie pilniejsze czekają sprawy. Ale nie powinni wiedzieć wrogowie ani nawet sprzymierzeńcy. W tym chyba zgodni jesteśmy?

Oda milczała ze skamieniałą twarzą, a Stoigniew ciągnął:
- By nie dać pozoru, że po śmierci kniazia Mieszka coś się zmieniło, powiodę zebrane tu wojska w pomoc Ottonowi, jak zmarły pan zamierzył. Jego śmierć to odwlekła, tedy sprawa pilna, a dla was, sądzę, korzystna - siostrę swą poprzeć w Braniborze, a Sasów załagodzić, bo juści pomną, że rodzic wasz winowajcą jest onej wojny.

Zdało mu się, że trafił, ale Oda jeno uśmiechnęła się z drwiną:
- Wielcem wam wdzięczna, że troskacie się o moje sprawy, a jeśli jeno o nie idzie, możecie się nie spieszyć.

Gdy spojrzał na nią pytająco, dodała:
- Gadają o was, że znacie się na ludziach, nie widzę, by to była prawda.
Zda się wam, że nie rozumiem, co wy osiągnąć chcecie. Ale jam tu też nie od wczoraj i ludzi waszych przejrzeć zdołałam. Jako psy w stadzie, za tym chodzić będą przewodnikiem, do którego nawykną. Nie z woli Kościoła ni cesarza właść waszych książąt się zrodziła, jeno że wojów, którym w walce przywodzili i czasu pokoju, mieli za sobą. Wierę, że radzi byście takową jedność okazać Ottonowi, której Bolesław przywodzi. Jeno mnie za głupią nie miejcie, bym się wam moim kosztem w cesarskie łaski wkupić zwoliła. Albo Odylen z mego ramienia powiedzie zebrane wojska, albo - jeśli zdradzić chcecie, że nie masz jedności między nami - wojów z dzielnicy mych synów. Wy czyńcie, co wasza wola. Niechaj i Otto wybór ma, kto z nas lepszym sprzymierzeńcem.
Gdy Stoigniew milczał, zamyślony, dodała w podnieceniu:
- Jako widzę, tegoście się nie spodziewali.
- Iście, że tego się nie spodziewałem, by z waszego ramienia wojewodą ostał Odylen, który siwego włosa doczekał, nim wojny powąchał. Jeno wojna z Weletami to nie zjazd dla złożenia hołdu.

Mniej bym się zdziwił, gdybyście waszego Mieszka wyznaczyli. I Bolesław, i ja niewieleśmy starsi byli od niego wojować zaczynając.

- Wierę i w to, że chciałoby się wam niedoświadczonego wyrostka widzieć na czele wojsk, by czynić, co wam się zda, albo i zgubić go sposobną porą - dodała zjadliwie, ale Stoigniew jeno ramionami wzruszył:

- Z wyrostkami nie wojuję. Dostaniecie wy wilczy łeb, pójdą i synowie wasi, albo ostaną służyć Bolesławowi, jak służę ja i Sobiesław, i wielu innych potomków Piastowego rodu. A cokolwiek bym sądził o waszym rozumie, to sami wiecie, że na wojnie tyle się wyznawacie, co i Odylen. W takiej wojnie, jaka nas czeka, po lasach i bagnach lubo przy obleganiu grodów, doświadczenie mieć trzeba, by darmo ludzi nie tracić. Do niej piesze wojska przydatne, a jezdne jeno w walnej bitwie, której się nie spodziewać. A gdyby do niej i doszło, nie Odylen będzie ją zwodzić. Tedy może się i zgodzimy. Niechaj on z imienia całym wojskiem dowodzi, ja zasię jeno łucznikami i tarczownikami. Wóz alibo przewóz, ja ruszam, nie mieszkając, choćby jeno z poznańską drużyną, bo na namysły czasu nie ma.

Oda zarazem czuła słuszność w słowach Stoigniewa i wietrzyła jakiś podstęp. Wolałaby się naradzić i - by zyskać zwłokę - powiedziała niepewnie:

- Jeno Odylena nie masz tu, trzeba słać po niego, a gotów nie będzie.

- Szybko się zebrał ongiś na wasze wesele, choć też się nie spodziewał być na nim - odparł Stoigniew. - Wojna zasię nie gody, wojak zawżdy gotowy być winien, stroić się nie trzeba ni włosów trefić. Ale niechajby i to uczynił, dogna mnie łatwo, bo ja z pieszymi wolniej pociągnę.

Oda skinęła głową niepewnie. Gdy wojewoda skłonił się i wyszedł, patrzyła za nim z nienawiścią, a zarazem jakiś lęk ją przejmował. Tego wroga nie przejrzała, potrafił ją przycisnąć i nie wiadomo, co ze sprawy wyjdzie.

Ii

Stoigniew, wyszedłszy z dworca, skierował się na błonia nad Wartą, gdzie wojska stały obozem. Starszyźnie oznajmił rozkazy, po czym sędziwego Radocha, który ongiś pierwszy uczył go wojennego rzemiosła, odwiódł na stronę. Staremu słuch już nie dopisywał; słuchając, jedną ręką ucho ogarniał, a drugą wąs kręcił w zamyśleniu, gdy wojewoda zaczął:

- Raniej stanąć musimy pod Braniborem, nim Odylen nadąży.

- Wżdy go tu nie ma.

- Bliżej mu z Lubuszy niż nam z Poznania. Nie ważył się na pogrzeb starego kniazia przyjechać, by się z Bolkiem nie spotkać. Młody popędliwy jest, a wiadomo, że Odylen zawżdy społem knował z Przybywojem, choć nie było go w Krakowie, gdy ten kniazia otruć usiłował.

- Wżdy Lubusza w Bolkowej dziedzinie i jego tam właść. Słać po Odylena i w więzach go kniaziowi odesłać. Ać się uwidzą.

- Nie można. Ugodziłem się z Odą, że Odylen wojewodzić będzie z jej ramienia.

- Tedy słać do niego, że kniaź mu się stawić kazał przed sobą nie mieszkając. Jeśli zgoła nie uciecze, co prędzej do Ody wyjedzie do Gniezna, a stamtąd dalej mu będzie niż nam. Konni mogą tu na niego czekać, a nam z pieszymi ruszać, póki nie skwarzy, bo upały się biorą. Nim się sprawa wyjaśni, będziem daleko.

Stoigniew poklepał Radocha po ramieniu. Lubił starego wojaka, z którym wiązał wspomnienie pierwszej swej bitwy pod Cydzyną.

- Chytryś! Pchnijże tedy posłańca do Odylena, a sam z pieszymi ruszaj zaraz. Dognam was, nim Odrę przejdziecie. Ninie jeszcze muszę rozmówić się z biskupem.

Skinął staremu głową i skierował kroki na most. Mijając nowy dworzec, spostrzegł, że orszak Ody i ładowne wozy już ruszają.

Widno księżna nie rozmawiała z biskupem, który nie wrócił jeszcze z porannego nabożeństwa w swej katedrze, trzeba było jednak upewnić się. Stoigniew czekał, namyślając się, jak doświadczonego a dbałego o swą władzę i stanowisko dostojnika dla sprawy Bolesława pozyskać. Ongiś Unger podziałowi państwa był przeciwny, bo zapowiadało to stworzenie nowej diecezji, a dogodniejsze mu było stanowisko jedynego rządcy polskiego Kościoła. Ale od tego czasu położenie się odmieniło, podział kraju był już dokonany, a choć widoczne było, że długo się nie utrzyma, dla biskupa korzystniej mogło się zdać, by utrzymali się nieletni dziedzice, a nie dojrzały i nawykły wolę swą przeprowadzać Bolesław.

Stoigniew rozważał, czekając cierpliwie na biskupa, który po dłuższej chwili ukazał się w orszaku kapitulnego duchowieństwa. Kazał się zaraz oznajmić, nie dając poznać po sobie, iż drażni go, że Ungerowi nie spieszno go przyjąć. Gdy go wreszcie wezwano, udał, że nie widzi, iż Unger nie powstał na powitanie, zajął wskazane sobie miejsce obok podwyższenia, na którym siedział biskup, i gładko zaczął:

- Kniaź Bolesław nie mógł czekać na waszą przewielebność, bo od wschodu napaść zagraża. Mnie tedy zlecił za oddanie ostatniej posługi swemu rodzicowi podziękować, o modły za jego duszę prosić, a pamięci jego nadaniami dla Kościoła utrwalić nie omieszka, jeśli mu Bóg pozwoli powrócić szczęśliwie, by sprawy w kraju uładzić.

Biskup tylko głową skinął. Milkliwość jego niepokoiła Stoigniewa, od Ungera dużo zależało. Umiał trzymać w karności podległe sobie duchowieństwo i rządnie gospodarzyć w rozległych swych włościach, pomnażając osadników, wprowadzając nowe uprawy na wydzieranych borom obszarach, gromadząc zasoby w skarbcu i spichrzach. Biskup, stając po stronie Bolesława, umocniłby jego położenie, ale dbać zwykł tylko o kościelne sprawy, a już pochowanie Mieszka w Poznaniu bez porozumienia się z młodym księciem wskazywało, że liczyć się zamierza tylko z tym, co jemu na korzyść wychodzi.

Stoigniew patrzył badawczo na biskupa i po chwili podjął poufnie:

- Kniaź przestrzec was kazał, że niepokój jest w kraju. Lud, wszelkim nowościom niechętny, snadnie podszeptom kapłanów starej wiary ulec może, przykład biorąc z Połabia i Danii. I u nas podział kraju zaczynem może być buntu, gdy Oda wzorem swego rodzica rządzić zacznie. Nie miłuje jej lud, nienawidzi jej włodarzy, którzy ciężary nakładają, do jakich nie nawykł, a rozruch wszczęty w dzielnicy jej synów łacno się może rozprzestrzenić. Zlecił wprawdzie kniaź wojewodzie

Mszczujowi dawać baczenie, by spokój był w kraju, póki on sam postronnych spraw nie uładzi, ale Oda słuchać nie będzie namiestnika. Tedy kniaź prosi, byście Mszczuja radą, a - jeśli trzeba będzie - i czynem wspierali, a księżnę przestrzegli przed samowolnym poczynaniem; jeśli wam da posłuch, bo pono własnego biskupa dla dzielnic swych synów pozyskać zamyśla.

- Bez mej zgody tego uczynić nie władna - gniewnie rzucił Unger, ale wyraz niepokoju zjawił się na jego surowej twarzy.

Stoigniew skinął głową.

- Póki diecezja misyjna jest, od Rzymu to jeno zależy. Ale przez magdeburskiego arcybiskupa snadnie to uzyskać może, za cenę włączenia diecezji do jego prowincji, o co Gizyler z dawna podnosi roszczenie.

Unger spojrzenie utkwił w ziemię, widno zamyślony nad położeniem. Misja w Polsce skończyć się musi. Wonczas albo sama stanie się prowincją kościelną, albo do innej włączona zostanie, jak Czechy. Stoigniew, czytając w myśli Ungera, ciągnął:

- Jeśli mamy zyskać własnego metropolitę - skłonił głowę, jakby go wskazując - jedność stanowić musimy. Jeden władca może być tylko wtedy, gdy zwycięży Bolesław, bo wiadomo, że żaden z dziedziców na swoim nie poprzestanie. Gdyby zasię zwyciężyć miała Oda, i tak państwo podzielone zostanie, bo synów ma dwóch.

- Może być kilka państw w jednej prowincji - odparł Unger niezbyt pewnie.

- Słyszę też, że księżna Lamberta do stanu duchownego przeznacza.

- Iście tak - podchwycił Stoigniew. - Ale domyślić się nietrudno, że nie do zakonu, jeno na biskupa lubo metropolitę.

- Wżdy to jeszcze wyrostek...

- Czas leci, a nie nowina wyrostkom książęcego pochodzenia i najwyższe kościelne godności. Jan Dwunasty osiemnaście lat liczył, gdy na papieskim zasiadł tronie. A rządzić będzie Oda.

- Ale nie mną - gniewnie uciął biskup.

- Tak i mniemam. Jeśli zwycięży Bolesław.

Otrzymawszy rozkaz stawienia się przed księciem, Odylen bliski był popłochu. Choć wzmógł jeszcze swą ostrożność i poniechał znoszenia się z wrogami od chwili, gdy Mieszko na przekór synowi przywrócił go do łaski, nie łudził się, by oznaczało to przywrócenie zaufania. Bez obawy natomiast znosił się z Odą, ale pewne było, że Bolesław wie o tym. Toteż gdy doszła Odylena wieść o śmierci starego księcia, zrozumiał, że w dzielnicy młodego nie tylko na urzędzie się nie utrzyma, ale i życia nie jest pewny. Odzie natomiast jest potrzebny. Obcy z jej dworu nie mieli znaczenia u wielmożów, a samą mową i obyczajem budzili niechęć prostego ludu. Brakło jej krajowych ludzi, a zwłaszcza takich, których los, jak jego, na złe i dobre z jej własnym związany, których wierności przeto mogła być pewna. Ciągnęła też Odylena do młodej wdowy namiętność starzejącego się człowieka, którą sam przed sobą taił, póki żył Mieszko. Nie na tyle jednak, by się jej nie domyślała Oda, może nie bez celu chytrze ją rozbudzając. Nie był aż tak łatwowierny, by się w tym nie spostrzec, dlatego na pogrzeb starego księcia nie pojechał nie tylko z obawy przed Bolesławem. Korzystniej dla niego, by prosić go musiała o opiekę, niżby się sam z nią narzucał. Będzie mógł

stawiać warunki, dać jej do zrozumienia, że najpewniejsza może być jego wiernej opieki, jeżeli ją pojmie.

Ta myśl otwierała przed nim nowe widnokręgi. Gdyby syna z nią spłodził, pomyśli o tym, jak jemu zapewnić Mieszkowe dziedzictwo.

Pohamował rozigraną wyobraźnię. Na drogę tych zamierzeń padał cień Bolesława. Odylen jednak zdawał sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw, wobec których stoi młody książę; starał się więc wmówić w siebie, że liczyć się z nim nie potrzebuje. Ale gdy otrzymał rozkaz stawienia się przed nim, choć nie zamierzał go wykonać, sama myśl o zetknięciu się z Bolesławem przejęła go takim niepokojem, jak o spotkaniu z drapieżnym zwierzem. Zły był sam na siebie, że pozwolił spłoszyć swe rojenia, i zaklął. Gdy zapytał, gdzie książę bawi, odpowiedź nie ukoiła jego rozdrażnienia. Posłaniec, prosty wojak, odparł lekceważąco:

- Kniaź nie zapinka, należć go łatwo. A nie najdziecie, sam was poszuka.

Nie czekał na dalsze zapytania i odjechał. Z odpowiedzi Odylen wywnioskował jednak, że nie ma już księcia w Poznaniu. Zapewne wrócił do Krakowa, nie ma obawy, by go spotkał. Postanowił natomiast nie czekać na wezwanie Ody. Gotowy był do drogi, wozy stały załadowane, jeno siadać na koń. Jeszcze jedno przypomnienie poderwało go do pośpiechu: pomyślał o bracie. Po wypadkach na chrzcinach Bolesławowego syna, Mieszka, Przybywój zbiegł z kraju. Dla niego zetknięcie się z Bolesławem oznaczało niechybną śmierć. Odylen zabronił nawet bratu przesyłania wieści, by odsunąć od siebie wszelki pozór, iż byli w zmowie. Teraz jednak niewątpliwie wróci, śmiały jest. Dla Ody naraził swe życie i znosić musiał wygnanie, młodszy jest i nadobniejszy, łatwiej mu będzie zyskać przychylność Ody. Przez zakony wieści idą szybko, jeśli go Przybywój uprzedzi, górne nadzieje Odylena staną się mrzonką. Działać trzeba niezwłocznie, gdy nareszcie u progu starości życie się uśmiechnęło do niego, jak spod chmur słońce o zachodzie.

Porównanie przejęło Odylena dreszczem. Po takim zachodzie noc bywa najciemniejsza. Splunął od uroku, otrząsnął się i wyszedł na dziedziniec. Gotowi do drogi pachołkowie wałęsali się koło wozów, konie pod wierzch stały osiodłane. Odylen nie myślał o tym, że w niespokojnym czasie porzuca gród, nie zdając go nikomu. Głowę ma jeno jedną do stracenia.

Kilku wojów, stanowiących orszak Odylena, gwarzyło między sobą, spoglądając na miłośnicę żupana, Niesułkę, która zbierała swe węzełki i sadowiła się na jednym z wozów. Na jej widok Odylen zmarszczył się. Ongiś związał się z młodą i urodziwą dziewczyną, która, nikogo nie mając na świecie, ślepo przylgnęła do niego, pokornie i bez słowa znosząc jego wydziwiania, ponure milczenie czy napady złości. Gdy Mieszko wybaczył Odylenowi dawne knowania i osadził na urzędzie, Odylen rozglądać się zaczął za odpowiednim swemu pochodzeniu małżeństwem. Ale z krajowych wielmożów nikt nie był skłonny oddać córy nie cieszącemu się względami panującego księcia, a jawnie niemiłemu jego następcy, podstarzałemu krewniakowi. Z sąsiednich grafów czy duków może by i który rad był w Polsce się spokrewnić. Odylen jednak lękał się przez taki związek rozbudzić uśpioną podejrzliwość.

Teraz jednak postanowił pozbyć się przywiędłej już nieco Niesułki. Wobec otwierających się widoków była zawadą. Złościło go zresztą nieraz, że nie może dobić do dna jej pokory i uległości. Nie mógł znaleźć pozoru, by ją odegnać, postanowił krótko skończyć sprawę. Podszedł do niej i powiedział ostro:

- Złaź! Ostaniesz!

Zwróciła na niego oczy kopniętego psa. Po raz pierwszy ujrzał w nich łzy. Ale znała go zbyt dobrze, by wiedzieć, że na nic płacz ni słowa. Mrugając oczyma, by ukryć łzy przed drwiącymi spojrzeniami pachołków, zaczęła się gramolić z wozu, ściągając swe węzełki. Ale pokora jej, miast ułagodzić Odylena, rozdrażniła go jeno. Niecierpliwie cisnął je na ziemię, po czym skinął, by mu konia podano, i ruszył za bramę, nie obejrzawszy się na stojącą jak pod pręgierzem, na oczach wojów z załogi, pośrodku pustoszejącego dziedzińca niewiastę. Przyglądali się z dala, zarazem z zadowoleniem i niepokojem, wyjazdowi żupana, który nie cieszył się wśród nich mirem. W niepewnym czasie ważny gród pograniczny ostaje bez dowódcy. Młodsi jednak pokpiwać jęli z Niesułki. Stary dziesiętnik, Trzebiemir, który ponurym spojrzenmiem odprowadził Odylena do bramy, fuknął na nich:

- Stulcie pyski! Nawet na swe łajno człek się obejrzy, gdy odeń odchodzi.

I na was ani spojrzał. Precz stąd i do swego dzieła, by ład był na grodzie, gdy młody pan nowego przyśle żupana.

Rozchodzili się niechętnie. Na opustoszałym dziedzińcu w jaskrawym świetle czerwonego słońca sterczała samotnie Niesułka. Trzebiemir podszedł do niej i powiedział łagodnie:

- Niczego tu nie wystoisz ni lutać nie masz po kim. Możesz mojej niewieście w gospodarce pomagać. Nie zginiesz bez tego... psia jego krew, nie Piastowa!

Spojrzała na starego bolesnymi oczyma, po czym bez słowa podniosła swe węzełki i skierowała się ku bramie. Patrzył za nią, póki nie wyszła na piaszczysty, rozgrzany słońcem gościniec, po czym mruknąwszy: „głupia” - kazał bramę zawierać.

Księżnę zaskoczyło zjawienie się Odylena w Gnieźnie, gdy przekonana była, że w myśl jej polecenia ciągnie na czele konnych hufców pod Branibor. Gdy jednak wyszło na jaw, że go nie otrzymał, a wyjechał z Lubuszy na skutek wezwania Bolesława, by się przed nim stawił, zdziwienie Ody przeszło w złość. Sama podstępna a bystra, od razu pomiarkowała robotę Stoigniewa i jej cel. Gniew Ody zwrócił się też przeciw Odylenowi, za jego jawny lęk przed Bolesławem i łatwowierność, na skutek której pozwolił się przepłoszyć, nie sprawdziwszy nawet, czy wezwanie istotnie od Bolesława pochodzi. Nie pora jednak zrażać sobie potrzebnego człowieka, choć z pewnych napomknięć i zachowania się Odylena powzięła podejrzenie co do jego zamysłów. Chciała mieć w nim narzędzie, nie wspólnika. Dość oschle ucięła tedy jego wylewność, przykazując bezzwłoczny wyjazd pod Branibor i z naciskim podkreślając konieczność pośpiechu i ważność zadania.

Doznane przyjęcie mocno przytłumiło rozigrane nadzieje Odylena. Zamiast wygodnego pobytu na dworze, który pozwoliłby mu zabiegać o ich spełnienie, czekały go trudy wojenne, do których nie nawykł, a miejsce, jakie sobie upatrzył przy Odzie, gotów tymczasem zająć kto inny. Wojennej sławy nie zdobędzie, drużyna przywykła do wodza, który górował nie stanowiskiem, ale męstwem i doświadczeniem. O tym przekonał się jeszcze przed wyruszeniem z Poznania. W niepewnym jego ręku drużyna boczyła się jak koń, który poczuje niewprawnego jeźdźca. Rozkazy wykonywano opieszale, starszyzna nie taiła niemal swego lekceważenia. Toteż przeszedłszy Odrę, Odylen oddał dowództwo Jaczewojowi Pomianowi w nadziei, że ten prędzej poprowadzi pochód, sam zaś z małym orszakiem ruszył przodem, by ubiec Stoigniewa w spotkaniu z Ottonem.

Jaczewoj bardziej przejmował się końmi niż rozkazami Odylena. Gdy dniem dokuczały im gzy i

skwar, ciągnął jeno nocami, które krótkie były. Choć przeto i Odylen nie ciągnął zbyt szybko, wyprzedził znacznie konne hufce. Podróż nie była łatwa, kraj za Odrą spustoszony, warowne gródki i osady spalone, ludność z mieniem kryła się po lasach, drogi były niebezpieczne, wyżywienie trudne.

Odylen kilkakrotnie napotkał niewątpliwe ślady pochodu Stoigniewa i zwątpił, czy zdąży go wyprzedzić. Oda za złe mu poczyta spóźnienie. Rozważać począł, czy dobrze uczynił wiążąc się z nią. Bolesławowi samemu nic przecież nie zawinił, a w niepewnym czasie książę wyrozumialszy być musi. Może zapomniałby urazy, gdyby Odylen z dobrej woli służby mu swe ofiarował. Teraz o tym pomyślał, gdy nie miał już wyboru. Wyznaczenie go przez Odę wodzem wojsk posiłkowych jawnie oznaczało, że stoi po jej stronie, droga odwrotu była zamknięta, nie mógł nawet stanąć na uboczu, by czekać na rozwój wypadków. Ona miała go w ręce, nie on ją. Jak kamień z góry puszczony, jedną ma drogę przed sobą, dokądkolwiek wiedzie. Nie dla Ody, ale dla własnego bezpieczeństwa uczynić musi wszystko, by jej zapewnić zwycięstwo. Jeno i wówczas niepewne, co wygra, a do stracenia ma wszystko. Bliski był rozpaczy.

Jałowe a niemiłe rozważania ustąpiły jednak rzeczywistości, gdy pod zachód pogodnego dnia lekki powiew przyniósł mu zapachy dymów, a wkrótce i gwar obozujących wojsk. Po przebyciu kilku stajań Odylen ujrzał zagajnik nad jeziorkiem, w którym pojono konie. U koniarów dopytał się o miejsce postoju polańskich wojsk posiłkowych i skierował się ku niemu, rozmyślając, jak się ma zachować wobec Stoigniewa. Choć krewniacy, nie znali się niemal, Odylen wiedział jeno, że Stoigniew jest najbliższym zaufanym Bolesława, a już za starego księcia posłem bywał i na cesarski, i na papieski dwór. Oda przestrzegała przed jego przebiegłością, przejęcie nad nim dowództwa, niezbędne dla układów z młodym królem, nie zdało się Odylenowi łatwe, gdy nawet u prostych wojów widział wyraźną niechęć ulegania nieznanemu dowódcy. Czegóż może się spodziewać od Stoigniewa, który - choć znacznie młodszy - przewyższa go godnością, znajomością pisma, obcych krajów i języków, doświadczeniem wojennym i poselskim?

Odylen znał jednak ludzi na tyle, by wiedzieć, że jeśli nie okaże pewności siebie, to przegra. Przybrał więc dumny wyraz twarzy i zajechawszy na dziedziniec obozowy, oznajmił się pierwszemu z kraja wojakowi, każąc mu zwołać starszyznę. Wojak wrócił po chwili w towarzystwie poważnego męża, który skłonił się wprawdzie układnie przed Odylenem, ale sucho oznajmił, że wedle obyczaju jeno w bitwie wódz sam wydaje rozkazy, w pochodzie zaś i na obozie jeno przez niższych dowódców, by każdy z nich wiedział, co i dlaczego robią jego ludzie.

Odylen przełknął pouczenie jako przedsmak tego, co go jeszcze czeka, i kazał się wieść do Stoigniewa.

- Nie masz go i nieprędko zapewne wróci. Ważna jakowaś narada jest u króla.

Odylen zaniepokoił się. Oda wyraźnie ostrzegała, by nie dopuścił Stoigniewa do samodzielnych układów. Trzeba zaraz zgłosić Ottonowi swe przybycie. Ale nic począć nie może, póki się nie połapie, co zdążył zdziałać Stoigniew pod jego nieobecność. Należało rozmówić się z ludźmi sprzyjającymi Odzie, przede wszystkim z bratem jej,»Brunonem, i bawarskim Kłótnikiem. Ale o nich szkoda teraz nawet pytać, jeżeli przybyli, także muszą być na naradzie. Odylen nie wiedział, co poczynać, ponieważ jednak znużyła go podróż w skwarny dzień, kazał sobie namiot wystawić, pożywił się i ułożył na wypoczynek, sprawy odkładając do jutra.

Stoigniew natomiast, który z pieszymi nadciągnął rankiem tegoż dnia, nie tracił czasu na wypoczynek. Zgłosił się niezwłocznie po przybyciu u Ottona, przypomniał, że to on układ imieniem

Mieszka z cesarzową Teofano zawierał, którego następca zmarłego księcia wiernie dochować zamierza. Nie mogąc sam przybyć z powodu Włodzimierzowego najazdu, najlepszą jednak część swych wojsk posyła. Przeznaczone wprawdzie były do obrony przed grożącą ze strony Czech napaścią, ale nie wątpi, że król zmusi czeskiego lennika do pozostawienia sprzymierzeńca w spokoju.

Stoigniew, mówiąc, z zaciekawieniem patrzył na dwunastoletniego wyrostka. Od czasu gdy widział go przed dwoma laty, wyrósł, choć wątły pozostał, ale uderzyła wojewodę zmiana w jego zachowaniu. Z dostojną pewnością siebie, pozbawioną jednak chłopięcego zarozumialstwa, odparł, że celem jego jest pokój Boży i jedność w chrześcijaństwie, nakaże przeto, by Bolesław, zwany Rudym, który w zastępstwie ojca przywiódł z Czech posiłki, zaprzysiągł pokój pod grozą utraty jego łaski i życzliwości.

Stoigniew wiedział wprawdzie, że w istocie rządy w Niemczech sprawuje arcybiskup moguncki a zarazem legat papieski na Germanię i Galię. Ale nawet tak potężny dostojnik liczyć się musi z tym, że Otto jest koronowanym królem, za trzy lata osiągnie już wiek sprawny, utrzymywanie zaś pokoju między posiłkującymi narodami nakazuje zwykły rozsądek. Willigiz nie był zresztą przyjacielem Czech ni Kłótnika, swego czasu własną osobą brał udział w stłumieniu buntu Bawarczyka i w wyprawie przeciw Pobożnemu.

Stoigniew, by okazać wartość przywiedzionych posiłków, zarządził ich przegląd i z zadowoleniem widział zachwyt królewskiego chłopięcia na widok ich karności, sprawności i uzbrojenia. Otto dopytywać jął o Bolesława, o którego męstwie i obrotności słyszał, i - być może - zazdrościł mu sławy, gdyż na wiadomość, że Bolesław wojować zaczął niewiele starszym będąc niż ninie on sam, zauważył:

- Ja miałem lat sześć, gdym po raz pierwszy ruszył na wyprawę.

Stoigniew wiedział, że tak było istotnie. Wysłano wówczas dzieciaka, by jego obecność podniosła wojska na duchu w dniach klęski. Może i to było przyczyną, że nabrał poczucia ważności swej osoby i posłannictwa, wykazując przy dojrzałości nad wiek dziecięcą naiwność. Ojca nie znał, od matki porwano go w wieku prawie niemowlęcym. W umyśle chłopca wraz z goryczą samotnego dzieciństwa utrwaliło się przekonanie, że osoba jego z przyrodzenia jest źródłem władzy, dlatego porwano go od matki, by był narzędziem w cudzych rękach. Teraz dojrzał już na tyle, by odrzucić tę rolę. Widać było, jak niespokojna myśl jego pracuje nad wyznaczeniem własnej drogi, wahając się między nie dającymi się pogodzić skrajnościami, szukając wzorów zarówno w przeszłości, jak i wśród żywych ludzi, którzy wybijali się nad innych. Urzekało go wszystko, co wielkie. Dowiedziawszy się, że Stoigniew bywał w Rzymie, z zapałem mówić zaczął o stolicy świata, który z jej upadkiem pogrążył się w bezład i zamęt. Podziwiał dzieło Karola Wielkiego, za którego następcę się uważał, o wojnie z Weletami i pustoszących najazdach nordyckich zbójów mówił z lekceważącym zniecierpliwieniem, jakby utrata zdobyczy dziada i jego margrafów to jeno miała znaczenie, iż wiąże go w Niemczech, stanowiąc przeszkodę do szerszych poczynań.

Stoigniew trzeźwo rozważał korzyści, jakie da się wyciągnąć ze zbliżenia z tym dziwnym chłopięciem. Willigiz planom Ottona będzie przeciwny, skoro odmówił udziału w rzymskich wyprawach jego ojca. Ale świat wyobraźni młodego władcy wywierał dziwny urok, któremu nie umiał się oprzeć nawet trzeźwy Stoigniew. Od margrafa Ekkeharda wiedział, że Otto pieśni układa, a jednocześnie szuka dokoła siebie ludzi zdolnych mu pomóc w urzeczywistnieniu marzeń. Uderzyła jednak Stoigniewa niechęć i nieufność młodego króla wobec niemieckich możnowładców i zdało mu

się, że rozumie jej źródło. Otto sięgał pamięcią w najmłodsze lata swego dzieciństwa i teraz pojmować zaczynał, że pycha i chęć władzy buntowniczych książąt pozbawiły go spokoju i słodyczy macierzyńskiej opieki w pierwszym okresie życia, dla własnych celów wykorzystywały jego przedwczesne sieroctwo, a w przyszłości staną na drodze jego wielkich, choć jeszcze nie w pełni uświadomionych celów. Pokój Boży i jedność chrześcijaństwa! Piękne to! Przemoc musi przestać być prawem, chrześcijaństwo pozorem mordów i rabunku.

Stoigniewowi przyszedł na myśl Zyńka i tacy jak on, którzy wprowadzić chcieli nową wiarę bez przemocy, z myślą nie o własnych korzyściach, lecz o dobru nawracanych. Gorzkie doświadczenie mówiło jednak, że to są mrzonki. Zyńka przynajmniej bezpieczny się czuł wśród pogan, może dlatego, że w Polsce nie wprowadzono krzyża mieczem. Jednak narody, które go poznały tylko przez krew i pożogę, będą krzewienie wiary przez takich ludzi uważać za nowy podstęp. Ale gdyby przywódcy chrześcijaństwa szczerze się przemocy wyrzekli, gdyby prawdziwym apostołom przeszkód nie stawiali, lecz udzielili im poparcia i opieki, może warto by spróbować. Stoigniew otrząsnął się z tych rozważań. Nie jego sprawa. Niechże ten wyrostek, który szuka wielkiego celu w życiu, próbuje ziścić te mrzonki, ład i państwo Boże wprowadzić na świecie. Stoigniew bliższe ma cele, a do ich ziszczenia może się przydać życzliwość królewskiego chłopięcia. Potem będzie czas pomyśleć, jak pomóc mu w osiągnięciu jego celów.

Pożegnał Ottona, zaproszony przezeń na wieczerzę i naradę. Mimo pośpiechu, z jakim prowadził swe wojska, i podstępu mającego opóźnić przybycie Odylena, które udaremnić może jego zamierzenia, spodziewał się go lada chwila. Wcześnie zebrał się, by przed naradą rozmówić się z ludźmi, którzy mu byli potrzebni.

Wieczór po upalnym dniu był ciepły, ale od wody i lasu pociągał rzeźwy chłód, ucztę przygotowano przeto na zbitych naprędce z tarcic i ustawionych w podkowę stołach. Jaskrawe zorze stały jeszcze na niebie, gdy zasiedli przy nich przybyli na wyprawę sprzymierzeńcy i lennicy. Niewielu spośród nich brakło, nawet dawni przeciwnicy Ottona przysłali hufce zbrojne oraz swych zastępców. Na czele bawarskich oddziałów przybył dziewiętnastoletni syn Kłótnika, Henryk - po ojcu. Bolesław Pobożny przysłał również imiennika swego, Bolesława Rudego. Bracia cioteczni po Emmie i Gizeli, córach króla burgundzkiego, jako namiestnicy najpotężniejszych lenników i krewniacy królewskiego pacholęcia, siedzieli po lewej stronie podwyższenia, przygotowanego dla króla i Willigiza. Po prawej, wedle godności, zasiedli duchowni lennicy z magdeburskim Gizylerem na czele i jego sufraganami - braniborskim Folkmarem, hawelberskim Hilderichem, Hugonem żytyckim i Wolkoldem miśnieńskim. Z wyjątkiem ostatniego, wszyscy pozbawieni swych stolic i beneficjów, oni tylko uważali za własny cel starannie przez mogunckiego arcybiskupa przygotowaną wyprawę, która skończyć miała wlokącą się od lat wojnę. Dla innych była ciężarem, którego radzi by się pozbyć jak najprędzej i możliwie z najmniejszymi ofiarami, a wyciągnąć jak największe korzyści. Bawarom nawet na rękę było osłabienie Sasów, Czesi po cichu sprzyjali Lutykom.

Tymczasem jednak wojna przewlekała się przez obleganie obronnych miejsc, których zniszczono już kilkadziesiąt, ale przy zaciętej i umiejętnej obronie wytracono znaczną część pieszych knechtów. Teraz walka przeniosła się w lasy i bagna, gdzie ciężkie rycerstwo konne było bezradne wobec podstępnych pogańskich sposobów jej prowadzenia. Gizyler i Folkmar nalegali, by przystąpić do zdobywania Braniboru, przedstawiając, że zniszczenie ośrodka oporu przyspieszy koniec wojny. Toteż przybycie wojewody Stoigniewa z silnym zastępem pieszego ludu powitane zostało z ulgą i - mimo nieżyczliwego stosunku do Mieszka z powodu zatargów o zwierzchnictwo nad Kościołem w

jego państwie - Gizyler nie szczędził uznania jego następcy, że wiernie dotrzymuje zawartego przymierza.

Stoigniew jednak puszczał mimo uszu pochwały magdeburskiego arcybiskupa, jakby ich nie słyszał. Przychylność jego nie była mu potrzebna ani w nią nie wierzył. Na pozór zajęty był rozmową z Ekkehardem, synem poległego w walce z Saracenami grafa Turyngii, Gunthera, obydwaj jednak bacznie słuchali, o czym mówi Bolesław Rudy z Henrykiem, który widocznie hamował ciotecznego brata zarówno w mowie, jak w piciu. W miarę jednak jak działać zaczynało wino, Rudy podnosił głos i widno przebrał już miarę, gdyż czoło jego lśniło potem, a oczy gniewnym podnieceniem. Zachowanie jego zaczynało zwracać uwagę ucztujących i nietrudno się było domyślić, że gniew czeskiego księcia zwrócony jest przeciw Ekkehardowi. Sam tylko margraf udawał, że tego nie dostrzega, na pozór zajęty przyjazną rozmową ze Stoigniewem. Przez przyrodniego brata, Guncelina, spowinowacony z polskimi książętami - utrzymywał z nimi dobre stosunki sąsiedzkie, z powodu swego rozumu, męstwa i umiejętności obejścia cieszył się powszechną powagą, a umiarkowaniem i zręcznością swej polityki wybijał się ponad zgraję chciwych jeno doraźnych zysków i użycia pogranicznych możnowładców. Ostatnio, korzystając z zamętu, zajął Miśnię z Budziszynem, z której przed ośmiu laty wyparł go Kłótnik z pomocą Pobożnego, i bez stosowania okrucieństwa potrafił w niej utrzymać spokój, zyskując tym życzliwość Gizylera i szczególną wdzięczność biskupa Wolkolda, a przez niego i samego Willigiza, u którego ongiś się chował. Była to wprawdzie puścizna po ojcu Bolesławowej Emnildy, ale już Mieszko uważał za korzystniejsze osadzenie w Miśni przyjaznego margrafa, niż by rządzili nią Czesi, okalając w ten sposób od zachodu i tak zagrożony Śląsk. Gdy zaś możliwość zajęcia Śląska przez Czechów stanowiła zarazem groźbę dla Miśni, Stoigniew łatwo doszedł z Ekkehardem do porozumienia.

Rudego zdało się drażnić, iż margraf nie słyszy czy nie rozumie jego pogróżek i uśmiecha się obojętnie. Gdy jednak skierował je wprost do niego, Ekkehard, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do Willigiza:

- Wasza przewielebność na radę nas zwołała, jak dobyć Braniboru i skończyć tę wojnę. Ale jeśli to, co rzekł książę Bolesław, nie próżne jeno gadanie, lecz po pijanemu wydał się z tym, co jego rodzic zamierza, radzić nam chyba wypadnie, jak rozszerzeniu się wojny zapobiec, gdy pogaństwo, którego nie brak i w Miśni, poczuje, że - jak zawżdy - poparcia się może spodziewać u Czechów. Nic dziwnego - dodał złośliwie - gdy sami jak poganie żywią, własnego biskupa zmusiwszy, by diecezję rzucił.

Rudy zerwał się, ale młody Henryk posadził go i chcąc widocznie zatrzeć nieoględne wydanie się z zamiarami, powiedział pojednawczo:

- Co się przy winie gada, tego się nie liczy.

- Ja liczę - odparł Ekkehard. - Też piję, a wiem, co mówię. Mówię zaś, że nie wezmę udziału w żadnych poczynaniach, póki pewny nie będę, że mnie w spokoju ostawią. Ani nawet w naradzie, bo nie zwykłem radzić z wrogami, by wiedzieli, co zamierzam.

Dźwignął się, by odejść. Willigiz z wyrazem gniewnego zatroskania zbierał się coś rzec, gdy wtrącił się Stoigniew:

- Ostańcie, margrafie. Mam słowo miłościwego pana, iż pod utratą jego łaski pokój między lennikami i sojusznikami będzie zaprzysiężony. Tedy iście nieważne, co mówi kniaź Bolesław, jeno

zali zaprzysiężę pokój lubo nie. Nam nie słowem jeno zagrożono. Wojska czeskie zebrane na śląskiej granicy, od wschodu ciągnie zmówiony z nimi Włodzimierz. Poczekajmy, co rada uchwali. Wonczas społem ostaniem lubo społem odejdziem.

Rudy pomiarkował, że źle sprawę poprowadził, i milczał, natomiast Henryk, próbując ją ratować, ostro i lekceważąco zwrócił się do Stoigniewa:

- Nie wasza sprawa warunki stawiać, bo nie wasze to wojska, coście przywiedli, jeno Ody. Jej by zapytać należało, gdzie walczyć mają, czy siostrze swej, Matyldzie, nie chce użyczyć pomocy.

- Wy nie potrzebujecie pytać - równie lekceważąco odparł wojewoda - boście się już zmówili. Tak prawicie, jakby kniaź Mieszko nie ostawił prócz synów Ody innego dziedzica. Ale każdemu wiadomo, skąd wasza niechęć ku niemu: stąd, że porzucił sprawę waszego rodzica, gdy wyzuć chciał z korony prawego pana - Stoigniew skłonił głowę przed Ottonem. - Za jedno, czyim mówię imieniem, ale wiem, co mówię: kto chce ujrzeć, jak odejdą polańskie wojska, niechaj przeciw zaprzysiężeniu pokoju głos odda.

Bawarczyk miał w radzie stronników, ale wszyscy rozumieli, że Stoigniew nie mówi na wiatr. A jeśli odejdą Stoigniew i Ekkehard, i Czesi z Bawarami odejść będą zmuszeni. Cała z trudem zebrana wyprawa rozejdzie się bez żadnego trwalszego wyniku. O oblężeniu Braniboru bez pieszych wojsk czeskich i polańskich nie było co radzić. Arcybiskup, rozdrażniony, ręką w stół uderzył:

- Pax! Treuga Dei! Kto je naruszy, klątwą zostanie obłożony. Jakoż Bóg błogosławić ma naszemu przedsięwzięciu, gdy nie masz zgody między chrześcijańskimi narodami!

Zwracając się do Stoigniewa, ciągnął:

- Mówię: chrześcijańskimi, choć wiadomo, że nie jeno w Czechach niedoskonałe jest chrześcijaństwo. Pobożny król Bolesław brata swego Chrystiana do Ojca Świętego wysłał z moją i własną prośbą, by biskupowi Adalbertowi do Pragi wrócić kazał. Nie wasza rzecz osierocenie praskiej stolicy wypominać ni przypominać godne pożałowania wypadki po śmierci w Bogu spoczywającego cesarza Ottona, by się i wasze grzechy nie przypomniały. Nie zawżdy od waszych książąt doznawaliśmy pomocy i posłuszeństwa.

- Raczcie jednak pamiętać, wielebny panie - odparł spokojnie Stoigniew - że polańscy książęta nie są lennikami Rzeszy, jeno sprzymierzeńcami cesarza. Jeśli były i walki między nami, to na naszej, nie na waszej ziemi. Nikt zasię nie może zarzucić, byśmy nie zdzierżyli przynierza, które cesarzowa Teofano z kniaziem Mieszkiem zawarła, choć oboje przed Bogiem już stoją. Bo książę nasz, Bolesław, wierzy, że młody pan przyjacielem będzie swych przyjaciół.

Otto, który z wyraźnym podnieceniem przysłuchiwał się rozmowie, teraz odezwał się dumnie:

- Pewni bądźcie, jako i tego, że zdzierżę słowo, iż pokój będzie zaprzysiężony. Tedy radźmy, jak kończyć tę wojnę, która przeszkodą jest w ważniejszych sprawach. Otrzymaliśmy pismo od Ojca Świętego, który - przez Krescencjusza ze stolicy swej wygnany - w Toskanii, u margrafa Hugona schronić się musiał i wzywa nas, byśmy go do Rzymu wprowadzili. Kto nam w tym przeszkody stawiać będzie, ten jest wrogiem Kościoła i cesarstwa.

Rozognionymi, lśniącymi oczyma powiódł dokoła. Potem wzniósł je w górę, jakby tam widział przedmiot swych dążeń, cesarską koronę.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je niecierpliwy głos Gizylera:

- Tedy radźmy, jak kończyć tę wojnę.

Wojna jednak kończyć się nie chciała. Zaprzysiężony pokój nie przywrócił ufności i zgodnego współdziałania, oblężenie Braniboru szło tępo, stojące pod nim wojska same były niepokojone napadami oblegających je gromad pogańskich. Dowóz żywności był coraz trudniejszy, bliższe okolice spustoszono, z dalszych - połączony z niebezpieczeństwem. Widoczne się stało, że ogłodzeni zostaną prędzej oblegający niż oblężeni w Braniborze, świadomi przejść przez bagna, których trudno było dopilnować w coraz dłuższe, ciemne noce nadchodzącej już wczesnej i słotnej jesieni. Niecierpliwili się nie tylko Otto i Gizyler, wojska zaczęło ogarniać zniechęcenie, wdały się choroby. Stało się jasne, że i tym razem wyprawa nie odniesie zamierzonego skutku.

Niezwykła natomiast jedność zapanowała na naradzie, gdy niespodzianie przybył poseł z Braniboru, ofiarując hołd i przysięgę wierności za odstąpienie od oblężenia. Choć nie budził ufności, ale uchwycono się pozoru, by pokryć niepowodzenie, i po odebraniu hołdu znużone wojska rozeszły się do domów.

Tylko Stoigniew miał powody do zadowolenia z wyprawy. Zdołał zapobiec napaści na południowe granice, pozyskać Ottona dla sprawy Bolesława i zbliżyć się do młodego władcy. Ułatwiło to uporczywe zaciekawienie królewskiego chłopca rzymskimi podróżami Stoigniewa. Piastun Ottona, graf Hoiko, choć sam polubił i nauczył się cenić polańskiego wodza, widząc, że wspólne ich przestawanie budzi podejrzliwą niechęć wśród stronników Henryka Bawarskiego, starał się położyć tamę częstemu obcowaniu. Otto jednak wyraźnie buntował się już przeciw wszelkiemu narzucaniu sobie cudzej woli, Stoigniew zaś zgoła się tym nie trapił, iż rzuca kość niezgody między niemieckich możnowładców. Zbliżył się do młodego władcy z wyrachowania, licząc na korzyści, jakie ta przyjaźń może przynieść sprawie Bolesława. Nie zapominał o nich, ale w miarę przestawania z dziwnym pacholęciem patrzeć na nie zaczynał innymi oczyma, poprzez jego marzenia, które przeczyły rzeczywistości i smutnym własnym doświadczeniom Stoigniewa. Nie wierzył, by nagiej sile można co innego przeciwstawić niż takąże siłę, a z braku jej - chytrość i podstęp. Teraz chwytał się na tym, że myśli, jak by marzenia młodzieniaszka o świecie, w którym panować będzie sprawiedliwość i ład, dało się wcielić w życie. Ze zdziwieniem odkrywał w sobie jakieś wewnętrzne pokrewieństwo z marzycielską naturą Ottona. On pozwalał mu zapomnieć o zapieczonej, wrogiej nieufności do Niemców. Droga, którą sobie Otto wyznaczył, nie była drogą jego ojca i dziada. Może nie wiodła nigdzie... Zarazem żywe i rozmarzone, ciemne oczy chłopca nie dostrzegały na niej przeszkód, widocznych jasnym oczom Stoigniewa. Ale droga ta urzekała wielkością swego celu.

Stoigniew stwierdził jednak, że Otto nie tylko marzyć umie, ale zastanawia się, jak wytknięty cel osiągnąć. Gdy dowiedział się, że matka Stoigniewa była Greczynką jak Teofano, a Stoigniew zna macierzysty język, zdradził niekłamaną ochotę, by język ten sobie przyswoić. Wojewoda sądził, że - jak on sam - młody król wiąże z jego brzmieniem jakieś wspomnienia wczesnego dzieciństwa. Ze zdziwieniem stwierdził, że Otto chce się uczyć greckiego, bo uważa to za potrzebne do zamysłu zjednoczenia cesarstwa rzymskiego z bizantyńskim. Znał już język łaciński i chętnie go używał. Pod

jasnymi kędziorami, wpadającymi w rudy odcień jak często u Sasów, tlił się zapał i podziw dla wszelkiej ludzkiej wiedzy. Z zachwytem mówił o słynnym Gerbercie d'Aurillac, nauczycielu Roberta, syna francuskiego króla. Pragnął go pozyskać dla siebie; trzy lata, które go dzieliły od pełnoletności, poświęcić chciał na kształcenie swego umysłu, by sprostać zadaniom, które przedsięwziął.

Stoigniewowi okres ten nie zdał się tak długi jak samemu Ottonowi. A wiele trzeba zdziałać, by Bolesław mógł stać się współwykonawcą zamierzeń Ottona. Wojewoda otrząsnął się z uroku i myślą wrócił do bliższych spraw. Pokój z Czechami i Weletami, choć wymuszony i nietrwały, pozwalał oczy odwrócić od południa i zachodu. Jeśli Bolesławowi udało się odeprzeć najazd Włodzimierza, a Eryk powstrzyma Swena, można będzie siły wewnętrznym sprawom poświęcić. Tu jednak leżała największa troska. Stoigniew nie łudził się, by Oda nie omieszkała wykorzystać trudności Bolesława i jego nieobecności. Jej na rękę nieład i niepewność, o które najłatwiej. Przykład miał Stoigniew przed oczyma. Wbrew woli Ody na radzie liczono się tylko z jego głosem, obezwładnić zdołał jej sprzymierzeńców, odsunąć w cień Odylena. Ale nie mógł zapobiec knowaniom z synem Kłótnika i jego stronnikami ani by tarcia między nim a Odylenem nie odbiły się w wojsku, rozluźniając karność. Odylen rozmyślnie zmierzał do tego, by - nie mogąc podnieść własnej - osłabić powagę i stanowisko Stoigniewa. Gdy nie udało mu się prostych wojów wytrącić z jego ręki, pochlebiać jął starszyźnie, osłaniając ją przed karami za niedbalstwo, konną zaś drużynę, złożoną przeważnie z synów wielmożów, rozpuścił zupełnie, gdy niemal bezczynna w tej wojnie bez walnych bitew - rozwłóczyła się za łupem. Stoigniew z żalem patrzył, jak ten grot Mieszkowego oręża, wykuty wieloletnim trudem, rozhartowuje się w bezczynności. Na dobitkę Odylen po ukończeniu wyprawy zabrał drużyny z Włocławka, Giecza i Gniezna i pociągnął osobno. Rozkład jednak był widoczny także wśród konnych z Poznania i wojewoda, nie chcąc, by się udzielił pieszym, ruszył z jazdą przodem. Karność jednak, i tak zazwyczaj rozluźniona po ukończeniu wyprawy, nie dała się przywrócić bez zastosowania srogości, czego wojewoda chciał uniknąć, by w niepewnym czasie nie wywołać niechęci możnych rodów. Łatwiej ją na miejscu przywróci sam Bolesław, przed którego bezwzględnością w łamaniu oporu drżeli wszyscy. By jednak i własnej powagi nie narażać, przed pierwszym postojem zdał dowództwo, a sam ruszył dalej.

Pod zachód niebo przetarło się, noc zapadała pogodna, a Stoigniewowi spieszno było do Poznania, gdzie spodziewał się już wieści o wyniku wyprawy Bolesława, o który nie był spokojny. W wieczornym chłodzie konie raźno niosły mały poczet. O świcie winien dotrzeć do Lubuszy. Młody księżyc dźwignął się nad bory, na niebo wyroiły się gwiazdy, gościniec wywijał się jaśniejszym pasmem, chwilami jeno smugi chłodnej mgły, wstające z leśnych strumyków i bagien, zakrywały go przed oczyma jadących, pełznąc w poprzek drogi z niewyczuwalnym niemal powiewem z północy, który nie poruszał nawet zwiędłych liści na drzewach.

Stoigniew odsadził się od towarzyszy. Po gwarze kilkomiesięcznego obozowego życia zapragnął samotności i ciszy. Nie mącił jej głuchy odgłos kopyt idącego kłusem konia, las milczał, zwierza przepłoszyła wojna. Przebrnąwszy smugę mgły, która zastąpiła mu drogę, Stoigniew ze zdziwieniem zauważył jakiś duży, ciemny kształt na gościńcu. Jeleń nie czekałby na nadjeżdżającego człowieka, zresztą, choć już zaczęło się rykowisko, nie było go słychać nigdzie. Mógł to być tylko żubr lub jeździec. Byk samotnik nie zwykł ustępować z drogi przed człowiekiem, samotny człowiek w nocy, w pobliżu granicy, też nie budził zaufania. Wojewoda zawahał się, ale ruszył naprzód. Nie odsadził się od swoich zbyt daleko. Płochliwy nie był, jeśli rozsądek każe - zawróci.

Ujechawszy kilkadziesiąt kroków, rozeznał jeźdźca. Koń szedł stępa, jeździec zasnął chyba, bo nie obejrzał się nawet, gdy jadąc kłusem Stoigniew zrównał się z nim i ściągnął wodze, by go zagadnąć. Urwał jednak w pół słowa: spod kaptura spojrzały na niego przenikliwie, w słabym blasku nocnego nieba świecące jak próchno, blade oczy Zbrozły. Przez chwilę jechali w milczeniu. Jakby usprawiedliwiając się, Stoigniew zaczął:

- Szukałem was w pustelni Zyńki. Ninie wracam od Ottona.

- Wżdy wiem. I ja stamtąd wracam.

Stoigniew nie wątpił, że walczyli po przeciwnych stronach, nie wiedział jednak, czy Zbrozło nie bierze mu tego za złe. Ciągnął z wahaniem:

- To ja skłoniłem Bolesława, by miast przeciw Pobożnemu zebrane wojska wysłał w pomoc Ottonowi. Nie mogłem dopuścić, by uczyniła to sama Oda. Zyskaliśmy rozejm z Czechami, pokój od Niemców, sprzymierzeńca przeciw Weletom i przychylność młodego pana.

Gdy Zbrozło milczał, Stoigniew dorzucił po chwili:

- Pewny jestem, że dobrze uczyniłem.

- Sobie samemu jeno człek dłużny jest obrachunek - odparł Zbrozło. - Gdyby przyszłość znał, zdałby ją na los, miast z nim walczyć.

Od najmłodszych lat Stoigniew nawykł widzieć w Zbroźle wyższą nad innych istotę. Choć dawno wyszedł spod jego opieki i własnym zwykł się kierować rozumem, zależało mu na uznaniu dla swych poczynań ze strony byłego piastuna. Zdało mu się, że w słowach Zbrozły słyszy przyganę. Zaczął w podnieceniu:

- Ja nie znam przyszłości, jeno wiem, do czego zmierzam.

Zaczął mówić o zamiarach młodego Ottona, o zbudowanych na tym swoich własnych planach, o wielkiej roli, jaka winna przypaść Bolesławowi:

- Czegóż chcieć ponad to, by w świecie ład zapanował i sprawiedliwość, by głodny nalazł chleb, uciśniony obronę, by prawdziwi apostołowie prawdziwe głosili chrześcijaństwo? By sędziowie byli nieprzekupni, władcy nieprzejednani, by każdy lud na własnej ziemi własnym się rządził prawem i obyczajem...

- By słowo stało się ciałem - przerwał Zbrozło.

Stoigniew umilkł. Wątpliwości, które sam żywił, wstały w nim znowu, znużony się poczuł i przygnębiony. Myśl wróciła do przeszłości, do krótkiego jak kupalna noc szczęścia, którego szczątki rozsypały się w proch pod Cydzyną; do ojczystego domu rodzicieli, małej siostrzyczki, życzliwych druhów... Od tego czasu nie wiązał się z nikim, nie pojął niewiasty, nie zazieleni się własny dom młodym pokoleniem. Lata już nie był w Kozim Rogu, by nie ranić serca widokiem matki żyjącej w innym świecie, do którego nie było dostępu. Wyrzekł się wszystkiego, zerwać ma się jeszcze ostatnia nić wiążąca go z przeszłością, a w zamian jeno zwątpienie, czy droga, jaką obrał, wiedzie do celu, który zamierzył.

Pasma mgły stawały się coraz gęstsze, aż zlały się w mleczny tuman, który głuszył nawet odgłos

kopyt idących obok siebie koni. Wilgotny ziąb przenikać zaczynał Stoigniewa, w ciszy, dzwoniącej w uszach jak pod wodą, jakby z niezmiernej odległości doszły go słowa Zbrozły:

- Drogi się schodzą, gdy cel jest jeden.

Stoigniew słyszał je jak przez sen, który ogarniał go wraz z chłodem i odrętwieniem. Otulił się mocniej opończą i stracił świadomość.

Coraz jaskrawsze światło przesączać się zaczynało przez jego zamknięte powieki. Otworzył je i rozejrzał się. Wstawał pogodny dzień, słońce już wznieść się musiało, przygniatając tuman. Ruszył się wiatr i zegnał go na zachód, jeno strzępy czepiały się jeszcze rozległej płaszczyzny wodnej, jaka otwarła się przed Stoigniewem. Potem i one rozwiały się, a wraz z nimi wspomnienie rozterki i nocnego spotkania, które teraz zdało mu się snem. W świetle dziennym droga przed nim stała prosta, a sam chłodny był jak ten jesienny poranek.

W Poznaniu czekało już na Stoigniewa wezwanie do Krakowa, dokąd sam książę wracał, pomyślnie zakończywszy ruską wyprawę, a mając już wieści o przebiegu spraw na zachodzie, chciał się nad dalszymi poczynaniami naradzić.

Wojewoda z ulgą słuchał sprawozdania z wyprawy. Włodzimierz przy wezbranych jeszcze wodach wyruszył wraz z najemnymi Waregami, piesze wojska wysyłając na łodziach przez rozlewiska i przetoki Turii i Stochodu nad Bug, sam zaś z konną drużyną ciągnął od Łucka na gród Wołyń, gdzie wyznaczył zbór. Jazdy prowadził niewiele, natomiast ciężki sprzęt oblężniczy, a kierunek pochodu zdradzał, że zamierza uderzyć na Sandomierz. Gdyby udało mu się ubiec ten gród i podać sobie ręce z czeskim sojusznikiem, położenie Bolesława stałoby się groźne. Kijowski kniaź z oporem liczył się dopiero u przeprawy przez San, i to niezbyt silnym, znając niepewne położenie Bolesława w kraju i zagrożenie od południa i zachodu. Nie wiedział natomiast, że Bolesław ściągnął stamtąd wszystkie siły i porozumiawszy się z Pieczyngami zamierza mu zaskoczyć drogę u przeprawy przez Bug.

Wódz Pieczyngów, Kutan, wiodąc bezdrożami od Dniestru na północ swą konną hordę, pierwszy stanął w lasach opodal Wołynia. Pchnął wieść do Bolesława, który, prowadząc także piesze wojska, wyminął gród w Czerwieni. Znajdował się jeszcze o dzień drogi od Wołynia, gdy nadszedł Włodzimierz z jazdą i, nie wiedząc o niczym, bezzwłocznie rozpoczął przeprawę przez Bug, by w Wołyniu czekać na piesze zastępy i Waregów, którzy, dotarłszy do Bugu poniżej Horodła, podciągnąć mieli sprzęt na łodziach Bugiem do Wołynia, a następnie Huczwią do Czerwieni.

Wołyński gród, niezbyt obszerny, położony był na nieznacznym wzniesieniu w widłach Bugu i Huczwi, ubezpieczony przez przyrodę z trzech stron bagnami i wodą, jedynie od południa połączony z suchą wyżyną. Od tej strony broniły go wały z potężną bramą, gdzie rozwidlały się drogi do Bełza i Czerwieni.

Włodzimierz nadszedł pod wieczór chmurnego dnia i przeprawiwszy się pierwszy, z bojarem Kozarynem, dowódcą grodu, udał się na dworzec, by pożywić się i spocząć. Zaledwie usiedli do wieczerzy, gdy wpadł wojak i krzyknął:

- Pieczeniegi!

Istotnie Kutan, pomiarkowawszy, że Włodzimierz nadszedł z samą jazdą, uderzył na nią u przeprawy, powodując zamieszanie. Zapadający zmrok przerwał walkę, jazda schroniła się do grodu, Pieczyngowie zaś rozłożyli się obozem na wyżynce. Kutan wiedział, że Włodzimierz z samą jazdą na

wyprawę nie ciągnie, ale - zuchwały i przedsiębiorczy - skorzystać chciał ze sposobności pojmania ruskiego księcia, co jednym zamachem zakończyłoby pomyślnie wyprawę. Nie mogąc pokusić się bez pieszych wojsk o zdobywanie grodu, pchnął gońców do Bolesława z zawiadomieniem, że Włodzimierza ma w saku, i prośbą, by przyspieszył pochód. Nie wiedział natomiast, że jednocześnie w dół rzeki gnali gońce z rozkazem, by nadpływające wojska pod osłoną nocy podciągnęły się powyżej grodu, odcinając Pieczyngom odwrót ku południowi. Włodzimierz nie wątpił już, że Bolesław porozumiał się z Pieczyngami, sądził jednak, że ich zadaniem opóźniać jeno pochód do Sanu i przeszkadzać w przeprawie. Toteż postanowił rozprawić się z nimi, zanim ruszy w dalszą drogę. Ciemna, deszczowa noc sprzyjała jego zamiarom. O świcie deszcz ustał, ale z bagien i rzeki wstała mgła. Wrzaski na łęgu nad rzeką, gdzie pasły się konie Pieczyngów, oznajmiły Włodzimierzowi, że nieprzyjaciół udało się obejść i zaskoczyć.

Ale i Kutan pomiarkował, co się stało; skoczył ze swymi do koni i po krótkiej bezładnej walce, dorwawszy się do nich, pognał w górę Huczwi, wymykając się jeździe, która dopiero wysypywała się z grodu, stając w sprawie do bitwy. Natychmiast puściła się za nim pogoń, wiedząc, że dopadnie go w bagnach pod Rubieszowem i zmusi do walki, a tymczasem nadciągnie kniaź z pieszym wojskiem i sprawę rozstrzygnie. Do Rubieszowa było niespełna pół mili i Włodzimierz bezzwłocznie pchnął za jazdą oddział łuczników, sam zaś sprawił resztę wojsk i ruszył w ślad za nimi.

Słońce wzbiło się, zganiając mgłę, ranek był świeży i pogodny, wojska ciągnęły z ochotą i śpiewem. W grodzie ładowano zapasy i lżejszy sprzęt na wozy, ciężki na łodzie, które przewieźć go miały do Czerwieni. Gdy wozy wyjechały, Kozaryn kazał zamknąć bramę i udał się na przystań, by dopilnować ładowania łodzi.

Włodzimierz tymczasem, dotarłszy na wysokość Rubieszowa, kazał zaprzestać śpiewów, spodziewając się już każdej chwili usłyszeć odgłosy bitwy. Przed bagnami jednak ślady idących w przedzie skręciły na południe w podmokły las, w którym widocznie Kutan szukał ochrony przed ścigającą go jazdą. Włodzimierz przeto zatrzymał pochód, by pozwolić dociągnąć wozom. Nie było celu zbijać się z drogi, skoro Pieczyngowie uchodzą, a o to jeno chodziło, by nie przeszkadzali w pochodzie. Jeżeli zaś staną do walki, jazda cofać się będzie na główną siłę, czas wtedy ją sprawić. W rachubie Włodzimierza wciąż jeszcze nie było Bolesława, który, otrzymawszy wiadomość o zamknięciu Włodzimierza w Wołyniu, bez wahania ruszył własną osobą, zabierając dla pośpiechu jeno konną drużynę, pieszym zaś polecając nadążać co sił. Docierając do Rubieszowa, spotkał się z uchodzącym Kutanem.

Stary wojownik z ciekawością i podziwem patrzył na młodego księcia, a z zazdrością na świetnie zbrojną drużynę. Zawoławszy tłumacza, Aladuka, wyjaśnił Bolesławowi położenie, sprawiając się, że wobec nadejścia całej siły Włodzimierza nie zdołał go w grodzie przytrzymać. Książę jednak nie zdał się tym zaskoczony ni strapiony.

- Nikt sobie wroga nie ustawia do bicia, jeno bije tam, gdzie jest - powiedział uśmiechając się. Dowiedziawszy się zaś, że Kutanę ściga jazda i każdej chwili można się jej spodziewać, natychmiast wydał zarządzenia do bitwy. Pieczyngom polecił zająć skrzydła, sam w podszytym zagajniku stanął na czele drużyny i czekał. W lesie uczyniła się cisza, tylko sójki skrzeczały, przelatując z drzewa na drzewo, zaciekawione, co się w dole dzieje. Potem rozległ się szelest, trzeszczenie łamanego suszu i między drzewami ukazał się idący zwarcie, o ile na to pozwalał podszyty las, oddział ciężkiej jazdy ruskiej. Posuwali się ostrożnie, widocznie lękając się zasadzki. Jadący na czele brodaty bojar patrzył

na ślady i coś go widocznie uderzyło, bo podniósł rękę, by zatrzymać oddział. Ale w tej chwili rozległo się nieludzkie wycie i z obu stron wysypali się Pieczyngowie.

Ruś bez roskazu, którego zresztą nikt nie zdołałby usłyszeć w piekielnym gwarze, pomnażanym przez las, sprawnie rozdzieliła się, odcinając się doskakującym Pieczyngom. Dowódca, bojar Kulmiej, pomiarkował jednak, że chodzi o to, by Rusini w pościgu rozluźnili szyk, co liczniejszym i siedzącym na lekkich a zwrotnych koniach Pieczyngom dałoby przewagę. Krzyknął coś niskim, potężnym głosem i hufiec ustępować jął w kierunku łęgów, gdzie na otwartej przestrzeni roztrzygnie ciężar i wyższość uzbrojenia. Las zaczął już przeświecać i po chwili cały hufiec, wyszedłszy na otwarty stok, ustawiać się jął do uderzenia.

Pieczyngowie również wypadli z lasu, ale z dala jeno szyć zaczęli z łuków w zwartą ciżbę jazdy. Ranne konie kwiczały, starszyzna wykrzykiwała rozkazy. W zamieszaniu zauważyli pancernych Bolesława dopiero, gdy konie szły już w skok. Byli tak blisko, że czasu nie starczyło zwrócić się czołem do uderzenia, które klinem przecięło ruskie szeregi, zmieniając sforny hufiec w bezładną gromadę. Kutan zdał się czekać na to, gdyż natychmiast uderzył, nie pozwalając Rusinom przyjść do sprawy, i wszczęła się bezładna bitwa, w której liczbą i zwrotnością przeważali Pieczyngowie. Starszyzna starała się skupić rozproszone szyki i wkrótce utworzyły się dwa koliska, z których jedno przewalało się ku rzece, drugie - ku stojącym na drodze do Czerwieni pieszym wojskom.

Tam zauważono już, że pod lasem wre bitwa, jakkolwiek z odległości trudno było rozeznać jej przebieg. Włodzimierz, który pożywiał się właśnie, zrazu patrzył spokojnie, mniemając, że Kulmiej pozorowanym odwrotem wywabił Pieczyngów z lasu, do którego dochodził właśnie wysłany w ślad za jazdą oddział białogrodzkich tarczowników. Nagle Włodzimierz cisnął nie dojedzone mięsiwo i zerwał się. Prostokąt idącej w szyku piechoty prysnął, na jego miejsce zjawił się idący w skok hufiec pancernych. Zdać się mogło, że uderzenie wiatru zmiotło kupę plewy. W jaskrawym słońcu południowym iskrami zalśniły łuski pancerzy. To nie Pieczyngowie!

Teraz Włodzimierz zrozumiał, że nadszedł Bolesław, ale nie stało czasu, by przygotować opór. Choć bez rozkazu, zrywał się kto żył, chwytając za broń, hufiec przewalił się jak burza, obalając wszystko po drodze, i pognał dalej. Teraz Włodzimierz zaklął. O kilka stajań widać było nadchodzące niemal bez ochrony wozy ze sprzętem i zapasami, a co gorsze - z podróżnym skarbcem. Bezradnie patrzeć musiał, jak zwywracano je, odciąwszy konie, i po chwili na drodze pozostała bezładna sterta drewna, zmieszana ze stratowanymi zapasami, a jazda polańska, nie spiesząc się, odeszła w kierunku Wołynia.

Dalszy pochód nie miał celu i Włodzimierz, ponury i zły, zawrócił na Wołyń. Nie miał nadziei, by dopaść zdołał Bolesława, ale przed dalszym pochodem uzupełnić musi zapasy, a przede wszystkim zebrać jazdę, której rozproszone niedobitki ściągały aż do wieczora. Kulmiej miał szczęście, że poległ, w przeciwnym razie byłby drogo za klęskę zapłacił. Włodzimierz tylko wynik zwykł brać w rachubę.

Mimo że pozwolił się zaskoczyć, licząc na słabość przeciwnika, kijowski kniaź zbyt był doświadczony, by przypuścić, że Bolesław, choć znany z zuchwałego męstwa, z niewielkim tylko hufcem jazdy zapuścił się w zajęty przez nieprzyjaciela kraj. Tutaj widocznie zmierzał do rozstrzygnięcia, do czego niezbędne były piesze wojska. Teraz Włodzimierz zwlekał, póki nie zbierze sił i nie ściągnie zapasów z leżących pod ręką grodów. Toteż gdy wysłane podjazdy doniosły o zbliżaniu się znacznych wojsk pieszych, nie czekając na nie, przeprawił się z powrotem za Bug.

Zarazem zastanawiać się począł, czy wyprawa, która zdała się obiecywać łatwe korzyści, nie przyczyni jeno strat. Dotychczas dość były już znaczne.

Na razie jednak postanowił nie odstępować od zamierzeń, bo dogodniej mu współdziałać z Czechami, niż walczyć samemu. Bolesław, zyskawszy na czasie, upora się z braćmi i wzrośnie w siłę, a znając jego zawziętość, Włodzinierz pewny był, że sposobną porą nie omieszka się z mieczem w ręku upomnieć o utracony przez swego ojca w czasie wojny z Czechami kraj. Wareskich najemników trzeba zresztą i tak zapłacić, choćby odwołał wyprawę, a dogodniej z łupów niż z własnej skrzyni. Pomyślał jednak, że słuszność miał stary piastun Dobrynia, radząc nie spieszyć się z wyprawą, póki się nie upewni, że Czesi już uderzyli. Tymczasem zdołałby uporać się z Pieczyngami, bez których pomocy, własne siły mając związane gdzie indziej, Bolesław musiałby się ograniczyć do słabej obrony na Sanie i Wiśle.

Narazie przeto Włodzimierz poobsadzał brody i wzmocnił załogi grodów broniących przepraw, by uniknąć dalszych niespodzianek. Bolesław jednak za Bug się nie kwapił, ograniczając się do ogołocenia kraju z ludzi i zasobów. Gdy jednak Włodzimierz, zebrawszy siły, tu i ówdzie próbował przeprawy, nawiązały się znowu walki, które przeciągnęły się przez lato, aż do czasu, gdy Włodzimierza dotarła wieść o zawartym przez Bolesława rozejmie z Czechami. Włodzimierz, gniewny na sprzymierzeńca o uczyniony mu zawód, odprawiwszy Waregów, wrócił do Kijowa.

Iii

Przy podziale łupów z Kutanem Bolesław okazał szczodrobliwość, oddając mu wszystkich jeńców, zdobyczne konie i broń. Jemu też wyprawa przysporzyła zasobów, których pilnie potrzebował, ale cenniejszy od srebra i złota był zyskany czas. Otrzymał również wieści o zawartym z Czechami rozejmie, co prawda wymuszonym przez Ottona, ale choć w trwałość pokoju nie wierzył, niemniej niebezpieczny próg panowania miał już za sobą. Przymierze z Pieczyngami okazało się korzystne i Bolesław postanowił je podtrzymać;

Włodzimierz zresztą sam potrzebował pokoju, zajęty chrztem swego kraju.

W Krakowie czekały na księcia również pomyślne wieści. Widłobrody wraz z Olafem Trygvesonem popłynęli do Anglii, by wymusić zaległy danegeld (haracz płacony przez Anglię najezdnikom), ze strony Danii nic tymczasem nie groziło. Bolesław był dobrej myśli, mógł się wewnętrznym sprawom poświęcić.

Te same wieści wcześniej jeszcze otrzymała Oda, dla niej jednak nie były pomyślne. Ze zmarszczoną brwią słuchała sprawozdania Odylena z wyprawy, hamując gniew. Jego niedołęstwo pozwoliło Stoigniewowi wymusić rozejm z Czechami, dzięki któremu Bolesław zdołał obronną ręką wyjść z groźnego położenia. Teraz nie omieszka wykorzystać spokoju od postronnych, by się wewnętrznie umocnić. Pomyślny wynik wyprawy przeciw Włodzimierzowi był przestrogą, że z każdym wrogiem oddzielnie Bolesław sobie poradzi. Oda doceniała przeciwnika i nie łudziła się co do wyniku, gdyby osamotniona musiała stawić mu czoło. Półuchem słuchała gadania Odylena, który wymową starał się zatrzeć swe niepowodzenie, a podnieść zasługi. Baczniej słuchać zaczęła, gdy mówić jął o układach z książętami - czeskim i bawarskim. I ona nie wierzyła w trwałość rozejmu z Czechami. Spieszyć się muszą, jeśli nie chcą przepuścić sposobności odebrania zagarniętych przez

Mieszka krajów. Najsposobniejszą porę i tak już przepuścili. Ważne jednak było, że Henryk przyrzekł wysłać poselstwo do Bolesława z zagrożeniem wojną, gdyby prawa młodszych braci chciał naruszyć. Oda wolałaby wprawdzie poręczenie Ottona, z tego jednak, co mówił sam Odylen, wynikało, że na nie liczyć nie może.

- Wszystko inak by poszło - ciągnął Odylen - gdyby nie Stoigniew. Załgać się wydolił przed niedoświadczonym młodzikiem, a przez Ekkeharda i innych panów pozyskać. Tego kręta by się pozbyć! Bolko, gdy ostanie sam, wszystko na siłę brać będzie, jako byk na rogi. Tedy i wrychle łeb rozbije.

Odylen zaraz pożałował tego, co powiedział. Oda odparła zjadliwie:

- Wdzięczna wam jestem za dobrą radę, choć własnego rozumu mi nie brak.

Szkoda jeno, że wam wcześniej na myśl nie przyszło pozbyć się wroga, gdy na wojnie najsposobniej było. Ninie mi chyba czekać, aż wróci brat wasz, bo zawżdy śmielszy był. Bieda, że Stoigniew, jako słychać, z niewiastami się nie zadaje, bo łacniej niewiastę śmiałą należć niż męża.

Patrzyła na Odylena przenikliwie a drwiąco, ale on oczy wbił w ziemię. Rozumiał przymówkę i przyganę, ale rozumiał też trudność i niebezpieczeństwo zadania. Zły był sam na siebie, że wyrwał się z niewczesną radą, a zarazem czuł, że jeśli nie ma pożegnać resztek nadziei na spełnienie swych rojeń, musi się podjąć wykonania swej rady. Hamował go strach, a popychała żądza władzy i namiętność, rozsądek zaś przestrzegał, że szkoda głowę stawić, jeśli narzędziem ma być jeno do usuwania przeciwników z drogi Ody. Zmieszany i niepewny, milczał. Oda przez chwilę zdała się czekać na jego postanowienie. Potem wstała i rzuciła pogardliwie:

- Taki już wdowi los, że łacniej o zalotnika niż o pomocną rękę. Nawet młodą dziewczyną najmniej ceniłam męstwo niewiastom okazowane. Do samotności w łożu dawno nawykłam. Dziękuję wam.

Zwróciła się do wyjścia. Odylen zrozumiał, że księżna daje mu wóz albo przewóz. Uchwycił ją za rękę i aż dreszcz go przeszedł. Nie cofnęła dłoni. Jej zielonkawe, lśniące jak kamienie oczy patrzyły na niego z oczekiwaniem.

Aż się zachłysnął namiętnością:

- Nie najdziecie nikogo, kto by dla was gotów był na wszystko, jak ja!

Jeno niechaj wiem, że nie szukacie...

Surowe oblicze Ody okrasił zagadkowy uśmiech, na policzkach zjawiły się wdzięczne dołki. Może tylko zdało się Odylenowi, że jej ciepłe, wielkie palce silniej ścisnęły jego dłoń. Głos jej zabrzmiał w jego uszach jak fletnia:

- Wżdy mówię, że nie szukam. Ale jeśli najdę...

Urwała, jakby zawstydzona. Chciał ją przyciągnąć do siebie, ale wymknęła się zalotnym ruchem:

- Jeszcze ciało mego małżonka nie rozsypało się w proch... - szepnęła, opuszczając oczy. Potem podniosła je. Wyraz ich znowu był twardy, jak słowa:

- ...i jeszcze żywie Stoigniew.

W tym, czego nie dopowiedziała Oda, była obietnica i warunek. Idąc do swej gospody na podgrodziu, Odylen rozmyślał, jak go dopełnić. Niełatwo nawet dowiedzieć się, gdzie Stoigniew przebywa, miejsca nigdy nie zagrzał. Lata nieraz mijały, nim się pokazał w swym Kozim Rogu, gdzie by dostać go było najłacniej, bo gródek leżał w dziedzinie młodszych Mieszkowiców, na uboczu i niemal pusty. Sposobność była istotnie na braniborskiej wyprawie. Tam łatwo byłoby nająć obce ręce i mniej niebezpieczeństwa, że sprawa się wyda. Na myśl o tym, że Bolesław mógłby się dowiedzieć, kto sprzątnął Stoigniewa, niewiele brakło, by odstąpił od wszystkich swych zamierzeń. Rozbudzona jednak obietnicą Ody namiętność opanowała myśl Odylena, długo w noc płosząc sen. Aż do bólu głowił się, jak dokonać przedsięwzięcia, samemu pozostając w cieniu. Słyszał pianie pierwszych i drugich kurów, nim - znużony - zapadł w nieświadomość tak głęboką, że czuł, jak pachołek szarpie go i trąca, a nie mógł się przebudzić. Usiadł wreszcie na łożu, z trudem otwierając oczy. Noc jeszcze była, błony w oknach nawet nie szarzały.

Gniewnie burknął:

- Co u licha? Pali się?

- Nie. Jeno brat waszej miłości przyjechał.

Odylen otrzeźwiał i zerwał się pod wpływem sprzecznych uczuć. Ongiś, gdy obydwaj byli w niełasce u Mieszka, społem knując i przeklinanąc nędzny los, choć wadzili się często, przywykli do siebie wzajem. Gdy nieopatrzna zadzierka Bolka ze starym księciem odwróciła ich dolę, drogi braci się rozeszły, potem zaś stracili się z oczu, gdy Przybywój po chybionym zamachu na Bolesława musiał z kraju uchodzić. Schronił się do Niemiec i zrazu próbował utrzymywać łączność z bratem, Odylen jednak, drżąc o własną skórę, zabronił przesyłać wieści, choć nieraz gorzko odczuwał osamotnienie, nie umiejąc zbliżyć się do nikogo.

Toteż na wiadomość o powrocie brata w pierwszej chwili poczuł radość i ulgę, nim uprzytomnił sobie, że powrót Przybywoja jego samego tańszym uczyni dla Ody. Z drugiej strony miał już obietnicę, a brat dopomóc może w dopełnieniu. Obrotniejszy był, śmielszy i bardziej przedsiębiorczy. Choć młodszy, on zazwyczaj rej wodził, gdy byli razem. Teraz jednak Odylen pomyślał, że można się nim posłużyć, trzeba jednak wiedzieć, z czym przyjechał i jakie są jego zamiary. Odylen zebrał się szybko i wyszedł do świetlicy.

Przybywój stał przed półokrągłym paleniskiem z polnego kamienia, którego okap rzucał cień na jego twarz. Zmarznięte widocznie dłonie grzał przed roznieconym już ogniem. Słysząc nadchodzącego, odwrócił się i przez chwilę stali, patrząc wzajem na siebie, niepewni, jak się witać. Odylen pierwszy wyciągnął ręce:

- Wróciłeś w samą porę. Słać miałem po ciebie.

Przybywój zaśmiał się:

- Jeno nie wiedziałeś dokąd, tedyś się spóźnił jak zawżdy. Ale ja nie zwykłem zasypiać spraw.

- I ja nie zasypiam - mruknął Odylen. - Pogadamy.

- Ninie pożywić się chcę i spocząć, bo nocą jechałem. Bezpieczniej.

Widząc, że dziewka postawiła na stole misę z polewką i kołacz, rozsiadł się na ławie, biorąc się do jedzenia, i rzucił:

- Nową dziewkę masz. Gdzieże to Niesułka?

- Wygnałem - odparł Odylen niechętnie.

- Szkoda. Lepszą polewkę warzyła niż ta.

- Wżdy nie na polewkę przyjechałeś. Możesz jeść i gadać.

- Raniej ty rzeknij, co tutaj. Kęs czasu w kraju nie byłem, a tyś się nie kwapił wieści mi przesyłać.

- Wiesz dlaczego - mruknął Odylen.

- Wiem. Zajęczą skórą podszytyś.

- Tyżeś uszedł, choć taki z ciebie gardzina.

- Czas będziem mieli spierać się, kiedy dopniemy swego - niecierpliwie rzekł Przybywój. - Ninie zgodnie naradzić się trzeba, jak tego dokonać.

- A czego? - zapytał nieufnie Odylen. Wahał się, czy otwarcie przedstawić bratu swe zamierzenia. Przybywój odparł bez namysłu:

- U Niemców król jest jeden, a książąt wielu i spomiędzy siebie go wybierają. U nas zasię Ziemomysłowice wszystko zagarnęli. Innym potomkom Piastowego rodu alibo służyć, alibo uchodzić. Czas z tym skończyć.

- Czas, mówisz? A ja ci rzekę, że nie czas. Może byłbyś praw, gdyby inni Piastowice szli za nami. Można by iście wykorzystać sposobność, gdy się walka zacznie o Mieszkowe dziedzictwo. Ale o kogóż się będziem zastawiać? O pijanicę Włodziwoja? On jeno o napitek stoi. O Sobiesława? Całym kniaziem jest na Mazowszu, zasiedziały od lat i wszystko tam ma w ręku, Bolkowi przychylny. A jeśli nawet Oda górę weźmie, też go nie ruszy. I gadać z nim szkoda. Może o Stoigniewa? Chcesz głowę stracić, powiedz mu to. O siebie nie stoi i raniej Bolko na podział by się zgodził ziźli on. A Bolka znasz, że póki żywie, ni piędzi ziemi z dobrej woli nikomu nie ustąpi. Gdyby on górę wziął, ja sam nie wiem, zalibym uniósł głowę, a o tobie szkoda i gadać. Tedy nie ma wyboru, jeno po stronie Ody coś zyskać możem.

- Wiem - odparł Przybywój ponuro. - Dwa lata wygnania zyskałem, żem się jej omamić zwolił. Nie zapytała, zali żreć mam co. Potaniały mi jej przymilania i pochlebstwa. Jeśli jej służyć mam, wiedzieć muszę, za co, i z góry otrzymać zapłatę. Jeno nie wiem, zali jej będziem potrzebni. Jedzie tu poselstwo od Pobożnego i Kłótnika, wojną grożąc Bolkowi, gdyby się na przyrodnich porwał.

- Bolko się groźby nie ulęknie, a jeszcze się uzuchwalił, gdy najgorsze ma już za sobą. Ninie Włodzimierz się nie ruszy, bo nie zaufa już Czechom. Nie grozić trzeba było, jeno uderzyć, gdy się Bolko z Włodzimierzem zmagał. Ale Stoigniew potrafił w Ottonie zyskać poplecznika, który rozejm na Pobożnym wymusił.

- Słyszałem ci, jakeś się Stoigniewowi zwolił wykołować - drwiąco zaśmiał się Przybywój. - Tedy mniemasz, że Bolko wygra? To nam jeno uchodzić.

- Ty byś nie zwolił! - ze złością sarknął Odylen. - Ja mniemam, że łacniej wojakowi łeb ściąć, gdy się przódzi rękę odrąbie.

- Nie wiem, do czego pijesz - niecierpliwie odparł Przybywój. - Gadaj prosto.

- Stoigniewa nam się zbyć. Onże tego młodzika Ottona omotał, jego w tym ani chybi głowa, że Bolko na się wziął walkę z pogany, która niecierpliwi Ottona, bo mu do Rzymu jechać spieszno.

- Pojechał - przerwał Przybywój.

- Tym lepiej. Nie brak mu jeszcze w Niemczech wrogów, a Odzie popleczników. A ostanie ona górą, my z nią. Potrzebniśmy.

- Juści, że potrzebni, póki się nie usadowi. A podać jej palec, za rękę uchwyci. Wonczas, gdy o

usunięcie Bolka chodziło, jako suka w oczy mi patrzyła. Żaliła się jeno, niby nie chcąc niczego, i na słowa wyciągała. A pode drzwiami stała jej zausznica...

Urwał nagle jak tknięty. Do drzwi podskoczył i rozwarł je kopnięciem. Pod nimi stała dziewka i ledwo zdołała odskoczyć.

- Czego tu! - wrzasnął.

- Jeno statki zabrać chciałam.

- Bierz i wynoś się. A spotkam cię jeszcze raz pod drzwiami, to ci połamię kości - powiedział groźnie. Gdy wyszła, zwrócił się do brata: - Jakiś głupi był, takiś i ostał. Ale nie ja.

- Nic takiego nie rzekłem, czego by Oda słyszeć nie mogła - odparł Odylen zmieszany. - Pewnikiem dziewka iście po statki jeno przyszła.

- Tyś nie rzekł, ale ja, a nie po myśli mi, by Oda wiedziała, co zamierzam. Dziewka może po statki przyszła, a może nie. Głupi ten, co wiernego psa odegna, bo stary, a byle włókę weźmie, bo sierść ma gładszą.

Odylen obojętnie wzruszył ramionami.

-Nie to mi w myśli - mruknął. - Wygnałem Niesułkę, bo żenić się zamyślam.

Ostatnia pora.

- Iście ostatnia. Tyś wyliniał, ja posiwiałem. Na nic o dziedzinę zabiegać, gdy jej ostawić nie będzie komu. Jeno byle jak się wyswatać mogliśmy pół kopy lat temu. A za samodzielnego kniazia każdy rad córę da. U margrafa Hodona dziewka jest niezamężna, on zasię nie zabył urazy ni z młodym Ottonem liczyć się nie będzie. Tedy ostatnia pora o swoje się upomnieć, nie czekając, co inni poczną.

- Poczynajże, co wola - odparł Odylen. - Jedno pewne, że cokolwiek poczniesz, Bolka masz przeciw sobie społem ze Stoigniewem. Tedy łacniej z Odą niźli bez Ody, a łacniej bez Stoigniewa niźli z nim. Jego się zbyć - powtórzył.

- W łeb bić, nie po rękach.

- Bijże! Wżdyś już próbował. I Bolko się strzeże, i jego strzegą.

Stoigniew zasię w pojedynkę zwykł jeździć lubo samowtór. Bieda jeno, że trudno się zwiedzieć kędy.

- Zwabić go gdzieś do podwiki. Ma jakową? Bezżenny przecie, a nie mnich.

- Nie słychać. Przejrzeć go trudno. Tyś chytrzejszy, pomyśl o tym.

- Pomyślę, gdy się prześpię. Całą noc zmitrężyłem, a świta już. - Wstał, przeciągnął się i dodał: - Ty zasię idź do księżny. Rzeknij, żem wrócił, a miarkuj, czy już wie. Jeśli tak, to onej dziewce...

Nie dokończył i ręką pokazał, że kark jej skręcić należy.

Wieść o powrocie Przybywoja przyjęła Oda z nie skrywanym zadowoleniem.

Odylen upewnił się, że jeszcze o tym nie wiedziała, pomarkotniał jednak.

Jeśli brat usunie Stoigniewa, jemu przypadnie spodziewana nagroda.

Postanowił tedy nie wracać do tej sprawy, podjął ją jednak sam Przybywój. Na wiadomość, że Oda pilnie czeka na niego, zerwał się zaraz i na odchodnym rzucił:

- Nie zawadzi na baczności się mieć, tedy pilnuj języka, bo i Bolko wieści zwykł zbierać, ufać nie można nikomu. Gdyby Stoigniew się zwiedział, co się gotuje przeciw niemu, ustrzec się potrafi.

Jeno że na tym nie koniec.

Zostawił zadumanego Odylena i poszedł na gród. Czekając w wielkiej świetlicy, umacniał się w postanowieniu, że się sztukom Ody zwieść nie pozwoli. Już raz zbyt drogo zapłacił, ani mu w myśli mglistymi obietnicami się zadowolić. Nie czekał zbyt długo, ale na widok Ody byłby omal zapomniał o postanowieniu. Weszła szybkim, lekkim krokiem, jakby spieszyła witać długo oczekiwanego a miłego gościa. W półmroku ponurego dnia można ją było wziąć za młodą dziewczynę. Ciemna szata bez ozdób podkreślała smukłość jej postaci i biel twarzy, w której wielkie oczy świeciły radością. Zdać się mogło, że objąć chce Przybywoja wyciągniętymi ramionami, ale jakby się pohamowała, opuściła oczy i, oburącz ujmując szorstką dłoń Przybywoja, powiedziała wstydliwie:

- Często o was myślałam i oto wróciliście. Lżej samotnej niewieście, gdy przywiązanego człeka ma koło siebie.

Słowa te jednak, zamiast pogrążyć do reszty Przybywoja, uprzytomniły mu, że raz już wzięła go na podobną przynętę. Dość szorstko cofnął swą dłoń, podszedł do drzwi, otwarłszy je, rozejrzał się po ciemnej sieni i powiedział zimno:

- Wybaczcie! Wasze dworki ciekawe są, a mówić będziem o sprawach nie dla ich uszu. Słowo jak ptak: nigdy nie wiada, dokąd zaleci i na której gałęzi usiądzie.

- Dworki mam zaufane i wierne - rzekła, udając, że nie rozumie wymówki. - Siadajcież.

Sama usiadła na wyścielanym stołku z wysokim oparciem, wskazując Przybywojowi miejsce na ławie naprzeciw siebie. Usiadł i mruknął:

- Wierne wam, lecz nie mnie.

- Zali nie jedna nasza sprawa, nie wspólny nam wróg?

- Wspólny. Ale mój tylko żywot stawką był, by wroga usunąć, a jenom wygnanie otrzymał w odpłacie.

- Wżdy was prosiłam, byście tego nie czynili. A samą siebie z trudem obroniłam przed gniewem małżonka mego. Nie czynię wam wyrzutów.

Przybywój zaśmiał się drwiąco:

- Mniemałem, że o nagrodzie mówić będziem. Sikorę można dwakroć złowić na jedną przynętę, ale nie wilka. Gadajmy otwarcie.

Oczy Ody błysnęły gniewnie; pokryła je długimi rzęsami i odparła miękkim głosem:

- Żył wonczas małżonek mój, nie w porę mi była wasza przysługa. Cóż mówić o nagrodzie za nią. Wżdy nie o zwykłą zapłatę wam idzie. Niejednej jeszcze czekam od was przysługi, a są takowe nagrody, których dzielić się nie da.

Utkwiła w Przybywoju zagadkowe spojrzenie, pod którym zmieszał się i opuścił oczy. Czuł, że mięknie, opanował się jednak i odparł zimno:

- Juści, nie jestem najmitą, jeno książęcego rodu. A jeśli dla nagrody służyć mam, to wiedzieć chcę - jakiej.

Uśmiechnęła się z przymusem:
- Są nagrody, o których nijak mówić niewieście.

Spojrzenie jej wymowniejsze było niż słowa. Przybywój zerwał się i uchwycił ją w ramiona. Odepchnęła go jednak z niespodziewaną siłą. Dysząc, stali naprzeciw siebie. Oda opuściła oczy i szepnęła:
- Miejcież cierpliwość. Może kiedyś... I wyście już nie młodzik, i jam dawno zbyła kos dziewczęcych... - Zacisnęła wargi. Zbyła ich jako mniszka. Na myśl przyszła jej zniewaga doznana od Stoigniewa. Rwącym się z gniewu głosem ciągnęła: - Jeśli wam iście choć krzynę na mnie zależy, jak mężowi na niewieście, pomścić musicie obelgę...
- Na kim?
- Znieważył mnie Stoigniew. Nie żądajcie, bym powtórzyła jak, bo mi krew tryśnie z lic!

Gniew wybił na twarz jej jaskrawy rumieniec, oczy błyszczały jak klejnoty. Piękna była w swym uniesieniu i groźna. W Przybywoju wstawała namiętność, ale opanował się siłą. Nie da się znowu wziąć na słowa. Pod jej rozgorzałym spojrzeniem opuścił oczy i rzekł z uporem:
- Wżdy nie zaduszę go gołymi rękoma, a nic mi nie ostało po dwu leciech tułaczki. Mówimy o tym, czego wy czekacie ode mnie. Zwólcie, że i ja powiem swoje. Uczyńcie mnie palatynem i opiekę zawierzcie nad nieletnimi.
- Mieszko ma już piastuna - odparła niechętnie - nijak mi go zwolnić bez powodu. Lambert do duchownego stanu przeznaczony, wkrótce go do szkoły wyślę przy jakowej katedrze. Mnie zasię potrzebniejsi ludzie, którzy w kraju mają znaczenie, niźli dworacy.
- Nijakiego znaczenia nie ma, kto na pustej skrzyni siedzi i jednego pachołka ma do posługi. Gród mi się patrzy, ziemie rozległe i urząd rodowi odpowiedni.
- Wszelkie godności i majętności po Stoigniewie wam przypadną - odparła.

Przybywój zaśmiał się.
- Jeszcze z onego lisa skórę łupić nie pora, póki po lesie chodzi. Jest pomorskim wojewodą, ale nie wasza to dziedzina, żywie Stoigniew - zali nie. Bym ja nim ostał, z Bolkiem skończyć by trzeba. Dobre są obietnice, jeno nic za nie nie kupi. Rad bym wiedział, co ze swego dajecie, a nie - jak łupy dzielić będziem.

Oda zacisnęła wąskie wargi. Odparła oschle:
- Skarbnik mój wyda wam, co potrzeba, byście na brak mej hojności nie narzekali. Zasię gródek i ziemie Stoigniewa w naszej leżą dzielnicy, możecie je zająć choćby jutro.
- Wżdy i tego własnymi nie zajmę rękoma, bo mi Koziego Rogu Stoigniewowi ludzie z dobrej woli czy z waszego nakazu nie wydadzą - odrzucił niechętnie.

Wzruszyła lekceważąco ramionami:
- Niewielkiej siły potrzeba, by wygnać obłąkaną niewiastę i stuletniego dziada z kilkoma pachołkami. A nie stać was i na to, ludzi dam, ile będzie trzeba.

Widząc, że Przybywój jeszcze się waha, zakończyła drwiąco:

- Lepsze o was miałam mniemanie, nie sądziłam, byście się takowej walki ulękli.

- Nie lękam się - odparł ponuro, czując, że Oda po to go przyciska, by nie miał odwrotu.

- Cieszę się tedy, że was zadowolić zdołałam. A skorośmy się ułożyli, mówmy o sprawach, które już wspólne nam są. Pobożny i Kłótnik przyrzekli mi, że wojną zagrożą Bolesławowi, gdyby się ośmielił woli rodzica nie uszanować i na prawa mych synów porwać.

- Poselstwo ich w drodze wyprzedziłem - odparł Przybywój. - Tu ciągną, widno, by się raniej z wami porozumieć.

- Tedy nie zatrzymuję was - powiedziała łaskawie, podając mu dłoń. - Gdy nadejdą, nie omieszkam wezwać was na naradę.

Od dotknięcia jej ręki znowu przeszła go fala gorąca. Ale gdy wyszedł i ogarnęło go przenikliwe powietrze dżdżystego dnia, zaklął:

- Jadowita wiedźma!

W wietrzny i słotny dzień jesienny czeskie poselstwo wlokło się noga za nogą po grząskiej drodze. Poseł, Krasnota Suchorad, zaufany wojewoda Pobożnego, wysforował się naprzód z pocztem konnego rycerstwa czeskiego i bawarskiego, zostawiając wolniej ciągnących pieszych z wozami. Byli już na ziemi podległej władzy Ody, nie spodziewał się napaści ze strony Bolesławowych ludzi, którzy nie uwierzyliby, że znaczny hufiec zbrojnego ludu jeno dla bezpieczeństwa i okazałości ciągnie z poselstwem. Krasnota chciał już spocząć pod dachem. Droga była uciążliwa i daleka, stronił od uczęszczanych szlaków i pewny był, że udało mu się zmylić czujność przeciwnika.

Nie mógł jednak Bolesław rad widzieć i samego poselstwa, Krasnota zaś nie spodziewał się ukryć tego, że wcześniej niż z Bolesławem mówić będzie z Odą. W istocie rozpatrzenie się w siłach i położeniu było jego zadaniem. Jeśli uda się zwieść Bolesława, można mu zaofiarować przymierze w zamian za zwrot zabranych przez Mieszka ziem. Jeśli nie - stworzyć pozór zerwania zaprzysiężonego rozejmu.

Krasnota był mężem bystrym i rozważnym, a wodzem doświadczonym. Pamiętał Bolesława z czasu walk o Morawy, wiedział, że nie bez przyczyny Ruś nadała mu przydomek Chrobrego, że nie tylko nie pozwoli dobrowolnie uszczuplić pozostawionego sobie działu, ale się nim nie zadowoli. Nie łudził się, by walka z nim była lekka. Ale wiedział też, że wykorzystać trzeba czas, póki młody Otto bawi w Italii, rządy w Niemczech sprawuje jego babka a stryjna małżonek władców czeskiego i bawarskiego, której, jak zmarłemu jej małżonkowi, wzrost Mieszkowego państwa był solą w oku. W Czechach zaś zapowiadał się rychły kres wewnętrznych trudności, gdy uzdrowiony przez benedyktyńskiego mnicha, Tidaga, Pobożny odebrał rządy Rudemu, które doprowadziły do zamętu w kraju, a do ostateczności lubickich książąt, w samym sercu Czech zewnętrznym wrogom gotując sprzymierzeńca. Przyjdzie pora z nimi się rozprawić, ale ninie nie czas. Młody biskup praski, Wojciech Sławnikowic, przyjaźni się z Ottonem, cieszy się mirem na Węgrzech i w Polsce. Wraz z poselstwem Willigiza, wzywającym go do powrotu, wyjechał brat książęcy, mnich od świętego Emmerama, Chrystian, by biskupowi złożyć przyrzeczenie narodu czeskiego, że będzie powolny prawom Kościoła.

Nie łudził się jednak Krasnota, by rządy Czech długo jeszcze spoczywały w ręku mądrego i doświadczonego starego księcia. Gdy ujmie je po nim Rudy, nikogo nie mając nad sobą, nie pora będzie rozprawiać się z Polską. Już pokazał, jak rządzić potrafi. Z trwogą myślała o tym własna jego matka, z niechęcią bracia, z którymi w jawnej żył nienawiści. I sam Krasnota nierad był tej myśli. W kąt pójdą wierni i wypróbowani doradcy Pobożnego, ich miejsce zajmą Wrszowcy, towarzysze pijaństwa i rozwiązłości Rudego.

Widok wyłaniającego się z przedwieczornej mgły gnieźnieńskiego grodu przerwał rozważania Krasnoty. Tu pewnikiem czeka go miłe przyjęcie, nie tak łatwa będzie sprawa w Krakowie. Splunął na wspomnienie wróżby, której zasięgnął przed wyjazdem. Wiedźma powiedziała mu, że stanie nad własną mogiłą. Głupia! Posłów nie mordują nawet poganie. Zresztą na każdego gdzieś grób czeka. Póki człek w nim nie legnie, jeszcze nie jest źle.

Oda istotnie z radością powitała poselstwo, a jeszcze milej posiłki. Układy poszły gładko, bez targów uznała prawa Czech do zagarniętych przez Mieszka ziem, w zamian za pomoc przeciw Bolesławowi. Otrzymała ją zaraz; kosztem przeciwnika zyskiwała sprzymierzeńca, spokojniej mogła oczekiwać walki, która nadejść musi.

Krasnota natomiast bystrze rozpatrywał, na jakie siły liczyć można po stronie Ody. W drodze stwierdził niechęć prostego ludu do obcych. Lud nawykł wprawdzie wolę księcia uważać za prawo, ale czy stanie w jego obronie - zdało się wątpliwe. Między dostojnikami, których Oda sprosiła na ucztę, Krasnota nie zauważył nikogo znaczniejszego. Gdy wdał się w rozmowy, stwierdził, że wiąże ich z Odą strach przed Bolesławem. Krajowa starszyzna drużyny, mająca oparcie w rodach, była niezależna, obcą trzymała nadzieja zysków.

Oda nie taiła zresztą, że - jak w zdobytym kraju - siłą zamierza zgnębić nieprzychylnych, a nawet niepewnych wielmożów i w karbach utrzymać lud, licząc na zewnętrzną pomoc i opiekę Stolicy Apostolskiej, której Mieszko wraz z nią i jej synami państwo swe zlecił. Krasnota widział, że w istocie ciężar walki spocznie na Czechach. Lepiej jednak z pomocą Ody niż bez niej, a najlepiej przy pomocy Włodzimierza, który zapewne zechce pomścić porażkę. Raz już korzyść odniósł z walki między Polską a Czechami, jeno - nauczony tegorocznym doświadczeniem - pierwszy wystąpić nie zechce. Krasnota westchnął: czeskimi rękoma pieczeń trzeba wyciągnąć z ognia, by dzielić ją z innymi.

Wypocząwszy, Krasnota z małym pocztem wyruszył do Krakowa. Teraz nie potrzebował się ukrywać, słotna pora zresztą nie pozwalała unikać noclegów po osadach i gródkach. Mimo niej jednak wszędzie wrzała praca, po rozkisłych drogach woły mozolnie ciągnęły wozy z kamieniem, dębowymi konarami i tramami, którymi podwyższano wały grodów i bito częstokoły. Ubabrani mułem chłopi pogłębiali błotniste fosy, wszędzie widać było przygotowania do odparcia napaści. Gdy Krasnota dotarł do Krakowa, uderzyła go natomiast cisza i spokój, jakby tu właśnie nic nie groziło. Wrażenie potęgował jeszcze pierwszy tej zimy śnieg, który wielkimi płatami opadał sennie i bezgłośnie, w oczach pobielając kraj. Wezbrane wody Wisły i jej rozlewisk niemal okalały skałę, na której zimowym snem zdał się drzemać gród. Krasnota, który rozglądał się pilnie, z myślą, że może dobywać go przyjdzie, nigdzie nie zauważył najmniejszego ruchu.

Na grodzie jednak czuwano widocznie, bo gdy konie czeskiego poselstwa, wybrnąwszy z błotnistego szlaku nad stawami, kopytami zadzwoniły o skałę, przy bramie rozległ się głos rogu i na wałach ukazała się straż. Można by pomyśleć, że czekano na gości, bo nim poselstwo wspięło się na stromy stok, brona w bramie dźwignęła się i z hukiem opadł zwodzony most, przez który poselstwo

wjechało na zewnętrzny dziedziniec. Od stajen już biegły koniary, by odebrać rumaki, a z budynku przy bramie wiodącej na podworzec zamkowy wyszedł jakiś dostojnik w futrzanej szubie i przystąpiwszy do Krasnoty powiedział:

- Pana nie masz na grodzie, zwólcie tymczasem posilić się i spocząć.

Nie zapytał, kto i od kogo, nie oznajmił się, kim jest, i ruszył przodem, przez ciemną sień prowadząc gości do mrocznej izby, w której właśnie rozpalano ogień, a na stole, zasłanym białym ręcznikiem, zastawiano potrawy. Wszystko wskazywało, że oczekiwano poselstwa.

Krasnota nie był tym zaskoczony, a rad gościnie po trudach podróży. Znużeni, wcześnie spać poszli, ale gdy minął dzień, drugi, w czasie których prócz służebnych nie widzieli nikogo, Krasnota niecierpliwić się zaczął. Zamierzał zasięgnąć języka, a zdać się mogło, że prócz służby i straży nie ma na grodzie nikogo. Trzeba choć rozejrzeć się po nim. Wyszedł na zaśnieżony dziedziniec i skierował się ku południowemu wałowi. Widocznie jednak miano go na oku, gdyż zaraz za nim nadszedł ten sam dostojnik, który witał poselstwo. Krasnota wiedział już, że to krewniak książęcy, Stoigniew, przed którym przestrzegała go Oda. Udał jednak, że nie wie, i zagadnięty, czy nie potrzebuje czego, odparł:

- Zwólcie pierw, że się oznajmię: jam jest Krasnota Suchorad, poseł od miłościwego króla czeskiego do jego siostrzana, książęcia Bolesława. Nie schodzi nam tu na niczym, krom czasu. Rad bym wiedział, kiedy z panem waszym zmówić się będziem mogli?

- Mniemam, iż rychło. Nie sądziłem, że wam spieszno, skoroście przez Gniezno do Krakowa jechali. - Widząc zaś, że Krasnota spogląda w dół ku Wiśle, dodał: - Jak widzicie, dostęp na gród trudny. Jeden dobry łucznik setnię ludzi powstrzyma.

- Wojak o wojnie myśli - odparł Krasnota nie zmieszany. - Ale jam tu w poselstwie, które, jak mniemam, pokój utrwalić winno między krewniakami.

- Wżdy rozejm między nami zaprzysiężony i kniaź Bolesław zerwać go nie zamierza, mimo żeście Odzie posiłki przywiedli i pomoc przeciw niemu przyrzekli.

Krasnota w duchu zaklął, ale obrotny był i obyty i nawet nie przestał się uśmiechać, gdy odparł:

- Szkoda ukrywać, co jawne. Skoro oko macie bystre i słuchy dłuższe niż zając, wiecie też pewnikiem, że i nam pokój potrzebny. Pan mój radziej siostrzana swego widziałby na Mieszkowym stolcu niż onych pół-Niemców. Ale rozum wam powie, że każdy rad widzieć druha silnym, a wroga słabym.

- My też. Dlatego nie po sercu nam wasza pomoc dla Ody i pół-Niemce na książęcym stolcu, ni u nas, ni u was.

Teraz uśmiech zniknął z twarzy Krasnoty. Odparł chmurnie:

- Jeszczeć u nas stary pan na stolcu siedzi. Pomnicie, że i Kruty (Bolesław Srogi, ojciec Pobożnego) szukał z wami sojuszu i córę oddał Mieszkowi, i pomocy udzielił przeciw Weletom, choć zazwyczaj w przyjaźni bywaliśmy z nimi. I pan mój rad by uładzić się z krewniakiem.

- Tak ono i jest, że książęta nie mają krewniaków ni przyjaciół, jeno państwa - odparł Stoigniew. - Srogi z Wacławem jednych ojców byli syny, jako Rudy z Jaromirem i Oldrzychem, a wiadomo, co zaszło, i nietrudno odgadnąć, co będzie.

Krasnota zacisnął zęby. Po tym, co usłyszał, mógłby już wyjechać. Ale w tej chwili gwar doleciał od bramy, a Stoigniew rzekł:

- Wybaczcie, kniaź wraca, pójdę was oznajmić.

Oddalił się ku bramie, a Krasnota ponury szedł na gospodę. Nie spodziewał się już niczego więcej osiągnąć, prócz zerwania rozejmu. Stoigniew mówi zapewne to, co myśli Bolesław.

Iii (cd.)

Krasnota, mimo że wojownik zawołany, z dziwną niechęcią myślał o walce z nim. Taki, jak Bolesław, wnuk Srogiego zdałby się na czeskim tronie. Ale prawdę rzekł Stoigniew: władcy nie mają krewniaków. Dlatego że polski kniaź groźny jest, należy go zniszczyć, póki w siłę nie urośnie, a Czechy nie znajdą się w zamęcie walki między spadkobiercami Pobożnego. Opędzając się przygnębieniu, Krasnota rozważał, jak mu sprawę poprowadzić przyjdzie, gdy stanie przed Bolesławem. Podstęp już na nic, groźby użyć trzeba. Bolesław uświadomić sobie musi, że jedna większa klęska pozbawić go może nie jeno zdobytych na Czechach przez Mieszka krajów, ale własnego działu, a nawet życia. Wiedział jednak o gwałtowności i zaciętości Bolesława, a tacy przed groźbą ustępować nie zwykli. Odłożył powzięcie postanowienia do czasu, gdy stanie przed nim. Ufał swej chytrości i znajomości ludzi. Z zadowoleniem też przyjął zaproszenie na wieczerzę. Przy kubkach najłacniej poznać człowieka i łacniej ważne sprawy załadzić niż na uroczystym posłuchaniu. Sam Krasnota głowę miał mocną, nie zapomni, po co przyjechał. Gdy zapadł wczesny wieczór, przybrał się okazale i wraz z towarzyszami udał się do zamku.

Ucztę przygotowano w wielkiej świetlicy drewnianego budynku, przylegającego do stołbu, górującego nad całym wzgórzem. Służyła licznym zebraniom, których pomieścić nie mogły szczupłe komnaty zamkowe. Jakoż gdy Krasnota nadszedł, izba pełna już była ludzi, przeważnie starszyzny wojskowej, wśród której nie brakło młodzików. Ci, mniej powściągliwi, wraz gwarzyć zaczęli z Czechami, mimo różnic mowy powodujących nieporozumienia, od których zaczęły się prześmiechy.

Sam Krasnota dobrze znał język polski, ale się z tym nie zdradzał. W poselstwie dogodniej nieraz udać, że się czegoś nie rozumie, by czy to pominąć odpowiedź na kłopotliwe zapytanie, czy choćby zyskać czas do namysłu. Z twarzą poważną i obojętną słuchał, co dostojnicy polscy mówią między sobą. Zresztą wkrótce w drzwiach wiodących ze stołbu do świetlicy ukazał się Stoigniew z komornikiem, który oznajmił nadejście księstwa.

Pierwsza weszła Emnilda z dworkami i kapelanem i zajęła miejsce na podwyższeniu. Krasnota wiedział o wpływie, jaki księżna wywiera na swego małżonka, i spojrzał na nią z zaciekawieniem. Choć matka czworga dzieci, zachowała wdzięk i urok młodej dziewczyny. Wymykające się spod haftowanego złotem i perłami namitka niesforne jasne kędziory jakby blaskiem okalały jej dziecięcą niemal twarz. Nie samą jednak zapewne urodą przywiązać umiała skłonnego do rozwiązłości Bolesława. Spojrzenie jasnobłękitnych jej oczu dojrzałe było i mądre. Krasnota zrozumiał, że nie pozyska jej błyskotkami, jakie dla niej przywiózł wraz z pozdrowieniami od księżnej Emmy. Prócz ozdobnego namitka i pierścienia na palcu Emnilda nie miała na sobie żadnych klejnotów, nie uwydatniała swych wdzięków obcisłą szatą, wzorem zachodnim. Mimo prostego ubioru i skromnego obejścia nikt jednak nie pomyliłby jej dostojeństwa ze strojniejszymi od niej dworkami. Krasnocie

żal się uczyniło na myśl, że i jej niewesoły gotuje się los, ale powściągnął się. Gdy się przeciw wrogowi podnosi broń, nie pora litować się nad wdową czy sierotami po nim. Pomyślał natomiast, jak by przez nią udało się wpłynąć na Bolesława. Przystąpił z układnym powitaniem, przekazując swojackie pozdrowienia, i zręcznie wyraził żal, że należne Emnildzie po ojcu, Dobromirze, dziedzictwo bezprawnie zajął margraf Ekkehard. Emnilda odparła jednak:

- Słyszę, że Ekkehard mądrze rządzi i sprawiedliwie, a nam przyjazny.

Małżonka to mego rzecz, zali się o wiano moje upomni. Nie dla niego mnie pojął - dodała rumieniąc się - bo sięgnąć mógł i po cesarską córę, zasię przyjaźń cenniejsza bywa od dziedziny.

Krasnota z uśmiechem znacząco spojrzał na Stoigniewa i rzekł:

- Krewniak wasz innego jest mniemania, ale daj Bóg, by małżonek wasze podzielał. Gdyby miłościwy książę zwrócić zechciał, co nam rodzic jego zabrał, nic nie stałoby na przeszkodzie przyjaźni między krewniakami.

Nie otrzymał odpowiedzi, bo wszedł Bolesław i ruch się uczynił. Krasnota obrzucił księcia badawczym spojrzeniem i uderzyło go nieuchwytne, ale wyraźne podobieństwo do macierzystego dziada, choć z rysów ojca swego przypominał, jeno tęższy i roślejszy był od obydwu. Może czołem wypukłym nad wydatnymi brwiami, ale bardziej chyba wyrazem oczu, groźnym nawet, gdy się uśmiechał, przypominał Srogiego.

Gdy Krasnota przystąpił z pokłonem, Bolesław głową skinął i, wskazując miejsce naprzeciw siebie, powiedział po czesku:

- Siadajcież! Rad słyszę, że dostojny wuj do zdrowia przyszedł, a druh nasz, Wojciech Sławnikowic, wrócić ma do Pragi. I wyście radzi pewnikiem, tedy wypijmy za zdrowie waszego pana.

Bolesław podniósł kubek. Mówił z prostoduszną rubasznością. Krasnota nie podejrzewał nieszczerości ni drwiny. Wychylił puchar z podziękowaniem, a gdy go ponownie napełniono, podniósł go znowu, mówiąc:

- Zaskoczyliście mnie, bo raniej wasze i dostojnej małżonki waszej zdrowie wypić przystało. Ale za swojacką przychylność dla pana mego wdzięczen być muszę, tym bardziej że żywić mi to pozwala nadzieję, iż książęta jednej krwie łacno się dogadają.

- Nie psujcież biesiady sprawami, o których gadać będziem jutro - stanowczo przerwał Bolesław i dodał życzliwie: - Dziś jeno gościa chcę w was widzieć, z którym radem pogwarzyć o ludziach i miejscach, do których tężyła macierz moja. Po cóż się mamy wzajem objeżdżać?

Krasnota skinął głową z uśmiechem. Zrozumiał, że przy miodzie nie załadzi żadnej sprawy, ale nie gardził nim. Obyty i gładki, miłym był towarzyszem biesiady, a gdy wkrótce odeszła Emnilda ze swym orszakiem i kielichy zakrążyły gęściej, nie pozwolił się w nich nikomu wyprzedzić.

Bolesław zdał się istotnie zapominać o wszystkim, co nad nim zawisło. Śmiał się szeroko a beztrosko ze sprośnych przyśpiewek i przekomarzań między biesiadnikami. Nie zapomniał jednak o swym zadaniu Krasnota i starał się zbliżyć do Stoigniewa, wiedząc, jakie znaczenie słowo jego ma u księcia. Ale Stoigniew i pił niewiele, i w słowach był oszczędny, a gdy zabawa zbyt głośna być zaczęła, wstał i sprawiwszy się księciu, że rankiem wyjazd go czeka, wyszedł.

Krasnota rad był, że posłuchanie nazajutrz odbędzie się bez Stoigniewa, i zrozumiał, dlaczego

tego wroga Oda pragnęła się pozbyć przed innymi. Porywczy i na pozór prostoduszny Bolesław zdał się mniej niebezpiecznym przeciwnikiem, mimo że już jako chłopię wsławił się męstwem i zawziętością. Gdy Krasnota podpił nieco, nawet żal mu się uczyniło, że przyłożyć się ma do zgniecenia człowieka, który z młodego pokolenia słowiańskich władców zapowiadał się najlepiej. Żałował też, że nie przyjechał tu przed związaniem się z Odą. Na łatwowiernego Bolesław nie wyglądał, nieszczerość legła między krewniakami. Nie uszedł też uwagi Krasnoty urok, jaki Bolesław wywierał, któremu i sam oprzeć się nie potrafił. Dostojnicy i woje Bolesława nie trzymają z nim ze strachu lub dla zysku, walka lekka nie będzie. Milej byłoby jeno pić z nimi. Pił tedy dalej. Nie w jego mocy odmienić bieg spraw. Rozdwojenie i zamęt w Niemczech, podział Mieszkowego państwa nadarzyły jedyną sposobność odzyskania strat i usunięcia współzawodnika w przewodzeniu Słowiańszczyźnie. Żadna władza nie znosi towarzysza, a dla swojackich czy osobistych względów nie można zaprzepaścić wysiłków dwóch pokoleń.

Nazajutrz Krasnota przekonał się jednak, że zdołał przejrzeć jedną tylko stronę natury Bolesława. Przesłane sobie dary przyjął książę z podziękowaniem, a wręczając wzajem gościńce, napomknął mimochodem:

- To z łupów na waszym kijowskim sprzymierzeńcu.

Krasnota zrozumiał przymówkę, ale zręcznie ją podchwycił:

- Tedy jawny dowód korzyści pokoju między nami.

- Rad bym go utrzymał - odparł Bolesław - jeno nie za tę cenę, którą, słyszę, Oda wam przyrzekła. Jej łacno płacić z mojego za pomoc przeciw mnie.

- Nie cena to, jeno słuszny zwrot tego, do czego mamy prawo uznane, poręczone przez cesarza Ottona Wtórego, a co nam siłą przez waszego rodzica wydarte zostało i kością niezgody legło między nami. Usuńmyż ją, a nic nie będzie stało na drodze przyjaźni między swojakami. Ale nie miejcie za złe, że jeśli siłą odbierać przyjdzie, nie będziem sobie odmierzać. Nie zapominajcie, że i tutaj czeski pan władał.

Krasnota wytrzymał groźne spojrzenie Bolesława. Sądził nawet, że Bolesław gniewem wybuchnie, ale książę po chwili odparł spokojnie:

- Cesarz uznał wasze prawo za cenę zerwania z Kłótnikiem. Po dziś dzień nie widzę, byście to uczynili. A Śląsk i Morawy siłą zajął Srogi, siłą i mój rodzic. I ja od pacholęcia mieczowi jeno wierzyć nawykłem, wrogowi jeno, gdy grozi. Rozumiem tedy, że i zaprzysiężonego rozejmu nie strzymacie?

- Skoro go Rudy bez zgody rodzica zaprzysiągł, też nie z dobrej woli, jeno chytrością i groźbą przymuszony, niechaj go on dotrzyma.

- Jeno ode mnie nic chytrością ni groźbą nie wymusicie - odparł Bolesław pogardliwie. - Ze strachu niczego czynić nie zwykłem.

- Nie z tego was sławią - dwornie odparł Krasnota. - Ale rozsądek to, nie trwożliwość, gdy się sił nie ma.

- Nie łokciem siły mierzyć, tedy tarżyć darmo. I wilk, choć jeno zęby ma ku obronie, przecie nimi kłapie, lubo w matni. Raniej go ubić trzeba, nim się łupież ściągnie.

- Rozumiem tedy, że wojna między nami? - sucho zapytał Krasnota.

- Ja wróżby nie zapowiadam - odparł Bolesław - alem nie czędo, by uwierzyć, że uległością

pokój kupić można. Jedźcie do dom, pokłońcie się swemu panu i powtórzcie, com rzekł. Może się rozmyśli i gadać ze mną zechce jak równy z równym. Wonczas wracajcie, miłym będziecie gościem. Ale gdybyście tu z mieczem wrócili, nie miejcie i wy za złe, jeśli łeb tu ostawicie. - Zimna groźba zabrzmiała w głosie Bolesława.

- Wrócę, jak pan mój każe, wojakowi nie wybierać, choć i mnie miód od krwie smakowitszy - spokojnie odparł Krasnota. Ale spokój jego był pozorny. Przypomniała mu się wróżba, a nawet splunąć nie przystało od uroku. Wiedział zaś, że wróci z mieczem i nie czekać względów od człeka, któremu się wiąże ręce, a nóż do gardła przykłada.

Iv

Bolesław zdawał sobie sprawę, dlaczego przypowieść o wilku w matni przyszła mu na myśl. Ale wiedział też, że jeśli ÍPobożny całą siłą zechce uderzyć, wiosny doczekać musi, bez niego zaś Oda walki nie rozpocznie. Gdyby jednocześnie nastąpił najazd Włodzimierza, iście zębów więcej będzie mógł wrogom pokazać niż mieczy. Kutan natomiast ze swymi konnymi hordami wyruszyć może, jeno się trawy zazielenią, a nad Dnieprem wcześnie zielenić się zwykły. Pieczyngów do walki z kijowską Rusią zachęcać nie trzeba, niemal roku nie było bez wyprawy, która ubogi lud stepowy zaopatrywała w towary i wyroby bogatych grodów ruskich. Skłonić ich jeno należy, by ruszyli dość wcześnie i dostateczną siłą, aby obezwładnić Włodzimierza.

Śnieg zaczynał dopiero schodzić, nocami przymrozki jeszcze ścinały ziemię, gdy z Krakowa wyruszył niewielki, ale dobrze zbrojny hufiec konny i z bogatymi darami pognał do Kutana.

Nie zapomniał jednak Bolesław, że póki się z Odą nie upora, nie przestaną go sąsiedzi za łatwy łup uważać. Iście jak wśród wilków: wszelki objaw słabości - to zguba.

Na wojnie Bolesław zwykł pierwszy uderzać, nie czekając, co pocznie wróg. Ale rządy to nie tylko wojna, cierpliwość i przemyślność ważniejsze nieraz od męstwa. Zgubą może być jeden niebaczny krok. Bolesław dobrze już wiedział, dlaczego nieraz do brzasku widać było światło w ojcowej komnacie. Każdy krok przygotować trzeba, wszystko rozważyć, by nie stąpnąć fałszywie. Zima, choć sroga, zeszła księciu na rozjazdach, doglądaniu własnym okiem sypania wałów i walenia przesiek, dobywania i wytapiania rudy żelaznej w Sławkowie, Tarczku i Iłży; jeżeli bawił w Krakowie, całe dni spędzał doglądając zaprawy wojów i koni lub w osadach szczytników, kowali i płatnerzy, gdzie bezkształtne gomuły surowego żelaza zmieniały się w groty i miecze. Gdy zaś zimowa noc ciszę zaciągnęła nad krajem, niosąc strudzonym wypoczynek, w Bolesławowej komnacie światło gasił dopiero późny brzask. Posłańców przyjąć i wyprawić trzeba było, by wiedzieć wszystko i nie dać się zaskoczyć. Nierzadko nocną ciszę na grodzie zakłócał skrzyp przymarzniętych wierzei, przychodziły wieści, odchodziły rozkazy.

Zima już ustępowała, dnia przybywało w oczach, południową porą z nasłonecznionych dachów i zboczy wzgórza spływały strużki wody, gdy ważniejsza od innych wieść poruszyła gród. Otto wprowadził papieża Jana do Rzymu i w powrotnej drodze do kraju przekroczył już Alpy. W Merseburgu na wielkanocnym zjeździe, jak zwykle, zbiegną się na dworze nici wszelkich spraw. Dla

Niemiec wciąż jeszcze paląca była sprawa pogan połabskich, Sasi już gotowali wyprawę.

Tym razem Bolesław nie chciał i nie mógł wysłać posiłków ani osobiście wziąć w walce udziału, tym bardziej jednak zjazd obesłać należało. Na czele poselstwa ruszył tedy Stoigniew. Pospieszał, póki drogi nie rozmiękną, by spotkać się z Ottonem, zanim tłum wasali uniemożliwi swobodny dostęp do młodego władcy.

Oda spędziła zimę nie mniej pracowicie i nie mniej trzeźwo niż Bolesław oceniała położenie. Jeszcze za życia Mieszka zaopatrywała się w zasoby, teraz służyły jej, by obcymi poszukiwaczami przygód i zysków wymienić skład drużyny, która na broniborskiej wyprawie nie okazała się podatnym jej narzędziem. Pomiarkowawszy, że prosty lud nawet dobrodziejstwa jej przyjmuje z niechęcią, tępić jęła wszelkie objawy oporu i pogaństwa, przemocą kazała ściągać nowo nakładane ciężary na rzecz sprowadzanego, skąd się jeno dało, niemieckiego duchowieństwa, którym obsadzała wznoszone w miejsce wycinanych świętych gajów i drzew kościoły, nadając dziesięciny i przywileje, które ciężkim brzemieniem spadały na wolnych dotychczas dziedziców. Rozumiejąc jednak, że jakieś oparcie w kraju mieć musi, zwołała na Wielkanoc zjazd wielmożów do Gniezna, by obietnicą samodzielności, na wzór niemieckich książąt, pozyskać ich sobie i stworzyć z nich narzędzie, którym w karbach utrzyma prosty lud. Odebrawszy od nich przysięgę wierności, obsadziła pozyskanymi co celniejsze grody, zaufanych rycerzy niemieckich dodając im jako burgrabiów.

Zjazd jednak, choć obesłany dość licznie, ujawnił jeszcze jednego wroga. Z mazowieckich wielmożów przybyło jeno kilku i od nich dowiedziała się Oda, że Sobiesław nie tylko sam nie stanie, ale i podwładnym sobie żupanom jechać zakazał, a znany był z tego, że z opornymi nie zwykł się pieścić. Od chwili połączenia Mazowsza z resztą ziem polskich, do czego też dołożył ręki i głowy, rządził tam z ramienia starego księcia samowładnie a sprawiedliwie, sam - co więcej - dźwigając ciężar obrony kraju przed Prusami i Jadźwieżą. Odmowa posłuszeństwa z jego strony nie była sprawą, którą - jak pierwszego lepszego wielmoży - można by zlekceważyć. Spokrewniony z Piastami, od dziesiątek lat sprawując władzę niemal książęcą, cieszył się wzięciem i powagą zwłaszcza u prostego ludu, strzegąc jego praw i obyczaju. Choć sam ochrzczony i na swym dworze w Czersku nie stroniący od zachodnich nowości, nikogo do nich nie zmuszał i pogaństwo na Mazowszu, nie tkniętym niemal misyjną działalnością Jordana, a zaniedbanym przez Ungera od chwili, gdy dowiedział się o zamierzonym podziale państwa, kwitnęło jawnie. Sprawa z Sobiesławem była drażliwa i niebezpieczna, a wymagała szybkiego zaradzenia w obliczu nadciągającej rozgrywki z Bolesławem. Skoro nie da się pozyskać Sobiesława, należy go obezwładnić lub zniszczyć.

Po namyśle Oda posłała po Ungera z prośbą, by w ważnych sprawach kościelnych zechciał ją odwiedzić. Przez posłańca kazał jej odrzec, że przyjedzie, jeśli powitany będzie jak biskup we własnej diecezji. Oda zrozumiała, co to oznacza, ale zgodziła się. Unger nie wieczny, powzięte wobec niego zobowiązania umrą wraz z nim, a sprawa Mazowsza pilniejsza niż biskupi stolec dla nieletniego Lamberta. Wiedząc, że Unger wrażliwy jest na oznaki czci i dbały o swą godność, nie tylko duchowieństwu witać go nakazała, ale przy bramie grodu młody Mieszko oczekiwał biskupa i pokornie rękę jego ucałował. Ujęty tym Unger pobłogosławił wyrostka i, życzliwie z nim rozmawiając, udał się wprost do wielkiej świetlicy, gdzie oczekiwała go Oda, prosząc na ucztę wydaną ku czci dostojnego gościa, któremu miejsce zgotowała na podwyższeniu po swej prawicy.

Unger jednak małomówny był i powściągliwy, a Oda nie poruszała spraw, dla których prosiła go o rozmowę. Toteż biesiada nie przeciągnęła się długo, a gdy biskup pożywił się po podróży i -

powstawszy - dziękował za miłe przyjęcie, Oda, całując biskupi pierścień na jego ręku, rzekła:

- Dla nas to łaska, żeście się trudzić raczyli, choć sprawy nie moje są jeno, o których chciałabym pomówić na osobności. Aż nazbyt często na dworze mego pasierba wiadomo, co się na moim mówi i dzieje.

Unger zawahał się. Zgoła nie życzył sobie stwarzać pozoru, że się z Odą przeciw Bolesławowi zmawia. Bystra niewiasta wraz to pomiarkowała i ciągnęła z uśmiechem:

- Prawdę rzec i ja wieści zbieram, bo przezorność tego wymaga. Jeno nie wszystkiemu, co mi donoszą, daję wiarę, bo bywają i kukułcze jaja, które mi podrzucić usiłowano, by nieufność i niechęć zasiać tam, gdzie ufność i życzliwość panować winny. Zwłaszcza gdzie ów frant, Stoigniew, gęby dołoży...

Spostrzegła, że trafiła, bo Unger przerwał podrażniony:

- Ani taić nie mam czego, ani mi niewola wszem wobec głosić, co myślę i zamierzam. Prowadźcie, pani, do siebie.

- Zwólcie też, że synaczek mój będzie przy nas obecny. Wkrótce dojdzie do sprawnych lat, niech się przyucza z cudzego doświadczenia i mądrości korzystać, przyjaciół od wrogów odróżniać, nim ciężki trud rządzenia podejmie.

Skinęła na Mieszka i - idąc przodem - powiodła biskupa do przyległej komory, gdzie, wskazawszy mu miejsce, sama usiadła i patrząc bystro w oczy Ungera, zaczęła:

- Choć - mniemam - co innego wam doniesiono, nie dlatego nie prosiłam was na zjazd, bym praw waszych pasterskich w dzielnicach mych synów nie uznawała. Nie wiem, co zamierzał zmarły małżonek mój, bo w sprawach kościelnych z wami, nie ze mną zwykł uradzać Od was tedy czekam wyjaśnienia, które usunąć winno nieporozumienie, nie bez postronnego udziału powstałe.

- Nie wiem, o czym myślicie, bo nic tu nie ma niejasnego - odparł Unger szorstko. - Jam jest następcą Jordana, przyznanych przez Stolicę Świętą praw do misji we wszystkich Mieszkowych krajach nigdy i wobec nikogo się nie zrzekłem.

- Starczy mi to wyjaśnienie - odparła Oda - bo przyznam, że odmienne miałam mniemanie, widząc, jak na Mazowszu jawnie pogaństwo się krzewi, a wy nic nie poczynacie, by temu zapobiec. Sama tedy uczynić to zamierzyłam i wezwałam Sobiesława na zjazd, chcąc mu zlecić, by z całą surowością przeciw pogaństwu wystąpił. On zasię i sam nie stanął, i wielmożom i żupanom jechać nie zwolił. Jako udzielny książę poczyna, ani wątpić - w pogaństwie oparcie sobie sposobiąc, by prawego pana zrzucić. Nie nowina to w świeżo nawróconych krajach. Nie tak że duński Swen na czele pogaństwa - choć sam ochrzczony - własnego rodzica tronu i życia zbawił?

- Złym duchem Swena był Palnotoki - mruknął Unger.

- Wszędy zły duch namiestników swych stanowi, by się Krzyżowi przeciwstawić. Nie tajne wam chyba, kto zburzył Krzyż na Połabiu. Ani to, że najbliższy doradca Bolesława tegoż człeka jest wychowankiem i jeszcze jako młodzik, jeno na chwilę władzę uchwycił, omal do buntu nie przywiódł pogaństwa. Nie wiem, zali to nie jego sprawa, co się na Mazowszu dzieje. Ale raduję się, że brzemię to, za ciężkie na moje niewieście czy Mieszka chłopięce barki, wy na swoje wziąć chcecie, by nie padł cień na całe księstwo, że z pozoru jeno jest chrześcijańskie. Gizyler jawnie to już zarzucił, może i po to, by swoje roszczenia do zwierzchności nad naszym Kościołem uzasadnić.

Jakoż wówczas i myśleć o koronie, do której zmierzał zmarły małżonek mój, a zarazem o metropolitalnym dla was paliuszu?

Unger słuchał przemówienia Ody ze zmarszczoną brwią. Zbyt był doświadczony, by nie odgadnąć, do czego zmierza księżna, ale rozbudziła w nim także nieufność do Bolesława. Najchętniej pozostałby na uboczu, czekając na rozwój wypadków, czuł zaś, że Oda zmusza go do działania. Co gorzej, nie widział sposobu ani by się oprzeć jej żądaniom, ani by je wykonać. Jakby sprawiając się, zaczął z wahaniem:

- Nie sprzyjają umocnieniu chrześcijaństwa spory między dziedzicami...

- Czy to moja wina? - przerwała Oda.

- Nie wiem - odparł szorstko. - Wżdy nie książę Bolesław posiłki przeciw wam sprowadził.

- Dziś jeszcze je odeślę, jeśli mi poręczycie, że okrutnik ten i swawolnik wdowy z sierotami dziedzictwa, a może i żywota nie zbawi.

- Jak mówi pogański mędrzec, słuszność pośrodku bywa. Widzę jednak, że sami bacznie praw swych strzeżecie. Moja rzecz stać na straży praw i interesów Kościoła.

- Wżdy niczego więcej nie żądam. Sama nawet kapłanów sprowadziłam, bo wiem, że wam z duchowieństwem niesporo. Oni i życie za wiarę położyć gotowi. Ale nie lza na zgubę ich wysyłać, bo nam nie męczenników potrzeba, jeno pogaństwo wyplenić. Niechże tedy pod waszą powagą i osłoną idą głosić słowo Boże na Mazowszu. Sobiesława zasię pod klątwą wezwijcie, by we wszelkich poczynaniach udzielił im pomocy. Jeśli nie posłuchnie, jawne będzie, że i z Kościołem zerwać zamierza. - Widząc, że biskup waha się jeszcze, dodała: - Wyście też z urzędu kolektorem denara świętego Piotra, który małżonek mój Stolicy Świętej płacić zobowiązał się w dowód synowskiej uległości. Nie wiem, zali w Rzymie za usprawiedliwienie przyjmą, iż poganie trybutu następcy świętego Piotra płacić nie zwykli.

- Swoje obowiązki znam - żachnął się Unger. - Skoro wy kapłanów na Mazowsze wysyłacie, ja wezwę Sobiesława, by pracy ich udzielił ochrony, a przychylił się do słusznych ich żądań. Czas będzie rozstrzygnąć, co dalej poczynać, gdy ujrzym, co Sobiesław pocznie lub odpowie.

- Dzięki wam i za to - odparła Oda - choć ja się nie łudzę, by posłuszeństwo okazał, i dlatego sama osłony udzielę kapłanom. Ale co zamierzacie uczynić, jeśli buntownik siłą się naszym poczynaniom przeciwstawi?

- Vim vi repellere (siłą odeprzeć siłę)! Ensis spiritualis (miecz duchowy) nie pozostanie w pochwie - odparł biskup gniewnie.

Wbrew woli musiał podjąć zobowiązanie wystąpienia po stronie Ody, choć nie wprost przeciw Bolesławowi. Powstał i żegnać się zaczął, sam na siebie zły, że przyjechał. Oda zaś nie zatrzymywała go, skoro osiągnęła już, co chciała.

Jeno za Ungerem zamknęły się podwoje, kazała komornikowi wezwać Odylena i Przybywoja. Do Mieszka, który zbierał się wyjść z komornikami, rzekła:

- Ostań! Niechaj się ludzie wezwyczają widzieć cię tam, gdzie się sprawy państwa rozstrzyga. Ty zasię ucz się, jak ludźmi kierować, by czynili, co nam potrzebne, choćby i wbrew woli. Najtańsza broń to groźby i obietnice, bo każdy korzyści rad, a od straty pragnie się uchronić. I pomnij, że ludzie bardziej się lękają noża w zanadrzu niż miecza w ręku. A po równi groźby jak obietnice niechaj nigdy jasno nie leżą na dłoni, by się za nią nie dać uchwycić. Trafisz zasię na głupiego, a nie brak

takich, pochlebstwem można go pociągać, pogardą popychać. Pieniądz chowaj dla siebie, siłę na nieprzejednanych wrogów.

Wejście wezwanych przerwało pouczenia. Oda sztywno na pokłon przybyłych skinęła głową i nie prosząc nawet siadać, zaczęła:

- Stoigniew z kraju wyjechał, gródek jego zająć możecie bez nijakiego niebezpieczeństwa. Wy zasię w Gnieźnie siedzicie, niczego nie poczynając.

Przybywój poczerwieniał i odparł:

- Juści, możem zająć gródek, choć przez bagna i bory nawet trafić do niego trudno. Jeno po co? By wam zejść z oczu?

Rozdrażniony był. Zamierzeń, z jakimi powrócił, możliwych wówczas do urzeczywistnienia, poniechał na skutek przedłożeń brata i obietnic Ody. Teraz nie pora już do nich powracać, a Oda nie myśli o dotrzymaniu przyrzeczeń, bo wie, że wybór już mu nie służy. Znalazła sprzymierzeńców, teraz pewnikiem dogadała się z biskupem, tedy jeszcze potaniał. Choć Przybywój w Gnieźnie nie miał co robić prócz swarzenia się z bratem, wiedział przynajmniej, co się mówi i dzieje. Zaszyć się w Kozim Rogu, to chyba po to, by o nim zapomniano, jeśli nie na wabia Stoigniewowi. Złość Przybywoja zwróciła się przeciw bratu. On jest winien, że chcąc czy nie chcąc muszą już stać po stronie Ody, niczego w zamian nie otrzymując. Zgryźliwie zwrócił się do Odylena.

- Podziękujże miłościwej pani za gródek, bo ja go nie chcę. Będziesz tam za przynętę służył Stoigniewowi, jako jagnię w grodzach wilkowi. A schwytasz go, to i ja ci podziękuję, bo mi po nim pomorskie województwo przyrzeczono. Ja tu na nie poczekam, choć pewnikiem długo, bo przódzi z Bolesławem skończyć trzeba.

Zaśmiał się złośliwie. Oda przeszyła go spojrzeniem. Nie zamierzała pozbyć się go. Człek był przedsiębiorczy i niepłochliwy. Jeśli uśpić rozbudzoną nieufność i wciągnąć do działania, nie będzie już miał odwrotu, a potrzebny jest. Zapytała zimno:

- A jeśli wam w dzielnicy mych synów nadam województwo, zali i na nie za rękę mam was wprowadzić?

- Za rękę mnie wodzić nie trzeba, a za nos się nie zwolę - odrzekł zuchwale.

Księżna gniewnie dłonią uderzyła w stół.

- Nie na drwiny mówię, nie drwin czekam w odpowiedzi! Wiem już, że darmo służyć nie chcecie, wy wiecie, że darmo nie płacę.

Zwracając się do milczącego Odylena, ciągnęła oschle:

- I głupi zrozumie, że łacniej zbyć się Stoigniewa ściągnąwszy go do Koziego Rogu, niźli szukając po świecie. Nie chcecie jednak wy, najdę kogo innego, wy zasię czekajcie w swym dworcu: na starość lubo na Bolesława. Onże pewnikiem nagrody rozdawać będzie tym, co bezczynnie czekają, kto wygra. Ja - nie.

Wstała, jakby na znak, że rozmowa skończona. Przybywój poczuł, że przeciągnął strunę. Bezczynności miał zadość, a widząc zabiegliwość i obrotność Ody, zaczynał wierzyć, że ostoi się wobec Bolesława. Ale czego od niej nie uzyska teraz, nie uzyska po jej zwycięstwie. Winien w nim nie tylko mieć swój udział, ale siłę uchwycić w rękę, z którą Oda liczyć się będzie musiała, by podzielić z nim owoce zwycięstwa. Podjął:

- Równie dobrze, jak my, wiecie, że nam na Bolesławowe nagrody nie czekać. Ale jeszcześć na swym dziale siedzi i nietanio się go zbędzie. Tedy cóż to, jak nie drwiny, jeśli w jego dzielnicy urzędy rozdajecie.

- Wżdy mówię - odparła niecierpliwie - że w dziale mych synów dostojeństwo wam przeznaczyłam, jeno nawet nie zapytaliście - jakie. Ale że i o nie walczyć trzeba będzie, tedy wam pewnikiem nie w smak.

- Czy w smak, odpowiem, gdy będę wiedział, jakie. Walki się nie lękam, bylem wiedział, za co, ale jedną głowę mam do przegrania, tedy jej po raz wtóry darmo nie postawię.

Zaskoczony był, gdy powiedziała niemal życzliwie:

- Siadajcież! Czy nie możem mówić jak sprzymierzeńcy, skoro nas los nimi uczynił?

Sama usiadła z powrotem, a do Odylena, który stał, nie wiedząc, co począć ze sobą, powiedziała opryskliwie:

- Wy na co czekacie? Za nic mam męża, który się ni ze słowem, ni z siłami policzyć nie umie. Podjęliście się zwolnić mnie od Stoigniewa. Tu on nie przyjedzie. Mówiliśmy o tym, tedy wóz alibo przewóz.

- Nie jeno o tym - mruknął ponuro.

Przerwała mu:

- Przypomnieć mi lepiej czynem niż słowy. Albo zajmiecie Kozi Róg, gdzie go schwytać najłacniej, albo nie mamy o czym więcej mówić.

- Pojadę - odparł z ociąganiem, nie widząc innego wyjścia.

- Im rychlej, tym lepiej - odparła. - Tedy nie zatrzymuję.

Wyszedł z westchnieniem. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Oda zwróciła się do Przybywoja; zniżyła głos, jakby mówiąc do zaufanego przyjaciela:

- Raduję się, że się na was przynajmniej nie zawiodłam.

Jakby mimo woli wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją, od spojrzenia jej zielonkawych oczu uczyniło mu się ciepło. Ale opanował się i rzekł szorstko:

- Nie wiem jeszcze, co mi przeznaczacie ani czego żądacie w zamian?

- Więcej niż województwo...

Urwała, jakby lękając się, by jej źle nie zrozumiał, i podjęła z płonącą twarzą:

- Mazowsze w ręku Sobiesława to nóż w nasze plecy skierowany. Trzeba mu je wydrzeć, nim się mój pasierb z postronnymi wrogami upora. Wy to uczynić wydolicie, jego dostojeństwo na was

czeka.

Stanowisko wielkorządcy w znacznej części państwa było niemal tym, czego pragnął Przybywój - na początek. Cel był ponętny, choć daleki i niepewny.

Przynajmniej wiedział, o co ma walczyć. Powiedział jednak:

- Wie i Bolesław, że Mazowsze po jego stronie to pętla na waszą szyję, tedy Sobiesława poprzeć nie omieszka.

Skinęła głową i zniżając głos szepnęła:

- Tego, co wam teraz rzeknę, nikt wiedzieć nie śmie. Wam jeno ufam, bo z wolą czy bez woli - jedna nam dola.

Zarumieniła się i urwała. Przybywój oczyma wskazał na Mieszka, który siedział w milczeniu, nieporuszony, tak że można było zapomnieć o jego obecności. Zrozumiała spojrzenie i rzekła:

- Rychło się dojrzewa w nienawiści. On się prędzej milczeć nauczył niż mówić, bo wie, że i jego los od milczenia zależy.

Gdy Przybywój patrzył na Odę z oczekiwaniem, podjęła:

- Bolesław w łaski się wkupił Ottona, chytrości Stoigniewa i niedołęstwu brata waszego dziękować. Ale jeśli stracić nie chce, co tam zyskał, nie lza mu jawnie pogaństwo na Mazowszu przeciw mnie i Ungerowi popierać.

- Wżdy o Sobiesława idzie, któren chrzczony jest - wtrącił Przybywój, ale Oda ciągnęła:

- Obodrycki Mestwin też chrzczony i dziewierzem jest biskupa Waga, a na czele pogańskiego buntu stanął.

- Ale na Mazowszu nie poganie się przeciw Kościołowi zbuntowali, jeno Sobiesław przeciwko wam.

- Nietrudno tam będzie pogański bunt rozniecić.

Gdy patrzył na nią, zdziwiony i zaskoczony, dodała z uśmiechem:

- Nie lękajcie się. Nie wy staniecie na jego czele, jeno Sobiesław. A wonczas Unger przy nas stanąć musi, a Bolesław na uboczu pozostać, gdy Sobiesław klątwą zostanie obłożony. Biskup po naszej stronie - to poróżnienie go z Bolesławem, a bunt pogaństwa zadepczem wraz z oporem Sobiesława.

- Rozumiem - odparł Przybywój.

Podziwiać musiał chytrość Ody. I przed nim otwierała widoki: pomści pogardę, upokorzenia i wygnanie. Rozumiał, że wszczyna walkę na śmierć, ale walkę, a nie bezradne czekanie.

V

Stoigniew jeszcze zimą, na czele szczupłego, ale wyborowego orszaku, wyruszył z Krakowa. Podróż była daleka i niebezpieczna. Oda i jej sprzymierzeńcy bez wątpienia nie patrzyli obojętnie na zbliżenie Bolesława do młodego władcy Niemiec, który coraz bardziej wymykał się z rąk babki i Willigiza; ogień i wiatr! Ale pod żarem, może jeszcze przez niego samego nie uświadomiona, nawarstwiła się u Ottona zimna niechęć i nieufność do otoczenia, do opiekunów, którym służył za przykrywkę i narzędzie ich własnych celów, do rozpasanych możnowładców, wykorzystujących młodzieńcze jego niedoświadczenie.

Nie był tajemnicą list Ottona do słynnego Gerberta d'Aurillac, którego jeszcze wielki Otto chciał pozyskać, by na swym dworze założyć podobną szkołę, jaką ongiś Alkuin rozsławił dwór Karola Wielkiego. Gerbert odmówił wówczas. Nad łaskę władcy chrześcijaństwa wyżej cenił wiedzę, u reimskiego archidiakona Garanusa chciał kształcić się w logice. Teraz zapewne nie odmówi, gdy opuszczony został przez niewdzięcznego Hugona Kapeta, który jego poparciu zawdzięczał francuską koronę, a w niełaskę popadł u papieża z powodu sporu o godność reimskiego arcybiskupa, siłą pozbawiony swego opactwa w Bobbio, otrzymanego ongiś od Ottona II w nagrodę zwycięstwa w dyspucie ze słynnym Otrykiem. Nagroda przepadła, pozostała niechęć niemieckiego kleru, który szeptał, że Gerbert duszę sprzedał diabłu, że u Saracenów i Żydów uczył się magii w Toledo. Nie do wiary, by bez pomocy demonów - jak w beczce bez dna - w niewielkiej, kształtnej głowie chłopskiego syna z Akwitanii mieścić się mogła wciąż pogłębiana wiedza, której nigdy niesyty, zewsząd skupywał stare rękopisy. Przepłacał je złotem, za które miłość jego kupić miała Meridiana (Południca).

Stoigniew nie dziwił się, że ruchliwy umysł Ottona pociąga człowiek, którego wyższość mimo woli uznawali władcy świata. Ale nie dziwił się też, że list Ottona do Gerberta wywołał w Niemczech wzburzenie. Pisał bowiem:

„Jestem ignorantem, nauka moja została zaniedbana. Przybądź mi na pomoc i radź mi, jak dobrze rządzić imperium. Wyzuj mnie z saskiego prostactwa, rozwiń, co się we mnie zachowało z greckiego pochodzenia".

Stoigniew, kopiąc się przez zawiane jeszcze śniegiem górskie wąwozy, rozmyślał samotnie o tych sprawach. Otto, nie ująwszy jeszcze władzy, waży się rzucać słowa pogardy własnemu narodowi, wyzwanie wszechpotężnemu Willigizowi, synowi niewolnego kołodzieja, który też jeno siłą własnego umysłu osiągnął stanowisko, jakiemu nie ma równego w chrześcijaństwie. Jako arcykanclerz, pierwszy dostojnik i kierownik niemieckich spraw przy trzecim już cesarzu, a za piątego papieża legat z pełnią władzy kościelnej nad najważniejszymi członami zachodniej społeczności, przełożony dwunastu biskupów, pan lenny niezliczonych wasali - czy zechce ustąpić przed samowolą młodzika, którego był wychowawcą i któremu w zamęcie po śmierci ojca zabezpieczył niemiecką koronę? A ten już dziś zapowiada, że nie pójdzie w ślady przodków i nie zechce mieczem szerzyć chrześcijaństwa, by nawróconych zamieniać w niewolników, panować chce w Rzymie nie jako zdobywca, ale jego imperator.

Stoigniewowi zaciążyła odpowiedzialność. Czy bezpiecznie wiązać się z mrzonkami niezrównoważonego chłopca, czy sam umysł Gerberta, choćby go wspierały demony, stanowi siłę zdolną przeciwstawić się uchwytnym mocom przeciwnym? Stoigniew z nauką poznał się za młodu. W ujęciu mnichów, u których ją pobierał, zdała mu się czymś oderwanym od życia. Porzucił ją z ulgą. Ale już wówczas, choć czarowała go urokami wspomnień dzieciństwa postać ojca, potężnego wojownika i słynnego wodza, odczuwał przewagę Mieszkowej myśli nad ojcową siłą. A jeszcze

ponad Mieszkiem stał Zbrozło, który jednak z biegiem lat zdał się Stoigniewowi już nie czarownikiem, który bez wojsk, dostojeństw i pieniędzy zwalczać umie skutecznie wroga, ale zjawą, przenikającą czasy i ludzi. Nawet ostatnie spotkanie zdało się Stoigniewowi sennym majakiem.

Otrząsnął się ze wspomnień. Wróżby, znaki, przepowiednie jeno obezwładniają rozum i wolę. Przewidywać trzeba zwyczajne skutki własnych i cudzych czynów, podpatrzyć i ocenić ziemskie źródła sił działających. Stoigniew nie zamykał oczu na potęgę miecza i pieniądza. Dlatego przecież do orszaku swego dobrał potężnych wojów, zdolnych sprostać każdemu niebezpieczeństwu, a w sakwach wiózł złoto, by przekupywać potrzebnych ludzi, choć sam nie cenił go wyżej niż piasek, którym się posypuje ścieżki w czasie gołoledzi. Gardził ludźmi, których za nie kupował. Nie warto sobie głowy nimi zaprzątać.

Myśl krążyła dokoła tych, dla których celem jest władza. Ale władza jako cel jest jeno pożywką pychy, matki wszelkiego zła. Myśl z uporem wracała do Ottona. Urodzony na tronie, koronowany w trzecim roku życia - władza była jego losem. Ale widno nie celem, skoro gotując się do jej objęcia, poddać się pragnie kierownictwu Gerberta, któremu ze wszystkich dostojeństw i beneficjów została jeno siła własnego umysłu.

Stoigniew wspomniał matkę Ottona, z którą imieniem starego księcia układ przyjaźni zawierał. Łatwo się porozumieli, mówili jednym językiem, tym samym, którym mówiła własna jego matka. Ottonowi obca już była grecka mowa, ale chciał ją poznać. Willigiz pomógł mu utrzymać dziedzictwo saskich przodków. Otto wzywa Gerberta, by pomógł mu odzyskać greckie dziedzictwo matki, odwieczną mądrość, którą wydobywał z kurzu zapomnienia, by ją przywrócić życiu. I Stoigniew zapragnął poznać tego człowieka. Gdy Gerbert swój rozum połączy z władzą Ottona, mogą odmienić świat.

Kiedy jednak z zaśnieżonych jeszcze gór orszak zjechał w naddunajską równinę i wiosna wyszła naprzeciw Stoigniewa ze swymi urokami, ogarnęły go wspomnienia, a wraz z nimi tęsknota za jedyną istotą na ziemi, do której ciągnęło go serce - matką.

Nie własne sprawy trzymają go z dala. Przyspieszył jednak pochód. Konie na świeżej paszy podebrały się i raźno rwały na zachód. Dogrzewające już słońce południową porą kładło oślepiające blaski na wezbranych jeszcze wodach potężnej rzeki. Aż pod zachód jednego dnia zalśniły baszty i wieże wyłaniającego się z równiny grodu. Ratyzbona! Tymczasem kres podróży.

Nie dane jednak było Stoigniewowi odpocząć po dalekiej drodze ani nawet bliżej obejrzeć miasta, noszącego jeszcze ślady zniszczeń sprzed lat kilkunastu, gdy Otto II oblegał tutaj i pojmał Kłótnika. Nie było bezpiecznie popasać w miejscu podległym władzy sprzymierzonego z Odą warchoła, Otto zaś już przed dwoma dniami wyruszył w dalszą drogę do Merseburga. Stoigniew zasięgnął przeto jeno wieści i nie żałując koni pognał za nim. Nie tylko spieszno mu było do spotkania z Ottonem, ale rozmówić się chciał z wracającym na swą diecezję - na rozkaz papieża - Wojciechem, zanim ten odłączy się od dworu, by przez Pilzno pociągnąć do Pragi. Orędował w Rzymie staraniom Mieszka o utworzenie metropolii w Gnieźnie i Stoigniew pragnął zasięgnąć wieści. Sławnikowice przyjaźnili się z polańskimi władcami, Bolesław czeski liczyć się będzie musiał ze swym biskupem, może uda się też za jego pośrednictwem załagodzić napięcie między czeskim wujem a polańskim siostrzanem. Wraz z Ottonem jechał też Gerbert.

Szczęściem, Otto ciągnął wolno, odwiedzając po drodze kościoły i klasztory, rozdając jałmużny, poszcząc i pokutując, tak że Stoigniew dognał go już drugiego dnia przed południem, gdy dwór w

szczerym odludziu zatrzymał się na popas, nieco opodal drogi nad strumieniem. Obóz był cichy tak, że gdyby nie dymy ognisk, przy których warzono strawę, można go było nie zauważyć. Widno wasale, którzy z wojskami towarzyszyli Ottonowi w rzymskiej wyprawie, odeszli przodem do Merseburga, były już bowiem wieści o nowych niepokojach wśród połabskich Słowian.

Zapytany o Ottona dworzanin wskazał Stoigniewowi namiot niemal niewidoczny w kępie wysokich krzewów. Gdy Stoigniew zbliżył się, spostrzegł u stóp rozłożystego drzewa przenośny ołtarz ze złotym relikwiarzem, świecącym w blaskach wiosennego słońca, przesianych przez rzadkie jeszcze, młode listowie.

Stoigniew przystanął nieco na uboczu. Za ołtarzem, twarzą zwrócony do obecnych, stał biskup Wojciech i odprawiał ofiarę. Stoigniew zaznajomił się z nim, gdy Wojciech bawił jeszcze w szkole w Magdeburgu, potem u Św. Aleksego. Choć zawsze obcy codziennym sprawom, nieporadny i do śmieszności skromny wobec niewiast, usposobieniem zdał się nie różnić od innych lubickich książąt z rodu Witysława. Weseli, lekkomyślni, skłonni do uciech, od kilku pokoleń poniechali nawet wojaczki, od czasu gdy Radysław, zmuszony przez Wacława do hołdu, przestał myśleć o rozszerzeniu swego państewka, naturalnymi granicami - Karkonoszów, Czeskiego Lasu i Wełtawy - chronionego od sąsiadów, z którymi zresztą utrzymywano przyjazne stosunki. Od zaborczości Przemyślidów zabezpieczała je opieka saskiego rodu cesarskiego, z którym spokrewniony był stary Sławnik przez Ptasznika. Na lubickim grodzie zaczęło się życie z dnia na dzień, w spokoju, bo choć nie brakło innych okazałych grodów, Sławnik z dojrzałymi już synami siedział w Lubicy, dokąd rzadko jeno dochodziły echa wstrząsów z sąsiednich krajów, stłumione odgłosami gęśli i pieśni. Miłowali się wzajem rozrodzeni Sławnikowice i nieradzi byli się rozstawać. Z żalem też żegnali Wojciecha, który - w czasie choroby przez pobożną matkę Strzeżysławę ofiarowany na służbę Bożą - odchodził do Magdeburga, by u słynnego Otryka nabyć potrzebnych w duchownym stanie wiadomości. Wraz z nim z własnej woli wyjeżdżał najmłodszy - Radzim, który od dzieciństwa jak cień snuł się za bratem. To wzajemne przywiązanie było pociechą, gdy żegnać przyszło gniazdo, w którym mieszkały spokój i szczęście.

Szybko jak młodość minęły szkolne lata Wojciecha. Koledzy pokpiwali z niego, że przewraca się na gładkiej drodze, że wszystko leci mu z rąk, śmiali się z jego łatwowierności i prostoduszności. Ale niezachwiana pogoda, z jaką to znosił, sam biorąc udział w wesołości, którą budziła jego niezdarność, jednała mu wszystkie serca, a chwytliwy i giętki umysł uznanie przełożonych. Sam arcybiskup Adalbert przy bierzmowaniu własnym go zaszczycił imieniem, z powodu pobożności i uzdolnień wielką przyszłość wróżąc mu w Kościele. Po śmierci arcypasterza Wojciech na krótko wrócił pod ojczysty dach, ale nie zastał już pod nim dawnego szczęścia i spokoju. Ojciec, który radość jeno widzieć chciał dokoła siebie, pożegnał już ten świat. Bracia nadal niedziałem siedzieli w Lubicy, ale nie było już beztroskiej radości i pogody. Możny i liczny ród Wrszowców wróżbę wypowiedział Sławnikowicom, mnożyły się zatargi i starcia o porwanych ludzi i stada. Spokojni, odwykli od walki Sławnikowice nie umieli krzywd swych własną siłą dochodzić, sprzyjając chrześcijaństwu, nie mieli poparcia swego ludu, w Pradze skargi ich nie znajdowały ucha, gdy krzywdziciele orędownika mieli w Rudym, któremu starzejący się ojciec coraz częściej zlecał sądy i rządy.

Z radością powitano wracających braci, z większą jeszcze powołanie Wojciecha na praskiego proboszcza, spodziewając się w nim oparcia, zwłaszcza gdy wyższe jeszcze osiągnie godności, do których zdał się go przeznaczać wysoki ród, a bardziej jeszcze umysł kształcony na zachodnich

wzorach i uznanie pozyskane wśród członków niemieckiej hierarchii kościelnej. Sławnikowice jednak pojęciami swymi żyli w świecie, którego już nie było. Zdało im się, że napaści i prześladowania źródło swe mają jeno w rozpuście Rudego i samowoli jego zauszników, przed którymi zdoła ich osłonić wpływ Wojciecha u starego księcia. Nie wiedzieli, że Pobożny umyślnie zamyka oczy na bezprawie i nie udziela hołdownikom należnej im ochrony, uważając państewko ich za przeżytek, a przyjazne stosunki utrzymywane przez nich z polańskimi władcami za zdradę.

Stary i doświadczony władca Czech uznał jednak, że pozbawić samodzielności lubickich książąt może każdego czasu, a Wojciech stwarza jedyną sposobność choćby częściowego uniezależnienia czeskiego Kościoła od Niemiec. Po długich staraniach utworzona praska diecezja obsadzona została przez Niemca, korwejskiego mnicha Titmara, i podporządkowana mogunckiemu Willigizowi. Obsadzenie jej teraz przez Czecha było krokiem naprzód i Bolesław Pobożny, choć Sławnikowicom niechętny, z góry przeznaczył Wojciecha na następcę Titmara, wiedząc, że osoba jego nie napotka sprzeciwów z niemieckiej strony. Zresztą stary książę polubił nawet młodego proboszcza, który z głęboką, dziecięcą pobożnością łączył beztroską, pogańską wesołość starego Sławnika i matczyną wyrozumiałość dla ludzkich błędów i słabości, potrzebną w społeczności, która nie umiała i nie chciała nagiąć się do chrześcijańskich praw i obyczajów.

Obyczaje zresztą samej kapituły zgoła nie przypominały klasztornych, choć biskup był z mnichów. Bogate dochody diecezji pozwalały na wystawne życie, a Wojciech brał w nim udział wraz z innymi. Z natury pokorny i uległy, daleki był od tego, by sądzić swego zwierzchnika. Choć od początku świadomy przeznaczonej sobie roli, zgoła nie tęsknił do jej objęcia. Najlepiej czuł się, wykonując polecenia i rozkazy, które usypiały nie zawsze spokojne sumienie. Niewiele zaś działo się tak, jak powinno, ale biskup zgoła nie troskał się o to, nie zamierzając surowością psuć sobie stosunków z księciem i ludem, zapłatę dziesięciny uważając za najważniejszy dowód uległości wobec Kościoła. Na resztę patrzył przez palce. Nie w jego mocy przez parę lat zmienić to, czego nie zdołało zmienić półtora wieku chrześcijaństwa.

Jedna zimowa noc przyniosła zmianę, której skutków nikt nie umiał przewidzieć. Biskup słabował od jakiegoś czasu, jakby kamień czuł w żywocie. Ale mimo upomnień lekarza książęcego, Tidaga, Titmar nie poniechał nadużywania jadła i napoju. W czasie adwentowego postu poczuł się jednak lepiej, uroczyście odprawił święta Narodzenia Pańskiego 982 roku, ale po zakończeniu kościelnych uroczystości znowu zaczęło się ucztowanie. W sam dzień Trzech Króli, wieczorem, Titmar weselszy był niż zazwyczaj i znowu przebrał miarę. W nocy obudzono Wojciecha wiadomością, że biskup zasłabł i wzywa go do siebie. Wyrwany z pierwszego snu, Wojciech zbierał się ospale, słuchając, jak wstająca na dworze kurniawa wyje, jęczy i gwiżdże w gontach dachów i gałęziach bezlistnych drzew. Trwożnie wyszedł w białawą ciemność, ślepiony wichurą smagającą go w twarz bezlikiem lodowych krup. Choć do biskupiego dworca były niespełna dwa stajania, omal nie zabłądził, brnąc omackiem przez zaspy suchego jak piasek śniegu. Zdało mu się, że jakieś ręce starają się go powstrzymać, głosy wołają, by zawrócił, ale - choć pełen trwogi - parł naprzód. Był spowiednikiem biskupa, nie może odmówić wezwaniu chorego.

W dworcu zastał zamęt i krzątaninę. Posłano też po Tidaga, ale lekarz nie nadchodził, a Wojciech, ujrzawszy biskupa, poznał, że ludzka pomoc już spóźniona. Twarz Titmara była niemal czarna, zęby wyszczerzone, w oczach zaś taki wyraz przerażenia, że na zawsze utkwił w pamięci Wojciecha. Biskup poznał go jednak widocznie, bo gdy Wojciech zbliżył się do łoża, zawołał chrapliwie:

- Daj rękę! Ratuj!

Uchwycił podaną z ociąganiem dłoń z siłą tonącego, a Wojciechowi zdało się, że biskup tonie istotnie i jego w topiel wciąga za sobą. Usiłował cofnąć dłoń, ale trzymały ją jakby rozżarzone szpony, a biskup ciągnął go ku sobie coraz bliżej. Biła od niego gorętwa i zaduch, od których Wojciech poczuł zamęt w głowie, ale opanował się, mniemając, że Titmar się spowiada. Zrazu jednak nie mógł zrozumieć słów, wyrzucanych przez spękane wargi. Gdy zrozumiał, struchlał. Konający chwilami podnosił głos do krzyku, to znów przechodził w szept, ale tak przenikliwy, że wypełniać zdał się każdy zakątek komnaty. Kreślił widziany oczyma duszy - w otwartej przed nim otchłani - obraz piekielnych mąk tak żywy, że obecnym zdało się, iż własnymi patrzą na nie oczyma. Chwilami spraszał się przed kimś i usprawiedliwić starał z zaniedbań swych pasterskich obowiązków. Potem jął straszliwie przeklinać i bluźnić, tak iż obecni padli na kolana, zatykając uszy. Ale mimo to posłyszeli jeszcze przeraźliwy ryk, w którym nie było nic ludzkiego, potem chichot i zapanowała cisza. Gdy po chwili dźwignęli się, Wojciech wciąż jeszcze stał przy łożu z dłonią w martwych już rękach biskupa. Na twarzy jego zastygł ten sam wyraz męki i przerażenia, który na wieki zaznaczył twarz Titmara.

Lata minęły od tego wstrząsu, jaki ongiś głośnym echem odbił się wśród duchowieństwa. Z upływem czasu przedśmiertne widzenie Titmara pokrywać się jęło pyłem niepamięci. Jednak Stoigniew zrozumiał, że Wojciech nie zapomniał. W wyrazie twarzy biskupa nie zostało nic z młodzieńczej pogody i wesołości. Słowa modłów, których Stoigniew słuchać zwykł jak obrzędowych zaklęć i odczyniań, przez ciągłe powtarzanie wyzbytych wszelkiej treści, w ustach Wojciecha brzmiały trwogą, żalem i błagalną prośbą, skierowaną do kogoś, czyja obecność była dla niego bardziej rzeczywista niż klęczących wokół ludzi. Gdy wołał: quare me repulisti et quare tristis incedo dum affligit me inimicus (czemuś mnie opuścił i czemu smutny chodzę, gdy trapi mnie nieprzyjaciel?) - jakby miał przed oczyma jakieś straszne, bezpośrednio zagrażające niebezpieczeństwo i błagał o osłonę przed nim.

Stoigniew pojął, że na nic prosić Wojciecha, by wpływem swym załagodził napięcie między czeskim a polańskim władcą. Wojciech wracał na swą diecezję, by bez wiary w skuteczność swych żądań domagać się wypełniania tych obowiązków, których nieprzestrzeganie zmusiło go ongiś do jej opuszczenia, w obawie przed odpowiedzialnością za cudze grzechy, uświadomionej w przedśmiertnym widzeniu Titmara. Nie będzie się starał pozyskać księcia ni ludu ustępliwością i nie będzie zważał nawet na to, że pozbawi rodzinę własną pomocy i oparcia, jakich oczekiwała, choć może przeczuwał straszne dla niej skutki klęski, którą musi ponieść w walce z zakorzenionym złem.

Stoigniewa ogarnęło współczucie dla tego dobrego, nie stworzonego do walki, miękkiego człowieka. Jak ślimak w swej skorupie, schronił się przed światem w awentyńskim klasztorze, wyrzekając się wszystkiego, co życie dać mu mogło, w zamian za wewnętrzny spokój. I tego jedynego schronienia pozbawił go twardy rozkaz, któremu - nawykły do ślepego posłuszeństwa - oprzeć się nie potrafił. Stoigniew po raz pierwszy zrozumiał, że zbawienie duszy, które aż nazbyt często służyło za kupię dla łatwowiernych lub zgoła za pozór do mordów i rabunków, może się dla kogoś stać celem tak wyłącznym, że wszystko, co odwodzi z drogi do niego - miłość, władza, bogactwo, aż do ciała własnego włącznie - staje się nienawistne. A zarazem w tym skupieniu

wszystkich sił duszy w jednym celu, całkowicie obcym życiu, tkwi jakaś urzekająca wielkość. Urzekać się zdała wszystkich obecnych, ale Stoigniew ogarnął spojrzeniem Ottona. Klęczał samotnie na przedzie, półprzytomnie, bez zmrużenia powiek wpatrzony w biskupa jak w zjawę spotkaną w jasny dzień, jakby w jakimś śnie z otwartymi oczyma. Młody władca, który, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa zimowej podróży przez Alpy, ruszył do kraju, by ład w nim przywrócić i zająć się wciąż jątrzącą sprawą połabskich Słowian, pod urokiem Wojciecha zdał się zapominać o celu swej podróży. Twarz miał wychudłą i zmienioną od postów i umartwień, strój, o którego okazałość zwykł się troszczyć, ciemny i zaniedbany. Stoigniewa znowu naszła wątpliwość, czy warto wiązać się z młodziankiem szukającym coraz to nowych wzorów w swym namiętnym dążeniu do wielkości. Ale o tym czas będzie radzić z księciem. Narazie usprawiedliwić trzeba niedostarczenie przyrzeczonych posiłków przeciw poganom i usiłować przez Ottona wpłynąć na Pobożnego, by dotrzymał rozejmu i zaniechał mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski.

Stoigniew rozejrzał się po obecnych, szukając przyjaznych lub kupionych dostojników, na których poparcie mógł liczyć. Nie widać było nikogo z nich, natomiast uwagę Stoigniewa przykuła nieznana mu postać duchownego. Niemal pewny był, że to jest właśnie słynny Gerbert d'Aurillac. Zadumana twarz jego o wyrazistych, pięknych rysach ni na chwilę nie traciła wyrazu spokoju, on jeden z obecnych nie ulegał przejmującemu urokowi Wojciecha. Może zdało się tylko Stoigniewowi, że patrzy na niego z pobłażliwą niechęcią. Klęczał tuż za Ottonem, wyprostowany. W tym arcybiskupie pozbawionym stolicy, opacie wygnanym z opactwa i kapłanie odtrąconym od ołtarza był majestat niezależny od dostojeństw i godności, pewność siebie człowieka świadomego własnej wartości, której żadne odmiany losu zachwiać nie zdołają.

Rozważania Stoigniewa przerwało poruszenie wśród obecnych. Wojciech skończył ofiarę i jakiś czas klęczał jeszcze w skupieniu, po czym wstał i oddalił się. Stoigniew oznajmił jednemu z dworzan swe przybycie i poszedł przebrać się z drogi.

Twardy nawet dla siebie samego, przestał patrzyć na Wojciecha jak na słabego człowieka, który uchylając się od swych obowiązków, szukał ucieczki w klasztorze. Pragnął mu dopomóc jak wygnanemu, bezradnemu dziecku. Zastał go przed skleconym naprędce szałasem, w gronie benedyktyńskich mnichów. Siedział w zadumie, pożywiając się jakby od niechcenia pieczoną rzepą, stanowiącą widocznie cały posiłek postnego dnia. Na twarzy wychudłej i postarzałej i w jasnych oczach malował się wyraz znużenia. Na widok Stoigniewa rozjaśnił ją jednak uśmiech i ożywiło zaskoczenie. Zapewne teraz dopiero poznał go. Gdy Stoigniew pochylił się, by ucałować rękę biskupa, Wojciech cofnął się wstydliwie, a nazwany przezeń wielebnością - odparł:

- Ostawcie! Nie przypominajcie ciężaru, który mi na barki włożono, choć anim godzien, ani mu wydolę. Słyszałem, że kniaź Mieszko pomarł. Cóże robi Bolesław?

- Bolkowi nielekkie brzemię spadło na barki po śmierci rodzica.

- On silny jest. Wszystkiemu podoła. Daj Bóg, bym ja u swego księcia takowe znalazł oparcie, jakie u waszych książąt ma chrześcijaństwo.

- Dużo jeszcze do zdziałania ostało, a podział kraju ni zewnętrzne zagrożenie nie sprzyjają pracy nad umocnieniem chrześcijańskiego obyczaju. Do niemieckich kapłanów lud ufności nie żywi i nam by się zdało z Rzymu ich otrzymać - wskazał głową na towarzyszy Wojciecha - póki się własnych nie dochowamy. Ale Unger, Niemiec, tego nie rozumie, a Oda zauszników swych rada mieć w duchowieństwie, a nie apostołów. Bawił u nas za młodu druh mój, Tuni, znacie go, bo i on mnichem u Świętego Aleksego. Mowy naszej się przyuczył, życzliwość pozyskać umiał. Może by mu za

waszym wstawieniem opat Leo do nas przyjechać zwolił?

- Juści, znam brata Tuniego - z ożywieniem odparł Wojciech - hojnie go Duch Święty udarzył. Ale opat go nie zwoli, bo magistrem jest nowicjatu i młodych konwersów do misji w krajach słowiańskich zaprawia. I jam się do tego gotował - dodał smutno - a oto wracać mi kazano, gdzie nie ugór orać trzeba w Bożym trudzie, ale wycinać chwast kosą apostolską, który odrasta, nim się ziarno posieje. Trudu się nie lękam, jeno za plon odpowiedzialności.

- Gdzieże wam na misję iść, skoro u północnych pogan świeżo krzyż obalono i wojna niemal nie ustaje? Na nic tam słowo, gdzie od miecza rozpoczęto, chyba po to, by żywota zbyć nielekką śmiercią.

- Dlatego Pan nasz na krzyżu umarł, że krew lepiej świadczy prawdzie niż słowo - odparł Wojciech, przybladłszy. - Radziej doczesnego żywota zbyć niż wiecznego.

- Bywa, że i z męczeńskiej krwie chwast wyrośnie, jako u was z Wacławowej

- odparł Stoigniew. - Gdybyście do nas przybyć raczyli, kniaź wszelką pomoc i opiekę pracy waszej zapewni. Mile was zawżdy wspomina, wiernie wam i braci waszej przyjazny.

- Wiem - powiedział Wojciech. - I my mu sercem płacimy, choć i to za złe nam mają.

Jakby z wyrzutem spojrzał na starego mnicha, który siedział nieporuszony, ponurym spojrzeniem wpatrzony przed siebie. Stoigniew domyślił się, że to brat książęcy, Chrystian, zwany Strachkwas, mnich od Św. Emmerama, który w poselstwie jeździł z żądaniem powrotu Wojciecha. Wraz z dziwnym przezwiskiem, upamiętniającym jego straszliwą ucztę urodzinową, na której życie stracił św. Wacław, zdał się dźwigać na sobie znamię bratobójstwa.

Stoigniew zaniepokoił się, czy tym, co rzekł, nie zaszkodzi Wojciechowi. Gorzej, że biskup sam nawet milczeć nie umie, by uniknąć szkody. Pożegnał biskupa, mówiąc, że śpieszy powitać Ottona, i odszedł, postanawiając nie szukać więcej z Wojciechem spotkania. Jemu nie pomoże, sam nic przez niego nie zyska. Nie wątpił, że niespokojny i namiętny duch niezrównoważonego Ottona nie pozwoli mu długo pozostawać pod urokiem Wojciecha, wpatrzonego w wieczność. Wróci do swych ziemskich zamierzeń, a wraz z nimi do Gerberta. Do niego Stoigniew postanowił się zbliżyć. Człowiek, który za największą siłę uważał wiedzę i umiał w innych wpoić to przekonanie, w czasie gdy władał pieniądz i miecz, budził niespokojną ciekawość Stoigniewa, bez myśli nawet o korzyściach, jakie mógłby zyskać dla sprawy Bolesława. Ci trzej ludzie, z którymi się tutaj zetknął, nieśli coś nowego. Gdyby Bolesław ze swą młodzieńczą zdolnością do czynu, przy doświadczeniu dojrzałego już męża, przyłączył się do nich, może jednak udałoby się zmienić świat. Z żalem pomyślał Stoigniew, że nie czas po temu, póki się z wewnętrznymi sprawami nie upora.

Vi

Stoigniew nie wiedział jeszcze, natychmiast jednak dowiedział się Bolesław, że Oda uznała, iż sposobność się trafia przystąpić do rozgrywki, by zaś wmieszać do niej biskupa, rozpocznie od Mazowsza.

Tam najmniej dał się odczuć wstrząs po śmierci Mieszka. Późno wciągnięte w krąg jego spraw,

leżące na uboczu i zacofane w rozwoju Mazowsze żyło własnym życiem, a Mieszko u schyłku swych lat, stale zajęty na zachodzie swego państwa, dawno nawet tam nie był. Każdy wiedział, że zwierzchni książę siedzi w Poznaniu, ale do Czerska bliżej było, gdzie Sobiesław, wielkorządca z jego ramienia, każdą sprawę władny był załadzić. On na roki jeździł letnią porą, do Czerska na zjazdy przybywali żupani i wielmoże z dawnych szczepowych książątek, których jeszcze za opór nie wytępił, a przed Godami, gdy wody stanęły, gromadziły się wojska na coroczne zimowe wyprawy do Prus i na Jadźwież, którym przywodził, trzymając nimi z dala od granic kraju uciążliwych sąsiadów. Na Gody też zjeżdżało na synod nieliczne duchowieństwo, osiadłe przy powstałym tu i ówdzie kościółku, a niemal wyłącznie złożone ze swojaków, których ongiś książę Mieszko do Jordana na naukę oddać kazał. Ale że dawno to było, z braku ksiąg zapomnieli nawet pisma, nabożeństwa każdy odprawiał, jak zapamiętał, pory świąt stosując do pogańskich, obchodzonych jawnie, często i wspólnie. Biskupa żaden na oczy nie widział, przełożonego znając tylko w czerskim archidiakonie. Stary już, jeszcze z pierwszych Jordanowych mnichów, Sabinus sam tylko pismo znał i on jeden świadomy był łączności z przełożonymi w hierarchii, czasami odsyłając należną część dziesięciny, jeśli wpłynęła, bo o to nie bardzo dbał. Z natury łatwowierny i łagodnego usposobienia, nie wiedział, a może nie chciał wiedzieć, że wątły posiew chrześcijaństwa zarasta znowu pogańskim chwastem, a jeśli nawet coś wyraźnie rzuciło się w jego niezbyt już bystre oczy, grzmiał i karami groził. Każdy jednak wiedział, że nigdy do nich nie sięgnie, a on rozumiał, że póki nie otrzyma wykształconych kapłanów do pomocy, niczego sam nie wskóra. Na synodach przypominał zapomniane nauki i przepisy nowej wiary w nadziei, że kiedyś nadejdzie pomyślniejszy czas, gdy zakwitnie i wyda owoce, rad, że tymczasem nie ma wrogów, którzy by chrześcijaństwo wyplenić chcieli, bo nie wadziło nikomu.

Pod twardą, ale sprawiedliwą ręką Sobiesława Mazowsze zrosło się już niemal w jedność i w spokoju zrosłoby się i z resztą ziem lechickich, ale podział ich po śmierci Mieszka przypominał niedawną jeszcze ich odrębność. Przesiąkały wieści, że w starym kraju Oda niemieckimi rękoma wprowadza niemiecki porządek, którego się lud obawiał. Dawni szczepowi książęta przypomnieli sobie niezależność, o której nie mogli już marzyć pod potężnym władcą całej Polski. Sobiesław zrozumiał, że jeśli praca jego życia nie ma pójść na marne, on nie może się podporządkować Odzie. Nie chciał zresztą. Sam wojownik z rodu i nawyku, za nic miał niewiastę, a nie uznawał przywódcy w młodym Mieszku, który jeszcze wojny nie zakosztował. Bez wahania natomiast uznałby zwierzchność Bolesława, którego podziwiał i w nim tylko widział prawowitego spadkobiercę Mieszka.

Po powrocie ze zwyczajnej zimowej wyprawy Sobiesław wojska do domów rozpuścił i sam wypoczywał po trudach. Pół wieku mu minęło, z górą pół kopy wypraw miał w kościach i czuł skutki braku dachu nad głową przez znaczną część zimy. Otrzymawszy wezwanie Ody na zjazd wielkanocny do Gniezna, jeno ramionami wzruszył. Stary książę nigdy go nie wzywał bez szczególnej potrzeby, nie żądał też od niego posiłków, wiedząc, że mazowieckie siły wyczerpuje obrona północno-wschodnich rubieży, Sobiesław zaś wiernie odsyłał znaczną część łupów z daniną. Czekał, co pocznie Bolesław, i nie miał zamiaru uznawać tymczasem innego pana nad sobą, a tym mniej pani. Zakazał też podległym sobie żupanom i wielmożom dawać posłuch Odzie i przestał myśleć o sprawie, wiele innych mając na głowie. Przypomniał mu o niej archidiakon. Przybieżał rozdrażniony, oznajmiając, że pismo otrzymał od biskupa o wysłaniu duchowieństwa dla misji na Mazowszu. Zarazem przyniósł pismo do wojewody. Sobiesław i tej sprawy nie uważał za pilną ni pory za

odpowiednią. Gdy jednak wyraził te wątpliwości, staruszek odparł:

- Biskupa to rzecz, nie moje prawo rozkazowi się przeciwić. Zaś prawdę rzec, z tych kapłanów, których mam, ni jeden się nie nadał. Wolę, że ich kto inny usuwać będzie, nie ja, i że zdjęto ze mnie ciężar pracy, której nie podołam.

Sobiesława tknęło to, co mówił Sabinus:

- A kto ma podjąć tę pracę? Wżdy obcy - nie znający kraju, a może i języka - jeno zamęt wprowadzą. Ochrony będę musiał im udzielić, bo lud się przeciwić może usunięciu kapłanów, do których nawykł. Przeczytajcie, czego Unger ode mnie chce.

Czuł w sprawie rękę Ody, a Dietrichowej córze tyle na szerzeniu chrześcijaństwa zależy, co i jej rodzicowi, którego okrucieństwo i wyzysk pierwszą przyczyną były buntu połabskich Słowian, ściągając na niego niełaskę cesarską. Sobiesław, sam ochrzczony i przestrzegający chrześcijańskiego obyczaju, rad byłby szerzeniu nowej wiary, a wraz z nią nowego ładu, który podnosi kraj i pomaga nim rządzić. Ale szerzeniu jej siłą przez obcych siłę był gotów przeciwstawić. Ze zmarszczoną brwią słuchał, jak archidiakon pismo Ungera tłumaczył.

Biskup pisał, iż z dawna wiadomo mu, że z chrześcijaństwa na Mazowszu pozory jeno zostały, czemu z braku duchowieństwa nie mógł dotychczas zaradzić. Gdy jednak pobożna pani, nie żałując starań i kosztów, zastęp duchownych sprowadziła, czas usunąć dotychczasowe zaniedbania, które polskiemu Kościołowi szkodę i ujmę przynoszą, podstawę dając zarzutom, iż w całej Polsce chrzest pozorny był tylko, a zarazem roszczeniom magdeburskiego arcybiskupa do władzy duchownej nad krajem. Rozumiejąc, że sędziwy archidiakon, zmuszony dotychczas przez palce patrzeć na błędy i zaniedbania swego duchowieństwa, sam silną ręką potrzebnych zmian przeprowadzić nie wydoli, zlecił to swym wysłannikom, którzy - z nikim nie związani - dobro jeno Kościoła będą mieli na względzie. Rozumiejąc, że i Sobiesławowi trudno byłoby dołożyć do tej pracy świeckiego ramienia z potrzebną surowością tam, gdzie pobłażał dotychczas, nie żąda od niego pomocy dla swych wysłanników, tym bardziej że już pani Oda o należytą pomoc i osłonę zadbała. Przestrzegała jeno przed braniem opornych w obronę, co by go zmusiło winnego nieposłuszeństwa obłożyć klątwą, a kraj interdyktem.

Sabinus, skończywszy czytać, odetchnął:

- Widzicie, że biskup i od was niczego nie żąda.

- Iście niczego... - Sobiesław urwał i zakończył: - Dziękuję wam. Może was też poproszę, byście pismo do Ungera wygotowali. Muszę sprawę przemyśleć.

Pozostawszy sam, Sobiesław stanął przy otwartym oknie, patrząc na lśniącą w promieniach wiosennego słońca Wisłę i rozległy, świeżą zielenią uprawnych pól okryty kraj. Spokój i ład, jaki tu panował, to jego dzieło, jego krew była spoiwem. Ni własnej, ni cudzej nie szczędził, gdy zachodziła potrzeba. Wyrosło już tu pokolenie, które w nim tylko znało rządcę i obrońcę ładu i bezpieczeństwa. Teraz ma patrzeć bezczynnie, jak dzieło jego życia będą burzyły obce, wraże ręce. W porywczym człowieku gniew wstawał przeciw Ungerowi, ale doświadczenie, znajomość ludzi i spraw przytłumiły go. Biskup, kościelnymi jeno zajęty sprawami, może nawet nie uświadamia sobie, jakie będą skutki jego zarządzeń. Narzędziem jest chytrej niewiasty, która wie, do czego zmierza. Jeśli Sobiesław posłucha Ungera i pozostanie na uboczu, u wydanego na pastwę obcych ludu straci

ugruntowaną od ćwierci wieku powagę i zaufanie. Wraz znajdą się inni przywódcy oporu, choćby za cenę przymierza z sąsiednimi poganami. Jeśli zaś Sobiesław stanie na jego czele, pozór da Odzie do zarzutu, że walczy z Kościołem. Wojny z Odą i Ungerem sam nie wygra, wyklętego Bolesław odrzec się musi, sąsiedzi nie pominą sposobności, by powetować straty.

Czynny i zaradny Sobiesław skręcał się w poczuciu bezsiły. Pozostaje grać na zwłokę. Nie czas znosić się z Bolesławem, którego wstawienie większą miałoby u biskupa powagę. Sam sprawę załadzić musi. Jeśli nie wskóra nic, stawi opór bez względu na skutki, choćby zyskał jeno związanie sił Ody. Nie zwykł ustępować bez walki, ale nigdy jeszcze nie myślał o niej z tak ciężkim sercem.

Wyszedł, by przygotować poselstwo do Ungera, rozmowa jednak z Sabinusem nie przyniosła mu ulgi. Sabinus gotów był jechać do biskupa, by sprawę przedstawić. Ale co wskóra potulny starzec u przełożonego, który wymagać zwykł ślepego posłuszeństwa? Sam zaś Sobiesław jechać nie mógł, by spraw nie spuścić z oka, nawet gdyby było pewne, że zdoła wrócić. Obecności w Poznaniu ukryć się nie da, Oda nie zawaha się skończyć z buntownikiem. W skuteczność pisma nie wierzył. Unger zapewne nawet nie odpowie, a jeśli odpowie - to nierychło. Biskup, równie jak Sabinus, jest przekonany, że od Sobiesława nie żąda niczego, a wszelkie napomknienia o oporze tylko rozdrażnić mogą samowolnego człowieka.

Noc nie ukoiła rozterki Sobiesława, troska nie pozwalała mu zasnąć, zmorą ciążyła odpowiedzialność. Przez cały żywot nawykł działać otwarcie. Teraz żałował, że jawnie odmówił posłuszeństwa Odzie; ale co zyskałby, stając na wezwanie? Wiedział, że Oda w innych ziemiach obcymi siłami zabezpieczyła swe panowanie. Nie omieszkałaby i na Mazowszu tego uczynić. Łatwiej się bronić przed jarzmem, niż je zrzucić. Już teraz niektórzy żupani i wielmoże, mimo zakazu wojewody, złożyli jej hołd i przyjęli obce załogi do swych grodów. Wola zmarłego księcia stanowiła dogodny pozór, by się od walki z Odą uchylić, przywileje i nagrody za posłuszeństwo - przynętę. Gdyby Oda raz ustaliła swą władzę, rozproszony opór stłumi bez trudu. Sobiesław musi go stawić, póki skupia mazowieckie siły w swych rękach. Ale wiąże go groźba Ungera.

Zerwał się z posłania. Parzyła dera, którą był nakryty, zdało mu się, że w komorze brak powietrza, by odetchnąć. Rozwarł okno i patrzył na zalany księżycowym światłem kraj. Noc była chłodna, na grodzie panował spokój, cisza aż dzwoniła w uszach. Przerwało ją pianie kurów, grodowym zawtórowały z osady nad rzeką. Gdy umilkły, coś mąciło nadal spokój, jakiś odgłos daleki, ale coraz wyraźniejszy. Głuche dudnienie kopyt idących ostrym kłusem koni zbliżało się i nagle ustało.

Sobiesław jął się pospiesznie ubierać. O tej porze nie zwykły przychodzić błahe wieści. Wybiegł na dziedziniec i skierował się do zachodniej bramy, skąd dochodziły głosy ludzkie. Pod bramą stało trzech jezdnych, oznajmiając się straży.

Sobiesław, nie pytając, kazał furtę otwierać. Przybyli, zeskoczywszy z koni, wprowadzili je na podworzec. Mimo niepewnego światła zachodzącego księżyca Sobiesław zauważył ciemne plamy potu na końskich bokach i białe płaty piany przy pyskach. W chłodzie przedświtu rumaki dymiły, widno jeźdźcy nie szczędzili ich.

Sobiesław polecił im iść za sobą. Na grodzie wszczęło się poruszenie, w świetlicy smolne szczapy płonęły już w kunach, a na palenisku pachołek rozniecał ogień.

Wojewoda kazał mu wyjść i zwrócił się do przybyłych. Dwaj młodzi stali, widocznie nie śmiąc usiąść bez przyzwolenia, stary jednak ciężko opuścił się na ławę, mówiąc:

- Koniska nam zeszkapiały i ja też. Każcie je wytrzeć i naobroczyć, zwólcie im się wytarzać, a

nam siedzieć. Pokłońcie się wojewodzie i siadajcie - zwrócił się do towarzyszy - widzę, że i wam nie pląsy w głowie.

Sobiesław głową skinął na pokłon młodzików, a stary zaśmiał się z wysiłkiem:
- To są Męcimir i Leścik Świeborowice, czyli moi, a jam jest żupanem w Mstowie. Od kniazia Bolka my wysłani z wieściami i rozkazem.

Sobiesław odetchnął głęboko, jakby mu brzemię zdjęto z barków.
- Mówcie! - rzucił niecierpliwie.

Cokolwiek przywożą, skończyła się rozterka. Ale stary oparł głowę na ręku:
- Zwólcie chwilę odpocząć. Pusty jestem jak dziurawy orzech. Dobrze, żem własnego imienia nie przepomniał.

Twarz miał poszarzałą, mrużył wpadnięte i zaczerwienione oczy, walcząc ze snem. Sobiesław zaklaskał na pachołka, kazał podać posiłek, a czekając, zagadnął młodych:
- Skąd jedziecie? - Gdy nie otrzymał odpowiedzi, rzucił niecierpliwie: - Niemiście?
- Ostawcie głuptaków - wtrącił stary. - Nie lza im gęby otworzyć bez mego przyzwolenia, ale sam powiem, co trzeba, jeno się napiję.

Gdy pachołek wniósł jadło i napój, Świebor wychylił nalany mu kubek miodu i zwrócił się do synów:
- Teraz wolno wam gęby otworzyć, ale jeno do żarcia.

Jak zgłodniałe zwierzęta rzucili się na jadło, stary jednak, miast opowiadać, zapytał:
- Był u was posłaniec biskupa?
- Pisma przywiózł do mnie i do archidiakona. Ani wiem, co poczynać.
- Na Ungera nie zważać, co żywej siły ściągnąć zdołacie - za Wisłę przeprawić, do Zakroczymia, Czerwińska i Płocka, brody obsadzić i czekać.
- Zacznie się? - zapytał wojewoda.
- Już się zaczęło. Tedy nie zwlekajcie.

Wojewodę paliła ciekawość, ale powściągnął ją, wstał i wyszedł. Dopiero szarzało, gdy na grodzie ruch się wszczął jak o pełnym dniu. Skrzypiały żurawie, dudniły wiadra, potem zazgrzytały wierzeje, zatętniły kopyta i ucichły w oddali, ale spokój nie wrócił. Gród gotował się do obrony. Sobiesław od dziesiątek lat zwykł go za dom swój uważać, nie chciał go oddać bez walki. Jeśli nie utrzyma, przeprawi się w ostatniej chwili za Wisłę. Wydawszy zarządzenia, wrócił do świetlicy. Posłańcy spali, gdzie który usiadł. Choć żal mu było przerywać sen Świeborowi, zaczął go trącać:
- Ocknijcie się. W łożu milej starym kościom.

Nie otwierając oczu, żupan mruknął:
- Żeby mnie za nogi obwiesili, też bym spał.

Otrzepał się jednak jak pies z wody, otworzył oczy i zapytał:

- Co chcecie wiedzieć?

- Skąd jedziecie, co się zaczęło, co kniaź zamierza, co z Ungerem i co mi poczynać? Wżdy nie będę stał i patrzył.

Żupan przetarł oczy wierzchem dłoni:

- Dwóch was widzę, nie wiem, do którego gadać. Ninie macie stać i patrzeć, tedy zwólcie mi spać, bo już zabyłem, o coście pytali.

Ale wojewodę paliła niecierpliwość:

- Łaźnię wam zgotować kazałem i łoże; póki nie zgotują, napijcie się i gadajcie. Skąd jedziecie?

- Ninie od Ungera. Kniaź mnie wysłał z zapytaniem, zali biskupowi wiadomo, że Przybywój bunt pogański wywołać ma na Mazowszu, by go siłą stłumić i panowanie Ody ugruntować.

- Skąd zasię o tym wiadomo Bolkowi?

- Skąd wiadomo, to wiadomo. Oda w cztery oczy z biskupem gadała, jeśli małego Mieszka nie liczyć. A z Przybywojem nawet bez Mieszka. Unger nie pytał, skąd wiadomość, jeno zeźlił się i rzekł mi, że czyni to, co dla Kościoła za korzystne uważa, w niczyim ręku nie będzie kukłą ni sprawiać się nie obowiązany.

- Cóże wy na to, bo owe pisma jawnie na Ody młyn woda.

- Rzekłem mu, że sławnej pamięci kniaź Mieszko, Mazowsze przyłączając, poręczył, iż siłą nawracane nie będzie. Bolko słowo rodzica zdzierży, a jeśli biskup za nic je ma, tedy i wszelkie nadania, i przywileje, jakie od Mieszka otrzymał, nieważne, on zasię niechaj się do Ody przeniesie, skoro z nią trzyma, bo mu tam bezpieczniej będzie. - Stary zaśmiał się i ciągnął: - Unger udał, że nie rozumie, jednak zrozumiał, bo odparł, że w spory między dziedzicami wciągnąć się nie da, jeno kościelnych spraw pilnuje, a jego prawo i obowiązek pogan do prawdziwej wiary przywodzić. Tedym mu przytaknął i pokorną prośbę przedłożyłem, by jeśli ma kapłanów do zbytu, na Pomorze ich skierował, a zbrojną osłonę wraz z nimi, bo tam krzyża nie uświadczy i stawiać go niebezpiecznie. A na Mazowszu naród spokojny, słucha, co mu gadają, nijakiej siły nie trzeba, bo wszelkie bezpieczeństwo dla misji wy poręczycie. Nie miał co odrzec, jeno drugie pismo do was przygotować kazał, byście kapłanów owych jako wysłanników jego przyjęli i bezpieczeństwo im zapewnili.

- Jakoże mi teraz tym sobie głowę zaprzątać, gdy - jak mówicie - zaczęło się!

- Ani kapłani nie przyjadą, ani pismo pewnikiem nie przyjdzie, bo się biskup z Odą pocięli. Unger zażądał, by połowę kapłanów, jakich sprowadziła, Sabinusowi do Czerska odesłała, drugą połowę wraz ze zbrojnymi, którzy ich chronić mają, do biskupa, on zasię przyda im pobożnego kanonika Reinberna i na Pomorze skieruje.

- Cóże Oda odpowiedziała?

- Nic. Juści nie posłuchnęła, aleć i o to mi szło.Już jej zgraja na Mazowszu sobie poczyna, jak ongiś jej rodzic na Połabiu. I zda mi się, że tak samo wyjdzie.

Sobiesław aż się poderwał:

- Czemuż mi tedy bezczynnie stać?

- Bo sami nie uradzicie, kniaź zasię ruszyć nie może, póki wieści nie otrzyma, zali Kutanowi

Włodzimierza osadzić się udało. Huf mu też podesłał, niewielki, ale wyborny, którego powrotu czeka, bo ninie każdy miecz ważny. Po wtóre - niechaj Oda swych sprzymierzeńców na Mazowsze zapcha i po grodach rozproszy, to ich jako pisklęta z gniazd wybierzem, a choćby głodem umorzym.

- Ninie oni nam ludu namorzą - mruknął Sobiesław z troską w głosie.

Ale żupan odparł:

- Każda wojna ludzi morzy. Byle nie darmo, to obstoim. Coś ta zawżdy ostanie na rozpłodek. Lepsze to, niż zdychać w obcym jarzmie jak wytrzebiony wół. Uderzy kniaź - koniec będzie przybłędom.

- Byle nie darmo - w zamyśleniu powtórzył wojewoda. - A jeśli Czesi z Bawarami od południa najdą? Ciężko może być.

- Pojechał Stoigniew do Ottona, może jak łońskiego roku wskóra, by ich powstrzymał. A jeśli i nie, kniaź swoją głowę ma. Chcecie myśleć za niego, to myślcie. Mnie zasię już się zda, że mam po dziesięć palców u ręki. Tyleście o łożu gadali, a nie widzę go.

Sobiesław uśmiechnął się i wstając rzekł:

- Tedy zbudźcie synów i pójdźcie.

- Niechajcie ich. Ja za młodu i na kupie kamienia spać mogłem, nawet nie sam. Prowadźcie!

Na urwiskach Wawelu przekwitły już tarniny, głogi rumienić się zaczynały, a gród zdał się drzemać w dogrzewającym słońcu. W ciepłe już noce zabudowania tonęły w ciemnościach, jeno wysoko na stołbie szpary okiennic przesączały słaby poblask. Gdy zgasł, gród mógł wydawać się pusty, gdyby nie odgłos kroków strażnika na wałach lub nierzadko zgrzyt otwieranej furty w północnej bramie. Południowa zawalona była kłodami i gruzem, widno ludzi na straż brakło, ale gród nie spał. Raczej zdał się czaić czy oczekiwać.

Bolesław tu czekał na wieści. Nadlatywały ze wszystkich stron jak pociski czasu oblężenia. Stoigniew doniósł, że Pobożny nie tylko nie przysłał Ottonowi posiłków przeciw poganom, ale nawet poselstwa na wielkanocny zjazd. Zaprzysiężony wróg Hodo zmarł, w jego miejsce margrafem wschodniej marchii został Gero. Samo imię nie wróżyło w nim przyjaciela. Na pośrednictwo Wojciecha Stoigniew radził nie liczyć. Biskup wrócił już do Pragi, uroczyście witany, Pobożny uznał nawet prawo biskupa do budowy kościołów, nakładania dziesięcin, do sądów w sprawach małżeńskich, zapewne chciał przez Wojciecha załagodzić Sławnikowiców, by wewnętrzne zamieszki uciszyć, które Rudy rozpętał w czasie jego choroby. Potrzebował spokoju, by siły na zewnątrz skierować. Należało się spodziewać uderzenia.

Na granicy Moraw zawrzały już walki. Nie było wątpliwości, że Pobożny działa w porozumieniu z Odą, bo wojska jej wraz z posiłkami sprzymierzeńców jednocześnie wkroczyły na Mazowsze. Chmury gromadziły się od południa i północy, czas naglił, a Bolesław wciąż jeszcze czekał wieści od Kutana. Musiał się upewnić od wschodu, by zacząć działać. Czekał jak na rozpalonych węglach, z czujnego snu budził go każdy zgrzyt otwieranej furty.

Ale nadchodziły tylko wieści, że walki na Morawach posuwają się w głąb kraju. Książę zakazał obrony grodów, by zamkniętych w nich sił nie tracić, zakazał stawać do walnej rozprawy, która jeno klęską skończyć się mogła, gdy większość swych wojsk trzymał w gotowości na granicy Wielkopolski. Ogołocił z nich nawet Kraków; postanowił stawić wszystko, by skończyć z Odą. Opór

na południu jeno opóźniać miał postępy Czechów, gotując im zasadzki i nocne napady, ale Czesi sami znali kraj i podstępne sposoby wojowania, opór nie mógł być dość skuteczny.

Czekał też Bolesław na powrót Świebora i Stoigniewa. Musiał wiedzieć, czy Unger dał się odciągnąć od współdziałania z Odą, musiał wiedzieć, co pocznie Sobiesław, Stoigniewowi zaś chciał powierzyć uderzenie od zachodu. Winien już wrócić, zjazd w Merseburgu skończył się dawno, Bolesław zaczynał się niepokoić. Oczekiwanie w ciągłym napięciu wyczerpywało jego siły i cierpliwość, tymczasem zaś Krasnota Suchorad, na czele czeskich i bawarskich zastępów, zbliżał się do granic Wiślan. Szedł jednak wolniej, niż mógł przy słabym oporze. Bolesław przypuszczał, że czeka na nadejście głównych sił czeskich lub na wieść, że wojska Ody opanowały Mazowsze i gotowe są uderzyć od północy. Nie mógł wiedzieć, czego sam Krasnota sobie nie uświadamiał, że stary wojak nie ma serca do tej wojny. Próżno mówiły mu doświadczenie i rachuba , że Bolesław oprzeć się nie zdoła. Z zetknięcia z nim wyniósł przekonanie, iż w tym Mieszkowym synu tkwi siła, której się obliczyć nie da. W słabości oporu wietrzył podstęp, nie mógł zrozumieć, dlaczego Bolesław niemal bez walki oddaje kraj, którego ustąpić nie chciał w zamian za przymierze dające mu wolną rękę wobec Ody.

Bolesław nie mógł dłużej czekać na nadejście Krasnoty. Niecierpliwość i niepokój o Stoigniewa zmieniały się w gniew. Niełatwy był wybór człowieka, który Stoigniewa zdołałby zastąpić. Dawnym Mieszkowym wodzom Bolesław nie ufał. Nawykli słuchać starego kniazia ślepo, nie było pewne, czy przeciw woli zmarłego zechcą wystąpić. Jakby w świetle błyskawic wiosennej burzy, która po dusznym wieczorze rozpętała się nad okolicą, to rozdwojenie stanęło wyraziście przed oczyma Bolesława. Po raz pierwszy od dawna spał twardo, nie nasłuchując przez czujny sen głosów z grodu, zgłuszonych hukiem gromów i wyciem wichru. Dopiero gdy pomruki burzy zamarły w oddali, a niebo jeno czasem zamrugało na wschodzie odległą błyskawicą, przez jednostajne szemranie deszczu po gontach przebiły się odgłosy, które rozbudziły czujność Bolesława. Spał jeszcze, ale przez sen słyszał niezwykły o tej porze ruch w świetlicy, na przyziemiu. Ocknął się:

- Co się tam dzieje! - zawołał.

Gdy wpadł komornik, zapytał:

- Wieści przyszły?

- Wilczek Awdaniec przywiódł poselstwo od miłościwej siostry waszej.

Bolesław zerwał się żywo. Rzadko miewał wieści od umiłowanej Świętosławy, nie widział jej od ośmiu lat, ale często myślami wracał do niej. Pewność jej przywiązania i życzliwości pozwalała mu w niebezpiecznym czasie odwrócić oczy od północnych granic. I ona uczyni wszystko, by pomóc wygnać znienawidzoną macochę, a wpływ jej na starego męża, któremu dała następcę, był nieodparty.

Choć dopiero niebo szarzało na wschodzie, Bolesław nie chciał czekać ranka. Przybierał się niecierpliwie i niemal pobiegł do świetlicy. Na jego widok siedzący za stołem czterej mężowie zerwali się, wkładając przemoczone kubraki, które suszyły się rozłożone na ławie. Bolesław zwrócił się do Wilczka:

- Rzeknij im, by ostali, jak są, niech jeno gadają. A ty przekładaj co rychlej, by mi cierpliwości starczyło.

- Po cóż mi przekładać - mruknął Wilczek. - Wżdy Jaskotel naszej mowy nie zabył.

Bolesław, radośnie zaskoczony, powiódł wzrokiem po przybyłych. Gdyby mu Wilczek nie rzekł, nie poznałby starego druha, z którym tyle wspólnie przeżyli. Odmienił go normański strój i bujna jasna broda, ale oczy pozostały te same, żywe i młode. Książę postąpił ku niemu, wyciągając ramiona. Jaskotel pochylił się do jego kolan, ale Bolesław objął go:

- Witajże mi! Jakoby mi najlepszy miecz oddał. Ba! Jako ręki mi cię brakowało...

Urwał. Przypomniał sobie wyrzut Zbisławy, Jaskotelowej matki, że myśli jeno o pożytku, jaki ma z przyjaciela, który nie bez jego winy iść musiał na wygnanie. A oto gdy powrócił po dwóch latach, wpierw o tym pomyślał, że będzie jemu przydatny. Zapytał:

- Jakoże Wrochna cię witała i chłopaki? Pewnikiem i oni cię nie poznali?

Ani ty ich. Prawda, że najmłodszego na świecie nie było, gdyś wyjeżdżał.

- Poznam go pewnikiem, bo Wilczek prawi, że do pierworodnego podobny. A tamtych poznam, bo jako żywi przed oczyma zawżdy mi stali. Ale ninie prosto z Uppsali jedziem, tedy nie widziałem ich jeszcze.

- Wżdy Skarbno nie bardzo z drogi. Skoczyć trzeba było do nich.

Natęskniła się Wrochna zadość.

- I ja także! Wstąpić chciałem, jeno Wilczek nie zwolił. Prawił, żeście mnie w miechu przywieść kazali. Nie trzeba było, bo sam się zbierałem, jenom o śmierci kniazia Mieszka posłyszał. Ciągnęło i wcześniej, jeno nijak było oczy pokazać panu, który mi niewdzięczność, omal nie przeniewierstwo zarzucił.

W głosie Jaskotela zabrzmiał żal, a może i gorycz. Bolesław zachmurzył się. Wiedział, że Jaskotel odmówił prośbie Mieszka o objęcie opieki nad małoletnimi synami księcia, by ich przed pierworodnym zabezpieczyć. Czy można teraz żądać od niego, by przeciw przyrodnim jego wystąpił, gdy sprawa ta do dziś gryzie widocznie Jaskotela? Lepiej nie wystawiać wypróbowanej od pacholęcych lat przyjaźni na nową próbę. Ziemię i władzę można stracić i odzyskać, przyjaciela nie. Powiedział już spokojnie:

- Raduję się, żeś wrócił, ale mniemam, że bardziej jeszcze Wrochna ujrzeć cię rada. Jedźże tedy do niej i siedź, póki wola. Bez jednego wojaka wojna będzie.

- Jakoże mi teraz jechać, gdy - słyszę - skoro ruszacie.

- Nie trap się o to. Wojny ci nie zabraknie. Ninie na wieści czekam od Kutana, a bardziej jeszcze od Stoigniewa. Gdybyś go spotkał lub zwiedział się, gdzie bawi, daj mi wiadomość, a jemu rzeknij, by tu nie jechał, jeno w Poznaniu dowództwo objął nad drużyną, grodowymi i co tam jeszcze ściągnie. W głowę zachodzę, co się z nim stać mogło. Niech sam miarkuje, co poczynać, na rozkazy nie czekając, bo późno przyjść mogą. Gdyby go nawet w drodze przygoda jakowaś spotkała, nie był sam. Ktoś ci wiadomość dać winien.

- Dzięki wam - odparł Jaskotel ze źle ukrywaną radością. - Stoigniewa wam odszukam i sam długo nie zabawię. Niech mnie ino Wrochna puści.

- Gdybyś na to czekał, tak mniemam, że w sądny dzień się obaczym.

Bolesław się zaśmiał, ale na duszy lekko mu nie było. Niejeden w bratobójczej wojnie nie zechce wziąć udziału, czy przez szacunek dla woli zmarłego księcia, czy z obawy, że w razie

zwycięstwa Ody trzeba będzie dać głowę lub na wygnanie iść. Nie będzie kresu wahaniom i rozterce, póki nie skończy z Odą.

Widząc, że szwedzcy posłowie zasypiają nad misami, Bolesław zwrócił się do Wilczka:

- Zaprowadź ich na spoczynek, a gdy się wywczasują, przyjmę ich o każdej porze.

- Skoro zezwalacie mi jechać, zwólcie się pożegnać - powiedział Jaskotel.

- Deszcz ustał, na koniu się prześpię.

- Wierę, że ci pilno, tedy nie zatrzymuję. Zresztą i ja o każdej godzinie ruszyć się spodziewam, by Sobiesława podeprzeć - odparł książę i wyszedł.

Po nocnej zlewie dzień wstawał zrazu mglisty, ale słońce, wzbiwszy się, przezierało przez opar. Szło na pogodę. Bolesław nie zamierzał już spocząć, choć zerwał się przed świtem. Wyszedł na zewnętrzny dziedziniec, by w stajniach sprawdzić gotowość koni, gdy posłyszał znany skrzyp furty w bramie. Pewnikiem Jaskotel wyjechał lub, jak zwykle, przyszły wieści z Moraw. Przychodziły coraz częściej, w miarę jak zbliżały się walki. Niespieszno było do nich Bolesławowi, na niepomyślne wieści zawsze pora. Posłyszawszy jednak, że ktoś szybko za nim nadąża, obejrzał się i odetchnął głęboko. Poznał Wisława Zabawę, który zimą wyruszył z hufcem wysłanym w pomoc Kutanowi. Wojak z dala już uśmiechał się. Choć znany z wesołości i lekkiego usposobienia, od którego wziął przezwisko, nie ważyłby się uśmiechać wobec księcia niosąc wieść niepomyślną.

Nie spodziewał się jednak Bolesław tego, co usłyszał. Wojak zagadnięty, dlaczego sam przyjechał i kiedy nadciągnie hufiec, odparł:

- Hufca nie ma, jeno przystawy. Przystawom zasię - wiadomo - dobrze się w drodze wiedzie, tedy i nie spieszą.

Widząc, że księciu żyły na czole wyskoczyły, dodał pospiesznie:

- Poselstwo prowadzim od Włodzimierza z samym Dobrynią. Brzuszysko ma duże, tedy prędko jechać nie może, by go nie uronił. Ale ku wieczorowi ich patrzeć, a jam przodem skoczył, by was uwiadomić.

- Pójdź ze mną, boś pewnikiem jeszcze nie śniadał, a ja takoż. Przy polewce opowiesz, jak było.

Wisława nie trzeba było prosić ni do jedzenia, ni do gadania. Bolesław zapomniał o troskach, słuchając opowiadania wojaka, jak pod Wasylewem Pieczyngowie obskoczyli Włodzimierza, który ciągnął im naprzeciw z niewielką siłą. Ruś broniła się silnie, ustępując z pola.

- Pod wieczór już było - ciągnął Wisław - gdyśmy uchodzącego Włodzimierza do bagnistej rzeczułki przyparli, przez którą jeno mostkiem niewielkim przeprawić się było można. Tedy co żyło ściągnęło się ku niemu. Kutanowi kudłacze w kożuchach nie rozerwą pancernych, z dala jeno z łuków szyli, a zmierzchało już. Jeśli przejdzie Włodzimierz, nam się pchać przez mostek, na którym dziesięciu tęgich Rusinów setnię zatrzyma, a reszta ujdzie, noc zostawiając za sobą, i szukaj ich w stepie. Tedy na nas kolej przyszła. Uderzyliśmy jakoby kamieniem w stado wróbli prasnął, że rozsypało się wszystko, a my przez mostek na drugą stronę i dalej prać rozproszonych, póki własną rękę widział. Trochę tam i naszych kości w błocie ostało. Gdy noc zapadła, stanęliśmy obozem, by rankiem pozbierać rannych i łupy i pochować poległych. Mniemaliśmy, że najdziem między nimi i samego Włodzimierza, którego na mostku widziano, a potem stracił się z oczu. Aliści, jak się okazało, chytrzec przytaił się pod mostkiem w zamęcie i uszedł w ciemności. Jak słychać, cerkiew

Przemienienia Pańskiego w Wasylewie wystawić ślubował z wdzięczności za ocalenie, bo w onże dzień bitwa była.

Ciągnęliśmy tedy na Kijów, nie spotykając już oporu, gdy poselstwo wyszło naprzeciw z darami i okupem dla Pieczyngów. Kutan, widząc, że gród oblegać by trzeba, do czego Pieczyngowie niesposobni, bo jeno z koni wojować zwykli, wolał wziąć mniej, a zaraz i bez strat. Tedy pokój zawarł, a do was poselstwo prowadzim takoż z darami i mirem. Myślę, że i wam w porę to przyszło, bo - jako słyszę - zaczęło się.

- Iście, że w porę - odparł Bolesław. - Jeno nie śmie Dobrynia pomiarkować, że i my cienko przędziem. Idźże tedy wywczasować, póki nie nadciągnie poselstwo. Zabawiaj ich, jak wydolisz, miodu nie żałuj. Łeb masz jak donicę, myślę, że ich przetrzymasz.

Wcześniej jednak niż poselstwo nadeszły mniej pomyślne wieści z Mazowsza. Na zmarnowanych w pośpiechu koniach przybyli posłańcy Sobiesława, donosząc, że wojska Ody zajęły już Mazowsze niemal po Wisłę, jak we wrogim kraju swawoląc i łupiąc bezbronną ludność, a okrucieństwem łamiąc najlżejszy opór, posuwają się do Czerska po trupach i zgliszczach. Gdzie dotarły przestrogi Sobiesława, ludność - niezdatna do broni - z mieniem uchodziła w lasy i bagna, a mężowie za Wisłę, gdzie Sobiesław gotował opór. Nagli jednak o pomoc, bo choć znaczna ilość uchodźców wzmocniła jego siły, ale zbrakło broni, a zachodzi obawa, że ruszy się Jadźwież. Donosił też, że sporo wielmożów, widząc siłę po stronie Ody, by siebie ocalić, wydało Przybywojowi obronne gródki i dworce, składając przysięgę posłuszeństwa. Sabinus jeździł do Przybywoja z prośbą, by poniechać kazał mordów i rabunku, ale ten zadrwił jeno, że najpewniej krzyż stać będzie na Mazowszu, gdy nie będzie komu go obalić.

Bolesław słuchał z zaciśniętymi zębami i niecierpliwie czekał na przybycie Włodzimierzowego poselstwa, by - odprawiwszy je - ruszyć, nie mieszkając. Dzień dłużył mu się, choć upływał na przygotowaniach. Nie wolno dopuścić, by chytry Dobrynia zauważył, że Bolesławowi więcej zależy na pokoju niż Włodzimierzowi, który mógł już wiedzieć o czeskim najeździe. By się wieść o Mazowszu nie rozeszła, kazał posłańcom Sobiesława wracać bezzwłocznie, z nikim nie mówiąc, i zawiadomić wojewodę, że on sam na dniach ruszy. Na rękę mu była obecność szwedzkiego poselstwa, dowód przyjaźni i przymierza z potężnym Erykiem Zwycięskim. Ściągnął też, ilu się dało, okolicznych wielmożów, wiedząc, że na Rusi jest obyczaj, by zawarte układy prócz samego władcy zaprzysięgali także jego dostojnicy.

Toteż dawno niebywały ruch i gwar panowały na grodzie, gdy pod zachód pogodnego dnia dano znać o nadciąganiu wracającego z wyprawy hufca wraz z poselstwem. Słychać ich było zresztą z dala, zanim się jeszcze ukazali, skręcając z sandomierskiego gościńca ku północnemu podjazdowi, gdyż ciągnęli hucznie ze śpiewem. Potężne głosy snadź śpiewały coś sprośnego, bo chwilami głuszył je śmiech. Gdy się ukazali, można było rozróżnić słowa:

Kiedym wracał od Przemyśla, Chyciła się dziewa dyśla, Ja jej prawię, na bok z drogi, Bo ci wjadę między nogi...

Tłum, zgromadzony przy bramie, ryczał ze śmiechu, ale umilkł, patrząc z wałów, jak świetny orszak Dobryni i potężny, choć uszczuplony hufiec polański piąć się jęły stromym zboczem ku bramie, gdzie w otoczeniu dworskich stał żupan krakowski, Sieciech Topór z Morawicy, w zastępstwie księcia witając poselstwo. Przed bramą Dobrynia zsiadł z konia i kłaniał się

Sieciechowi w pas, gładząc siwą brodę, a chytrymi oczkami zerkając na boki, jakby wszystkich chciał policzyć i wszystko pomiarkować. Długo spierał się z Toporem o pierwszy krok, zanim wraz z towarzyszami przekroczył bramę, by udać się na gospodę.

Gdy ruscy posłowie, wyparzywszy się w łaźni, wypoczywali po podróży, czekając na zapowiedzianą ucztę, wracająca z wyprawy drużyna rozbiegła się po znajomkach, opowiadając ciekawym o bitwie pod Wasylewem i chlubiąc się znamienitym łupem, czy to wziętym w boju, czy w okupie za jeńca. Nie poznać było po wojach trudów wyprawy, choć ten czy ów łeb czy ramię szmatami miał jeszcze owinięte lub świeżą blizną zaznaczone. Widno istotnie folgowali sobie w powrotnej drodze, a i teraz nie żałowali gardzieli ni do gadania, ni do picia. Toteż wszędzie brzmiały odgłosy beztroskiej wesołości.

Jeno stary Dobrynia, siedząc samotnie na gospodzie, w zadumie kręcił brodę. Słyszał o czeskim najeździe i jechał wymiarkować, czy jeno rozejm zawrzeć, potrzebny Włodzimierzowi po klęsce, czy trwały pokój i przymierze. Zaraz spostrzegł wojenne przygotowania, żadnych natomiast oznak niepewności czy nawet gotowości do obrony grodu. Widno Bolesław pewny się czuje. Na Rusi brakło soli, można by ją zaraz otrzymać u niego. Współzawodnictwo z Nowogrodem też skłaniało do pokoju.

Na wieczerzę wszyscy przyszli dobrze już podpici; Wisław nie żałował ni miodu, ni głowy. Niewiast ni duchownych nie było, toteż z miejsca zapanowała swawola i wrzawa. Bolesław, choć sam trzeźwy, nie hamował swobodnego nastroju, w którym na przemian młodzi woje świadczyli z wylaniem ruskim posłom, to kolnęli złośliwym słowem lub przyśpiewką. Rej wodził Wisław Zabawa. Choć pił niemal od rana, mniej był od innych pijany. Widno zmówił się z towarzyszami, gdyż przypinali się do coraz innego bojara, trącając się z nim po kolei, póki nie spili go, nie szczędząc przy tym pijackiej czułości ni uszczypliwości, rycząc ze śmiechu. Wisław obejmował Prastjena Tudrowa lub, klepiąc go po rozrosłych barach, prawił mu złośliwości, na które Prastjen, nie znając polańskiej mowy, jeno się uśmiechał z zakłopotaniem, podczas gdy polscy woje dławili się z hamowanego śmiechu. Potem Wisław wzniósł kubek i zaśpiewał:

Miły prastjen Tudrow niech nam długo żyje, Miłujem się z Rusią jako kiep i pyje (staropolskie nazwy męskich i żeńskich organów płciowych).

Na opak niż wojak, kiedy dziewkę ściska, Przódzim rzyć zerznęli, potem dajem pyska.

Wypił i wśród powszechnwgo śmiechu i wrzasków ucałował rozgłośnie bojara w zarośnięte policzki. Dobryni, który rozumiał polański język, a trzeźwy był, niezbyt się podobała śpiewka, ale Bolesław śmiał się rozgłośnie wraz z innymi i przypijając do posła, powiedział:

- Wybaczcie młokosom. Kąśliwe otroki i wyszczekane. Ale folguję im, póki nie przebiorą miary.

Dobrynia wypił i odpowiedział pobłażliwie:

- Niczego! Ogar też kąśliwy musi być i wyszczekany, inaczej do łowów niezdały.

Sądził jednak, że młodzież przebrała miarę, a młody książę powściągnąć jej nie umie.

Zaraz przekonał się, że był w błędzie. Gdy rozbuchany Wisław z kolei rozpoczął piosenkę o łajnie, które przytaiło się pod mostem, wyraźnie pijąc do Włodzimierza, Bolesław jeno ręką strzepnął i spojrzał na zuchwalca, który urwał w pół słowa, a nawet najbardziej pijani umilkli. Książę zaś powiedział, jakby nic nie zaszło:

- Ostatni korczak na cześć i zdrowie wielkiego kniazia Włodzimierza i czestnego posła jego, Dobryni. Potem spać.

Dobrynia, wracając na gospodę, powziął już postanowienie. Przymierze z Czechami zawiodło, Pobożny chorzeje, Rudy zdały legać z dziewką na ławie lub z dzbanem pod ławą, nie siedzieć na kamiennym praskim tronie. Mniej potężny przyjaciel mniej także kosztuje. Nie wątpił, że Bolesław łatwiej nawet z braćmi sobie poradzi niż ongiś Włodzimierz, którego wypiastował i na kijowski tron wprowadził. Łatwiej też się układać, póki Bolesław całego kraju nie obsiądzie i wrogów nie poskromi.

Dary, jakie nazajutrz, na uroczystym posłuchaniu, złożył Bolesławowi Dobrynia, były jednak drogocenne i wspaniałe: złote i srebrne naczynia, klejnoty kamieniami sadzone, tkaniny barwne, uprzęże bogato i misternie zdobione, aż oczy wojów, którzy nie chodzili na Ruś, zalśniły pożądaniem i żalem, że ujdzie im sposobność brania takich łupów, gdy pokój zawarty zostanie.

Książę jednak nie dał poznać po sobie, że w porę mu przyszło zasilenie wyczerpanego skarbca. Gościńce przjął z pozorną obojętnością, z uwagą natomiast i nieskrywanym zadowoleniem wysłuchał przemówienia Dobryni, który ciągnął bez zająknienia, jakby z gotowym układem przyjechał:

- Pan mój i siostrzan, wielki kniaź na Kijowie i Perejasławiu, kazał mi rzec tak: Ja,»Włodymir, kniaź ruski, i ilu jest pode mną jarlów, gudów i bojarów - chcemy mieć mir i drużbę po wsze czasy z Bolesławem, wielkim knieziem Polan, i wszystkimi jego ludźmi. Nigdy nie targnę się na wasz kraj i na tych, którzy są pod twoją władzą, ni przeciw niemu wojsk zbierać nie będę, ni obcego narodu naprowadzać. A jeśli kto inny targnie się na was, tedy i ja wystąpię przeciw niemu i będę z nim walczył, a jeśli i ty ze szczerego serca pragniesz trwałej przyjaźni, zaprzysięgnę na Boga, w którego wierzym, a ze mną moi bojarzy i wszystka Ruś, a ty ze swymi ludźmi - jako strzec będziem słusznych zobowiązań. Jeśli zaś tego, cośmy rzekli, nie dotrzymamy, natenczas ja i ci, co są pode mną, niech będziem przeklęci od Boga, w którego wierzym, niech będziem żółci jako złoto, niech będziem własnym orężem posiekani na śmierć. Wtedy pokój między nami zerwany zostanie, gdy kamień pływać pocznie, a chmiel grzęznąć. Niech widzą inne narody, jako przyjaźń jest między Rusią a Polany, a ktokolwiek ją zechce naruszyć, wszyscy, którzy chrzest przyjęli, niech doznają zemsty wszechmocnego Boga, niech będą osądzeni na zgubę w tym życiu i w przyszłym. A ilu jest nie ochrzczonych - niech nie mają pomocy od Peruna i Wołosa, od Dadźboga i Nyi czy w kogo wierzą. Niech będą niewolnikami w tym życiu i przyszłym, niech tarcze nie chronią ich, niech giną od własnych strzał i własnymi mieczami będą posiekani.

A że przyjaźń nasza ma być wieczna, a żywot człeka wieczny nie jest, niechaj żywie po wsze czasy we wspólnym potomstwie. Ty masz trzy córy, ja synów dwunastu, wybierzem, których węzłem małżeńskim połączyć, by zakładem był swojackiej przychylności.

Dobrynia skończył i skłonił się głęboko, ziemi ręką dotykając, a Bolesław odparł:

- Z wojny korzyść temu, co wygra, z pokoju każdemu. Niechaj wrogowie wasi będą moimi wrogami, przyjaciele przyjaciółmi. Słuszny układ nasz krzyżem na pergaminie umocnimy i zaprzysiężemy, każdy wedle swego obyczaju, zanim związkiem krwi umocnić go będzie można, gdy pierworodna córa moja do łożnicy zrała będzie. Wonczas się o wiano i oprawę ułożymy. W zakład zasię, że wiarę w słowach waszych pokładam i że moim wierzyć możecie, oręż wam w darze ofiaruję, gdyż skarbów wam nie brak, a w cenie jest na Rusi dobre żelazo, na którym nam nie zbywa.

Niechaj pozna Ruś moc jego na karkach swoich wrogów, miasto ma własnych.

Dobrynia, nie zmrużywszy oka, przełknął gładko przypomnienie porażek ostatnich dwóch lat, choć cierpkie było. Osłodził mu je zresztą Bolesław przy biesiadzie, ku uczczeniu układu po swojej prawicy go sadzając jako krewniaka i posła wielkiego władcy i przyszłego swojaka, a polańscy woje gorliwie zapijali z bojarami świerzą przyjaźń, tak iż niejeden pod ławę się zwalił.

Nazajutrz po urocztstym zaprzysiężeniu układu ruskie poselstwo, szczodrze obdarzone, ruszyło w powrotną drogę. Jeszcze na sandomierskim gościńcu nie zgasł kurz w spokojnym powietrzu upalnego dnia, gdy smuga jego wysuwać się zaczęła na sławkowskim i szybko wydłużała się ku północy. To Bolesław na czele przybocznego hufca gnał, nie czekając już na powrót Stoigniewa ni wieści od niego. Ustępował z pola Czechom, by prędzej skończyć z Odą. Na krakowskim grodzie tylu zostało ludzi, by było komu psy karmić. Ale książę wiedział, że psy go nie obronią. Powróci, gdy przyjdzie czas. Droga przed nim daleka i trudna, ale skończyła się rozterka. Myślał już tylko o walce.

Vii

W drodze do Merseburga Stoigniew nie zdołał zbliżyć się do»Ottona. Zatopiony w sobie czy zamodlony, zdał się nie dostrzegać, co dzieje się dokoła. Z»Wojciechem, który wraz ze swymi mnichami odłączył się wkrótce, żegnał się, nie tając łez, ale jakby się odprężył i poweselał, prowadząc nie kończące się rozmowy z Gerbertem. Stoigniew i z nim chciał nawiązać bliższą znajomość, by z jego wpływu skorzystać, ale podróżowali teraz szybko, zatrzymując się tylko na noclegi, a niemal nieustannie zlewy wiosenne nie sprzyjały zamierzeniom Stoigniewa.

W Merseburgu wpadli niczym w ukrop, miasto i zamek były przepełnione, gotowała się potężna wyprawa odwetowa za niszczącą napaść pogańskich Słowian. W tłumie wasali i dostojników, którzy stanęli na zjazd i wyprawę, Stoigniew spotkał Ekkeharda wraz z przyrodnim bratem Guncelinem. Nie widzieli się od lat, ale poznali natychmiast i odnowili chłopięcą przyjaźń i wspomnienia. Guncelin życzliwie wypytywał o Bolesława i sprawy polskie, wzajem ułatwiając Stoigniewowi rozpatrzenie się w niemieckich. Przyrzekał odwiedzić Bolesława sposobną porą, ale sam ruszał teraz na wyprawę i niewiele już mieli możliwości przestawać ze sobą.

Nadarzyła się natomiast sposobność zbliżenia się do Gerberta, choć nie w tym celu, jaki Stoigniew pierwotnie miał na oku. Otto, zmienny jak marcowa pogoda, zdał się zapominać, po co sprowadził filozofa. Podniecony i niecierpliwy, wśród gwaru uroczystości, zebrań i przygotowań do wyprawy, wrócił do świetnych strojów, wystawnych uczt i dworskich obyczajów, które uniemożliwiały swobodny dostęp do niego.

Stoigniew, sprawiwszy poselstwo, widząc, że nic nie wskóra, zbierał się już do kraju, wiedząc, że czeka go tam nowe zadanie. Na pożegnalnym zebraniu stał w tłumie dostojników obok Gerberta, a że zaciekawiał go człowiek, o którym powszechnie szeptano, wychodząc, zwrócił się do niego:

- Wkrótce wyjechać mi przyjdzie, rad bym waszą przewielebność przedtem odwiedzić i pożegnać.

Gerbert uśmiechnął się z pogodnym smutkiem:

- Nie będzie u mnie ścisku. Rad was ujrzę i dowiem się czegoś o waszym kraju, którego zgoła nie znam. I mnie wyjeżdżać, skorom tu niepotrzebny. Czekam jeno, by mnie miłościwy pan na drogę zaopatrzył, bo i o tym gotów zapomnieć.

Mówił spokojnie i bez goryczy, choć Stoigniew wiedział, że położenie jego nie było godne zazdrości. Wyklęty i zawieszony w urzędzie, nie miał po co wracać do Reims, a mniej jeszcze pozostawać w Niemczech. Otto jakby istotnie o nim zapomniał, nie przydzielił mu żadnego beneficjum, które umożliwiłoby Gerbertowi pobyt i tak niezbyt miły, bo odsuwano się od niego, rzekomo z powodu klątwy, pod jaką pozostawał. Ale Stoigniew wiedział, że tkwi w tym zawiść i niechęć do wyższości jego umysłu, jakkolwiek nie dawał jej odczuć nawet przydzielonym mu do posług pachołkom. Zwykł mawiać:

„Nauczam, co umiem, uczę się, czego nie umiem". Nie było oszczerstwa, którego by przeciw niemu nie miano: knowania, dwulicowość, zdrada. Co więcej - że czarownikiem jest i trucicielem, który spożył zakazany owoc z drzewa mądrości, duszę zaprzedał diabłu w zamian za wiedzę tajemną. Był ongiś zaufanym kanclerzem stryjny Ottona - Emmy, małżonki Lotara, potem służył Kapetowi, którego wysuwał jako opiekuna nad Ottonem - przeciw Willigizowi, pośredniczący między»Kapetem a cesarzową Teofano przeciw Lotarowi, gdy Lotar, nie osiągnąwszy stanowiska opiekuna, przeszedł na stronę Kłótnika. Nie on zmieniał panów, jego opuszczali, kiedy przestawał być potrzebny, tak jak teraz opuścił go Otto, czy przez młodzieńczą zmienność, czy pod wpływem duchownych dostojników. Stoigniew znowu zadał sobie pytanie, czy można się związać z nieobliczalnym młodzikiem. Zarazem żal mu było szczutego człowieka, który w jakiś nieodgadniony sposób przypominał mu Zbrozłę, choć w niczym do niego niepodobny. Jakby mimo woli powiedział:

- Młody pan zmienny jest.

- Los jest zmienny - odparł Gerbert. - Zda się mieć przyjemność w mieszaniu wszystkiego, wtrąca nas w przepaść i wynosi, ślepy, niestały, zdradliwy. Gardzę nim. Jeno nauka jest przystanią bezpieczną od wszystkich burz.

- Wybaczcie - rzekł Stoigniew - i mnie ongiś uczono. Nie mogę rzec, by znajomość pisma i obcej mowy nie była przydatna. Aleć to jeno narzędzie. A reszta zdała mi się martwa jak kamień, raz na zawsze jednaki, choć iście bezpieczny od wszystkich burz. Nie dla mnie zresztą żywot pędzić w przystani ni - jak biskup Wojciech - o wieczności jeno myśleć. Skoro Bóg żywym świat stworzył i ład swój na nim ustanowił, nie po to, by ludziom źle na nim było. A jako jest, wiecie. Od dzieciństwa krzywdy jeno znam, nieszczęście i nienawiść. Taka mi mądrość potrzbna, która wroga zniszczyć pomoże.

- Bóg stworzył świat wedle miary, wagi i liczby - odparł Gerbert. - A nauka służyć ma poznaniu wszystkich spraw, boskich i ludzkich, wielkich i małych. Ale sztuką sztuk jest rząd dusz, a najwyższym dobrem człowieka pokój i spokój, bo jeno w nim człek swobodnie działać może i myśleć. W miłości jeno ład, nienawiść burzy.

- A gdzieże ów pokój i spokój? Wiem ci, że nienawiść nie służy życiu, ślepi oczy. Trzymam ją na wodzy, ale jeno jako ogara, który rwie się, by go spuścić z troku. Wy w Galii może nie wiecie, co Niemce tu poczynają.

- Chętnie posłucham, czego nie wiem. Ale to wiem, że Bóg ludzi stworzył, nie narody. Pycha je zrodziła. Bóg języki pomieszał, by dziełu jej przeszkodzić, gdy człek umyślił wieżę do Niego

zbudować. Ale pozostawił ludziom rozum i wolę, i przykazanie miłości, przez które zbliżyć się mają, by nie było różnych narodów, jeno chrześcijanie, słudzy jednego Boga. I nie narody, lecz ludzi Bóg sądzić będzie. A nawet diabeł nie jest zły z natury swojej, jedynie przez użytek, jaki uczynił ze swej woli.

Stoigniew, głęboko zamyślony, żegnać się począł, wyjaśniając, że spotkać się musi przed wyjazdem z grafem Guncelinem.

- Zajdźcie i do mnie - odparł Gerbert. - Rad posłucham o waszym książęciu. Choć z różnych narodów pochodzim, jako widzicie, rozumiemy się, a czemuż, jeśli nie nauce, to zawdzięczyć?

Mimo iż spieszno mu było, Stoigniew skwapliwie skorzystał z zaproszenia, nie tylko w nadziei, że zmienny Otto wróci do człowieka, którego istotnie jak na drwiny los wynosił i poniżał. Sam przed sobą usprawiedliwiał zwłokę rozlewem wiosennym wód Sali, Mołdawy, Łaby i Czarnej Elstery, który utrudnił przeprawy i rozkwasił drogi, ale nie mógł zaprzeczyć, że chętnie przedłużył swój pobyt, ulegając urokowi człowieka, który zdał się stworzony do rządu dusz, a posłuszeństwa jeno własnym, wewnętrznym nakazom. Z wiedzy swej nie czynił żadnej tajemnicy, wszystko, co mówił, starał się uzasadnić, choć nie zawsze myśli jego można było nadążyć i wyniki jej czarem się mogły wydawać grubym umysłom. Zdumionemu Stoigniewowi wyjaśnił, jak można zmierzyć odległość położonego za rzeką przedmiotu, nie przeprawiając się, wysokość wieży, nie wchodząc na nią, jak obliczyć powierzchnię koła, jak z położenia gwiazd miarkować nocną godzinę. Okazał mu przyrządy, które własnymi sporządził rękoma, sprawnymi jak jego umysł, rysunki zegara, który wskazywać będzie godziny bez względu na porę dnia i nocy. Stoigniew, który z młodych lat nawykł do obcowania z najwyższymi dostojnikami i władcami i nigdy nie czuł się onieśmielony, zdawał sobie jednak sprawę, że jego pewność siebie płynie z rodu i dostojeństwa. Ale spokój i obojętność Gerberta miały źródło w nim samym, choć uznawał istniejący porządek i na nim oparte różnice miądzy ludźmi. Nie miał go jednak za niezmienny, raz na zawsze ustalony z Bożej woli. Nawet prawa papieża uważał za ograniczone prawami innych chrześcijan, nie przyznawał mu przywileju przemawiania imieniem Ducha Świętego, jeżeli zasłużonym życiem i mądrością wszystkich nie przewyższa.

Stoigniew, który co innego słyszał od swych mnichów, zrozumiał, dlaczego Gerbert został wyklęty i pozbawiony godności duchownych. Gnając już z powrotem, by nadrobić zwłokę, długo jeszcze rozmyślał o spotkaniu z tym niezwykłym człowiekiem. Gdyby takim, jak on, oddano władzę, świat byłby lepszy. W miarę jednak jak zbliżał się do granicy, myśl jego wracała do spraw, które stały się treścią jego życia. Nie ma pokoju i spokoju, lecz walka, nie o spokojnej przystani mu myśleć, jeno jak oprzeć się burzy.

A jednak znał taką przystań, we wspomnieniu została jak sen, z którego go przedwcześnie zbudzono: rodzinny dom, zagubiony w borach gródek nad leśnym jeziorem, mała siostrzyczka, rodzice, przyjaciele... A teraz w tej przystani pozostał jeno jeden rozbitek - samotna stara kobieta. I on jedyny jej pozostał z wszystkiego, co miłowała: w rzadkich chwilach, gdy zbłąkany w innym świecie umysł jej wraca do rzeczywistości, nie widzi go koło siebie. Stoigniew zawstydził się. Dla uroku Gerberta przedłużył nieobecność w kraju, choć pośpiechem starał się zwłokę nadrobić. Kosztem wypoczynku odwiedzić musi matkę, kto wie, czy i kiedy ją znowu zobaczy, gdy się rozpęta walka.

Zleciwszy orszakowi czekać na siebie w Poznaniu, Stoigniew ruszył na noc. W niespokojnym czasie pojedynczy jeździec łatwiej się przemknie niepostrzeżony bezdrożami niźli zbrojny hufiec.

Po północy zboczył z międzyrzeckiego goscońca ku Warcie, mało uczęszczanym szlakiem na Czarnków. Znużony koń na wyboistej drodze przeszedł w stępa. Stoigniew zrazu zadrzemywał, potem usnął głęboko. Gdy się zbudził, świtało, las skończył się, rozpościerały sie podmokłe łąki, miejscami zarośnięte wikliną, świadcząc o bliskości rzeki. Za nią dziedzina Ody, teraz już spać nie można. Stoigniew nie wątpił, że rada dostałaby go w swoje ręce. Przeprawiwszy sie wjechał w znane już bory, by bezdrożem dotrzeć do Koziego Rogu. Na skraju lasu zatrzymał konia. Oczy, nawykłe do zielonego mroku, mrużyły się od blasku. W czerwcowym słońcu lśniło jezioro, zamknięte z przeciwległego brzegu czarną, poszarpaną ścianą lasu, odbitą odwróconym porządkiem w jego gładkim zwierciadle. Brzegi srebrzyły się bezlikiem lilii wodnych, w pochylonym już słońcu złociła się piaszczysta łacha, miejsce dziecinnych igraszek. Wróciły jasne wspomnienia.

Stoigniew przymknął oczy, by odblask szczęścia choć przez chwilę jeszcze zatrzymać pod powiekami. Stary Dołęga gderać będzie, że się dzieciak w boru zabawił, macierz nic nie powie, jeno z westchnieniem ulgi przytuli do piersi i powiedzie po grającej barwami świetlicy, gdzie na zgłodniałego czekają przysmaki, a potem słodki sen w złotawym półmroku przytulnej komory.

Zatopiony w przeszłości Stoigniew nie zwrócił uwagi, że brama gródka otwarta jest na ścieżaj, a z dziedzińca dochodzą obce głosy. Dopiero wjechawszy, ocknął się. Po gródku kręcili się nieznani ludzie. Chciał się cofnąć, ale oczy jego padły na leżącego przed bramą człowieka. Zeskoczył na ziemię i przyklęknął przy nim. Stary włodarz Dołęga patrzył na niego półprzymkniętymi, martwymi oczyma. Na żółtoszarej twarzy, pooranej tysiącem zmarszczek, zastygł gniewny wyraz, jakby za złe miał Stoigniewowi, że poniechał ludzi, którzy go miłowali. Na ciele leżącego nie znać było obrażeń, jeno nieco sczerniałej krwi na wargach i w nozdrzach. Nie potrzebował już pomocy.

Stoigniew zerwał się na huk zatrzaśniętej bramy i sięgnął do miecza, ale nie zdążył go dobyć, gdy zwaliła się na niego gromada. Za chwilę leżał związany, dysząc z wysiłku, a czarna mgła przesłoniła mu oczy. Gdy przewidział, ujrzał nad sobą Odylena i zrozumiał, co się stało.

- I cóżę? Przecieżeś się namyślił odwiedzić starszego krewniaka. Ani wiesz, jakem ci rad. Jeno gdy Oda wróci do Gniezna, pojedziem w odwiedziny do swojaków. A już tobie rada będzie, aże mi zawiść. - Zaśmiał się i ciągnął: - Czemu nic nie gadasz? Mowny przecież jesteś. Nie będziesz ty żałował głosu, niech cię jeno Oda przepytywać zacznie.

Stoigniew, hamując wzburzenie, milczał, by nie bryznąć pogardą. Nad wszystkimi uczuciami przemógł niepokój o matkę.»Zapytał:

- Gdzie macierz mioja?

- Przecieś się odezwał. Co ci tam o szaloną staruchę. - Pod spojrzeniem Stoigniewa zmieszał się jednak i dodał: - Wraz ujrzysz matusię. Do loszkum ją zawrzeć kazał, bo darła się, aż w uszach świdrowało. Juści wiem, żeś do niej jechał, nie do mnie, tedy wdzięczność jej dłużnym, bobyśmy się inak nie spotkali. Niechaj pożegna synaczka, pewnikiem nie jurzy go więcej.

Stoigniew zacisnął zęby. Nie miał złudzeń co do własnego losu, obojętne mu było, gdzie go będzie wyczekiwał. Ale na myśl, że stara, słabowita niewiasta czekać ma końca w wilgotnej norze, skręcał się w poczuciu bezsiły. Dworzec nie podsklepiony był, bo niewysokie piaszczyste wzniesienie, na którym stał, podchodziło wodą. Jedyny loszek, a raczej norę wykopano nad samym

urwistym brzegiem koło wschodniej przystani, z wejściem po drabinie przez zapadowe drzwi sieni dworca. Jeszcze jako wyrostek, ciekawy wszystkiego, Stoigniew i tam zaglądał, ale nie znalazł nic ciekawego: zupełna ciemność, zaduch i wilgoć. Za jego pamięci raz jeno przetrzymano w nim schwytanych zbójow, zresztą nie służył niczemu, tak że Stoigniew niemal zapomniał o jego istnieniu. Powiedział, hamując gniew:

- Każcie zabrać stamtąd chorą niewiastę... I każcie pogrześć starego Dołęgę. Dość wstydu ubić stuletniego dziada. Bywa, że los się odmienia. Prostszy będzie nasz obrachunek. Może i wy jeszcze prośbę mieć będziecie do mnie.

- Chybabyś się ode mnie Weselowi lubo biesowi pokłonił, który tam czeka już na ciebie. Przy matusi milej ci będzie. Prosisz, a grozisz. Ale byś nie myślał, żem zgoła nieużyty, sługę twego pogrześć każę, bo skoro śmierdzieć zacznie w taki upał. A zdechł sam, jeno mu w gębę dałem, gdy pyskować zaczął.

Wspomnienie tego jednak zeźlić go musiało, bo, wskazując zwłoki pachołkowi, powiedział:

- Zakopać to ścierwo!

Stoigniew patrył, jak wleczono za nogi zwłoki człowieka, który rodzicowi jego ongiś życie ocalił, a jego samego na ręku wypiastował.»Nie rzekł już ni słowa, gdy go powiedziono do lochu. Przy wejściu Odylen kazał zdjąć mu węzy z rąk, by zejść mógł po niewysokiej drabinie. Potem drabinę wyciągnięto, zapadowe drzwi zatrzasnęły się nad Stoigniewem i znalazł się w ciszy i ciemności, która zrazu zdała mu się nieprzeniknioną. Dopiero po chwili dostrzegł wątłe światło w drzwiach, przeświecające przez szpary, gdy sam loch tonął w gęstej ciemności. Nie pamiętał jego rozmiarów, jeno że kształt miał wydłużony od budynku ku brzegowi jeziora. Macając oślizłe drewno ściany, ruszył w tym kierunku. Tuż u swych stup usłyszał szept:

- Swatek? Przyszedłeś, syneczku...

Dziecinnym go nazwała imieniem, dzieckiem dla niej pozostał. Ukląkł i, omackiem dźwignąwszy głowę matki, objął ją ramionami, tuląc się do jej piersi i gładząc włosy. Czoło miała spotniałe, oddech szybki i ledwo dosłyszalny. Ledwo też słyszał jej wysilony szept:

- Odchodzę do nich... Wiedziałam, że przyjdziesz pożegnać... a teraz już uchodź.

Zrazu myślał, że mówi przytomnie, ale szept stał się niezrozumiały. Jakby z naleganiem kilkakroć jeszcze powtórzyła: „uchodź:, nie zdając sobie widocznie sprawy, gdzie się znajduje. Całowała go spalonymi wargami, a wciąż rozróżniał w majaczeniu jej słowa: „droga przez jezioro...” Nieszczęsna, księżycowa droga przez jezioro, droga w zaświaty, po której ongiś odeszła mała siostrzyczka za swym umiłowanym, zostawiając matkę ze zmąconym umysłem.

Stoigniew rozpaczliwie szukać jął dokoła siebie naczynia z wodą. Nawet skazanym na głodową śmierć dawano siano i wodę. Istotnie namacał dzban, ale przewrócony. Na szczęście w wybrzuszeniu zachowało się trochę płynu. Gdy przytknął dzban do jej warg, piła chciwie. Potem szept jej wzmocnił się, wyraźnie i jakby z naleganiem powtórzyła kilkakroć: - Uchodź, droga przez jezioro... tam...

Zdała się coś wskazywać ręką, ale w ciemności nie widział nic. Nie przywiązywał zresztą wagi do majaczenia nieprzytomnej i sam zapadł w odrętwienie, pół jawę, pół sen. Znużenie, zaduch i poczucie bezsiły mąciły mu umysł. Stracił rachubę czasu, w głowie czuł pustkę. Jak pod sklepieniem

huczały w niej słowa Zbrozły: „Nie wiąż się z nikim i z niczym, a będziesz wolny”. Prawdę rzekł. Jedyne, co miłował, za przynętę jeno posłużyło, na którą złowiono go jak kunę w paści. W przełomowym czasie, gdy Bolesław czeka na niego, gdy tyle spraw domaga się jego głowy i ręki, siedzi bezradny. Ale jak można żyć, nie miłując niczego? Przytulił głowę do piersi matki i zapadł w drzemkę.

Zbudził go hałas i światło. Pachołek przyniósł dzban wody i placki z prosa. Pierwsze, co doszło do świadomości Stoigniewa, był dotkliwy głód. Ale nie poruszył się. Dosza spała w jego ramionach, pierś jej wznosiła się płytkim oddechm. Przez chwilę przy świetle widział jej twarz, potem znowu zapanowała ciemność, czas przestał płynąć, Stoigniew nie zdawał sobie nawet sprawy z położenia własnego ciała. Z odrętwienia wyrwał go szept:

- Ostaw mnie... droga przez jezioro.

Powtarzała to z uporem, który zaczął go nużyć. Gładząc ją po głowie, powiedział:

- Dobrze, matko. Jeno pożyw się.

Nie chciała jeść, ale piła chciwie. Potem słabymi rękami przytuliła jego głowę do piersi. Słyszał słabe i nierówne uderzenia jej serca. Chwilami zdało się stawać, z niepokojem czekał, czy jeszcze je usłyszy. Sam czuł się coraz słabszy. Jednego pragnął: pozostać z nią tak na zawsze.

Z otępienia wyrwało go niespokojne poruszenie matki. Powiedziała wyraźnie:

- Uchodź. Ostaw mnie.

- Nie ostawię cię, matko - odparł.

Może zrozumiała, bo z wysiłkiem położyła dłoń na jego pochylonej głowie:

- Mój synaczek... Błogosławię. Ja wnet odejdę na wieki. Uchodź, pomnij... droga przez jezioro.

Potem umilkła i Stoigniewowi zdało się, że usnęła. Sam też zapadł w sen, męczący, niespokojny. Otwartymi, wyschłymi ustami chwytał stęchłe powietrze, dusiła go zmora, bolało całe ciało. Wreszcie całkiem stracił świadomość.

Odzyskiwał ją z wysiłkiem, czując, że coś się stało. Nie słyszał oddechu matki ni uderzeń jej serca. Oprzytomniał. Dosza nie żyła.

Długo siedział, trzymając martwą w ramionach, a przed oczyma jego przesuwały się obrazy życia od najwcześniejszego dzieciństwa, bez ładu, jakby je ktoś potargał i rozrzucił. Wreszcie wstał i złożył sztywniejące ciało na wilgotnym piasku. Odetchnął głęboko; jest wolny, może umrzeć, nie żałując niczego! Potem uświadomił sobie, że jest potrzebny Bolesławowi, ale myśl ta zaiskrzyła się i zgasła, przytłumiona poczuciem bezradności.

Gdy zabrano zwłoki Doszy Stoigniew, osowiały, usiadł pod ścianą, objąwszy kolana dłońmi. Leniwie i obojętnie starał się przypomnieć sobie, jak dawno siedzi już w jamie. Pachołek przychodził raz na dzień, nawet pory dnia i nocy można było pomiarkować z przeświecania szpar w drzwiach i słabych odgłosów ruchu na górze. Ale dotychczas Stoigniew nie zwracał na to uwagi. Teraz już nie warto, w grobie czasu się nie liczy.

Tracił też poczucie rzeczywistości. We śnie rozprawiał z»Gerbertem, przestrzegał Wojciecha, naradzał się z Bolesławem. Ocknąwszy sie, mówił dalej, nim zdał sobie sprawę, że mówi sam do siebie. Jedyny to był zresztą głos rzeczywisty, jaki słyszał. We śnie najczęściej jawił mu się Zbrozło,

ale nie odpowiadał na żadne pytania, jeno kościstą dłonią wskazywał w kąt jamy, wpatrując się w Stoigniewa swymi bladymi oczyma, których martwy blask zdał się rozjaśniać norę.

Raz jednak przywołały Stoigniewa do świadomości rzeczywiste odgłosy, od których drżała ziemia. Nie było wątpliwosci, na polu szalała burza, grom za gromem bił, widno tuż koło gródka, bo jednocześnie z uderzeniami szpary w drzwiach rozjaśniał niepewny poblask. Potem błyski osłabły, stawały się rzadsze, coraz dłuższy czas mijał między nimi a odgłosami piorunów, wreszcie ustały i zapanowała cisza. Burza odeszła.

W ciszy tej zwrócił uwagę Stoigniewa jakiś odgłos słaby i jednostajny, jakby chlupot wody. Jezioro musiało wezbrać ulewą i rozkołysać się od wiatru. Nagle Stoigniewa uderzyła świadomość, że z jamy odległej od jeziora o kilka sążni nie mógłby słyszeć chlupotu fali. Odgłos zresztą zdał się bliski, jakby fala chlupotała w samej jamie, która pochyla się ku jezioru. Może niższą część zalała przesączająca się z wezbranego jeziora woda. Ale przechodząc przez warstwę piasku, nie może chlupotać. Stoigniewa tknęło jakieś jeszcze nie uświadomione przypuszczenie. Wstał i omackiem posunął się w kierunku odgłosu. Gdy dotarł do ściany, słyszał go pod sobą, całkiem blisko i wyraźnie. W podnieceniu zaczął rękoma odgarniać wilgotny piasek. Gdy odgarnął kilka cali, pojął już, że matka przytomnie mówiła o drodze przez jezioro. Jak z wydrzej nory jest wyjście poniżej poziomu wody, która rozkołysana burzą chlupocze w przejściu.

Stoigniew znał jezioro jak własną dłoń, pływakiem był tęgim, ale zdał sobie sprawę, że droga nie jest łatwa. Poza łachą, na której stał gródek, jedyne dostępne miejsce leży po przeciwległej stronie, wszędzie zresztą przy brzegach bezdenny muł. Trzeba przy rozhuśtanej fali przepłynąć na drugą stronę, przedzierając się miejscami przez pasma rzęsy i rzezawki. Ale Stoigniew nie miał nic do stracenia, nie wahał się też ni chwili. Z wysiłkiem usunąwszy kamienną płytę, zakrywającą otwór, zdjął kubrak i ciżmy. Opuściwszy się na dno studzienki, głęboko zaczerpnął oddechu i zanurkował. Płynąc z otwartymi oczyma, widział przed sobą jaśniejszy otwór i wynurzywszy się pod urwistym brzegiem rozejrzał się.

Była noc, nawykłe do ciemności jego oczy widziały wyraźnie, tym bardziej że wicher rozegnał chmury i przez strzępy ich przeświecały gwiazdy. Po nich pomiarkował, że do świtu już niedaleko. Fala szła jeszcze, ale uspokajała się już, zresztą była to okoliczność raczej korzystna, bo na gładkiej tafli nawet w ciemności mógłby ktoś zauważyć płynącego. Stoigniew słabą żywił nadzieję, że ujdzie. Jeśli nawet nie utonie, pachołek zauważy, że jeniec zbiegł, i będą go ścigać. Ale wszystko lepsze od bezradnego czekania.

Odbijając się od brzegu, z ostrożności zanurkował, wynurzając się jeno dla nabrania tchu. Gdy oddalił się kilkadziesiąt sążni, popłynął na wznak, by gródek mieć na oczach i oszczędzać sił, które nadwątlone były. Wiedział, że najcięższa praca czeka go na zarośniętych miejscach przeciwległego brzegu. Gdy minął głębię, odwrócił się na piersi. Mimo że płynął wolno, znużony już był, a zarośla zaczynały hamować jego ruch. Ciągnął za sobą całe płachty rzęsy, a cięcia rzezawki, tnącej skórę na obnażonych piersiach i ramionach, przeszywały go dreszczem. Bólu nie czuł w wodzie, ale wiedział, że krwawi. Kilkakroć zmuszony był nurkować, by oswobodzić oplątane zaroślami nogi, za każdym razem nie wiedząc, czy starczy mu oddechu, by się jeszcze wynurzyć. Krew łomotała w skroniach, przed oczyma latały płaty. Już miał się poddać, gdy pod nogami poczuł piaszczyste dno i stanął. Długo łapał oddech, nim ruszył do pobliskiego już brzegu. Płyciznę przebył pełznąc i - nie wyciągnąwszy się nawet z wody - legł wyzbyty z resztek sił.

Leżał z zamkniętymi oczyma, drżąc z zimna i wysiłku. Otworzył oczy, gdy przez powieki

przesączać zaczęło się światło. Wstawał pogodny dzień, nad borem lśniła jaskrawa zorza, lada chwila wyłoni się słońce, które ogrzeje go i wysuszy, zetnie krew sączącą się z setek drobnych ran, zlewającą się w jedną czerwoną płachtę na piersiach i ramionach. Teraz nie czuł ich jeszcze, ale zaczną dolegać przy każdym ruchu, który będzie je na nowo otwierał.

Odwrócił oczy od zorzy, by patrzeć na przeciwległy gródek, który zarysował się do najdrobniejszcych szczegółów w przejrzystym powietrzu poranka. Ongiś gniazdo ojczyste - teraz mogiła. To, co w nim przeżył ostatnio, zerwało jeszcze jedną nić wiążącą Stoigniewa z przeszłością. Wzrok jego padł na wychudłą dłoń. W promieniach słońca świecił na niej złoty pierścień z zielonym kamieniem, dar stryjenki Adelajdy, pamiątka niezapomnianego pożegnania i przyrzeczenia, które złożył jej na grobach przodków. Nie jest wolny, wiąże go ono, choć Adelajda nie żyje już. Nie może zezwolić, by na Piastowej dziedzinie rozpanoszyli się obcy. Rzuciła na niego urok, z którego nie potrafi i nie chce się wyzwolić. Wszystko inne stało mu się już obojętne: dostojeństwa, majętności, niewiasty. Nie ma takiej drugiej jak ona, płomień i kwiat.

Zadumane oczy zwrócił na gródek i dźwignął się z wysiłkiem. Na przystani dojrzał ruch, na wygładzoną już powierzchnię jeziora wysunęły się łodzie. Ścigają go!

Bez wiary, że ujść zdoła, zanurzył się w cień boru. Będzie uchodził choćby na czworakach i walczył choćby zębami. Pobyt w norze bez światła i powietrza, przy nędznej i skąpej strawie wyssał jednak siły Stoigniewa. Jeno dźwignął się, by w przybrzeżnych zaroślach ukryć się przed okiem pościgu, poczuł, że daleko nie ujdzie. Wyłamał kij, by podeprzeć drżące nogi, i ruszył wzdłuż brzegu na zachód. Kostur może też stanowić obronę przed psami, które prześladowcy niechybnie zabrali ze sobą. Ale nie obroni przed ludźmi, a starczy psi harmider, by zdradzić zbiega. Zdawał sobie również sprawę, że choćby go nawet pogoń nie dopadła, bez wypoczynku i odżywiania nigdy nie dotrze do ludzi, u których znaleźć mógłby pomoc. Mimo to Stoigniew nie odczuwał trwogi ni podniecenia, myśl zachował jasną i trzeźwą. Rozumiał, że jedyną jego przewagę nad wrogiem stanowi znajomość każdego niemal krza w okolicy. Jeśli zmyli ślad psom, nie znajdą go ludzie. Pościg niewątpliwie będzie szedł zrazu w kierunku Poznania. Potem szukać go będą gdzie indziej, wszędzie, jeno nie w samym gródku, gdzie potrafi się wśliznąć niepostrzeżenie. Byle doczekać nocy.

Stoigniew baczył, by iść z wiatrem. Opodal uchodziła do jeziora bagnista struga leśna. Dotarłszy do niej, wszedł w wodę pod prąd, mozolnie wyciągając nogi z mułu. Gdy dotarł do pochylonej nad wodą wierzby, wciągnął się po gałęziach na suchszy brzeg. Wiedział, że wprawne ogary zwykły jednak szukać tropu szerokimi zakosami, któryś przypadkiem może przejść strumień i wpaść na ślad zbiega. Skierował się przeto w głąb podmokłego lasu, gdzie wśród prastarych olch wiła się głęboka struga, dochodząca do jeziora naprzeciw łachy, na której leżał gródek. Korzenie drzew zwisały ku wodzie i kłębiły się w niej jak gady, pod nimi wypłukane były jamy, ulubione legowiska wyder. Stoigniew wszedł w wodę. To brodząc, to płynąc zmierzał ku ujściu strumienia. Wypoczywał co chwila, trzymając się korzeni i nasłuchując odgłosów pogoni. Szczekanie psów zrazu zbliżało się, potem umilkło, głosy ludzkie oddalały się ku południowi.

Nagle gdzieś blisko zagłosił pies i urwał. Stoigniew wsunął się za nawis korzeni i zanurzył po brodę. W tej chwili nurkiem pod prąd przepłynęła tuż obok niego ogromna wydra. Posłyszał tupot psich łap i na brzegu ujrzał ogara, który biegł w górę rzeczułki, poszczekując. Głosił zwierza, ale zwabić mógł ludzi. Jeno umilkł tupot psich łap, Stoigniew co prędzej popłynął ku ujściu. Dotarłszy tam, zatrzymał się i nasłuchiwał. Ale głosy umilkły w oddali, niebezpieczeństwo odkrycia go na teraz minęło.

Vii (cd.)

Ruszył dalej pasmem przybrzeżnych szuwarów i dotarłszy do opuszczonego łabędziego gniazda na kępie, legł i wypoczywał. Był tak wyzuty z sił, że nawet się nie opędzał rojom komarów, zwabionych widno zapachem krwi, która sączyła się z drobnych ran. Czekał, by zaschła w dogrzewającym już słońcu. Bronił się przed ogarniającą go przemożnie sennością, wciąż jeszcze licząc się z pościgiem, który, nie dopadłszy go w kierunku południowym, wkrótce pewno zawróci. Gdyby szedł zachodnim brzegiem, psy poczują zbiega, bo wiatr pociąga od jeziora. Siłą woli Stoigniew dźwignął się i ruszył dalej. Znał miejsce, gdzie mógłby spokojnie doczekać ciemności. Na północ, w głębi boru, nad strumykiem o piaszczystym podłożu, uchodzącym w zatoczkę u podstawy łachy, na której stał gródek, leży opuszczona chata, ongiś bartnika, potem wdowy po nim, która zioła zbierała dla Zbrozły. Zniknęła przed laty i ścieżka zarosła, bo baba za wiedźmę uchodziła, a chata za nawiedzoną. Może znajdzie w niej coś, co pozwoli zdobyć pożywienie lub posłuży za broń. Upalne słońce wysuszy ślad, nie znajdą go psy, a na podstryszu Stoigniew będzie mógł spokojnie odpocząć, by odzyskać trochę sił.

Dotarłszy do chaty, odetchnął. Sam omal byłby przeszedł koło niej, nie zauważywszy, tak zarosła chaszczami i pnączem. Żadnych śladów ludzkiego pobytu, jeno czas pozostawił swoje. Chata pochyliła się, zmurszała, gonty zarosły mchem, jeśli ich nie pozrywały wichury. Skórzane zawiasy drzwi i okiennic, zetlałe, puściły i wnętrze stało otworem dla słot i wichrów, które i tam dokonały spustoszenia. Kamienne palenisko rozsypało się, póła z domowymi statkami spadła, na polepie zasiała się roślinność, wśród której leżały szczerby potłuczonych naczyń. Żelazny trójnóg na kociołek przeżarty był rdzą. Obok, również zardzewiały, leżał nóż w kościanej oprawie. Stoigniew zabrał go, i tak lepszy niż gołe dłonie. Wyszczerbionym garnkiem zaczerpnął wody w potoku, bo dręczyło go pragnienie, i zabrawszy go wraz ze zmurszałą derą z posłania, wspiął się na poddasze.

Przez dziury w dachu wpadało tam jaskrawe światło dzienne, w którego promieniach wirujący kurz, wzbity stopami Stoigniewa, nie pozwalał widzieć ciemniejszych kątów. Stoigniew przeszukał je omackiem. W jednym leżała sterta różnych ziół, które rozsypywały się w proch pod jego rękoma. W drugim stała donica, ciężar jej zdradzał, że nie jest pusta. Stoigniew wyniósł ją do światła. Do połowy wypełniona była warstwą kurzu, pod którą znajdowała się jakaś ciemna, twarda niemal jak kamień masa. Stoigniew z trudem odłupał kawałek. Pod spodem jaśniejsza była, koloru ciemnego jantaru. Miód. Stoigniew szybko oszukał nim łaknienie, pragnienie ugasił wodą. Na stercie ziół rozesłał derę i ległszy, natychmiast zasnął, po raz pierwszy od dawna bez majaków i zwidów.

‘ty
Viii

Umysł Jaskotela zaprzątała jedna tylko myśl: że swoich wkrótce zobaczy. W ciągu dwóch lat na poły dobrowolnego wygnania uprzytomnił sobie, że syty już jest podróży, przygód miłosnych i wojennych, które za czasów lekkomyślnej młodości pędziły go po świecie, same dla siebie

stanowiąc treść jego życia. Niezawiniona niełaska starego księcia wygnała go z domu właśnie wtedy, gdy wreszcie się ustalił i przywiązał. Nieraz na obczyźnie w przystępie tęsknoty żałował, że odmówił prośbie Mieszka i nie zgodził się na objęcie opieki nad młodszymi synami księcia. Zapłacił za to wygnaniem i troską, ale za tę cenę teraz wolno mu pozostać na uboczu, nie mieszać się w rozgrywkę między dziedzicami. Życzył zwycięstwa Bolesławowi i spodziewał się go, ale wbrew woli starego księcia nie chciał ręki do tego przykładać. Trochę markotno mu było, że ci, którzy w ciężkim położeniu pomogą Bolesławowi, wysuną się na czoło w łasce i dostojeństwach. Od wyrostka nawykł pierwszy być w bitwie i pierwszy u księcia. Jak sam Bolesław powiedział - najlepszy jego miecz. Ale oto zgodził się, by rdzewiał w bezczynności. Jaskotel wdzięczny był Bolesławowi, że go zrozumiał, że nie chce służby wbrew sercu.

Pamiętał jednak, że mu Bolko wywiedzieć się polecił o Stoigniewa, a rozumiał, że sprawa ta ważna i pilna. Mimo to w Kaliszu skręcił z gościńca. Do Poznania pchnie posłańca po wieści, bliskość domu znowu wyłącznie zaprzątała wszystkie jego myśli. Jak powita go Wrochna i starsi synowie? Chłopaczyska już spore, pamiętać muszą ojca. Najmłodszego, swego imiennika, jeszcze nie widział, tęsknił za dziecięcą pieszczotą, której nie zaznał od starszych, ustawicznie będąc z dala od domu. Teraz odpłaci małżonce za lata tęsknoty i własną ukoi. Tymczasem rozwikłają się sprawy i będzie mógł służyć znów młodemu księciu, odzyskać swe miejsce. Bliskość domu wzmagała jego niecierpliwość, tak że na ostatnim popasie zostawił pachołka z jucznymi końmi, sam zaś wyruszył na noc.

Jak ongiś, gdy wracał z morawskiej wyprawy, na niebie stał pełny księżyc, oświetlając znaną już okolicę. Jaskotel rozpoznawał miemal każdy kamień czy drzewo przydrożne, jakby je wczoraj widział, a gdy wreszcie ujrzał skarbieński dworzec, przytajony w czarnym cieniu odwiecznych lip, wzruszenie odjęło mu oddech. Zatrzymał konia i poił się wytęsknionym widokiem. Cisza i spokój, których nie zaznał od dawna w ciągłym gwarze wojennego i dworskiego życia. Słyszał jeno bicie własnego serca, głośniejsze nawet niż wówczas, gdy przed dwudziestu laty z górą, jako wyrostek, przy boku ojca, po raz pierwszy szedł na wroga. Za kilka lat własny syn przy jego boku wdrażać się będzie w wojenne rzemiosło, by podtrzymać zawołanie ojca i dziada. Przygotować go trzeba, a samemu odpocząć.

Z marzeń o przyszłości wyrwało Jaskotela odległe szczekanie psa, które zmąciło ciszę. Lekki powiew przedświtu nie poruszył nawet liści na drzewach, ale widno doniósł psom znany wiatr, bo za pierwszym rozszczekały się inne i jazgot zbliżał się. Księżyc pochylił się i zbladł, z ziemi wstawała mgiełka, z której wyłoniły się cienie, i Jaskotel ujrzał się otoczony przez psią gromadę, ujadającą tak, że koń zaczął się boczyć. Zeskoczył z konia na ziemię, by uspokoić sworę, a psy skakać mu jęły do piersi, omal go nie wywracając. Klął i śmiał się jak wyrostek, ściskając kudłate cielska, i ruszył ku domowi wśród piekielnego jazgotu. Nie będzie potrzebował budzić nikogo, zresztą mgiełka nasiąkała już światłem, bliższe przedmioty nabierały barw, niebo zieleniło się na wschodzie. O tej porze ruch się zwykle zaczynał przy stajniach i oborach. Jakoż bramę zastał otwartą, a w półświetle wstającego dnia ujrzał przed nią starego włodarza, Czyża, który nic nie mówiąc, pochylił się do kolan pana. Przygarnął głowę starego sługi, o wszystko naraz chcąc wypytać:

- Pani doma? Zdrowi wszyscy? Co nowego?

- Doma. Zdrowi. A najważniejsze, żeście wrócili z obczyzny. Była już wieść, każdego dnia czekaliśmy.

Odebrał wodze konia z rąk Jaskotela, rozegnał psy, które ze szczekaniem rozbiegły się po całym obejściu, jakby głosząc powrót pana, i ruszył ku domowi.

Jaskotel zmieszał się nieco. Wrochna może za złe mieć mu będzie, że nie do domu skierował pierwsze kroki po tak długiej nieobecności. Ale wyjaśni jej, że teraz za to jeździć nie potrzebuje do księcia, wrócił i pozostanie.

Nie trzeba było żadnych wyjaśnień. Wyprzedzana przez dwóch wyrostków, z dzieckiem na ręku, biegła już Wrochna. Chłopcy dopadli pierwsi, ale Jaskotel nie zważał na nich i skoczył naprzeciw. Postawiła malca na ziemi, nie bacząc na jego krzyk, zarzuciła ramiona na szyję męża i tulili się bez słowa. Staliby tak długo, ale chłopczyk coraz głośniej upominał się o swoje prawa do matki, nie rozumiejąc, dlaczego porzuciła go dla tego obcego człowieka. Jaskotel podniósł go, lecz mały jął się wydzierać. Trochę przykro mu się uczyniło, że obcym wydaje się własnemu dziecku. Uścisnął starszych synów i szli do dworca, urywanymi słowami rzucając pytania i odpowiedzi. Przy posiłku uspokoili się i Jaskotel zapytał o matkę.

- Zjechała tu - odparła Wrochna. - Jeno na nogi słabuje.

Jaskotel poderwał się, ale Wrochna rzekła:

- Pójdę obaczyć, zali nie śpi. Przypilnuj małego.

Wyszła, a Jaskotel usiłował złotą zapinką zwabić malca, który boczył się nadal. Z roztargnieniem odpowiadał na niekończące się pytania starszych synów, gdy weszła Wrochna, mówiąc:

- Macierz chce cię powitać. Wraz i ja tam przyjdę, jeno nakarmię dziecko.

Jaskotel przypadł do wychudłej ręki matczynej. Zbisława zmieniła się i postarzała. Zdało mu się, że łzę jej poczuł na głowie. Dawniej płakać nie zwykła, twarda była dla siebie i drugich. W surowym jej głosie brzmiało też wzruszenie, gdy rzekła:

- Jak żywot długi, jeno witam i żegnam, może już pośledni raz.

Myśląc, że mówi o swej śmierci, odparł:

- Ninie nieprędko żegnać mnie będziecie. Kniaź Bolko mnie zwolnił i doma ostanę. Radem, że nawet do Osieka jechać nie muszę, by was powitać. I wy ostańcie z nami. Starunku wam potrzeba, a Wrochna wdzięczność wam winna, żeście jej podporą byli, gdy mnie nie stało.

- Ani podporą byłam, ani chcę być ciężarem - odparła. - Nawyknąć musi sama sobie radzić, jak ja nawykłam.

Wejście Wrochny przerwało rozmowę. Przytuliła się do męża, który przygarnął ją ramieniem, mówiąc:

- Nie będzie musiała sama sobie radzić. Wżdy mówię, że kniaź Bolko mnie zwolnił. Tym bardziej rad jestem, że ręki dołożyć nie muszę, by nieletnich synów starego kniazia z dziedziny zegnać, skorom już opieki nad nimi odmówił.

- Tak mniemasz? Jeno z dziedziców żaden woli rodzica strzymać nie myśli.

- Ale nie ja. Niechaj kniaź i za grobem wie, że niesłusznie mi niewdzięczność zarzucił.

Zachmurzył się na wspomnienie zajścia, które wygnało go z domu i kraju. Stara smutno kiwała głową. Widno niełatwo jej było powiedzieć, co miała na myśli. Wrochna mocniej przytuliła się do męża, żałosnymi oczyma patrząc na świekrę. Domyśliła się już. Zbisława powiedziała:

- Przytulaj się, bo tak myślę, że skoro znowu żegnać się wam przyjdzie.

Jaskotela gniew ogarnął. Hamując się, powiedział szorstko:

- Wżdy mówię, że ostanę. Ty nie becz - zwrócił się do Wrochny, która wybuchnęła płaczem. Zbisława rzekła jednak:

- Nie rzucaj przyrzeczeń, których dotrzymać nie twoja moc. Michał już z pocztem i opolnymi w Poznaniu, Wilczek - jak słyszę - przy kniaziu ostał w Krakowie. W Górach i Osieku włodarze siedzą z ramienia Ody, bo po prawie nie Bolesławowi, jeno młodym Mieszkowicom służby wojenne z nadanych ziem powinni, gdy Audunowe włości w dziedzinie ich się ostały. Skoro patrzeć, jak od niej rozkazy otrzymasz, niech się jeno dowie, żeś wrócił.

Jaskotel stał jak uderzony w kark. Ni przez myśl mu dotąd nie przeszło, że zmuszony będzie walczyć przeciw Bolesławowi. I teraz nie dopuszczał tej myśli, wzburzony szukając jakiegoś wyjścia. Wrochna, pasując się z łkaniem, powiedziała nieśmiało:

- Gdy byłam dworką księżny, dość mnie lubiła. Może zwoli, by Jaskotel w domu pozostał, skoro dwa gody w nim nie był.

Patrzyła błagalnie na Zbisławę, ale ona badawcze spojrzenie utkwiła w Jaskotelu, który oczy wbił w ziemię. Zbisława przerwała przedłużające się milczenie:

- Wiem, co by uczynił stary Audun. Jeno ja nigdy go nie wstrzymywałam.

Chcesz, to ślij do Ody, pewnikiem się zgodzi. Co jej tam o jeden miecz, choćby taki jak twój, jeszcze rada być winna, że się przeciw niej nie obróci. A wiadomo wszem, żeś się z Bolesławem przyjaźnił, gdy ty go odstąpisz, wielu uczyni to samo.

- Wżdy mówię, że sam mnie zwolnił - mruknął Jaskotel ponuro.

- Bo pomni, żem mu naganiła, iż w spory swe z rodzicem cię wmieszał. Ale i nie zapomni, jeśli przysięgę posłuszeństwa i hołd złożysz Odzie. A głupia by być musiała, by nie zażądać tego, jako i dostarczenia ludzi, których z nadań winieneś. Nie oszukuj sam siebie. W takowej walce nikt nie może pozostać na uboczu. Bracia twoi już wybrali, wygra Oda, nie ujrzę ich więcej. I ty musisz wybierać.

Jaskotel nadal nie patrzył matce w oczy. Powiedział nieswoim głosem:

- Ostawcie mnie. Dzień i noc jechałem, ledwo stoję na nogach.

Zataczając się, ruszył ku drzwiom. Zaniepokojona Wrochna chciała iść za nim, ale Zbisława rzekła surowo:

- Ostań, byś znowu nie ostała się z czędem, które nie widziało rodzica.

Ale gdy Wrochna wybuchnęła płaczem, Zbisława, tuląc ją do piersi, szeptała:

- Nie odbieraj mu męstwa. Jemu ciężej niż tobie. A gdyby przez ciebie w domu ostał, nie wybaczyłby ci nigdy. Czy nie lepiej, by rwał się do ciebie, niż od ciebie wydzierał jak ongi? Wierz

mi, żem ci życzliwa.

- Wierzę - powiedziała Wrochna. - Jeno tak ciężko. Wżdy dwa gody czekałam i znowu mi czekać, nie wiada jak długo.

- Cóż za żywot, w którym się na nic nie czeka? Jako mój, na śmierć jeno, bo synów już nie ujrzę pewnikiem. A nie płaczę.

Ale nieprawda to była, jeno Wrochna, sama zanosząc się łkaniem, tego nie widziała.

Mimo znużenia Jaskotel nie mógł usnąć. Przez serca zamkniętych okiennic przezierało jaskrawe światło, rażąc go nawet przez powieki, odgłosy z dziedzińca wybijały go ze snu. Jeno w domu cisza była, widno Wrochna nakazała dzieciom, by nie mąciły snu ojcu. Jaskotel chciał spać, by zapomnieć o swoim strapieniu. Wiercił się na łożu, wzdychał i klął. Zawód i żałość zmieniały się w bezrozumny gniew: przeciw matce, że mu otworzyła oczy, przeciw księciu, że go zwolnił; przeciw żonie, że płacze i tulii się do niego, że doradza, jak mógłby pozostać w domu. Na myśl, że musiałby w zamian hołd złożyć Odzie, aż usiadł na łożu. Dwa lata bawił na obczyźnie, bo nie mógł znieść niełaski starego księcia, choć jej nie zawinił. Nigdy nie mógłby spojrzeć w oczy młodemu, gdyby nie stanął przy nim teraz, kiedy każdy musi wybierać. Jak mawiał stary Audun, mężowie muszą walczyć, a niewiasty płakać. Odrzekłby się takiego syna, który w domu siedzi, gdy walczą wszyscy. Niechaj Wrochna płacze. Jeno ojcu łatwo było, Zbisława płakać nie zwykła. Tylko ten jeden jedyny raz, gdy Jaskotel przywiózł zwłoki Auduna, ale tego stary już nie widział.

Jaskotela gniew ogarnął na samego siebie. Teraz go rozczulają łzy żony, gdy każdy miecz potrzebny, a raniej dla błahych przyczyn, jeno by dogodzić chęci przygód, latami bawił z dala od domu, nie bacząc na płacz żony. Zapomniał nawet, że książę kazał mu wywiedzieć się o Stoigniewa, a sprawa była ważna i dla samego Jaskotela. Pod rozkazami Stoigniewa, książęcego krewniaka i dostojnika cieszącego się powszechną powagą, nie będzie ujmy walczyć. Jeśli się Stoigniew nie odnajdzie, książę dowództwo zleci komu innemu, skoro sobie Jaskotel właśnie wypoczywać umyślił. Już nie on jest najlepszym mieczem. Do Krakowa wracać nie pora ni w drodze dopaść księcia, bo szybko i chyłkiem iść będzie, by wrogów nie przestrzec. Na myśl o tym zerwał się. Odnajdzie Stoigniewa choćby pod ziemią. Skończyła się rozterka. Ale miejsce jej zajęła troska. Włości Wilczka i Michała zajęła już Oda, zajmie i Skarbno. Porzucić trzeba miłe kąty, dorobek dwóch pokoleń wydać na łup obcym, na ich samowolę zdać ludzi, którzy w Audunowym rodzie pomoc i ochronę znajdować zwykli. Nic to, że po zwycięstwie odbiorą swoje, teraz dachu nie stanie dla chorej matki i żony z małymi dziatkami.

Jaskotela ogarnęła wściekłość na Odę. Sam sobie się dziwił, że mógł choć przez chwilę pomyśleć, by stać na uboczu, gdy toczy się walka o to, by dorobek wielu pokoleń Piastowego rodu i całego kraju nie stał się łupem obcych. Zmalały Jaskotelowi własne troski. Powziąwszy postanowienie, zmusił się do spokoju. Działać trzeba szybko. Zebrał się i wyszedł do matki. Niech Zbisława Wrochnę uwiadomi, łatwiej jej będzie, skoro wspólna im dola.

Zastał matkę zbierającą się do drogi. Nie okazując zdziwienia, zapytał o Wrochnę:

- Zbiera się i ona. Tak jej doradziłam, bo gdybyś jednak wyjechać postanowił, i nam tu nie ostawać.

Odetchnął z ulgą i z wdzięcznością całując jej rękę, zapytał:

- A gdzie się schronić zamierzacie?

- Troskaj się o swoje sprawy. Pora ciepła, i w boru można się przytaić.

- Ale wam starunku trzeba i wygody.

- Nic mi nie trzeba. Żyć można wszędzie i umrzeć takoż. A ty pospieszaj, bo i Oda wie, żeś nie po to wrócił, by się jej pokłonić. Jeno wy, mężowie, sami siebie nie znacie.

W drodze do Poznania Jaskotel starał się nie myśleć o tym, co zostawiał za sobą. Jedyny dzień pobytu w domu niemal cały upłynął na gorączkowych przygotowaniach do opuszczenia go, może na zawsze. Dopiero wieczorem, gdy wozy stały już zaprzężone, konie posiodłane, a koniary ruszyły przodem ze stadniną, Jaskotel z Wrochną wyszli do sadu, by się bez świadków pożegnać. Nie mówili nic, bo zbyt wiele było do powiedzenia. Jaskotel lękał się, że Wrochna płakać zacznie, ale na pozór spokojna była. Noc zapadała pogodna i ciepła, na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, w zaroślach na obwałowaniu sadu błyszczały świetliki, kląskał gdzieś spóźniony słowik, przedwcześnie rozkwitłe lipy pachniały miodem. Nie widzieli wzajem swoich twarzy, bo przed wzejściem księżyca ciemność panowała w cieniu drzew, których czarne zarysy majaczyły na jaśniejszym tle nieba. Przysiedli na kamiennej ławce.

Jaskotel inaczej sobie wyobrażał powitanie po długiej rozłące. Wiedział, że nie o szczęściu marzy Wrochna. Chciał odgadnąć, o czym myśli, i milczenie ciążyło mu.

- Nie mogłem inaczej uczynić... - zaczął.

- Wiem. Jeśli doradzałam, byś Odę prosił, to jeno dlatego...

Urwała. Zdało mu się, że zmaga się ze szlochem. Przygarnął ją, ale wysunęła się łagodnie z jego ramion.

- Urazę żywisz do mnie? - zapytał dotknięty i zawiedziony.

- Nie - szepnęła - jeno macierzy przyrzekłam, że nie ostanę z drugim czędem, które nie widziało rodzica.

Zamyślił się ponuro.

- Nie dla wojownika dom i rodzina. Jako wikingowie, we świat iść winien, nie oglądając się za siebie. - Po chwili dodał: - Jeno u nich ziemia uboga. Często własny ród młódź wygania i bez winy, gdy głodno. Korab im za dom starczyć musi, drużyna za rodzinę.

- U nas starczyłoby dla wszystkich - powiedziała cicho. - Jeno spokoju nie ma... dla nikogo...

Nic nie odrzekł. Tego, co mógł powiedzieć, nie zrozumiałaby. Zresztą niebo już jaśniało na wschodzie, po chwili wszedł księżyc i rozsrebrzył świat. Jaskotel wstał, pora się rozstać. Ciężko było.

Gnając już do Poznania, Jaskotel mimo żalu i zawodu wiedział, że postępuje nie tylko zgodnie z obowiązkiem, ale i wolą. Słusznie rzekła Zbisława, że mężowie nie znają samych siebie. Wybór między starym księciem a młodym był trudny, nietrudny między Bolkiem a Odą. Bolesław też porzucić musiał umiłowaną żonę i dziatki, i jemu milej byłoby w łożu spać, niż noce bezsenne spędzać na koniu. On myśleć i postanawiać musi za wszystkich, a wojownik jeno wierzyć, że krwi

jego i potu wódz nie trwoni.

W Poznaniu Jaskotel, nie wstępując na gród, zajechał do dworca, który jeszcze stary Audun na Śródce wystawił. Całe to ninie po nim dziedzictwo wszystkich trzech synów.

Zastał tam Michała. Lubili się zawsze, podobni do siebie z wyglądu i usposobienia, i mimo znaczniejszej różnicy wieku bardziej byli z sobą zżyci niż ze średnim Wilczkiem, milkliwym i zamkniętym w sobie. Witali się też serdecznie, ale gdy minęła pierwsza radość, Jaskotela uderzył wyraz niepokoju czy smutku u wesołego zazwyczaj, a nawet lekkomyślnego wojaka.

Gdy wprost zapytał o przyczynę, Michał odparł:

- Wżdy postawiliśmy wszystko, nie mamy już nic kromie tego dworca. I to nie wiada, jak długo. Żenić się właśnie zamyślałem, a przyjdzie w świat iść. - Machnął ręką i dodał: - Dziewek nie brak i po świecie, rodzic nasz takoż z mieczem jeno tu przyszedł. Ale ty?

- Cóż kraczesz! Wszyscy wrócimy na swoje. - Zaniepokojenie Jaskotela przeszło w gniew. - Głupiś! - dodał porywczo. - Nie babie ni wyrostkom z Bolesławem się mierzyć.

- Wierę, gdyby samotrzeć jeno z nim walczyć mieli.

- Cóże u licha za bzdury prawisz! Gadaj prosto, o co ci idzie!

- O to, żeśmy dom porzucili, by się bić. A siedzę tu parę niedziel, zapasy mi się kończą, i my nie jeno nie poczynamy nic, ale wszystko rozłazić się zaczyna. Stoigniewa, co tu miał objąć dowództwo, nie masz, bo do matusi pojechał. Oda zasię Mazowsze po Wisłę zdusiła, Sobiesław jeno w Czersku się jeszcze trzyma, by przeprawę zabezpieczać tym, co za rzekę uszli. Ale całej siły bez pomocy nie zdzierży, zresztą i po co im przeprawa, kiedy Przybywój ze swymi ku nim zajdzie. A kniaź Bolko, słyszę, w Krakowie siedzi i też nie poczyna nic.

Jaskotela jednak aż poderwało:

- Co prawisz?! Nie do wiary to, by Stoigniew teraz sobie wypoczywać umyślił! Kniaź mi kazał wywiedzieć się o niego, bo niespokojny, czy Stoigniewa przygoda jakowaś nie spotkała.

Michał ramionami wzruszył.

- Mówię, co słyszałem od Przybysława Ostoi, który ze Stoigniewem do Ottona jeździł. I nie dziw, że skoro pierwszy dostojnik i krewniak książęcy lekce sobie sprawy waży, inni przykład biorą i rozjeżdżają się po domach. Wżdy dogodniej w domu czekać niż tu. W grodzie i podgrodziu palca byś nie wetknął, a to samo w Naramowicach, w Łącznem, w Zagórzu i innych osadach, i co było, już wyżarli. Ten i ów, co wyjeżdża, nie wróci, bo wiadomo, że tak z Odą nie wygrać. Zgoła nie babski ma rozum i zaciętość. Pono sama do Przybywoja się udała, by kończył prędzej. A skończy, to na nas przyjdzie kolej. Sam bym wyjechał, jeno nie mam dokąd, bo już Góry jakiemuś niemieckiemu powsinodze nadała, jako i inne włości Bolesławowym stronnikom zabrane.

Jaskotel słuchał półuchem. Skoro wiadomo, gdzie Stoigniew, zaraz mu jechać do niego. Tknęło go coś jednak. Jeśli Oda i Kozi Róg komuś nadała, Stoigniew mógł wpaść jako do wilczego dołu. Niejasne przypuszczenie zamieniło się w pewność. Znał Stoigniewa niemal od dziecka, niepodobne do niego, by o sobie myślał, gdy wszystko jest w grze. Przerwał Michałowi:

- Kiedy indziej resztę mi opowiesz. Nie mam teraz głowy do tego, a wywczasować się muszę, bo o świcie jechać mi dalej.

- Dokąd zaś?

- Po Stoigniewa.
- Jadę z tobą. We dwójkę raźniej i bezpieczniej, bo tam już prawie Ody dziedzina i Gniezno pod bokiem, gdzie znaczna siła stoi. Wolej i głowę stawić, niż gnić tutaj w bezczynności.
- Że ci też to, żłobie, wcześniej do głowy nie przyszło - rzekł Jaskotel ze złością.
- Co zaś?
- By po Stoigniewa jechać. Daj Bóg, by ninie nie było za późno.

Michał skrzywił się i mruknął:
- Najbardziej nie lubię, kiedyś praw. Wezmę ludzi z sobą.
- Wezmę i ja, może trzeba będzie siłą go odbić.
- A niechby i z Gniezna samego. Przynajmniej wiada, co poczynać.

Jaskotel, zebrawszy swoich i Michałowych ludzi, ile koni starczyło, choćby i oklep, ruszył z Poznania o świcie i mając dość znaczną siłę, dla pośpiechu niezbyt się nawet ukrywał. Pewny był niemal, że Stoigniewa pojmano, ale słabą miał nadzieję, by jeszcze przebywał w Kozim Rogu. Niemniej tam tylko mógł się wywiedzieć, co się z nim stało, i zaciął się, że nie wróci bez wojewody, choćby miał nie wrócić wcale.

Wszedłszy już w kozioroskie bory, wysunął się naprzód samowtór z Michałem, każąc ludziom jechać gęsiego, by się nie pogubili, a miarkując, że zbliża się do gródka, zatrzymał się na ostatni popas nad strumykiem.

Stoigniew nie zdawał sobie sprawy, jak długo spał. Budził się pomału, w półśnie usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Do przytomności przywołały go jakieś odgłosy. Otworzył oczy, ale zrazu nie widział nic. Dopiero po chwili zauważył przebłyskujące przez dziury w dachu gwiazdy i otrzeźwiał. Omackiem odszukał wyszczerbiony garnek, zwilżoną dłonią przetarł twarz i zapuchnięte oczy i nasłuchiwał. Znowu doszły go odgłosy, tym razem bliższe, jakby tupot koni po miękkim podłożu.

Stoigniew sięgnął po nóż, ale zaraz pomyślał, że nadchodzący konno, w lesie i po nocy, nie jego szukają. Odetchnął, gdy posłyszał po chwili przyciszone głosy ludzkie przed chatą. Pogoń z gródka nie potrzebowała się ukrywać. Przezorność wstrzymała Stoigniewa, by się jeszcze nie zdradzać. Z rozmowy może się dowie, co za jedni. Wytężył słuch.
- Poczekamy, póki reszta nie dociągnie, bo pogubić się łatwo. Miesiąc wzejdzie skoro, rozpatrzym się. Niedaleko już musi być.
- Spocząć i tak trzeba, a konie napoić i naobroczyć, bo może szybko uchodzić przyjdzie - odparł drugi głos. - Dostęp do gródka jeno od tej strony i brama jest jedna.
- Zdałoby się pojmać kogoś, by się wywiedzieć, kto w gródku siedzi i gdzie Stoigniew.
- Będę czekał, aż mi kto w ręce wpadnie! Z nagła nastąpim, w gródku się dowiemy.

Stoigniew zeskoczył z podstrysza. W ciemności obalił się i zbierał się z trudem, gdy w otworze drzwiowym ukazała się jakaś postać i przytłumiony, ale ostry głos zapytał:
- Kto tu?
- Stoigniew.

Jaskotel wszystkiego się prędzej spodziewał, niż że Stoigniewa znajdzie w opuszczonej chacie opodal gródka, toteż zdumiał się tak, że uszom nie wierzył. Głos zresztą był obcy, chrapliwy, niepewny. Zastawiwszy otwory, Jaskotel krzesać zaczął ogień, a przy migotliwym świetle iskier patrzył na Stoigniewa jak na zjawę. Niczym nie przypominał znanej dobrze postaci wodza. Tym samym obcym głosem Stoigniew powiedział:

- Koło paleniska masz trzaski, a suchy mech w posłaniu pod ścianą.

Jaskotel wziął się do rozniecania ognia. Za chwilę wyskoczył płomień, przy którego żółtym świetle wciąż jeszcze z niedowierzaniem patrzył na Stoigniewa. Spuchniętą twarz okrywał zaniedbany zarost, w zmierzwionych włosach świeciły srebrne nitki. Naga pierś i ramiona pokryte zaskorupiałą krwią zdały się czarne, uda oblepione wilgotnymi strzępami. A jednak był to Stoigniew. Jaskotel, odzyskawszy wreszcie głos. rzucił:

- Tyżeś? Co się z tobą działo?

- Z gródka uciekłem. Jeść i pić dajcie. I okryć się czym.

Michał skoczył do juków przy koniach, a Jaskotel, zdejmując kubrak, pytał dalej:

- Skądżeś się tu wziął? Własna mać by cię nie poznała.

- Poznała - odparł Stoigniew głucho. - Nie żywie już. Ogień zgaś.

Usiadł ciężko na posłaniu i wziąwszy przyniesione przez Michała placki i mięsiwo, pożywiał się. Gdy skończył, Jaskotel zapytał:

- Pojmał cię kto?

- Odylen.

Jaskotel skręcił się, zgrzytnąwszy zębami.

- Ej! Żeby nie to, że wracać nam zaraz, nie musiałby na pal czekać.

- Piastowej krwie jest. Sam jeno kniaź pokarać go władny.

- Żebym go jeno w ręce dostał - mruknął do siebie Jaskotel, po czym zapytał: - Pożywiłeś się? Najdziesz sił, by wierzchem jechać? Bo szybko nam uchodzić, póki noc.

- Wydolę, co trzeba. Nie uchodzić nam, jeno do gródka wejść, póki noc. Ja poprowadzę.

Jaskotel nie śmiał się sprzeciwić, ale nie zdało mu się rozsądne wystawiać los na próbę, skoro się raz nadspodziewanie uśmiechnął.

- Po cóże ci gródka, skoro mścić się nie myślisz? - zapytał. - W Poznaniu źle się dzieje i czeka na ciebie wszystko - dodał.

- Długo nie zabawim. Jeno macierzy i staremu piastunowi ostatnią cześć oddać mi przystoi. I pożegnać, com ta jeszcze swego miał. Jeśli twoi dociągnęli, możem ruszać.

Stoigniew nie był chory, jeno przejścia w Kozim Rogu wyczerpały jego siły doszczętnie. Gdy nad zwłokami matki i piastuna wyrosła mogiła, usiadł przy niej, otępiały, ze zdziwieniem pytając

samego siebie, dlaczego z takim uporem walczył o życie, skoro wolałby tu leżeć przy ostatnich dwóch istotach, z którymi wiązały się wspomnienia krótkich dni szczęścia. Czy warto żyć, niczego z życia nie mając dla siebie? Czy można żyć w świecie, który umarł? Spojrzał na pierścień Adelajdy. I on przypomniał mu jeno zmarłych, a nie zadanie, którego się podjął. Zdjął go z wychudłego palca i schował w zanadrze. Nie czuł w sobie sił, nawet by powstać. Siedział tak długo, że Jaskotel, który, nie chcąc mu przeszkadzać w pożegnaniu, odszedł na ubocze, zbliżył się wreszcie, zaniepokojony:

- W Poznaniu wypoczniesz - odezwał się. - Tu niebezpiecznie, a wracać pilno.

Stoigniew dźwignął się z trudem. Może, wypocząwszy, inaczej spojrzy na sprawy. Ale po przyjeździe do Poznania zwołał jeno starszyznę i, zdawszy wszystko na Jaskotela, zamieszkał w opustoszałym dworcu na Tumskim Ostrowiu i siedział tam samotny i bezczynny.

Jaskotel natomiast, jakby go na sto koni wsadził, dwoił się, by nadrobić zaniedbania. Nie myślał już o niczym, co nie dotyczyło wojny, zapomniał nawet o śnie i jadle. Umocniwszy Tumski Ostrów, poobsadzał brody na Warcie, ale nie zamierzał ograniczyć się do samej obrony. Z doświadczenia wiedział, że kto pierwszy uderza, zyskuje przewagę, należało jednak porozumieć się z księciem, by uzgodnić współdziałanie. Toteż gdy pokończył najpilniejsze przygotowania, przywołał brata, Michała, i polecił mu jechać do księcia.

Zapytany, gdzie go szukać, odparł:

- Tam, gdzie jest. Miał iść na Kielce, myślę, że ku Czersku. Ale myślę, bo nie wiem. Zmieniło się na Mazowszu, bacz, byś Przybywojowi w łapy nie wpadł. Kniaź widno chce się przytaić, skoro nic o nim nie słychać. Twoja rzecz, jak go najdziesz.

Wyprawiwszy Michała, Jaskotel udał się do Stoigniewa. Pochłonięty sprawami i rozjazdami, nie widział go od kilku dni. Jemu należało się dowództwo, może już zdolny będzie je objąć. Istotnie, Stoigniew jakby się już zdążył otrząsnąć po niedawnych przejściach. Jeno na skroniach jego gęsto świecił biały włos. Przede wszystkim jednak uderzył Jaskotela wyraz jego oczu. Stare były i przygasłe. Wysłuchał, milcząc, sprawozdania i powiedział tylko:

- Radzisz sobie, jak widzę, beze mnie. Niepotrzebnym.

- Co prawisz! Słabujesz jeszcze? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

- Posiwiałeś.

- Nie patrzę do źrzadła. Bez tego wiem, żem stary - odrzekł Stoigniew obojętnie.

- Wżdyś młodszy ode mnie.

- Widno czas nie każdemu jednako płynie.

- Może raz wolniej, raz skorzej. Pomnę, gdym w Kwedlinburgu w wieży siedział, słońce jakoby w miejscu stało. A gorsze jeszcze noce, gdy się sen człeka nie ima. Zda się, że nigdy nie będzie świtu.

- Nigdy nie będzie świtu - szeptem w zamyśleniu powtórzył Stoigniew, ale Jaskotel zaśmiał się na jakieś inne wspomnienie:

- Choć bywa, że i bezsenne noce śmigają, ani się obejrzeć. Ale co tam swawole wspominać. Wżdy to już dwadzieścia godów z okładem, jakeśmy obaj pierwszy raz do boju szli pod Cydzyną, a zda mi się, że to wczoraj...

Ugryzł się w język. Pod Cydzyną Stoigniew pogrzebał ojca, niedawno stracił matkę. By

odwrócić jego myśli, Jaskotel podjął:

- ...a dziesięć minęło, jakeśmy społem do Rzymu podróżowali, pomnisz, com oną dziewkę w przebraniu zabrał. Czasem się człeku jeno zda, że bez czegoś żyć nie może. Nawet na ciebie cięty byłem wtedy, żeście z sobą cości gadali, czego ja nie mogłem wyrozumieć. Juści, myślałem, że o tym samym, co ja z nią. - Zaśmiał się, ale widząc, że Stoigniew nie podtrzymuje tej rozmowy, machnął ręką: - Co tam! Przeszło mi. Mimo żem i ja już nie młodzik, zawżdy z niewiastą wolę iść do łoża niż z myślami. I tobie by tak lepiej było, nie chcesz, to ziół sobie każ nawarzyć na sen. Wywczasuj się, póki spokój, co pilniejsze - już załadziłem, jeno z solą kłopot. Psiejuchy od Krakowa nie puszczają, z Kołobrzegu tu wozić nie zwykli, gdy krakowska tańsza. Tedy ninie żadnej nie ma, a już grodowi pyskują, że nie solone żarcie przez gardło nie lezie. Z pyskowaniem sobie poradziłem, ale zapasów mięsiwa poczynić nie można, żywca w grodzie nie uchowa, ile trzeba. Nic to!

- uciął. - Nakażę brać, gdzie najdzie, wojak musi żreć. Raz by do miecza przyszło, skończą się te kłopoty, gdy o jednym człek będzie myślał.

Widząc jednak, że Stoigniew, zadumany, nawet jego trosk nie ciekaw, pożegnał go i wyszedł.

Stoigniew zaś myślał, że Jaskotel życie ma proste jak miecz. Ślepo przywiązany do Bolesława, nie łamie sobie głowy wątpliwościami. Wojnę miłuje dla niej samej, a gdy nie bawi się mieczem, to kocha i hoduje konie. Życie ma pełne po brzegi, dlatego zda mu się krótkie. Własne zdało się Stoigniewowi niezmiernie długie. Wszczepiona przez Zbrozłę nienawiść do obcych najeźdźców, rozżarzona u mogiły ojca, była mu dotychczas gwiazdą przewodnią. Zgasła u mogiły matki. Nie czuł nienawiści nawet do Odylena, jeno wzgardę i obrzydzenie, wolałby zapomnieć. Źli są nie tylko Niemcy, Bóg nie stworzył narodów, jeno ludzi - jak powiedział Gerbert - prawdy każdy sam szukać winien. Czy nie podobnie myślał Zbrozło, nakazując nie wiązać się z nikim? Nie związał się. Rozumiał, że mądrość sama jest celem dla Gerberta, jak dla Wojciecha zbawienie duszy, rozumiał urok, który wywierali przez szczerość i siłę swych przekonań, sam jednak nie pozwolił się zauroczyć. Choć chowany w walce i dla walki, wiedział, że nie potrafi, jak Jaskotel, zapomnieć dla niej o wszystkim, nie zważać, że sól zabrana rybakom niezbędna im jest do życia, że na skutek wojny na Mazowszu nie ma żniw, a zimą będzie głód. Widywał już dzieci sine i spuchnięte z głodu, matki o wyschłych piersiach, z rozpaczą w oczach. Dla bezbronnych każda wojna jest niesprawiedliwa. Młody Otto chce być księciem pokoju, to jest cel, któremu Stoigniew mógłby życie poświęcić. Ale by Bolesław mógł przyłożyć do tego swej potężnej ręki, musi pierw sprawę kraju na swoją rzecz rozstrzygnąć; droga do pokoju wiedzie przez wojnę.

Długo w noc rozmyślał. Niebo już bladło i gwiazdy zaczynały mrugać, gdy wreszcie Stoigniew usnął znużony. Obudził się jednak spokojniejszy. Póki obcy panoszą się w kraju, nie pora myśleć o czym innym.

Ix

Odylen na wieść o ucieczce Stoigniewa omal w szał nie wpadł z wściekłości i rozpaczy. Teraz żałował, że miast odesłać jeńca pod silną strażą do Gniezna, dał folgę swej złości i zawiści wobec

krewniaka. Nic mu wprawdzie nie zawinił, ale od najmłodszych lat darzony był władzą i dostojeństwami, gdy on sam, równy mu rodem, a starszy wiekiem, żył w poniżeniu. Pojmawszy go, pewny już był, że los się wreszcie odwrócił. Teraz na myśl, co powie Oda, gdy dowie się, że miał w ręku Stoigniewa i wypuścił go, bliski był samobójstwa. Podtrzymywała go jednak nadzieja, że Stoigniew nie zdoła ujść przed pościgiem. Sam stanął na jego czele i parł zrazu w kierunku Poznania. Odbiwszy się jednak spory kawał, pomiarkował, że gdyby nawet Stoigniew tam uchodził, wyprzedzić go musiał. Zostawiwszy przeto kilku ludzi, by pilnowali, czy nie nadejdzie, sam z pozostałymi zawrócił i - nie ufając już ogarom, które kilkakroć wzięły błędny ślad - przeszukiwać kazał każdy wykrot i kierz, a nawet wspinać się na drzewa. Wiedział, że wynędzniały Stoigniew, bez żywności i odzieży, daleko nie ujdzie, a nawet długo nie zdoła się ukrywać. Znajdzie go, nie dziś, to jutro, żywego czy umarłego. Zaklął się na wszystkie bogi, że nie spocznie, póki nie schwyta zbiega, i gdy zapadła ciemność, postanowił spędzić noc w lesie, by skoro się tylko rozjaśni, wznowić poszukiwania. Ludzi porozstawiał w łańcuch, zakazując rozmawiać i palić ogniska, w nadziei, że może zbieg w ciemnościach będzie usiłował przemknąć się i zdradzą go psy. Do gródka posłał po pozostałych, z wyjątkiem potrzebnych na straż, i sam z pachołkiem siedział w ciemności, karmiąc na zmianę to nadzieję, to czarne myśli i zrywając się za każdym szmerem. Chwilami podejrzewał Stoigniewa o czary. Zbrozło, z którym wojewoda był w zażyłości, powszechnie za czarownika uchodził, mógł przyuczyć Stoigniewa. Na myśl, że samochcąc napytał sobie takiego wroga, włos mu się jeżył na głowie. Wszystkie myśli i uczucia przemogło jednak znużenie i po północy ułożył się do snu, każąc się pachołkowi obudzić o świcie.

Zdało mu się, że dopiero usnął, gdy pachołek zaczął go trącać. Otworzył oczy i spojrzał poprzez sklepienie gałęzi na niebo. Dopiero bladło, w lesie ciemność była jeszcze zupełna. Czuł się bardziej znużony niż wieczorem i zaklął. Pachołek mruknął lekceważąco:

- Miast kląć, posłuchajcie.

W ciszy przedświtu, z rzadka przerywanej głosami dopiero budzącego się ptactwa, niosła się po wodzie jeziora odległa wrzawa, nasilając się z każdą chwilą i z szumem rozchodząca się po lesie. Ani chybi - z gródka. Hałas uciął się nagle, jeno echo jego jeszcze konało przez chwilę i znowu zaległa cisza, mącona już odgłosami budzącego się lasu. Odylen słuchał zdrętwiały. Kilku ludzi w gródku nie mogło uczynić takiej wrzawy. Przyczyna mogła być tylko jedna: napaść!

Bez tchu popędził i dopadł brzegu. W świetle wstającego dnia, w przejrzystym powietrzu chłodnego poranka dziedziniec gródka widniał jak na dłoni. Między zabudowaniami uwijała się gromada ludzi. Odylen nie pomyślał, by zwołać swoich i że to ostatnia sposobność dostania w ręce Stoigniewa, choćby po ciężkiej walce. Tylko czary mogły tak szybko sprowadzić pomoc. Na myśl, że może się dostać w jego ręce, włos powstał na głowie Odylena. Zawrócił i popędził w las, jakby już ścigany, ślubując sobie, że nigdy nie wróci do tego przeklętego miejsca.

Po trzech dniach błąkania się bezdrożami dotarł do Gniezna i zastał tam już ludzi ze swego hufca. Obawa przed zemstą Stoigniewa przybladła wobec bliższej: co powie Oda, gdy dotrze do niej wieść o wypadkach. Ukryć się ich nie da. Zgnębiony i wyczerpany, przycupnął w swym dworcu, nie chcąc widzieć nikogo. O powrocie Ody dowiedział się jednak natychmiast i jak na sąd z niepokojem czekał na jej wezwanie, wahając się, czyby sprawy samemu nie przedstawić, zanim o jej przebiegu dowie się z innych ust. Ale wezwanie nie nadchodziło i niepokój Odylena wzrastał. Cokolwiek ma się stać, rozmowę z»Odą chciał już mieć za sobą. Bierne czekanie nic dobrego przynieść nie może. Zebrał się

na odwagę i poszedł na gród.

W wielkiej sieni starego Ziemomysłowego dworca kręciło się mnóstwo ludzi, niemal sami obcy. Nikt nie zwracał uwagi na Odylena, który zrazu siedział cierpliwie, przysłuchując się rozmowom z zaciekawieniem i podnieceniem. Wiele nowego zaszło w czasie, gdy siedział na uboczu bez wieści. Przybywój po ciężkich walkach zajął Czersk, ale Sobiesław uszedł za Wisłę i brody na niej poobsadzał. Póki rzeka nie stanie zimą, walki na Mazowszu skończone, Oda przeto zbędne na razie siły ściągnęła do Gniezna, widno gdzie indziej uderzyć zamierzając. Odylen odetchnął, w ostateczności uda się do brata. Opanowanie Mazowsza nie wróżyło Bolesławowi zwycięstwa, którego się Odylen obawiał najbardziej.

Oda, zastawszy w Gnieźnie pomyślne wieści, o ostateczny wynik była już niemal spokojna. Krasnota Suchorad bez walki zajął Kraków, węgierski Gejza, korzystając, że Bolesław związany był gdzie indziej, wyparł sprzymierzonych z polańskim księciem braci stryjecznych, Wazula i Zara, z grodów nad Wagiem. Położenie Bolesława pogarszało się, nie wiadomo było jednak, gdzie przebywa i co zamierza.

Zajęta tymi sprawami Oda spokojnie przyjęła wiadomość o niepowodzeniu przedsięwzięcia Odylena, dlatego nie wołała go nawet do sprawy. Do niczego nie był jej już potrzebny i przydatny. Toteż gdy wyczekawszy się do granic cierpliwości stanął wreszcie przed nią, nie dopuszczając go nawet do słowa, zaczęła sama:

- Wiem już, co się stało. Jeśli z tym przychodzicie, czasu szkoda.

Gdy zmieszany bąkać zaczął, że czeka na rozkazy, dodała drwiąco:

- Macie pojmać lub ubić Stoigniewa. O innych sprawach pogadamy, gdy się z tym uporacie.

Wstała na znak, że posłuchanie skończone. Odylen wysunął się chyłkiem, jak kopnięty pies. Dławiła go bezsilna złość, pozbawiając niemal rozsądku. Gdyby mógł zdradzić Odę, uczyniłby to bez wahania. Ale podstępna niewiasta, szczując go przeciw Stoigniewowi, odcięła nawet możliwość myślenia o tym. Przemykając się przez sień, Odylen unikał spojrzeń ludzkich, bo zdało mu się, że w każdym widzi drwinę i lekceważenie. Przy wejściu do swego dworca, zajęty ponurymi myślami, omal nie potrącił Niesułki. Stała pokornie, patrząc na niego bez słowa. Ostatnio nieraz przychodziło mu na myśl, że przedwcześnie wygnał jedyną przywiązaną istotę. Teraz jednak zdało mu się, że dlatego wróciła, bo i ona wie, że niczym już jest i niczym pozostanie, i dlatego lekceważy jego zakaz. Aż się zachłysnął złością:

- Po coś przyszła, suko! Kazałem ci odejść. Strać mi się z oczu, bo ubiję!

Podniósł rękę, ale nie uderzył. Stała bez ruchu, jakby czekając na cios, z opuszczonymi oczyma. Zaklął i - odwróciwszy się - wszedł do wnętrza.

Wybuch ulżył mu jednak i zaczął spokojnie myśleć o położeniu. Do Koziego Rogu nie wróci za żadną cenę, na inne nadanie lub urząd nie czekać mu. Mimo zawiści, która nurtowała go na równi z upokorzeniem, postanowił udać się do Przybywoja. Przy nim przynajmniej nie będzie musiał dusić w sobie złości, jak wobec Ody, swarzyli się zawsze. A w razie jej zwycięstwa Przybywój będzie pierwszym z dostojników, jeśli nie czymś więcej. Obrotności ni śmiałości mu nie brak. Uwiesi się przy nim, może nawet sposobność się trafi odpłacić Odzie za drwinę i poniewierkę.

Powziąwszy postanowienie, wyszedł, by kazać pachołkom sposobić się do wyjazdu. Przyszła mu

na myśl Niesułka, zdałby się ktoś, co by zadbał o niego, niczego nie żądając w zamian. Złość na nią już mu przeszła i rozejrzał się dokoła, ale nie było jej nigdzie. Zaklął znowu. Szukać jej nie zamierzał, sama nalazła go tutaj, najdzie i gdzie indziej. A nie, to się bez niej obędzie.

Nie tylko nienawiść kazała Odzie pozbyć się człowieka, który był pośrednikiem między Ottonem a Bolesławem. Przebiegły i podstępny, umiał zyskać wpływy wśród niemieckich możnowładców, wiedząc, kogo można kupić czy obietnicami, czy złotem. Na razie jednak nic przeciw niemu przedsięwziąć nie może, a czekają bliższe sprawy. Żniwa były na ukończeniu, pora do uderzenia najlepsza. Bolesław już w tym roku nie wysłał Ottonowi posiłków, pokonany przestanie się liczyć jako sprzymierzeniec, pośrednictwo Stoigniewa na nic mu się wówczas nie zda. Otto siłą nie upomni się o Bolesława, jak nie upomniał się nawet o zerwanie rozejmu przez Czechów i Bawarów. Wiedziała też o rozprzężeniu zebranych w Poznaniu sił. Jeżeli dotychczas wstrzymywała się z wydaniem rozkazu uderzenia na najważniejszy gród Bolesława, to tylko z powodu niemożności porozumienia się z Krasnotą. Z wysłanych do Krakowa posłańców nie wrócił żaden. Nie wiedziała też, gdzie przebywa Bolesław i jakie są jego zamiary. Zbyt rozsądna była, by go już lekceważyć, ale wiedziała, że utrata stolicy poderwałaby stanowisko księcia w kraju i dlatego Bolesław nie może poniechać Poznania. Otrzymała natomiast wiadomość, że wrócił tam Stoigniew i ponoć chorzeje. Postanowiła więc uderzyć, nie mieszkając. Może uda się ubić dwa ptaki jedną strzałą.

Michał Awdaniec psim węchem odnalazł w Radomskiej Puszczy obóz Bolesława, który tu gromadził swe wojska. Nie zdążywszy podeprzeć Sobiesława w Czersku, zlecił mu czekać na Wiśle i sam czekał, hamując wrodzoną popędliwość, by nie rozpraszać sił na drobne utarczki, które tylko niszczą kraj, a niczego nie rozstrzygają. Zbierał wieści i czekał pory, by skończyć jednym uderzeniem.

Jak przewidywał, Oda wzorem swego rodzica wyciskała pot i krew, ściągnięte zasoby obracając na zaciąg i uzbrojenie najemników, depcząc wszelki opór, gdziekolwiek się pojawił. Tlił się jednak wszędzie, jak zaprószony w lesie ogień, który pełznie pod suchymi mchami i igliwiem, tu i ówdzie jeno zdradzając się dymem, ale gdy oddech chwyci, gotów wybuchnąć płomieniem nie do ugaszenia.

Bolesław nie tylko położenie w kraju musiał brać pod rozwagę dla ustalenia pory działania.

Z ulgą dowiedział się o odnalezieniu Stoigniewa, szczerze zaś ucieszyła go wiadomość, że Jaskotel nie osiadł bezczynnie. Choć sam udzielił mu zwolnienia, jakby urazę żywił do druha, że siedzieć będzie na uboczu, gdy rozstrzygają się najważniejsze sprawy. Jaskotel był niezawodny.

Natomiast zmartwiła księcia wiadomość, że Stoigniew słabuje, a opowiadania o jego przejściach słuchał z groźnie zmarszczoną brwią. Gdy Michał skończył, książę powiedział jeno:

- Przyjdzie czas, że każdy weźmie swoją zapłatę.

- Poczekamy - odparł poufale Michał. - Ale dłuży się patrzeć, jak się przybłędy na naszym panoszą. Mnie tyle ostało, co między nogami a w garzci, znaczy - koń i miecz, a już najmniej cierpliwości.

- Cierpliwości ci nie odstąpię, bo sam nie mam do zbytu. Ale uderzy Oda na Poznań, jako prawisz, nie będzie ci się dłużyło. Wracaj zaraz, a Stoigniew niechaj ku mnie jedzie, jeno zdatny będzie do drogi, a tam niepotrzebny, skoro Jaskotel wszystko ujął w ręce. Bratu zaś urzeknij, że liczę na to, iż się przynajmniej na Tumskim Ostrowiu utrzyma, choćbyście jeden na drugim lec mieli.

- Co byśmy jeden na drugim legać mieli, białki by sobie krzywdowały - odparł wojak lekko.

Bolesław mimo woli uśmiechnął się.

- Pyskatyś jako Jaskotel, daj Bóg, byś się i w czym innym na niego podał.

- Co by nie - odparł Michał. - Wilczek wam za nas obu odmilczy. Rad bych go ujrzał, bo - jako słyszałem - u was bawi.

- Był, ale wyszedł z podjazdem i nieprędko wróci. Chcesz mu co rzec, powtórzę.

- Chciałem jeno obaczyć, zali język ma w gębie. Chcecie go pozłościć, każcie mu ozór pokazać. Skąd się takowy milczek w naszym rodzie wziął - nie wiada, bo i rodzic, pomnicie, mowny był, i macierz niczego sobie. Ale juści na Wilczka czekać nie będę, bom się z Jaskotelem jeszcze ugadać nie zdążył, a dwie zimyśmy się nie widzieli. I radem przy nim powojować i na one nagrody zasłużyć, które przyrzekacie. Rękę mam równie zdatną do miecza, jako do brania.

- Toś się w tym na starego Auduna podał - zaśmiał się Bolesław.

- Nie ma hańby brać, kiedy jest za co - odparł Michał nie zmieszany.

Bolesław życzliwie pożegnał wesołego wojaka. Takich ludzi, jak Audunowy ród, potrzebował i lubił. Sercem i korzyścią z nim związani, pewniejsi niż stare rody dawnych szczepowych książąt. Ale myśląc o zapłacie, Bolesław pamiętał o Odylenie. Dotąd sobie nim głowy nie zaprzątał, żywiąc jeno dla niego pogardę, jak dla wielu innych, którzy z obawy, chęci zysku lub zawiści podporządkowali się Odzie. Tym starczy odebrać urzędy i nadania, które nagrodą będą zasłużonych. Ale postępek Odylena wzburzył księcia do głębi. Choć blisko dwadzieścia lat minęło od śmierci Dobrawki, pamiętał ból po stracie matki i rozumiał, co musiał czuć Stoigniew, patrząc bezradnie na konanie swojej w nędzy i poniewierce.

Stoigniew przybył wcześniej, niż się Bolesław spodziewał, nadspodziewanie też wygląd jego, poza siwizną na skroniach, nie zdradzał ciężkich przeżyć. Gdy książę zaczął mówić o nich, wojewoda wyraźnie się od tego uchylił, Bolesław nie podtrzymywał przeto rozmowy i słuchał z uwagą sprawozdania z poselstwa. Ciężkie walki nad Łabą, którym nie mogły sprostać saskie siły, zmuszały Ottona do liczenia się z przywódcami innych plemion, zwłaszcza z bawarskim Henrykiem. Bawarczyk był bliżej, miał w Niemczech stronników, zmuszony do wyboru między nim a Bolesławem, Otto wybrał jego. Bolesław wiedział, że bawarski warchoł znowu wichrzyć zacznie z byle przyczyny, i nie wierzył w trwałość załagodzenia wewnętrznych tarć w Czechach. Ni Wojciech od swego nie odstąpi, ni dane mu przyrzeczenia nie będą dotrzymane. Gdy sprzymierzeńcy Ody zajęci będą własnymi troskami, wtedy chwila będzie sposobna, by się z nią rozprawić. Bolesław rad usłyszał potwierdzenie swego przypuszczenia, że spokój w Czechach nie potrwa długo. Gdy jednak Stoigniew napomknął o swym spotkaniu z Gerbertem i wpływie, jaki on wywrzeć mógłby na Ottonowe zamierzenia budowy państwa pokoju i sprawiedliwości, książę odezwał się z pewnym zniecierpliwieniem:

- Ja myślę o tym, do czego Otto mnie może być przydatny. Ninie ni on mnie, ni ja jemu. U siebie raniej chciałbym mieć pokój i swoim sprawiedliwości domierzyć. Co będziem ryby łowić przed niewodem. - Zamyślił się nad czymś i odwrócił rozmowę. - Zdałoby się, byś do Pragi pojechał, skoro się na siłach już czujesz. - Na pytające spojrzenie Stoigniewa ciągnął: - Jeśli słusznie mniemasz, że biskup Wojciech nieustępliwy będzie, niedługo w Czechach spokoju. Niechaj Sławnikowice wiedzą, że wszelką pomoc im dam, na jaką mnie stać. Jeno się głowię, jaki pozór nadać poselstwu, gdy wszystko mam do żądania, nic do ofiarowania.

- Ninie na żadną pomoc dla Sławnikowiców nas nie stać, a podać ich możem w niebezpieczeństwo - odparł Stoigniew. - Sam Wojciech mi rzekł, iż krzywo patrzą na ich życzliwość ku wam. Wrszowcy i bez tego wróżdę im wypowiedzieli z zawiści, że gdy oni sami ulec musieli potomkom Przemysła, Sławnikowice ostali się samowładnymi książętami. Złych ojców niegodziwi synowie, ninie jeszcze z Rudym się sprzęgli, by warcholić i judzić.

- Na to czekam - rzucił szorstko Bolesław. - Spokój mają jeno niewolnicy.

W walce naraża się każdy. A ja sam, zali przy małżonce w łożu spoczywam, czy w boru się czaję jak zwierz? Ciebie narażam takoż, mniemam jednak, że przezorność zachowasz, bo ci takowe sprawy nie nowina.

- Przeklęte plemię! Nie będzie spokoju, póki się mu karku nie ugnie i w niewolników nie obróci!

Oda w gniewnym podnieceniu chodziła po komnacie. Chybiwszy próby zajęcia Poznania, gdy brody na Warcie pilnie były strzeżone, a wczesna i słotna jesień utrudniła przeprawy, zrozumiała, że wszczęta przez nią wojna nieprędko się skończy. Zawlekła się nad krajem jak zimna mgła jesienna, głusząc wszelkie objawy życia. Handel ustał, dochody z ceł zmalały przerażająco, ze zniszczonego kraju coraz trudniej było ściągać daniny, choć ściągać je kazała bez miłosierdzia. Zaczynała rozumieć, dlaczego Bolesław nie spieszy się do walnej rozprawy. Zasoby Ody kończyły się, nie zapłaceni najemnicy łupić zaczynali ludność, do reszty wyniszczając kraj, a zwłaszcza lepiej zagospodarowane, a daninami nie wyczerpane dobra kościelne. Rozdrażniony tym Unger, z którym i tak stosunki były napięte, gotów przechylić się na stronę Bolesława. Książę w swej dzielnicy umiał łupiestwa powściągnąć srogością kar, której Oda stosować nie mogła, w obawie, że nie zaopatrzone wojska posiłkowe i najemnicy odejdą. Słała do krewniaków i swojaków o dostarczenie jej zasobów i właśnie przyjechał brat jej, Bruno. Ujrzała go z radością, spodziewając się, że przywiózł pieniądze, ale po pierwszych powitaniach, zapytany o nie, odparł niechętnie:

- Skąd ci mam wziąć? Wiesz, jakie rodzic ostawił nam dziedzictwo: marchię utracił, a na nas wszystkich niełaskę ściągnął Willigiza i cesarskiego szczeniaka. Ojcu przypisują rozpętanie burzy, która w tym jeno roku po trzykroć zniszczyła kraj, że choć jesień dopiero, już się zaczyna głód i choroby. Jemu dziękować, że nijakiego urzędu ni lenna zyskać nie mogę. Dlategom i przyjechał, w myśli, że się u ciebie urządzę.

- Tedy źle trafiłeś - odparła zasępiona - bo sama nie wiem, zali się tu utrzymam.

- Dobrze nas wszystkich rodzic urządził! - sarknął ze złością. - Córy za słowiańskich psów powydawał i tyle z tego, że wam jeno osława zostanie. Matylda - jak suka, gdy się raz z byle kundlem sprzęgnie - teraz w trzecie, zgoła już pogańskie ręce poszła, by się w Braniborze utrzymać. A ty w czyje pójdziesz, dokąd? Pamiętają jeszcze u nas twoje swaty, po których niejedna z kalbeńskich mniszek z brzuchem chodziła.

Zaśmiał się zgryźliwie. Oda odparła z błyskiem gniewu w oczach:

- Dziewierz nasz, graf Dedi, one swaty prowadził, tedy nie moja wina. Za swoją odpokutowałam zadość. Jeślim habit rzuciła, to nie by własnym chuciom dogodzić ze starym człekiem, jeno by wiarę prawdziwą umocnić w tym kraju. Ale te psy pogańskie zawżdy kąsać gotowe rękę z krzyżem, do nijakiego ładu ni karności nawyknąć nie chcą. Nie wszystko pochwalam, co czynił rodzic nasz, ale temu przeklętemu plemieniu jeno siłą kark przygiąć można lub złamać. Nie moja to jeno sprawa, by

się mój Mieszko tu utrzymał. Gdyby chciwiec ten wydarł braciom, co im rodzic przeznaczył, odbierze nie jeno, co stracił, ale kresu nie będzie jego żarłoczności. Za późno będą żałować, że mnie tu ostawiono bez pomocy.

Bruno niecierpliwie wzruszył ramionami:

- Komuż oczy mydlisz i po co? Wżdy pamiętam, jakeś małą dziewuszką kopała, gryzła i pazurami darła, gdy ci się kto przeciwił. Chciałaś świętą ostać, o co pono w dziewictwie najłatwiej, w klasztorze ci siedzieć było - zaśmiał się. - Ninie nie starczą same zęby i pazury, nie trzeba ci było nad siłę brać. Troskę o wiarę ostaw tym, co z tego żywią, a swego patrz - jak drudzy.

- Zaczęłam, bo Pobożny i Kłótnik pomoc mi przyrzekli. Sobie pomogli, mnie ochłapem zbyli, a ninie, gdy płacić nie mam czym, sama ostanę. Zali mniemasz, że ten wydzierca, który za życia rodzica odmawiał mu posłuszeństwa, wolę jego uszanowałby po śmierci?

- Nie wiem i nie w tym sprawa. Ino wiem, że możnemu każdy pomagać skłonny, słabemu - nikt. Nie wydolisz, biskupa proś, by zgodę między wami uczynił. Jego to korzyść wiarę umacniać, dziesięciny ciągnąć, a sędzią być między książętami.

- Poróżniłam się z nim - odparła Oda. - Choćbym się nawet ukorzyć chciała, a biskup chciał być baraśnikiem, na nic to. Próbę układów Bolesław za słabość poczyta.

- A za co ma poczytać? Aleć i on siły traci, gdy mu gdzie indziej potrzebne. Gdybyś go zwierzchnim książęciem uznała, pewnikiem zgodzi się, choć i nieszczerze, braci na dzielnicach ostawić.

- Nie znasz go. Nie jeno nad sobą, ale i obok siebie nikogo nie zniesie, a mnie jako trądu nienawidzi. Nawet po śmierci mego małżonka, gdy - zda się - wszystko waliło się na niego, ni gadać ze mną nie chciał, jeno zausznika swego wysłał, by mnie zelżył i w pole wywiódł. Choćby zawarł układ, to jeno po to, by go złamać.

- Ty nie? Jednak i najwięksi wrogowie zawierają rozejm, gdy im obu dogodny.

- Gdybym raz uznała jego zwierzchność, stracę opiekę Stolicy Apostolskiej nad dziedzictwem mych synów, z którą on jeszcze liczyć się musi. Wtedy uczyni, co zechce. A chce być samowładnym panem nad wszystkimi, niczyich praw uznawać nie zwykł, kto mu nie służy jak pies, tego zniszczy. Chytry jest i nieufny.

- Rzym daleko, a papież sam opieki potrzebuje - odparł Bruno. - Tedy na niczyją pomoc nie licz. Nie chcesz czy nie możesz z Bolesławem się uładzić, jedno ci ostało: jak Matylda - pojąć tutaj jakowegoś znacznego człeka, który by ci dopomógł dziedzictwo synów utrzymać. Jeszcze urodna z ciebie niewiasta, usidlisz, kogo zechcesz, a najpewniejszy sprzymierzeniec taki, co swego pilnuje. Pomyśl o tym.

Oda zadumała się. Bruno ma słuszność, na pomoc z zewnątrz nie ma co liczyć, a zaczynała tracić pewność siebie. Podjęte zadanie przerastało jej siły. Gdy milczała, zamyślona, Bruno zapytał:

- Maszli kogo na oku, co by ci się nadał?

- Chyba Przybywój - odparła. - Z rodu tutejszych książąt, wodzem okazał się biegłym i zawziętym. Jeśli się upora z prawobrzeżnym Mazowszem, będzie najpotężniejszym człekiem w kraju. Jeno on własne cele ma na oku, a mnie nie ufa.

- To świadczy, że mądry jest - zaśmiał się Bruno. - Ale i tyś niegłupia, wydolisz się go pozbyć, gdy nie będzie już potrzebny.

Nic nie odpowiedziała. Trzeba doczekać zimy, a z nią rozstrzygnięcia mazowieckich spraw.

Zima nie dała czekać na siebie, nadciągała wczesna i śnieżna. Gdy jednak na zachodzie niebo siąpiło jeszcze przenikliwą mżawką, w dolinie Wisły prószył już śnieg, pobielając zszarzały kraj. Bagna rozkisły, brody stały się nieprzebyte, drogi grząskie. Oda czekała, aż je mróz zetnie, tymczasem z resztek zasobów zbrojąc i zaopatrując wojska, by je wysłać na Mazowsze i tam sprawy dokończyć, póki nad Wartą panował martwy spokój. Po Godach zamierzała jechać do Czerska, zabierając Mieszka. Za rok osiągnie wiek sprawny, tęgi jest i rozgarnięty, czas zacząć wdrażać go w wojenne rzemiosło, by znaleźć w nim pomoc i wyrękę.

Od śmierci męża wtajemniczała go już w bieg spraw, obiecywała sobie wiele po swym ulubieńcu, jemu przeznaczając całe dziedzictwo. Bystry był, choć kapelan Ody, Heribert, u którego chłopcy pobierali naukę, nie chwalił jego postępów ni pilności i pobożności. Oda, choć sama wykształcona, nie ceniła zbytnio wiedzy. Karol Wielki zaledwie umiał się podpisać, a zbudował potęgę, jakiej nie było od czasów starożytnych. Łagodny i słabowity Lambert, mimo że celował w nauce i pobożności, wydawał się jej na księcia niezdały, dlatego lekceważyła go. Nabożność była dla Ody jedynie sposobem utrzymania dobrych stosunków z Kościołem, ale to rachuba na dalszą przyszłość. Wygnany z Rzymu papież bezskutecznie wzywał pomocy Ottona, którego w kraju trzymała jątrząca się sprawa połabskich pogan, a mór i głód hamowały wszelkie poczynania.

Choć pilniejsze były sprawy i wydatki, Oda uposażała nowych kapelanów przy świeżo wznoszonych kościołach. Potrzebne to było, gdy poczynania Bolesława przedstawić chciała jako popieranie pogaństwa. Słoty jakby przygasiły opór w kraju, zbiegowie chyłkiem wracali do swych siedzib, wyparci z lasów przez ziąb i wilgoć, z resztek mienia płacąc dziesięciny i mimo chłodu pocąc się przy waleniu budulca na kościoły i umacnianie grodów.

Po wyjeździe Brunona uczucie osamotnienia wzmogło się jeszcze w Odzie. Coraz częściej rozmyślała nad jego radą, nie znajdując poza nią innego wyjścia. Wreszcie przestała się wahać i powziąwszy postanowienie, wezwała Mieszka, by go wtajemniczyć. Sama nauczyła go pogardy dla wszystkiego, co słowiańskie, musi go uświadomić, jaki jest cel jej zamierzeń, by swą wyniosłością nie popsuł sprawy. Z nim jedynie mogła być szczera i nie wątpiła w jego wzajemne zaufanie.

Posłyszawszy, że ma wziąć udział w wyprawie na Mazowsze, gdy jeno mróz zetnie wody, Mieszko skrzywił się niechętnie:

- Jeno poganie zimą wojować zwykli - powiedział.

- Właśnie dlatego - odparła. - Prusy i Jadźwież nie omieszkają skorzystać, że Sobiesław od zachodu będzie zagrożony. A sam rozumiesz, że łacniej rzekę przejść, gdy stoi, niż przez bronione brody.

Skinął głową i zapytał:

- A czym ja mam być na onej wyprawie?

- Z imienia wodzem. Książęciu zda się sława wojenna. Ale sam rozumiesz, że brak ci doświadczenia, tedy w rzeczy dowodzić będzie Przybywój.

Mieszko zmarszczył się.

- Wżdy od was wiem, że marzy mu się samoistne księstwo. Gdy podbije Sobiesława, rozduje go

do reszty. Wyznaczylibyście na wodza kogoś z naszych, bo przy nim chyba giermkiem będę.

- Będziesz jego pasierbem - rzuciła.

Spojrzał na matkę, zdumiony i zaskoczony, po czym dumnie wydął wargi.

- Skoro wam się zachciało dać mi ojczyma, godniejszego moglibyście znaleźć.

- Mogłabym - odparła. - Jeno szukam takiego, co by mi pomógł przetrzymać, póki ty nie dojrzejesz. Niechaj sobie marzy, o czym chce.

- Marzenie jego spełnić się gotowe, gdyby z wami spłodził potomstwo - rzucił Mieszko ze złością. Odparła niecierpliwie:

- Nie troskaj się o przyrodnich, których nie ma i... nie będzie, gdy grozi ten, co jest. Jedno pewne, że raniej Bolesław z nami zgodę by uczynił niźli z Przybywojem, i dlatego mi on potrzebny, póki się tamtego wroga nie zbędziem.

- Wtedy my Przybywojowi staniemy się niepotrzebni.

- Gdy zyskasz doświadczenie, sam zrozumiesz, co wtedy począć należy.

Mieszko zaśmiał się.

- Już ninie rozumiem. Tedy popiję przódzi na weselisku, a później na stypie.

- Gdybyś iście rozumiał, milczałbyś! - syknęła.

- Wżdy was znam - rzekł, obejmując matkę ramieniem poufale. - Jeśli rodzic mój dożył sędziwego wieku, to nie dlatego, że w łożnicy był wam potrzebny.

Strąciła gniewnie jego ramię.

- Za rok niespełna przyjdzie ci objąć rządy, a jeszcześ się milczeć nie nauczył? Wiedz, że najgorszym zdrajcą bywa własny język, a Przybywój podejrzliwy jest i pyszny.

- Nie lękajcie się - powiedział przymilnie. - Jeno z wami gadam, co myślę.

- Gdy wiesz, że jedno myślimy, gadać nie trzeba - odparła łagodnie. - I nie samym gadaniem zdradzić się można.

- Wiem o tym. Gdy ptaki łowię, też muszę się przytajać i gwizdać jak one.

A gdy je zwabię, łeb ukręcam i do torby - zaśmiał się.

- Idźże tedy do swoich zabaw - rzekła udobruchana. - Jeno pomnij, że skoro kres im będzie. Co do wyjazdu trzeba, ja już obmyślę.

Patrzyła za odchodzącym z macierzyńską dumą. Podobny był do niej z urody i usposobienia, rozumieli się wzajem. Rozmarzyła się o świetnej dla niego przyszłości. Będzie najpotężniejszym z książąt Rzeszy. Gdyby wątły i słabowity Otto zmarł bezpotomnie, jej Mieszko może sięgnąć i po cesarską koronę. Wiedziała wprawdzie Oda, że stara cesarzowa zamierzała wnuka swatać z córką bizantyńskiego cesarza i na zwołanym hoftagu w Augsburgu uchwalono wysłać w tym celu poselstwo, ale nie wierzyła w pomyślny jego wynik. Wnuk znienawidzonego uzurpatora Zimiskesa nie zyska poparcia prawowitej dynastii macedońskiej. Zresztą Kłótnik sięgał po koronę, mimo że zmarły Otto II zostawił potomka. Niemiecka korona nie jest dziedziczna.

Oda z westchnieniem wróciła myślą do mniej miłych, ale bliższych spraw. Dość ofiar, wysiłków i wyrzeczeń złożyła już, by władzę zapewnić swemu ulubieńcowi. Lata całe żyła ze starym, nie lubianym człowiekiem, przymilała mu się, zaciskając zęby, znosiła niechęć pogardzanego ludu i

nienawiść pasierba. W przewidywaniu, co się stanie po śmierci męża, zawczasu próbowała usunąć współzawodnika swego syna, narażając się na nieobliczalny gniew swego małżonka. Choć wysoka stawka była przegrana, pozostała jedna korzyść: Przybywój, którego uczyniła swym narzędziem, wie, co go czeka, gdyby zwyciężył Bolesław. Może być pewna, że walczyć będzie do ostatka. A nieufność jego potrafi uśpić zamierzonym związkiem, jeszcze jedna ofiara złożona przez nią macierzyńskiej miłości i dumie. Nie cofnie się przed niczym. Nie uśmiechała się jej podróż zimową porą na dalekie Mazowsze, ale trzeba szybko załadzić, póki spokój jest nad Wartą i Obrą. Spraw z Przybywojem nie da się załatwić przez posły.

Toteż gdy tuż po Godach spadł do Gniezna wraz ze śniegiem - powitała go z niekłamaną radością, choć zjechał z orszakiem, jak udzielny książę, a na zwołanej naradzie zachowywał się, jakby do niego należało ostatnie słowo. Dostojników, którzy zabierali głos, zbywał wyniośle, nie przedstawiał ni prosił, ale żądał i rozkazywał.

Oda milczała. Żądał zasobów i konnych posiłków, które bez tego wysłać zamierzała, a pycha jego i pewność siebie tym razem były jej na rękę. Po naradzie, gdy wszyscy rozchodzili się, Oda zwróciła się do Przybywoja:

- Ostańcie! Chciałabym jeszcze pomówić o sprawach, które nas jeno dotyczą.

Spojrzał na nią pytająco i nieufnie. Gdy podniosła oczy, ze zdziwieniem spostrzegł, że lśnią od łez. I w głosie był jakby hamowany szloch, gdy zaczęła:

- Ciężki jest wdowi los. Na barki moje nie jeno sprawy państwa spadły, ale macierzyńskich trosk takoż nie mam z kim podzielić.

Przybywój był zaskoczony. Opierał się wzruszeniu, namiętność trzymał na wodzy. Odparł wymijająco:

- Co wojny dotyczy, możecie zdać na mnie. W innych sprawach, o których mówicie, nijak mi wam pomagać, skorom gdzie indziej zajęty. Bywa, że na sen czasu nie staje.

- Wiem - odparła miękko - i nigdy wam nie zapomnę, żeście przy moim boku stanęli, gdy mi najciężej, zanim mój Mieszko dojrzeje i mieć w nim będę wyrękę. To moja największa troska, by go do wojny i rządów zaprawić, zanim je ujmie w swoje ręce. - Patrzyła nieśmiało w surowe oblicze Przybywoja, na którym malowała się jeno niechęć i nieufność. Podjęła z westchnieniem: - Moglibyście mi i w tym ulżyć, jeno prosić nie śmiem, gdy za to, coście już uczynili, nie wiem, jak się odwdzięczyć.

- Gdy będzie pora zdobycz dzielić, sam powiem, czego żądam - powiedział z szorstką otwartością. Nie dostrzegł błysku w jej oczach, gdy odparła:

- Rozumiem was, że odmawiacie objęcia opieki nad mymi synami, gdy ongiś sama jej wam odmówiłam. Ja jednak zrzucam pychę z serca i prosić się o to ośmielam, choć mi nielekko, zrzućcie i wy pychę. Bóg wam odpłaci... i ja...czym wydolę - zakończyła szeptem, opuszczając oczy i jakby mimo woli wyciągając rękę.

Zdała mu się bezbronna i bezradna, ale pamiętał o postanowieniu, z jakim jechał do Gniezna. Czuł, że mięknie, zmagał się z budzącą się znowu namiętnością. Starał się odgadnąć, jaki podstęp może się kryć w prośbie Ody. Obecność Mieszka na Mazowszu i udział w wojnie może osłabić jego własne stanowisko. Odgadła, o czym myśli, i rzekła z pozorną otwartością:

- Nim rządy całego kraju obejmie, niechaj się dzielnicą rządzić przyuczy.

Cofnął już wyciągającą się dłoń i parsknął złym śmiechem:
- Mądrzeście to obmyślili, jeno jam też niegłupi. Następcę sobie mam przysposobić!

Westchnęła, patrząc na niego oczyma pokrzywdzonego dziecka.
- Wżdy nie rozkazuję, jeno proszę. Wiem, że tego nie uczynicie z miłości ku mnie i po wielkorządztwie nie zechcecie być komesem jednego grodu. Ale palatynem...

Niespodzianie chwycił ją w ramiona, mówiąc chrapliwie:
- Wiecie, czym chciałbym być. Wonczas nad wami wszystkimi obejmę pieczę.
- Puśćcie! - szepnęła broniąc się słabo. - Mieszko wraz nadejdzie.
Miejcież cierpliwość.
- Nie czas mi czekać - odparł, ale puścił ją z ociąganiem. Stała z opuszczonymi oczyma, zarumieniona jak młoda dziewczyna, i rzekła cicho:
- Jeno z Mazowszem skończycie, ślijcie swaty.

Chciał ją objąć znowu, ale rozległo się pukanie i wszedł Mieszko.
Spojrzał na zarumienioną matkę i zmieszanego Przybywoja i roześmiał się:
- Widno nie w porę przyszedłem?
- W porę - odparła Oda. - Wojewoda Przybywój zgodził się opiekę objąć nad wami... i rodzica wam zastąpić.

Mieszko zaśmiał się znowu:
- Tedy skończą się babskie rządy.
- Skończą się - odparła surowo. - Trzeba ci twardszej ręki niż moja.

Ale oczyma uśmiechnęła się do syna. Nie lękała się już, by się wydał z zamiarami.

X

Stoigniew wracać musiał do Poznania, by zaopatrzyć się na drogę i orszak poselski przygotować, ale zbierał się do podróży niechętnie i ociągliwie. Czesi zaniechali dalszych poczynań, zagarnąwszy, co im było potrzebne. Zwycięstwo Ody, które by zakończyło zamęt w Polsce, nie mogło im być teraz na rękę, wobec niepokoju we własnym kraju, o czym mimo wojny przesiąkały wieści. Krasnota umacniał się tylko w Krakowie i sąsiednich grodach, nie próbując nawet tłumić wrzenia w reszcie kraju Wiślan. Widno nie mógł liczyć na posiłki z Czech. Tym mniej mogła na nie liczyć Oda.
W Czechach Wojciech bezwzględnie wystąpił przeciw tym obyczajom, które ongiś skłoniły go do porzucenia Pragi. Żądał dotrzymania warunków swego powrotu: budowy i uposażenia nowych kościołów, dziesięcin dla duchowieństwa, poniechania sprzedaży chrześcijańskich niewolników

niewiernym. Napotykał jednak opór i nie mogąc go przełamać, trzy czwarte dochodów swej diecezji obracał na wykup, do nędzy niemal doprowadzając kapitulne duchowieństwo i w nim czyniąc sobie wrogów. Widząc, że zostanie sam przeciw wszystkim, zwrócił się do księcia, by - jeśli nie potrafi powściągnąć bezbożnego handlu - dostarczył zasobów na wykupno niewolników. Starli się ostro, bo gdy Pobożny odmówił, biskup w oczy mu wypomniał, iż sam dał zły przykład, wydając chrześcijańskich jeńców Lutykom na ofiarę dla ich bałwanów. Gdy dawny piastun biskupa, a obecnie opat brzewnowski, Radło, przestrzegał go przed przeciąganiem struny i doradzał cierpliwością sprawy uładzić, odparł, by Boga o cierpliwość prosił, który prawa swe po to ustanowił, aby ich chrześcijanie przestrzegali. Zagrożony gniewem księcia, odparł, że lęka się jeno gniewu Chrystusa, który objawił mu się we śnie i żalił się, że w osobach jego wyznawców znowu sprzedawany jest za judaszowe srebrniki. Widno Wojciech liczył się nawet z najgorszym, bo dodał, że poszuka Chrystusa w śmierci, jeśli nie najdzie Go w życiu.

Stoigniew zdawał sobie sprawę, iż wszelkie próby porozumienia się z Wojciechem poczytane będą biskupowi za zdradę. Pobożny zbyt jest doświadczony, by nie zrozumiał celu poselstwa, choć sam uszanuje jego nietykalność, a licząc się z Willigizem, nie tknie biskupa. Rudy z Wrszowcami nie omieszkają jednak wykorzystać sposobności, by pozbyć się uciążliwego pasterza i jego znienawidzonego rodu.

Stoigniew nie mógł się oprzeć współczuciu dla człowieka z przyrodzenia miękkiego i lękliwego, w domu, w szkole i klasztorze nawykłego do powszechnej miłości towarzyszy i przełożonych, którego twardy nakaz zmusił do objęcia władzy, przeciwstawiania się wszystkim, ściągając na siebie nienawiść nawet najbliższego otoczenia. Myśl o śmierci dyktuje mu rozpacz. Stoigniew pewny był, że Wojciech lęka się nie tylko przekroczenia bolesnego i nieodwołalnego progu, ale i tego, co znajdzie poza nim. Przedśmiertne widzenie Titmara zbyt wyraźny ślad pozostawiło w spłoszonym spojrzeniu Wojciecha. Jak Chrystus w Ogrojcu, samotnie musi zmagać się z trwogą.

Trudno było wyjaśnić te sprawy Bolesławowi, który na śmierć patrzył okiem wojaka. Ale dla zmiany jego rozkazu winny starczyć wieści z Czech. Stoigniew przeto przesłał je księciu z zapytaniem, czy wobec nich obstaje przy poselstwie, i czekał na odpowiedź, która nie nadchodziła. Tymczasem nadciągnęła wczesna i słoneczna jesień, potyczki nad Wartą ustały i pewnego wieczora w Poznaniu u Stoigniewa zjawili się Jaskotel i Michał Awdańce.

Zrazu omawiali położenie, po czym Jaskotel zapytał:

- A jakoże z poselstwem? Jedziesz zali nie?

- Czekam. Mniemam, że książę rozkaz odmieni.

- Prawyś! Zresztą i pora nie sposobna ni do podróży, ni do wojny. Tu do wiesny spokój będzie.

- Nie zda mi się, boby książę wojsk nie trzymał w pogotowiu ni sam przy nich nie siedział - odparł Stoigniew. - A każe jechać - pojadę. Nie zwykł zdradzać, co zamierza, ni większe względy mieć dla innych niż dla siebie.

Jaskotel zmieszał się jakoś.

- Juści, wiem. Ale wiem też, żem omal nie ulgnął, ze Śródki jadąc na Ostrów. Tedy jeśli i ruszysz, to nie wcześniej, aż drogi stwardnieją. A póki tu siedzisz, weź sprawy w swoje ręce. Nie utrudzisz się - dodał, widząc zdziwione spojrzenie wojewody. - Spokój teraz, ni na łowy jechać, ni wojska ćwiczyć, skoro za kark leje. Tyle że z żarciem wciąż niesporo, ale w tym cię Misiek wyręczy.

- Wyręczę - potwierdził Michał. - Cni się siedzieć i od rana czekać na wieczór.

Stoigniew zwrócił się do Jaskotela:

- O coć idzie, gadaj jasno.

- Swoich chciałbym odwiedzić.

- Cóże cię poderwało? Chciałeś doma siedzieć, mogłeś, bo kniaź ci zwolił.

Ale ninie tyżeś tu wodzem i moje przyzwolenie ci niepotrzebne, jeno zważ, że jeśli ty wyjedziesz, inni takoż rozjeżdżać się zaczną, bo nie ty jeden za swymi tężysz.

- Michał by mnie zastąpił, skoro ty nie chcesz - powiedział Jaskotel niepewnie.

- Jako rzekłem, czyń, co chcesz. Jeno zważ także, że Michał powagi ni doświadczenia nie ma.

- Wżdy powagi nie przedają na targu - wtrącił się Michał, który miał ochotę popróbować swych sił - ni wojny w kapitulnej szkole nie uczą, jeno na wojnie.

Stoigniew odparł niecierpliwie:

- Nie pora ogara karmić, gdy obierza idzie, ni o sobie myśleć, gdy ważniejsze są sprawy.

- Dobrze ci gadać - wybuchnął Jaskotel - skoro nie masz nikogo!

Stoigniew zagryzł wargi.

- Ja iście nikogo. Ale Bolesław małżonkę ma umiłowaną i dziatki, a takoż przy nich nie siedzi.

- Jeno jam ze swoją ni nocy nie przespał po dwu leciech rozłąki! - Jaskotel pomarkotniał i ciągnął: - Żebym choć wieści miał, ale nic. Pachołka posłałem, nie wrócił.

- Poślij Michała, skoro cni mu się tu siedzieć.

- Niech siedzi - rzekł Jaskotel z nagłą złością. - Skoro, prawisz, nie wiada, kiedy książę każą poczynać, może być tu potrzebny. Bogdaj już wóz lubo przewóz, człek by rozmyślać przestał. Żebyś mi ty jechać zakazał, lżej by było - dodał, wstając.

- Sam wiesz, gdzie twoje miejsce, i sameś je wybrał - zakończył Stoigniew, ale gdy Awdańce wyszli, zadumał się.

Wojna dojadła nawet tym, co żyją z niej i dla niej, targa wszelkie węzły, burzy wszelki ład. Chrześcijaństwo, miast jej zapobiegać, stało się jednym więcej źródłem wojen i zamętu, skażone szalbierstwem i przemocą. Stoigniew zwykł patrzeć na nową wiarę oczyma zmarłego księcia, który wprowadził ją w swym państwie jak nową broń i sposoby wojowania w swej drużynie, duchem obcy jej zupełnie. Ale zetknięcie się z praskim biskupem uświadomiło Stoigniewowi, że sama wiara może być celem, źródłem siły, którą słaby z przyrodzenia człowiek czerpie do walki ze wszystkim i wszystkimi, nawet z samym sobą. Wojewoda dość jednak blisko otarł się o nową naukę, by nie rozumieć, że gdyby zwyciężyli tacy jak Wojciech, inny ład zapanowałby na świecie. Ale też świat znał zbyt dobrze, by uwierzyć, że Wojciecha czekać może co innego niż wygnanie lub zguba. Trzeźwą myśl mąciło wojewodzie wspomnienie zapatrzonych w Wojciecha półprzytomnych oczu młodego Ottona. Stoigniew sam nie umiał otrząsnąć się z uroku. Wojciech może zginąć, śmierć jednak nie jest jednoznaczna z klęską. Owoce zwycięstwa spożywają żywi, ale chwała jego należy do poległych. Starczy czasem jedną gałąź wyciągnąć z zatoru, który hamuje bieg strumienia i rozlewa go w cuchnące bagno, by ruszył prąd, który zepchnie zgniliznę i oczyści powietrze. A Wojciech nie jest jedyny. W awentyńskim klasztorze Stoigniew poznał ludzi, którzy, jak doża d'Orseolo, wzorem patrona Aleksego porzucili władzę, majętności i roskosze, własne, a nie cudze życie szerzeniu

chrześcijaństwa poświęcić gotowi. Na bagnach Pereum, wokół Romualda księcia Traversara gromadzą się pustelnicy, świadcząc czynem, że można żyć wedle Ewangielii. Stoigniewowi przyszedł na myśl Zyńka. I w niedawno ochrzczonym kraju są ludzie, którzy nową wiarę przyjęli nie tylko na rozkaz księcia.

Stoigniew otrząsnął się z rozmyślań. Zła szukać nie trzeba, zwalczać je należy tam, gdzie się je napotka, siły skupić na jednym, jak Bolesław. Wyjął z zanadrza pierścień Adelajdy. Nie zsunie się już z palca. Zadanie, które przypominał, nie pozwala sił rozpraszać na bezpłodne rozmyślania.

Zasypiał słuchając, jak wicher jęczy w kominie, świszcze w gałęziach i bryzgami deszczu siecze błony w oknach. Spał bez marzeń i zbudził się wypoczęty, a raczej zbudził go blask. Dzień był duży, przez błony cedziło się jaskrawe światło. Stoigniew otworzył okno i kłębem pary wpadło mroźne powietrze. Wydychiwał resztki snu, mrużąc oczy od blasku słońca, kładącego się na świeżo spadłym śniegu. Wicher rozegnał chmury, a przyniósł mróz.

Stoigniew stał jeszcze, zbierając myśli, gdy w sieni rozległy się szybkie kroki i bez zapowiedzi wpadł do izby Jaskotel. Twarz miał zarumienioną, ręce zacierał. Nie witając się, mówił w podnieceniu:

- Posłaniec od kniazia! Ty jedziesz w posły do Włodzimierza, by Jadźwież przycisnął i tym samym Sobiesławowi ręce rozwiązał. On ma na Mazowszu uderzyć, a ja tu.

Wcześniej niż nad Wartę zima nadleciała nad Wisłę z mroźnym wiatrem z północnego wschodu. Wśród ośnieżonych brzegów, wezbrana jeszcze jesiennymi wodami toń zdała się czarna, a w chmurne, bezgwiezdne noce - otchłanią bez dna, w której najbystrzejsze oko niczego nie zdołałoby wyśledzić. Toteż straże na wałach czerskiego grodu nie starały się nawet dawać baczenia na rzekę, chowając się przed ciągnącym od niej wilgotnym chłodem.

Nie było potrzeby pilnowania przeprawy, zebrane w grodzie i sąsiednich osadach siły zdały się dość znaczne, by nie lękać się napaści Sobiesława, który stał wprawdzie za Wisłą, ale nawet ciepłą porą ograniczyć się musiał do pilnowania brodów. Teraz, zanim rzeki nie skuje lód, jest nieprzebyta. Wiadomo było, że na ten lodowy most czeka także Przybywój, by przeprawić się i walkę zakończyć. Nie robił tajemnicy, dlaczego mu spieszno. Stanowisko palatyna i opiekuna młodych książąt wysunie go na pierwsze miejsce w kraju. Nawet niechętni zabiegać zaczynali o jego łaski, choć nie zapowiadał się łaskawym panem. Wraz z powodzeniem wzrastała w nim pycha i pewność siebie, dawał ją odczuć wszystkim, nawet bratu własnemu. Gdy Odylen przyjechał zgnębiony i prosił o wyznaczenie mu gródka i urzędu, Przybywój odparł lekceważąco:

- Ninie niech ci starczy, że masz co żreć i dach nad głową. Na więcej musisz zasłużyć.

Byli tacy, co mu się zasługiwali zawczasu, gnębiąc prosty lud, który tracił już nadzieję na powrót Sobiesława. Pozbawiony pomocy, ani chybi nie utrzyma się nawet na prawobrzeżnym Mazowszu, zwłaszcza gdy Jadźwież i Prusy, jak zwykle zimą, rozpuszczą zagony. O Bolesławie zaś wiadomo było jeno tyle, że stracił Morawy i Słowaczyznę, znaczną część Śląska i kraju Wiślan z Krakowem. Sam potrzebował pomocy.

Tymczasem zima nadeszła, spokojne już wody obrzezała skorupa lodu, Wisłą zaczynała płynąć kra, coraz gęściejsza, i w nocnej ciszy dochodził do grodu groźny jej syk.

Przybywój wsłuchiwał się weń z wzrastającym podnieceniem. Jeszcze parę dni mrozu, a rzeka

stanie i nadejdzie pora uderzenia. O wynik był spokojny, pokończył przygotowania i myślą wybiegał już w przyszłość, gdy - pokonawszy Sobiesława - weźmie w ręce wszystkie sprawy. Gdy księżnę pojmie, ona od niego będzie zależna. Lamberta wyśle do szkoły klasztornej, z Mieszkiem nie liczył się wcale, przed oczyma miał cel, o którym do niedawna nie mógł nawet marzyć: całość Mieszkowego dziedzictwa. O trudnym położeniu Bolesława wiedział i wzbity w pychę spodziewanym zwycięstwem starał się wmówić w siebie, że już się z nim liczyć nie potrzebuje. Ale mimo zuchwalstwa nie potrafił stłumić w sobie zakorzenionego lęku przed nim i jakby wstydu, który przeradzał się w nienawiść. Teraz już pozbyć się może wroga w otwartej walce, nie potrzebuje sięgać po truciznę. Jednak pogardę Bolesława może zabić tylko wraz z nim. Wspomnienie tej pogardy doprowadziło Przybywoja do nowego wybuchu złości przeciw Odzie.

W rozmyślaniach o przyszłości znalazło się miejsce dla Odylena, o którym wśród przygotowań wojennych niemal zapomniał. W swaty wysłać przystoi krewniaka, a wszyscy poza Odylenem stali po stronie Bolesława. Wytraci ich do nogi, z Piastowego rodu zostaną w kraju tylko on i Odylen. Jego współzawodnictwa nie potrzebował się obawiać, choć wyczuwał w nim zawiść, bo mimo wszystko przywykli do siebie. Zaspokoi go odpowiednim rodowi dostojeństwem, Odylen może być jeszcze potrzebny, jak choćby teraz. Wiedział, że Oda nie ujrzy go rada, ale się z tym nie liczył, nie miał zresztą wyboru. Wróciwszy któregoś wieczora z objazdu, kazał wezwać brata.

Odylen przyszedł chmurny i zgorzkniały. Gdy posłyszał, jaką rolę wyznaczył mu Przybywój, wybuchnął:

- Nie pojadę! Zaraza na jędzę! Za to, żem dla niej wrogów sobie napytał, jako z psiarkiem ze mną się obeszła! A z tobą? Ninie się łasi, bo cię potrzebuje. I do mnie się łasiła. Głupiś!

- Od ciebie rozumu nie pożyczę - zimno odparł Przybywój. - Pojedziesz! A nie w smak ci, zabieraj się i sam myśl o sobie. Dużoś wymyślił!

Odylen podniósł przekrwione oczy na brata. Zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Złość mu przeszła, zostało przygnębienie.

- Gdyśmy społem byli w poniewierce, chocia i swarzyliśmy się, ale jak bracia - rzekł ponuro. - Ninie gadasz do mnie jak do psa. Pójdę! Bogdaj nas Bolesław nie pogodził!

- Głupiś - rzekł Przybywój, bardziej pojednawczo. - Nie wyganiam cię, jeno w swaty ślę, jako starszego brata, a ona też, w smak jej czy nie, przyjąć cię musi jak książęcego krewniaka. Wżdy nie poślę byle obcego powsinogi ni lada jakiego żupana, bo nie przystoi. Może mam Sobiesława czy Stoigniewa w swaty prosić!

- Cóże ci tak pilno? - zgryźliwie mruknął Odylem. - Dzisiaj wieść przyszła, że gdański Mściwój Prusów najechał. Sobiesław od północy ręce będzie miał wolne, a wiadomo - umie nimi obracać. Nie spodziewaj się, że rychło z nim skończysz.

Wieść taka istotnie przyszła i Przybywój zadumał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Mściwój z Sobiesławem zwąchać się musieli, ale tyle jeno, że dłużej pociągnie. Na Sobiesława mnie stać, a Mściwój na odpłatę poczeka.

- Musi poczekać, bo raniej jeszcze z Bolesławem sprawa.

- Skoro Sobiesława nie poparł, gdy tu jeszcze siedział, cienko przędzie.

- Może dlatego dałoby się z nim ninie dogadać. Połowę sił Ody i jej ulubionego szczeniaka masz w ręku, jest czym tarżyć.

Przybywój pięścią w stół wyrżnął w nagłej złości:

- Żebym żywota miał zbyć, nie będę z nim gadał! Nie wiem, zali Mieszko - czy, jak go tam Oda woła, Dietrich - nie po to tu wysłany, by mi na ręce patrzył, a bystry jest, tedy gębę trzymaj. Z tego wojska, które mam w ręku, nic by mi nie ostało, gdyby pomiarkowała, że chcę uczynić to, co gadasz.

Odylen ramionami wzruszył:

- Mieszko jest tępy. Ptaszki łowi we dnie, nocą za dziewkami cieka. Takiś pewny, a lękasz się gówniarza, który jeśli w macierz się wdał - to jeno pychą.

- Nie lękam się, jeno przezorność zachować należy, a wszystko lepsze niż zwycięstwo Bolesława. Skoroś się przy mnie uwiesił, pomagać mi winieneś, a nie mędrkować. Sam wiem, co czynić należy, i lepszą ci dolę zgotuję niźli ty sam sobie, boś niezdara.

Widząc, że Odylen zachmurzył się znowu, dodał:

- Prawda to jest, tedy nie źlij się i rozchmurz gębę, bo i bez tego zmarszczek ci nie brak. Radziej wypijmy za pomyślność wyprawy. Chwycę los za kark.

Wzięli się do picia i w miarę jak miód rozchodził się w żyłach, przyszłość malować się jęła w coraz jaśniejszych barwach, nawet rozprawa z Bolesławem nie przedstawiała trudności. Przybywój wstał wreszcie na niezbyt pewnych nogach, mówiąc:

- Na dziś starczy. Wyspać się muszę, bo trudy mnie czekają, gdy ty wczasować się będziesz. Na Bolesławowej stypie pofolguję sobie i tobie nie będę odmierzać.

Poklepał brata łaskawie po ramieniu i wyszedł.

Rozdzielone na zimowisko po leśnych osadach lub obozujące w skleconych naprędce szałasach wojska Bolesława jednego dnia postawił na nogi rozkaz, by, unikając brodów i uczęszczanych szlaków, przeszły Pilicę i nie dochodząc do jej ujścia skierowały się na północ. W kolanie Wisły, w borze konarskim, czekać miały na dalsze rozkazy, nie zdradzając postoju. Sam książę z przybocznym hufcem konnym ruszył przodem. Wiadomo było, że teraz się rozpocznie, i wojska ogarnęło podniecenie. Czekanie dojadło już wszystkim.

Mimo że wojska ciągnęły nocami, jak stada wilków, śnieg jednak zdradzał ślady, nie dało się też uniknąć spotkania z ludźmi. Wieść o wszczętym ruchu dotarła do grodów zajętych przez obce załogi, budząc ich czujność, jakkolwiek przypuszczano, że to tylko kupy zbiegów, dotychczas ukrywające się po leśnych komyszach, przyciśnięte przez głód i mróz, wyszły, by zaopatrzyć się w żywność lub pod dachem u swojaków przeczekać najgorszy okres zimy.

Przybywój zrazu podzielał to mniemanie i kazał jeno objeżdżać osady i łowić zbiegów, a udzielających im pomocy karać bezlitośnie. Sam tymczasem każdej chwili gotów był wyruszyć przeciw Sobiesławowi. Mróz nie folgował, niemal z godziny na godzinę zanosiło się, że rzeka stanie i pozwolii rozpocząć przeprawę. Do wrzenia, jakie znowu wyczuć się dało wśród ludności, nie przywiązywał wagi. Gdy zagaśnie nadzieja na powrót Sobiesława, samo się uspokoi.

Wątpliwości naszły go, gdy z otrzymanych wieści pomiarkował, że rozproszony ruch skupia się,

jakby ktoś nim kierował. Widział w tym rękę Sobiesława, który domyśliwszy się, że nadchodzi uderzenie, chce je osłabić wywołanym na tyłach rozruchem. Temu zapobiec należało, a skupienie zbuntowanych w jednej okolicy dawało sposobność stłumienia buntu w zarodku.

Nie ufając polańskiej i mazowieckiej starszyźnie, która liczyć się mogła ze zmianą położenia i nie dość surowo przeciw zbuntowanym występować, Przybywój wolał użyć niemieckich najemników. Nawykli oni na Połabiu palić słowiańskie wsie i wycinać bezbronną ludność, a dowódca ich, rycerz Engilbert, ongiś giermek margrafa Dietricha, w jego szkole był wykształcony. Nie trzeba mu zalecać srogości, poza tym Przybywój wolał, by nie szła na jego rachunek, skoro kiedyś władać ma w niszczonym obecnie kraju. Gdy oznajmił Engilbertowi zadanie, ten jeno się uśmiechnął drapieżnie.

- Ze słowiańskimi psami nie będę igrał. Spokojni bądźcie, że trawa nie porośnie, gdzie przejdę.

Przybywoja ubodło odezwanie się Niemca, ale potrzebny mu był. Odezwał się jeno oschle:

- Po to przez rok psy karmię, by mi przez dzień służyły do łowów.

Weźmijcie konnych, bo wkrótce uderzym na Sobiesława, tedy wracać macie co rychlej. Tam okażecie wasze męstwo.

Drażniła go pycha wywłoków, którzy nie bardzo mogli się pokazywać w swoim kraju, a upokarzała zależność, przywodząc przed oczy, że nie może liczyć na oparcie we własnym narodzie. Ale zmieni się to, gdy nie będzie już wyboru. Przyszło mu jednak na myśl, że kiedyś może się przydać, by to, co uczyni Engilbert, można było przypisać Mieszkowi. Posłał przeto po młodego księcia, a gdy ten zjawił się, powiedział:

- Zanim pociągniem na wielką wojnę, sposobność masz w małej się zaprawić.

Engilbert ruszy z podjazdem łowić zbiegów i zbuntowanych pokarać. Niebezpieczeństwa nijakiego nie ma, jeno trudu nieco. Łowiec też na małej zwierzynie się zaprawia, nim na grubego zwierza wyjdzie.

Przybywój nie spodziewał się odpowiedzi, którą usłyszał:

- Sam o tym myślałem, bo cniło mi się. Alem się rozmyślił i wracam do Gniezna.

- Czemuż to? - Przybywój był zaskoczony i zaniepokojony. Mieszko w jego ręku był zakładem dotrzymania przez Odę przyrzeczenia. Nie wiadomo, co jej powie a wbrew woli nie może go zatrzymać. Usiłował go przekonać:

- Macierz twoja chce, byś się tu do rządów i wojny zaprawiał. Gniewna będzie.

- Przed nią się sprawię. Przed wami - nie.

Przybywojowi krew uderzyła do głowy, ale się powściągnął i odparł obojętnie:

- Mnieś tu niepotrzebny, tedy nie zatrzymuję. Jeno pomyślą, że cię tchórz obleciał, jeśli teraz właśnie wyjedziesz, gdy skoro patrzeć, walki się rozpoczną. Dlatego i pocztu ci dać nie mogę, a droga nie całkiem bezpieczna.

- Myśleć można, żem tchórz, jeno nie gadać - odparł Mieszko zuchwale. - A żem nie tchórz, świadczy, iż pojadę, choć droga nie całkiem bezpieczna. Poczet mam swój, nieduży, ale pewny. Tedy żegnam, na weselisku się pewnikiem obaczym.

Wyszedł, pozostawiając stropionego Przybywoja. Tego gołowąsa nie można lekceważyć. Czyżby się czego domyślał lub słyszał? Ale nie pora głowę sobie nim zaprzątać. Gdy nad Sobiesławem odzierży zwycięstwo, będzie panem położenia. Oda, czy się czego domyśli, czy nie, wyboru mieć nie będzie. Z dala od niej znowu patrzył na nią trzeźwo, jej nie ufał w niczym, ale ufał sobie.

Otrząsnął się z tych rozmyślań i poszedł obejrzeć hufiec Engilberta. Trzystu pancernych ściągnięto już z osad, bo wyruszyć mieli przed świtem, siła znaczna przeciw licznym nawet gromadom licho zbrojnych chłopów, potrzebna jednak będzie przeciw Sobiesławowi, dlatego Przybywój raz jeszcze zlecił Engilbertowi szybki powrót. Wiedział, że do mordów i rabunków zachęcać nie trzeba, a postrach zgasi rozruch w zarodku.

O szarym brzasku styczniowego dnia podjazd wyruszył z Czerska, kierując się na południe. Wiatr

ustał, mróz jakby zelżał, w dolinie Wisły, wzdłuż której wiodła droga, leżała mgła, w miarę jednak jak wznosiło się słońce, rzednąć zaczynała i koło południa blady jego krążek przesiał swe mdłe światło przez tuman. Gdy jednak słońce pochyliło się, mgła zgęstniała znowu i przedwczesny zmrok zaciągnął szarą zasłonę nad okolicą.

Engilbert mijał bliższe wsie i osady. Leżąc w zasięgu grodu, ani mogły, ani ważyłyby się wspomagać czy przechowywać zbiegów. Niedawno opuszczone przez zimujące wojska, objedzone były do cna. Ponieważ Engilbert nie zabrał jucznych koni i paszy, żywności szukać było trzeba w większej i nie zniszczonej osadzie.

Choć ludzie i zwierzęta znużeni już byli, a chłód przenikać zaczynał do kości, Engilbert przyspieszył jeno pochód. W gwarnym zrazu oddziale zapanowało milczemie. Przez chwilę niebo różowiło się na zachodzie, zapowiadając mróz. Jakoż mgła jęła osiadać szronem na gałęziach drzew i krzach, rzednąc zarazem, i świat pobielał. Cisza stała w powietrzu, jeno z suchym szelestem opadała sędzielizna. Nie pojone od rana konie zaczynały chrapać, ludzie myśleli jeno o ciepłej strawie i noclegu pod dachem. Tymczasem droga weszła w las, biały i milczący, jeno echo oddawało głuchy stukot kopyt. Czasem zadźwięczało żelazo, ale w głębi boru cisza była i żadne ślady nie zdradzały ludzkiego osiedla. Engilbert z kilkoma knechtami wysworował się naprzód. Okolicy już nie znał, niedaleko jednak musiało być do Pilicy, a nad rzeką będą ludzkie siedziby. Noc zapadła, nocleg pod gołym niebem nie uśmiechał się nikomu, zwłaszcza że palenie ognisk nie było bezpieczne. Zresztą dotrzeć trzeba do wody, by napoić konie, które zeszkapiały i niepokoiły się.

Ludzie podrzemywali już na wlokących się z opuszczonymi łbami koniach, gdy las zaczął rzednąć, przechodząc w chaszcze, droga z pogórków zeszła w równinę, na której leżała mgła, widocznie wstająca z oparzelisk. Wszystko wskazywało na bliskość wody. Jakoż droga dość nagle skręciła na zachód, a w białym tumanie ukazało się ciemniejsze pasmo zarośli, wskazując bieg rzeki, ukrytej już pod lodową skorupą.

Konie same ruszyły raźniej, widocznie poczuwszy niedaleką wodę, i zanim w mlecznym mroku ukazały się zabudowania osady, zdradził ją psi jazgot. Choć rozrzucona, musiała być spora, szczekanie bowiem dochodziło z bliższa i z dalsza, tłumione jednak przez mgłę, tak że trudno było pomiarkować, skąd głos dochodzi.

Engilbert puścił konia kłusem i przy pierwszych z kraju budynkach zeskoczył na ziemię. Gdy dociągnął oddział, rozkazał przeszukać osadę, po czym wystawić straże, a o świcie postawić hufiec na nogi. Potem, zabrawszy kilku knechtów i giermka, skierował się w obejście, kopnął wściekle ujadającego psa, jak przedmiot odsunął chłopa, który stał w progu, ponurym i niespokojnym spojrzeniem mierząc przybyłych, i wszedł do wnętrza chaty.

Wnętrze ciemne było, jeno dymnik w dachu odcinał się jaśniejszą plamą, a na palenisku, pośrodku izby, spod popiołu przeświecał żar. Engilbert kazał pachołkom dorzucić suszu i szczap, a gdy wyskoczył płomień, rozejrzał się po izbie.

Wzdłuż okiennej ściany biegła ława, a nad nią póła z domowymi statkami, pod przeciwległą - zasłane łoże, na palenisku żelazny trójnóg, obok - kilka pieńków.

Engilbert usiadł na jednym z nich. W cieple ogarniała go senność, ale czekał na wieczerzę, do której przygotowania wzięli się knechci, gospodarząc jak u siebie. Jeden z nich zdjął wiadro z póły i wręczając je stojącemu w milczeniu gospodarzowi, na migi pokazał, by przyniósł wody. Chłop wyszedł z ociąganiem, a tymczasem z leżącej obok komory knechci wynosili wędzone mięso, słoninę, jaja, kaszę i inną żywność, biorąc się do przygotowania obfitej wieczerzy.

Z sennej zadumy obudził Engilberta płacz dziecka i szamotanie. Obejrzał się. Jeden z knechtów, ściągając dery z legowiska, by przygotować posłania, odkrył przycupniętą pod nimi niewiastę. Przytrzymywała rozpaczliwie przykrycie, które on ciągnął ze śmiechem, a dziecko krzyczało coraz głośniej, czepiając się matki. Engilbert, zeźlony hałasem, wrzasnął:

- Rrraus!

Nie zauważył chłopa, który, postawiwszy przyniesione wiadro, patrzył przekrwionymi oczyma, jak knechci pochwycili niewiastę, by ją wyrzucić z izby. Dostrzegł gospodarza dopiero, gdy ten burknął do żony:

- Bierz czędo i idź do chlewa. Skoro tam przyjdę. Na przemoc nic nie uradzim. Bogowie dadzą, że prawy pan obcych powsinogów przegna.

Engilbert groźnie dźwignął się z pieńka. Rozumiał słowiańską mowę i zawartą w niebacznych słowach wrogość i groźbę.

- Ty psie pogański! - warknął. - Gadaj no, gdzie to ów pan, co nas ma przegnać?!

Gdy chłop milczał, zaskoczony, rycerz wrzasnął:

- Gadaj, co wiesz, lubo pójdziesz na gałąź!

Chłopu oczy latały jak osaczonemu wilkowi. Widać było walkę między chęcią ucieczki a obawą opuszczenia żony i dziecka. Gdy nie odezwał się, Engilbert bez słowa wskazał knechtom na szyję. Zrozumieli i pochwyciwszy chłopa, jęli go wlec do drzwi, mimo że ciskał nimi jak niedźwiedź psami. Oswobodzona kobieta skoczyła do kolan rycerza:

- Pomiłujcie! Ja powiem wszystko.

- Milcz! - krzyknął chłop, ale rycerz pięścią uderzył go w twarz, a ten zatoczył się i na wargach ukazała się krew. Niewiasta dziecinnym ruchem zakryła dłońmi oczy, a Engilbert, zwracając się do niej, syknął:

- Gadaj, lubo twego szczeniaka w ogień cisnąć każę!

Zaniosła się rozpaczliwym płaczem, a chłop, szamocąc się, jeszcze krzyknął:

- Jestli wasz Bóg sprawiedliwy, pomści nas!

Engilbert zaśmiał się jeno i patrzył, jak knechci, kopiąc i bijąc, wywlekli gospodarza z izby. Potem zwrócił się do niewiasty:

- Później będziesz swego opłakiwać. Ninie gadaj, bo darmo grozić nie zwykłem!

Widział jednak, że niewiasta słowa przemówić nie zdoła, czekał więc niecierpliwie, aż się nieco uspokoi. Tymczasem nasłuchiwał głosów z dworu; coś go uderzyło: odległe, liczne, zbliżały się jednak szybko i wyraźnie. Zadudniła ziemia od kopyt idących w skok koni. Przeleciały jak wicher i jeszcze nie ścichły w oddali, gdy rycerz chwycił za miecz i skoczył ku drzwiom. Cofnął się, jakby zobaczył zjawę. Drzwi otwarły się i stanął w nich mąż ogromnego wzrostu, w kolczudze i spiczastym hełmie. Musiał się schylić, żeby wejść. Obojętnie spojrzał na Engilberta, który stał jak słup, rozejrzał

się po izbie i widząc płaczącą niewiastę, odezwał się niskim głosem:
- To twego obwiesić chcieli? Nie becz. Idzie tu.

Engilbert zrozumiał i oprzytomniał. Skoczył ku drzwiom, ale - jakby odbity od skały, zatoczył się w tył, potknął się o pieniek i legł jak długi. Zbierając się z trudem, miecz, który wypadł mu z ręki, ujął za brzeszczot i wyciągając go ku nieznajomemu, powiedział:
- Jam jest Engilbert von Walburg. Komu w jeństwo popadłem?

Przybyły spojrzał na niego jak na wyrostka podającego patyk i ręką pokazał, by odłożył miecz. W tej chwili w drzwiach ukazał się chłop. Twarz miał pokrwawioną, odzież podartą i utykał. Jednak na widok Engilberta skoczył rozjuszony ku niemu. Jak dębowy konar - drogę zagrodziło mu ramię nieznanego rycerza, który powiedział spokojnie:
- Ostaw! Wszystkich społem obwiesim.
- Ten psubrat dziewuszkę moją w ogień chciał cisnąć! - krzyknął chłop. - Mnie się pomsta należy!

Był tak rozjuszony, iż zdało się, że się porwie na polańskiego rycerza.
Żona uchwyciła go za rękę. Jeszcze pochlipując, mówiła:
- Dziękować winieneś rycerzowi. I chrześcijańskiemu Bogu też. Sameś go wzywał.

Chłop uspokoił się i rzekł chmurnie:
- Ty zawżdy swoje. - Zwracając się do nieznajomego, ciągnął: - Nie dziwujcie się, panie. We własnym domu moim jak psa mnie sponiewierał. Bez czci bym ostał, gdybym pomsty nie wziął.
- Poskarżysz się kniaziowi - mruknął nieznajomy. - Ninie on - wskazał na Engilberta - będzie jeszcze potrzebny. A potem może go kniaź twojej pomście wyda lubo na pal wbić każe. Jeść dawajcie!

Kobieta zakrzątnęła się koło ogniska, a rycerz zdjął hełm, odpasał miecz i czekając, usiadł na pieńku, zdając się nie zwracać więcej uwagi na jeńca. W jego niedbałej obojętności było coś nieludzkiego, bardziej przerażającego niż widmo wymyślnej śmierci. W głowie Engilberta kołatała się tylko jedna myśl: jak usunąć się spod przytłaczającej obecności olbrzyma, jak się wymknąć. W napięciu wszystkich zmysłów czekał na sposobną chwilę.
Zdało mu się, że nadeszła, gdy gospodyni, zdjąwszy z trójnoga kociołek, przelała polewkę na misę i podawała ją obcemu. Engilbert skoczył do drzwi. Niewiasta krzyknęła i puściła misę. Odgłos tłuczonego naczynia zlał się w jedno z głuchym uderzeniem. Chłop zerwał się, by przytrzymać leżącego Engilberta. Po chwili dźwignął się, zdumiony:
- Nie żywie! - powiedział cicho. W głosie jego był zarazem zawód i zaskoczenie.
- Szpik mu widno przetrąciłem - mruknął rycerz. - Wywlec go do tamtych. - Widząc, że niewiasta zbiera się warzyć nową polewkę, machnął ręką: - Ostaw! Bądź co daj. Wraz odejdę.

Jakoż po małej chwili przed domem rozległy się głosy ludzkie i stąpania koni, które zatrzymały się przed obejściem. Ktoś dopytywał się o rycerza Wilczka Awdańca i do izby wszedł wojak. Na

widok rycerza zawołał:

- Szukamy was! Co się stało?

- Nic. I tu była robota. Siła jeńca?

- Do kopy. Coś ta uszło, ale w koronowskim borze tarczownicy ich ułowią, jeno nie bez tego, że poniektóry się wymknie, bo nie wszyscy tamtendy uchodzili.

Rycerz machnął ręką, wstał i przypasując miecz, zwrócił się do gospodarzy:

- Za gościnę dziękuję.

- My dziękujem - odezwał się chłop. - Póki żywota, nie zabędziem.

Niewiasta zaś, przystępując z dzieckiem na ręku do rycerza, powiedziała:

- Za nią dziękuję, że sierotą nie ostała. Bogdaj się wam ręce święciły.

Na surowej twarzy Wilczka zjawił się wyraz zakłopotania, jakby nie wiedział, za co mu dziękują. Ostrożnie położył szeroką dłoń na płowej główce dziewczynki, włożył hełm i wyszedł.

W izbie zapanowała cisza. Niewiasta, szepcąc cicho, układała dziecko na posłaniu i kreśliła na piersiach i czole jakieś znaki. Chłop zadumany patrzył na nią.

- Może i praw jest Sabinus, że jego Bóg nie jest niemiecki, boby Niemców nie pokarał. Będzie można do Czerska, obiatę zanieść mu trzeba.

Wstał, obmył twarz z krwi i zaczął się przebierać. Patrzyła na niego pytająco:

- Dokąd? Wżdy noc.

- Do somsiadów. Obaczyć, co u nich, i zmówić się do drogi.

- Dokąd? - powtórzyła zaniepokojona.

- Wżdy Bóg sam Niemców nie wygna. Ani kniaź takoż. Na wici nam nie czekać ani by cudze ręce jarzmo zrzuciły, bośmy też nie wyrostki.

Podniósł miecz, porzucony przez Engilberta, i mruknął:

- Nie każdy gołą ręką ubić człeka wydoli niczym królika, jako ów rycerz.

Ale mniemam, że się niemieckie żelazo na niemieckim karku nie złomi. Nie twardszy on niż nasze.

Xi

Krótki zimowy dzień minął na ostatnich przygotowaniach do pochodu, ani się Przybywój obejrzał, gdy zapadł zmrok. Szum kry nacichał, mimo przybierającego mrozu rzeka przestała dymić. Lada chwila stanie, do rana mróz zwiąże krę i można będzie rozpocząć przeprawę.

Przybywój, wydawszy ostatnie rozkazy i zarządzenia, wcześnie udał się na spoczynek, by wstać przed świtem. Nie mógł jednak usnąć. Podniecenie przygotowaniami przedsięwzięcia, z którym wiązał wszystkie nadzieje, przygasło. Gdy po odebraniu rozkazów starszyzna rozeszła się, ogarnął go

nieokreślony niepokój, który przeszedł w przygnębienie. Znużony jest widocznie, bo przyczyn do niepokoju nie ma. Jeszcze raz na zimno starał się rozważyć położenie, by niczego nie pominąć i o niczym nie zapomnieć. Sobiesław jest wojownikiem biegłym i przezornym, ale sił nie ma. Wywołany przez niego na lewobrzeżnym Mazowszu rozruch na krótki czas jeno zdoła odciągnąć niezbyt znaczną część sił Przybywoja, a nawet bez tych trzystu pancernych ma dostateczną przewagę nad chłopskim przeważnie wojskiem Sobiesława. Engilbert zresztą bez trudu winien rozproszyć źle zbrojne i bezładne gromady i z konnymi szybko dociągnie. Nie ma powodu wstrzymywać się do jego powrotu, a tym mniej do niepokoju o wynik wyprawy.

Leżąc bezsennie, Przybywój wrócił myślą do nagłego wyjazdu młodego Mieszka. Wkrótce przyjdzie czas, że da mu odczuć zależność. Drażniła go wyniosłość i lekceważenie wyrostka. Czy coś pomiarkował? Tylko Odylen znał prawdziwe zamiary brata. Z Mieszkiem się nie znosił, ale nieostrożny jest, mógł się przed kimś wygadać. I to jednak nie powód do niepokoju. Gdy Przybywój pokona Sobiesława i ustali się na Mazowszu, Oda nie będzie już potrzebowała niczego się domyślać. Do tego czasu jednak trzeba zachować największą czujność i ostrożność, które pogłębiały uczucie osamotnienia. Ostatnio, zajęty przygotowaniami, nawet z bratem nie gadał. Czując, że nie zaśnie, wstał i kazał wezwać Odylena. Prędzej zleci długi wieczór.

Odylen przyszedł chmurny i sztywny, a gdy Przybywój mówić zaczął o wyjeździe Mieszka, nie tając swych podejrzeń, sarknął:

- Szkoda, żeś mnie do lochu zawrzeć nie kazał. Miałbyś pewność, że nie gadam z nikim. A tak musisz mi wierzyć, sam zaś wiesz, że nie gadam nawet z tobą, a tym mniej z tym gołowąsem, który takoż za nic mnie ma. Ongiś zdało mi się, że mam choć brata. Ninie nikogo! Ale prawda! Tobie dziękować, że mam co do gęby włożyć.

Gryząca gorycz, którą bryznął Odylen, zapiekła Przybywoja. Odparł opryskliwie:

- Powodzeniem każdy rad się podzielić - jeno cudzym. Miałeś Niesułkę, co ci w oczy patrzyła, dobrego słowa nie doczekawszy. Odegnałeś ją, gdy ci się zdało, że los się odmieni.

- Cóże ci o tę dziewkę - odmruknął Odylen niechętnie. - Zaliś jej brat lubo swat?

- Nic mi o nią. Jeno nie tobie się żalić, żeś samotny. Ja nigdy nie nalazłem nikogo, co by o mnie stał bez rachuby, źle jest zali dobrze. Jeden stryk Ziemomysł lubił mnie, choć nie potrzebował. Jeśli co mnie gryzie - to, żem jemu niewdzięcznością odpłacił, tobie dziękować. Ja wyrostkiem byłem, tyś starszy, wonczas myślałem, żeś mędrszy. - Gdy Odylen milczał, zasępiony, Przybywój ciągnął: - Co tam! Stryk dawno nie żywie, woda w górę nie popłynie. Z Bolkiem - jego śmierć lubo moja. Potrzebny mi ktoś, komu mógłbym zaufać, że mnie nie przeda. Darmo nie dostanę, kupić trzeba. Nie mam wyboru, kupiłbym ciebie.

W słowach Przybywoja brzmiała pogarda. Odylenowi żyły wyskoczyły na skroniach:

- Nie potrzebujesz mnie kupować. Jednych ojców my syny.

- Ja ojców nie pomnę. Ale pomnę, jakowyś ty brat. Gdy uchodzić musiałem, nie ciekawiło cię nawet, zali ja mam co do gęby włożyć. - Gdy Odylen milczał, opuściwszy oczy, Przybywój ciągnął zimno: - Tedy, jako rzekłem, kupię cię. Ninie będziesz żupanem w Czersku, a gdy ja na palatyna postąpię - wielkorządcą Mazowsza. Otwarcie mówię, że wolę Mazowsze w ręku niezdary niż tego zuchwałego bękarta Ody, w którym nie wiada, co siedzi. A jedno wiem - teraz w głosie Przybywoja zabrzmiała gorycz - że gdybym nalazł takową Niesułkę, to milsza by mi była niźli Oda ze swą urodą i

wianem. Bo i powodzeniem chciałby się człek podzielić, jeno z kimś, kogo ono raduje. A dopiero mi zaświtało, już zawiść zęby szczerzy. Może nieprawda, że mi zawidzisz?

- Już nieprawda - cicho odparł Odylen. - Starość nadchodzi, samotna.

Rozeszliśmy się, gdy się nam los nieszczerze uśmiechnął. Może byśmy się zeszli, gdyby nas znowu społem przycisnął.

Przybywój zaśmiał się z przymusem.

- Wierę, że byś mi nie zawidził, gdyby nie było czego. Jeno już za tę cenę nie chcę kupować braterskiej życzliwości. Bierz, co daję, bo darmo daję, bogdaj nie na darmo.

Umilkli. Trudno się dogadać przez ścianę wzajemnej nieufności. Przybywój dźwignął się i zakończył:

- Pójdźmy spocząć. I ty musisz wstać przed świtaniem. Gród umocniony, załogi ostawiam tyle, że i napaść odeprzeć wydoliłbyś, choć napastować nie będzie komu, gdy Engilbert buntowników rozproszy. Zresztą wrócić spodziewam się skoro, a ty pojedziesz do Gniezna. Na wielkanocnym zjeździe weselisko chcę odprawić, a potem na Poznań.

Gdy»Odylen wyszedł, Przybywój ułożył się na spoczynek. Teraz zasnął szybko i głęboko, ale obudził się nie wypoczęty, z niechęcią myśląc, że już trzeba się zbierać. Potem przypomniał sobie, że kazał obudzić się straży. Widno jeszcze nie pora. Zasnął ponownie, ale sen miał ciężki i zmącony.

Niepokój wstał znowu i kłębił się w nim majakami, przechodząc w zmorę. Zmagał się z nią, aż zimny pot wystąpił mu na czoło. Zbudził go własny krzyk, który świdrował jeszcze w jego uszach, gdy usiadł na łożu, zbierając zmysły. Nasłuchiwał, ale cisza była, w której słyszał łomotanie własnego serca, głośne jak kroki olbrzyma. Ciemność panowała dokoła, zdało się w niej czaić coś złowrogiego. Potrącając sprzęty, skoczył ku oknu, majaczącemu w mroku otworami okiennic. Rozwarł je na oścież i odetchnął głęboko mroźnym powietrzem. Chłonął je, pomału przychodząc do siebie. Na polu noc jeszcze była, ale wstawała już mgiełka przedświtu. Drgnął, gdy rozległo się pukanie i zza drzwi odezwał się głos:

- Wstawajcie! Już pora!

Z dziedzińca też zaczynały dochodzić odgłosy, które przeszły w gwar. Brzmiało w nim podniecenie i udzieliło się Przybywojowi. Przybierał się szybko i pożywiał jeszcze, gdy nadszedł Odylen. Razem skierowali się ku wschodniej bramie, przed którą - na równinie nad Wisłą - wojska już ustawiały się do pochodu. Rzeka stała w bezruchu, chropowatą powierzchnią odcinając się od gładkiej bieli zaśnieżonych brzegów i kęp. Czarny pas sosnowych borów za Wisłą pobielał od szronu, dzień zapowiadał się pogodny i mroźny.

Przybywój patrzył z wałów na swe wojska. Piętnaście setni dobrze zbrojnego pieszego ludu i z górą czterystu jezdnych, przeważnie pancernych, to siła, której Sobiesław jeno liczbę swych wojsk może przeciwstawić, i to rozrzuconych po grodach, u przepraw. Teraz, gdy rzeka przestała być przeszkodą, mógłby je skupić, ale nim zdąży to uczynić, jedna bitwa rozstrzygnie sprawę. Reszty dokona postrach, opór pozbawiony kierownictwa wypali się i zgaśnie.

Przybywój oddychał pełną piersią. Myślał już tylko o niedalekim kresie swych zabiegów. Do Odylena, który stał milczący i chmurny, zwrócił się drwiąco:

- Cóżeś taki osowiały? Nieradeś siedzieć pod piecem przy polewce z piwa, drew dorzucać na

komin i wysypiać się pod kożuchem?

Gdyby nie drwina i przytyk do tchórzliwości, Odylen byłby nakłaniał brata, aby wstrzymał się z odejściem, póki przynajmniej wieści nie otrzyma od Engilberta. Zdawało mu się, że w niecierpliwości Przybywoja wyczuwa niepokój, który on sam przed sobą ukryć usiłuje pozorami pewności siebie.Choćby tylko gromady leśnych zbiegów do grodu podchodziły, rozproszyć je łatwo, ale zniszczyć trudno. A jeśli kieruje nimi Sobiesław, należało wiedzieć, gdzie przebywa i co zamierza przedsięwziąć. Engilbert niechybnie przyprowadzi jeńców, od których da się wydusić potrzebne wiadomości. Niemożność szczerej rozmowy z bratem pogłębiała niepokój Odylena, który usiłował zataić. I tak brat go lekceważy, jak i zadanie, które mu powierzył. Przybywój klepnął go po ramieniu, mówiąc:

- Jeno Engilberta mi dopilnuj, by długo tu nie popasał. To chyba wydolisz. Dzisiaj wrócić winien, za śladem dogna mnie łacno.

Dosiadł podanego mu konia i wyjechał za bramę. Odylen długo stał na wyżce, patrząc, jak wojska - przeszedłszy Wisłę - skręciły na północ. Potężny zastęp zbrojnego ludu z odległości zdał się czarną, nieruchawą liszką, pełznącą wzdłuż nadwiślańskich borów, potem jeno ciemną kreską na białej płaszczyźnie, rozszerzającej się w nieskończoność, w miarę jak przed promieniami wschodzącego słońca ustępowała mgiełka.

Gdy niewielka plamka roztopiła się w jaskrawym blasku, Odylen z ciężkim sercem zszedł na dziedziniec. Mimo żalów, wypominków, zawiści i kłótni z bratem, dopiero po jego odjeździe poczuł się zupełnie samotny. Naszła go myśl, że może go nie ujrzeć więcej. Co wówczas pocznie? Zaklął, splunął i przeżegnał się od uroku. Sam przed sobą musiał przyznać, że lękliwy jest i niezaradny. Nie chciał już walczyć z nikim o nic, chciał mieć spokój, a obecność Przybywoja dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Teraz je utracił, sam zmuszony jest myśleć o sobie.

Zawołał włodarza i wraz z nim zwiedził spichrze i lamusy. Przybywój prawdę rzekł, dla niezbyt licznej załogi zapasy starczyć mogły na lata, dość było wszelakiego sprzętu. Stan załogi natomiast nie uspokoił Odylena. Miejscowi narocznicy patrzyli wilkiem na niemieckich najemników, ci zaś wyglądali na zbójów, dobrych przeciw bezbronnej ludności, ale nie na wojowników z rzemiosła. Przybywój zabrał, co było najlepszego. Szukając myślą oparcia, Odylen przypomniał sobie o archidiakonie. Zżyty z ludem i lubiany, służyć mógłby radą i pomocą gdyby go pozyskać, okazując szacunek i względy, których nie zaznawał u Przybywoja.

Niewielki, drewniany kościółek wraz z przynależnyni doń zabudowaniami położony był w obrębie grodu, tuż koło wschodniej bramy. Sabinus jednak wyniósł się do swego dworku za wałami, tak że Odylen, który nie opuszczał grodu, nie zetknął się dotychczas z archidiakonem. Słyszał jeno, że łagodny jest i łatwowierny, pozyskać go nie będzie trudno. Odylen przybrał się uroczyście, łańcuch włożył na szyję i poszedł.

U wejścia do dworku spotkał sążnistego kleryka z naręczem suszu, jego duchowny stan zdradzała jeno wygolona głowa. Kazał się oznajmić Sabinusowi i czekał w świetlicy, rozglądając się po niej. Ale nie było na co patrzeć, ni śladu okazałości, a tym mniej zbytku, jakim na zachodzie zwykli otaczać się kościelni dostojnicy. Pod ścianami ławy z dranic, póły z glinianymi naczyniami i prosty stół stanowiły całe urządzenie. W izbie chłód panował, ciągnący od glinianej polepy i dawno wystygłego komina, tak że Odylen zdołał zmarznąć, zanim kleryk wezwał go do Sabinusa.

Starzec siedział za stołem, na którym leżały resztki pieczonej rzepy i stała gliniana miska z drewnianą łyżką. I tu bieda szczerzyła zęby, tyle że cieplej było. Kleryk dorzucił suszu na komin i wyszedł. Gdy Odylen oznajmił się nowym żupanem grodu, Sabinus jeno głową skinął i zapanowało kłopotliwe milczenie. By je przerwać, Odylen zaczął:

- Wasza wielebność niewiele się dorobił.

- Niewiele - odparł cicho starzec. - I to zmarnili źli ludzie.

W głosie jego brzmiał wyrzut. Odylen domyślił się, o jakim dorobku mówi Sabinus, udał jednak, że nie rozumie, i odparł:

- Rzeknijcie, czego wam trzeba, a każę przysłać wszystko. Leciwemu człeku zda się posilniejsze pożywienie niźli owo - wskazał na resztki śniadania.

- Mnie nie trzeba niczego - odparł Sabinus. - Święty Paweł rzekł, że kto nie pracuje, ten nie je. A macie do zbytu, dajcie tym, których owoców pracy zbawiła wojacka rozpusta. Ja już nie mam co dawać.

Nie takiej rady oczekiwał Odylen. Odparł:

- Buntownicy sami sobie winni, zawżdy za wojną ciągnie głód, a wszędy i zawżdy za bunt karano. Onże Sobiesław nie tępił to bez miłosierdzia dawnych kniazików, gdy mu się przeciwili? A ninie sam rokosz podniósł przeciw prawowitej właści. Brat mój z wojskiem ruszył na niego, wrychle koniec będzie. Tedy nie liczcie na zmianę i nie odtrącajcie życzliwej ręki. Musicie się zgodzić z tym, co jest, bo inak nie będzie.

Starcze oczy zdały się przezierać Odylena, który pod ich spojrzeniem opuścił swoje. Usiłował jednak uśmiechać się pobłażliwie, gdy Sabinus zaczął z niespodziewaną gwałtownością:

- Kto się złu nie przeciwi, bierze na się za nie odpowiedzialność. I wy takoż. Bóg jeno przyszłość zna, a gdybyście wy pewni jej byli, nie przyszlibyście kupić mnie za ochłapy tego, co głodnym od ust odjęto. Mówicie, że Sobiesław karał opornych! Trzydzieści lat patrzyłem, jak pod jego rządem kraj rozkwitał w ładzie i spokoju i mały przeciw wielkiemu nalazł sprawiedliwość. Dla mnie ta władza jest prawowita, co dobrem rządzonych się rządzi.

- Łacno mu było - przerwał Odylen zmieszany - gdy przez palce patrzył, jak kwitnie pogaństwo. - Ogarnęła go złość, że starzec przejrzał go i rozbudził w nim niepokój. Ciągnął z wzrastającą gwałtownością: - A wy coście uczynili, by chrześcijaństwo rozszerzyć? Słusznie tedy w zdatniejsze ręce ową pracę zdano.

Nie spodziewał się wybuchu bezsilnego, zdało się, starca. Sabinusowi żyły nabrzmiały na czole, przygasłe oczy rozgorzały, gdy zaczął:

- Znam one zdatniejsze ręce! Mnisi zbiegli z klasztorów lub za rozpustę wygnani, co z kościelnego posłuszeństwa wyszli! Krzyż przyszli ustawiać na mogile tego ludu. Im Bóg kiedyś policzy, gdy okrucieństwem i chciwością splugawiony znak męki Pańskiej pogańskie ręce obalą. Ja nie liczę na nic, jeno się modlę za ten lud, który modlić się jeszcze nie umie, by Bóg zesłał wybawiciela, a winnych wezwał do obrachunku.

Niepokój Odylena przeszedł w gniew. Wstał i rzekł wyniośle:

- Tedy nie przeszkadzam wam modlić się ni z głodu zdychać. Zajdziecie wy jeszcze do mnie, gdy was do reszty przyciśnie. A onego wybawiciela wrychle wam Przybywój na powrozie przywiedzie.

Wstał i wyszedł bez pożegnania. Chciał wierzyć w to, co w gniewie powiedział, gdy jednak przeszło mu rozdrażnienie, znowu poczuł się przybity. Przed oczyma stał mu Sabinus, niczym prorok przepowiadający godzinę sądu.

Gdy zamyślony wchodził do grodu, ujrzał, jak strażnik na wyżce nad bramą coś wskazuje dziesiętnikowi. Zaciekawiony wspiął się do nich. Nie potrzebował pytać, na białej płaszczyźnie widniało kilka ciemniejszych plamek. Mimo dość znacznej odległości, w jaskrawym świetle bez trudu można było rozróżnić jezdnych. Szli w rozproszeniu, jedni wiodąc konie przy pyskach, inni siedząc w siodle. Zbliżali się pomału. Zapewne wraca Engilbert, jeno dlaczego nie prowadzi hufca zwarcie i gdzie reszta? Może pogubili się, ścigając po borach zbiegów.

Odylen polecił dziesiętnikowi przysłać do siebie pierwszych, którzy przybędą, i poszedł na gospodę przebrać się i pożywić. Zastanawiał się, czy wbrew poleceniu Przybywoja nie zatrzymać choć części jazdy, której nie miał wcale, a może być potrzebna, gdyby znowu podchodziły chłopskie gromady. Lękał się jednak nie posłuchać rozkazu, Przybywój z naciskiem żądał przysłania Engilberta i liczy na ten hufiec. Odylen odłożył powzięcie postanowienia do czasu, gdy dowie się, co Engilbert zdziałał, a zwłaszcza co zeznają jeńcy. Pożywiwszy się, zaczął się niecierpliwić. Jezdni musieli już nadciągnąć, zapewne strażnik nie powtórzył im rozkazu lub go nie posłuchali. Ubodła go niekarność, jeszcze potrafi wymusić posłuch.

Wstał, by wyjść na dziedziniec. Z dochodzących odgłosów pomiarkował, że woje Engilberta są już na grodzie. Istotnie ujrzał ich, otoczonych gromadą nadbiegających zewsząd ludzi. Huknął na nich, by odeszli do swych zajęć, a gdy rozstąpili się ociągliwie, skinął na najbliższego z przybyłych, zlecając mu iść za sobą. Sam jego widok napełnił Odylena złym przeczuciem. Wojak bez hełmu był i miecza, zmarnowany widocznie. W posiniałej od mrozu twarzy i zaczerwienionych z bezsenności oczach czaił się wyraz przerażenia.

Opanowując własny strach, Odylen zapytał:

- Gdzie Engilbert?

- Ubit lub w jeństwo popadł.

Opowiadać jął szybko i bezładnie, jakby jeszcze nie mogąc ochłonąć, Odylen zaś słuchał zmartwiały. Jedno wynikało jasno z opowiadania Hassona, który był giermkiem Engilberta, że na noclegu niespodzianie naszedł ich podjazd pancernych i hufiec Engilberta został zniesiony. Gdy Hasso skończył, Odylen zapytał, przełykając ślinę:

- Sporo was uszło?

- Nie wiem. Konie mieliśmy zdrożone, a nie każdy swego dopaść wydolił. A jeszcze w konarskim borze zasadzka była. Takoż nie żadne zbiegi, jeno łucznicy i procarze. Niejeden z naszych legł od pocisków, konie pokaleczyli. Rozproszyli nas do reszty.

Odylen skinieniem ręki odprawił Hassona. Zdało mu się, że kości nie ma w ciele, a w głowie z szumem przelewa się wodospad. W tym odmęcie kłębiła się świadomość, że to nie Sobiesław nadchodzi. Nawet gdyby wieść, że bawi na północy, była fałszywa, a zdołał się przeprawić po idącej

jeszcze krze, nie miał takich wojsk, o jakich mówił Hasso. Narzucała się pewność, że to nadciąga Bolesław, a w ślad za nią postanowienie: nie może się dostać w jego srogie ręce! Gdy usiłował rozważyć, jak tego uniknąć, myśli rozsypały mu się znowu. Zbierał je z wysiłkiem, świadomy, że nie pora na długie rozważania. Uchodzić, byle daleko. Jeśli Bolesław nadciąga od południa, musiał zająć grody nad Pilicą. Zimową porą niepodobna unikać osad, po lasach nie brak zbiegów, a tlejący bunt wybuchnie płomieniem w całym kraju. Może jeszcze najbezpieczniej w grodzie, jeno natychmiast należy zawiadomić Przybywoja o nadejściu Bolesława.

Zdało się Odylenowi, że znalazł wyjście z matni: zbierze jezdnych, ilu ich zostało, i pogna za bratem, choćby ten miał mu wziąć za złe, że porzucił powierzony sobie gród. Przybywój - przestrzeżony - zdołał się wymknąć, by go nie wzięto z dwóch stron. A choćby się na Mazowszu nie utrzynał, z wojskiem, jakie posiada, zdoła się przebić do Gniezna, by je z siłami Ody połączyć. Odylen nie wierzył już w zwycięstwo, ale gdyby nawet do Niemiec uchodzić przyszło, lepiej z Przybywojem, który tam nawiązał stosunki. Wierzył w jego obrotność i bezpieczniej czuł się przy nim.

Powziąwszy postanowienie, składniej myśleć począł o wykonaniu. Przez pachołka wydał polecenie, by jego poczet i jezdni Engilberta gotowali się do wyjścia, a dowódca naroczników stawił się u niego. Zamierzał zdać mu obronę grodu, choć nie wierzył, by długo zdołał go utrzymać. Byle choć przez krótki czas związał tu Bolesława, wówczas Przybywój zyska na czasie, może zniesie Sobiesława i położenie na lepsze się odmieni. Czekając na setnika, gotował się do wyjazdu. Wezwany nie nadchodził i Odylena ogarniała niecierpliwość, zbierał się sam go poszukać. Nieposłuszeństwo drażniło go, ale zarazem umacniało w postanowieniu opuszczenia grodu.

Gdy wyszedł na dziedziniec, zauważył, że mróz się łamie. Świetliste dotąd niebo zaciągało się ledwo widoczną, przejrzystą zasłoną, ale już zbladło. Z zachodu wstał powiew, który zaczynał poruszać bezlistnymi gałązkami. Szło na wiatr, a może i śnieżycę, noc będzie ciemna, łatwo zgubić ślad. Przy dniu będzie widoczny, choćby go zawiało. Odylen zawahał się, czy nie odłożyć wyjazdu do rana. Nie nawykłemu nie uśmiechało się spędzenie nocy w siodle.

Wahał się jeszcze, gdy zjawił się setnik. Ponurym, ostrym wejrzeniem przewiercił Odylena.

- Wzywaliście mnie. Jestem! - oznajmił się szorstko.

- Gdy rozkaz wydaję, nie zwykłem czekać na wykonanie - siląc się na stanowczość, rzucił ostro Odylen, ale setnik odparł zuchwale:

- Pilniejsze miałem sprawy, gdy napaść grozi, a wy, jako słyszę, z grodu się zabieracie.

- Moja sprawa. Póki tu jestem, do mnie rozkaz należy. - Jakby mimo woli usprawiedliwiając się, dodał: - Jezdni na nic w oblężeniu, tedy wyjdę z nimi, a ninie najpilniejsze zawiadomić wojewodę, co zaszło.

- O tym już pomyślałem - odparł setnik. - Jeśli wojewoda nie wróci, gród się nie utrzyma.

- Wróci, jeno wieść go dojdzie. Dlatego sam jadę, a jazda potrzebna dla bezpieczeństwa, bo i po tamtej stronie rzeki kręcić się mogą podjazdy.

- Nijakiej jazdy nie ma - odparł setnik. - Ile zdatnych szkap było na grodzie, tyle już z wieścią wysłałem.

Odylen przybladł i zagryzł wargi.

- Kto wam kazał? - zapytał ochrypłym głosem.

- Nikt!»Sam czynię, co trzeba. Zmierzch będzie wczesny i zawieja idzie.

Nie pora czekać, aż wy się namyślicie.

Zapominając, iż pozorem wyjazdu było przekazanie wieści, Odylen zapytał:

- A Engilbertowi ludzie?

- Konie mają zmarnowane na nic. Pokładły się i leżą. Ni jednej zdatnej szkapy w grodzie, tedy piechty uchodzić musicie.

Wykrzywił suchą gębę w złym uśmiechu. Odylen nie odrzekł nic. Nie myślał już o zuchwalstwie i lekceważeniu ze strony setnika, jeno że nic już nie zależy od niego samego. Odszedł na gospodę i siedział otępiały, słuchając, jak gwiżdże wzmagający się wiatr. Nie wołał o światło, gdy zapadł zmrok, nie liczył płynącego czasu. Chwilami czepiał się nadziei, że Przybywój wróci na czas, ale i to nie zacierało poczucia, że bezwolnie zmierza do jakiegoś kresu, jak liść na fali. Lepiej byłoby nie mieć świadomości. Nie rozpłynęła się jednak nawet w męczącym śnie, w jaki zapadł, gdy głęboka noc zapanowała na grodzie. Wiatr ustał, napędziwszy śniegowych chmur, które jednostajnie i bezszelestnie sypać jęły śnieżnymi płatami, wchłaniając wszelkie odgłosy.

Odylen otworzył oczy i z trudem zbierał myśli. Błony w oknach szarzały. Zdrętwiały, drżąc z chłodu, myślał z niechęcią, że coś trzeba przedsięwziąć. Poderwał się na głos rogu i zamarł w napięciu. Może Przybywój wrócił? Wrócić winien wschodnią, a gwar dochodził od zachodniej bramy. Ucichł nagle i jak krzyk dręczonego człowieka zaskrzypiały przemarznięte wierzeje, a na dziedzińcu rozległ się głuchy tupot licznych kopyt i szczęk żelaza.

Odylen stał jak słup, oczy przymknął i czekał. Przez bicie własnego serca słyszał zbliżające się stąpania. Zatrzymały się przed drzwiami, które otwarły się z łoskotem, i posłyszał głos setnika:

- Tu jest, miłościwy panie.

W drzwiach stał Bolesław. Odylen wolałby śmierć ujrzeć. I wolałby grom gniewu, który zmiótłby go jednym uderzeniem, niż słowa usłyszane jakby przez ścianę wody:

- W powrozy i do lochu. Gdy zjedzie Stoigniew, wydać go jego pomście.

Xii

Wyruszywszy z Czerska, Przybywój wysłał jazdę przodem, nie tyle dla bezpieczeństwa, co dla przetarcia drogi dla pieszych. Nie spodziewał się wcześniej niż za kilka dni zetknąć z wojskami Sobiesława, rozrzuconymi koło grodów na zimowisko. Obleganiem grodów zabawiać się nie zamierzał, chyba że uda się je zaskoczyć. Gdy zniesie Sobiesława, poddadzą się bez walki, pozbawione nawet nadziei na pomoc z zewnątrz.

Unikając ludzkich osiedli, by wieść nie uprzedziła pochodu, Przybywój pierwszą noc spędził przy ogniskach w lesie. Ponieważ jednak ludzie pomarnieli, a bardziej jeszcze konie, nakazał dowódcy zaciężnej jazdy, Gothardowi, by znowu ruszył przodem i pod wieczór w pierwszej napotkanej osadzie zgotował nocleg pod dachem, zegnawszy ludność w jedno obejście pod strażą, by się nikt z wieścią nie wymknął. Sam z pieszymi ciągnął teraz wolniej, nie chcąc ich przemęczyć

przed walką i pragnąc doczekać nadejścia reszty jazdy pod Engilbertem. Wedle jego rachuby lada chwila winna nadciągnąć. Przedłużył nawet południowy postój, ale nie doczekawszy się jej, ruszył dalej.

Ślad jazdy wiódł pod lasem, często przezeń skracając drogę, gdy trafiał na gonny, niepodszyty bór sosnowy. Pod wieczór śnieg zaczął prószyć, wraz z zapadającym zmrokiem zmniejszając widoczność. Znużeni ludzie zamilkli, milczał i las. Ciszę mąciło tylko skrzypienie śniegu pod tysiącami stóp.

Xii (cd.)

Gothard musiał się odbić daleko, nie licząc się z tym, że piesi nie nadążą konnym. Przybywój zaczynał się niecierpliwić. Rozważał już, czyby znowu nie zanocować w lesie, ale że nie miał ochoty na drugą z rzędu noc pod gołym niebem, nakazał jeno przyspieszyć pochód i z przybocznymi ruszył przodem. Śnieżny opad gęstniał tak, że chwilami Przybywój zatrzymywać się musiał, by sprawdzić ledwo już widoczny ślad, który jednak wkrótce skręcił ku rzece, wychodząc z boru na równinę. Jeno wyjechali spomiędzy drzew, oczy ich uderzył różowy poblask, który rozszerzał się, przechodząc w łunę. Przybywoja ogarnął gniew. Pożar musi zwrócić uwagę sąsiednich osad, których nie brak nad rzeką. Żgnął konia i pognał w kierunku ognia. Z dala już doszedł go ryk bydła wraz z ujadaniem psów i zmieszanymi głosami ludzkimi. Gdy jednak Przybywój zbliżył się na tyle, że przez zasłonę śniegowych płatków dojrzał płonące budynki, powstrzymał konia. Od wsi ku ścianie lasu posuwał się zastęp pieszy, obskakiwany ze wszystkich stron przez jazdę. Słychać było nawet szczęk broni, a różowe iskry tańczyły i migotały na hełmach i mieczach.

Gothard powinien był odciąć nieprzyjaciela od lasu, miast go otaczać. Przybywój ruszył ku swoim, ale czoło nieprzyjaciół dotarło już do lasu, a rogi wzywały jazdę do odwrotu. W lesie i w mroku istotnie przewaga byłaby po stronie pieszych. Z zaskoczenia już nic, a nocleg w płonącej wsi nie obiecywał spodziewanego spoczynku.

Przybywój dopadł Gotharda koło wsi i z chmurną twarzą słuchał sprawozdania: idąca w przedzie straż niespodzianie natknęła się we wsi na jakieś wojsko. Nim przycwałował z resztą swego hufca, nieprzyjaciel zdążył sprawić się i podpaliwszy gromadzką szopę na siano, pośrodku okrąglicy, cofać się jął ku lasom. Uderzyli, jak kto dopadł, bo czasu nie stało do sprawy. Resztę sam Przybywój widział. Wysłuchał w milczeniu do końca, po czym nakazał ratować, co się da, by choć części wojsk zapewnić nocleg pod dachem. Reszcie przynajmniej ognia nie braknie. Nim nadciągnęły piesze wojska, opanowano już pożar na tyle, że nie zagrażał ocalałym budynkom, i Przybywój, wydawszy zarządzenia, mógł wreszcie spocząć. Późno w noc jednak rozmyślał nad położeniem. Wypadki zaczynały biec inaczej, niż się spodziewał. Nie miał wątpliwości, że natknął się na oddział Sobiesława. To, że nie zaskoczy go już, nie miało większego znaczenia wobec posiadanej przewagi. Zmuszało natomiast do zastanowienia, dlaczego wódz przezorny i doświadczony, zwłaszcza w zimowych walkach podjazdowych, mogąc przeciągnąć wojnę, podsuwa się pod zebrane w Czersku, znaczniejsze od własnych, siły. Liczyć musi na coś więcej niż to, co sam ma w ręku. Teraz Przybywój żałował własnej niecierpliości, która skłoniła go do wyruszenia bez czekania na powrót Engilberta. Należało wiedzieć, co zostawia za sobą i na co niewątpliwie liczy Sobiesław. Jeśli do rana Engilbert nie nadciągnie, należy wysłać po wiadomość, co jest przyczyną opóźnienia.

Przybywój zasnął późno, ale noc jeszcze była, gdy ktoś jął nim potrząsać.
Niechętnie otworzył oczy. Nad nim stał Gothard.
- Wstawajcie - powiedział. - Są wieści z Czerska.

Przybywój zerwał się. Nie miał wątpliwości, że zaszło coś złego.
Zbierając się pospiesznie, zapytał:
- Co się stało?
- Engilbert rozbity. Jakoweś wojska ciągną na Czersk od Pilicy.

Teraz jasne się stało, dlaczego ruszył się Sobiesław. Celem nieprzyjaciela było zajęcie grodu, co dałoby mu silne oparcie na lewym brzegu Wisły. Myśl Przybywoja pracowała gorączkowo nad tym, jak do tego nie dopuścić. Świadomy był, że czas nagli i że trzymając gród może się oprzeć silniejszemu nawet wrogowi, zwłaszcza póki się ten z Sobiesławem nie połączy. Powziął postanowienie i zwrócił się do Gotharda:

- Postawić ludzi na nogi. Wracamy. Tymczasem niechaj tu przyjdzie posłaniec. W zdrożonym i zmarnowanym człowieku ledwo rozpoznał dziesiętnika Hattona i ze zmarszczonym czołem słuchał sprawozdania: Engilbert został nie tylko rozbity, ale niemal całkiem zniesiony, po dwakroć wpadłszy w zasadzkę, a sam zginął lub popadł w niewolę. Strata była poważna, ale Przybywój dalej nie wierzył, by wielkie były wojska, które ją zadały. Zaskoczenie i popłoch wywołać może nawet kilku śmiałków, a od strachu dwoi się w oczach. Niemniej trzeba było stwierdzić, kto nadchodzi; szkoda, że w Czersku nie poczekał. Odprawił Hattona i wyszedł.

Na dworze noc jeszcze była, ciemne niebo prószyło śniegiem, a wiatr przenikliwy pogwizdywał. Ludzie, nie wypoczęci po dwudniowym pochodzie, bez porannego posiłku, gromadzili się opieszale. Niecierpliwie czekał, aż się sprawią, i ruszyli w ponurym milczeniu.

Przybywój ponaglał pochód, chcąc jak najbardziej oderwać się od Sobiesława. Ale gdy dzień się uczynił, zmuszony był zarządzić postój, by ludzie pożywili się i wypoczęli. Hamował własną niecierpliwość, rozsądek nakazywał pamiętać, że na końcu drogi czeka walka, do której wojska nie mogą stanąć zmęczone. Przybywój mówił sobie, że Odylen winien się bez pomocy choć kilka dni utrzymać, jednak niepokój o los grodu tak go dręczył, że zostawiwszy jeno kilkunastu konnych na podjazdy lub dla przesłania wieści, resztę zabrał i ruszył, mając nadzieję jeszcze przed nocą dotrzeć do Czerska. Wypadało jednak liczyć się z tym, że gród już może być oblężony; także koni przed walką oszczędzać należy. Na południowym postoju kazał przeto napoić je, naobroczyć i rozsiodłać, by się wytarzały, a dla zyskania na czasie pchnął przodem kilkunastu ludzi z rozkazem, by ile tchu gnali do Czerska i bezzwłocznie przesłali wiadomość. Spodziewał się otrzymać ją wkrótce po zachodzie. Jeżeli gród już jest oblężony, trzeba uderzać natychmiast, jeśli nie - przenocować obozem i rankiem, doczekawszy pieszych wojsk, razem wyruszyć dalej.

Od południa wiatr ustał, niebo przetarło się i zachód zapowiadał się pogodny. Także Przybywój uspokoił się. Mając gród za plecyma, nie obawiał się stawić czoła mimo poniesionej straty. Tym razem nie on będzie zaskoczony, nocne uderzenie może wywołać taki sam popłoch, jaki był przyczyną zguby Engilberta. Wtedy ciągnący z tyłu Sobiesław wpadnie jakby w potrzask, nie zdoła się już od walnej bitwy uchylić i wyprawa może się skończyć prędzej, niż sam Przybywój się spodziewał. Ruszył naprzód. Droga wyszła z lasu i ciągnęła się jego krajem, ale dalszy jej bieg

zasłaniał leśny klin. Za nim, w przejrzystym powietrzu, można by już zobaczyć baszty i obwałowania Czerska. Przybywój niecierpliwie popędził konia, jak gdyby na krańcu widnokręgu mógł dostrzec, co się dzieje w grodzie.

Gdy jednak minął występ leśny, ujrzał niewielki oddział konnych wiodący między sobą kilku pieszych ludzi. Mimo sporej jeszcze odległości można ich było policzyć i Przybywój upewnił się, że to podjazd, wysłany przezeń, już powraca. Zapewne - nie dotarłszy do grodu - schwytał jeńców, od których dowiedzieć się będzie można o położeniu, i dlatego zawrócił. Gdy jednak dopadł go i przyjrzał się rzekomym jeńcom, poznał w nich niemieckich najemników z załogi grodu. Siląc się na spokój, zapytał:

- Dokąd idziecie?

- Za wami. Czersk zajął kniaź Bolesław.

Dziesiątki pytań zakłębiło się pod czaszką Przybywoja, ale nie chciał usłyszeć na nie odpowiedzi. Jak ugodzony zwierz, który nie spojrzy na ranę, lecz uchodzi z miejsca, gdzie ją odniósł, Przybywój zawrócił konia i pędem puścił się z powrotem. Niczym zmurszały pień rozsypały się wszystkie jego nadzieje i zamiary. Nim jednak dopadł swoich, rozpacz ustąpiła miejsca zimnej zajadłości. Walczyć będzie do ostatniego tchnienia. Ale zapobiec trzeba, by wiadomość nie wywołała w wojsku popłochu, któremu omal sam nie uległ. Ściągnął konia, podjechawszy do idącej w czele starszyzny, i powiedział głośno, niemal obojętnie:

- Stać! Pono Czersk zajęty. Naradzić się trzeba.

Wolał sam to oznajmić i patrzył badawczo, jakie wrażenie wywoła.

Milczeli. Pierwszy ozwał się Gothard:

- Należy mieć pewność. Skąd wiadomość?

- Podjazd wraca z ludźmi, którzy uszli z Czerska.

Jakoż z dala widać było nadciągających. Gothard spojrzał spode łba na Przybywoja:

- Tedy pewne, że zajęty. Trzeba jeszcze wiedzieć, jak się owo stało i jakie siły przed nami. Potem postanowimy.

Ruszył, nie oglądając się na innych. Przybywój zrozumiał, co oznacza to zachowanie Niemca. Krzyknął groźnie:

- Stać! Zbiegów sam wypytam, a co rzekną, nie zataję. Rady wysłucham, a postanowienie do mnie należy. Ludzi wprowadzić w las, tak by ognie palić można bezpiecznie. Koniom zwolnić popręgi, straże wystawić, a potem na naradę. - Zwracając się zaś do Boguchwała Doliwy, który dowodził polańską i mazowiecką jazdą, rozkazał: - Pchnąć ludzi co koń wyskoczy, niech Sobiemir Gozdawa z pieszymi co prędzej nadąża. Tu na nich zaczekamy.

Mrok już zapadł, gdy dotarli do opuszczonej budy bartnika. Przybywój, zeskoczywszy z konia, wydał rozkaz rozłożenia się obozem w lesie, przy zachowaniu najgłębszej ciszy, a poleciwszy starszyźnie przyjść do chaty wraz ze zbiegami z Czerska, sam wszedł do ciemnego wnętrza. Czekając na rozpalenie ognia, pogrążył się w myślach.

Niemal pewny był, że utratę grodu zawdzięcza nieporadności Odylena. Tchórzliwy był, nieprzezorny, nieszczery. A jednak mimo wielu uraz i lekceważenia Przybywój nie tylko nie odczuwał gniewu do brata, ale coś go dławiło w gardle na myśl o strasznym jego losie. Bolesław nie zwykł wybaczać i nie znał miary w karaniu, a postępek Odylena z ulubieńcem i krewniakiem kniazia, Stoigniewem, nawet w Przybywoju budził odrazę swą głupotą i nikczemnością.

Przybywój chciał się zmusić, by myśleć o teraźniejszych sprawach, myśl jego jednak z uporem wracała do przeszłości. I on ma z Bolesławem obrachunki. Nienawidził Bolesława i zawidził mu. Gdyby mógł ubić go chytrością czy przemocą, nie zawahałby się ni chwili. Ale chybiona jeno przez przypadek próba otrucia go, gdy był gościem na chrzcinach małego Mieszka, budziła w Przybywoju uczucie wstrętu do samego siebie, którego nie zacierał czas. Zawsze był tylko narzędziem w rękach Ody i jest nim do tej chwili. Łudził się, że zdoła ją przechytrzyć, ale ona nie zwykła cofać się przed niczym. Gdyby ją pojął, nie mógłby zasnąć przy niej, nie mając pewności, czy obudzi się rankiem.

Nienawiść do Ody zakipiała w nim tak, że aż się poderwał, ale opadł w poczuciu bezsiły. Nie ma już wyboru, nie jest panem swych czynów ni swego losu. Od niego jedno już tylko zależy: walczyć do ostatka. Jak osaczony zwierz, zebrał się w sobie. Opanowany już był, gdy schodzić się zaczęła starszyzna i sprowadzono jednego ze zbiegów.

W niepewnym świetle płonącego na palenisku ognia Przybywój patrzył po twarzach starszyzny. Polańskiej i mazowieckiej był pewny. I jej pozostaje tylko walka. Zajście z Gothardem budziło natomiast wątpliwość, co zamyślają niemieccy najemnicy. Stanęli osobno, szepcąc coś między sobą. Umilkli jednak, gdy zbieg z Czerska na zapytanie Przybywoja zaczął zdawać sprawę:

- Jakowaś jazda naszła na nas nocą na postoju, nim stróżę pośpieliśmy wystawić. Po rozbiciu Engilberta trzydziestu nas na rano dobiło do Czerska, pięćdziesięciu dwóch w pęta poszło, gdzie reszta - nie wiada.

- A zasię skąd wiecie, ilu w niewolę poszło? - rzucił ktoś pytanie.

Zbieg odparł znużonym głosem:

- Policzyć można było, jako palice u rąk, bo ich wszystkich przed bramą obwieszono.

Podniósł się gwar wzburzonych głosów, ale Przybywój krzyknął:

- Wieszać i my potrafim, dobrze wiedzieć, że nie ma miłosierdzia! Dajcie mu prawić. - zwracając się do zbiega, zagadnął: - Co z bratem moim? Dlaczego gród poddał? Jakoście wy uszli i ilu?

- Nocą śnieżyca była, nikt nie pomiarkował, kiedy nadeszli, dopiero gdyśmy onych wisielców ujrzeli. Zaraz wszczął się zamęt, a na to podjechał pod bramę konny, który się posłańcem oznajmił od kniazia Bolesława. Łaskę i przebaczenie zapewnił polańskim i mazowieckim wojom, jeśli gród zdradzą bez walki, was jeno i brata waszego wyłączając, zasię posiłkom i najemnym swobodne wyjście, jeno bez mienia i broni.

Przybywój wiedział już, co się dalej stało, i zatopił się we własnych ponurych myślach, zbieg jednak ciągnął:

- Kto by nie posłuchnął, powrozem zagroził naszym, swoim zasię palem - za zdradę. Ilu nas było Niemców - bronić chcieliśmy, licząc, że może zawrócicie, a choćby i nie, lżej umierać od miecza lubo nawet powroza, niż bez broni i spyży iść jako między wilki, by z głodu gdzieś zdechnąć i mrozu,

jeśli nie gorzej. Ale już bramę otwarto, nie stało czasu na nic, jeno skorzystać z onej łaski. Jeszcze nas drwiną żegnano, szczęśliwej drogi życząc. A wiadomo, że ten jeno ocaleje, komu Bóg da, a sił starczy do was dotrzeć. Wielu ustało już w drodze, bo szliśmy, nie spoczywając i nie jedząc. Tedy zwólcie mi ninie pożywić się i spocząć.

Przybywój otrząsnął się z zamyślenia i skinieniem ręki odprawił zbiega. Powiódł pytającym spojrzeniem po obecnych. Nikt nie zabierał głosu. Na twarzach widniało zmieszanie, strach, jeno nie chęć walki. Co gorzej, niemiecka starszyzna skupiła się, patrząc nieufnie, niemal wrogo na polańskich i mazowieckich wojów. Ostrze klina, który Bolesław wbił w Czersku między jednych i drugich, i tu się odczuć dało. Jedynie wspólna walka mogła go stępić. Przybywój zaczął:

- Jedna nam dola i jeden wróg, ale nie pora dumać nad jego srogością i okrucieństwem. Jako rzekłem, i my wieszać i wbijać na pal potrafim. Radźmy, co poczynać. Mali kto co rzec, niechaj mówi. Czas ucieka.

- My się osobno naradzimy, bo - jak się w Czersku okazało - nie jedna nam dola - sucho powiedział Gothard.

Przybywój wiedział, że mówi to, co myślą jego towarzysze. Hamując gniew, rozpaczliwie szukał sposobu, jak zapobiec rozdwojeniu. Jeśli jeszcze mógł żywić jakąś nadzieję, to jedynie w boju. Powściągając wybuch gniewu, zaczął:

- Wiadomo, że mnie ów chytry wąż z łaski swej wyłączył. Ale mnie strach nie oblatuje, jako rycerza Gotharda. Dlatego choćby mnie na ową naradę zaprosić raczył, nie skorzystam, bo wiem, że radzić chce nie nad tym, jak walczyć, jeno jak się od walki uchylić. O to właśnie Bolesławowi szło - ze zjadliwą drwiną zwrócił się wprost do Gotharda - i pewnikiem by się wam odwdzięczył. Jeno przypominam, że jam tu wodzem z ramienia księżny, którejście wierność i posłuszeństwo słowem poręczyli. Jeszczeć w moim ręku prawo miecza, a nawet pal się najdzie dla tych, co do buntu podżegają. - Wyjął miecz z pochwy i ciągnął: - Nie po to księżna żywi i płaci najemnika, by uchodził, skoro się jeno ukaże nieprzyjaciel.

Gothard patrzył spode łba, czuł, że Przybywój gotów jest na wszystko, ale nie był pewny, co poczną polańscy woje. Dlatego odparł na pozór spokojnie:

- Najemnika się płaci, walczy zali śpi. Ślubowaliśmy posłuch, ale nie darmo, bo nic nam do waszych spraw. Wiadomo, żeście zasoby, jakie były w Czersku, przez własną nieprzezorność stracili. Jaką porękę dajecie za zapłatę?

- Żadnej! - wybuchnął Przybywój. - Nie pora się tarżyć, i nie ze mną. Kto lęka się walczyć, może odejść, jeno takoż bez konia i broni, które tym potrzebne, co ostaną. Tedy macie wybór: kto słuchać chce, przejdzie na tę stronę - końcem miecza wskazał na stojących w ponurym milczeniu polańskich wojów. - Kto nie chce, złożyć broń i wyjść!

Gothard wyciągnął miecz. Wszyscy patrzyli w napiętej ciszy, co uczyni.

Powiedział zimno:

- To wybrałem, co trzymam w ręku.

Tęgi był i rosły. Patrzył na przeciwnika z zuchwałym lekceważeniem, pewny widocznie, że nie weźmie się do miecza. Przeliczył się jednak, bo Przybywój nie miał wyboru i skoczył. Gothard z łatwością odparł cios, ale gdy zamachnął się, by go oddać, zaczepił mieczem o żelazny trójnóg stojący na palenisku. Broń omal nie wypadła mu z ręki i nie zdołał zastawić się przed ciosem, który dosięgnął go w czoło. Padł na kolana i, podpierając się rękoma, jak ranny zwierz kręcił głową, z której krew ściekała na polepę, a Przybywój stał nad nim, dysząc i przekrwionymi oczyma wodząc po obecnych. Nie poruszył się nikt, widno wszyscy zdawali sobie sprawę, że wszczęta tu bijatyka w powszechną się zamieni.

Przybywój opanował się. Wiedział, że wygrał przez przypadek i że natychmiast wykorzystać to należy. Nie zastanawiając się nawet, co mówi, rzucił:

- Ruszamy na Czersk.

Dopiero pozostawszy sam, miał czas rozważyć, na co się chce porwać: z Sobiesławem za plecyma uderzyć na wroga, któremu nie dorósł i którego sił nawet nie zna. Mówił sobie, że liczy na zaskoczenie i szczęśliwy przypadek. Nie wolno mu okazać, że lęka się walki. Zwycięstwo, choćby nie rozstrzygające, może jeszcze odwrócić położenie. Może nawet uda mu się ocalić Odylena. Ale gdzieś w głębi tkwiło w nim przeczucie, że cokolwiek by przedwsięwziął, nic nie odwróci jego losu.

Xiii

Oda, korzystając ze spokoju, własną osobą ruszyła w objazd kraju, by dopilnować ściągania danin i zasobów, które szło opornie. Naocznie stwierdzić mogła, że przeciągająca się w lata walka z Bolesławem rozprzęga wszelki ład i wyniszcza kraj, tak że wkrótce jeno już krew i łzy da się wydusić. Leżące w pobliżu grodów i przy uczęszczanych szlakach wsie i osady spustoszone były, a często opustoszałe, nieraz w jej oczach ludność na widok orszaku z resztkami mienia uchodziła w las.

Mimo całej nienawiści do pasierba, rozum doradzał Odzie kończyć sprawę, choćby w drodze układu z Bolesławem. Szczęście, które sprzyjało jej w pierwszym okrsie, łatwo może wrócić, gdyby Pobożny i Włodzimierz, uporawszy się z wewnętrznymi trudnościami, ponownie weszli w porozumienie. A Bolesław przy całej zawziętości i zadufaniu w sobie musi rozumieć, że walka przyniosła mu jeno straty.

Oda wiedziała jednak, że nie może pierwsza wyciągnąć ręki ani uczynić tego w chwili, gdy rwać się zaczyna wszystko. Koniecznością było dokończyć zdobywania Mazowsza, a choć brat nie czynił jej żadnych nadziei, słała do swojaków o pomoc, jeśli już nie w zasobach i wojsku, to o poparcie u Ottona i Willigiza, by zmusili Bolesława do uznania dokonanego podziału kraju. Zdało jej się, że to przynajmniej zdoła uzyskać, mimo podziwu i przyjaźni, jakimi młody władca Niemiec darzył Bolesława. Jeszcze ster spraw niemieckich nie wypadł z ręki Willigiza, Otto liczyć się z nim musi jak i z najpotężniejszymi lennikami, bawarskim i czeskim.

W powrotnej drodze wszelako doszły Odę wieści, które odmieniły jej zamiary, napełniając nową otuchą i złą radością: zmarł Eryk Zwycięski, druh i dziewierz Bolesława, który zabezpieczał go na północy. Wdowa po nim, dumna Świętosława, zmuszona była uchodzić do Norwegii. Imieniem

pacholęcego dziedzica władzę uchwycili jarle szwedzcy. Znienawidzona pasierbica Ody doczekała własnego, a nie macochy wygnania, przestała być podporą brata. Duński Swen zyskał wolną rękę, pozbierał się już po zeszłorocznej klęsce na bagnach Glinster, w czasie najazdu na Niemcy, i gromadził potężną flotę. Groźba zawisła nad Pomorzem.

Bolesław zapewne jeszcze nie wiedział o zaszłych zmianach i tym Oda tłumaczyła sobie, że teraz właśnie szczupłe jego siły, zgromadzone w Wielkopolsce, rozpoczęły działanie. Nie mogły doprowadzić do żadnych rozstrzygnięć, a jedynie powiększyć zamęt w kraju. Oda domyślała się, że na Mazowszu Przybywój musiał się ruszyć i Bolesław chce związać jej siły na zachodzie kraju, by nie udzieliła pomocy Przybywojowi. Niemniej należało się na miejscu rozpatrzyć w położeniu, nie pozostawiając zaczepki bez odpowiedzi, i Oda przyspieszyła powrót do Gniezna dla wydania potrzebnych zarządzeń.

Jakkolwiek uradowała się, zastawszy tam swego ulubionego syna, gdy zostali sami, spytała surowo:

- Dlaczego wróciłeś właśnie teraz, gdy Przybywój winien rozpocząć walkę?

- Zacniło mi się za wami - odparł Mieszko, uśmiechając się, i poufale objął matkę. Odtrąciła go, mówiąc gniewnie:

- Nie trzeba ci macierzyńskich pieszczot, jeno statku i doświadczenia.

Źrałyś już, rządy miałeś objąć na Mazowszu, jeno się Przybywój z Sobiesławem upora.

Zbyt dobrze jednak znała swego syna, by uwierzyć, że przywiodła go jeno tęsknota za matką. Jakoż odrzekł:

- A jak się Sobiesław z Przybywojem upora? Wiem, coście wy sobie umyślili, jeno wy nie wiecie, co Przybywój. Nie dopuszczał mnie do niczego, dobrze, że pod strażą nie trzymał jako zakładnika, może dlatego, żem głupka przed nim udawał, co się za dnia ptaszkami, a w nocy dziewkami zabawia. Ale pilnie baczyłem i słuchałem i jeśli nauczyłem się czego, to chyba jeno, jak rządzić i wojować nie należy. Lichegoście wybrali opiekuna.

Pewność siebie i zarozumiałość wyrostka rozdrażniły jednak Odę. Odparła ostro:

- Jaje mędrsze od kury. Wiem, że ci Przybywój nie miły, a mniej jeszcze posłuch, nawet wobec własnej macierzy. Ale wiesz, że nie z miłości go wybrałam, jeno że wodzem okazał się sprawnym, a przynajmniej spać mogę spokojnie, że mnie Bolesławowi nie przeda.

- Mnie zasię do głowy przychodziło, że gdyby się Przybywojowi powinęła noga, łacno by się mógł mną od Bolesławowej pomsty wykupić. A tak czy inak, jedno pewne, że obu na rękę byłoby, gdybyście jeno z niezdarą, dzieciuchem Lambertem ostali.

Odę uderzyło to, co mówił Mieszko, i zagryzła wargi. Po chwili namysłu odparła:

- Bolesław pomsty nie odprzeda, zasię Przybywój jeno gdyby powróz poczuł na gardle, mógłby myśleć, jak się wykupić. Musiałby go przódzi Bolesław pokonać.

- Toby mnie wtedy darmo dostał - mruknął Mieszko.

- Nadtoś przezorny - odparła Oda. Nie chciała nawet myśli dopuścić o klęsce Przybywoja, w którego ręku była najlepsza część jej sił. Syn zmusił ją teraz do takiego przypuszczenia. Dodała gniewnie:

- Rzekłby kto, że cię strach oblatuje. Nie tegom się po tobie spodziewała.

Mieszko nie zdał się jednak stropiony ni zawstydzony. Odparł:

- Właśnie Przybywój mi to rzekł i chciał, bym się przed nim sprawił, dlaczego wyjeżdżam. Jemu powiedziałem, że sprawię się przed wami, ale nie chcecie słuchać, obędzie się!

Pewna była, że synem powoduje niechęć do Przybywoja, a zwłaszcza do jej związku z nim. Mieszko od małego zazdrosny był o nią, mimo że go otwarcie wyróżniała. Niemniej bystry był, wracał z Czerska, zda się wieści mieć nie tylko od Przybywoja. Dość dawno już nie miała żadnych.

- Mów - odparła. - Słucham.

- Jako rzekłem, Przybywój do niczego mnie nie dopuszczał, choć zdałoby się, bym ludzi poznał, z którymi społem wojować miałem, a oni - mnie. Na objazdy mnie nie brał, na narady nie wzywał, co zamierza i działa, nie mówił. Żebym sam patrzeć i słuchać nie umiał, tyle bym mógł rzec, że w Czersku nudno.

- Gadaj, co wiesz - rzekła niecierpliwie.

- Przybywój gotował się przeciw Sobiesławowi, o którym wieści były, że na północy wojska na zimowisko rozłożył. Czekał jeno, aż rzeka stanie, by się przeprawić, zabierając niemal wszystko, co jeno zdatnego było.

- Tak był powinien - przerwała sucho Oda. - Całą siłą i z nagła uderzyć, by się wojna nie zawlekła. Za tynami zasię byle załoga długo bronić się może. Zresztą nie było przed kim.

Mieszko wzruszył ramionami:

- Widzę, zabyliście - jak i on - że nie jeno z Sobiesławem sprawa.

- Głupiś - rzekła popędliwie. - Nawet we śnie nie zapominam. Skoro jednak Bolesław nie poparł Sobiesława, gdy się jeszcze w Czersku trzymał, to jawne, że się na Mazowsze zapędzać nie może. Tym mniej teraz, gdy Eryk zmarł, a tę jędzę, która przez niego rządziła Szwecją, wygnano!

- Skoro wiecie, że nie może, to i gadać nie mam o czym.

Zniecierpliwienie Ody przeszło w gniew. Istotnie nie wiedziała nawet, gdzie Bolesław przebywa, a młokos, miast opowiadać, droży się z nią, co gorzej - zda się matkę lekceważyć. Taka jest nagroda za jej trudy i troski.

Dotknęło ją to i rozgoryczyło. Opanowawszy się jednak , rzekła oschle:

- Co ja wiem, o tym później. Teraz ty gadaj, co wiesz.

- Tedy mi nie przerywajcie. Jako rzekłem, Przybywój gotów był do wyjścia, gdy doniesiono, że jakoweś gromady zapadły w lasach opodal grodu, na południe. Wysłał tedy Engilberta w trzysta koni, by je rozproszył, i wtedy sobie o mnie przypomniał, bym się do wojny zaprawiał na chłopskich zbiegach i osadnikach, co im użyczają pomocy. Odmówiłem.

Oda, sądząc, że nie chciał walczyć z niegodnym siebie przeciwnikiem, wtrąciła:

- Zarozumiałyś. Ani Bożej służby nikt od wielkiego ołtarza nie rozpoczyna, ani wojny od wielkich bitew. A Engilbert człek pewny i doświadczony i takowa wojna mu nie nowina. Niejednego mogłeś się nauczyć, na niebezpieczeństwo się nie wystawjając.

- Ja zasię jestem niedoświadczony, ale mi taka myśl przyszła do głupiej głowy, że gdyby to zbiegowie byli, toby się opodal grodu nie zbierali, by dać się łacniej wyrżnąć. A od doświadczonych ludzi słyszałem, że nie konnym przeciw pieszym w lasach poczynać.

- Mów, co się stało, a nie, coś myślał.

- Co się miało stać? Engilbert poszedł, przykazane mając, by prędko kończył i za wojskiem dociągnął, które wyszło, nie czekając nawet na wiadomość, a gród ostawiając z byle jaką załogą i głupim Odylenem. Tedym i ja nie czekał, co się stanie, jenom się zabrał i jestem. Ptaszki łowić mogę i tutaj.

Oda wstała i rzekła ostro:

- Dość zabaw. Skoroś wrócił - ostań, ale najdzie się dla ciebie inne zajęcie. Do trudów musisz nawyknąć i do posłuchu, zanim się weźmiesz do rządów. Ostrzegałam cię, byś się przed Przybywojem nie zdradził. Ninie jeszcze bardziej nieufny będzie. Zuchwałyś i głupi!

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Mieszko wzruszył ramionami. Gra z Przybywojem zdała mu się niewarta świeczki, gdy obie strony wzajem wiedzą, co myśleć o sobie. Na dobitkę miru nie ma w kraju i związek z nim nic matce nie da. Przyszedł jej na myśl dlatego, że widocznie czuła się niepewna. Gdyby nawet udało się Przybywojowi pokonać Sobiesława, tym bardziej należałoby z nim skończyć. Ale Mieszko nie wierzył w to zwycięstwo, sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy, skąd mu na myśl przyszło, że ku Czerskowi nadciąga Bolesław. Może stąd, że słyszał, iż na wojnie to czynić należy, czego się przeciwnik najmniej spodziewa. A zarówno Oda, jak Przybywój nawet myśli dopuścić nie chcieli, by Bolesław na Mazowsze miał uderzyć. Zamyślił się głęboko. Czuł, że brak mu doświadczenia, a wiedział, że nie jemu mierzyć się z takim, jak Bolesław, wojownikiem. Ale przestał wierzyć w rozum matki. Może gdyby ją usunął, Bolesław zgodziłby się na jakowyś układ. Jeno jak go skłonić do tego, gdy nieskory był się układać, nawet kiedy zdało się, że wszystko jest przeciw niemu? Zabiegi matki u Ottona i Willigiza zdaniem wuja Brunona nie rokowały żadnych nadziei, nawet biskupa zdołała Oda zrazić do siebie. W rzeczy samej cała jej siła to najemnicy, których wkrótce nie będzie czym płacić. Karmiła syna marzeniami o cesarskiej koronie, a jak dziad zaprzepaścił swą marchię, ona gotowa zaprzepaścić jego dziedzictwo. Szczęściem tygodnie już jeno dzielą go od osiągnięcia lat sprawnych. Iście nie na zabawy należy je wykorzystać, ale samemu pomyśleć o sobie. Byle się w kraju utrzymać, kiedyś może zdoła się odegrać.

Wieści, jakie w najbliższych dniach napływać jęły do Gniezna, choć zrazu chwiejne i niepewne, utwierdziły Mieszka w postanowieniu. Mówiono, że Bolesław zajął Czersk i, połączywszy się z mazowieckimi siłami, posuwa się na łowicz, dokąd ściągają w popłochu załogi z Warki, Grodziska, Prażmowa, Góry i innych pomniejszych grodów. Oda zrazu nie dawała wiary, niepokoił ją jednak brak wiadomości od Przybywoja i poruszenie w kraju, jakie znowu odczuć się dało. Pchnęła tedy posłańców po wieści, ale nagła odwilż nie pozwalała spodziewać się szybkiego ich powrotu. Rozmiękczyła drogi i brody uczyniła nieprzebytymi. Szczęściem odwilż wstrzymać musiała także wszelkie działania do późnej wiosny. Oda trapiła się jeno, że jeśli Przybywój poszedł za Wisłę, to znaczna część jej sił pozostanie tam odcięta.

Niespodzianie doczekała się wieści, tym razem pewnej. Na szkieletach koni dobiło się do Gniezna kilku zbiegów z oddziału Engilberta. Wynędzniali byli i ubłoceni od stóp do głów. Wprawdzie i oni jeno słyszeli o zajęciu Czerska, ale to ich właśnie skłoniło, by - wymknąwszy się z pogromu - nie uchodzić do grodu. Natomiast nadejście sił od południa, w chwili gdy Przybywój, nie spodziewając się ich, ruszał za Wisłę, nie pozwalało dłużej łudzić się, że poprzednie wieści były nieprawdziwe lub przesadzone.

Odą wstrząsnęła wieść nie tylko dlatego, że nieprzewidziane wypadki zmieniały położenie na jej niekorzyść. Myślała o tym, jakie byłoby, gdyby jej Mieszko wziął udział w podjeździe. Zginąłby lub dostał się w ręce Bolesława. Równałoby się to nie tylko całkowitej klęsce, ale ruinie wszystkich jej planów i zamierzeń, całego życia. Przezorności Mieszka zawdzięcza, że ominęło ją najgorsze. Poczuła się winna wobec niego. Słuszną powziął do niej urazę, unikał matki ostatnio, często nawet na noc się nie zjawiał. Jej uraza rozpłynęła się w macierzyńskiej dumie i czułości i zapragnęła wynagrodzić mu wyrządzoną niesprawiedliwość. Z resztek skarbca wybrała złoty łańcuch, pierścień i pas z kutych klamer i posławszy po syna, czekała na jego nadejście z niepokojem i wzruszeniem, niczym na pierwszą schadzkę młoda dziewczyna. Doświadczeniem dojrzałej kobiety wiedziała, że ten syn stanowi naprawdę jedyną treść jej życia.

Czekała długo, pieszcząc go w myśli, zanim wreszcie zjawił się, zmęczony

i zły. Schudł, rysy mu się wyostrzyły, na twarzy ukazywać się zaczynał ciemniejący puch. Coś w nim uderzało obcego i dojrzałego nad wiek, ale objęła go jak ongiś, gdy był pacholęciem. Niecierpliwie uwolnił się z uścisku i rzekł szorstko:

- Jeść i spać bardziej mi się chce niźli waszych pieszczot.

Odę zapiekły oczy. Widno nie zapomniał urazy. Niemal pokornie odparła:

- Podarunki zgotowałam dla ciebie. Miałeś je otrzymać, gdy do lat dojdziesz. Ale daję wcześniej, skoroś wcześniej dojrzał i lepiej niźli ja kierujesz własnym losem.

- Anim wiedział, żem tak zmądrzał - odburknął, widno nie przejednany.

Opuściła oczy i szepnęła:

- Wybacz! Tyś był praw, nie ja.

Zaczęła mówić o klęsce Engilberta i zdławionym przez wzruszenie głosem zakończyła:

- Gdy pomyślę, że mogłam cię utracić, serce mi zamiera i ręce opadają.

Jeno do klasztoru wracać i czekać śmierci.

Wzruszenie matki nie zdało się jednak udzielać Mieszkowi. Słuchał zachmurzony, bawiąc się łańcuchem. Gdy skończyła, nie podziękował, nie uśmiechnął się, jeno dumał nad czymś głęboko. Po chwili milczenia zapytała z niepokojem:

- Nie potrafisz zapomnieć, żem była niesprawiedliwa?

Wzruszył ramionami.

- Nie o tym mi myśleć, jeno że i to - wskazał na podarunki - przedać będzie trzeba, by najemników opłacić. A potem co?

Przygnębiona, nie wiedziała, co odrzec. Zaczęła niepewnie:

- Może tymczasem Przybywój z Mazowszem się upora...

- Do licha z Przybywojem! - przerwał jej opryskliwie. - Zachciało się wam chłopa!...

- Milcz, niewdzięczniku! - krzyknęła wzburzona. - Dla ciebie jeno chciałam ponieść tę ofiarę. Bóg mnie karze, żem śluby złamała, szatę zakonną zrzucając bez kanonicznego zezwolenia.

- Czy i śluby dla mnieście złamali? - zapytał drwiąco. - Nie trzeba było za starego dziada się wydawać, który syna miał dorastającego. Jakie to ostało mi po nim dziedzictwo, za które mam być wdzięczny? Pusty skarbiec, zniszczony kraj, zbuntowany lud i nie opłacone wojsko. Może mnie kto

kupi, by wygrywać przeciw Bolesławowi, gdy na wygnanie iść przyjdzie.

Umilkł zaskoczony, bo Oda rozpłakała się nagle. Nigdy matki płaczącej nie widział, nie przypuszczał, że potrafi płakać. Było to dla niego dowodem, że bezradna się czuje, zrozumiał też, że zabezpieczenie mu władzy i znaczenia stanowi istotnie cel jej życia, który by utraciła, gdyby on zginął lub dostał się w ręce Bolesława. Ogarnęło go lekceważące politowanie dla jej słabości. Miłość jest słabością, on nie będzie się powodować nawet miłością do matki. Słyszał, że rodzic nie pozwolił sobie rąk związać, gdy ongiś - jedynego wówczas syna - Bolesława, po starciu z Hodonem, zmuszony został oddać w zakład cesarzowi. Zapewne nie miłował go tak, jak Bolesław swego Mieszka.

Położył rękę na pochylonej głowie Ody. Teraz dopiero zauważył, że jasne jej włosy pojaśniały na skroniach. Powiedział pobłażliwie i pojednawczo:

- Nie trapcie się, matko. Sam już zadbam o siebie. Coś ci mi na myśl przychodzi.

Podniosła zaczerwienione oczy, patrząc na syna zarazem z podziwem i niedowierzaniem. Uprzedzając pytanie, dodał:

- Nie będę teraz gadał, póki sprawy nie przemyślę i nie przygotuję.

Szczęście to, że jest chwila folgi.

Ucałował matkę z roztargnieniem i wyszedł.

Odetchnęła kilka razy głęboko, jakby jej ktoś ciężar zdjął, pod którym zaczynała się uginać. Wierzyła synowi i wierzyła w niego. Będzie wielkim władcą, niech jeno dojdzie do lat męskich. A jej przypadnie rola, jaką grała stara cesarzowa Adelajda przy mężu, synu i wnuku.

Gdyby wieści chodziły prędzej, Mieszko nie byłby się starł z matką z przyczyny Przybywoja, którego los był już przesądzony.

Przybywój sam czuł, że miota się bezradnie, jak zwierz w obierzy, wyczerpując własne i swych ludzi siły ciągłą zmianą zamierzeń, nie od niego już zależną. Wypadki zaskakiwały go, pętla zaciskała się i długo w noc, siedząc bezsennie, dumał, jak ją rozerwać. Popełnił błąd, rozdzielając wojska konne od pieszych i odstępując od pierwotnego zamiaru uderzenia na Sobiesława. Gdyby go zniósł lub choćby rozproszył, duch w wojsku byłby inny, a od niego samego zależałoby, czy uderzyć na Bolesława, czy cofać się na jakiś silny gród, by w nim znaleźć ostoję. Teraz jedno pozostało: spieszyć, by się jak najprędzej połączyć z pozostawioną piechotą, ktora niemal niechybnie wciągnięta została w bitwę, skoro nie nadeszła dotychczas, i stoczyć rozstrzygającą walkę, zanim od Czerska nadciągnie nieprzyjaciel.

Przybywój, choć znużony, czuł, że nie zaśnie, a czas był drogi. Nie doczekawszy świtu, podniósł wojska, by ruszyć na północ, nie bacząc, że nowa zmiana rozkazu podkopuje i tak zachwianą już jego powagę. Obudzeni w nocy, nie wypoczęci ludzie otwarcie szemrali, że znowu bez ciepłej strawy ruszyć im przychodzi. Tym razem jednak fałszywy los jakby się do Przybywoja uśmiechnął.

Bolesław wiedział, że ma nieprzyjaciela w zaciągającym się saku, musiał jednak wojskom, wyczerpanym niewczasem i trudem dalekiej drogi, dać pod dachem możność odzyskania sił przed dalszym pochodem i walką. By jednak nie pozwolić wrogowi wymknąć się, wysłał Wilczka z niewielkim, ale wyborowym hufcem jazdy, by przytrzymał Przybywoja jak ogar dzika, nim łowca nie nadejdzie.

Przybywój mógł mówić o szczęściu, że Wilczek nie dopadł go na nocnym postoju, lecz w chwili gdy z lasu wyszedł na gościniec. Po krótkiej walce znacznie słabszy liczbą Wilczek odskoczył. Niemniej bez przerwy trzymał się na odległość wzroku, doskakując, gdy tylko Przybywój usiłował przyspieszyć pochód, a umykając natychmiast, gdy zwrócił się czołem ku niemu. Słońce wzeszło i swarliwy dzień wlókł się jak hufce Przybywoja. Zaczynał się niepokoić. Ciągła gotowość i zmiany szyku wyczerpywały ludzi i konie, a na końcu drogi należało się spodziewać walki. Toteż kiedy zbliżało się południe, a gościniec wszedł w las, Przybywój pognał swoich, gdy nieprzyjaciel stracił się z oczu, czy to lękając się zasadzki, czy też zmuszony spocząć i pożywić się. Przypuszczając, że oderwał się dość daleko, Przybywój zarządził postój, korzystając, że leśna struga pozwala zgotować strawę i napoić konie. Teraz już każdej chwili spodziewał się napotkać swą piechotę, w pochodzie czy w walce.

Znużony siadł na uboczu i czekając na strawę zadrzemywał. Jak zbyt długo naciągnięta cięciwa - napięcie zluźniło się. Bezmyślnie patrzył przez splątaną sieć bezlistnych gałęzi na błękitniejące z każdą chwilą niebo, usiłując opanować senność. Ale blask raził jego oczy, a przyciszony gwar obozowiska, nawet odległe skrzeczenie swarzących się gdzieś sojek drażniły słuch. Chciałby zostać sam, w ciszy i ciemności, zapomnieć o wszystkim, niczym drzewo, obojętne, kto i kiedy przyłoży topór do jego pnia. Zdało mu się, że nie dba już o nic i nikogo, nawet o własne życie, byle nie być zmuszonym do wysiłku. Ale ukojne złudzenie prysło, gdy w szmer obozu wmieszały się podniecone głosy. Zerwał się. Zapewne nadciągnął Gozdawa z pieszymi.

Z dala już ujrzał kilku konnych, dokoła których w podnieceniu tłoczyła się gromada ludzi. Na jego widok rozstąpili się i umilkli. Przybywój poznał własny podjazd, który wyprawił, by przyspieszyć nadejście piechoty. Już nie spodziewał się pomyślnej wieści, ale zamilkł na chwilę, gdy usłyszał:

- Gozdawa poddał się Sobiesławowi.

Przybywój zdał się żuć coś gorzkiego, zanim wypluł:

- Zdrajca!

Posłaniec, zapewne swojak wojewody, poczerwieniał i odszczeknął:

- Samemu rzeknijcie. W takowej wojnie nie wiada, kto i kogo zdradza.

Jedno pewne, że nie Gozdawa was, bo umyślnie nas tu wysłał, byście wiedzieli, czego się trzymać. A co mu było poczynać, skoro nas Sobiesław otoczył i przez posła oznajmił, że kogo z bronią w ręku ujmie, na pal wbić każe. A że nie próżno groził, kto go zna, uwierzy. Tedy ludzie wraz broń ciskać jęli. A wam wolna wola poczynać, co chcecie.

Przybywój spojrzał po otaczających. Wśród polańskiej i mazowieckiej jazdy więcej było takich jak on, którzy na łaskę liczyć nie mogli, nawet jeśliby broń złożyli. Niemcy natomiast skupili się przy Gothardzie, który stał na uboczu z obwiązanym łbem. Ponuro-drwiącym wzrokiem patrzył na Przybywoja i powiedział wyzywająco:

- Iście, czyńcie, co wola. My takoż. Skończyło się wodzenie, jakoby wodę z garnka do garnka przelewał, póki nic nie ostanie.

Przybywój bez słowa skierował się do konia. Dociągnął popręgów, dosiadł go i rzucił:

- Kto walczyć chce, za mną!

Nie obejrzał się, ilu za nim podążyło. Śmierć jest zawsze samotna, a spodziewać się mógł już tylko śmierci.

Xiv

Po rozbiciu i pojmaniu Przybywoja Bolesław ruszył na Łowicz, gdzie gromadziły się resztki wojsk Ody, uchodzące przed pomstą ludu, który na samą wieść o nadciąganiu Bolesława bez wici chwytał za broń. Książę nie tylko nie starał się powściągnąć okrucieństw, ale już w Czersku zapowiedział, by pojmanych z bronią w ręku nie żywić. Starszyznę tylko odsyłać kazał do najbliższego grodu i trzymać w więzach do czasu, gdy sąd nad nią odprawi. Toteż kto jeno spodziewać się mógł wybaczenia, przechodził na stronę Bolesława, innym pozostawało walczyć do ostatniego tchnienia. Tępiono się też wzajem z wzrastającym okrucieństwem, ale Bolesław rósł w siłę i pewny był już widno wyniku, bo Stoigniewowi pozostawił zlecenie, by jechał do Poznania, zbaczając po drodze na Kopanicę, koło której w leśnym dworcu nad Olzą przebywała Emnilda z dziećmi. Widno spodziewał się wkrótce już zakończenia walki, kazał bowiem rodzinę swą przewieźć na Tumski Ostrów.

Stoigniew nierad był zleceniu. Spieszno mu było do Poznania, gdzie Jaskotel rozpocząć już musiał walkę. Książę niecierpliwy jest i zbyt pewny nie tylko wyniku rozpoczętych działań, o którym i Stoigniew nie wątpił, ale że zdąży doprowadzić do rozstrzygnięcia w ciągu zimy. Przedwiośnie jednak zastać go może jeszcze przy oblężeniu Łowicza, a wówczas wszelkie działania ustaną aż do suchszej pory. Stoigniew wiedział jednak, że książę nie lubi się sprawiać ze swych rozkazów, a może ma ważniejsze przyczyny niż chęć rychłego ujrzenia bliskich, by przenieść rodzinę z samotnego dworca na obronny Ostrów. W Czersku zlecenie oznajmił wojewodzie włodarz Głownia, nim ten jeszcze z konia zsiadł. Tak czy inaczej rozkaz trzeba wykonać, i to co rychlej, bo droga daleka, a niezbyt bezpieczna.

Jak się jednak okazało, koni na wymianę na grodzie nie było, a te, na których Stoigniew przybył, zeszkapiały w drodze bez ciepłej stajni i lepszego obroku. I ludziom patrzył się wypoczynek, i sam Stoigniew, w samotności i ciszy panującej na niemal opustoszałym grodzie, rad był spokojnie przemyśleć sprawy zaprzątające mu umysł.

Z wyników poselstwa mógł być zadowolony, choć nużące było. Włodzimierz na swym dworze wprowadzał bizantyński obyczaj, Stoigniew zaś nie lubił tłumnych i gwarnych uczt i przewlekłych, sztywnych uroczystości, w których musiał brać udział jako poseł sprzymierzonego władcy. Bez trudu uzyskał, iż Ruś przycisnęła Jadźwingów, zwalniając tym samym mazowieckie siły, w czasie gdy były gdzie indziej potrzebne. Stoigniewa jednak ogarniały wątpliwości, czy chwilowa korzyść nie stanie się w przyszłości źródłem niebezpieczeństw, gdy ziemie swarliwego, ale niegroźnego ludu zajmie potężny sprzymierzeniec. Włodzimierz wprawdzie zwał Bolesława bratem i sam przypominał obietnicę umocnienia przymierza rodzinnym związkiem, ale Stoigniew pamiętał, że nie dalej jak przed dwoma laty z czeskim krewniakiem Bolesława zmówił się na jego zgubę, rodzony zaś brat Włodzimierza, Jaropełk, zdradą został przez niego zgładzony. Stoigniewowi przyszły na myśl słowa,

które sam ongiś powiedział do Krasnoty: władcy nie mają krewnych, jeno państwa. A władza jest jak dziki zwierz, nigdy niesyty, nie baczy, po kim depce. Kto go raz dosiadł, zsiąść nie może, ponosi go dalej, niżby chciał. Jednak władza jest potrzebna. Stoigniew wspomniał słyszaną od matki w pacholęcych latach bajkę o olbrzymie, który podtrzymuje sklepienie niebios. Ni się schylić, ni rozejrzeć, nigdy wypoczynku. A mali ludkowie chodzą u jego stóp, nieświadomi nawet, że dzięki niemu sklepienie nie zwali się na ich głowy. Może kiedyś młodociany Otto będzie księciem pokoju, władcą, który nie uciska, a Bolesław przyłoży swą potężną dłoń do jego dzieła. Bo za sprawiedliwością musi stać siła.

Stoigniew otrząsnął się z zadumy. Póki Otto nie odsunie wpływów babki i Willigiza, a Bolesław nie obsiądzie całej dziedziny, rozmyślania te są przedwczesne. Droga do pokoju prowadzi przez wojnę.

Rozmyślania Stoigniewa przerwał zresztą wlodarz Głownia, któremu Bolesław zlecił zarząd grodu aż do powrotu Sobiesława. Przyszedł oznajmić prośbę archidiakona, by mówić mógł z wojewodą.

- Niechaj przyjdzie, choćby i zaraz, bo tu długo nie zabawię. Konie postawić na owsie, by się podebrały, ludziom spyżę wydać na drogę i niech będą w gotowości. Jakoby na zmianę szło, tedy pospieszać trzeba.

Włodarz skinął głową, ale nie odchodził.

- Jeszcze zapytać chciałem, co wasza miłość każe uczynić z Odylenem?

Kniaź go waszej pomście ostawił.

Stoigniew drgnął, zaskoczony. Nie wiedział jeszcze o pojmaniu Odylena, a uciekał myślą od związanych z nim wspomnień. Teraz wróciły wbrew jego woli, budząc jednak, miast chęci zemsty, uczucie obrzydzenia. Chciałby je wypluć jak nieczystość, ale wspomnienia narzucały się tak, że niemal zapomniał o obecności włodarza, który, czekając na odpowiedź, patrzył na dostojnika z rosnącym zdziwieniem. Coś w nim było obcego i niezrozumiałego, co onieśmielało Głownię, tak że nie ważył się powtórzyć pytania. Gdy milczenie się przedłużało, zrozumiał jedynie, że nie otrzyma odpowiedzi, i zaczął niepewnie:

- Mógłbym o coś pokornie prosić waszą miłość?

- Gadaj - rzekł szorstko Stoigniew.

- Kniaź mi Odylena i Przybywoja pod gardłem pilnować kazał. Ludzi mam mało i byle jakich. Spać nie mogę. Przybywój poraniony, nie ustoi o swej sile, ale Odylen zdrów, a wie, co go czeka.

- Czego ode mnie chcesz? - warknął Stoigniew. Wiedział, iż nie jest winą włodarza, że musi wracać myślą do spraw, o których chciał zapomnieć, ale drażniła go obecność Głowni, który odparł nieśmiało:

- Wasza miłość gadać będzie z archidiakonem. Przykażcie mu wygnać oną żebraczkę, którą przytulił w kościelnym budynku. Pęta mi się po grodzie, słucha, co gadają, a sam ją przyłapałem przy okienku do lochu, gdzie więźnie siedzą, i zda mi się, że gadała z nimi. Chciałem ją zaraz wyświecić, ale jego wielebność lituje się nad nią. A kniaź się nade mną nie ulituje, gdyby zbiegli.

- Pomówię z Sabinusem. Dość już o tym.

Głownia wyszedł z westchnieniem ulgi, ale Stoigniew nie potrafił wrócić do poprzednich rozważań. Wspomnienie wlekło się za nim jak parszywy pies, którego nie sposób odegnać. Rad był

zatem, gdy po dłuższej chwili rozległo się pukanie i wszedł Sabinus. Stoigniew znał go jeno ze słyszenia, ale że dobrze o nim mówiono, powitał kapłana życzliwie i sam zaczął:

- Słyszę, że jakowąś prośbę macie do mnie. Chętnie usłużę, czym wydolę, jeno że długo nie zabawię, tedy mówcie, czego wam trzeba.

- Mnie niczego i nie ważyłbym się waszej dostojności zaprzątać swymi sprawami. Ale że prośba moja Kościoła dotyczy, tedy ośmieliłem się, tym łacniej, że jako słyszę - i tak do Poznania jechać macie. Ja nie mam kogo posłać, bo z jednym jeno klerykiem ostałem. Dawnych kapłanów Przybywój mi rozegnał. Jacy tam byli, ale swoi, i lud nawykł już do nich. A ninie przybytki Pańskie burzy, a nowi apostołowie przed jego pomstą uchodzić muszą. Tedy niech przewielebny biskup coś zaradzi, bo mnie ręce opadły.

Stoigniew czuł w słowach starca bezradność i gorycz, zrozumiałą u człowieka, który u schyłku żywota widzi, że zdeptano plon jego pracy, a sił nie czuje, by ją podjąć na nowo. Powiedział ze współczuciem:

- Ungerowi doniosę, jako jest, choć zda mi się, że nie pora siać czasu burzy. Wojna niszczy owoce każdej pracy, nie jeno waszej. Ale wróci Sobiesław, będzie, jak było. Gdy nastanie ład, czas będzie budować. Drewna nie braknie na nowe kościoły.

- Drewna nie, jeno ludzi. A trudniej niż kamienną bazylikę odbudować zburzone zaufanie.

- Zaufanie do was zostało. Z jednego zdrowego ziarna większy plon niż z worka plewy. A może uda się nam z Rzymu dostać kapłanów, którzy się u Świętego Aleksego do misji w słowiańskich krajach gotują.

- Mojaż to macierz duchowa! - Starzec ożywił się na jakieś wspomnienie, ale twarz jego zaraz przygasła znowu. - I ja stamtąd wyszedłem wraz ze świątobliwym Jordanem, z górą pół kopy lat temu. Młody byłem, zdało mi się, że cuda zdziałamy. Niechby mnie ktoś młodszy zastąpił, co z takąż wiarą przybędzie, a ja bym wrócił, skąd przyszedłem. - Umilkł i zadumał się smutno. Potem ciągnął jak do siebie:

- Jeno z towarzyszy młodości nie masz tam już nikogo. I nie wiem nawet, czybym mowę ojczystą rozumiał. Od śmierci błogosławionej pamięci Jordana nie słyszałem jej ani razu. Sam ostałem, nikomu niepotrzebny. Ani się myślą z kim podzielić!

- Nie zapomina się mowy ojczystej, jak nie zapomni pływać, kto się raz nauczył - rzekł Stoigniew w italskim języku, uśmiechając się życzliwie. Staruszek za rękę go uchwycił.

- Wy ją znacie! Mówcie jeszcze. Jakobym brata spotkał - wybaczcie, panie, poufałość.

Stoigniew, zazwyczaj milkliwy i odludek, rozgadał się o swych rzymskich podróżach, o awentyńskim klasztorze, o Tunim, Wojciechu, o młodym Ottonie i mędrcu Gerbercie, i sam nie wiedział, dlaczego mówić zaczął ze spotkanym po raz pierwszy człowiekiem o własnych, związanych z nimi nadziejach. Może dlatego, że starzec chłonął każde jego słowo, a twarz jego zdała się promieniować wiarą, że wszystko, o czym marzył Stoigniew, spełnić się musi. Przegadali do drugich kurów i dopiero przed rozstaniem Stoigniew przypomniał sobie dane Głowni przyrzeczemie. Żegnając archidiakona, powiedział:

- I ja prośbę mam do was. W kościelnych zabudowaniach prawo wam służy czynić, co wasza wola. Ale czas jest wojenny, żadnej ostrożności zaniechać nie można, a włodarz mi się żalił, że przetrzymujecie jakowąś żebraczkę, która się po grodzie kręci, a zwłaszcza koło lochów, gdzie ważni

więźniowie siedzą.

- Mówił mi o tym - odparł Sabinus. - Aleć biedotę nijak było na mróz wyganiać. Rad jednakowoż jestem, że wam odmawiać nie muszę, bo właśnie, gdym tu szedł, z przytułek podziękowała i poszła, choć zatrzymywałem. Opatrzyłem na drogę, czym mnie stać, i Bóg z nią, bo zda mi się, że i niespełna rozumu.

- Tedy dobrze się stało, bo włodarz gardłem za brańców odpowiada i ninie spać będzie mógł spokojnie - zakończył Stoigniew.

Sam też zasnął spokojnie. Rozmowa z Sabinusem oderwała jego myśli od wspomnień, a skierowała ku przyszłości. Otto na wiosnę osiągnie wiek sprawny, Bolesław dokończy rozprawy z Odą i jej synami, będzie mógł skierować swe siły ku szerszym zamysłom. Stoigniew, zasypiając, bez niechęci już myślał o dalszej podróży. Nie kazał się budzić, by się przed nią wywczasować. Spał do późna i zbudził go jednostajny szmer dochodzący z pola. Nie wierząc uszom, otworzył okiennice. Padał ulewny deszcz, po lodzie okuwającym Wisłę płynęła woda, kopne śniegi zmieniały się w grząską maź. Podróż trzeba odłożyć do nawrotu zimy lub, co pewniejsze, do późnego przedwiośnia.

Xv

Zima nie wróciła, ale wiosna nadciągała pomału, z wahaniem, jakby onieśmielona tym, że przychodzi nie o swej porze. Szła od południowego zachodu, w dorzeczu Odry widne już było, że ne ustąpi. Gdy nad średnią i dolną Wisłą jeszcze hulały zimne wichry, miecąc śniegowymi krupami, na Odrze lody spłynęły, a ciepłe już słońce wypijało wody. Toteż gdy na wschodzie kraju panował jeszcze martwy spokój, na zachodzie końskie kopyta i stopy zbrojnego ludu deptały już świeżą ruń.

Oda z ulgą i dumą patrzyła na poczynania Mieszka, któremu zdała już władzę. Bolało ją jeno, że pierworodny zaleceń jej słucha z lekceważącym roztargnieniem, a z zamierzeniami tai się nawet przed nią. Widziała w tym jednak tylko młodzieńczą zarozumiałość, która przejdzie z wiekiem. Poczucie bezradności minęło, kilka pomyślnych potyczek, w których wziął udział, w macierzyńskim zaślepieniu uważać skłonna była za zwycięstwa zapowiadające w pierworodnym wodza. Gdy nabierze doświadczenia, zapewne dorówna Bolesławowi, który wciąż jeszcze stał pod Łowiczem, na pozór bezczynnie. Gdyby Mieszko uporał się na czas z Jaskotelem i wszystkie siły mógł skierować na odsiecz, położenie jeszcze może się odwrócić.

Mieszko jednak dojrzalszy był, niż się Odzie zdało, i trzeźwiejszy od matki. Zaznajomiwszy się ze stanem skarbca, zasobów i sił, wiedział, że w grze jest ostatnia stawka. Gdy ją przegra, trzeba będzie porzucić dopiero objętą władzę i uchodzić z kraju, jeśli zdoła. Nie miał złudzeń - mniemane zwycięstwa są bez żadnego znaczenia, Jaskotel zaś wiąże tylko jego siły, szerząc bezład i niepokój, a ustępując, gdy napotykał opór. Widział, że jako wódz nie sprosta nawet Jaskotelowi, który, siły mając szczuplejsze, potrafił zapobiec wysłaniu odsieczy do Łowicza, gdzie zamknięci niemal wszyscy zbiegowie z lewobrzeżnego Mazowsza trzymają się jeno ze strachu przed Bolesławem. Ale strach nie starczy za jadło, i wkrótce zmorzy ich głód, jeśli wcześniej nie ulegną sile. A wtedy nadejdzie kres.

Mieszko od dawna myślał już jeno o tym, by zmusić Bolesława do układu, który by pozwolił przyrodnim braciom przy wyznaczonej przez ojca dziedzinie się utrzymać, choćby kosztem uznania zwierzchniej władzy pierworodnego. Wówczas sam mógłby umocnić swe stanowisko przez odpowiednie małżeństwo, nawiązać w Niemczech stosunki, które sposobną porą pozwolą mu się odegrać. Nie podzielał nadziei Ody, że skłonić może Bolesława do układu pośrednictwo czy nacisk rządców Rzeszy. Łacniej Rzym mógłby się ująć za lennikami świętego Piotra, ale na to nie starczy już czasu. Trzeba wymyślić inny sposób.

A wiosna szła niepowstrzymanie i nadzieja topniała wraz z resztkami śniegów, które taiły się jeszcze w cienistych wąwozach i na północnych stokach, gdy tymczasem ciepły już wiatr wysysał wilgoć i niedawne rozlewiska pokrywały się w oczach zieloną runią. Ziemia tężała, drogi podeschły, świat nabierał barw i woni.

Mieszko ponurym okiem patrzył na uroki wiosny. Jemu nie wróżyły nic dobrego. Po osuszonych szlakach napływały do Gniezna złe wieści wraz z uchodzącymi z pomniejszych grodów załogami, które wygnał sam strach przed Bolesławem. Oglądali się, czy już ich nie ściga konna drużyna, która - zbędna przy oblężeniu - nie potrzebując troszczyć się o paszę dla koni, ruszyć może każdej chwili. A wówczas bunt, trzymany jeszcze na wodzy przez grody, rozleje się jak fala, która prędzej czy później pochłonie te ostatnie wysepki Mieszkowej władzy. Zasmakował w niej po to tylko, by tym boleśniej odczuć niebawem utratę.

Stał się zgryźliwy, unikał matki, nie tając, iż ma jej za złe podjęcie walki bez obliczenia się z siłami. Na próżno tłumaczyła się, iż uczyniła wszystko, początkowo - by Bolesława zjednać, potem - by się go pozbyć. Mieszko szukał winnych. Czuł jednak, że zarzuty i wyrzuty niczego nie odmienią, i tym gorliwiej szukał rodziny Bolesława, by zamiar swój urzeczywistnić. Pobyt jej w którymkolwiek grodzie nie dałby się utrzymać w tajemnicy, musiała być ukryta gdzieś na uboczu, w nielicznym otoczeniu najpewniejszych ludzi. Niewątpliwie w tej części dziedziny, gdzie Bolesław sam czuł się najpewniejszy, a więc ani u Wiślan, ani u Dziadoszan, zagrożonych przez Czechów. Najpewniej w przypadłej mu części Wilkiej Polski, za pasmem jezior ciągnących się od Miedzychodu aż do Gniłej Obry, które oddzielały ją niemal nieprzebytą zaporą.

Oda nie mogła zrozumieć ani początkowej pewności siebie syna, ani obecnej jego zgryźliwości. Mieszko nie zdradzał się ze swą nadzieją i zawodami. Daremnie też usiłowała utrzymać dawną poufałość i zażyłość. Mie widywała go całymi dniami, nawet gdy bawił w Gnieźnie. Gdy przechodził, roztargniony był, zdał się nie słyszeć, co mówi doń, często kolnął ją drwiną lub wyrzutem. Przestała szukać z synem spotkania, stał się obcy, niemal wrogi.

Gdy jednak zbliżała się Wielkanoc, wezwała Mieszka, by się nad przebiegiem uroczystości naradzić. Dla zachowania pozorów zjazd zwołać należało, ugościć dostojników, rozdać jałmużny ubogim, obdarzyć kościoły i duchowieństwo. Mieszko przyszedł niechętnie i słuchał jej wywodów z drwiącą uwagą. Gdy skończyła, odparł:

- Wysypcie resztę ze skrzyni, bo już i tak dno widać, a potem sami usiądźmy pod Świętym Jerzym. Jałmużny więcej użebrzem, niż z danin wpłynie.

- Pierwszy raz przewodniczyć masz zjazdowi - zauważyła nieśmiało, ale przerwał jej, śmiejąc się ze złością:

- Pierwszy i ostatni. Niechaj mnie mile wspominają.

Nie było co odrzec i siedzieli w milczeniu, gdy ciszę przerwały jakieś odgłosy dochodzące z

sieni, które przybierały na sile. Mieszko zerwał się, rozdrażniony, i otworzywszy drzwi, wrzasnął:

- Co tam, u biesa?!

- Żebraczka jakowaś wprasza się do miłościwej pani - odparł komornik. - Nie chce odejść, mówi, że ważną ma sprawę.

Mieszka coś tknęło i spojrzał na niewiastę. Niestara była, ale wynędzniała, wychudłe ciało okrywały ubłocone łachmany, w zapadniętej twarzy, ze śladami dawnej piękności, wielkie oczy świeciły gorętwą i łzami.

Nie wyglądała na żebraczkę. Zapytał ostro:

- Skądeś i z czym?

- Z Czerska. Samej jeno pani mogę rzec.

-Wejdź - powiedział. - Jeśli się tylko wkręcić chcesz, pożałujesz!

Przepuścił ją przed sobą i zamknął drzwi. Stanęła pokornie koło nich, jakny się lękała powalać nogami, okrytymi skorupą błota, kobierce pokrywające podłogę. Oda patrzyła na Mieszka z niechętnym zdziwieniem, nie rozumiejąc, po co wpuścił nędzarkę. Przez ramię rzucił wyjaśnienie:

- Z Czerska! - Po czym, zwracając się do niewiasty, zapytał: - Coś za jedna? Jak cię zowią? Z czym przychodzisz? Gadaj!

- Byłam Odylenowa. Niesułka. On mnie przysłał, by wam rzec, że zawarci w lochu z bratem czekają na sąd.

Niespodzianie rzuciła się do kolan Ody:

- Ratujcie ich, miłościwa pani! Wżdyście z Przybywojem zmówieni.

- Precz! - krzyknęła Oda, odsuwając się ze wstrętem, ale Mieszko, uśmiechając się złośliwie, powiedział:

- Omalże krewniaczka. Wysłuchajmyż jej, daleko szła, by takową ważną nowinę oznajmić.

Patrzyła na Mieszka z wdzięcznością, nie rozumiejąc drwiny. Oda natomiast rzuciła mu złe spojrzenie i wyszła bez słowa. Wskazał Niesułce ławę pod ścianą, widząc, że ledwo trzyma się na nogach, i zapytał:

- Dawno wyszłaś z Czerska? Zmarniłaś się.

- Będzie trzy niedziele. Odylen pospieszać kazał, by nie było za późno.

Rozpłakała się, ale Mieszko rzekł niecierpliwie:

- Będziesz beczeć, gdy twego miłośnika Bolesław obwiesić każe lub kołem łamać. Ninie gadaj, jak się owo stało, że Odylen gród poddał bez walki. Żeby nie to i że - jak prawisz - społem z Przybywojem w lochu siedzą, myślałbym, że ich Bolesław kupił.

- Nie kupił - szepnęła. - Wżdy dla was popadli w nieszczęście. Zmiłujcież się.

- Odylen ci to rzec kazał? Wierę, że chętnie by się wydostał z rąk krewniaka, który nie słynie z miłosierdzia. Na złość braciszkowi rad bym ich wydobył, ale głupi są, jeśli myślą, że dla nich grodu będę dobywał.

- Nie tak myślą, jeno że kniaź Bolesław za swą małżonkę i dziatki pomsty by się wyrzekł.

Mieszko parsknął złym śmiechem.

- Tedy iście niegłupio myślą, prawie jako ja. Żeby mi jeszcze powiedzieli, jak owo uczynić, rzekłbym, że zgoła mądrze. W mysią dziurkę gdzieś ci Bolko swoich schował, ni pies nie najdzie.

- Mimo że mógł się już czegoś domyślać, nie spodziewał się odpowiedzi, którą usłyszał:

- Po to mnie Odylen wysłał, by wam rzec - gdzie.

- Jeszcze nie mógł uwierzyć i zapytał nieufnie:

- A skądże Odylen mógł się wywiedzieć, skoro w lochu siedzą?

- Przez okienko słyszał, jak ludzie wojewody Stoigniewa gadali, że jechać mają wraz z nim po księżnę Emnildę, by ją z dziatkami odwieźć do Poznania. W leśnym dworcu Gołuchów bawi, nad strugą, która z Kopanickiego jeziora do Gniłej Obry idzie. Spieszcie się, panie! - złożyła ręce błagalnie. - Wojewoda miał ruszyć zaraz, jeno go odliga wstrzymać musiała bo lody na rzekach rozmiękły, nie utrzymałyby koni. Omal sama nie utonęłam. Ale ninie już spłynęły, spieszcie się, by nie było za późno.

Znowu łzy jej pociekły spod zamkniętych powiek. Patrzył na nią z pogardliwym politowaniem. Głupia! Życie stawiła, by ratować starego dziada. Gdyby przedać chciała wiadomość, Mieszko musiałby dobrze zapłacić. A tak oddała ją darmo, bo ani mu w myśli ratować krewniaków.

Coś jednak jakby wstyd poruszyło się w nim, bo zawołał komornika i rzekł:

- Żreć jej dać i szmaty jakowe.

Gdy został sam, zamyślił się. Działać trzeba szybko, ale przezornie, ludzi dobrać zaufanych i znających okolicę, konie co ściglejsze. Wyprawa była dość daleka, a niezbyt bezpieczna, przez zbuntowany kraj, po którym kręciły się oddziały Jaskotela. Ale Mieszko nie wątpił już, że może się nawet uda dostać w ręce samego Stoigniewa. Na tę myśl zaśmiał się: podaruje go matce, niechaj i ona ma swą uciechę, nie będzie zwała syna niewdzięcznikiem. Postanowił jednak z niczym się jej nie zwierzać. Gotowa zauroczyć sprawę. Nie ma szczęśliwej ręki. We własną natomiast uwierzył znowu, jakby trzymał już w niej zakładników swej przyszłości.

Do zagubionego z dala od szlaków, w borach, wśród bagien dworca Bogodara Gołuchowica nie docierały żadne wieści. Gdy Bolesław za jego poradą wysłał tam z zagrożonego Krakowa Emnildę z dziećmi, nie taił przed nią, iż nierychło spodziewa się uporać ze spiętrzonymi trudnościami. Ale oto minęły dwa lata, w ciągu których Emnilda raz jeno otrzymała wiadomość od męża, że żyje, zdrów i wrychle już sposobi się do rozpoczęcia rozstrzygającej walki z Odą i przyrodnimi braćmi.

W walce jednak ludzie giną, a Bolesław od wyrostka nie zwykł był oszczędzać siebie. Emnilda każdej chwili chciałaby wiedzieć, gdzie małżonek jej przebywa, co czyni, czy długo jeszcze jej obaw i tęsknoty. Ale Bolesław surowo zakazał wysyłania po wieści, by pewnym być, że nie zostanie zdradzona kryjówka, i sam nie obiecywał ich przesyłać. Przyrzekł natomiast, że gdy jeno okoliczności pozwolą, zabierze swych najbliższych, by się z nimi połączyć.

Tymczasem Emnilda odcięta była od świata jak na wyspie, którą zresztą stawał się dworzec deszczową porą, gdy jedyny dostęp, niską groblę, wiodącą do suchszego boru, wody rozmiękczyły lub nawet przelały się nad nią tak, że - jak tratwa na fali, sterczał tylko mostek nad bagnistą fosą, a wody dochodziły aż do stóp częstokołu. Wówczas jeno łodzią wydostać się można było na świat, ale

nie było potrzeby. Dworzec zaopatrzony był we wszystko, choćby na lat dziesięć.

Emnilda często myślała, ile jej czekać przyjdzie, a dni wlokły się jednostajnie, jakby kto litanię odmawiał. Jedyne ich urozmaicenie stanowiły dzieci i po nich najlepiej widać było, że czas nie stoi. One też swymi małymi sprawami pozwalały Emnildzie oderwać myśl od jej największej troski, wypełniając wrzawą niskie, ponure izby o małych okienkach i grubych ścianach z dębowych ciosów. Zajęcia przy dzieciach nie brakło, Bolesław bowiem pozwolił zabrać do dworca jeno starą piastunkę i jedną dziewkę służebną. Inne posługi pełnili ludzie Bogodara, nieliczni, lecz pewni, którzy tu wiek przesiedzieli: włodarz Biegam, wdowiec, którego dzieci wyszły już z leśnego gniazda, stary koniar i dwóch bobrowników, samotników z nawyku i usposobienia. Tych ostatnich rzadko nawet na dworcu widać było, a nigdy nie słychać, bo na odludziu mówić niemal zapomnieli; dostarczali ryb, ptactwa i zwierzyny.

Dzieci łatwo nawykły do nowego otoczenia, nie mogły natomiast nawyknąć do przyrodniego Bezpryma. W Krakowie niemal go nie widywały, żył osobno z własną piastunką, a Emnilda wiedziała, że Bolesław nie miłuje niepożądanego syna po wygnanej Węgierce. Teraz jednak kazał go zabrać wraz z innymi dziećmi. Był najstarszym z młodego pokolenia panującej gałęzi Piastowego rodu, gdyby wpadł w ręce nieprzyjaciół, mogło to stać się niebezpieczeństwem w przyszłości.

Niebezpieczeństwo to przeczuwała Emnilda i w samym chłopcu. W niemowlęctwie pozbawiony matki, zaniedbywany przez ojca, który nawet umiłowanym dzieciom po Emnildzie niewiele mógł czasu poświęcić, chłopak już zdał się żywić poczucie krzywdy. Przy postrzyżynach nie otrzymał nawet imienia używanego w Piastowym rodzie, utracił natomiast piastunkę, jedyną istotę, do której żywił jakieś przywiązanie. Skryty i nieufny, w nowym środowisku znalazł sie osamotniony wśród nawykłego do pieszczot i troskliwości rodzicielskiej przyrodniego rodzeństwa. Emnilda - zarówno z rozsądku, jak i przez współczucie - starała się zrazu zjednać chłopca, nie czyniąc różnicy między nim a własnymi dziećmi. Wrychle spostrzegła, że nie zda się to na nic. Nie ufał jej, a nienawidził jej dzieci, we wszystkim różny od nich, począwszy od czarnych kędziorów i smagłej cery, robił wrażenie kruczego pisklęcia, które znalazło się w gołębim gnieździe. Wiedział widocznie, że tu nie jego miejsce, i unikał rodzeństwa, Emnilda czuła jednak, że nie dlatego iż - najstarszy wiekiem - nie może brać udziału w ich zabawach. Gdy czasem schwytała spojrzenie jego ciemnych oczu, na dnie ich płonęła nienawiść, którą i dzieci musiały wyczuwać, zachowywały się bowiem przy nim jak ptactwo w obecności drapieżnika. Księżna była niemal pewna, że kiedyś syn jej, jak ninie mąż, stoczyć będzie musiał z przyrodnim walkę, i lękała się o jej wynik. A już teraz obawiała się zostawić dzieci pod nieobecność starszych i sprawa ta stała się dla niej źródłem dodatkowego niepokoju.

Odmiana, która wkrótce nastąpiła, pozwoliła jej jednak o tej sprawie zapomnieć. Z początkiem słot pierwszej jesieni jej pobytu na dworcu zjawił się pod bramą stary włodarz Jaskotela. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Biegan, znając go, nie chce mu otworzyć. Zapytany, po co przybył, oznajmił, że w chacie sokolnika o parę mil od dworca przebywa stryjna gospodarza a matka Jaskotela, wraz z synową i wnukami. Stara Zbisława, która z dawna słabowała na nogi, teraz zaniemogła tak, że dźwignąć się nie zdoła o własnej sile, i w nędznej chacie, bez wygód i starunku, nie przetrzyma zimy. Młoda pani przeto przysłała go, by zapowiedział ich przybycie i przygotował co trzeba.

Mimo mężowskiego zakazu Emnildzie nie zdało się możliwe odmówić schronienia chorej stryjnie gospodarza, u którego sama była w gościnie, ni najbliższej rodzinie zasłużonego druha jej męża, pozbawionej własnego dachu nad głową przez wojenne wypadki, gdy dworzec dość był obszerny i zasobny, by przechować ich i wyżywić. Rada nawet była podzielić się troską i myślami z

niewiastą, która w podobnym jak ona znalazła się położeniu.

Nazajutrz pod wieczór rozszczekały się psy i przez rozkisłą już groblę wtoczyły się na dziedziniec dwa wozy ku uciesze dzieci, które, rade każdej odmianie, wybiegły patrzeć na nowo przybyłych. Nawet Bezprym z zaciekawieniem patrzył z dala na dwóch wyrostków, którzy pomagali znosić toboły do izb. Starsi synowie Jaskotela, Skarbek i Michał, weseli, ruchliwi i przedsiębiorczy, ściągali na siebie uwagę dzieci.

Od ich przybycia Emnildzie zdało się, że czas szybciej popłynął. Nawet Bezprym jakby się rozruszał, znalazłszy rówieśników, i przestał budzić niepokój księżny. Bezprym chciał rej wodzić, dając im odczuć wyższość swego stanu. Chłopcy zrazu ustępowali, od dzieciństwa świadomi, że przeznaczeniem ich służyć młodemu panu. Ale dziki i ponury wyrostek drażnił nowych towarzyszy i często dochodziło do kłótni a nawet bójek. Ponieważ jednak sprawy swe załatwiali między sobą i nie skarżył się nikt, Emnmilda przestała się tym zajmować, zwłaszcza że wkrótce chłopcy przyczepili się do bobrowników i wraz z nimi na całe dni znikali z dworca. Zaradni i tędzy, nie potrzebowali opieki i nikt się też o nich nie troszczył, nawet gdy zdarzyło się, że na noc nie wracali do domu, a poznawszy okolicę, na własną rękę jęli podejmować łowieckie wyprawy. Nie były one całkiem bezpieczne, księżna jednak sądziła, że nie jej rzeczą było zakazywać włóczęgi, a towarzystwo rówieśników i zajęcie dobrze mogło wpłynąć na ponure usposobienie Bezpryma.

Sama natomiast nie zyskała powiernicy swych trosk i myśli we Wrocisławie. Bez wezwania nie zjawiała się, gdy przyszła, była milcząca i zamknięta w sobie. Emnilda starała się ją spoufalić, mówiąc o swych troskach, obawach i nadziejach. Wrochna słuchała, ale nie pożaliła się nigdy, choć księżna wiedziała, że lata już jest samotna, doglądanie zaś niemal bezwładnej świekry przykre jest i wyczerpujące, a stan najmłodszego synka budzić musi jej obawy. Wątły był, a od przybycia do dworca wyraźnie niknąć zaczął. W szczupłej twarzyczce pozostały jeno wielkie i smutne oczy, po nocach, gdy cisza zapanowała na dworcu, Emnilda słyszała jego kaszel. Dziwiła się nawet spokojowi Wrochny, poczytując go za obojętność, ale wkrótce przekonała się, że są to jeno pozory. Gdy raz użaliła się nad nią, że tak długo czeka już na męża, gdy jej samej nieraz brak cierpliwości, Wrochna odparła:

- Ja nie czekam.

Powiedziała to spokojnie, ale księżna zrozumiała, iż mówi przez nią gorycz osamotnienia.

- Taka już dola małżonek wojowników - rzekła z westchnieniem. - I ich nielekka, wciąż z dala od domu i rodziny, wśród trudów i niebezpieczeństw.

- Sami ją wybierają, tedy winna im być lekka.

Emnilda zamyśliła się.

- Wiem ci ja, czy wybierają? Małżonek mój miłuje mnie - księżna zarumieniła się. - Widzę, jak ciężko mu rozstawać się, jak rad wraca, nawet gdy jeno parę dni zabawi na łowach. Z dziećmi się zabawia jak rówieśnik, uczty miłuje, z towarzyszami i pieśnią, szczęśliwy jest doma. A rzuca to wszystko, widno coś ci więcej ma na celu niźli własne szczęście, a nawet nasze. Ale wiem, że gdyby inny był, może bym go tak nie miłowała. Trudno zresztą męża zrozumieć niewieście, jeno zda mi się, że nie lza im, jak nam, sercem się rządzić. Gdyby cieść mój pod koniec żywota nie był się nim powodował, nie ostawiłby kraju w rosterce na łup, a ludu w obcym jarzmie.

- Może i mężowi trudno zrozumieć niewiastę. Ale siebie winni rozumieć.

Mój wojnę miłuje; sam mi rzekł, że dla wojownika najlepiej nie mieć domu ni rodziny. Tedy po co mnie brał?

- Czasem i słowa trudno zrozumieć. Gdy tęsknica żre, wtedy może zda się lepiej nie mieć nic swojego. Człek chciałby serce wyrwać i cisnąć, by nie bolało.

Wrochna zaśmiała się z przymusem.

- Prawiście, miłościwa pani. Wyrwać i cisnąć, by nie bolało.

Emnilda zadumała się. Po chwili milczenia podjęła.

- Gdy się serce w człeku obudzi, widzi mu się, że zawżdy wiosna będzie.

Ale życie płynie, przychodzą dziatki. Troska i pociecha. Jest serce o co zaczepić, one nam potrzebne, a my im.

- Synowie mężom potrzebni, by utrzymać ród. Dwóch starczyłoby. Trzeciego mój nawet dobrze nie obejrzał, gdy po leciech powrócił. Gdy wróci znowu, może i nie pomiarkuje, że go nie ma. Niepotrzebny mu był, a starszym jam już niepotrzebna. Radzą sobie sami, czekają jeno, by z domu wyfrunąć.

Zdało się księżnie, że w głosie Wrochny słyszy hamowany szloch. Ale oczy jej pozostały suche, a twarz surowa i twarda. Widno nie czekała współczucia, nie wróciły też więcej do tych spraw.

Taka sama była, gdy pod koniec drugiej zimy pochowała małego Jaskotela na skłonie wału za częstokołem. Gdy wiosenne roztopy zalały mogiłkę, ni śladu nie zostało po dziecku, na pozór także i w matczynym sercu, bo nigdy ni słowem go nie wspomniała. Niewiasty mówiły zresztą ze sobą mało, a widywały się rzadko, bo stara Zbisława też zdała się dojrzewać do mogiły i Wrochna niemal stale przy niej przesiadywała. Księżna sądziła, że może przed świekrą się wywnętrza, ale myliła się. Dni nieraz mijały, a one jeno parę obojętnych słów zamieniły między sobą.

Ale i bez słów doświadczona niewiasta wiedziała, co się dzieje w sercu synowej. I jej samej ciężko było przyjmować pełne poświęcenia posługi od Wrochny, w której wyczuwała żal do siebie. Pewna jednak była, iż powiedziała to, co powiedzieć powinna, i nie jej wina, że Jaskotel wyjechał. Lepiej byłoby, gdyby był wcale nie wracał, i lepiej, gdyby pomówić o tym można. Ale Wrochna zacięła się w milczeniu, w którym był bunt przeciw całemu światu. Słowami uśmierzyć się nie da.

Po śmierci małego, którą Zbisława boleśnie odczuła, sądziła, że Wrochna mówić zechce i przełamie się wzniesiony między nimi mur milczenia. Ale Wrochna, jak zwykle bez słowa, jęła się wieczorem obrządzania świekry, jakby nic nie zaszło. Gdy skończyła, usiadła przy łożu i twarz zakryła dłońmi. Stara długo patrzyła w milczeniu na jej pochyloną głowę. Przy niepewnym świetle kaganka zdało jej się, że ujrzała jakby iskierkę, która wysunęła się spod dłoni Wrochny i zaraz zgasła. Powiedziała cicho:

- Wypłacz się.

Wrochna niechętnym ruchem podniosła głowę i odparła:

- Zmęczona jestem. Samiście mi ongi rzekli, że niczego nie wypłaczę. Nie wypłakałam.

- Tedy idź, legnij. Dość nocy nie spałaś. Nic gorszego na urodę jak czuwanie.

- I z urody mi nic - odparła Wrochna szorstko.

Stara westchnęła.

- Wiem ci ja, co to czekanie, gdy czas jakoby w miejscu stanął. Ale obejrzeć się w tył, to jeno chwila... jako i cały żywot. - Gdy Wrochna nic nie odrzekła, Zbisława podjęła:

- Wiem, że i do mnie żal masz, iżem Jaskotelowi jechać kazała. Próżno bym mówiła, że dla waszego to dobra. Nie dla mojego, bo ciężko mi żegnać się ze światem, synów nie pobłogosławiwszy. Ty doczekasz Jaskotela, ja już nie.

Sądziła, że Wrochna zaprzeczy, ale młoda niewiasta siedziała z twarzą zaciętą, patrząc na swe dłonie. Stara rzekła ostrzej:

- Spać idź. Ciężej mi przyjmować twoje usługi, niż tobie je świadczyć.

Skoro już nie będą mi potrzebne.

- Gdy wam nie będę potrzebna - odparła Wrochna głucho - nie będę potrzebna nikomu.

- Gadasz, czego nie myślisz. Zali Jaskotel z dobrej woli wyjechał, z drogi nawet nie wypocząwszy? Zali jego wina, że się sprawy przeciągają? Nie najemnik on, by cisnąć mógł wodza, gdy zrok wyjdzie, ni niewolnik, któremu za jedno, kto panem. Wierność winien książęciu i wierność sobie.

- Jeno nie mnie! - wybuchnęła Wrochna niespodziewanie. - On paliców nie gryzie po nocach. Nie on żywie jako mnich, jeno ja. Gorzej - bo mniszki po dzieciach płakać nie muszą...

Zdawało się Zbisławie, że Wrochna płaczem wybuchnie, że przełamie się w niej zapieczony żal. Ale po chwili rzekła spokojnie:

- Legnę tutaj. Będzie wam czego trzeba, zawołajcie.

Nie rozdziewając się, zaścieliła ławę, zdmuchnęła kaganek i położyła się.

Izbę zaległa cisza i ciemność. Ale Zbisława wiedziała, że Wrochna nie śpi.

Gorzej z nią, niż sądziła.

Choć Mieszko wyprawę gotował w najgłębszej tajemnmicy, jeno silny oddział jezdnych ruszył z Gniezna kierując się na południe, doniesiono o tym Jaskotelowi. Trudno było odgadnąć, jaki cel ma wyprawa, a należało wiedzieć. Jaskotel najchętniej sam by się tym zajął, paliła go bowiem niecierpliwość. Ale gdy każdego niemal dnia spodziewał się rozkazu uderzenia, nie mógł na dłużej opuszczać Poznania ni rozpraszać zgromadzonych sił, by stwierdzić, co mogło być celem podjazdu. Sprawa wymagała zarówno rozwagi, jak i pośpiechu. Gdy omawiał ją z bratem, Michał powiedział:

- Jasne, że ty ruszyć nie możesz. Ale mogę ja. Już mi tu dziewki i kości obrzydły, radem się przewietrzyć. Daj z dziesięciu sprawnych chłopa, to ułowię kogoś, kto rzeknie, dokąd im droga.

Jaskotel zamyślił się.

- Coś ci więcej musi być w sprawie - powiedział - niźli ściągnięcie danin lubo postraszenie zbuntowanych. I Odzie każdy miecz tu będzie potrzebny, gdy Bolesław nadciągnie, a skoro go patrzyć. Żeby już raz koniec był - westchnął - mógłby człek o własnych sprawach pomyśleć. - Myślał o nich widocznie, bo dodał:

- Chłopaki podróść musieli, najbardziej ów malec. Anibym go nie poznał i dręczy mnie, że

przypomnieć nie mogę. A macierz nie wiada, zali żywie jeszcze. Śniło mi się źle. Do licha z takową wojną, co się wlecze jako smoła. Żeby się Bolko na Mazowsze nie zapędzał, dawno mógł koniec być i siedzielibyśmy doma.

Michał zaśmiał się.

- Starzejesz się. Odkąd to doma chcesz siedzieć? Samżeś prawił, że kwoka na jajcach ma siedzieć, a kogut po dworcu biegać i z innymi się czubić. A chciałeś, mogłeś siedzieć, skoro ci książę zwolili.

- Mogłem i nie mogłem. Gorzej, że Wrochna może myśli, iże mogłem. Żeby nie Stoigniew, byłbym skoczył do nich, gdyby spokój był. Dobrze mu gadać, skoro sam nie ma nikogo. Trzeba było choć wieści przesłać. Teraz nie pora. Wiesz co - ożywił się - chcesz jechać, to jedź. Weźmij ze dwudziestu luda, a bacz, byś w biedę nie popadł, bo podstęp może być lub zasadzka. Gdybyś się ku Babimostowi zapędził, skocz do moich.

- Wżdy Wrochna nie na mnie czeka - zaśmiał się Michał. - Przez posły wilk nie tyje.

- Głupiś! Nie to mi w myśli. Pod czterdziestkę mi już. A ty jeno zawżdy o tym, choć takoż pół kopy ci mija. Ja w twoich leciech dawno ojcem byłem. Dobrze ci się śmiać, gdyś wolny jak ptak. Mógłbyś się ustatkować.

- Nawet chciałem, ale jakoż? Ojcem to może i ja jestem. Gdy człek młokosem był, coraz inną kobyłkę objeżdżać lubił. Ale rozumiem ciebie, ja takoż ninie najradziej mojej jabłkowitej siwki zażywam, choć niemłoda już. A źróbka się po niej dochować nie mogę, bo ani na źrebnej jeździć, ani ją komu ostawić, kiedy nie wiada, co jutro.

- Głupiś - powtórzył Jaskotel. - Co mi o kobyle prawisz! Ani wiesz, co to troska o małżonkę i dziatki.

- Chciałem jeno rzec, że człek się nawet do kobyły przywiąże. Ale też bym wolał do niewiasty. Zecniło się z gałęzi na gałąź skakać.

Jaskotel ręką machnął.

- Co tam! Ninie o czym innym nam myśleć. Wybierz sobie ludzi, a pospieszaj. Do bitki się nie bierz, a wieść daj, jeno pomiarkujesz, w czym sprawa.

Michał już drugiego dnia pomiarkował, że nie odciągnięcie sił z Poznania było celem wyprawy. Trudno było zatrzeć ślad ponad stu koni, choć ścigani unikali osad i grodów, widocznie chcąc utrzymać przedsięwzięcie w tajemnicy. Zapewne jakieś ważne poselstwo do Czech lub Bawarii, kierunek pochodu zdał się bowiem wskazywać na Śląsk. Południowa jego część zajęta była przez Czechów. Jeśli przedsięwzięcie ma być udaremnione, należy to uczynić, zanim znajdą się poza zasięgiem władzy Bolesława. Jak to uczynić, Michał na razie nie myślał, gnał jeno co sił w koniach, by ściganych wyprzedzić. Potem pomyśli, jak im zgotować zasadzkę.

Ślady były coraz świeższe, zdziwiło jednak Michała, że - zamiast od wschodu obejść bagna Gniłej Obry - kierują się bardziej ku zachodowi. Zatarł ręce: znał okolicę i wiedział, że przeprawa przez rzekę przy wezbranych jeszcze wodach możliwa jest tylko brodem koło Kargowej. Porzucił przeto ślad, nocą wyprzedził ściganych, a do grodu w Kopanicy pchnął posłańca z zawiadomieniem o nadciąganiu nieprzyjacielskiego oddziału i prośbą, by w ślad za nim wysłano ludzi do brodu, gdzie zamierza przygotować zasadzkę. Brzegi rzeki, nawet suchą porą podmokłe, teraz rozkisłe były tak, że

sam Michał z trudem się przeprawił. Jeśli ścigani nie zauważą zasadzki, noga ujść nie powinna. Michał przygotował ją starannie, wystawił straże, po czym ludziom, znużonym nocnym pochodem, pozwolił spocząć i sam się zdrzemnął.

Obudził go jakiś ruch i głosy. Zerwał się, sądząc, że oczekiwani nadchodzą, ale jeno ktoś wołał z drugiego brzegu, a straż mu odpowiadała. Zeźlony, gotów ubić strażników, którym ciszę nakazał, nim dobiegł, zrozumiał z kilku posłyszanych słów, że zasadzka chybiła. Na przeciwległym brzegu stali dwaj wojacy, wysłani z Kopanicy z wieścią, że ścigani, nie przechodząc koło grodu, wykręcili na zachód. Michał zaklął siarczyście. Teraz już nic nie rozumiał. Gdyby poselstwo miało iść do Niemiec, krótsza i bezpieczniejsza była droga na Trzciel lub Zbąszyń. Teraz najbliższy zdatny do użytku bród mieliby w Krośnie, pilnie strzeżony, a po drodze szereg grodów, które trudno wyminąć niepostrzeżenie. Widno nie poselstwo jest celem podjazdu. Głowić się darmo. Michał przeprawił się z powrotem i ruszył w ślad. Stracony dzień trudno nadrobić. Tymczasem nieprzyjaciel może dopiąć tego, co zamierzył.

Xvi

Doczekawszy suchej pory, Stoigniew wyruszył z Czerska, kierując się na Grodziec i Wolborz. Kraj aż po Wartę był już w ręku Bolesława, który wciąż jeszcze stał pod Łowiczem, czekając, aż zgromadzone tam siły głód zmusi do poddania. Mogło to nastąpić każdej chwili, a wtedy sprawy szybko już się potoczą. Stoigniew przeto przyspieszył pochód, by znaleźć się w Poznaniu, zanim przyjdzie do rozstrzygnięcia. Objazd zajętego jeszcze przez wojska Ody kraju zająłby zbyt wiele czasu, brody i przeprawy przez Wartę pilnie były strzeżone, przeprawił się zatem nocą wpław poniżej Sieradza i ciągnął wprost na zachód bezdrożami, na noclegi stając po lasach. Konieczność zachowania ostrożności hamowała jego podróż, przeprawa przez równie strzeżoną Prosnę też zajęła kęs czasu, natomiast gdy ominął gród w Czestramie, nie było niebezpieczenstwa natknięcia się na podjazdy nieprzyjacielskie. Dalej już zaczynał się kraj słabo osiadły, pełen bagien i jezior o grząskich brzegach, z imienia jeno podległy władzom Ody. Toteż Stoigniew nie zwrócił baczniejszej uwagi na ślady sporego oddziału konnych, który przeciął mu drogę. Minął pasmo jezior przejściem między Zbąszyńskim i Chobienickim i skręcił ku południowi. Do celu podróży było już niedaleko i Stoigniew, nie żałując koni, pognał, by przed nocą dotrzeć na miejsce. Słońce nie zaszło jeszcze, gdy opowiedział się przy bramie zdziwionemu przybyciem niespodziewanych gości włodarzowi i wjechał na podworzec.

Nie zdążył jeszcze z konia zsiąść, gdy wybiegła Emnilda z dziećmi, które, poznawszy krewniaka, narobiły takiej wrzawy, że własnych słów dosłyszeć nie było można. Ale księżna i bez nich domyśliła się, że nadchodzi kres jej rozłąki z mężem. Spragniona jednak była wieści o nim i o wszystkim, co się dzieje w kraju. Wcześniej też niż zwykle ułożyła dzieci do snu, by spokojnie pogwarzyć ze swojakiem.

Stoigniew lubił Emnildę za jej prostotę i szczerą życzliwość dla ludzi, cenił ją za wpływ, jaki wywierała na małżonka, nie tylko nie chlubiąc się nim, zwyczajem próżnych i pewnych swej urody niewiast, ale ukrywając go przed ludźmi. Może zresztą sama nie zdawała sobie w pełni sprawy z zasięgu tego wpływu, ale Stoigniew, znając Bolesława od niemowlęcia, jego porywczość i

skłonność do okrucieństwa i rozwiązłości, sam widział to najlepiej. W księżnej też spodziewał się zyskać sprzymierzeńca swych szerokich zamierzeń. Bolesław z usposobienia i nawyku sile jeno mógł zawierzać, nikogo nad sobą nie znosił, trudno go będzie nakłonić do szczerego współdziałania z zamierzeniami młodego Ottona. Przedwcześnie było mówić o tym z Emnildą. Gdy więc wypytała do syta o małżonka, Stoigniew opowiadać zaczął o swym poselstwie na Ruś, wspaniałościach kijowskiego dworu i korzyści, jaką w trudnym położeniu przyniosło przymierze i pokój z Włodzimierzem. Gdy jednak wspomniał o zamierzonym związku, który ma je umocnić, Emnilda posmutniała. Stoigniew zrozumiał, że myślą wybiegła w przyszłość, gdy jej wesoła i beztroska gromadka rozejdzie się po świecie, między obcych ludzi, na niepewne losy.

- Krótkie jest szczęście dzieciństwa i trudno przewidzieć przyszłość - powiedział zamyślony. - Ale nie żywie darmo, kto za własną szczęśliwość powszechne dobro kupuje. Nie wiem, jak by się ninie sprawy obróciły, gdyby nie przyjaźń z Rusią.

- Nie buntuję się - odparła - małżonek mój też dziatki nasze miłuje i wierę, że rad by im nieba przychylić. I wiem, że Bóg większych ofiar od tych wymaga, którym losy wielu zawierzył. On jeno przyszłość zna. Lękam się jeno, by przez związek ten wojny miast pokoju nie kupić. Włodzimierz synów ma dwunastu z czterech małżonek. W każdym pokoleniu Ruś się krwią jednoczy. A u nas? Trzech jeno przyrodnich po cieściu mym ostało, a trzeci już rok krew się leje. Gdy patrzę na Bezpryma, już teraz wiem, że w następnym pokoleniu poleje się znowu.

- Mniemam, że Bolesław z własnego doświadczenia skorzysta. Państwo nie włość, by je dzielić.

- Nie wiem, co mój małżonek uczyni, i przedwcześnie myśleć, kogo na następcę wyznaczy. Ale choć dzieci to jeszcze, Mieszko nasz już dzisiaj wroga ma w przyrodnim.

- Przedwcześnie i o tym myśleć.

- Jednak krzywda rodzi zło. Samiście rzekli, że tyle człeku szczęścia, co w dzieciństwie. A Bezprymowi je odebrano. Nie wiem, kto winien, wiem - kogo on winić będzie. Próbowałam go przejednać, ale któż dziecku matkę zastąpi? Na to za późno już.

- Trapić się czas jeszcze. Świat ku jakowejś jedności zmierza, dotąd krew bywa spoiwem. Póki narody wzajem się zżerają, władza a siła to jedno, a walka jej probierzem. Ale może idzie taki czas, że zapanuje sprawiedliwość i prawo.

- Bogdaj choć u nas zapanowały - westchnęła Emnilda - by ludzie przestali kryć się po lasach jak wilcy, wrócili pod własne dachy, do niewiast swych i dziatek.

- Może wrychle już. Bolesław pewny swego być musi, skoro mi po was jechać zlecił. Zbierajcie się.

- Ja bym jechać mogła choćby zaraz. Ale bawią tu macierz i małżonka Jaskotela. Dzieliłyśmy wygnanie, zabrać by je przystało, a Zbisława słabuje. Z Wrochną zasię od śmierci małego Jaskotela niedobrze jest. Nijak ją tu ostawić.

Stoigniew zaskoczony był wiadomością, która nie była mu na rękę. Podróż z chorą niewiastą musiała być powolniejsza. Jednak ze względu na Emnildę i Jaskotela odmawiać było trudno. Postanowił rankiem rozmówić się z niewiastami, by pomiarkować, co można i należy uczynić.

Gdy ujrzał Zbisławę, zrozumiał, że chora niewiasta gaśnie. W spokoju może pociągnąć jakiś czas, zabrać ją w podróż to jeno po to, by pogrześć gdzieś w drodze. Sama widocznie zdawała sobie z tego sprawę, bo gdy mówić zaczął o wyjeździe, przerwała mu:

- Chciałabym spocząć koło małżonka mego. Ale los widno tak zrządził, że tu ostanę, przy moim

małym wnęku. Jeno Wrochnę stąd zabierzcie.

- Jakoż wam samej ostać, bez niewieściej posługi? Niewiastki to obowiązek koło chorej świekry mieć staranie.

- To nasza sprawa. Nie mówcie jej tego. Księżna mi jedną ze swoich niewiast ostawić może, a potem byle babę przysłać, by mnie umyła do mogiły.

Nie chciał pytać o przyczynę jej postanowienia i gdy weszła Wrocisława, powitał ją oznajmieniem, że ją wraz z księżną zabierze do Poznania. Ucięła krótko:

- Dzięki wam za gotowość, ale ja tu ostanę.

Zdziwił się, nie chciał się jednak mieszać do spraw, których nie rozumiał, zrozumiał natomiast spojrzenie starej. Powiedział:

- Słusznie, że chorej świekry porzucić nie chcecie. Sama was jednak zwalnia, a nie ostanie bez opieki. Nieprędko zasię znowu sposobność będzie zabrania was z tego odludzia.

- Nie spieszno mi - odparła. - Moja to rzecz, dlaczego chcę ostać.

Nie czuł się urażony szorstkim odezwaniem. Nie bez przyczyny młodej niewieście nie spieszno do małżonka po czterech latach rozłąki. Ale dopytywać ni przekonywać nie widział możności. Pożegnał się i wyszedł.

Milczenie przerwała Zbisława:

- Wiem, że nie dla mnie chcesz ostać. Tedy dla kogo i po co? Wyrostkom brak męskiej ręki, jako zwierzaki w boru żywią. Choćby dla nich wyjechać winnaś.

- Rodzica to dzieło o postrzyżonych się troskać. Nie ja ich zbawiłam męskiej ręki. Niechaj ich bierze Stoigniew, radzi pojadą, ani się obejrzawszy.

- Co prawisz! Obyczaj obyczajem, a twoi są i twoi ostaną. I ja mam synów, samotnie umierać mi przyjdzie, a sama Jaskotelowi jechać kazałam, bo niesława mężowi doma siedzieć, gdy inni walczą.

- Gdy inni doma siedzieli, też go nie było.

- Do mnie miej żal, bo i wtedy ja mu wyjechać kazałam.

- A raniej? Ale nie hańba mężowi opuścić niewiastę. Czternaście godów zwę się małżonką Jaskotela, a ile nią byłam? Tyle, by synów urodzić, którzy odejdą, skoro od ziemi odrosną. Jeno tego ostatniego nikt mi nie odbierze, bo nigdy postrzyżony nie będzie. Samotnie go urodziłam i samotnie pogrzebałam, on jeden mój, przy nim ostanę.

Zbisława umilkła, nie było co odrzec. Pamiętała, że Jaskotel wiele przeciw małżonce zawinił. Płacić zasię mu przyjdzie teraz, gdy nie winien, ale jeno on sam może rozżaloną i zgorzkniałą przejednać. Może lepiej, by chłopcy wyjechali. Gdy przeboleje zmarłego, a zatęskni za żywymi, łacniej się sprawy między małżonkami uładzą. Odezwała się:

- Jako chcesz. Chłopaki iście lepiej by wyjechali. Nawet na wojnę Jaskotel zabrać ich może, tęgie są i rosłe. Sam niewiela starszy był, gdy pod Cydzyną stawał przy boku swego rodzica i żywot mu ocalił. Tu się zmarnują.

Myślała, że Wrochna zmieni postanowienie, ale ta odparła:

- Niechaj jadą. Mało ich widuję, ani wiem, gdzie ninie są.

Na dworcu też nie wiedziano nic o chłopcach, nie było także Bezpryna, ale nie pierwszy to raz przepadali, jednak na noc wracali zazwyczaj. Gotowano się przeto do wyjazdu; gdy wozy stały już załadowane, jeno napoje i naobroczone konie zaprzęgać, księżna wysłała bobrownika Borzynę, by chłopców wyszukał i sprowadził. Liczyła już godziny do wyjazdu i niecierpliwiła ją zwłoka. Gdy południe minęło i bobrownik nie wracał, zaczęła się niepokoić. Stoigniew niecierpliwił się również. Gdy dzień miał się ku schyłkowi, konie kazał odprowadzić do stajen i poszedł do księżny oznajmić, że wyjazd odkłada do rana. Zachód chmurny był, miało się na deszcz, a przeprawa przez bagna, leżące na drodze do Babimostu, była uciążliwa, w ciemności nawet niebezpieczna.

Dzieci, przybrane już do drogi, zaczęły się przeciwić, gdy matka kazała im udać się na spoczynek. Noc już zapadła, nim zdołała je uspokoić zapewnieniem, że rankiem wyjadą, choć sama wcale tego nie była pewna. Niepokój jej wzrastał. Jeżeli chłopców spotkała przygoda, nie będzie można Wrochny pozostawić samej. Skoro Borzyna nie wraca, widno znalazł ich, jeno wrócić z nimi nie może.

Stoigniew postanowił wyjechać rankiem, choćby sam. Za ważniejszą uważał obecność swą w Poznaniu przed zakończeniem walki niż towarzyszenie Emnildzie w podróży, która zdała się niczym nie grozić.

Przeto gdy księżna oznajmiła mu, że nie wyjedzie, póki się sprawa nie wyjaśni, odparł:

- Ja jechać muszę, ale ostawię wam ludzi do pomocy i osłony.

- Nie taję, że wolałabym, byście sami ostali choć przez jutro. Jeno rozednieje, wyślę ludzi z psami, by zaginionych szukali. W głowę zachodzę, co się stać mogło.

- Darmo się domyślać. Przez jutro ostanę i swoich ludzi wyślę na poszukiwania.

- Dzięki wam. Nie spodziewam się już, byśmy społem wyjechali, ale choć małżonka mego uwiadomicie, skąd zwłoka. I jakoś pewniej się przy was czuję - uśmiechnęła się słabo - bo wyznam, że ponad miarę niepokoi mnie ta sprawa.

Stoigniewa niecierpliwiła tylko, spieszno mu było zaznajomić się z biegiem wypadków w przełomowym okresie. Gdy jednak został sam, to, co uważał za samowolę i rozhukanie wyrostków, w jakiś sposób wiązać się jęło w jego umyśle z oddziałem jezdnych, który przeciął mu drogę. Głowił się, kto i po co wysyłać mógł spory hufiec w bagnisty i pozbawiony osad i grodów zakątek kraju. Pytanie to zajęło go tak, że nie mógł usnąć. Wstał i wyszedł na dziedziniec.

Siąpił drobny deszcz, noc była ciemna i byłby potrącił jakiegoś stojącego człowieka, gdyby nie ciche warczenie psa. Poznał po głosie Biegana, gdy ten, widno również poznawszy wojewodę, odezwał się:

- Pies obcego czuje, wasza dostojność.

Stali jakiś czas w milczeniu, które szeptem przerwał Stoigniew:

- Może czuje zwierza?

- Nie - odparł Biegan. - Zwierz przyjdzie i pójdzie. Pies zaś od wieczora nosem kręci ku północy. Cichajcie!

Jednostajny szmer kropel deszczu od czasu do czasu niemal niedosłyszalnie mącił jakiś głos,

jakby chlupot lub cmoknięcie. Dochodził od zachodu. Podeszli do wału i nasłuchiwali. Odgłosy stały się wyraźniejsze, ktoś szedł przez bagno.

- Borzyna wraca - szepnął Biegan. Nie czekając na zapytanie, dodał: - Kromie niego nikt w takową noc nie ważyłby się iść przez moczar.

Bez słów jasne było, że jeśli wraca przez bagno, to dlatego, że groblą przejść nie może. Czekali w milczeniu. Za chwilę cień nadchodzącego ukazał się na jaśniejszym tle otwartej wody. Przepłynął fosę i wspiął się na wał. Biegan bez słowa pomógł mu przeleźć przez częstokół. Zwracając się do wojewody, powiedział:

- Idę wojów budzić.

Borzyna krótko opowiedział, co zaszło. Szukał chłopców nad strugą koło żeremi bobrowych, które zwykli podpatrywać. W zagajniku nad bobrowym jeziorkiem wdepnął na przytajony zbrojny hufiec. Policzyć ludzi nie mógł w krzach, widział jednak wśród nich Bezpryma. Pozostałych dwóch chłopców nie dostrzegł, widno umknęli, jeśli ich nie ubito. Sam ledwo uszedł, bo go spostrzeżono, ale chlupnął w wodę i przepłynąwszy nurkiem jeziorko, bagnami dotarł do dworca.

Stoigniew niemal pewny był już, co na celu miał podjazd, którego ślad napotkał. Pojmanie rodziny Bolesława związałoby mu ręce w rozstrzygającej chwili, mogło udaremnić poniesione już trudy i ofiary. Kazał Borzynie przebrać się i pożywić, po czym dołączyć do gromadzących się już przy bramie. Każde ręce były ważne, gdy przeciwnik ma dziesięć par na jedną. Gdyby napaść nastąpiła niespodzianie, dworzec nie broniłby się ni chwili. Jedynego dostępu przez groblę jakiś czas bronić można, póki wróg kładek przez bagna nie położy.

Wojewoda po cichu rozmawiał z Bieganem. Stary radził zrzucić mostek, leżący w zasięgu pocisków. Odbudowie będzie można przeszkadzać. Zapytany, skąd najrychlej można by pomoc sprowadzić, odparł:

- Do Babimostu nie ma ni dwóch mil, jeno sam Borzyna iść może, ale dziś nie wydoli, droga ciężka. We dwa lub trzy dni mogliby tu być, ale wszędy po gródkach tyle co na straże ludzi ostało, reszta pociągnęła do Poznania.

Stoigniew zasępił się. Tak czy inak, o pomoc słać trzeba, a tymczasem przeciągać obronę. Wysłał dwóch ludzi z toporami, by zburzyli mostek. Uderzenia spodziewał się przed świtem. Deszcz nacichał, z bagien jęła wstawać mgła, ciemność zszarzała, ale widoczność zmniejszyła się jeszcze, jeno uszom można było zawierzyć. Niemniej Stoigniew kazał ustawić beczkę ze smołą na bramie i, zleciwszy zupełną ciszę, sam skierował się do mieszkalnego budynku. Trzeba księżnę uwiadomić, co zagraża.

Emnilda nie spała, ruch na dworcu, choć cichy, zwrócił jej uwagę i zbierała się właśnie, gdy nadszedł Stoigniew. Wysłuchała wiadomości, nie okazując niepokoju, powiedziała nawet:

- Wyrzucam sobie, że was zatrzymałam, gdy wam największe grozi niebezpieczeństwo. Źle się już stało, że Bezpryma ujęto, a biedaj Wrocisławie nowa zgryzota.

- O mnie się, pani, nie trapcie, bo żywym mnie nie dostaną. Los łaskawy był, że chłopaki wyszli, bo gdyby nie to, mogła nas napaść zaskoczyć, gorzej, gdyby w drodze. Dobrze się stało, żeście mnie zatrzymali, bo rąk ku obronie i tak zbyt mało. Ni sam bym sobie nie wybaczył, ni kniaź mnie tym bardziej...

Urwał, bo od bramy doleciał gwar, a potem wrzaski. Wypadł na pole i pobiegł ku bramie. Kłębiło się pod nią. W ciemności wyskoczył płomyk i rozszerzał się szybko, przesycając czerwonym światłem krąg mgły. Hałas niósł się po bagnie i odbijał od ściany lasu. Ludzie przy bramie pracowali ciężko, bijąc i spychając napastników, nad głowami świstały pociski, jakimi ci, którzy docisnąć się nie mogli, razić usiłowali obrońców, strzały jednak przeważnie przenosiły, gdyż lękali się zranić swoich. Obrońcy odpowiadali pociskami z rzadka, ale skuteczniej, bo na wąskiej grobli tłoczył się tłum. Niemniej i z nich dwóch już odpadło z walki, czas płynął, a napór nie folgował. Mgła pobielała i widać już było w niej kłębiące się cienie. Napastnicy rąbali bramę. Nie było wyboru i Stoigniew, narażając ją na podpalenie, skrzyknął ludzi, którzy, dźwignąwszy beczkę ze smołą, przerzucili ją przez blankę. Strumień płonącej smoły rozlał się szeroko, czarny dym zasłonił wszystko, ale rąbanie ustało natychmiast, natomiast rozległy się przeraźliwe wrzaski. Po chwili ucichły, tylko pod bramą ktoś jęczał.

Napad był odparty, Stoigniew wiedział jednak, że to dopiero początek. Bramę kazał okładać mokrymi szmatami, póki się smoła nie wypali, i ocierając uznojone czoło, liczył straty. Dwóch ludzi, jacy zburzyć mieli mostek, przepadło, drugich dwóch było rannych, dość lekko wprawdzie, ale wojewoda martwił się: jednym z nich był Borzyna, którego miał wysłać po pomoc. Gdy rozjaśniło się zupełnie i powiew z południa zegnał mgłę i dymy, widać było, jak pod lasem napastnicy walą drzewa, a na mostku czynią osłony od pocisków.

Pozostało jeno czekać, aż budujący kładki zbliżą się na tyle, by ich można razić z łuków. Tymczasem trzeba spocząć po nie spanej nocy i walce. Stoigniew pozostawił przy bramie straż, reszcie kazał pożywić się i spać.

Sam również udał się na spoczynek, ale mimo że znużony - nie mógł zasnąć. Wyrzucał sobie, że kazał walczyć Borzynie, przez co niepewna nadzieja na rychłą odsiecz zgasła. Jeden nieprzezorny krok, który spowodował, że strzała na oślep przez byle pachołka puszczona ugodziła w nogę nieznacznego człowieka, mógł pociągnąć za sobą skutki tak wielkie, że aż trudno uwierzyć. Nieważne było, że zbliża się kres życia Stoigniewa, bo żywy nie pójdzie w ręce Ody. Ale nie wątpił, że Bolesław każdą cenę zapłacić gotów, by odzyskać rodzinę, a ceną tą będzie uznanie i zabezpieczenie praw jej potomków. Rozdarte państwo przestanie być zaporą przeciw parciu Niemców, dzielnica młodszych Mieszkowiców będzie otwartą bramą, a Bolesław przestanie być brany w rachubę w szerokich planach Ottona, gdy nie zdoła wziąć na swe barki ciężaru spraw na północy wymarzonego Ottonowego państwa. Walczący już ostatnim tchem wróg wiedział, gdzie uderzyć, znalazł jedyną słabą stronę Bolesława.

Stoigniew zamyślił się ponuro. Widział jeszcze sposób, by ręce Bolesława pozostały wolne: kosztem utraty rodziny. O własnym życiu powziął postanowienie bez wahania, nie umiał na zimno powziąć postanowienia, by poświęcić Emnildę, która jest dobrym duchem małżonka, skazać na śmierć jej dzieci, z ufnością lgnące do krewniaka. Zerwał się, jakby uciec chciał od własnych myśli, ale rozum mówił mu, że takie czy inne postanowienie powziąć musi. Starał się myśleć trzeźwo, życie kilku ludzi niczym jest wobec losów narodu, a może i świata. Ale przyszłości nie da się przewidzieć, może ofiara będzie daremna? Mimo wewnętrznego oporu przemyśliwał sprawę do końca: jeśli wyda wyrok, będzie musiał sam go wykonać, nie może zdać tego na przypadek.

Z ulgą usłyszał gwar od strony bramy. Walka zwalnia go od powzięcia postanowienia, a póki go nie poweźmie, bronić winien powierzonych mu ludzi do ostatniego tchu.

Gdy wypadł na dziedziniec, zrozumiał, że zwielokrotniony pogłosem gwar dochodzi nie od bramy, lecz od strony lasu. Strażnicy stali spokojnie na wyżce i coś pokazywali nadbiegającym ludziom.

Hałas wywabił także Emnildę, która już z dala uśmiechała się do Stoigniewa. Na jej widok opuścił oczy i zagryzł wargi. Nie zauważyła tego, jasne jej oczy płomieniały wewnętrznym żarem, gdy powiedziała:

- Modliłam się, by nas Bóg ocalił lub zabrał. Widno chce nas ocalić.

Stoigniew odetchnął głęboko. Ucisk, który czuł w sercu, zelżał. Zawsze cenił tę niewiastę. Ale teraz dopiero zdołał pojąć całą jej wielkoduszność: nawet kosztem życia własnego i dzieci Emnilda nie chce być kulą u nogi swego małżonka. Uwierzył też w możliwość ocalenia, choć rozum mówił mu, że nadzieja na nie to jeszcze jedna iskra na wietrze. Ze sprawozdania strażników wynikało, że z nagła zamęt jakiś powstał pod lasem, wrzawa zdała się świadczyć o walce. Wśród oblegających nawet zajęci przy budowie kładek porzucili pracę. Ale trwało to jeno chwilę, głosy ucichły, roboty przy kładkach podjęto. Jeśli rzeczywiście zjawił się jakiś nieznaczny nawet podjazd, zaświtała nadzieja odsieczy.

Widocznie i napastnicy liczyli się z tym prawdopodobieństwem, bowiem wyraźnie przyśpieszono działania. Stoigniew zrozumiał, że teraz gra idzie o czas. Nie tracił też ni chwili. Gdy kierunek kładek wyraźnie już wskazywał miejsca po obu stronach bramy, gdzie należało oczekiwać uderzenia, kazał po wewnętrznej stronie wałów kopać głębokie doły, a z wyrzuconej ziemi wznieść w półkole wewnętrzny wał, jako dodatkową niespodziewaną przeszkodę na wypadek, gdyby napastnikom przez częstokół udało się wedrzeć.

Pracowano na wyścigi, bo i kładki wydłużały się szybko, w południe jednak Stoigniew kazał ludziom spocząć i pożywić się, widząc, że nieprzyjaciel przed nocą nie zdąży skończyć przygotowań do uderzenia w kilku miejscach, licząc się jednak z ponownym uderzeniem na bramę. Myślał o tym z troską. Drugi raz nie da się napastników ogniem zaskoczyć, smołę można ugasić ziemią lub piaskiem. Trudniej będzie zasypać płonący stos, broń to jednak obosieczna, gdyż wzrastało też niebezpieczeństwo podpalenia bramy i umocnień.

Nie miał jednak wyboru, a nie można było przerywać znużonym wojom koniecznego wypoczynku. Wojewoda udał się prosto do Emnildy z prośbą, by swym niewiastom kazała znosić ku bramie zapas drewna. Księżna, widząc przybladłą twarz i zaczerwienione od niewczasu oczy Stoigniewa, powiedziała:

- Wraz się wszyscy weźmiem do tego, a wy idźcie spocząć. Sama będę dawać baczenie i gdyby coś groziło, nie omieszkam was zbudzić. Bądźcie dobrej myśli - uśmiechnęła się. - W Bogu mam nadzieję, a rąk bodaj i dziecinnych dołożym.

Stoigniew nie podzielał jej otuchy. Leżąc już, obliczał czas potrzebny do nadejścia odsieczy. Z najbliżej leżącego Babimostu nie może nadążyć wcześniej niż nazajutrz pod wieczór. Rankiem oblegający ukończą kładki i bez wątpienia uderzą natychmiast. Na obronę samej bramy ludzi miał za mało, a znowu na pewno będą straty. Siłą woli zmusił się, by zasnąć. Najważniejsze - zachować własną sprawność ciała i umysłu.

O mroku zbudził go hałas dochodzący z lasu. I tym razem trwał krótko, wojewoda jednak odetchnął. Nieznany sprzymierzeniec, choć słaby widocznie, nie poniechał wroga. Natomiast

rzuciwszy okiem na kładki, zatroskał się. Nieprzyjaciel, pracując bez przeszkód, dawno już podsunął je pod zasięg pocisków, ale nie było komu ich miotać. Jeżeli nawet uda się przetrzymać noc, trudniej będzie jutrzejszy dzień.

Noc zaczęła się spokojnie, zapewne nieprzyjaciel w pierwszym uderzeniu poniósł znaczne straty, a pewny był, że rankiem i tak sprawy dokończy. Stoigniew omal podzielał to przewidywanie, zlecił jednak ludziom nadal umacniać zagrożone miejsca, dopiero koło północy, gdy w wybranych dołach ukazała się woda, nakazał spoczynek. Czuwało jeno dwóch strażników na bramie, a sam wojewoda, siadłszy koło nich, zadrzemywał, ile pozwolił ciągnący od bagien wilgotny chłód.

O świcie znowu obudziły go odgłosy walki, ale gęsta mgła nic widzieć nie pozwalała. Jeno ucichły, chlupot na bagnach zdradzał, że roboty przy kładkach podjęto na nowo. Gdy tylko w rzednącej mgle ukazały się cienie zajętych tą pracą, Stoigniew kazał szyć do nich z łuków. Choć napastnicy od pocisków ubezpieczali się pękami faszyny i odpowiadali pociskami, niejeden z nich ubył. Niemniej przygotowania do natarcia trwały nadal i koło południa, mimo coraz rosnących strat, oblegający dotarli kładkami do fosy i nosić zaczęli drabiny, mające służyć im za mostki.

Stoigniew jeszcze żywił nadzieję, że nieprzyjaciel poczeka do wieczora z przerzuceniem drabin, ale wróg widno postanowił skończyć bez względu na straty, gdyż na grobli wnet się zaroiło. Tym razem przy bramie było tylko sześciu obrońców, reszta pilnować musiała zagrożonych miejsc po obu jej stronach. Stoigniew pospiesznie podpalił beczkę ze smołą, zanim jednak rozgorzała, już od mostku zaświstały strzały, kilkudziesięciu napastników, niosąc przed sobą pęki faszyny, kopnęło się pod bramę.

Gdy reszta obrońców szyła z łuków w ciżbę, Stoigniew własną ręką miotać jął polana unurzane w płonącej smole, aż do chwili, gdy cała roztopiła się na tyle, by ją wylać było można. Kilku napastników zaczęło jednak odrzucać płonące drewna, reszta zaś pod osłoną tarcz rąbać jęła bramy. Nie było chwili do stracenia. Stoigniew z pomocą Biegana przerzucił beczkę na rąbiących. Przygotowani na to, odskoczyli w porę, a inni przypadli z workami piasku, by zasypywać płomień, ale nim zdołali to uczynić, obrońcy zrzucili na rozlaną smołę cały zapas drewna, które zajmowało się szybko, tak że przed czarnym dymem i żarem napastnicy zmuszeni byli odstąpić. Ale i obrońcy musieli odstąpić. Krztusząc się i dławiąc, okładać jęli bramę i blanki mokrymi szmatami, a Stoigniew, stanąwszy na wale, spojrzał w kierunku kładki. Przy fosie widać było napastników usiłujących przerzucić drabinę. Nadchodziła rozstrzygająca chwila.

Stoigniew rozejrzał się bezradnie. Jeśli odciągnie ludzi od bramy, nieprzyjaciel wkrótce zasypie płonący stos, a co gorzej - brama i częstokół mogą się zająć od płomieni. Nie wiadomo, do czego prędzej rąk przyłożyć. W tej chwili dostrzegł Emnildę, jak razem ze swymi niewiastami biegła ku bramie. Stoigniew poskoczył ku niej, widząc, że wspina się na wyżkę, nad którą bez przerwy szły pociski, i usiłował ją powstrzymać. Odpowiedziała spokojnie:

- Bóg niechaj rozstrzygnie, zali nas zgubić chce, lubo ocalić.

Jęła okładać bramę podawanymi jej szmatami. Stoigniew nie wątpił jednak, że sprawa już rozstrzygnięta. Nie miał nadziei wytrzymać do zachodu, nawet gdyby przyszła niespodziewana odsiecz. Kątem oka spostrzegł, jak z budynku wyszła Wrochna. Szła też ku bramie, nie spiesząc się, jakby nie słyszała świstu przelatujących nad nią strzał i nie widziała, jak niektóre, padające na kamienie podworca, krzeszą iskry lub suną, podskakując.

Nie zdążył krzyknąć, by przyspieszyła kroku, bo na grobli wrzaski, które przycichły chwilowo,

nagle wzmogły się znowu. Wspiął się na wał, gdzie dym był rzadszy, i spojrzał. Na grobli pod lasem kłębił się tłum, który parł w kierunku mostku. Zrazu wojewoda sądził, że to nieprzyjaciel napiera całą siłą, postanowiwszy zgnieść opór przewagą liczby, ale gdy wiatr zwiał zasłonę dymu, spostrzegł, że na grobli wre walka. Co chwila spadał ktoś w bagno, a kłębowisko zbliżało się szybko ku mostkowi. Pociski przestały świstać, runęła z trzaskiem poręcz, za nią posypało się kilka ciał i mrowie ludzkie przelewało się ku bramie. Teraz już można było rozróżnić poszczególnych ludzi i Stoigniew zrozumiał, że nieznany sprzymierzeniec, widząc, co się dzieje, postawił wszystko, by nadążyć oblężonym z pomocą. Kilkunastu wojów wyrąbywało sobie drogę ku bramie. Próba przebicia się do gródka była niebywałym zuchwalstwem. Wprawdzie na wąskiej grobli z trudem zaledwie dwóch ludzi mogło walczyć przeciw sobie, pod bramą jednak grobla przechodziła w obszerny podjazd, a tu wyczerpanych już dotychczasową walką czekało starcie z kilkakrotną przewagą.

Stoigniew zawahał się. Jeśli wyskoczy ze swymi ludźmi i ulegnie, dworca nic nie ocali. Jeśli pozostanie, patrzeć będzie bezradnie na zgubę tych ludzi, którzy nie wahali się głowę stawić, by przyjść mu z pomocą, a własną zgubę nie na długo odwlecze.

Z wyżki przy bramie, poprzez zgiełk bitewny, posłyszał przeraźliwy niewieści głos:

- Jaskotel!

Wahanie Stoigniewa pierzchło. Przesadził częstokół, a za nim kilku ludzi wpadło na tyły wroga, otaczające odsiecz. Walka rozpętała się ze śmiertelną zajadłością, tłok uczynił się taki, że bić można było jeno nożem lub rękoma. Jak długo trwała, Stoigniew nie zdawał sobie sprawy, oprzytomniał dopiero, gdy - łapiąc oddech - ujrzał naprzeciw siebie równie ciężko dyszącego woja.

Mimo że twarz miał zbroczoną krwią, poznał w nim Michała Awdańca. Ale nie czas było na powitania. Od mostku parła już gromada wrogów. Należało nadbiegających odepchnąć i zrzucić mostek, inaczej ni jeden z obrońców wrócić do gródka nie zdoła. Rozumieli to wszyscy. Zawróciwszy bez rozkazu, uderzyli na nadbiegających. Ale największa zawziętość nie starczyła za liczbę. Z ludzi Michała Awdańca mało kto był cały, wszyscy dobywali ostatka sił. On sam, choć ranny, skoczył do przodu i wraz z Stoigniewem parł ku mostkowi, od którego dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków. Ale Stoigniew czuł, że nie przebędą ich nigdy. Na miejsce padłych wstępowali nowi przeciwnicy, a Stoigniew z trudem już chwytał oddech. Nagle dostrzegł, że słaniający się na nogach Michał zatoczył się i legł. Teraz nadchodzi kres; można jeszcze tylko drogo sprzedać życie. Czerwone płaty latały przed oczyma, w uszach dudniła krew, głusząc wrzaski, jakie wzmogły się nagle. Przez czarną mgłę nie widział już, że nacierający zawrócili. Siłą woli podniósł jeszcze miecz, ale cios trafił w próżnię. Stoigniew upadł od zamachu i nie dźwignął się.

Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą błękitne niebo, różowiejące od zorzy zachodu. Usiadł i oprzytomniał. Na mostku stało kilku wojów. Nasłuchiwali dochodzącego z lasu wrzasku, który nacichał już. Słońce stało nad borem, cień sunął ku grobli, gasząc grające na rozlewiskach blaski, które raziły oczy Stoigniewa. Przymknął je więc znowu i chłonął ciszę, jaka nagle zaległa okolicę. W ciszy tej doszedł go głos jednego z wojów:

- Pięknie zachodzi słoneczko. Szkoda byłoby nie ujrzeć tego. W porę przyszła odsiecz.

Inni zaśmiali się z beztroską radością. Stoigniew aż się zdziwił tej radości prostych wojów z życia, gdy przed chwilą jeszcze gotowi byli oddać je bez wahania. Dobrze jest przejść koło śmierci,

by poznać wartość życia. I dobrze, że w lesie, spustoszonym przez wichurę, śpiewają ptaki, które uszły zagłady. Mimo woli uśmiechnął się do ludzi, którzy pomogli mu dźwignąć się, ale chwila beztroskiej radości minęła. Odezwał się:

- Wydolę iść sam. Pomóżcie tym, co nie wydolą.

- Ranionych już pozbierali, a ubici mogą poczekać - zaśmiał się jeden.

Stoigniew skinął głową i ruszył do dworca, rozglądając się. Nie dojrzawszy Awdańca wśród poległych, z ulgą odetchnął. Widocznie i Michał omdlał jeno. Przez otwartą już bramę, przed którą dymiły jeszcze zasypane ziemią reszki stosu, wszedł na podworzec i ujrzał Emnildę, jak ze swymi dziećmi i niewiastami krzątała się koło rannych. Księżna zobaczyła go również, puściła niesione wiadro z wodą i skoczyła ku niemu, wołając:

- Żyjecie! Ranny?

W głosie jej była radość i niepokój. Uśniechnął się do niej z wysiłkiem:

- Jeno mnie zemdliło - odparł. - Co z Awdańcem? - zapytał.

- Odnieśli go do macierzy. Wrochna się przy nim krząta, bo cięty parę razy i krew go uszła, ale już zmysły odzyskał. Bogu dziękuję i wam - ujęła go za rękę. - Michałowi już dziękowałam. Ani wiedział, dla kogo żywot stawił. Ale nie wiecie pewnikiem, że to psotniki, Skarbek i Michał, odsiecz z Babimostu przywiedli. Im pierwszym dziękować, bo żeby nie ich roztropność, wszystkie ofiary poszłyby na marne.

- A Bezprym? - zapytał Stoigniew.

Twarz Emnildy zmierzchła.

- Jest. Nie pytajcie chłopaków, jak się owo stało, że go pojmano.

Przyrzekli mi, że nie będą mówić, lepiej, by małżonek mój się nie dowiedział.

Stoigniew zrozumiał bez pytania, zło prędko owocować zaczyna. Ale był tak wyczerpany, że myśli mu się mieszały. Nie czuł nawet głodu ni pragnienia. Skierował się do swej komory, jak stał zwalił się na łoże i usnął natychmiast.

Słońce nie zdążyło rozproszyć porannej mgły, gdy osiodłane już stały konie Stoigniewa i ostatnich dwóch wojów z jego orszaku, którzy zdatni byli jeszcze do drogi. Wojewoda opatrzył rannych i pożegnał już Emnildę, która nie chciała ich pozostawić bez niewieściej opieki, a żupan Świętosław Łodzia z Babimostu przyrzekł zostawić ludzi, ile trzeba, do obrony i posługi. Jak mówił zresztą, w całej Wielkiej Polsce ruszył się kto żył na samą, nie sprawdzoną jeszcze wieść o nadciąganiu Bolesława z drużyną. Z bliższych grodów - Kościan opuściła już załoga Ody, Krzywin zaś ubiegli chłopi z włości Awdańców. Niewątpliwie też sąsiednie Skarbno opuścić musiał włodarz ustanowiony przez księżnę. Gdy jednak Stoigniew, żegnając się, napomknął Wrochnie, że mogłaby wrócić pod własny dach, odrzekła:

- Ja tu ostanę.

Sądził, że lęka się trudu podróży dla chorej świekry. Zagadnął jeszcze:

- Co mam rzec Jaskotelowi?

- Jeśli będzie pytał, to sami wiecie - odparła obojętnie.

Nie wierzył jednak w jej obojętność. W uszach miał jeszcze jej okrzyk nabrzmiały radością zarazem i rozpaczą, gdy w zamęcie walki wzięła Michała za Jaskotela. Pomyślał, że niedobrze to, gdy niewiasta zapomni już wyglądu małżonka, choć Michał rzeczywiście podobny był do starszego brata. Sprawy przeciągnęły się zbyt długo. Ale teraz mają się ku końcowi, rany się zagoją, mogiły porosną trawą, żywi wrócą pod własny dach. Dlatego nie wspomniał nawet, że to on sam wstrzymał Jaskotela, by jesienią nie odwiedził rodziny. Nie pociechy ni odwiedzin osamotnionej żonie potrzeba, jeno codziennego życia we własnym domu, a już się jakoś z małżonkiem ułożą.

Zbisława jednak nie była tego pewna. Świekra znała Wrochnę od chwili poślubienia przez pierworodnego, znała wszystkie jej troski, żale i zawody. Teraz przestała rozumieć synową. Gdy w najgroźniejszej chwili leżała samotnie, nasłuchując odgłosów walki, wpadła do izby Wrochna, rwąc włosy i głową tłukąc o ścianę. Ledwo świekra zdołała z niej wydobyć, że Jaskotel legł. Umilkła nagle i siedziała, wpatrując się w własne dłonie, jakby zdziwiona pustką. Zbisława nie przerywała milczenia. Nad jej własną boleścią przeważało współczucie dla synowej. Rozumiała ją: nie ma czym żyć. Przestała ją rozumieć, gdy jak zły urok od zaklęcia odwróciły się sprawy. Jeno wniesiono rannego Michała, Wrochna poznała widocznie swą omyłkę, zanim jeszcze omyto mu twarz z krwi. Gdy otwarł oczy i uśmiechnął się do zajętej opatrunkiem, pogładziła go po głowie, ale nie okazała ani radości, ani zawodu. Potem wpadli chłopcy, gadając jeden przez drugiego o swych przygodach. Nie słuchała, krzątając się, by ich nakarmić, a gdy pojadłszy, wypadli znowu na dziedziniec, zajęła się zwyczajnym obrządzaniem świekry.

Zbisława patrzyła na nią z niepokojem:

- Nie radujesz się? - zapytała cicho.

- Raduję się, żeście jeszcze syna żywego ujrzeli. Wam za jedno, którego.

- Wżdy i twoi obydwaj wrócili, choć zgoła to pewne nie było, czy wrócą - ostrzej powiedziała Zbisława.

- Wrócili? - Wrochna rozejrzała się, a spojrzenie jej było wymowniejsze niż słowa. Dodała cicho - Dwaj!

- Czegóż ty chcesz, niewiasto? Umarli nie wracają. Miejże cierpliwość.

Stoigniew mówił, że sprawy mają się ku końcowi.

- Stoigniew wolny jest. A ja nie chcę nic. Kromie cierpliwości, nic nie miałam.

Xvii

Sprawy dojrzewały istotnie. Stoigniew, przybywszy do Poznania, zaraz na wstępie dowiedział się o upadku Łowicza. Przygnano właśnie pojmanych tam dostojników i starszyznę rodów, które stanęły po stronie Ody. Wychudli, brudni i zarośnięci, szli, słaniając się na nogach, powiązani w

łańcuch, z rękami skrępowanymi na plecach, by tu oczekiwać swojego losu, gorszego niźli śmierć. Zazdrościli obcym najemnikom i sprzymierzeńcom Ody, których książę na miejscu wyrznąć kazał, choć gród, wyczerpawszy zasoby, poddał się bez walki. Jeno prostym wojom przepuścił i zwolnił ich do domów. Wieść o srogości księcia wytrącała broń pozostałym nieprzyjaciołom, opuszczali dzierżone jeszcze grody, kto miał nadzieję ujść na obczyznę - uchodził, kto nie - przemykał się do Gniezna, zwłaszcza niemieccy najemnicy, którzy, nie znając kraju ni języka, nie mieli sposobu wydostać się z potrzasku. Książę z Sobiesławem ciągnęli na Gniezno, łamiąc po drodze resztki oporu, Jaskotel z wielkopolskimi siłami już tam wyruszył.

Choć Stoigniew zdążyć chciał do księcia przed zakończeniem walki, zatrzymał się w Poznaniu, by spocząć i rozejrzeć się w położeniu. Nie wątpił, że stłoczeni w Gnieźnie przeciwnicy Bolesława bronić się będą do ostatka, nie mogąc liczyć na zmiłowanie. Czas mieli przygotować zasoby i obronę, której zaciętość przedłużyć może nierówną walkę w tygodnie, a nawet miesiące, mimo przewagi i widocznego zniecierpliwienia Bolesława.

Stoigniew o zwłoce myślał z troską. Kraj, wyczerpany walką i zamętem, potrzebował spokoju, by korzepnąć. Przypomniał sobie prośbę Sabinusa i postanowił rozmówić się z biskupem. Dostojnicy kościelni utrzymują stale łączność i najrychlejsze i najlepsze mają wiadomości. Przy sposobności rozejrzeć się zdoła w postronnych stosunkach. Zaraz też po przyjeździe zapowiedział swe odwiedziny i nazajutrz po nabożeństwie udał się do Ungera.

Tym razem biskup nie dał mu czekać i widocznie rad był ze spotkania. Jakoż zaczął od własnych spraw, wyliczając wyrządzone w czasie zamętu szkody w kościelnych dobrach i dochodach. Mówił o tym, jakby walka już skończona była i on pewny był wyniku. Stoigniew jednak, pomny, że dziedzina młodszych Mieszkowiców oddana była pod opiekę Stolicy Apostolskiej, a starej cesarzowej i arcybiskupowi mogunckiemu przeszkodą może być silne i niezależne państwo słowiańskie, wyraził obawę, że choć nie pomogli dotąd Odzie w walce, zechcą się wmieszać teraz w polskie sprawy. Unger odparł:

- Otto objął już władzę, starych doradców usuwa, a książęciu Bolesławowi przychylny. Prawda, że nie brak naszemu panu wrogów wśród książąt Rzeszy, ale groźniejszy im ninie północne pogaństwo, które w Danii znajduje pomoc i oparcie. W tym roku już po dwakroć spustoszyli znaczne połacie kraju i Sasi po żniwach gotują walną wyprawę. Jeśli książę pomoc im da, jak przed trzema laty, a siłę swą okaże, mniemam, że stamtąd nic nie grozi.

- Ale Kuria liczy się z Willigizem. Lękam się, by tam nie szkodził.

Nieżyczliwych nam nie brak, książę zasię gwałtowny jest i porywczy, łacno o zatarg, który by i kościelnym sprawom wielce mógł zaszkodzić.

Unger zamyślił się, surowa jego twarz przybrała wyraz twardy i zimny.

Odparł:

- Kuria i ze mną liczyć się musi, skorom ja tu na straży praw Kościoła i chrześcijańskiego obyczaju. Czasu tych zamieszek wiele tu co prawda popełniono uczynków, które im przeczą. Mogę to złożyć na karb nieładu i rozpasania, jakie wszędy w zamieszkach zdarzyć się zwykły. Ale nie lza mi patrzeć przez palce na niepotrzebny rozlew chrześcijańskiej krwie z pogańską srogością. Przestrzeżcie pana przed pochopnymi czynami, gdy przyrodnich i macierz ich dostanie w ręce, bo gdyby bratnią krew rozlał, klątwą musiałbym go obłożyć.

Stoigniew rozumiał, że biskup mówi to, co mu urząd nakazuje, i wykonać gotów to, co

zapowiedział. Ale rozumiał też zapieczoną i uzasadnioną nienawiść Bolesława do Ody oraz niebezpieczeństwo, jakie się kryło w wypuszczeniu z rąk zaprzysiężonych wrogów. A oliwy do tego ognia doleje wieść o zamachu na jego rodzinę, którego ukryć się nie da. Tylko księżna mogłaby powstrzymać małżonka od krwawej pomsty i Stoigniew nie wątpił, że nie omieszkałaby tego uczynić. Wymogła przecież, by przeniewierstwo Bezpryma zachować przed mężem w tajemnicy. Ale księżny nie było, a Bolesław nie zwykł czekać z wykonaniem wydanych porywczo wyroków. Stoigniew zamyślił się jak zapobiec zagrażającemu starciu. Unger, widząc wahanie na twarzy wojewody, podjął:

- Jeśli ja nie będę zmuszony wystąpić, Willigiz nic nie wskóra. Kurii za jedno, kto będzie płacił denar świętego Piotra, przez sławnej pamięci księcia Mieszka przyrzeczony, a ważniejsze ninie ma sprawy, gdy galijscy biskupi z posłuszeństwa wyszli i rozłam grozi w Kościele. Na świętego Marcelina synod, zwołany do Mousson w sprawie reimskiego arcybiskupstwa, sąd ma odprawić nad Gerbertem.A nawet ze słowiańskich spraw bliższa i ważniejsza praskiego Wojciecha, którego zatargi z księciem znowu grożą osieroceniem biskupiej stolicy.

Stoigniew, choć żal mu się uczyniło zarówno Wojciecha, jak i Gerberta, pomyślał, że Bolesław dobrą porę obrał, by rozgrywki z Odą dokończyć. Widocznie na to czekając, tak długo bezczynnie stał pod Łowiczem, teraz jednak tym bardziej będzie parł do zakończenia sprawy. Wojewoda postanowił wyjechać nazajutrz, by - ile możności - zapobiec grożącemu zatargowi z Ungerem. Przedstawił mu prośbę Sabinusa, a biskup odparł:

- Nie będzie jedności w państwie, gdy nie będzie jej w Kościele. A jakoż ma być, gdy na Mazowszu kto chce, jawnie pogaństwo wyznaje, i tu leży przyczyna tego, co się stało. Na Pomorzu gorzej jeszcze i wielebny kanonik Reinbern wrócił, niewiele zdziaławszy. Ale tam pogaństwo z zewnątrz znajduje poparcie, u połabskich pogan i Swena, z którymi się kuma. Na Mazowszu jednak od książęcia jeno zależy, by całemu ludowi ochrzcić się kazał. Gdy opiekę zapewni duchowieństwu i uposażenie wyznaczy, najdą się kapłani, którzy tam pracować zechcą.

Stoigniew myślał, że i to rządanie niełatwe będzie do spełnienia, ale uderzony wzmianką o Swenie rzekł pojednawczo:

- Gdy spokój zapanuje w kraju, pora będzie i te sprawy uładzić, nie jeno na Mazowszu, także i na Pomorzu, zwłaszcza że, jako słyszę, Swen w Anglii bawi na wyprawie.

- Danegeld jeno odebrał i już powrócił na wieść o śmierci Eryka - odparł biskup. - Nie masz komu w karbach go utrzymać.

- Mniemam, że w Norwegii najdziem przeciw niemu oparcie u Trygvesona, u którego bawi Świętosława. Skoro do niego uszła, niechybnie przyjaźni się z nim, a zawżdy pomocą była bratu.

- Trygveson do wojny ze Szwecją się gotuje za popieranie jarla Hakona i jomsborskiego Sigwalda do niej nakłania. A Storrada (Dumna „Świętosława") wraca do kraju.

Nie była to wieść pomyślna, sprawy wikłały się. Jeśli Sigwalda uda się nakłonić do wyprawy przeciw Szwecji, ujście Odry znajdzie się bez osłony przed najazdem Swena. Jedyne, co można uczynić, to wyruszyć przeciw Danii wespół z Sasami, jak radzi Unger. Jeszcze jedna wojna nie skończona, a o drugiej myśleć trzeba. I Otto swe panowanie księcia pokoju od wojny rozpoczynać musi, Gerbert i Wojciech, którzy natchnieniem byli jego zamierzeń, ponieśli klęskę, ledwie

rozpocząwszy walkę o to, by nie miecz świat urządzał. Stoigniewa znowu ogarnęły wątpliwości, czy wielkie zamiary Ottona nie są jeno mrzonką, choć pewne, że jeszcze nie pora, by myśleć o ich urzeczywistnieniu, magister operae plany budowli przemyśleć musi do końca, zanim przystąpi do kładzenia podwalin. Bliższa była sprawa uniknięcia zatargu z Ungerem. Stoigniew w drodze do Gniezna myślał, jak sprawę Bolesławowi przedstawić, by książę dał się przekonać. Nienawiść do Ody rozumiał tym lepiej, że sam ją podzielał.

Zamyślony, nie zauważył niewielkiego pocztu, ciągnącego drogą nad Lednickim Jeziorem ku gnieźnieńskiemu gościńcowi. Dopiero gdy tuż za nim rozległ się tętent, wojewoda obejrzał się i dostrzegł cwałującego ku niemu wyrostka, obcego strojem i wyglądem, który łamaną mową słowiańską oznajmił, że królowa Sygryda prosi wojewodę, by zaczekał, bo pragnie z nim mówić.

Mimo że Stoigniew uprzedzony był już o powrocie Świętosławy, nie spodziewał się tego spotkania. Zaskoczony, bez słowa zawrócił konia i puścił się naprzeciw nadciągającym. Nie widział stryjecznej siostry od dziesięciu lat, pożegnał ją smukłą, dopiero rozkwitającą dziewczyną. Nie byłby jej poznał w rosłej i silnej niewieście, w pełni dojrzałej urody, Każdy jej ruch zdradzał dumę i pewność siebie, nawet gdy - ująwszy obie ręce Stoigniewa - z radosnym uśmiechem patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

- Spozierasz na mnie, jakbyś mnie pierwszy raz widział - zaśmiała się. - A ja cię już z dala poznałam, choć posiwiałeś.

Istotnie nie tak sobie wyobrażał wdowę wygnaną z dziedziny męża, oderwaną od jedynego syna. Jej piękna i wyrazista twarz promieniała, ni śladu na niej troski, ni żalu, nawet rozrzewnienia, zrozumiałego, gdy nie wszystkich powita, których pożegnała.

- Prawda, że poznać cię trudno - odparł - aleć się raduję, choć nieradosna przyczyna, dla której wracasz.

Jakby cień przemknął przez ruchliwą twarz Świętosławy.

- Nie wracaam. Nic nie wraca, chyba wspomnienia. I ja się raduję, że swoich ujrzę. - Niespodzianie twarz jej przybrała wyraz twardy i zacięty. Stoigmiew aż się zdziwił, jak stała się podobna do brata. - I raduję się, że w porę przybyłam, by ujrzeć, jak Bolko koniec uczyni z tą jędzą i jej pomiotem.

Stoigniew zasępił się również. Świętosława nie pomoże mu nakłonić Bolesława do umiarkowania. Szczęście to, że spotkał ją, zanim brata ujrzała. Postanowił pomówić z nią otwarcie, doświadczona już niewiasta powinna go zrozumieć.

- Mam ja więcej niźli ty przyczyn, by nienawidzić Ody - zaczął. - Ale są przyczyny, dla których pomstę miarkować trzeba. Niechaj Oda idzie, skąd przyszła, i wolej mi zapomnieć.

- Wodę trzeba mieć w żyłach miasto krwie, by zapomnieć - przerwała porywczo. - Tobie nie odebrała miłości rodziciela, nie zatruła mu ostatnich lat żywota? A ninie do kraju wrogów wpuściła, w odmęt go pogrążając.

- Samaś rzekła, że nic nie wraca, chyba wspomnienie. Po cóż rozdrapywać rany, skoro umarli nie cierpią już, a żywym rozsądek potrzebniejszy niźli pomsta. Krajowi zaś spokój.

- Tyś zawżdy jeno rozsądny był - wtrąciła gwałtownie - tedy nie wiesz ani co miłowanie, ani co nienawiść.

- Mylisz się - powiedział w zadumie. - Woda gorętsza bywa niż naczynie.
Posłuchaj!

Xvii (cd.)

Opowiedział o pułapce, jaką na niego zastawiła Oda, i o śmierci swej matki. Potem mówić zaczął o grożącym zatargu z Ungerem. Słuchała ze współczuciem, ale w miarę jak mówił, na jej wyrazistej twarzy jawił się gniew i zawziętość. Na gładkim czole ukazała się bruzda, nawet dźwięczny głos nabrał szorstkości, gdy zaczęła gwałtownie:
- Ty i tym przeniewiercom gotoweś zapomnieć!
- Nie im, jeno o nich - przerwał. - Niechaj im sąd sprawiedliwość domierzy, nie o tym mi myśleć.
- A czemuż to Bolko bardziej liczyć się ma z biskupem niźli biskup z nim?
Rodzic mój, jak wiesz, też rozsądkiem zwykł się kierować, a powiedział, że nie po to chrzest przyjął, by pana mieć nad sobą. Swen wygnał biskupów, gdy mu się rządzić chcieli, małżonek mój rzucił chrześcijaństwo, gdy mu się stało niedogodne, nawet syna naszego ochrzcić nie dał. Czemuż to im rozsądek co innego doradzał niż tobie? Boś ty przez mnichów chowany i inak niż oni myśleć się nie ważysz.
Ruchliwe nozdrza Świętosławy pobielały, rozgorzałymi oczyma mierzyła Stoigniewa. Patrzył na nią spokojnie i powtórzył krótko:
- Mylisz się. I ja o tym myślałem. Zawilsza to sprawa, niż ci się zda.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Świętosława uspokajała się z wolna.
Po chwili podjęła:
- Wybacz. Nie rozumiem ciebie. Ale i ty mnie nie rozumiesz. Nie myśl, że jeno pomsta mnie tu sprowadza, że po to tu jadę, by nią oczy nasycić. Wiem ci i ja, że są inne, ważniejsze sprawy, i o nich z Bolkiem mówić chciałam.

Patrzył na nią pytająco i znowu zdziwił się zmianie, jaka zaszła w jej twarzy. Wybił się na nią jaskrawy rumieniec, oczy nakryła długimi rzęsami.
Cichym głosem dodała:
- Olaf Trygveson swaty po mnie słać będzie. Wiano i oprawę ustanowić trzeba. W porę, mniemam, to przymierze. - Spojrzała na Stoigniewa i widząc uśmiech na jego twarzy, ciągnęła popędliwie: - Domyślnyś, ale i tak nie rozumiesz. Ćwierć wieku mi przeszło, a jeno z pieśni znałam miłowanie lub gdy się przyśniło. A ninie iści się sen. Cóże się dziwisz?

Nie dziwił się. Słynny z męstwa i urody poszukiwacz przygód, w pacholęcych latach wyzuty z ojcowego tronu Norwegii przez jarla Hakona, od Nowogrodu do Londynu głośnym uczynił swe imię, zbierając sławę i łupy, a teraz wygnał przywłaszczyciela. Nic dziwnego, że opiewany w pieśniach bohater zagarnął serce młodej wdowy po starym, wojną ustawicznie zajętym mężu. Jednak związanie się z nim znowu oznaczało wojnę. Sprawa wymagała spokojnego rozważenia, do którego nie była skłonna Świętosława. Rzekła szorstko:

- Mnie nie rozumiesz. Ale wiesz, że jeśli Olaf pokona wrogów mych w Szwecji, w których Hakon ma sprzymierzeńców, będzie najpotężniejszym z władców Północy. Swen raz na zawsze grozić przestanie Pomorzu.

- O tym wie i on, dlatego nie omieszka przeciw Olafowi wystąpić.

- Olaf zwyciężał zawsze, nawet gdy jedna łódź była jego królestwem - rzuciła zarumieniona Świętosława. Gdy»Stoigniew milczał, ciągnęła w podnieceniu: - Nie sądź, że mnie zaślepia miłowanie.

- Tym ci mniej Olafa - odparł Stoigniew. Widząc, że żachnęła się gniewnie, dodał: - Widno sam słaby się czuje, skoro na wszystkie strony sprzymierzeńców szuka. Może - jak mówisz - mam wodę w żyłach i dlategom nieskłonny do pochopnych związków.

Świętosława wiedziała, że Bolesław będzie się liczył ze zdaniem Stoigniewa. Zasępiła się i znów zamilkli. Po chwili podjęła jednak:

- Gdy rodzic za Eryka mnie wydawał, też nie było pewne, zali się małżonek mój na szwedzkim tronie utrzyma. Nie poszłam tam, by sercu dogodzić, a głową mogłam nałożyć. Nie było dla was bez korzyści to przymierze, czemuż teraz ma być inaczej, gdy zwycięski Olaf panem się stanie Północy? - Przymilnie położyła dłoń na ręce Stoigniewa. Gdy nie odpowiadał, cofnęła ją, pytając: - Nad czym dumasz?

- Rozważam. Gdy rodzic twój przymierze zawierał z»Erykiem, u szczytu był swej potęgi. A ninie wiesz, jako jest. Wiele spraw czeka naszej głowy i ręki, wybierać trzeba. Ale pierwsza - to w kraju się uładzić. Praw biskup lubo nie - potrzebny nam jest. Tedy wybierać musisz i ty między pomstą a miłowaniem.

- Ja mogę wybierać - odparła w zamyśleniu. - Ale są tacy, którym wybór nie służy.

Stoigniew nie wiedział, co ma na myśli. Odparł:

- Byleś ty nie judziła, Bolesława wydolę przekonać. Wybyłaś już z naszych spraw, nie są proste ni łatwe. Ostaw je nam.

Ujęła znowu jego rękę, mówiąc z uśmiechem:

- Tedy między nami układ zawarty. Jenom się nie spodziewała, że»Oda w tobie najdzie obrońcę.

Bolesława przeciw Odzie podjudzać nie było trzeba, a kto by się za nią ujął, własną głowę by stawił. Gdy przybywszy z konną drużyną pod Gniezno, książę dowiedział się o zamachu na rodzinę, zakipiał gniewem tak strasznym, że lękano się doń przystąpić. Ujście dał mu, uderzając na silnie obwarowany przesmyk między jeziorami Winiarskim a Bielidłem, nie wypocząwszy nawet z drogi i nie czekając na nadejście pieszych wojsk pod Sobiesławem. Zaskoczeni bronili się słabo, a książę, walcząc na czele jak prosty wojak, tym samym zamachem uderzył na umocniony kopiec nad Jeziorem Winiarskim, który wraz z basztą obwałowań Panieńskiego Podgrodzia zamykał drogę do wewnętrznych obwarowań, wziął go, załogę wyrznął i tylko zapadający mrok powstrzymał go od uderzenia na samo podgrodzie. Wypad załogi ze Wzgórza Lecha, miast wypchnąć napastników za linię jezior, skończył się klęską i ledwo zdołano wycofać się z powrotem do grodu, nie zdążywszy

nawet w ucieczce zniszczyć obu mostów na Srawie. Opanował je Bolesław i natychmiast umocnić kazał, uzyskując dostęp do obwarowań obu podgrodzi, a przecinając między nimi połączenie. Pierwszy dzień walki przyniósł obronie Gniezna poważne straty - nie tylko w ludziach. Z trwogą oczekiwano następnego.

Wysiłek walki ostudził jednak popędliwość księcia. Kazał jeno zamknąć obwarowaniami szeroką groblę między jeziorami Świętym i Jelonkiem, odcinając nieprzyjacielowi ostatnią drogę ucieczki, i postanowił czekać na nadejście pieszych wojsk. Spieszyć się nie potrzebował, wiedząc, że żywa noga mu nie ujdzie.

Z kopułki na rotundzie Świętej Trójcy i Świętego Wita patrzyła Oda na walkę. Gdy tylko doszły ją pierwsze odgłosy, wybiegła z dworca. Nie chciała stać na oczach tłumu, którym zaroiły się podworce i wysokie wały, okalające Wzgórze Lecha, by nie okazać miotających nią uczuć. Zapomniała o grożącej wszystkim zagładzie, lęk o życie Mieszka przesłonił wszystko inne. Widziała syna, jak na czele silnego oddziału tarczowników wyszedł z grodu i minąwszy most, zniknął jej z oczu. Potem nasłuchiwała odgłosów odległej walki, które coraz się zbliżały. Nie myślała o tym, że oznacza to klęskę. W zapadającym mroku wytężała wzrok, niepewna, czy dojrzy jeszcze syna. Widziała, jak przez most przesypała się z powrotem gromada uchodzących bezładnie, i zdało jej się, że poznała go w tłumie. Stała jeszcze, aż odgłosy walki umilkły, po czym zeszła i skierowała kroki do dworca.

Teraz dopiero przyszło jej na myśl, co czeka zamkniętych w pułapce, jaką stało się Gniezno. W ostatnich czasach Mieszko odsunął matkę od wszystkich spraw, ale przyniosło jej to raczej ulgę. Sama czuła się bezradna, jego pewność siebie budziła w niej nadzieję na jakiś zwrot, który odmienić zdoła groźne położenie. Nie wypytywała Mieszka, choć bolało ją, że kryje przed nią swe myśli i zamiary, domyślała się jeno, że nadzieje wiązał z wysłanym przez siebie podjazdem. Słuszność tych domysłów zdało się potwierdzać zrazu podniecenie Mieszka, a w miarę jak czas płynął, a podjazd nie wracał - zniecierpliwienie przechodzące w niepokój, pokrywany zgryźliwością. Teraz, gdy nadszedł Bolesław, wszelkie nadzieje musiały prysnąć. W obliczu grożącej zagłady może Mieszko okaże się wobec matki przystępniejszy. Zapragnęła zbliżyć się do syna, sądząc, że oboje znajdą w tym pokrzepienie.

Nasłuchiwała głosów, jakie dochodziły ją z sieni, potem zatrzasnęły się drzwi od zajmowanej przez syna izby. Mieszko wrócił, a nie przyszedł do matki. Zaczekała, aż uciszyły się głosy ludzkie, zapukała do drzwi, a gdy się nie odezwał, weszła. Mieszko stał przy oknie i patrzył na zapalające się ogniska wrogiego obozu na Żuławach. Musiał domyślać się, kto wszedł bez przyzwolenia, ale nie odwracając się, rzucił przez ramię:

- Czego?

Przystąpiła i obejmując go, powiedziała cicho:

- Wróciłeś! Tak się lękałam o ciebie.

Wzruszył ramionami i odparł:

- To słyszałem już nieraz. Myślałem, że coś ważniejszego macie mi rzec.

Zmęczony jestem - dorzucił opryskliwie.

Nie chciała zrozumieć, że ciąży mu jej obecność, i podjęła:

- Gdybym własną głowę mogła oddać za twoją, nie wahałabym się ni chwili.

- Tania wasza ofiara, gdy obie nic niewarte, tedy tarżyć nie ma czym - rzekł drwiąco. Nie zważając, że zasłoniła twarz jak przed uderzeniem, ciągnął: - Tym tańsza, że jeno wam za to dziękować, ale ninie już i o tym myśleć szkoda. Namachałem się zadość, a żarcia oto przynieść nie ma komu, bo rozłazi się wszystko.

Oda wyszła bez słowa i wróciła po chwili, niosąc chleb i mięsiwo. Opanowana już była, patrzyła, jak Mieszko się pożywia. Gdy skończył, przerwała milczenie:

- Miłujesz mnie zali nienawidzisz - też już za jedno, aleć wspólny nasz los. Odsunąłeś mnie od spraw, niegodna byłam nawet wiedzieć, co bierzesz przed się, by go odmienić. Wiarę położyłam w tobie, bo młodyś i sił masz nadmiar, gdy ja swoich zbyłam w walce, którą wiodłam jak żywot długi. Nie dla siebie - wtrąciła i głos jej zadrżał, opanowała go jednak. - Ty mnie czynisz wyrzuty, choć nie proszony dolę naszą wziąłeś w swoje ręce. Ale krom nas jest jeszcze Lambert, nieletnie chłopię. Dlatego mam prawo wiedzieć, coś przedsięwziął i co zamierzasz.

- W poręście sobie o nim przypomnieli.

- To on, nie ty, mógłby mi zarzucić, żem jego los zdała na ciebie, o nic nie pytając. Ale ninie odpowiesz mi. Wiem, żeś podjazd wysłał, dość jeszcze bystra jestem, by pomiarkować, że wielką do niego przywiązywałeś wagę. Dokąd go wysłałeś i po co?

Mieszko odparł niechętnie:

- O czym gadać, skoro się nie powiodło.

- Moje prawo wiedzieć! - krzyknęła stanowczo.

- Mogę rzec, bo i to już nietajne, byle skończyć to gadanie, z którego nic nie wyjdzie. Od Odylenowej miłośnicy, którą tu przysłał, zwiedziałem się, gdzie bawi Emnilda z dziećmi, i porwać ich kazałem. Widno się nie udało, bo nie wrócił nikt. - Machnął ręką i zakończył: - Ninie chcę spocząć, a wola wam dalej gadać, przywołajcie Lamberta. On chętniej słuchać będzie, co wy mnie macie do zarzucenia.

- Jeszcze jedno mam ci rzec, a ty wysłuchać musisz: piętnaście lat, dzień za dniem patrzyłam na ciebie i nie przeznałam cię. Trzeba było dopiero, by miecz zawisł nad naszymi głowami, by poznać, żeś nikczemny niewdzięcznik.

- To widno z rodu - odparł z kpiną. - Choć malcem jeszcze byłem, pomiarkować wydoliłem, jakoście wy miłowali waszego rodzica, choć też was chował. I jak wy naszym, on waszym losem rozrządził, swoje mając na oku. Wam, nie mnie, Lambert podziękować może za piwo, któregoście naważyli.

Oda odwróciła się i wyszła. W głowie czuła pustkę i zamęt. Trafiwszy omackiem do swych drzwi, usiadła, wpatrzona tępo w jaśniejsze od mroku okno, przez które sączyła się poświata dalekich ognisk wrogiego obozu.

Z otępienia wyrwał ją szmer cichych kroków i serce zatrzepotało się trwożną nadzieją. Może Mieszko pomiarkował, że krzywdę wyrządził matce. Już gotowa była mu wybaczyć, znużony jest i przygnębiony, zbyt wielki ciężar spadł na jego młode barki. Ale nie jego to dłoń spoczęła na pochylonej głowie Ody i nie jego głos odezwał się:

- O mnie się, matko, nie troskajcie.

Wstyd nie pozwolił jej przygarnąć do piersi tego syna, dla którego nigdy nie miała serca, bo nie rokował zaspokojenia jej pychy i żądzy panowania. Gdy odtrącił ją ten, któremu poświęciła wszystkie swe uczucia, niczego się już od życia nie spodziewała. Tkliwość Lamberta upokarzała ją. Nie ma prawa jej przyjąć, musiał słyszeć jej rozmowę z Mieszkiem. Odparła głucho:

- Nigdy się o ciebie nie troskałam. Iście po raz pierwszy pomyślałam o twoim losie, gdy bezsilna już jestem, by go odwrócić. Ty słusznie mógłbyś mnie przekląć.

Objął ją mocniej i szepnął:

- Przygarnijcie mnie, matko. - Gdy oddała mu uścisk z wahaniem, powiedział cicho: - Tak mi dobrze! Od śmierci rodzica zimno mi było.

Gdy trząść się zaczęła, przytulił się goręcej, mówiąc:

- Nie płaczcie. Może Bóg jeszcze co odmieni.

- Bóg żąda ode mnie rachunku, żem Mu ślubowanej wiary nie dochowała - odrzekła z wysiłkiem. - Za narzędzie kary obrał okrutnika o kamiennym sercu, którego nic nie poruszy. Jak czeski dziad jego - nie zawaha się skalać rąk bratnią krwią.

- Nikt śmierci nie ujdzie - odparł Lambert w zamyśleniu. - Cóż po żywocie, który niesie jeno cierpienia, zawody i grzech? Jeno gotowym być na śmierć, za jedno, kiedy przyjdzie.

- Jam niegotowa na śmierć - szepnęła. - Lękam się jej, lękam tego, co potem...

Urwała. Nigdy dotąd o tym nie myślała, żywiła pogardę dla wszystkiego, co słabe, nawet jej miłość do Mieszka była uwielbieniem dla siły, którą w nim przeczuwała czy w macieżyńskiej pysze chciała się dopatrzeć. Co jednak musiał przeżywać ten pogardzany, którego wątłe ramię podtrzymuje ją, gdy ona jest już bez sił, jeśli w trzynastej wiośnie życia takie żywi myśli?

Powiedział w zadumie:

- Może się Bolesław zmiłuje. Nikt nie jest bez serca, jeno twarde się ono czyni w walce i nienawiści. Aleć i on miłuje swą małżonkę, miłował naszego rodzica...

- Rodzica! - przerwała. - Oto jak wolę jego szanuje!

- A wy, matko? Uszanowaliście ją? A Bolesława nie chcieliście uderzyć tam, gdzie go boli najbardziej?

- To nie ja, to Mieszko - szepnęła.

- A gdyby mu się powiodło, czy zganilibyście lubo nakłaniali go do umiarkowania?

Wstydziła się odpowiedzieć, więc milczała. Ten syn, którego lekceważyła, znał ją lepiej i wiedział więcej, niż sądziła. Pytał surowo jak spowiednik, widział ją taką, jaką była, a mimo to miłował.

Długo siedzieli w milczeniu. Wreszcie Lambert wstał i powiedział cicho:

- Nie wiem, zali wam wydołam pomóc. Ale może wam ulży, gdy powiem, że chcę podzielić wasz los. Gdy odnalazłem drogę do waszego serca, nie stoję o nic więcej.

Przytuliła go bez słowa na pożegnanie. Ogniska obozu przygasły, noc uczyniła się późna, ale nie myślała o wypoczynku. Po raz pierwszy w życiu liczyła się ze swym sumieniem.

Gdy walka ustała, Bolesław wojska rozłożył obozem, a sam ściągnął do dworca na Żuławach, ongiś Ściborowego. Porywczość jego znalazła ujście w wysiłku walki, teraz już pomście jego nikt nie ujdzie, szkoda tracić siły gdzie indziej niezbędne, wrogowie mogą poczekać. Trudniej było utrzymać na wodzy niecierpliwość, z jaką chciałby połączyć się z najbliższymi. Myśl o niebezpieczeństwie, jakie im groziło, wciąż jeszcze nie pozwalała mu usnąć, niepokój o nich nie zgaśnie, póki ich własnymi nie ujrzy oczyma. Nie liczył się przecie z tym zamachem, jakiemu przez przypadek jeno uszli, nawet zdychający gad śmiertelnie jeszcze ukąsić potrafi. Rozdeptać go trzeba wraz z nasieniem. Na tle nocnego nieba majaczyło Wzgórze Lecha, na którym miał ostatnie siedlisko. Gwar obozu ucichł, znużeni walką woje zasypiali, gasły ogniska i zarysy wzgórza wystąpiły wyraźniej. Nad jego szczytem górowała kopuła bazyliki. Pod nią leży matka Bolesława.

W ciszy i samotności wstały w nim wspomnienia związane z tym miejscem:

żałosny powrót z niemieckiej niewoli, pożegnanie z umiłowaną siostrą, pojednanie z ojcem. Tam po raz ostatni dotknął matczynej dłoni, a choć zimna już była i martwa, jeszcze zza grobu zdała się błogosławić tym, których za życia miłowała, łączyć ich, koić i wspierać. Ciepło matczynych dłoni odżyło w Emnildzie. Jej drobne ręce umiały hamować straszliwe porywy gniewu Bolesława, których sam nieraz żałował, potrafiła zapobiec starciu z ojcem, które skończyć się mogło zupełnym rozbiciem jego dzieła. Dzięki niej pozwolił mu w spokoju dożyć dni, a teraz sam spokojny doprowadza do końca to, co wówczas zamierzył.

Pozwolił dożyć w spokoju! Myślą wraca do świetlistego majowego poranka, w którym po raz ostatni pożegnał żywego rodzica. Nie zmącił mu wówczas rzadkiej chwili zasłużonego spoczynku, pożegnali się jak ojciec z synem. A teraz wspomnienie to burzy w Bolesławie dopiero osiągnięty spokój. Darmo mówi sobie, że niczego wówczas ojcu nie przyrzekał. Cóż stąd, że uśmiechnął się wówczas do małego Lamberta? Od tego czasu zmieniło się wiele, ciężka, wyczerpująca siły kraju walka nie może się w przyszłości powtórzyć. Nie jeno rozogniona zamachem nienawiść, ale rozsądek zimny nakazuje wyplenić zło z korzeniem i nasieniem. I Lambert nie pozostanie małym chłopięciem, dojrzeje, jak już dojrzał Mieszko, by stać się niebezpiecznym wrogiem. Zagłada synów nie zaboli już rodzica.

Książę stara się przekonać sam siebie, że powzięte w gniewie postanowienie powinien i ma prawo wykonać. Ale wątpliwości nie chcą ustąpić. Czy tylko słowa się liczą? Gdy żegnał się z rodzicem, stary ojciec może zdawał sobie sprawę, że Bolesław nie pogodzi się z dokonanym podziałem dziedzictwa, ale przeświadczony był, że pierworodny oszczędzi młodszych braci. A Bolesław wiedział o tym i nie zaprzeczył ojcu. Nie tylko słowo, ale i milczenie ma swoją wymowę.

Wątpliwości zaczynają męczyć i niecierpliwić księcia. Czas jeszcze je rozstrzygnąć, jeszcze wróg szczerzy zęby zza tynów grodu, jeszcze krwią i potem płacić przyjdzie, by dostać go w ręce. Wtedy rozstrzygnie.

Bolesław ułożył się do snu, ale nie mógł go przywabić. Czuł, że zwodzi sam siebie. Jeśli z góry nie nakaże oszczędzać swych przyrodnich, zginą na pewno, skoro sam przykazał, by nie szczędzić nikogo. A walczyć będą do ostatniego tchnienia, bo wiedzą, że nie ma zmiłowania.

Czy on sam nie może zginąć, czy szczędzi siebie? Czy gdyby położenie było odwrotne - nie musiałby zginąć, a wraz z nim żona i dziatki? Czy nawet teraz, gdy wróg czuje już pętlę na szyi, zawahał się podnieść rękę na rodzinę księcia? Czy jeszcze przed rozpoczęciem otwartej walki nie usiłowano go zgładzić podstępem? Znowu gniew zjeżył włos Bolesława. Aż się poderwał. Jeśli

zaraz musi powziąć postanowienie, to już postanowił. Zginą!

Ułożył się z powrotem, sądząc, że wreszcie zaśnie, ale mimo powzięcia postanowienia nie ucichła rozterka. Nie czułby się winnym wobec ojca, gdyby bracia zginęli przez przypadek. Ale gdyby nawet przez przypadek ocaleli, sprzeniewierza się milczącemu przyrzeczeniu, skoro chce lub choćby godzi się na ich śmierć. Miewał z ojcem starcia i zadzierki, krętactwa między nimi nie było nigdy. Więc chce i godzi się!

Zasypiał już, gdy jakieś podniesione, choć przyciszone głosy wybiły go ze snu. Usiadł, rozdrażniony, i krzyknął:

- Straża!

Gdy wpadł wojak, zapytał:

- Co się tam wyrabia?
- Pojmaliśmy jakowegoś człeka, który się tu skradał.
- Dawać go i światła!

Bolesław zerwał się z łoża. Gdy jemu wątpliwości kradną sen, wróg nie cofa się przed skrytobójstwem. Nie pierwszy raz! Za życia rodzica Bolesław nawet mu nie wspomniał o tym, by nie zatruwać ostatnich lat ojcu. Nie miał wątpliwości, kto wysłał zbira i po co, ale chciał, by głośno to potwierdził, jakby zmarły rodzic mógł słyszeć. Gdy przy drzwiach ciśnięto na kolana szczupłego wyrostka ze związanymi na plecach rękoma, Bolesław wstał i szedł ku niemu, jakby go nogami chciał rozdeptać. Ochrypłym głosem zapytał:

- Kto cię wysłał?
- Nikt! Sam przyszedłem.
- Ty mi powiesz...

Książę urwał. Wyrostek podniósł głowę i blask kaganka padł na jego wąską twarz. Bolesław nie widział Lamberta od trzech lat, ale poznał go natychmiast, choć zmienił się bardzo. Wyrósł, głos jego nie był już chłopięcy, największa zmiana jednak, która uderzyła księcia, zaszła w oczach. Miał w pamięci jego trwożne spojrzenie, gdy na widok zbliżającego się groźnego brata spłoszonym ruchem przygarnął się do ojca, jakby u niego szukając ochrony. Teraz, gdy nie było nikogo, kto by go ochronił, spojrzenie jego dojrzałych i smutnych oczu było spokojne, nawet ufne. Starczyło, by Bolesław uwierzył, iż Lambert powiedział prawdę. Przez chwilę patrzyli wzajem na siebie. Gniew i podniecenie Bolesława gasły, omal się nie uśmiechnął do Lamberta jak ongiś. Chciał jednak wiedzieć, po co przyszedł, i rozkazał krótko:

- Rozwiązać go i ostawić nas samych.

Gdy woje wyszli, Bolesław usiadł i zapytał:

- Do mnie szedłeś? Po co?

Nie myślał o tym, że jest to syn znienawidzonej macochy, nawet nie o tym, że był to ulubieniec ojca, jeno że ten chłopiec nigdy i dla nikogo nie będzie niebezpieczny, i szkoda, gdyby musiał zginąć. Gdy Lambert milczał, rozcierając w zamyśleniu przeguby rąk, Bolesław powtórzył łagodnie:

- Mówże! Nie lękaj się.
- Nie lękam się. Jeno nie wiem, jak rzec. Przyszedłem do was, bo macierz moja płakała.

Bolesław nie wiedział, co go wstrzymało, by nie parsknąć drwiącym śmiechem. Oda płacze! Po wszystkich knowaniach i zamachach, po rozpętaniu wyniszczającej walki płacze, gdy pomiarkowała, że nadszedł czas obrachunku. Trzeba być głupcem, by u Bolesława szukać współczucia. Lambert jest dziwny, ale nie głupi. Bolesława ogarnęło zaciekawienie, co potrafi rzec na obronę Ody, jak będzie usiłował go przekonać, by słusznej pomsty zaniechał. Może nie wie, jak na nią zasłużyła. Zapytał:
- Mniemasz, że łzami można zmyć krew? Lubo żem się mało łez napatrzył z winy tej... twojej matki? Oszczędzę synowskich uszu, bo i ja kiedyś macierz miałem, o której bym złego słowa usłyszeć nie chciał. Dlatego nie wiesz, o co prosisz.
- Wiem - odparł Lambert. - Jeno Bóg nie sądzić kazał rodzicieli, ale ich czcić i miłować. Sam ich sądzić będzie, a ja jeno modlić się mogę, by jej wybaczył. I żal zmywa grzechy.
- Ja zasię Bogu dziękuję, że nie moja to macierz i nie muszę jej czcić ni miłować, a prawo mam sądzić.

Głos Bolesława stał się tnący, znowu złe wspomnienia wzburzyły w nim gniew. Ale gdy spojrzał w smutne oczy wyrostka, gniew przygasł. Żal mu się uczyniło Lamberta. Wiedział, że Oda nie miłuje tego syna, a jednak on ją miłuje. Oczy chłopca zalśniły. Po chwili powiedział głucho:
- Wola Boża! Żegnajcie.
- Dokąd chcesz iść? Straże cię nie przepuszczą.
- Jakoże? Wżdy z dobrej woli przyszedłem. Nie każecie mnie zatrzymać! - W głosie Lamberta był wyrzut.
- Głupiś! - rzucił Bolesław popędliwie. - Ciebie chcę oszczędzić. Tam, dokąd chcesz wracać, wszystkich czeka śmierć.
- Czy wy ostalibyście, gdyby na waszą macierz czyhała śmierć?

Bolesław niemal zawstydził się, iż posądził Lamberta, że zadowoli się miłosierdziem dla siebie. A zarazem czuł, że chce go ocalić nie tylko dla pamięci ojca. Powiedział niecerpliwie:
- Poczekaj.

Chodzić jął po komnacie, unikając pytających, smutnych oczu chłopca. Na co mu każe czekać? Przez to samo budzi w nim nadzieję spełnienia prośby, której spełnić nie może. Wszystko przemawia przeciw ułaskawieniu Ody, za nią tylko ten wyrostek, który przed godziną jeszcze był mu całkowicie obojętny. Nawet jeśli go zgładzić postanowił, to dlatego jedynie, że był synem tej, o której życie przyszedł prosić, narażając własne. Bolesław nie może postąpić wbrew samemu sobie tylko dlatego, by go nie dotknąć. A jednak czuje potrzebę usprawiedliwienia się przed nim, dlaczego nie może spełnić jego prośby, mimo że uważa to za słabość. Z pacholęciem, z którym nie liczył się nikt, mówi jak równy z równym. Zaczął:
- Posłuchaj! Nie chcę mówić, ile zła z poręki twej matki spadło na nas wszystkich, ile jeszcze spaść miało, gdybym się bronić nie umiał. Jeszcze teraz, gdy każdemu widno, że kres nadchodzi, na małżonkę mą i dziatki podniosła rękę.
- To nie ona, to Mieszko - przerwał Lambert. - Zakładników chciał mieć, by nas ocalić.

- Ale nie ma ich, a ja nie chcę myśleć ni mówić, co mogło się zdarzyć.

Jako pan tego kraju za jego los odpowiadam i pewność muszę mieć, że Oda więcej kąsać nie będzie.

- Gdybym tego nie był pewny, nie śmiałbym prosić za nią. Macierz wróci do klasztoru, bo tam jej miejsce. Od złamania ślubowanej Bogu wiary zaczęło się wszystko zło. I rodzic nasz nie był bez winy, niechaj mu Bóg odpuści. Macierzy niech wolno będzie pokutą zgładzić grzech, jego i swój, a mnie miłować was i czcić jak starszego brata. Nie mógłbym, gdybyście dłonie skalali krwią mojej matki.

Miespodzianie dla siebie samego Bolesław odparł:

- Dobrze. Tobie wierzę, nie jej. Niechaj jej biskup pokutę zada i przysięgę odbierze, że więcej tu nie wróci. - Jakby chcąc przed sobą usprawiedliwić postanowienie, dodał: - I wierzę ci, że to nie Oda rękę podnieść kazała na moich.

Spodziewał się podzięki, ale Lambert milczałm, opuściwszy oczy. Książę spojrzał na niego przenikliwie i zapytał:

- Zalibyś mnie okłamał?

- Nie - odparł Lambert.

- Tedy nad czym rozmyślasz?

- Mieszko jest zły. Ale myślę, że Pismo nie mówi, iż Abel był dobrym bratem. Jeno że krew jego klątwą spadła na zabójcę i jego pokolenie. Nie ostawiajcie synom swoim takowego dziedzictwa.

Bolesławem targnął niepokój. I on ma synów z dwóch matek. Bezprym już dziś nienawidzi małego Mieszka. Co jeszcze ten wyrostek wymóc zdoła? Chciał skończyć tę rozmowę i rzekł szorstko i popędliwie:

- Dobrze! Niechaj mi Mieszko pergamin wystawi, że zrzeka się wszelkich praw po rodzicu, i idzie z kraju precz. Ty możesz ostać - dodał łagodniej.

- Dzięki ci... bracie. Chciałbym dla tego kraju coś uczynić, ale cóż ja mogę? Jeśli dla siebie wolno o coś prosić, każcie mnie odesłać do Italii. Słyszałem, że świątobliwy Romuald pustelników przy sobie gromadzi. Bagna Pereum, gdzie nikt krom nich mieszkać nie chce, w sam raz dziedzina dla takowych książąt jak ja. Walczyć o nią nie trzeba.

Zasłonił oczy rękoma. Potężne ramię Bolesława objęło szczupłe barki chłopca. Powiedział ze wzruszeniem:

- Jako chcesz. Ale gdybyś wrócić chciał kiedyś, zawżdy wierzeje najdziesz otwarte.

Xviii

Bolesław klęczał przy kamiennej płycie, na której zacierał się już napis głoszący, że pod nią leżą

zwłoki jego matki. Tu skierował pierwsze kroki, gdy jeno otwarły się bramy gnieźnieńskiego grodu, a wychodząca załoga składała broń. Nie modlił się, jeno wspominał. Gdy przymknął oczy, znużone nie spaną niemal nocą, przez chwilę uległ złudzeniu, że klęczy przy ojcu jak wówczas, gdy poróżnieni tu się pojednali. Jeszcze przed paru godzinami biesił się, że pozwolił podrostkowi wydrzeć sobie od lat nienawiścią karmioną pomstę. Teraz myślał z ulgą, że okazane miłosierdzie nie tylko szczędziło zniszczeń, krwi i czasu, ale przez chwilę w niezmąconym spokoju pozwala mu zjednoczyć się ze zmarłymi i wspomnieniem dawno minionych lat, gdy przy boku rodziców mógł snuć swoje marzenia o tym, jak kiedyś przejmie ojcowe dzieło, by je dalej prowadzić. Teraz chwila ta nadeszła, może to uczynić, wolny od wyrzutów.

Pozostało mu jeno zdziwienie. W czym leży siła, która wytrąciła mu z ręki wzniesiony już karzący miecz? Nie zdołałaby tego wyjednać nawet Emnilda, choć wiedział, że uraduje ją to, co uczynił. Potrafił to wyjednać syn znienawidzonej macochy. Bolesław zamyślił się. Nie tylko on miał przyczyny, by pomsty szukać nad Odą. Nie mniejsze miał Stoigniew, ale ten potrafił go zrozumieć. Książę nie mógł natomiast pojąć, dlaczego Stoigniew wyrzekł się pomsty nad Odylenem. Obcych wrogów starczy wygnać, wewnętrznych trzeba jednak zniszczyć. Zapragnął pomówić z krewniakiem o tych sprawach. Może trzeba go wysłać do Rzymu, by uprzedził knowania, ofiarując świętemu Piotrowi denar z odebranej braciom dziedziny. Jeśli Kuria nie poniesie straty, o wygnanych się nie upomni.

Bolesław dźwignął się z klęczek. Nawet myślą spocząć nie można. Śmierć Eryka i wygnanie Świętosławy kierują uwagę ku północy. Ujście Odry należy zabezpieczyć. Stoigniew z dawna poddawał myśl współdziałania z Ottonem. Teraz pora nadeszła, Otto osiągnął właśnie wiek sprawny. I jemu grozi północne pogaństwo, wspierane przez Swena, a w Rzymie przydać się może poparcie Ottona. Bolesław osobiście powiedzie posiłki przeciw północnemu pogaństwu, Kłótnik i Pobożny niechybnie próbować będą nakłonić Ottona, by się ujął za synami Ody. Sprawy trzeba dopilnować, nie wypoczynek się kroi, lecz nowa wyprawa.

Bolesław z ociąganiem zwrócił się ku wyjściu. Z dala dochodził gwar zmieszanych głosów, ale w kościele i na obejściu panowała cisza. Od chłodnego mroku wnętrza bazyliki jaskrawą plamą odcinał się błękit pogodnego nieba, widniejący przez otwarte wierzeje. Książę przymrużył nawykłe do mroku oczy. Gdy rozwarł powieki, zdało mu się, że odżyło w tym miejscu jeszcze jedno wspomnienie. W świetle popołudniowego słońca, z ogromnym naręczem kwiecia stała u wejścia Świętosława. Przechodząc ze światła w mrok, nie dostrzegła widocznie brata, gdyż dopiero zatrzymawszy się nad grobem podniosła na niego oczy i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Obojgu przyszło na myśl, że tu się żegnali przed dziesięciu laty, nie wiedząc, czy nie na zawsze, i tu się znowu spotkali. Świętosława uklękła, składając kwiaty na grobie, po czym schyliła głowę i trwała w zadumie. Bolesław, sądząc, że chce zostać sama, wyszedł i stał w świetle chylącego się już ku zachodowi słońca. Nie czekał długo, bo po chwili stanęła przy nim siostra. Ujęli się za ręce i patrzyli wzajem na siebie ze wzruszeniem i zaciekawieniem. Pierwsza przerwała milczenie Świętosława:

- Zmieniłeś się.

- I tyś się zmieniła - odparł z uśmiechem. - Gdym cię ujrzał, zdało mi się, że czas stanął lubo nawrócił. Ale czas płynie i zmienił niejedno.

- Śniegiem wonczas prószyło - odparła i drgnęła, jakby ją dreszcz przeniknął, a twarz jej zmierzchła, jak słońce w tamten zmienny, marcowy dzień. Zapytała cicho:

- Pomnisz ową niewiastę z krasnym chłopaczkiem, których po drodze spotkaliśmy, a której męża przed złością Ody ochronić jej przyrzekłeś?

Teraz Bolesław zachmurzył się, a Świętosława ciągnęła:

-Wonczas jeno włodarz Ody żywotem przypłacił za to, że wbrew twemu słowu sierotami ich uczynił. Nijak było pomścić się na Odzie, gdy małżonką była naszego rodzica. A dziś widziałam ją, jak bezkarnie wyjeżdżała do Poznania.

Bolesławowi zdało się, że w słowach Świętosławy słyszy wyrzut. Powiedział niechętnie:

- Dużo by mówić. Tak trzeba było. Wyjedzie i nie wróci.

- Zmieniłeś się - powtórzyła Świętosława. - Wówczas nie hamowałeś słusznego gniewu.

- Poniechaj tej sprawy. Słowo rzekłem i strzymam.

Zaśmiała się z przymusem.

- Ja nie nalegam, byś nie strzymał. - Odwracając głowę dodała: - A ten sierota, Ludzimił, powrócił ze mną. Macierz jego pomarła i przy mnie się chował. Jak do syna się przywiązałam.

- Spory już musi być wyrostek - powiedział Bolesław.

- Spory i tęgi. Żeby nie Stoigniew, byłby ubił Odę i znowu za nic byłoby twoje słowo. Kto by się spodziewał, że on jej bronić będzie.

Widząc, jak żyły nabrzmiały na skroniach brata, dodała szybko, by uprzedzić wybuch:

- Moja wina. Odkąd Ludzimił mówić się nauczył, wiedział, że pomsta za rodzica to jego obowiązek. Gdyśmy tu jechali, przyrzekłam mu, że świadkiem będzie, jak ty jej domierzysz. Cóż dziwnego, że nie zdzierżył, zmuszony patrzeć, jak Oda odjeżdża bezpiecznie, nie pomszczoną krew za sobą ostawiając.

Gdy Bolesław stał chmurny, ciągnęła:

- Darujże mu. Wżdy i Oda złamała twoje słowo, dane Ludzimiłowi, że mu ocalisz rodzica.

- Podziękuj Stoigniewowi - przerwał Bolesław - iż nie zwolił złamać mego słowa.

- Tobie dziękuję. Ale zmieniłeś się - powtórzyła.

- Nie dziw - powiedział w zamyśleniu. - Łacniej się nauczyć mieczem władać, niż w pochwach go trzymać. I łacniej władać drugimi niż sobą.

- Najtrudniej pono wymiarkować, gdzie się kończy cierpliwość, a zaczyna słabość.

Bolesław jednak, jakby nie rozumiał zarzutu, odparł:

- Jest jakowaś siła, która bez miecza i pieniądza drugich niewolić wydoła. Zda się, że nawet rozsądek ulec jej musi.

- To chyba miłowanie - powiedziała, idąc za własną myślą, ale otrząsnęła się i zapytała: - Zali wszystkie knowania, zdrady i przeniewierstwa płazem puścić zamyślasz?

- Nie - odparł. - Niechaj występnym sąd sprawiedliwość domierzy.

- Nie tyżeś tu sędzią?

- Ja. Ale nie chcę, by mówiono, że to gniew mój, a nie prawo i obyczaj karze. Niechaj każdy

wie, iż nawet przynależność do Piastowego rodu nikogo osłonić nie zdoła.

Oboje wiedzieli, o kim myślą, i Bolesław dodał:

- Dlatego, mniemam, i Stoigniew pomsty nie dokonał na Odylenie, której go wydałem. Niechaj zdradzieckich krewniaków sprawiedliwość pościgne - nie pomsta. A ja oskarżycielem będę, nie sędzią.

- Stoigniew zasię pewnikiem obrońcą - zaśmiała się z przymusem.

- Nie wiem - powiedział Bolesław. - Zawżdy inny był niż drudzy. A ninie urzekli go ludzie, którym zda się, że świat można urządzić bez miecza. Jeno uwierzyć w to trudno, choć lepiej, by tak było. Wżdy i Otto, któremu się to marzy, od miecza rozpoczyna, a ja - miast spocząć przy małżonce i dziatkach, których lata nie widziałem - do niego ciągnąć muszę. Rodzic nasz na koniu żywot spędził i omal go na nim dokonał. I mnie się nie inny kroi.

Idąc już do dworca, opowiadał o ostatnich latach ojca. Potem Świętosława przedstawiła swoje burzliwe dzieje, bunt jarlów po śmierci Eryka, swą ucieczkę do Norwegii zimową porą przez góry, swą tęsknotę za synem, Olafem Skotkonungiem, którego porzucić musiała. Ale mówiła o tym spokojnie, niemal pogodnie, jakby pewna była, że zło wkrótce przeminie. Bolesław nie chciał jej pytać, czy liczy na jego pomoc, której nieprędko będzie mógł udzielić.

Powiedział więc:

- Tedy ostaniesz z nami. Z serca rad ci jestem i Emnilda jak siostrę cię przyjmie.

- I jam z serca rada was ujrzeć i zawżdy was w nim zachowam - odparła. - Nieraz tęskniłam i tęsknić będę, ale nie ostanę. Dwakroć się drzewa nie przesadza. Olaf Trygveson swaty po mnie przyśle i wyjadę do niego. A potem wraz z nim wrócę do Szwecji. Po raz wtóry z mieczem - dodała w zadumie.

Nie była pewna wyniku, może czekała, że brat sam ofiaruje pomoc. Bolesław jednak wiedział, że nie pora mu mieszać się do walk na Północy. Stłumił westchnienie i rzekł:

- Po cóż przy powitaniu o rozstaniu mówić? Zabądźmy o troskach, przypomną się same.

Objął siostrę ramieniem i weszli przez sień do świetlicy.

Xix

Od czasu odparcia napaści dworzec Gołuchów na bagnach opróżniał się szybko. Kto z rannych miał dojść, spoczął już w mogile pod lasem, komu patrzyło się życie, zbierał się do niego. Gdy jeno poczuł się na siłach, odchodził lizać rany pod własnym dachem. Dla nich wojna już była skończona, bo we wszystkim miała się ku końcowi. Wieść przyszła, że książę oblega Gniezno, gdy je weźmie, zapanuje spokój. W miarę jak ubywało zajęcia przy rannych, wzrastała tęsknota Emnildy. Gdy zostało już jeno paru, o których troskę zdać mogła na Wrocisławę, gotować się jęła do wyjazdu. Uczyniła, co była powinna, teraz może pomyśleć o sobie.

Michał Awdaniec pomału przychodził do zdrowia, bo wykrwawił się znacznie i rany wolno się goiły. Ale dźwigał się już z łoża, a matka nalegała, by zabrał ją i jechał wraz z księżną. Gdy»Emnilda przyszła ich pożegnać i podziękować mu jeszcze raz za ocalenie, a Wrochnie za pomoc, stara Zbisława rzekła:

- Jeśli łaskę mamy u was, zabierzcie nas z sobą.

Księżna zmieszała się z lekka. Patrząc na wynędzniałą i zmalałą twarz starej niewiasty, nie miała serca rzec, iż nie dowiezie jej do Skrabna.

Zbisława jednak, jakby zgadując myśli Emnildy, dodała:

- Ostatnie, czego pragnę, to spocząć koło małżonka mego. Żywa czy martwa zajadę - za jedno.

Nie było co odrzec i księżna wyszła gotować się do drogi, a Zbisława zwróciła się do Michała:

- Zbieraj się i ty. Pomieścim się na jednym wozie.

Michał skrzywił się niechętnie. Jeszcze się nie czuł na siłach, a dobrze mu było pod opieką Wrochny. Odparł:

- Wżdy rany dopiero mi się zamknęły. I jakoż na wozie mi jechać, jak mnichowi lubo niewieście?

- Żebyś mnichem był lubo niewiastą, tobym cię nie nagliła. Wiem, że ci tu lepiej, alem ja po to trzech synów chowała, by mi swojackie ręce powieki zamknęły. I wnęków chcę mieć przy sobie, mają ojcowy dach, dość gościnnego. Niechaj Jaskotel nie wraca do pustego domu, a tymczasem strykową rękę niechaj czują nad sobą, bo zbieszą się do reszty, urwipołcie.

Chłopcy rzucili się dziękować, przykrzył się im już pobyt na odludziu, a niezbyt się bali Michałowej ręki, bo spoufalili się z nim w czasie jego słabowania. Zaraz wypadli na pole doglądać przygotowań do wyjazdu, ładowania wozów i obrządzania koni, oraz żegnać się z bobrownikami i włodarzem. Michał, kuśtykając, wyszedł za nimi i Zbisława została z Wrochną, która rzekła z wahaniem:

- Zali nie zaszkodzi Michałowi droga? Rany ledwo pogojone, by mu się nie otwarły.

Miast odpowiedzieć, Zbisława zapytała:

- A ty jedziesz z nami?

- Ja ostanę - odparła Wrochna twardo.

- Tedy Michał pojedzie. Bardziej zaszkodzić by mogło, gdyby ostał. Sam rzekł, że nie mnich ni niewiasta.

- O czym wy myślicie! - szepnęła Wrochna, wzburzona.

- O tym, że - jako rzekł - nie mnich on ni niewiasta. Wierę, że ty o tym nie myślisz. Ale miarkuj sama, co pomyślą ludzie, a choćby Jaskotel, gdy po czterech godach pod dach swój powróci, a małżonka samowtór z jego bratem cudze progi wyciera.

Na przybladłą twarz Wrochny wystąpił jaskrawy rumieniec. Odparła króko:

- Prawiście.

- Tedy jedziesz z nami? - niezwykle miękko zapytała Zbisława. - Nie miałam córy, stałaś mi za najlepszą. Obrządzałaś mnie jak własną macierz, mniemałam, że mnie do mogiły umyjesz i przybierzesz. Lekkie masz serce.

Wrochna stała z opuszczonymi oczyma. Odparła:

- Miłuję was. Ale jechać nie mogę.

- Tedy słuchaj, niewiastko, bo ostatni raz mówimy ze sobą: nie bronię ja Jaskotela, lekkoduch był, popsuty przez podwiki. Wiesz, że zawżdy z tobą przeciw niemu trzymałam, gdy był winien. Ustatkował się, ale nie bronię go i teraz, bo głowy nie dam, by mąż w sile żył jak mnich. I ptaszka jednak na gnieździe siedzi, gdy samczyk po świecie lata, taki już przyrodzony porządek.

- Ale gdy pisklęta się ulęgną, społem je karmią i chronią - rzekła Wrochna cicho.

Doświadczona niewiasta rozumiała, co boli synową, lecz na to nie widziała rady. Odparła z westchnieniem:

- Bywa, że pisklę z gniazda wypadnie lubo i gniazdo burza zniszczy. Nowe więc zakładają, póki wiosna. Ciężko mi się rozstawać, nie ciebie jeno pożegnać mi już przyjdzie. Lżej byłoby mieć wszystkich razem, których miłuję, nie o mnie jednakowoż idzie. Ostań, jeśli ci tak lepiej, iście w spokoju rany prędzej się goją. Serce miałaś dla mnie, żal, że jeno sercem odpłacić co mogę. Tedy żegnaj, córuchno, i nie wspominaj źle.

Wyciągnęła wychudłe dłonie, a gdy Wrochna pochyliła się, by je ucałować, przytuliła jej głowę do wyschłej piersi i trwały tak, aż wpadli chłopcy, wołając od progu:

- Wozy już gotowe! Idą po was, babko!

W radości i podnieceniu zapomnieliby pożegnać się z Wrochną, ale Zbisława rzekła surowo:

- Macierz ostaje. Pożegnajcie ją, zbytniki.

Ucałowali pospiesznie ręce matki i znowu wypadli na pole. Ruch i gwar panował na dziedzińcu, wozy już wyjeżdżały za bramę, na grobli zaroiło się.

Na wyżce nad bramą stał koło Wrochny Biegan i razem patrzyli na odjeżdżających, póki ostatni nie zniknął w lesie.

- Na starość człeku spokój najmilszy - mruknął.

Odwrócił się i odszedł, by zamknąć bramę. Odgłos zamykanych wierzei obudził Wrocisławę z zadumy.

- Na starość - powtórzyła.

Zdało jej się, że za bramą zostało już życie ze swymi troskami, zawodami i szarpaniną. Z tej strony jeno spokój, aż dziwny po tym, co tu przeszła. Był jej potrzebny, zanurzyła się w nim jak zziajany wędrowiec w nagrzanej słońcem wodzie. Nie musiała już wstawać po nocach ni zrywać się rankiem, czuwać przy świekrze, niepokoić się o synów, liczyć ze ściśniętym sercem dni, miesięcy i lat rozłąki z mężem. Mogiłka najmłodszego synka zawsze w tym samym miejscu, tyle że zapadła się

już i porosła bujniejszą trawą i kwieciem. Siadywała nad nią w coraz dłuższe i cieplejsze wieczory, bez żrącego już żalu i goryczy, wodząc zamyślonymi oczyma po bagnie. Na jego rozlewiskach grały blaski zorzy, z zarośli wypływały kaczki, wodząc puchem okryte potomstwo. Czasem wodna kurka przekreśliła lustro od brzegu do brzegu, by ukryć się w gęstwinie wybujałych już trzcin i tataraku, gdzie trzciniaki i remizy uwiły swe gniazda. Czasem cień kani sunął bezgłośnie nad wodą, która wygładzała się w jednej chwili, wszelki ruch i głos zamierał, ale jeno drapieżnik zniknął, choćby z łupem w szponach, ocalały drobiazg wracał do swych zajęć. Co żyło - zajmowało się życiem. Mocniejsze i trwalsze było niż śmierć, która zjawiała się jeno jak przelotny cień, na jedno mgnienie oka, o którym nie warto pamiętać.

Rzadko dochodziły tu odgłosy ludzkiego życia. Bobrowników niemal nigdy nie było na dworcu, pilnowali lęgów bobrowych i sokolich. Biegan z towarzyszem naprawiali zrazu poczynione w czasie oblężenia szkody, potem sprzęt łowiecki, spokojnie, bez gwaru i pośpiechu. Nie będzie potrzebny aż zimą, jeśli gospodarz przyjedzie na łowy.

Czasem, gdy Wrochna zasiedziała się zbyt dłudo, zapomniawszy o wieczerzy, stary przychodził jej przypomnieć. Potem, gdy słyszała jego kroki, wiedziała, że idzie ją uwiadomić, iż jadło stygnie, a stary, odwykły od mówienia samotnik przestał tracić słowa. Siadał koło niej i czekał w milczeniu, aż wstanie, i również w milczeniu szli do dworca. Nie przeszkadzał jej, nieraz zapomniała o jego obecności i siedzieli, aż zapadła noc. W jaśniejszej od brzegów, nagrzanej wodzie odbijały się gwiazdy, póki wieczorny chłód nie podniósł mgiełki przesłaniającej odbicie nieba.

Nieraz w wieczorną ciszę wdzierało się szczekanie psów, gdy zwierz jakiś podchodził do dworca lub wracał któryś z bobrowników. Ale te odgłosy nie przerywały zadumy Wrochny. Nie trwały zresztą długo i znowu świat ogarniała cisza, jakby oczekiwania. Ale Wrochnie zdało się, że nie czeka już na nic. Pustka, jaka w niej powstała po latach tęsknoty i szarpaniny, niepokoju, zgryzot i trosk, zrazu zdała jej się szczęściem. Nie wracała myślą do przeszłości, nie wybiegała w przyszłość. Potem starczyło spojrzeć na mogiłkę, by znowu uciec od życia. W miarę jednak jak czas płynął, zaczynało być trudniej. Gdy nadciągnęły czerwcowe burze i zlewy, nieraz po kilka dni Wrochna zmuszona była przesiadywać w domy. Myśl wyrywała się wówczas poza ściany pustej izby. Z niepokojem myślała, że minie lato, nadejdzie słotna jesień i sroga zima, cztery ściany z pociemniałych od starości bierwion staną się więzieniem. A w Skarbnie gwarno będzie, po wieczerzy, gdy drwa zapłoną na kominie, chłopaki, jeden przez drugiego, rozprawiać będą o swych przygodach lub wypytywać ojca o jego przeżycia. Tęsknili za nim, tyle lat go nie widzieli, a pamiętali. I wiedziała, że gdy wyjeżdżali do domu, spodziewali się go ujrzeć. Musiał już wrócić, jeno nie do niej. Prędzej o niej zapomną, wyrywali się już w świat. I pamięć zarasta jak mogiła.

Gorycz, jaką poczuła, przeszła w niepokój. Wojna była, nie wszyscy z niej wrócili. Chciałaby choć wiedzieć, ale jeszcze żal do małżomka silniejszy był od trwogi o niego. Ona ma tylko mogiłkę małego Jaskotela, tamten nigdy nie był jej, należy do świata, który zawsze go będzie zabierał, aż kiedyś zabierze i nie zwróci. Chyba tak, jak ongiś jego rodzica, starego Auduna. Tej nocy Wrochna nie spała, słuchając, jak wiart świszcze na polu i deszcz bębni po okiennicach. Potem uspokoiło się, deszcz ustał, wycięcia okiennic wyłoniły się z mroku i jaśniały z każdą chwilą. Zielonawy błękit pogodnego nieba nasycał się światłem i nagle dwa jaskrawe promienie wtargnęły przez otwory i dwie złote plamy na ścianie izby rozjaśniły jej wnętrze.

Tego dnia Wrochna po raz pierwszy przez groblę wyszła w las. Aż się dziwiła, że jest jeszcze świat poza kępą wśród bagien, lśniący od rosy i rozśpiewany. Potem upalne słońce wypiło rosę wraz

z jej blaskami, a rozlało wonie.

Koło południa głód zmusił Wrochnę do powrotu. Nie jadła od wczoraj, ale wracała niechętnie, jak do więzienia. Ogarniał ją nieokreślony niepokój. Mimo bezsennej nocy nie czuła potrzeby wypoczynku, chciała się czymś zająć. Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu zrobiła ład w izbie, której zaniedbanie nagle dostrzegła. Potem oporządzać jęła sterane szaty. Włosy, które jej odrosły, bujne i długie, nie mogąc wsunąć pod czepiec, zaplotła w kosy, po raz pierwszy przeglądając się w darowanym przez Emnildę zwierciadle. Potem z niechęcią schowała je na dno skrzyni. Po co to wszystko? Jedno, co warto uczynić, to uporządkować mogiłkę małego. Zarosła bujnym chwastem, który sam tylko zdradzał jeszcze to miejsce. Przy tym zajęciu Wrochna spędziła czas do zachodu słońca. Oczyściła grób z zielska, obłożyła darnią, ozdobiła kwieciem i usiadła nad nim zamyślona. Co dziecku z kwiecia? Patrzyła na swe dłonie, wybielałe w bezczynności. Darmo je wyciągać, nie sięgają poza grób. Ukryła w nich twarz i siedziała z zamkniętymi oczyma. Ogarnęła ją senność i zniechęcenie. Może i zdrzemnęła się, bo ledwo doszło do jej świadomości szczekanie psów i skrzyp furty. Ocknęło ją wrażenie czyjejś obecności. Ktoś usiadł koło niej, ale nie podniosła głowy. Zapewne Biegan przyszedł wezwać ją na wieczerzę. Nie czuła głodu, nie chciało się jej nawet oczu otworzyć. Nie otwarła ich nawet, gdy ktoś szeptem zapytał:

- To małego mogiłka?

Pamiętała ten głos, śnił jej się nieraz. Dopiero gdy powtórzył pytanie, przetarła oczy i podniosła głowę. Pełny księżyc pochylił się już nad borem, ścieląc na zmarszczonej wieczornym powiewem płaszczyźnie wodnej połyskliwą ścieżkę niemal do stóp Wrochny. Przy jego złudnym świetle ujrzała Jaskotela. Nie powtórzył więcej pytania, ale wiedziała już, że to nie zwid. Słyszała jego przyspieszony oddech, nie odpowiedziała jednak. Po co mówić, skoro sam wie. Milczenie stawało się jednak ciężkie, a zbyt długo nie mówili z sobą i zbyt wiele było do powiedzenia. Trudno znaleźć słowa.

Zapytała wreszcie tłumionym głosem:

- Co z macierzą?

- Jeszcze ją żywą zastałem. Pogrzebliśmy ją onegdaj.

Wrocisława była przygotowana na tę wiadomość, ale serce jej ścisnęło się.

I Jaskotelowi głos drżał, gdy dodał:

- Błogosławiła cię i podziękować kazała. I ja ci wdzięcznym za nią.

Pierwsze, co odnaleźli wspólnego, był żal za mądrą i dobrą niewiastą, ale rozmowa się urwała. By coś rzec, Wrochna zapytała po chwili:

- Wojna skończona?

Nie czekała na odpowiedź. Gdyby nie była skończona, nie przyjechałby. Nie spodziewała się tej, jaką usłyszała:

- W kraju skończona. Ninie ruszamy w pomoc Ottonowi przeciw północnemu pogaństwu. Palatynem ostałem.

Do tej chwili nie przyznała sama przed sobą, że wierzy, iż po nią przyjechał. Nie myślała jeszcze, co uczyni, ale już podświadomie zaczynała nawiązywać z przyszłością wątłą jeszcze jak pajęczyna nić. Zerwało ją oznajmienie Jaskotela. Bez namysłu rzuciła przez wyschnięte gardło:

- Po coś przyjechał? By mi to rzec?

W głosie jej był zawód, gorycz i gniew, ale Jaskotel zdał się nie słyszeć. Patrzył zadumanymi oczyma na mogiłkę, na której w świetle księżyca lśniły krople rosy osiadłe na kwiatach. Powiedział znużonym głosem:

- Pożegnać chciałem naszego małego. Gdy żyw był, pożegnać mnie nie chciał. Nie dziwota - głos Jaskotela przeszedł w szept - wżdy nie znał mnie. I ja bym go nie poznał. Myślałem, że tu łatwiej mi będzie przypomnieć, ale próżno. Tobie choć wspomnienie ostało dziecięcych pieszczot. Mnie nic.

Wstał, jakby gotując się do odejścia. I ona chciała powstać, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa i zawrót czuła w głowie. Dotychczas żal miała za tego synka, którego samotnie urodziła i pochowała. Ojciec nie dzielił z nią rodzicielskich trosk ni radości. Teraz żal ten ustąpił większemu: po latach rozłąki Jaskotel nawet jej nie dotknął, nawet nie usiłował prosić, by wróciła. Głowę oparła na kolanach i gryzła wargi, by nie krzyczeć. Poczuła na włosach jego dłoń i przez szum w uszach posłyszała głos:

- Macierz kazała, by cię ostawić w spokoju. Wrócisz, kiedy zechcesz, nikt cię naglił nie będzie.

Czuła, że lata rozłąki wzniosły między nimi jakąś ścianę, o którą oboje obijają się bezsilnie. Odparła z wysiłkiem:

- Po co mam wracać i do kogo?

Kiwnął głową ze smutkiem.

- Wiem. Wżdy nie naglę. Ostań, jeśli ci tu lepiej przy małym.

Hamowała szloch. Nie mogą się zrozumieć. Zdławionym szeptem zapytała:

- Kiedy wrócisz?

- Nigdy - odparł gwałtownie. - Mam ciebie z domu wyganiać, a sam witać puste izby i mogiły! Zadość mi.

Zerwała się i uchwyciła go za rękę.

- Gdzie Skarbek i Michał?

- Nie lękaj się - powiedział łagodniej. - Przy książęciu bawią, który wielce ich sobie upodobał za to, co uczynili. I im już niepotrzebnym.

Oplotła go ramionami z rozpaczliwą siłą.

- Tedy mamy już tylko siebie.

Długo trzymał ją w ramionach. Gdy jednak chciał coś rzec, szepnęła:

- Nie mówmy już nic.

Xx

Udręczony trzyletnią wojną domową kraj zdał się oddychać w spokoju pogodnych dni wczesnego lata. Gdzie zasiewów nie zdeptały końskie kopyta, wybujało kwitnące już zboże, błękitu nieba nie plamiły dymy płonących osad i gródków, czarne zgliszcza zazieleniły się trawą lub zazłociły się świeżym drewnem nowych zabudowań, jeśli popiołów gospodarza nie rozwiał wiatr wraz z popiołami jego domostwa. Z lasów wracali zbiegowie z resztkami ocalonego mienia. Nie wiada, od czego zacząć, do czego wcześniej rąk przyłożyć, często trzeba było z toporem iść tam, gdzie od lat starczyła socha, by odegnać puszczę, która z uporem wracać zaczynała, skąd dawno ją wyparły pracowite dłonie. Ale do walki z nią nawykli, a nie obezwładnia ich już obawa, że plon pracy zdepce wojacka samowola lub odbierze obcy włodarz, nie licząc się z prawem ni obyczajem. Z Bolesławem wrócił pokój, wraz z nim nastanie sprawiedliwość. Drugie jej, straszne oblicze wcześniej ujrzeć mieli ci, którzy dla własnej korzyści związali się z obcymi. Kto nie dał głowy w czasie walk, uchodził z kraju na gorzki chleb wygnania. Ale lepszy to los niż tych, którzy oczekiwali w więzach. Bolesław nie znał miłosierdzia. Kary na zdrajców były okrutne, myśl o nich mroziła krew, odbierała chęć do snu i jadła.

Przybywój daremnie przywoływał śmierć. Nie znalazł jej w ostatniej walce, w której otoczony i wielokrotnie ranny, jeszcze klęcząc, bronił się przed pojmaniem, póki nie opuściły go zmysły. Powróciwszy do nich, uczepił się nadziei, że dojdzie od ran. Początkowo, gdy z upływu krwi chwytały go omdlenia, spodziewał się, że nie obudzi się więcej, i znowu wracał do przytomności po to, by uświadomić sobie, że gaśnie nawet ta nadzieja, którą pokładał w śmierci. Potem rany zaczęły się goić i wiedział już, że przyjdzie mu stanąć przed Bolesławem, by zdać sprawę z całego żywota. W nienawiści do niego i poczuciu krzywdy, iż - równy mu będąc pochodzeniem - zepchnięty został niżej, byłby może znalazł siłę, by czekającą kaźń przyjąć z pogardą, gdyby nie czuł jej dla własnego postępku wobec Bolesława. W bezsilnej wściekłości przeciw Odzie gryzł własne palce. Wybuchy te przynosiły mu jednak chwilową ulgę, po nich bowiem leżał otępiały i stan ten czasami przechodził w sen, który zresztą rzadko pozwalał mu zapomnieć o strasznym położeniu.

Z bratem zrazu prawie nie mówili. Nie było o czym. Odylen po wstrząsie spotkania z Bolesławem żył w ustawicznym przerażeniu, tak że często nie słyszał nawet, gdy Przybywój, niezdolny się dźwignąć, prosił o wodę. Gdy jednak - jak wierna suka wietrząca za złym panem - zjawiła się Niesułka, zakiełkowała w nim nadzieja ocalenia, która gwałtownie rosła. Gdy Stoigniew, przed którym lęk pozbawiał Odylena snu - wyjechał, nadzieja wybujała w pewność. Bolesław, by wydobyć rodzinę z wrażych rąk, zgodzi się na wszystko. Oda potrafi wykorzystać wiadomość, a choćby z wdzięczności nie omieszka o zasłużonych swojaków upomnieć się. Odylen, jak poprzednio siedział półprzytomny z gniotącej go trwogi, nie słysząc często, co się dzieje dokoła, w milczeniu zapatrzony przed siebie, tak teraz gadać jął bez przerwy, snując domysły i nadzieje z taką pewnością, jakby siłą wyobraźni widział przebieg wypadków. Przybywój, wyzbyty z wszelkiej nadziei, niechętnie słuchał gadaniny, która drażniła go tylko, uciął ją wreszcie zniecierpliwiony:

- Głupiś! Choćby wszystko poszło, jak ględzisz, Odzie ani w myśli o nas się upominać. Jak świat szeroki, jedna Niesułka stoi o ciebie, bo też głupia. O mnie zasię nikt. Ty lepiej gotów bądź na to, co nas czeka, byś potem nie skomlał jako pies.

Odylen omal nie rzucił się na brata. Bronił swej wiary z zaciekłością, która zwróciła się przeciw Przybywojowi, jakby brat, przez to, że jej nie podziela, odwrócić mógł spodziewany bieg wypadków. Od tego zajścia przestał jednak mówić o swych nadziejach, by nie zarazić się zwątpieniem Przybywoja. Dopiero gdy jednego dnia wyprowadzono ich z lochu i pod strażą ruszyli do Poznania, Odylen odezwał się:

- Teraz obaczysz, który z nas głupi.

Pewny był, że jadą na wymianę, a świeże wiosenne powietrze po stęchliźnie lochu dawało mu już przedsmak wolności. Zaczął nawet snuć plany na przyszłość. Oda niewątpliwie zmusi Bolesława do uznania podziału państwa, przydzielone Odylenowi ziemie Stoigniewa znajdą się w dzielnicy jej synów. Gdy minęła obawa przed pomstą Stoigniewa, Odylen zapomniał o swych ślubach, że nigdy nie wróci do Koziego Rogu. Spokój zagubionego w borach gródka nęcił go, po ostatnich przeżyciach nie pragnął niczego więcej. Niesułka dbać będzie o jego mienie i wygody. Zarazem będzie to dla niej nagroda za wierność. Marzenia zdałyby mu się bliższe rzeczywistości, gdyby mógł się nimi podzielić. Lecz gdy raz zapytał Przybywoja, co zamierza czynić po uwolnieniu, a ten jeno w odpowiedzi parsknął gorzkim śmiechem, poniechał go. Niechaj się trapi, skoro chce, tyle mu z tego, że posiwiał do reszty, z zapadniętymi, wyblakłymi policzkami, okrytymi zaniedbanym zarostem - na zgrzybiałego dziada wygląda.

Nie przestrzegły Odylena podchwycone w drodze wiadomości, że Bolesław opanował już cały kraj i tylko w Gnieźnie trzyma się z resztką sił Oda. Gdy po przybyciu do Poznania umieszczono braci w górnej izbie wieży, gdzie zazwyczaj trzymano dostojniejszych jeńców, przeznaczonych na wykup lub wymianę, Odylen upewnił się, że dzień wolności jest bliski. Usiłował z dozorcy, który im przynosił żywność, wydostać jakieś wieści, ale ponury oprawca zdał się głuchy i niemy, bo nigdy nie odrzekł ni słowa. Jednego ranka dopiero, gdy dłużej niż zwykle czekali na niego, przyszedłszy, rzucił krótko:

- Zbierać się!

W Odylenie zatrzepotało serce. Drżącym z podniecenia głosem zapytał:

- Dokąd?

Tym razem otrzymał odpowiedź, jak niespodziewany cios:

- Na sąd.

Odylen nie wierzył, by zajść zdołał o własnych siłach, choć niedaleko było do nowego dworca, gdzie w wielkiej świetlicy przygotowano stół i ławy dla sądu. Nogi plątały mu się, w głowie miał zamęt, z którego rozpaczliwie usiłował wyłowić jakiś pomysł obrony. Z wysiłkiem uchwycił myśl: wierny był staremu księciu, posłuszny jego woli stanął po stronie młodszych synów. Wspomnienie

winy wobec Stoigniewa starał się odepchnąć. Widno krewniak pomsty poniechał, skoro nie wywarł jej w Czersku. O zamyśle porwania Emnildy z dziećmi Bolesław wiedzieć nie może, skoro nic z tego nie wyszło. Zapewne Niesułce nie udało się przenieść wiadomości lub dotarła do Ody za późno. Odylen uspokoił się nieco, ale gdy weszli do świetlicy, resztki włosów stanęły mu na głowie. Na ławie pod ścianą siedziała skulona Niesułka. Podniosła smutne oczy i patrzyła na Odylena, jakby wzrokiem błagając o wybaczenie, że nie udało jej się go ocalić. Obecność jej świadczyła, że książę wie o wszystkim, wątła nadzieja na jego miłosierdzie prysła. Nigdy nie wybaczy zamachu na swą rodzinę. Gdyby»Niesułka ukryła się, Odylen mógłby zaprzeczyć swego udziału i zapewne uwierzono by, że siedząc w lochu w Czersku, nie mógł mieć z zamachem nic wspólnego. Nie wiedział, że młody Mieszko nie starał się nawet ukryć jego udziału w sprawie, choć mógł to uczynić, pewny już własnego życia, i dlatego Niesułka stała teraz przed sądem wraz z Odylenem. Patrzył na nią jak na wroga, który pogrążyć go ma do dna, nie myśląc o tym, że odegnawszy ją, gdy miał nadzieję na wyniesienie, teraz wciągnął ją ze sobą w upadek. Rozpaczliwie szukał w myśli wykrętu, który by pozwolił mu choć gołe życie ocalić, ale przeszkadzał mu widok sędziowskiego stolca na podniesieniu za stołem. Okrągłymi ze strachu oczyma widział już na nim Bolesława i czuł, że w jego obecności słowa nie zdoła z siebie wydobyć. Na myśl, że stanąć trzeba będzie przed księciem, zapragnął, aby już było po wszystkim. Chwile oczekiwania wlokły się nieznośnie.

Książę jednak postanowił nie zasiadać w sądzie. Chciał, by kara, jaka spotkać ma winowajców, za przykład mogła służyć, a znając siebie, wiedział, że nie dopuściłby nawet oskarżonych do słowa. Jemu nie trzeba było dowodów winy, jeszcze za starego księcia znosili się z obcymi, próba otrucia, którą ofiarą własnego życia udaremnił wesołek Emnildy, wypijając przeznaczoną dla młodego księcia truciznę, działa się w jego przecież obecności. Nieudany zamach na Emnildę i dzieci, o którym samo wspomnienie doprowadzało Bolesława do wrzenia, był też z poręki Odylena. Mieszko nie potrzebował pomawiać go, gdy poczuł się już bezpieczny, a choć za świadka nie stanie, jest niewiasta, która pośredniczyła w doniesieniu podsłuchanej wieści. Nie chce wprawdzie mówić, ale sąd potrafi wymóc zeznania, by wszystkim jawne było, że to nie gniew księcia, ale sprawiedliwość winowajców dosięgła.

Oskarżenie postanowił książę zlecić Stoigniewowi, który i własnej sprawy miał dochodzić. Posłał tedy po niego, a gdy oznajmiono przybycie wojewody, wyszedł ze świetlicy, gdzie gwarzył z Emnildą, nie chcąc przy niej omawiać sprawy. Żywiła współczucie dla wszelkiego cierpienia i nieraz, by jej przykrości oszczędzić, musiał kary łagodzić lub zgoła winy darować.

W tej sprawie jednak nie zamierzał ustąpić. Nie jeno gniew, ale rozsądek nakazywał surowość, jeśli kara przykładem ma być. Mniej winni dali już głowy lub poszli na sprzedaż jako niewolnicy. Tak drogo kosztowało złamanie oporu, że na przyszłość nawet myśl o nim książę zdeptać postanowił do ostatniej iskry, by ręce mieć wolne dla czekających spraw.

Spieszno jednak było Bolesławowi wrócić do małżonki i dzieci, które wkrótce znowu żegnać przyjdzie. Dlatego, ujrzawszy Stoigniewa, zaczął bez wstępu:

- Sąd nad Odylenem i Przybywojem zleciłem Mszczujowi. Sobiebór i Zabawa wraz z nim zasiądą. Chcę, by sprawa, która głośna jest, należytym porządkiem się odbyła. Tyżeś biegły w prawie i obyczaju, a choć pomsty nad Odylenem się odrzekłeś, mniemam, że nie dlatego, by bezkarnie uszedł. Tedy będziesz ich oskarżał także z mego ramienia.

Stoigniew skinął głową, ale odparł:

- Iście o sprawie długo mówić będą, ale niedobrze, by Piastowych potomków ludzie niższego stanu sądzili. Skoro sami sądzić nie chcecie, kogoś z krewniaków sędzią wyznaczyć należało.

Bolesława niecierpliwiły przeszkody, odparł więc niechętnie:

- Możeś i praw. Jeno wiesz, dlaczego sam nie sądzę i nie ciebie sędzią ustanowiłem. Ale Sobiesław do Czerska już wyjechał, a z innych krewniaków jeno Włodziwój jest pod ręką. Nie wiem, zali trzeźwy, choć rano. A na dobitkę Zabawa i Sobiebór igry sobie zwykli czynić ze wszystkiego, a innych dostojników takoż nie ma tu, bo każdy spocząć chce przy swoich. Jedyny Mszczuj stateczny i powagi zażywa.

- Tedy niechaj przy Włodziwoju zasiada wraz z drugim. Doświadczony człek dopilnować wydoli, by sprawa obyczajnym porządkiem się odbyła. Trzeba będzie, podeprę go i ja, a w końcu zawżdy wam służy wyrok odmienić, gdyby niesprawiedliwy był lubo nieobyczajny.

- Sędzią być nie chcę, a łaski ode mnie nie czekać. Ale niechaj będzie, jak mówisz. Każ tedy uwiadomić Włodziwoja i kończcie.

Gdy wojewoda wyszedł, książę wrócił do małżonki, rad zapomnieć o sprawie, która drażniła go jeno. Emnilda jednak, która przedtem z ożywieniem opowiadała o dzieciach, teraz roztargniona się stała i rozmowa rwała się. Boleław łatwo się dorozumiał, że musiała słyszeć lub domyślać się, o czym mówił ze Stoigniewem, czuł, że i z nią nie uniknie o tym rozmowy. Sam zaczął porywczo:

- Zali te zdychające gady jeszcze i między nami mącić mają? Jeśli o nich myślisz, to myśl nie o tym, co ich czeka, jeno co uczynili. Dawno byś wdową była, a dzieci nasze sierotami, żeby nie twój Trzosek, niechaj mu Bóg odpłaci. Zali na ciebie i dziatki zawahali się rękę podnieść? Jak żywot długi, zawżdy o nich myśleć musiałem, zadość będzie! A ty miejże rozsądek, w którym i miłosierdzie kres znaleźć musi.

Nie sierdźcie się - rzekła cicho, podnosząc oczy. - Wiem ci, że sprawiedliwość występki ścigać każe, jeno mniemam, że leży między okrucieństwem a miłosierdziem. Bliżej miłosierdzia - dodała cicho.

- Wiem, że mnie o srogość pomawiają - odparł Bolesław, marszcząc brwi - ale kary srogie być muszą, by się ich lękano. Nie ja je umyśliłem, jenom po dziadach odziedziczył jako i inny obyczaj.

- Ale pogański. Chrześcijaństwo uczy miłosierdzia, a w waszej mocy prawo i obyczaj łagodzić.

- Nie ma takowej kary, na którą by nie zasłużyli, i nie ja jej domierzę.

Zasię o miłosierdziu dla nich nawet mi nie mów - zakończył szorstko.

Widząc, że zmieszała się i posmutniała, położył rękę na jej jasnych włosach.

- Za to samo, że twego smutku są przyczyną, łby im ściąć by należało - powiedział, uśmiechając się. - Nie myśl o nich, bo tego niegodni, ja zasię nie zaznam spokoju, póki psi kości ich nie rozwłóczą.

- Nad czym dumasz? - po chwili milczenia rzucił niecierpliwie. - Lataśmy z sobą nie gadali, wkrótce znowu ruszyć mi przyjdzie, a o sprawiedliwości rozprawiać będziem, miast o tym, co jeno nasze?

- Nawykłam już, że rzadko mam was dla siebie, nawet gdy przy nas bawicie.

Ale ja się nie żalę, wiem, że ważniejsze sprawy od naszych własnych macie na głowie. Niechaj i mnie wolno będzie o nich mówić.

Widząc gniewny błysk w oczach męża, dodała spiesznie:

- Nie o onych zdradzieckich krewniakach. Niechaj im Bóg odpuści, skoro wy nie możecie. Jeno u Niego ista sprawiedliwość, bo jedna dla wszystkich. O onej niewieście myślę, co przeciw Odylenowi ma świadczyć. Wiem, jakie są sposoby, by zeznania wymusić...

- Nad nią się litujesz? Gdyby nie ona, nigdy by się Mieszko nie dowiedział, gdzie przebywasz. Wiedziała, co czyni, i choćby z niej pasy darli, nie będzie za wiele. - Widząc, że oczy Emnildy zalśniły, dodał łagodniej: - Sądu to rzecz, jak dowód winy zdobyć. Nie myślże o tym.

- Ja rozważam, co wy byście o mnie pomyśleli, gdybym przeciwko wam złożyła świadectwo, choćby ze mnie pasy darli.

Bolesława jednak rozgniewało porównanie. Powiedział gwałtownie:

- Cóże mnie z onymi łotrami równasz, a siebie z jego miłośnicą!

- Nie ludzi się sądzi, jeno ich uczynki.

- Jeno tyś mi wiarę ślubowała...

- Zali lepszy ten, co dług oddaje, czy ten, co ponad obowiązek świadczy?

Bolesław nie odpowiedział i chodzić jął po świetlicy. Po chwili, stanąwszy przed Emnildą, zapytał:

- Czego chcesz zatem?

- By onej niewiasty sąd nie zmuszał świadczyć przeciwko temu, którego miłuje.

- Nie jeno świadectwo ma złożyć, ale karę ponieść, że ręki przyłożyła do czynu.

- A ten, który go dopełnił, bezkarnie odjechał!

Książę niecierpliwie szarpnął wąsa.

- Palec dać, za rękę ciągną. Zrozum, o co prosisz. Mieszko za świadka nie stanie, Odylen zaprzeczy, bez dowodu skazany być nie może i płazem mu ujść gotowe, za co łamanie kołem mu się patrzy.

- Wżdy nie o to jedno sprawa.

- Licho wie Stoigniewa, co ze swoją uczyni, bo i jemu się marzy świat bez miecza. Jeno mi głowę popiołem posypać, że ja mieczem sprawiedliwości domierzam.

Uśmiechnęła się przymilnie.

- Wydaliście Odylena pomście Stoigniewa, jego sprawa, co uczyni. Po sprawiedliwości Niesułkę mojej pomście winniście wydać.

- Niechże cię! - zaśmiał się Bolesław rozbrojony. - Czędo się twojej pomsty ulęknie. Tedy bierz ją i niechaj więcej nie słyszę o niej.

Bratanek starego Ziemomysła - Włodziwój - łatwo się pogodził z tym, że starsza linia Piastowego rodu zagarnęła całą władzę. Nawet o to nie miał żalu, że ni stary książę, ni Bolesław nie powierzali mu urzędów i dostojeństw, które by go zmuszały do trudów lub myślenia, gdy wolał wypić, a potem spać do syta. Rad był jednak, gdy Stoigniew zawiadomił go, że książę sąd mu zlecił

odprawić nad Odylenem i Przybywojem. Przybrał nalaną nieco twarz w powagę, pierś w łańcuch złoty i wraz ze Stoigniewem udał się uroczyście do świetlicy, gdzie za sędziowskim stołem siedzieli już Mszczuj Mściwojowic i Wisław Zabawa. Gdy na jego widok powstali, dostojnie ręką im skinął i zająwszy miejsce na podwyższeniu, małymi oczkami wpatrywał się przez chwilę surowo w oskarżonych. Przybywój odpowiedział mu ponurym i lekceważącym spojrzeniem, Odylen natomiast odetchnął i znowu uchwycił się nadziei: z Włodziwojem nie mieli żadnych zadzierek, człek ospały jest i tępy, może sprawa skończy się na utracie mienia i wygnaniu.

Włodziwój, który jednak wiedział o przyczynach zawziętości księcia przeciw zdradzieckim krewniakom, z góry postanowił przymilić mu się surowym wyrokiem. Nie oznajmiwszy nawet, że otwiera sąd, odezwał się:

- Kołem was łamać, żywcem ćwiartować, a psom ścierwo cisnąć, przeniewierce!

Pod Odylenem ugięły się nogi. Zrozumiał, że próżna nadzieja, i rzuciwszy się na kolana, zawołał:

- Pomiłujcie, krewniaku!

- Nie proś! - warknął Przybywój, a zwracając się do Włodziwoja, burknął:

- Tyżeś sędzią, opoju? Czyń, co ci kazali, i kończ, bo mierzi mnie patrzeć na ciebie, służalcze!

Włodziwój zerwał się, ale Mszczuj, kładąc rękę na jego dłoni, rzekł dobitnie:

- Pierw podsądnym oznajmić należy, za co odpowiadać mają. Służy im prawo bronić się, a sąd sprawę rozważyć winien, nim wyrok ogłosi.

- Każdemu wiadomo, o co sprawa, a ich łgarstwa nieciekawym - mruknął Włodziwój, ale nie sprzeciwił się, gdy Mszczuj, zwracając się do Stoigniewa, powiedział:

- Zechciejcie wywieść oskarżenie.

Odylen przerażone oczy utkwił w wojewodzie, Przybywój patrzył przed siebie z twarzą zaciętą, gdy Stoigniew zaczął:

- Iście każdemu wiadomo, że jeszcze za sławnej pamięci dziada mego, Ziemomysła, a stryka tych oto winowajców, z wrogami się przeciw własnemu rodowi i jego uznanej głowie znosili, szkodząc dziełu zjednoczenia ze złości jeno i zawiści. Co sądowi wiadome, tego dowodzić nie trzeba. Ale gdyby nawet zaprzeczyć śmieli temu, co za kniaziów Ziemomysła i Mieszka popełnili, lubo powołać się chcieli na dawność czy darowanie win przez wyrozumiałość pomienionych władców, starczy tego, co świeżo własnymi widzieliśmy oczyma, gdy po śmierci Mieszkowej z rzekomą wdową po nim, a iście zbiegłą mniszką, przeciw prawemu dziedzicowi wystąpili, ze srogością i okrucieństwem na czele obcych najemników własny kraj niszczyli i na licu przy popełnianiu tych czynów z bronią w ręku pojmani zostali. Bez dowodów przeto o zdradę i przeniewierstwa są przekonani i bez sądu pokarani być mogli. Aliści że przed sąd zostali stawieni, którego wyrok przykładem ma być dla potomnych, tedy wedle zwyczajnego porządku bronić się mogą i niechaj im sąd w tej sprawie głosu udzieli, nim dalsze zarzuty wywiodę.

Włodziwój przyzwalająco skinął głową. Odylen coś jąkać zaczął bez składu, z trwogą czekając na to, co Stoigniew jeszcze chowa w zanadrzu. Przybywój natomiast, patrząc ponuro na Stoigniewa, zaczął:

- Pomarł rodzic nasz, gdy wyrostkiem byłem. Nie wiem, zali, jak twój, zrzekł się należnego mu

działu, alem ja się go nigdy nie zrzekał, bo nie w smak mi było - jak tobie - służyć nie lepszym ode mnie. Mówisz o zjednoczeniu naszych plemion, a czemuż to kniaź Mieszko dziedzinę podzielił? Jeno że między swoich potomków. Swego tedy dochodziłem, a stoję tu, bom przegrał. Nie sprawiam się, bo nie mam przed kim, a co nas czeka, wiem, bo już ten opój rzekł, co mu jego panek przykazał, nim nam w łasce swej gębę otworzyć zwolił.

Włodziwój poderwał się znowu, ale Stoigniew, nie zważając na to, zwrócił się do Przybywoja:

- Nie każdy zrozumieć wydolił, że stare się skończyło i jeden rządzić winien, gdzie rządziło wielu, jeśli wszyscy społem karku pod obce jarzmo nie mają pochylić. Niektórzy, nie rozumiejąc, jeno wiarę żywiąc, że pospólne dobro pospólnym jest celem, z wielkich książąt ramienia większą nieraz władzę ninie sprawują, niźli z własnego mieli, z wiecami liczyć się zmuszeni. Nie brakło jednak i takich, co otwarcie, z mieczem w ręku dziedzictwa swego bronili i niejeden żywotem przypłacił, bo nie masz takowej budowli, przy której by trzaski nie leciały. Ale zachowali cześć. A ty? - dźwięczny i spokojny głos Stoigniewa stał się tnący - jakich to wieców się pytałeś, zali we wspólnocie żyć chcą lub nie? Z kimżeś przeciw własnej krwi występował? A kto z wrogiem przeciw swoim trzyma - zdrajcą jest. I jaką to broń i gdzie przeciw prawemu dziedzicowi podniosłeś? Jad, któryś mu, pod jego dachem chleb gościnny jedząc, wsuł do kielicha. Jeśli zaprzeczyć się ważysz, on sam tu stanie, nie jako pan twój, którego gniew starczy, by cię zdeptać, jeno jako świadek twej plugawej nieprawości!

W miarę jak Stoigniew mówił, wyblakła twarz Przybywoja napływała krwią, aż stała się sina. Potem poszarzała jak popiół, Przybywój opuścił powieki na wpadnięte oczy i nie odezwał się nawet, gdy Stoigniew, wyczekawszy chwilę, powiedział już spokojnie:

- Mów, bo jeśli nie zaprzeczysz, sąd winę twą musi przyjąć za stwierdzoną.

Gdy milczenie się przedłużało, Stoigniew skierował spojrzenie na Odylena, który wił się pod jego wzrokiem jak zwierz w paści na widok zbliżającego się łowcy. Pewny był, że Stoigniew własną sprawę wywiedzie, i wysiłkiem rozpaczliwym szukał wykrętu lub sposobu skłonienia wroga do wyrozumiałości.

W ciszy słychać było tylko głośny jego oddech, gdy Stoigniew zaczął:

- Ninie nam jeszcze postępki rozpatrzyć tego gardziny, który z niewiastami wojuje. Każdemu z nas wiadomo, ile trudu i krwie kosztowało, by nieopatrzny krok, wymożony na starym i chorym człeku przez chytrą niewiastę, którym z drogi swego żywota zboczył - sprostować. Nie ujmuje sławie tego władcy, że człekiem jeno był, dostępnym słabości. Wszystko, co żywie, miłuje własne potomstwo i od tej słabości nie jest wolny i kniaź Bolesław. Ten zasię nędznik, który nigdy nikogo, krom siebie samego, nie miłował, gdy chybił chytrością i mieczem, tę właśnie słabość naszego pana wykorzystać postanowił, trzyletni krwawy wysiłek całego kraju udaremnić, by własny marny żywot ratować. Zwiedziawszy się przez cudzą nieopatrzność, gdzie bawi księżna z dziećmi, wiadomość Odzie przez tę oto niewiastę przekazał i przypadek jeno zdarzył, że haniebnego zamiaru do skutku doprowadzić nie zdołał.

Niesułka, która dotąd siedziała skulona, zerwała się z miejsca:

- To ja zwiedziałam się i zawiadomiłam młodego pana! Nikt mi nie przykazywał! - krzyknęła.

Włodziwój pięścią wyrżnął w stół, ale stropił się, nie wiedząc, co poczynać. Stoigniew patrzył na Niesułkę z politowaniem, ale Mszczuj, zwracając się do niej, zapytał:

- Zali wiesz, coś rzekła i co cię czeka za to? Sąd mógłby wyrozumiałość mieć, gdybyś jeno bezwolnym narzędziem była niegodnego człowieka, który przywiązanie twe wyzyskał, nie bacząc, że twój żywot naraża, byle własny ocalić. Ale nie ocali go, bo nie ta jedna wina na nim ciąży. Tedy odwołaj, coś rzekła, bo prawda i tak wyjdzie na jaw. Jego nie ocalisz, siebie zgubisz!

W ciszy ledwo słychać było szept Niesułki:

- Wraz z nim chcę umrzeć.

- Posłuchaj, niewiasto - podjął Mszczuj. - Jako rzekł wojewoda, Odylen siebie jeno zawżdy miłował. Niczyjego miłowania niegodzien.

Podniosła na Mszczuja zalane łzami oczy , mówiąc:

- To kłamstwo. Mnie miłował.

Sędziowie coś szeptać jęli między sobą, a Stoigniew kiwał głową z politowaniem. Rozumiał Niesułkę: woli żywot stracić niż swoją wiarę. Darmo ją przekonywać, na nic rozum przeciw wierze.

Myślał, jak nie odbierając jej wiary, można by ocalić zaślepioną niewiastę, gdy wszedł komornik Lasota i skłoniwszy się przed Włodziwojem, oznajmił:

- Miłościwy pan zwolnić kazał Niesułkę od obwinienia i świadectwa.

Włodziwój sapnął i odparł:

- Tedy bierz babę, bo jeno tu gawędzi i sądowi piaskiem w oczy miecie.

Komornik skinął na Niesułkę, ale nie ruszyła się z miejsca, jakby nie widziała i nie słyszała. Gdy ujął jej rękę, wyszarpnęła ją, mówiąc:

- Nie chcę nijakiej łaski! Ostawcie mnie!

- Precz! - krzyknął Włodziwój, ale gdy i teraz zdała się nie słyszeć, zawołał straż i dwóch pachołków wywlekło opierającą się z izby. Gdy ucichło, zwrócił się do Odylena:

- Teraz ty gadaj, maszli co rzec, a nie - to kończym.

Odylen, poprzednio tak zgnębiony, że słowa nie mógł wydobyć, zrozumiał jednak, że położenie odwróciło się na jego korzyść, i znowu uchwycił się nadziei. Choć jasne było, że sąd nie wierzy Niesułce, ale bez jej świadectwa dowodów nie ma. Zaczął mówić szybko, jakby się lękał, że ucieknie mu wykręt, którego tak długo i bezskutecznie szukał.

- Tak było, jak rzekła ona niewiasta, a Mieszko Mieszkowic jeno ze złości lubo ze strachu na mnie obmowę rzucił.

- Ty łgarzu! - popędliwie wpadł mu w słowo Włodziwój, ale Odylen nie pozwolił sobie przerwać. Umyślnie okazując mu lekceważenie, zwrócił się do Mszczuja:

- On pierwszy raz w sądzie zasiada, a zawżdy umysłu był miałkiego. Ale wam sądzić nie nowina. Tedy rzeknijcie, zali sąd, jakim by porządkiem prowadził postępek, (tu: przewód sądowy) chocia i

jakowymś nowym, którego u nas nie bywało, Mieszkowe gadanie za dowód przeciwko mnie przyjąć może. A wżdy nawet i Mieszka już w Czersku nie było, gdy mnie pojmano. Zali na wiarę zasługuje, co ów złośliwy wyrostek prawi, że jakoby od Niesułki posłyszał, lubo to, co sąd własnymi od niej słyszał uszami?

Odetchnął, jakby ciężar mu spadł z piersi, i ciągnął coraz pewniejszy siebie:

- Tyle zostało z tego oskarżenia. Nie wiem, zali trzeba mi mówić o pozostałym, skoro je zbił sam Stoigniew. Każdemu bowiem wiadomo, że jakie by mogły być moje dawne przewiny za panowania dziada i rodziciela Bolkowego, kniaź Mieszko mi wybaczył i żupanem mnie ustanowił w Lubuszy, gdzie mu do jego śmierci wiernie i rzetelnie służyłem. A zasię zdrowym umysłem zrozumieć trudno, że gdym z wdzięczności za łaskę, po śmierci dobroczyńców, wolę jego ostatnią szanując, po stronie młodszych dziedziców stanął, zdradą to ma być i przeniewierstwem.I nie znam takowego prawa ni obyczaju, by panującemu kniaziowi nie lza było dzielić dziedzictwa, i sam nawet Stoigniew rzekł, iże to pamięci kniazia Mieszka nie uwłacza.

Upojony własną obrotnością Odylen rozzuchwalił się i postaniowił uprzedzić oskarżenie, którego się jeszcze lękał. Podjął:

- Wiem ci, o co ma na mnie złość Stoigniew, ale to między nami sprawa, którą nie tu sądzić. Nie mówi o niej, ale nie sprawiedliwości, jeno pomsty na mnie szuka, jako zdradę przedstawiając, żem wierny pozostał woli starego kniazia, choć wiadomo, że nie od umarłych czekać nagrody, jeno od żywych. Ale jeśli jest jakowa sprawiedliwość, nim moje kości psi rozwloką, kniazia Mieszka z grobu wykinąć by należało, bo on rozkazywał, a jam jeno słuchał.

Patrzył kątem oka na Stoigniewa, niepewny, co ten pocznie. Ale wojewoda rzekł krótko:

- Wysłuchaliśmy cierpliwie. Jeżeli obwiniony skończył, mniemam, że sąd się naradzić musi, zali mu to starczy do wyroku.

Odylen odetchnął. Życia był już pewny, tak że nawet żal mu się uczyniło Przybywoja. Gdy sąd wyszedł, przystąpił do niego, mówiąc:

- Czemużeś nie przeczył? Wżdy za rękę cię nikt nie schwytał. Wyszlibyśmy cało.

Przybywój podniósł na brata przekrwione oczy i nagle parsknął śmiechem gorzkim i żrącym:

- Nade mną nie lutaj. Bodajś nie lutał nad sobą.

Odylen nie bez podstawy spodziewał się łagodnego wyroku. Stoigniew swojej sprawy poniechał, winę zamachu wzięła na siebie Niesułka, a w wojnie o spadek w rzeczy samej nie brał udziału, dzień lub dwa będąc jeno żupanem w Czersku, którego zgoła nie bronił. Jasne zaś było, że dawniejsze sprawki kniaź Mieszko mu wybaczył, skoro Odylen do samej jego śmierci sprawował urząd żupana Lubuszy.

Wszystkie te okoliczności podniósł na naradzie Mszczuj i choć Włodziwój ciskał się, wiedząc, że książę bardziej nawet na Odylena zawzięty niż na jego brata - Mszczuj obstawał przy swoim, choć jak i drudzy przekonany był o winie Odylena.

Gdy Włodziwój gniewem księcia groził, gdyby obwinionemu cało wyjść zezwolili, Mszczuj odparł:

- Panu służy prawo wedle wewnętrznego przekonania kary domierzać, sądowi bez dowodów nie.

Zabawa, który dotychczas głosu nie zabierał, teraz odezwał się:

- Na postępku niezbyt się wyznawam, ale na ludziach niczego sobie. Gdyby na mój rozum wybierać przyszło, którego o łeb skrócić, wybrałbym Odylena. Przybywój chocia mąż jest, co uczynił - nie przeczy, łaski nie wygląda.

Zasię Odylen z własnej macierzy skórę by zdarł, by swoją chronić.

- Ale przeciw Przybywojowi dowód jest, a przeciw Odylenowi nie.

- Jest jeszcze sprawa Stoigniewa - wtrącił Zabawa.

- Nie ma sprawy bez oskarżenia - odparł Mszczuj. - Mógłby po prawdzie i kto inny oskarżenie wnieść, boć nie o wojewodę jeno szło, ale i tak roki odłożyć by trzeba, skoro Jaskotel i Michał Awdańce wyjechali, którzy byli w sprawie i mogliby złożyć świadectwo.

- Nie będę roków odkładał - żachnął się Włodziwój. - Wiadomo, że Bolesław skończyć chce sprawę, zanim wyjedzie.

- Chcieli książę kończyć - rzekł Zabawa - niechaj sam kary domierzy. Bo - jako tu stoję - gdyby Odylen cało miał wyjść, przeciw zasądzeniu Przybywoja głos oddam. Nie znam się, jako rzekłem, na postępku, ale wiem, co sprawiedliwość.

- Tedy nie widzę innego wyjścia, jeno książęciu sprawę przedstawić - odezwał się Mszczuj. - Jeśli wyrok przykładny ma być i postępek musi być przykładny. Nie byłoby zasię dobrym przykładem, gdyby sąd Odylena od winy zwolnił, a wbrew wyrokowi książę sam kary domierzył.

- Pójdźmy przeto do Bolesława - niecierpliwie uciął Włodziwój. - Po cóż nam czas mitrężyć, gdy on jednym słowem sprawę załadzi. Żreć już mi się chce.

- Przyzwijmy i Stoigniewa - rzekł Mszczuj. - Biegły jest w prawie i obyczaju, niechaj on panu wyjaśni, dlaczego Odylena na szyi pokarać nie możem.

Gdy Bolesławowi oznajmiono, że sąd czeka na niego w świetlicy, by sprawę przedstawić i wskazania zasięgnąć, książę sarknął gniewnie:

- Czegóż ode mnie chcą, u biesa! Po licha mi sąd, gdy sam myśleć mam o sprawie! Do czego jeno Stoigniew ręki przyłoży, co proste - staje się zawiłe. Z jego to dorady niedojdę Włodziwoja sędzią ustanowiłem, który uporać się nie może ze sprawą. Ja krótko ją uładzę!

Poderwał się gniewnie, małego Mieszka, którego piastował na kolanach, zsadzając na ziemię.

- Stoigniew jest człek roztropny, a o dolę ludzką idzie - powiedziała Emnilda - tedy nie lza gniewem czy uprzedzeniem się kierować. I wy pomnijcie, że gniewny sędzia sądzić nie powinien i że po raz pierwszy sądzi się mężów z Piastowego rodu. Niechaj wyrok iście przykładny będzie, bo pamiętać o nim będą pokolenia.

- Taki przykład potrzebny, by to po raz ostatni było. Nie broń przeniewierców.

- Nie bronię, jeno proszę, byście cierpliwie sędziów wysłuchali, nim postanowicie.

Bolesław skinął głową i wyszedł. Ze zmarszczoną brwią słuchał, gdy Mszczuj przebieg sprawy przedstawiał. Gdy zaś skończył, odezwał się, widocznie hamując gniew:

- Widzę, że ilu sędziów, tyle wyroków. A ty co mniemasz? - zwrócił się do Stoigniewa.

- Nie moja rzecz sądzić - odparł wojewoda - jeno kary żądać. Jeśli zasię o nią idzie, to rozważcie sami, czy dobrze byłoby Piastową krew rozlewać. Pomnijcie, że należć się mogą naśladowcy.

W Bolesławie aż zakipiało, ale warknął jeno przez zaciśnięte zęby:

- Sprawiedliwie mówiła Świętosława, że obrońcę w tobie najdą miast oskarżyciela. Dwoma zdrajcami trzy pokolenia głowę sobie mają zaprzątać!

- Pytaliście, co myślę, tedy rzekłem. Wasza rzecz rozważyć.

Bolesława ogarniało rozdrażnienie, ale starał się zachować spokój. Gdy Zabawa poprosił o głos, książę skinął przyzwalająco. Postanowił cierpliwie wysłuchać wszystkiego, nim poweźnie decyzję.

- U Chazarów - zaczął - takoż krew Kaganowego rodu święta jest i rozlewać jej nie wolno. Trzeba zasię któremuś z rodowców koniec uczynić, w kobierzec go zawijają i tłuką o ścianę, póki ducha nie wyzionie.

Włodziwój spojrzał na Zabawę z uznaniem i podziwem, ale Stoigniew wtrącił:

- Obełgują sami siebie, bo śmierć jedna jest. Wżdy można człeka zbawić żywota ogniem i trucizną, krwie nie rozlewając, aleć nie o to idzie.

- Iście, nie o to - powiedział książę już spokojnie - jeno by tamę położyć występkom. Dałby Bóg, by każdy, nim je popełni, tak nad nimi rozważał, jako wy nad wyrokiem. Ale tak nie jest i nie będzie, Bożego sądu raniej by doczekał niźli ziemskiej sprawiedliwości, bez której nie masz ładu ni spokoju. Przed Bogiem ja będę odpowiadał. Wszyscy inni przede mną.

Wstał i zakończył:

- Oczy im odjąć!

W słoneczny, letni dzień, gościńcem wiodącym z Gniezna do Poznania ciągnął niewielki orszak. Jadąca na jego czele Świętosława z zadumą rozglądała się po okolicy. Zwracając się do towarzyszącego jej wyrostka, powiedziała:

- Napatrz się i ty, wkrótce znowu wyjechać przyjdzie, łacniej będzie wspominać.

Biegła widocznie myślą za wspomnieniami, gdy dodała:

- Tu opodal naszłam ciebie po raz pierwszy. Pomnisz aby?

- Jakoby przez sen - odparł. - Gdzieś ci tu na drodze, zda mi się, że miejsce bym poznał.

- Dziesięć godów - powiedziała w zamyśleniu. - Zmieniło się wiele. Jedne drzewa porosły, inne wichry obaliły. I ludzie nie ci sami. Wraca człek własnym śladem jako wilk, a nie odnajdzie tego, co porzucił. Tęży za tym, czego już nie ma. Lepiej chyba, nie obzierając się, przed siebie iść.

Myślała o tym, że dziewosłęby Trygvesona czekają już w Poznaniu i Bolesław naglił o jej przyjazd, sam gotów wyruszyć z posiłkami dla Ottona. Gdy jechała do kraju, dni liczyła, dzielące ją od połączenia się z człowiekiem, który rozpłomienić zdołał jej chłodne dotychczas serce. A teraz ciężko się jej oderwać od miejsc i wspomnień dzieciństwa. Pamięta jak dziś, gdy po raz pierwszy opuścić miała ojczyznę. Przywiązała się do Szwecji, zostawiła tam syna, za którym tęskni, a nie lżej wyjeżdżać teraz z rodzinnego kraju.

- Jeno groby się nie zmieniają - powiedziała, ale otrząsnęła się i zwracając się do wyrostka, wskazała na gościniec: - Za onym zakrętem owo miejsce, gdzie się zeszły nasze drogi. Wonczas ani się spodziałam, że na tak długo...

Urwała, nie chcąc chłopcu przypominać, że to Oda uczyniła go sierotą. Świętosława zastąpiła mu rodzicieli, przywiązała się do niego, a oto Ludzimił dojrzewa już i wkrótce pewnie odejdzie. Jakby zgadując jej myśli, odparł:

- Na zawżdy!

Uśmiechnęła się do niego.

- Co się będziesz bożył. Od rodzicieli człek odchodzi, gdy czas przyjdzie, przez cały żywot coś żegna. Jeno puste serce bywa lekkie. Może i lepiej byłoby zapomnieć, nieraz zda się, że i wspomnienie uleciało, aż z nagła wstanie, choćby i we śnie. Czy ptaka ujrzysz, jaki się pod twym dachem gnieździł, czy słowo posłyszysz - i minione wraca jako głos w lesie. Zda się, że ktoś woła, ale próżno byś szukał kogo.

- To trolle zwodzą człeka - odparł. - Pono uciekć najlepiej.

Uśmiechnęła się smętnie, mówiąc w zamyśleniu:

- Nie ucieczesz od siebie samego. Ale oto miejsce, gdziem cię naszła, pod oną brzozą. Urosła. I tyżeś na sporego już wyrósł pachołka. Skoro patrzeć, mężem będziesz i pójdziesz własną drogą. Ale we wspomnieniu ostaniesz taki maleńki, jakiegom tu od macierzy w ramiona wzięła. Prawią, że i po śmierci dusza człowiecza wraca do ludzi i miejsc, które się z pamięcią związały za żywota. - Drgnęła nagle i zapytała: - Zali mnie wzrok zawodzi, czy iście jakowaś niewiasta siedzi pod oną brzozą?

- Siedzi - odparł - jeno nie z czędem. Jakowyś człek leży przy niej.

Podjeżdżali zwolna. Na widok dostojnego orszaku niewiasta coś rzekła do towarzysza i powstała, kłaniając się, leżący jednak staruch nie drgnął. Zdać się mogło, że zmarły. Sine powieki zakrywały wpadnięte oczodoły, w woskowej, wyschłej twarzy sterczały kości policzkowe i wydatny nos, niemal łysa czaszka lśniła w słońcu. Pozór życia dawała jeno spadająca na piersi siwa broda, gdy ją poruszył powiew wiatru jak oddech.

Świętosława, myśląc, że stary zasłabł lub zmarł, zatrzymała konia, ale niewiasta patrzyła na królową wielkimi, jasnymi oczyma spokojnie, nie czekając snadź pomocy. Widząc jednak ich sterane, choć ongiś zapewne dostatnie szaty, Świętosława sięgnęła do trzosa, patrząc na starca, który nadal leżał bez ruchu. Pewna była, że widzi go po raz pierwszy, a budził w niej jakieś wspomnienie, którego uchwycić nie mogła. Wskazując na niego, zapytała:

- Ktoście wy?

Niewiasta palec na ustach położyła, zmieszana widocznie, a może mniemając, że stary śpi. Nie spał jednak i słyszał wszystko, bo niespodzianie odezwał się:

- Nie poznajesz mnie, krewniaczko, choć ślepia masz we łbie? Napatrzże mi się do syta, byś nie zabyła. I bratu się pokłoń ode mnie i za miłosierdzie podziękuj, bodajście sczeźli oboje!

Wiedziała już, kogo spotkała, i twarz jej ściągnęła się gniewem. Ale widok wdeptanego w proch ludzkiego łachmana rozbroił ją. Odpięła trzos, wiszący u pasa, i cisnąwszy go pod nogi niewieście, bez słowa pchnęła konia i kłusem odjechała.

Gdy wyrostek zrównał się z nią, roześmiała się z przymusem:

- Wtóry raz chciałam dobry uczynek na pożegnanie ostawić i znowu w zamian przekleństwo zabieram z sobą. I jeszcze jedno wspomnienie, obrzydłe!

Nie wiedziała, że Niesułka patrzy za nią z wdzięcznością, szepcząc błogosławieństwa. Srebro spadło jej jak z nieba. Gdy oślepiony Przybywój zmarł w lochu wybłagała przez Emnildę wolność dla Odylena. Nikomu ten ślepiec niepotrzebny ni szkodzić nie może, a dla niej wszystkim, bo nigdy nikogo nie miała prócz niego.

Wiodła go z sobą spokojna, niemal szczęśliwa. Już jej nie odegna ani sam nie odejdzie. Jedyną troską było, czym go żywić i odziewać. Ta garść srebra starczy, by mu kąt spokojny zapewnić do śmierci. Co z nią samą będzie potem, Niesułka nie myślała, bo nie nawykła myśleć o sobie.

‘pa

Część druga

I

Wiosenna zieleń spływała kaskadą z pagórków ku rzeczce, rozbijając się w pienistą biel kwiecia położonych nad jej brzegami sadów, wśród których tonął obszerny dworzec o poczerniałych ścianach. Szemrała jednostajnie rzeczułka, na której kładły się skośne promienie chylącego się już słońca, wstający zaś od zachodu ciepły i wonny powiew poszeptywał w gałązkach drzew.

Ciszę przerwało żałosne kwilenie sokoła i umilkło. Po chwili w krzach rozległ się szelest i na małej łysince wśród chaszczów ukazała się młoda dziewczyna. Jasne jej kosy lśniły złotem w słońcu, w oczach zdał się odbijać spokojny błękit wiosennego nieba, ale nie było w nich przedwieczornego spokoju, w jakim zanurzał się świat. Spłoszonym spojrzeniem rozejrzała się dokoła, widocznie oczekując kogoś. Po dłuższej chwili westchnęła, zarazem z ulgą i z rozczarowaniem:

- Dzięki ci, Boże! Może iście jeno jastrząb zakwilił.

Skierowała się z powrotem ku domowi niewidoczną niemal wśród krzaków ścieżką i wpadła w ramiona młodzieńca, który zaśmiał się beztrosko i radośnie:

- Dokąd to? Małom ja razy czekał na ciebie do północka?

Wysunęła się z jego ramion.

- Mówiłam, byś nie przychodził. Jeszcze nas ujrzy kto.

Rozejrzała się niespokojnie i chciała odejść, ale uchwycił ją za rękę.

- To i co, że ujrzy? Rodzic twój z dawna wie, że mamy się k'sobie.

- Rodzic zakazał - odparła, opuszczając oczy. Nie przychodź tu więcej, bo ja nie wyjdę.

Roześmiał się, ale nieszczerze.

- A zawżdy prawisz, że niewieście kochanie mocniejsze. Żebym smoka miał tu spotkać, będę przychodził. Cóżeś taka posłuszna córa?

Drgnęła i obejrzała się, mówiąc szybko:

- Ja nie mogę, ostaw mnie. Już muszę iść, by rodzic nie pomiarkował.

Chciała wyrwać dłoń z jego ręki, ale przyciągnął dziewczynę ku sobie i zapytał:

- Cóże się stało? Rodzic twój zawsze był mi przychylny. Zna mnie od małości, przyjaźnił się z moim. Póki się z braćmi nie uładzę o dziedzictwo, chciałem poczekać ze swatami. Ale ma być gniewny, że się tu spotykamy, poślę je zaraz.

Niemal krzyknęła:

- Nie! Nie posyłaj! I nie przychodź.

Patrzył z bliska w jej oczy, a na twarzy wesołego lekkoducha zjawił się wyraz zdziwienia i podejrzliwości. Znienacka przygarnął ją ku sobie, a gdy odpychała go, opuściwszy powieki, zapytał:

- Czemuż mi w oczy nie patrzysz? Coś skrywasz przede mną. Taką cię jeszcze nie znałem. Ale i taką miłuję i nie wyrzeknę się nigdy.

Zacisnęła powieki, by nie widział, że oczy jej lśnią łzami, i odparła, siląc się widocznie, by głos uczynić spokojnym:

- Nic ci teraz rzec nie mogę. Muszę już iść.

Gdy nie puszczał jej, szepnęła błagalnie:

- Na miłość Boga, puść!

Odparł stanowczo:

- Nie puszczę, póki się nie dowiem.

- Nie pytaj.

- Muszę wiedzieć! Będę przychodził co dzień, choćby pioruny biły.

Zły był widocznie i rozżalony. Dziewczyna zmagała się z łkaniem. Głosem stłumionym przez łzy wyszeptała:

- Nie śmiesz wiedzieć. I nie przychodź tu... jeśli ci żywot miły.

- Za nic mi żywot bez ciebie - powiedział z goryczą. - A ty, widno, wydolisz żyć beze mknie. Takie to niewieście miłowanie.

Puścił ją.

- Nie miłuję cię - szepnęła. Zakryła twarz dłońmi. Oderwał je i przytrzymując, powiedział ochrypłym głosem:

- Spójrz mi w oczy i powtórz, coś rzekła.

Gdy milczała, uciekając ze spojrzeniem, dodał:

- Oczuś jeszcze kłamać nie nauczyła. Ale boli, że mi nie ufasz. Ktoś stanął między nami i lękasz się go. Nieprawda, że to rodzic twój. Powiedz - kto, potrafię walczyć, jeno niechaj wiem, z kim?

Zajęci sobą, nie słyszeli szelestu. Ocknęli się, gdy za nimi zarechotał szorstki głos:

- Ze mną!

Dziewczyna stłumiła krzyk przestrachu, młodzian sięgnął do noża za pasem, ale pobladł i ręka opadła mu. Nie mógł się mylić. Przed nimi stał książę Bolesław Rudy, śmiejąc się złośliwie. Miedzianokrwisty zarost, okalający nalaną nieco twarz księcia, zdał się płonąć w ostatnich promieniach zapadającego słońca. Nim sięgnął do bogato oprawnego miecza, zwisającego na pasie z kutych klamer, jeno patrząc na stropionego młodzienca, powtórzył:

- Ze mnmą chcesz walczyć, robaku?

Zwracając się do dziewczyny, dodał:

- Mówiłem ci, piękna Ludmiło, że dowiem się, dla kogo odrzucasz moje względy.

Lutogniew uczynił ruch, jakby się rzucić chciał na Rudego, ale dziewczyna chwyciła go za rękę, szepcąc pospiesznie:

- Jeśli mnie miłujesz, uchodź! Rodzicowi rzeknij.

Gdy się ociągał, popchnęła go. Oglądając się groźnie, zniknął w krzach, a Rudy zawołał za nim drwiąco:

- Boga proś, bym cię nie ujrzał więcej! - Do Ludmiły zaś zwrócił się: - Rozsądna z ciebie dziewoja, żeś odejść kazała psiakowi, który mi tu zęby chciał pokazać. Kopnąłbym w nie i wraz by mu przeszła uroda, która cię tak usidliła, że moje łaski odrzucasz.

Fala krwi uderzyła do twarzy dziewczyny. Odparła zduszonym głosem:

- Zaszczyt to dla mnie - łaska wasza, ale nigdy bym się nie ośmieliła sięgnąć po względy małżonce waszej należne.

Rudy przycupnął na rozłożystym krzu i patrząc na dziewczymę tak, że opuściła oczy, odparł:

- Nie wyglądasz ty na płochliwą, nie wykręcisz się. Małżonka moja zresztą z dawna nawykła, że się z nałożnicami zabawiam.

- Jam na nałożnicę waszą niezdała. - Głos dziewczyny drżał wzburzeniem.

Rudy rzekł drwiąco:

- Właśnieś mi się udała. Inne nawet przegnam, bo już mi się uprzykrzyły.

- Niestałe widno wasze względy. Darmo wam serce oddały...

- Nie serce i nie darmo - zaśmiał się. - Łatwe były. A tyś mi przypadła, właśnie, iżeś oporna.

- Tedy straciłabym wasze względy, gdybym uległa.

- A, tego się lękasz, koteczko? Ale spróbować warto.

Zerwał się znienacka i ramieniem chciał ją objąć za szyję, ale cofnął rękę i syknął:

- Zęby masz jak łasica, ale lubię czasem i to. Wydolę i dzikie oswajać.

Pieścić umiem jako nikt. Obaczysz, czy twój gaszek może się równać ze mną, boście też pewnikiem pacierzy społem nie odmawiali.

Zdało się, że krew tryśnie z twarzy dziewczyny, gdy odparła z oburzeniem:

- Nie pacierze, ale i nie bezeceństwa. Ja z mim zmówiona jestem, a wy sobie bez trudu inne najdziecie, co lepiej ocenią waszą łaskę.

- Coraz bardziej mi się podobasz, bo lubię być pierwszy. Kto wie, czy cię nie pojmę, jeno pierw muszę spróbować, czy warto.

- Ani się wasz rodzic nie zgodzi, ani biskup małżonki cisnąć nie zwoli, ni ślubu nam nie udzieli.

Rudy zaśmiał się znowu.

- Tedy widzę, że można by cię kupić, jeno wysoko się cenisz. Ale rodzic mój cienko już przędzie, możemy poczekać, nie nudząc się tymczasem. A biskupa o pozwoleństwo pytać nie będę. On będzie słuchał, inaczej niechaj wraca do swego klasztoru. Żeby nie rodzic mój, dawno by Wrszowce koniec z nim zrobiły i z jego pociotkami.

- Nie na mój rozum te sprawy - odparła. - Zwólcie, że już odejdę, panie, bo wieczór zapada i rodzic mój gniewny będzie.

- Niechaj się na mnie gniewa. W ciemności łacniej się dziewkom pieścić, póki nie nawykną.

Chciał ją objąć znowu, ale odskoczyła z nie tajonym wstrętem. Rzucił ze złością:

- To nie rodzic ci przeszkadza mnie pokochać, jeno ów gaszek! Kto on zacz?

- Nie powiem - odparła. - Miłuję go czy nie, nigdy nie będę wasza.

Opanowała już zmieszanie i onieśmielenie, Rudego podniecało to widocznie, powiedział brutalnie:

- Nie serca mi twego trzeba, jeno... - użył grubego słowa, śmiejąc się ponuro. - A nie zgodzisz się - pożałujesz.

- Tego, że waszą nie będę - nigdy.

- Ale pożałujesz, bo nie będziesz legać ze swym gachem.

Drżącym ze wzburzenia głosem odparła:
- Wolej mi z nim w mogile leżeć niźli z wami w łożnicy.
- Z nim ani w ziemi nie będziesz. A ze mną na ziemi zaraz.

Rozjuszony skoczył i, obejmując ją ramionami, przycisnął wargi do jej ust, lecz syknął, chwytając się za twarz.
- Ty żmijo!

W szamotaniu nie dosłyszał, że ktoś w pośpiechu przedziera się przez krze. Rosły mąż w sile wieku wpadł na polankę i stał, łapiąc oddech.
Zdyszanym jeszcze głosem rzucił:
- Raczcie, panie, córę moją ostawić w spokoju, bym nie zapomniał, przed kim stoję.

Rudy otarł wargę, z której sączyła się krew, i burknął wzgardliwie:
- Wasze to szczęście, Dalimilu, żeście w porę sami sobie przypomnieli.

Przycupnął znowu na krzaku i z drwiną spozierając na starego, ciągnął:
- Skądże to wam wiadomo, że sobie tu gwarzymy? Gaszek jej wam to powiedział, któregom tu spłoszył? Przed nim by wam czci swej córy bronić przystało. Dziękować mi winniście, żem ja to za was uczynił.

Dalimilowi żyły nabrzmiały na skroniach, ale odparł, hamując się:
- Znam go jako czestnego człeka i nie taję, że chętnie widziałbym w nim zięcia.

Rudy, uśmiechając się złośliwie, powiedział:
- Tańsza suka, gdy byle kundlem pokryta. Bywa, że możny człek byle komu córkę odda, gdy ta cześć utraci.

Dalimil poderwał się jak żgnięty. Ludmiła uchwyciła go za rękę ostrzegawczo i chciała coś rzec, ale Dalimil zawołał wzbuurzony:
- Nas możecie bezkarnie znieważać! Ale to nie lada kto, jeno krewniak kneziów na Lubicy, Lutogniew.

Rudy zwrócił się do Ludmiły:
- Widzisz, żem się bez ciebie dowiedział. - Gwizdnął pogardliwie i ciągnął: - Knezie na Lubicy! Nie zyszczecie naszej łaski przez takowy związek. A za Lutogniewa córy wydawać nie radzę. Warta

lepszego losu, niźli jej gotujecie. Zbyt rychło wdową by ostała.

Zrozumieli groźbę. Po chwili milczenia Dalimil rwącym się głosem powiedział:
- Żywie jeszcze rodzic wasz i Wojciech Sławnikowic siedzi na biskupim stolcu. Najdę ja prawo.
- Prawo ma nos z wosku, a ja rękę żelazną - rzucił Rudy lekceważąco.
- Tedy i mnie żelazo by jeno ostało - nie panując już nad sobą, odparł Dalimil, ale córka, która z drżeniem przysłuchiwała się rozmowie, przerażona uchwyciła go za rękę:
- Hamujcie się, ojcze!

Rudy wykrzywił twarz w złym uśmiechu:
- Rozsądna z niej dziewoja, rozumie, że ja jeno z przychylności mieszam się w te sprawy. Może zapomnę, coście rzekli, jeśli ją za człeka wydacie z miłego mi rodu, miast się z wrogami krewnić.

Dalimil opanował się i rzekł wymijająco:
- Wdzięczny wam jestem, ale jedno mam dziecko, przymuszać córy nie będę.
Czas jej zresztą jeszcze pod czepiec, a mnie nikt o nią dotąd nie prosił.
- Ja proszę, choć mógłbym kazać, iście, że nie dla siebie. Sami rozumiecie, że gdy najznaczniejszy u nas ród Wrszowców zechce się do was zniżyć, swaty z grochowym wieńcem odjechać nie mogą, bo dla was niedobrze by było.

Dalimil zacisnął zęby. Samowola Wrszowców, przy poparciu Rudego, każdego mogła o zgubę przyprawić. By coś rzec, zapytał:
- Niechaj choć wiem, kogo mi łaska wasza na zięcia przeznacza?
- Czaczę Wrszowca. Nie zaprzeczycie, że człek czestny i możny.

Dalimil cofnął się o krok. Teraz zrozumiał, do czego zmierza Rudy. Starał się panować nad sobą, świadomy niebezpieczeństwa, ale głos drżał mu wzburzeniem:
- Prawda, że człek możny i godny, nie zawsze z rodem swym jednymi chadza ścieżkami. Gdyby córę miał, myślałbym, żem się przesłyszał i ją mnie zaswatać chcecie, bom też wdowiec i prawie dla mnie by była. Człek przy tym rozsądny, a odludek, na cóż mu brać takowe dziecko?
- Moja rzecz, by swaty wysłał, i wam radzę nie odmawiać. A dom mu się wraz ożywi przy młodej żonce i jej się nie będzie cniło. Ja sam często go odwiedzać przyrzekam - dodał z jawną kpiną.

Dalimil zbierał się do gwałtownej odpowiedzi, gdy Ludmiła, która dotychczas w milczeniu, z drżeniem przysłuchiwała się rozmowie, schwyciła go za rękę, mówiąc:
- Jeśli Czacza o mnie poprosi, wyjdę za niego.
- Widzę, że córa rozsądniejsza od rodzica. Mniemam, że i później rozsądna będzie. I tak się w zgodzie rozejdziem, choć zrazu skakaliście jako wróbel na nitce.

Zniknął w mroku, a oni długo stali w milczeniu. Wreszcie Dalimil rzekł:
- Pójdźmy do dom. Żal mi cię, dziecko, ale iście na przemoc nie było innej rady. Czacza zawżdy

hardy był, dlatego i z rodowymi się pociął, może i Rudemu odmówi, śmiały jest. A jeśli się zgodzi, czci twej bronić wydoli. Czas zyszczemy, a potem może się coś odmieni. Bezpieczniej ci będzie przy nim niźli przy mnie - zakończył gorzko.

- Jeszcze bezpieczniej byłoby w mogile - szepnęła pobladłymi wargami.

W świetlicy dworca Czaczy nad Wełtawą stara niewiasta, przędąc, nuciła dawną piosenkę o białej gołąbce, którą w niewoli trzymał kruk posiwiały ze starości. Gołąbka usychała z tęsknoty, aż młody sokół porwał ją i z ponurej głębi ciemnego boru uniósł w powietrze i słońce.

Przy oknie wychodzącym na rzekę stała Ludmiła, jakby zasłuchana, ale widno nie w piosnkę swej dawnej piastunki, bo odwróciła się mówiąc:

- Niechajcie!

Boża urwała i westchnęła.

- Czemuż? Prząść mam jak niemowa? Co z tobą, mileńka? Gadać - nie słuchasz, śpiewać wesoło - źle, smutno - źle. Żebym cię nie miłowała, uciekłabym dawno. W grobie weselej niźli w tym domu. Niechaj stary sam do mogiły nawyka, bo dawno mu się patrzy, ale nie tobie, dziecino. Gości straszy tymi oczyma jak noże, co zda się na wskróś człeka przebodą. A zjadą, choćby i sam knieżyc, nawet ci do nich wyjść nie zwoli. Cóż dziwnego, że przestali przyjeżdżać? - Urwała gadanie i nasłuchiwała czegoś:

- O! Słyszysz? Znowu sokół woła.

Z ciepłym powiewem, który niósł woń dojrzewającego owocu, z gaju za sadem dochodziło żałosne kwilenie. Ludmiła dłońmi zasłoniła uszy. Na twarzy jej zjawił się wyraz udręki. Stara przemówiła z uśmiechem:

- Zasłaniać nie pomoże, i w tobie coś woła.

Ludmiła powiedziała stanowczo:

- Idź i rzeknij Lutogniewowi, by nie czekał. Nie wyjdę. Małżonkowi przyrzekłam, że się z nim nie obaczę.

- Małżonkowi! Nie wiem to, że jeszcze dziewicze twe łoże? A tamten niechaj czeka. Nie wydzierżysz, pójdziesz. Nie widzę to, że liczko, co miałaś jak róże, ninie jak trawa pod kamieniem. Młodość.

Urwała przestraszona, bo drzwi rozwarły się i do izby wszedł starzec, rosły, kościsty. Spojrzał na Bożę, która zerwała się zmieszana i jakby uchodząc przed wzrokiem jego, chyłkiem opuściła izbę. Usiadł na ławie i zwrócił się do Ludmiły:

- Cni ci się. Chcesz, to pojedziem między ludzi. Starość tym smutna, że samotna. Z tymi żywie, co odeszli.

- Nie chcę - odparła. - Lękam się, że znowu spotkam knieżyca Bolesława i drwić będzie z mego nieszczęścia.

- Bywają gorsze - odparł, starając się złagodzić szorstkość swego głosu.

- Miejże cierpliwość, nie wiecznym i czasy się zmieniają. A tuś przed nim bezpieczna, bo cały mój ród, na którym on się opiera, musiałby się ująć za moją czcią, choć nie miłują mnie. Jeno pomnij, coś przyrzekła. I takie to dla ciebie nieszczęście przebywać ze mną? - głos starego Czaczy dziwnie złagodniał.

Ludmiła, całując go w rękę, rzekła:

- Wybaczcie! Nie tak myślałam. Ni rodzic nie był dla mnie lepszy, tylko wdzięczność wam winnam. Ale miast rozweselić wasz dom, jeno swój smutek tu przyniosłam.

Pogładził ją po głowie, mówiąc:

- Tym się nie trap. Do smutku nawykłem, a przynajmniej żyć mam dla kogo.

Ty mi własną moją córuchnę na pamięć przywodzisz, jest wspomnienie czym pożywić. Kosy miała złote i oczy chabrowe jak ty. - Urwał i powiedział znacząco: - Jeno sokoły coś nazbyt często krążą koło mego domu. Prawią ludzie, że śmierć wołają. Zły to znak, baczenie dawać trzeba. Nie patrzyli rodowcy chętnie na nasz związek, bo się o puściznę po mnie obawiają, choć - jako wiesz - niesłusznie. I ja byłbym nie przystał, choć Rudy nalegał, bo jużci zmiarkowałem, po co mi ciebie swatał. Ale się przeliczył, a jam rad, żem ptaszkę rudemu psu z paszczy wydarł. Jeno by jej sokół nie porwał - dodał, uśmiechając się domyślnie. - Cierpliwość miej - powtórzył. - Za nic szarpać się, jeno człek pętlę mocniej zaciska na szyi.

- Coraz mi trudniej - szepnęła. - I przed sobą obronić się niełatwo.

- Wiem ja, dlaczego niełatwo. Zawołaj no Bożę. Coś mi ona w oczy spozierać nierada.

Ludmiła błagalnie złożyła ręce:

- Nie wińcie jej. Zdobrego serca...

- Z głupiej głowy - przerwał ostro, ale widząc łzy w oczach Ludmiły, dodał łagodniej:

- Nie lękaj się, nie pożrę jej. A ty gospodarstwem byś się zajęła, prędzej czas leci, gdy coś nas czeka. I do zwierzaków człek się przywiązać potrafi, gdy nie ma do czego, bo serce pustki nie znosi.

Gdy Ludmiła wyszła, Czacza usiadł i siwą głowę wsparł na ręku. W południowej ciszy skwarnego dnia znowu doleciało od gaju nad rzeką kwilenie sokoła. Stary mruknął:

- Znowu! Swojej śmierci woła. Żal mi tego głupca. A schwytać go, rozniesie się.

Czekał niecierpliwie na Bożę. Weszła chyłkiem, skulona, czując, co się święci. Czacza patrzył na nią przez chwilę, przewiercając ją oczyma, po czym ozwał się:

- Słuchaj, stara! Dobrze ci tu czy źle?

Wahała się z odpowiedzią, nie wiedząc, do czego zmierza, a on podjął:

- Jeśli dobrze, to Boga chwal, żrej i śpij. Śpiewać też możesz, jeno bacz o czym, ale na to, żem ślepy i głuchy, nie licz. A źle ci, to zabieraj się, jeno prędko, bo psami wyszczuję, a zajadłe mam.

Patrzyła na Czaczę okrągłymi ze strachu oczyma, lecz odparła wykrętnie:

- Za to, że panią naszą miłuję i zabawiam, jak umiem, kiedy smutna, tak srogo do mnie mówicie?

- Pięknie to, że panią swą miłujesz, jeno głupia miłość od nienawiści gorsza. A tyś nie na tyle znów głupia, byś nie wiedziała, o co sprawa. Ptactwo w domu bezbronne, a jastrzębie nad nim krążą.

Jeszcze udawała, że nie rozumie.

- Wżdy z łuku ich nie ustrzelę ni skrzydeł nie mam, by je z nieba zdjąć.

- Tedy na miotłę siadaj, czarownico! - Przycupnęła ze strachu, a on ciągnął gniewnie: - Tak ci rzekę, że zrozumiesz: jeśli mi tu sokoły krążyć nie ustaną, kijem z ciebie ducha wypędzić każę. Śmierć wróżą, niechaj zły urok spadnie na ciebie.

Wyszedł, drzwi za sobą zatrzasnąwszy, aż pogłos poszedł po domu. Boża nasłuchiwała przez chwilę i, westchnąwszy, umknęła do siebie.

- Stary cap! Niechaj Ludka sama powie miłemu. Choć się pożegnają biedaki.

Stary»Czacza siedział zadumany w świetlicy, gdy w sieni rozległ się tupot szybkich kroków i jak wicher wpadła Ludmiła z twarzą bladą jak giezło i rzuciła się do jego kolan. Za nią wcisnęła się Boża. Patrzył na Ludmiłę, zaskoczony:

- Co zaszło? Wstań!

Ale jeno pochyliła głowę i łapiąc oddech wyszeptała:

- Idą tutaj! Rudy z waszymi.

Opanował się i zapytał:

- Mów szybko i prawdę. Co zaszło? - powtórzył.

Na pobladłej twarzy Ludmiły zjawił się jaskrawy rumieniec. Odparła cicho:

- Nie mogłam wydzierżyć, poszłam rzec... jemu, by mnie nie dręczył. On zasię...

Urwała i gryźć zaczęła palce. Z dala dochodził gwar gromady ludzi. Stary podniósł Ludmiłę, do Bożej, która chciała się wymknąć, powiedział oschle:

- Możesz podsłuchiwać pod dźwierzami! Obaczysz, coś narobiła.

Gdy wyszła chyłkiem, podniósł wiszący na ścianie kobierzec, otworzył ciężkie, okute drzwi i wepchnąwszy Ludmiłę do sąsiedniej komory, usiadł. Nasłuchiwał zbliżających się stąpań, kroki rozległy się w sieni, potem pukanie i bez wezwania w drzwiach stanął Rudy, a za nim tłoczyła się gromada z Kochanem Wrszowcem na czele. Rudy rozejrzał się po izbie i zwracając się do Czaczy powiedział:

- Wiem, że gości nie lubicie...

- Iście nie czekam, kiedy nie proszę - przerwał zgryźliwie stary. - Ale skoroście przyszli, siadajcież.

- My jak po ogień - uśmiechnął się Rudy złośliwie. - Gdzież małżonka wasza?

- Nie do wszystkich gości wychodzi. Wybaczcie, miłościwy knieżycu, że na wasz widok uciekła, bo źle sobie waszą przychylność tłumaczy, chociem jej mówił, że ze złą myślą zbliżać się do

małżonki Czaczy Wrszowca niebezpiecznie.

Rudy jednak, zamiast wybuchnąć gniewem, zaśmiał się:

- Prawiście! Właśnie zalotnik jej życiem już to przypłacił, a ninie waszą rzeczą wedle obyczaju na szyi pokarać wiarołomną.

Stary pobladł, dźwignął się na całą wysokość i patrząc na Kochana, starostę rodu Wrszowców, powiedział z naciskiem:

- Widzę, że ród o cześć mego ogniska upomnieć się przyszedł. Mniemam, że upomni się i o oszczerstwo.

- Ani oszczerstwa nie ostawiłby bez pomsty, ani nie ostawi wiarołomstwa - odparł Kochan. - Mnie to, jako głowie rodu, miłościwy knieżyc pierw doniósł, że małżonka wasza z gachem się schodzi. Przyczailiśmy ich i ja sam świadkiem byłem, jak przy białym dniu bezwstydnie całowali się w krzach nad rzeką. Jeno że on się ciskał, nim w worku w wodę poszedł, a ona tymczasem ujść zdołała. Uchodziła do domu. Gdzie jest?

Gdy Czacza nie odpowiedział, Rudy wtrącił:

- Nie wie, sami poszukamy.

Stary podszedł do ściany, zdjął miecz i zwracając się do księcia powiedział:

- Wara od mojej czci, bo wasza to pomsta za to, że małżonka moja swej czci przed wami ustrzegła. Niczego tu szukać nie będziecie, pókim ja żyw, a rodowcy niechaj patrzą, jak książęca samowola mir domowy gwałci, by wiedzieli, że i na nich kolej przyjdzie.

- Słuchajcie! - wtrącił Kochan. - Umiecie się na ród powoływać, gdy wam potrzeba. Nie obronicie i tak wiarołomnej, a na siebie hańbę ściągniecie. Domowy mir nie po to, by zhańbioną osłaniać.

- Moja sprawa. Rzekliście, coście rzec mieli - żegnajcie.

- Ostańcie tedy ze swoją hańbą - odparł Kochan gniewnie. - My zniewagi rodu dochodzić będziem.

- Żyłem we czci, umierać mogę w hańbie, skoro inni w hańbie żyć mogą.

Będziecie jej dochodzić na słabej niewieście, bo na nim - palcem wskazał na Rudego - lękacie się.

Rudy uśmiechnął się z przymusem:

- Ty stary grzybie! Nogą bym cię rozdeptał! Pójdźmy - zwrócił się do Kochana. - Nie ukryje jej pod ziemią. Żal dziadowi pieszczot młodej żonki, choć i innych nimi obdzielała.

Czacza pobladł. Zdało się, iż rzuci się na oszczercę. Pohamował się jednak i powiedział jeno zjadliwie:

- Ale nie was. I wasza to pomsta za wzgardę.

- Gębę trzymaj, bo łeb zetnę! - wrzasnął Rudy.

- Możecie! Krwią własną i synowską służyłem ojcu waszemu i dziadowi. Tę resztkę, co nic niewarta, mogę wam ofiarować.

- Pójdźmy - rzekł Kochan. - Nie dogada się ze staruchem.

Zwracając się do Czaczy, dodał:
- Noga żadnego z nas nie postanie w tym domu!

Odwrócił się ku wyjściu. Czacza zawołał za nim:
- Po puściznę przyjdziecie! Jeno skarbów wam nie ostawi stary głupiec.

Czacza długo nasłuchiwał oddalających się odgłosów. Gdy ucichły, otworzył drzwi od komory. Zalana łzami, blada i trzęsąca się Ludmiła siedziała na skrzyni. Patrzył na nią z żalem i litością, ale powiedział sucho:
- Nie ostawią mnie i mego domu w spokoju. Rudy pomsty nie poniecha.
Uchodzić musisz.
- Co z Lutogniewem? - szepnęła.
- Nie wiem - odparł szorstko. - Nie o niego mi się troskać, jeno o ciebie!
- Nic mi po żywocie - odparła cicho.
- Czemużeś tedy znad rzeki uchodziła - powiedział niecierpliwie - lubo do nich nie wyszła? Zda ci się, że żyć nie chcesz, a lękasz się umierać. Za młodu rany szybko się goją, dopiero na starość się otwierają. Da Bóg, ty doczekasz lepszych czasów, bo nie ścierpi długo nasz lud takowego pana.

Podniosła nieśmiało oczy na małżonka i zapytała cicho:
- Nie wierzycie, żem niewinna?
- Nie stawiłbym własnej czci, gdybym twojej pewny nie był. Ale pozór jest przeciw tobie. Uchodzić musisz.
- Dokąd i jak? - szepnęła bezradnie.

Zamiast odpowiedzieć, wskazał na skrzynię, na której siedziała:
- Pomóż mi odsunąć.

Wyjął deski podłogi, odsłaniając ciemny otwór. Wskazał w głąb i powiedział:
- Tu schodów osiem, na najniższym najdziesz krzesiwo, hubę, próchno i łojowy kaganek. Chodnik wiedzie pod rzeką do chaty sługi mego. Rzekniesz mu, że kazałem, by cię zawiódł do biskupa. Jeśli on ci ochrony udzieli - ocalejesz. Rzeknij mu całą prawdę. Surowy jest, ale pogańskim obyczajom przeciwny. Jeno spiesz się, by wcześniej być w grodzie niż oni, bo choć daleko mostem objeżdżać muszą, może cię kto ujrzeć, nim do biskupa dotrzesz. Słudze memu rzeknij, by wejście zasypał, ja to uczynię tutaj. Skarby moje będą w chodniku, gdyby ci się kiedyś zdać mogły. Tedy żegnaj i niechaj cię Bóg wiedzie. Nie ujrzymy się więcej.

Rzuciła się do rąk Czaczy. Uścisnął ją za głowę, a gdy zniknęła w otworze, patrzył, póki nie zabłysnęło światełko. Potem wysypywać jął w otwór zawartość skrzyni, bogactwa, o które ongiś zabiegał, a ninie nie miał ich komu zostawić. Założył deski podłogi, zasunął skrzynię i zawołał:
- Boża!

Stara weszła i drgnęła, zaskoczona. Zapytała nieśmiało drżącym głosem:
- Ludmiła... gdzie?...
- Tam, kędy ją zagnała głupota twoja.

Gdy wybuchnęła płaczem, dorzucił zjadliwie:
- Teraz sobie zaśpiewaj o starej sowie, co gołąbkę swą zgubiła. Precz!

Zataczając się i drąc włosy z głowy, Boża wyszła. Gdy ucichły jej kroki, Czacza mruknął:
- Jednako serce boli: mądrze miłuje zali głupio.

Na kamiennym murze okalającym ogród biskupiego dworca na Wyszehradzie siedział mąż w ciemnej szacie benedyktyńskiego mnicha, spoglądając w dół, na lśniącą w promieniach słońca rzekę, to znów wodząc zamyślonym spojrzeniem po pagórkowatej okolicy. Żyzny i ludny kraj leżał jak na dłoni w całej krasie letnich barw i zachodu pogodnego dnia.

Po dłuższej chwili mnich oderwał oczy od pięknego widoku i patrzył na towarzysza, który w zamyśleniu przechadzał się wolnym krokiem po ogrodzie. Odziany był również w benedyktyński habit, ale od pierwszego wejrzenia poznać można było, że są braćmi nie tylko w regule. Gdy zbliżył się do siedzącego, ten poufale, choć z szacunkiem przerwał jego zadumę:

- Przestań rozmyślać, bracie, i spójrz! Wżdy Bóg po to piękno stworzył, by ludzi nim nacieszyć. A piękny jest nasz kraj. Jeśli niebo jest naszą ojczyzną, to ojczyzna jest naszym niebem. Gdy ci Ojciec Święty na porzuconą stolicę wracać kazał, ja jeno radość miałem w sercu jak dziecię, które wraca do matki. Wybacz, bracie, może to grzech, ale nie za Ziemią Świętą tęskniłem, jeno za naszą, nie za braćmi w zakonie, jeno za rodzonymi, za ich miłymi dziatkami, za płochymi igrami malców, gdy człek sam się czuje dziecięciem, które nie zaznało grzechu.

Wojciech przystanął koło Radzima i przez chwilę patrzył w zadumie na okolicę. Odezwał się pół do siebie, pół do brata:

- Miłość siłą być winna, nie słabością. Ja nie sercu folgować tu przyszedłem, jeno twardy i ciężki pełnić obowiązek. Piękny nasz kraj... jak lico ladacznicy skalanej nieprawością. Uciekać stąd...

- Co prawisz? Zalibyś zamierzał znowu porzucić stolicę? Owce ostawić bez pasterza, a ród nasz bez twego poparcia, na pastwę nienawiści Wrszowców?

- Żywot bym za nich oddał, duszy nie mogę. Nie lza patrzeć bezczynnie na stek bezeceństwa, a zdziałać nic nie zdołam, bo niczego nie strzymano, co warunkiem było mego powrotu. Ojciec Święty zwolił mi odejść, jeśli nie ujrzę poprawy.

- A gdzieże to ludzie są aniołami? Gdzie żniwa zaraz po siejbie? Któż jest bez grzechu?

- Nikt! Ale nie za własne jedynie grzechy ciąży na mnie odpowiedzialnośźć. Nie żądam, by ludzie byli aniołami, jeno chrześcijanami. Kto się ugnie, niechaj się prostuje, kto upadnie, niechaj wstaje. Ale wiara ich jest jako woda, a zatwardziałość jako skała. Lud pogańskim obyczajom hołduje, wielmoże chrześcijańskich niewolników niewiernym przedają jak bydło, na zgubę ich duszy,

duchowieństwo żon swych porzucić nie chce. A niegodny swego imienia knieżyc Bolesław, co całą srogość dziada odziedziczył, a nic z jego wielkości, gwałt i jawną rozpustę szerzy, dobrawszy takich jak sam. Piekielny płomień, co w nim gore, zda się nawet głowę jego naznaczył. Odejść muszę, bym się nie nauczył folgować złu, z miłości, która jest słabością.

Gdy Radzim się nie odezwał, Wojciech po chwili zapytał:

- Zali nie tak jest, bracie, jako mówię? Nie lepiej nam siać na ugorze niźli tam, gdzie diabeł zdeptał i oplwał, co już wzeszło? Nie sumuj się, odejść trzeba.

- Ja się nie sumuję, jeno modlę, by sam Bóg rozstrzygnął, odejść mamy zali pozostać. Bo czyż lepiej będzie, gdy odejdziesz? Zło żadnej już nie najdzie tamy, którą jeszcze stanowi powaga twego urzędu.

- Obyż cię Bóg wysłuchał! W sumieniu byłbym spokojniejszy. Ale nie kusić nam Boga o znak, a jeślibym ostał, powadze urzędu i prawom Kościoła jeno ujmę przynieść mogę, bo osoba moja niechęć budzi i nienawiść.

Radzim nie zdążył odpowiedzieć, gdy rozległo się ciche, niespokojne pukanie do furty. Podniósł się i otworzył zaworę. U wejścia stała młoda niewiasta. Złote włosy rozwiane były, w oczach wyraz trwogi. Spłoszonym spojrzeniem rozejrzała się wkoło i powiedziała cicho:

- Rada bym mówić z przewielebnym biskupem. Pilno!

- Jam jest - powiedział Wojciech. - Czego żądasz, moja córko? - Patrzył na nią, jakby sobie coś przypominał, i zapytał: - Ktoś ty?

- Wam samym jeno rzec mogę - odparła, patrząc na Radzima.

- To brat mój. Przy nim mówić możesz bez obawy. Chyba że sprawa sumienia twego dotyczy?

Milcząc, skinęła głową. Bkiskup oczyma dał znak Radzimowi, by się oddalił. Patrzył na młodą, ale znękaną twarz niewiasty i powtórzył:

- Ktoś jest? Gdzieś cię już spotkałem.

- Jam Ludmiła, córka komesa Dalimila, którego ród wasz przyjaźnią zaszczyca, a małżonka Czaczy Wrszowca.

- Tyżeś to? Co cię sprowadza?

Osunęła się do kolan Wojciecha i kryjąc twarz w fałdach jego szaty, szepnęła:

- Nieszczęście.

- Nieszczęście czy wina? - zapytał.

- Sami osądźcie. Jeśli wina, to wobec małżonka mego, któremu danego słowa nie strzymałam, że z człekiem ongiś ze mną zmówionym widywać się nie będę.

- Jeśli nic więcej, małżonek twój tę winę sam odpuścić władny. Czemuż do mnie przychodzisz?

- Onże mnie do was skierował, byście mnie od haniebnej śmierci uchronili.

Mówił, że służy wam prawo utoczyszcze (azyl) mi dać w swym kościele. Jeśli odmówicie, to umierać mi jak nierządnicy.

Jęła mówić urywanymi słowami, rozglądając się niespokojnie. Gdy skończyła, Wojciech, który słuchał ze współczuciem, odparł:

- Haniebny to obyczaj na szyi niewiastę karać za to, w czym mężowie jawnie sobie folgują,

złoczyńców czynić sędziami. Ale cóże ja mogę - powiedział bezradnie - skoro, jak mówisz, knieżyc zawziął się na ciebie. Prawo mi służy azylum ci dać, ale jeno na osiem niedziel. Jeżeli je uszanują ci, którzy żadnych praw szanować nie zwykli - dodał gorzko. - A gdyby i uszanowali, każdemu wiadomo będzie, gdzie przebywasz. Co potem?

Ludmiła rozpaczliwym ruchem przylgnęła do kolan Wojciecha. Położył rękę na jej jasnej głowie, patrząc na nią ze smutkiem. Nagle twarz jego rozjaśniła się.

- Nie rozpaczaj. Może ci lepsze azylum najdziemy.

Podniosła oczy na biskupa zarazem z trwogą i nadzieją, jakby czekając wyroku. Biskup skinął na stojącego opodal Radzima i wskazując na Ludmiłę powiedział:

- Zawiedziesz tę niewiastę do sióstr benedyktynek, do Świętego Jerzego.

Pokłoń się czcigodnej ksieni Mladzie i powiedz, że proszę o ochronę przed jej niegodnym siostrzanem. Niechaj jej o nic nie pyta i nikomu o niej nie mówi. Sposobną porą sam wyjaśnię, dlaczego pobyt tej niewiasty w klasztorze tajemnicą ma być.

Zwracając się do Ludmiły, uśmiechnął się: - Bądź dobrej myśli. Tam możesz i na zawsze pozostać. Może to Bóg woła cię do siebie? W spokoju klasztornego życia odnajdziesz własny. A choćby się nawet zwiedziano, gdzie jesteś, pod opieką świątobliwej siostry miłościwego pana i ochroną zakonnej klauzury nawet Rudy porwać się na ciebie ne waży.

Podniosła ufne spojrzenie na biskupa i szepnęła:

- Dzięki wam.

Gdy pochyliła się do ręki Wojciecha, uścisnął jej głowę i patrząc za odchodzącymi ze wzruszeniem, szepnął do siebie:

- Może to Boży znak, by pozostać i takowym bezeceństwom zapobiegać.

Wolnym krokiem wstąpił na podcień i wszedłszy do swej izby przykląkł przed krucyfiksem i zatopił się w modlitwie.

Rozkaz przełożonych wyrwał go z klasztornego zacisza, gdzie otoczony powszechną miłością i czcią myśleć mógł o własnym jeno zbawieniu. Zmuszono go do ponownego objęcia urzędu, z którym wiązała się przerażająca wizja odpowiedzialności za cudze grzechy, jakiej świadkiem był przy śmiertelnym łożu poprzednika. Ale pozostawiono mu furtkę ucieczki z tej niewoli: może odejść, jeśli nie ujrzy poprawy.

Dawno by już odszedł stąd, bo nic się nie zmieniło na lepsze. Wracając do ojczyzny, zaraz w Pilźnie napotkał jarmark w świąteczny dzień, wbrew otrzymanym zapewnieniom posłuszeństwa prawom Kościoła. Wstrzymywał Wojciecha przed odejściem Radzim swym przywiązaniem do kraju i wzgląd na braci, dla których był oparciem w ich niepewnym położeniu. Ale rozterka i lęk przed odpowiedzialnością wyczerpywały Wojciecha do cna. Dzień za dniem walczył o przestrzeganie boskich i kościelnych praw, ale jedynym skutkiem było coraz większe osamotnienie i narastająca nienawiść. Gdy z obowiązku swego urzędu kosztem własnych wyrzeczeń wykupywał chrześcijańskich niewolników z rąk niewiernych, zarzucano mu, że sprzyja wrogom, ponieważ byli to przeważnie polscy jeńcy. Gdy domagał się używania w kościele łacińskiego języka i usuwał z urzędów i beneficjów krajowe duchowieństwo, często niepiśmienne i życiem swym budzące

zgorszenie, judzono przeciw niemu za popieranie obcych. Nienawiść i niechęć czuł we własnym, najbliższym otoczeniu. Wytrwali przy nim jeno przyrodni brat Radzim, towarzysz młodości i magdeburskiej szkoły, przeor brzewnowski Radło i proboszcz kapitulny - Wielicha. Ale i oni nakłaniali go do ustępstw, których nie mógł pogodzić z sumieniem. Wewnętrznie był osamotniony i trudno mu było rozstrzygnąć, czy odejście to obowiązek, czy ucieczka. Zdał się na Boga i modlił o znak.

I (cd.)

Biskup - znużony - zasnął klęcząc. Z trudem dobudził się go Radzim, wzywając na prymę. Wojciech włożył pontyfikalny strój i wraz z bratem udał się do katedry Świętego Wita. Wzorem klasztornym wprowadził w kapitule siedem chórów dziennie, a dwa posiłki. Ale większość kanoników wolała na odwrót, a po obfitej wieczerzy z winem szkoda im było przerywać sen. Toteż niewielu zeszło się w pustym i ciemnym kościele, a senne ich głosy zdradzały, że modlą się jeno ustami. Wojciech wstydził się, że sam zasnął podczas modlitwy. Nawet na nią brak mu już widno sił. Błagał o znak lub o śmierć.

Z zamodlenia wyrwał go gwar gromady ludzi, a potem kołatanie do furty, natarczywe i natrętne. Podniósł się niechętnie, by dowiedzieć się, co zaszło, gdy wpadł odźwierny Prokosz i zawołał podniecony:

- Wasza przewielebność! Knieżyc Bolesław i starosta Kochan Wrszowiec ze swymi stoją przed furtą i domagają się wpuszczenia.

Twarz biskupa przybladła, czoło pobruździło się. Nie miał wątpliwości, po kogo przychodzą. Zbliżała się próba. Powiedział jednak spokojnie:

- Rzeknij knieżycowi, by zbrojnych odprawił, a przyjmę go, nie mieszkając. Starosta Kochan zasię, jeśli odrębną sprawę ma, niechaj wstąpi do mnie jutro po nabożeństwie.

Gdy kleryk wyszedł, biskup słuchał wzmagającego się hałasu. Kołatanie przeszło w uderzenia, potem rozległ się trzask wywalonej furty i gwar licznych głosów.

Biskup szybko pochwycił pastorał i niemal biegł do wejścia. Spojrzał z góry na zbliżającą się gromadę, na której czele szedł Kochan. Rudy przystanął z boku i patrzył z drwiącym uśmiechem. Zapewne przyszedł tylko po to, by swą osobą osłonić samowolę Wrszowców. Niektórzy z napastników rozbiegli się już po obejściu, zapewne w poszukiwaniu, reszta na widok biskupa zatrzymała się. Wracający właśnie od Świętego Jerzego Radzim przystanął, przyglądając się z niepokojem.

Wojciech gorejące spojrzenie wbił w zbliżającego się Kochana, który jednak, z tropu nie zbity, zatrzymał się dopiero u stóp schodów, zamierzając coś rzec. Wojciech go uprzedził:

- Jeśli mnie szukacie, oto jestem. Tu kościelna ziemia. Jakim prawem nachodzicie ją siłą? Kto nie opuści tego obejścia, klątwą zostanie obłożony.

- Kogo szukamy, wiecie. Starsze prawo mego rodu kary domierzyć wszetecznicy, niźli wasze chronić ją - odparł Kochan ostro. - Klątwy się nie ulęknę, miejsce to opuścimy, gdy zbiegłą wydacie. A nie, to sami jej poszukamy, bo i wasze prawo nie po to, by w biskupim dworcu przechowywać nierządnice.

Rudy wybuchnął śmiechem, któremu zawtórowało kilku, ale umilkli pod spojrzeniem Wojciecha.
- Nikogo tu szukać nie będziecie - rzucił ostro biskup.

Mierzyli się wzrokiem z Kochanem, który ozwał się zjadliwie:
- Nie będziem szukać, jeśli wasza przewielebność pod Bogiem zapewni, że zbiegła nie tu się schroniła.

Rudy parsknął znowu, Wojciech przybladł, ale odpowiedział natychmiast:
- Ani zaprzeczę, ani przyznam, bo ktokolwiek i cokolwiek jako kapłanowi mi zawierzy, tajemnicą jest i pozostanie.
- Lękacie się przyznać - drwiąco rzucił Kochan.
- Nie lękam się nikogo okrom Boga.

Kochan odparł zimno:
- Ani ja. A najmniej waszej klątwy. Odstąpcie od dźwierzy!

Ruszył ku biskupowi i zatrzymał się pierś w pierś. Zmagali się wzrokiem.
Kochan wyszarpnął miecz i krzyknął:
- Odstąpcie!

W napięciu, z jakim patrzono na przeciwników, nikt nie zauważył, że do Rudego podbiegł pachołek, coś szepnął i szybko razem odeszli. Biskup stał, nieporuszony. Po dłuższej chwili starosta opuścił oręż i rzekł:
- „Próżna twa nadzieja na męczeństwo i chwałę szlachetnej śmierci. Błądzi taka świątobliwość, która chce, byśmy popadli w grzech. Nie spełni się twe życzenie” (Historyczne).

Z zamachem wbił miecz w deskę podłogi i kładąc na jelcach dwa palce ciągnął:
- „Ale na ten miecz i swoją cześć przysięgam, że głowę wszetecznicy cisnę wam pod nogi. I stanie się coś, co cię bardziej zaboli. Jeśli ta wszetecznica nie będzie nam natychmiast wydana, to mamy twych braci, ich żony i potomstwo wraz z majętnościami, by pomścić to bezprawie” (Historyczne.)

Biskup przybladł, ale odparł spokojnie:
- W Bożych rękach żywot człowieczy i w Bożych kara na złoczyńców, których ludzka sprawiedliwość nie dosięże.

W powszechnym milczeniu nagle uwagę wszystkich odwrócił hałas dochodzący od strony Świętego Jerzego. Z dala widać było, jak na czele kilku ludzi nadchodzi Rudy, śmiejąc się chrapliwie. Rękę trzymał za sobą, jakby coś ukrywając. Gdy doszedł, rozległy się szepty, coś sobie pokazywano. Stanął obok Kochana i zapytał:
- Ugadaliście się już? Szkoda było czcigodnemu biskupowi czas na modły przeznaczony

zabierać, a nam szukać zbiegłej tutaj, gdy się u Świętego Jerzego ukryła.

Spojrzał z drwiną na Wojciecha, który zbladł i zachwiał się jak pchnięty; ciągnął:
- Zdało się dziewce, że kark ma twardy, a pod mieczem pachołka ustąpił jak świeca.

Schowaną za sobą rękę podniósł w górę. Za jasne włosy trzymał głowę Ludmiły.
Wojciech zatoczył się i puścił pastorał, który z łoskotem upadł na ziemię. Rękę wyciągnął i w powszechnej ciszy powiedział nieswoim głosem:
- Ty, wyrodku, do szatana modlić się będziesz, by duszę twą wywlókł z ciała, które piekło pozna na ziemi.

Rudy roześmiał się nieszczerze, a Kochan, biorąc z jego ręki głowę Ludmiły, cisnął ją pod nogi biskupa, mówiąc:
- Oto dopełniam pierwszego ślubowania. Na spełnienie drugiego niedługo poczekacie.

Wojciech patrzył na niego nieodgadnionym wzrokiem, w którym nie było gniewu, lęku czy żalu. Zdał się raczej widzieć coś niedostrzegalnego dla innych. Powiedział cicho, wskazując na Bolesława:
- A jego ręką Bóg wam sprawiedliwości domierzy. Po trzykroć ród twój własną krwią za tę krew niewinną zapłaci. - Potem przymknął oczy i szepnął do siebie: - Gesta Dei per diabolum.

Rudy wzruszył ramionami i, odwróciwszy się, skierował się do furty z Kochanem. Za nimi wymykali się inni, coraz pospieszniej. Za chwilę na obejściu nie było nikogo, został jeno biskup, ze wzrokiem utkwionym w leżącą u jego stóp głowę. Radzim podszedł cicho i stanął obok brata, który po chwili podniósł na niego oczy; wskazując na głowę, powiedział:
- Oto Boży znak. Nic tu po mnie. Nie masz w tej Sodomie dziesięciu sprawiedliwych. Anathema sit!

Skłon życia Bolesława, zwanego Pobożnym, chmurny był. Doświadczonym okiem widział nadciągającą zawieruchę, a przez długi czas martwicą przykuty do łoża, bezradnie patrzeć musiał na pierwsze zawieruchy tej oznaki, zapowiedź tego, co dziać się będzie, gdy on sam spocznie u Świętego Wita, a na kamiennym praskim tronie zasiądzie niegodny jego następca. Najstarszego syna, któremu nadał imię męczeńskiego stryja, (Św. Wacław, zabity przez brata, Bolesława I, zwanego Srogim.) by odwrócić od rodu i kraju przekleństwo krwi bratnią ręką przelanej, zabrała śmierć, święty Wacław nie dał się przebłagać. Z pozostałych trzech żadnemu nie mógł stary książę ze spokojem przekazać berła, wypadającego z martwej już za życia ręki. Dwóch młodszych jednoczyła jeszcze obawa przed Rudym, którego lękała się nawet własna matka. Ale Pobożny znał swe dzikie potomstwo. Gdyby nawet zdołał odsunąć od władzy Bolesława, walka o tron zacznie się między młodszymi. Nic nie zapobiegnie rozlewowi bratniej krwi.
Myśl starego księcia od niewesołej przyszłości odwróciły bliższe sprawy. Jaskrawe pogwałcenie przez Rudego i Wrszowców poręczonych biskupowi praw Kościoła dopełniło miary i

Wojciech ponownie opuścił stolicę. Owoc długoletnich starań, by na praskim stolcu biskupim zasiadł mąż z własnego narodu, zmarnowany został przez rozpustnika. Wątpliwe było, czy Kuria po raz wtóry nakaże Wojciechowi powrót, a nawet czy byłoby to pożądane. Książę wolałby widzieć na biskupim stolcu brata swego Krystiana, choć wyzywające i urągliwe zachowanie Rudego w zajściu z córą Dalimila wobec własnej, powszechnie czczonej ciotki Mlady nie wróżyło, by rozpustnik bardziej liczył się ze stryjem.

Wydarzenie to jeszcze jedną troską legło na pochylonych wiekiem i chorobą barkach starego księcia. Posiłki dla Ottona na wojnę przeciw północnym poganom stały już w pogotowiu, czekając jeno na nadejście lubickich huwców, których z lennego obowiązku dostarczyć mieli Sławnikowice. Pochopna i otwarta groźba Kochana, rzucona w twarz Wojciechowi w obecności Rudego, była zapewne przyczyną, że nie nadchodziły. Sławnikowice byli w prawie odmówić stawiennictwa, jeśli suweren w wykonaniu wzajemnego obowiązku nie zapewni im bezpieczeństwa.

Stary książę świadomy był z dawna, że jeśli Czechy nie mają pozostać okaleczonym tworem, to państwo lubickie zniknąć musi. Ale Rudy, kierując się zwyrodniałymi zachciankami, wybrał porę najmniej odpowiednią. Stosunki z Polską, od siedmiu lat wrogie, zaostrzyły się jeszcze, gdy stary książę, wyzyskując wewnętrzne walki w Polsce, odebrał nie jeno zdobycze Mieszka, ale zagarnął i Wiślan z Krakowem. Teraz polski siostrzan rozprawił się już z Odą i przyrodnimi i - jak słychać - własną osobą ciągnie na pomoc Ottonowi, skarbić sobie dalsze jego względy. Pobożny zbyt dobrze znał siostrzana, by nie przewidywać, że teraz z kolei wyzyska wewnętrzne walki w Czechach, gdyby Wrszowce wykonać chcieli groźbę Kochana. Zaprzyjaźnionym Sławnikowicom polski książę udzieli pomocy, a pełnoletni już Otto nie ujmie się za lennikiem czeskim, który nie stając na wyprawę dałby tym samym pozór przeciw sobie. Z gorzkiego doświadczenia wiedział zresztą Pobożny, że nieobecni nigdy nie mają słuszności, a słabi - sprzymierzeńców. Gdyby zaś mimo wszystko wysłał Rudego z posiłkami, a Sławnikowice zostali w domu, mogą wykorzystać sposobność, by na zawsze usunąć grożące im niebezpieczeństwo.

Darmo było mówić o tych sprawach z Rudym, skoro syn ich sam nie rozumiał. Zresztą nie w jego mocy leżało powstrzymanie Wrszowców od pochopnych poczynań, co by umożliwiło chwilowe bodaj załagodzenie stosunków z Lubicami, zaognionych odejściem biskupa i groźbą Kochana. Książę z rozdrażnieniem pomyślał, że dziś przekonywać musi tam, gdzie dawniej rozkazywał, a rozmowa, jaką miał z Kochanem, pozostawiła mu posmak goryczy i upokorzenia. Starosta na pozór z szacunkiem wysłuchał przekonywań, po czym odparł, że grozić nie zwykł na darmo, Sławnikowiców o zawieszenie wróżdy prosić nie będzie i rzuconą Wojciechowi zapowiedź wykona.

Książę z trudem hamował gniew. Tidag przestrzegał go przed wszelkimi wzruszeniami, drugie bowiem uderzenie martwicy, którym groziły, bywa śmiertelne. Gdy czarne płaty ustąpiły Bolesławowi sprzed oczu, powiedział:

- Sam skończę z państwem Sławnika, kiedy uznam, że pora. Ale i wtedy wedle prawa lenno wypowiedzieć trzeba. A ninie tego uczynić nie mogę, przeciwnie, poręczyć muszę bezpieczeństwo lennika, jeśli hufca żądam na wyprawę.

- Moja rzecz własnej i mojego rodu czci dochodzić - odparł Kochan wyniośle - i pomocy od was nie żądam. A jaka jest wierność onego lennika, dowód w tym, że się z wrogami przyjaźni; Sobiebór Sławnikowic na znak, że kneziem jest niezawisłym, pieniądz własny bić kazał ze swym wizerunkiem w koronie. Jawne, co mu się marzy. Może o tym i nie wiecie, boście ze spraw wybyli.

Księcia, który czuł w słowach starosty lekceważenie, chwytała zadyszka i głos mu się rwał, gdy rzekł:

- Wiem o tym. Jeno nijak sprawami państwa kierować, gdy każdy wedle swej woli mieszać mi się w nie będzie.

- Nie każdy, jeno ja i mój ród - dumnie odparł starosta. - Bez nas nie uczynicie końca Sławnikowicom.

Bolesław opuścił sine powieki na wpadnięte oczy. Kochan ma słuszność, jeno nie wiadomo, co groźniejsze, lubickie państwo czy zuchwali a przemożni Wrszowcy. Pewne jeno, że teraz dogadać się musi z tym pysznym i upartym człowiekiem. Powiedział:

- Lepszy pozór należć trzeba niźli obrona czci waszego rodu, jakoby naruszonej przez biskupa. I wtedy z wrogiem się rozprawić, gdy na pomoc nie będzie mógł liczyć. A ja nie żądam, byście się wyrzekli wróżdy, jeno byście ją na czas wyprawy zawiesili. Zmuszacie mnie do wyboru, tedy wiedzcie, że ja wyprawę odeślę, choćby Sławnikowice ostali doma... Iście na moją pomoc nie liczcie, gdyby się tak nie obróciło, jak się wam widzi.

Kochan, choć się odrzekał, liczył jednak na tę pomoc widocznie, bo znacznie miękcej zapytał:

- Czego tedy wasza miłość od nas żąda?

- Wżdy po czesku mówię: byście nie złamali mej poręki, że Sławnikowiców czasu wyprawy nikt napastować nie będzie.

- A potem? - zapytał Kochan.

- Po cóż mnie pytacie? Zdzierżycie wy moje słowo, swego dopełnić możecie.

Milej mi nawet, jeśli na wasz poczet to pójdzie - dodał szorstko.

- Czy i majętności jakie dobędziem?

- Nie dla łupów zniszczyć chcę państwo Sławnika - gniewnie odparł książę.

- Tarżyć się o nie nie będziemy.

Odetchnął z ulgą, gdy starosta odszedł. Ale gorycz pozostała. Tacy, którzy swą krwiożerczość i chciwość stroją w pozory czci, śmią mu swoją wolę narzucać, za równych sobie uważać. Bolesław wstydził się za ludzi, jakimi musiał się posługiwać.

Mimo poręki bezpieczeństwa, otrzymanej od starego księcia, Sobiebór wahał się, czy ruszać na wyprawę. Lekceważenie przez Rudego i jego popleczników książęcego słowa w sprawie Wojciecha było dowodnym przykładem, że polegać na nim nie można. Przeważyła wiadomość, że Rudy powiedzie posiłki czeskie, a Kochan własny hufiec rodowy. Pod ich nieobecność można się było spodziewać, że Wrszowce nie porwą się na wykonanie groźby, za wyjazdem zaś Sobiebora przemawiała nadarzająca się sposobność złożenia Ottonowi, jako zwierzchniemu panu Czech, skargi na gwałty i bezprawia, w przeciwnym razie Rudy sam będzie przy głosie i po swojemu sprawy przedstawi. Nie spodziewał się wprawdzie Sobiebór zapobiec przez to napaści ni otrzymać pomocy na jej wypadek. Zamęt w Niemczech trwał, a młody ich władca siły i uwagę skupiał na swych rzymskich planach. Jak nie upomniał się o zerwanie rozejmu przez Czechy i Bawarię z Bolesławem polskim, tak też zapewne nie upomni się teraz o wygnanych młodszych Mieszkowiców ani też o czeskiego lennika, gdy z kolei Bolesław zechce na nim powetować straty poniesione w czasie wojny

domowej. Polski książę z rodu zaprzyjaźniony był z domem Sławnika, a dogodniejsze mu było sąsiedztwo lubickich książąt niż Czech, z którymi od lat już wlokła się nieprzyjaźń. Bolesław polski własną osobą ma być na wyprawie, sposobność będzie z nim się rozmówić.

A jednak Sobiebór wyruszył z ciężkim sercem. Brzewnowskiego opata, Radłę, dawnego nauczyciela młodszych braci, prosił, by pod jego nieobecność zagościł w Lubicy i w razie potrzeby upomniał się u księcia o dotrzymanie słowa. Pobożny liczyć się będzie z dostojnikiem. Czasławowi, jedynemu z braci, który rwał się do wojny, Sobiebór odmówił zabrania na wyprawę. Niedawno się ożenił, małżonka przy nadziei była, niechaj jej pilnuje. Ale był to jeno pozór. Sobiebór nie chciał przyznać, że gnębi go niepokój, i wolał, by ten bitny brat pozostał w domu.

Siedząc już na koniu, żegnany przez rodzinę, siłą musiał oderwać swego ulubieńca, małego bratanka Wojcieszka; chłopczyk rozpłakał się żałośnie - nie chcąc więc okazać nieprzystojnego mężowi wzruszenia, Sobiebór żgnął konia ostrogą i z miejsca puścił go w cwał, a kiedy droga skręciła na Hawrań, obejrzał się. Spora gromadka rodzinna stała jeszcze na wysokim wale. Jak poletko dojrzałej pszenicy złociły się w słońcu jasne włosy dzieciaków, wśród nich jak maki i chabry barwne namitki niewiast. Własnej nie miał. Pomyślał, że jeszcze ciężej byłoby wyjeżdżać, ale niewielka była to pociecha. Czuł się ogromnie samotny.

Z niewielkim pocztem, który ograniczył, by nie osłabiać załogi grodu, ciągnął wprost na Budziszyn, omijając Pragę. Nie chciał spotkać się z Rudym i Kochanem, książę życia mu nie poręczył.

U przeprawy przez Czarną Elsterę zjechał się z margrafem Ekkehardem i miśnieńskim biskupem Eidem, którzy również ciągnęli na zbór wojsk pod Branibor, wiodąc silny hufiec jazdy i liczny lud pieszy. Przyłączył się do nich, a w miarę jak zbliżali się do celu, coraz częściej napotykali większe i mniejsze oddziały wojsk duchownych i świeckich lenników. Trzeci już w tym roku niszczący najazd Obodrytów zgromadził niemal wszystkich. Ciągnęli nawet pozbawieni swych diecezji hamburski Liawizo, wagryjski Reginbert, szlezwicki Poppo oraz wygnany z Hobolina Hilderich. Brakło jednak dwóch najpotężniejszych: z duchownych nie przybył koloński Wulligiz, odsunięty od władzy przez Ottona, ze świeckich - bawarski Kłótnik. Jak trafnie przewidział Bolesław, pokój między młodym władcą Niemiec a buntowniczym jego krewniakiem nie trwał długo. Tym razem przyczyną zatargu było obsadzenie ratyzbońskiego biskupstwa. Kłótnik nie dopuścił, aby stolicę objął wyznaczony przez Ottona Gephard, siłą próbując wprowadzić swego elekta Tagina. Niepoprawny warchoł, zagniewany na króla, nie stanął na wyprawę. Na progu swego panowania Otto znalazł się wobec zamętu, który zagrażał jego rzymskim planom.

Zgromadzone pod Braniborem wojska odzwierciedlały stan panujący w kraju:

spory między zwolennikami młodego władcy a odtrąconymi przezeń starymi doradcami babki Adelajdy i kanclerza Hildebalda, sprzeczne interesy, niekarność i nieład. Rozsądniejsi z niecierpliwością i niepokojem oczekiwali przybycia Ottona, którego obecność zapewniłaby przynajmniej jednolite kierownictwo wojsk.

Nadejście polskiego księcia wywołało poruszenie wśród niemieckich możnowładców. Bolesławowi nie brakło wśród nich szczerych czy kupionych zwolenników, przeważali jednak wrogowie, którzy spodziewali się, że wyrosłe niemal na ich oczach państwo Mieszkowe rozsypie się po śmierci swego twórcy. Wiadomo zaś już było, że jego dziedzic uporał się z macochą i przyrodnimi braćmi, a z postronnych walk, choć nie bez strat, obronną wyszedł ręką. Nikt wszelako nie przewidywał, by po trzyletnich ciężkich zmaganiach niemal wprost z jednej wojny polski książę

wyruszył na nową, a najmniej, że na nim samym i na jego ludziach nie zostanie ni śladu uporczywych, wyczerpujących znojów i wysiłków. Postać księcia zdała się promieniować pełnią sił, pierś rozsadzać łuskowy pancerz, w obejściu i spojrzeniu była dostojna pewność siebie człowieka nawykłego do narzucania wszystkim swej woli. Wojska, które przyprowadził, tak różniły się od pozostałych, jak on sam od zajętych swymi drobnymi sprawami niemieckich możnowładców, spędzających czas na sporach, zmowach i czczej gadaninie. Nie mieszając się w nie, z wyniosłą, pogardliwą niemal obojętnością Bolesław stanął obozem obok Ekkeharda, jakby dla zaznaczenia przyjaznych z nim stosunków. Przyprowadzone przez Bolesława wojska nie tyle liczbą i uzbrojeniem, co karnością, sprawnością i ładem niewątpliwie pokazem miały być jego siły. Prócz bowiem licznej jazdy lekkiej, zdatnej do podjazdów i do pościgu, podzielonej na trzydziestki, pod wodzą stałych dowódców znających każdego człowieka i konia, oraz potężnego zastępu pieszych zaprawionych w walkach leśnych i przy obleganiu grodów, z dziesiętnikami i setnikami, przywiódł potężny zastęp pancernej jazdy, potrzebnej jeno w walnych bitwach, mało zresztą prawdopodobnych w bagnistym i lesistym kraju. Grono dostojników zdało się być w zupełnej ze swym księciem zażyłości. Zauważyć to można było przy biesiadach, od których Bolesław nie stronił. Od prostego woja jednak do wojewody - wszyscy patrzyli w oczy Bolesława, jakby chcąc myśli jego zgadywać. Ale jawna ufność i przywiązanie, okazywane księciu, mniej bystrym nie pozwalały dostrzec, że woje baczą też pilnie, czy między wydatnymi brwiami księcia nie ukaże się zmarszczka zapowiadająca gniew, który potrafi zabijać. Nie pytając się, co poczynają inni, Bolesław natychmiast po przybyciu rozesłał konne podjazdy dla stwierdzenia, gdzie przebywa nieprzyjaciel i co zamierza. Pozostałe wojska polskie od rana do wieczora zajęte były ćwiczeniami, zawsze pod ręką, gotowe do działania, gdy niemieccy knechci wałęsali się przeważnie w poszukiwaniu żywności i w własnych sprawach.

W przeddzień przybycia Ottona panujący dotąd nieład byłby omal udaremnił wyprawę, a mógł i samego króla podać w niebezpieczeństwo. Pod wieczór chmurnego dnia, gdy w obozie brano się do wieczerzy, w lasach ciągnących się nieprzerwanym pasmem nad rzeką aż do Hobolina rozległy się wrzaski, które w obozowym gwarze zrazu uszły uwagi. Dopiero gdy bez tchu dopadło kilku knechtów z wiadomością, że podczas łowienia ryb napadnięci zostali przez pogan, pomiarkowano, że nadchodzi nieprzyjaciel, i wszczął się zamęt, który łatwo mógł się przeobrazić w popłoch. Z wyjątkiem Gizylera i Ekkeharda żadnego z dowódców nie było przy swoim oddziale, konie były na pastwisku, połowa ludzi rozwłóczyła się po obozie i okolicy. Przekrzykując się wzajemnie, zwoływano się pod znaki, słano po konie, rycerstwo trzęsącymi się z pośpiechu rękoma przywdziewało zbroje, klnąc giermków, których nie mogli się dowołać.

Gizyler, dosiadłszy konia, usiłował ład wprowadzić, ale głos jego ginął w powszechnej wrzawie. Ekkehard, który stał na północnym krańcu obozu nad rzeką, pierwszy sprawił swe oddziały, ale widząc, co się dzieje, trzymał je w pogotowiu, nie ruszając z miejsca, w obawie, że gdy on zwiąże się walką, reszta pierzchnąć gotowa pod osłoną zapadającej ciemności.

Tylko Bolesław nie był zaskoczony, podjazdy doniosły mu bowiem o nadciąganiu nieprzyjaciela, a nawet znał w przybliżeniu jego siłę. Za poradą jednak Stoigniewa nikogo o tym nie zawiadamiał. Przywiódł tak znaczne siły, by okazać Ottonowi, że sam potrafi wziąć na swe barki ciężar walki z północnym pogaństwem. Nadchodząca napaść stwarzała sposobność przekonania niemieckiego władcy o tym, dowodniej niż słowem. Gdy w obozie wrzało jeszcze jak w kotle, polańska lekka jazda zachodziła już nadciągającym Obodrytom od skrzydeł, piesze szyki zajęły skraj lasu czołem do nieprzyjaciela, sam zaś Bolesław z pancernymi stał w gotowości na łęgu, na wypadek, gdyby je

przełamano.

Obodrycki Mściwoj wiedział o panującym w obozie nieładzie i nieobecności Ottona, liczył też na to, że naskoczywszy niespodzianie przy zapadającym zmroku, wywoła popłoch i zdoła rozproszyć liczniejsze wprawdzie, lepiej zbrojne, ale nie przygotowane wojska niemieckie, i jednym zamachem weźmie niedawno odzyskany przez Sasów Branibor. Gdy jednak odgłosy walki na skrzydłach zdradziły, że zaskoczenie się nie powiodło, sam, w obawie przed zasadzką, wycofał się na Hobolin, do zmroku ścigany przez polską jazdę. W silnie obwarowanym grodzie, wśród bagien Haweli i Łaby, mógł długo stawiać opór przeważającym siłom, a w leśnych walkach zadawać im straty i nie miał zamiaru stawać do otwartej bitwy z silniejszym przeciwnikiem.

Wywołany pogańską napaścią zamęt w niemieckim obozie trwał do późnej nocy, wprowadzeniu ładu przeszkadzała ciemność i deszcz, który puścił się z wieczora. Gdy uspokoiło się nieco, arcybiskup Gizyler zwołał panów na naradę, by zapobiec rozprzężeniu. Skończyło się na utyskiwaniach, wzajemnych wyrzutach i sporach, tak że burzliwe obrady przeciągnęły się niemal do świtu.

Mimo zaproszenia Bolesław nie wziął w obradach udziału. O przebiegu dowie się od Ekkeharda, a podporządkować się jakimkolwiek postanowieniom nie miał zamiaru, podkreślając tym, że stanął na wyprawę jako sprzymierzeniec cesarstwa, a nie z hołdowniczego obowiązku. Gdy jazda powróciła z pościgu, zasiadł do wieczerzy ze swą starszyzną i Sobieborem, słuchając opowieści tegoż o zajściach w Pradze, które skłoniły Wojciecha do ponownego opuszczenia stolicy biskupiej i udania się do Rzymu.

Bolesław z politowaniem patrzył na piękną twarz Sobiebora, na której malowało się przygnębienie. Sprawiał wrażenie człowieka zmuszanego do walki, do której nie czuje ni sił, ni chęci, pragnąc tylko spokoju. Nawet i w tym podobny był do Wojciecha. Gdy Sobiebór zwierzył się, że zamierza Ottonowi przedstawić swoje skargi, Bolesław wtrącił:

- Otto miłuje i czci waszego brata, a Przemyślidom, którzy zawżdy trzymają z Kłótnikiem, przychylny być nie może. Ale pomocy od niego nie spodziewać się wam, bo mu do Rzymu spieszno po cesarską koronę, a co tu ostawi, widzieliśmy choćby dziś. Budowę swego imperium od kurka na wieży rozpoczyna.

Spojrzał znacząco na wojewodę Stoigniewa, który doradzał wzięcie udziału w rzymskiej wyprawie Ottona, i uśmiechając się pobłażliwie, ciągnął: - I ja, gdym był wyrostkiem, od korony rozpocząć zamyślałem, jak już rodzic mój zamierzył. Ale dzisiaj wiem, że na tym kończyć przyjdzie. Bednarz przódzi klepki zestawia, potem obręcz nabija. I taka mi korona potrzebna, którą sam sobie włożę na głowę. Podarowana łacno odebrana być może.

Stoigniew zrozumiał przymówkę i odparł:

- Gdyby człek za młodu marzyć nie umiał, w dojrzałych leciech nie wiedziałby, do czego zmierzać. Doświadczenia po to potrzebne, by wiedzieć, jak swoje osiągnąć. Koń zasię, który przed przeszkodą się zatrzyma, nigdy jej nie weźmie.

- Ale go doświadczony jeździec nie rozpędza - rzekł książę - gdy wie, że nie przeskoczy. Objedzie, choćby i drogi nałożyć przyszło. Ale my tu przypowieści prawim, a gość nasz ze sprawą przyszedł.

Zwracając się do Sobiebora, ciągnął:

- Nie zawadzi w oczy Rudemu, wszem wobec wypomnieć jego bezeceństwa i wiarołomstwa i przyrzeczenie wymusić, że was w pokoju ostawi, choć wiadomo, że słowa nie strzyma. Czas zyszczecie, a o to idzie. Wiecie, żem i ja wam przychylny, miłuję Wojciecha i u Ottona poprzeć was nie omieszkam. Ale pomocnej ręki podać nie mogę ponad głowami Czechów, póki Wiślan i Śląska nie odbiorę. Z mozołem przyszło objąć spadek po rodzicu, a wam mogę rzec, że te siły, com przywiódł, to wszystko, co mogłem zabrać na postronną wyprawę, i po to jeno, by je pokazać wszystkim, co by się ninie za wygnaną Odą ujmować chcieli gębą, gdy rękę mieli za krótką. Rozumiecie tedy, że zaczynając jeno bym kamień poruszył, co nad wami zawisł, powstrzymać go nie mając sił.

Widząc, że Sobiebór zasumował się, dodał:

- Bądźcie dobrej myśli. Rudy to głupiec, który jeno ze swymi zachciankami się liczy, ale nie rodzic jego. Wierę, że i on rad by zagarnął wasze księstwo, ale sposobniejszej pory czeka. I nie po to, by Wrszowców umocnić, których i tak rozparło, gdy Rudy władzę sprawował. Obaczym, zali Pobożny nie zażąda, by Wojciech na stolicę wrócił. Wonczas porękę dać by musiał, że w spokoju będzie mógł urząd swój sprawować, i posłuch mu zapewnić.

- Wżdy i za pierwszym razem Wojciechowi zapewniono praw kościelnych przestrzeganie, a nie strzymano niczego - zauważył smutno Sobiebór.

- Jeno że wtedy stary książę całkowicie bezwładny leżał i zdało się, że już nie dźwignie się. A ninie słychać, iż pozdrowiał na tyle, aby sprawy ująć w ręce.

- Ale chorzeje nadal i pewnikiem niedługo mu już.

- Gdyby pomarł, ani chybi wojna się rozpocznie między Rudym a braćmi.

Wonczas ja uderzę.

Sobiebór odetchnął z ulgą. Wracając do siebie pomyślał, że nie darmo opuścił swoich. Spodziewane poparcie Ottona i przyrzeczona pomoc Bolesława wzbudziły w nim nadzieję, wypierając złe przeczucia. Po raz pierwszy od wyjazdu z Lubicy nie płoszyły jego snu, nie przerywała go zmora, natomiast śnił mu się mały ulubieniec, bratanek Wojcieszek, jak na jawie czuł na piersiach ciepło dziecięcego ciałka i uścisk rączek na szyi. Gdy się obudził, o dobrym dniu, ogarnęła go ogromna tęsknota za swoimi. Ale lato ma się ku końcowi, wyprawa nie potrwa już długo, może zobaczy ich wkrótce wbrew natrętnemu przeczuciu, że pożegnał ich na zawsze.

Po nocnym deszczu ranek wstał pogodny, choć zrazu mglisty - zapowiedź nadchodzącej jesieni. Obóz niemiecki uspokoił się późno i spał jeszcze, gdy przypadli gońcy z oznajmieniem, że król nadciąga. Zbierano się dość opieszale, powodu zresztą do pośpiechu nie było, gdyż Otto przybyć miał pod wieczór, niemniej lennikom przystało wyjechać naprzeciw pana, a wojska doprowadzić do ładu i zgotować przyjęcie.

Polski obóz dawno był na nogach i książę, otrzymawszy wieści , bez zwłoki ruszył naprzeciw, zabierając przyboczny hufiec pancerny z palatymem Jaskotelem Awdańcem i kilkoma innymi dostojnikami. Nie czekał na nikogo, spieszył, by spotkać się z Ottonem, zanim otoczy go tłum, przez który trudno będzie się docisnąć i rozmówić swobodnie. Miał swoje sprawy, ale gnała go też ciekawość. Ottona poznał ongiś pacholęciem, z tego co słyszał o nim od Stoigniewa, młody król Niemiec zdał się mu niedowarzonym wyrostkiem. Dziwił się też, że zdołał urzec trzeźwego i doświadczonego wojewodę, który nakłaniał księcia, by swoje zamiary i poczynania związać z młodym panem chrześcijaństwa; panem z imienia jeno, bo nie był jeszcze panem i we własnym kraju,

wstrząsanym przez wewnętrzne spory i nękanym przez niszczące napaści Normanów i bunty pogańskich Słowian, ujarzmionych ongiś przez starego Gerona. Rok po roku po kilkakroć zwoływać trzeba było wyprawy, na które stawano niechętnie, bo miast jak ongiś brać łupy i niewolnika, często własną skórę zostawić było trzeba.

Bolesław na tym budował swoje zamierzenia. Otto, jeno osiągnął wiek sprawny, oddalił babkę Adelajdę, mogunckiego Willigiza i kanclerza Hildebalda. Mogło to być oznaką młodzieńczej samowoli i zadufania w sobie, ale także wskazywało, że Otto nie zamierza kroczyć drogą ojca i dziada, którzy jedność świata radzi byli oprzeć na przemocy.

Bolesław omawiał teraz te sprawy ze Stoigniewem, gdy dognali ich margraf Ekkehard i Sobiebór. Książę pomyślał, że każdy woli rozmawiać z Ottonem pod nieobecność przeciwników, licząc na niedoświadczenie młodego króla.Wszyscy tu, widno, na oku mają własne cele, a nie wojnę z poganami. Jako wytrawny wojownik widział zresztą, że nieobecność najpotężniejszych lenników, zatargi między przywódcami i spóźniona pora nie wróżą i tym razem trwałych osiągnięć.Nie dało ich zresztą odniesione ongiś nad zbuntowanym krwawe zwycięstwo nad Tongerą ni wymuszony przed pięciu laty pokój i uznanie zwierzchnictwa. Czasy starego Gerona minęły, jego podstępy i sposoby wojowania były już znane, nieudolni jego następcy, Lotar w północnej i Gero drugi we wschodniej marchii, nowych wymyślić nie umieli, sam tylko Ekkehard w Miśni potrafi utrzymać pokój, rządząc sprawiedliwie i z umiarem. Zwoływane doraźnie wyprawy bywały jedynie odwetem za niszczycielskie napaści, ale nie mogły im zapobiec. Otto, chcąc mieć wolną rękę w Italii, na kimś w kraju oprzeć się musi, by zapewnić bezpieczeństwo. Zarówno Ekkehard, jak i Bolesław liczyli, że będą mu potrzebni.

Stoigniew, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, nad czymś rozmyślając, wtrącił teraz:

- Nigdy tu nie będzie pokoju, póki misję będą pełnić tacy apostołowie, jak Gizyler, bo nikt nie uwierzy, że dobro mieczem nawracanych ma na oku.

- Ale Rzym mu ją przyznał - rzucił Bolesław - i nigdy się jej Gizyler nie wyrzecze. Wżdy i nad nami do kościelnego zwierzchnictwa podnosi roszczenie, choć rodzic mój dwa lata wcześniej kraj ochrzcił, nim metropolia powstała w Dziewinie. (w Magdeburgu)

- Co Rzym dał, odebrać może - odparł Stoigniew - bawi tam ninie biskup Wojciech Sławnikowic. Mógłby tu misyjnym biskupem ostać. Gdyby wam pieczę nad misją zlecono, skończyłyby się roszczenia Gizylera.

- Misja do czasu jeno, a roszczenia nie skończą się, póki własnego metropolity nie zyszczę - odpowiedział Bolesław. - Wpierw zasię muszę zdobyć uznanie, iżem ja jedynym spadkobiercą, a Gizyler pierwszy przeciwić się będzie i obstawać przy wymożonej na mym rodzicu darowiźnie, bo wie, że gdyby się Oda z synami u nas utrzymała, uznałaby jego roszczenia.

- Wszystko to jeno w Rzymie załadzić można - rzekł Stoigniew - a także zgodę i poparcie biskupa Wojciecha pozyskać.

- Wiem o tym - z pewnym zniecierpliwieniem odparł książę. - Może i pojedziesz do Rzymu, jeno pierwej rozmówić się trzeba z Ottonem, by zapewnić sobie jego uznanie, zgodę i poparcie.

Rozmowa się urwała, bo nad odległym o kilka stajań brzeźniakiem dostrzeżono dymy obozu, a po chwili doszedł i gwar. Widno Otto zatrzymał się tam na południowy postój.

Bolesław pchnął naprzód»Stoigniewa z oznajmieniem swego przybycia, po czym, sprawiwszy hufiec przyboczny, ruszył na jego czele wraz z Ekkehardem i Sobieborem, nie spiesząc się już. Gdy

obóz był na widoku, książę pomiarkował, że Otto prowadzi tylko dwór i poczty dostojników, jak na zjazd, a nie na wyprawę. Biesiadowali widocznie wraz z królem pod wielkim namiotem, a teraz wyszli, by być świadkami powitania, a może dla okazałości, w której lubował się młody władca. Przeważali wśród nich duchowni, choć po strojach trudno było to poznać, w jaskrawym bowiem świetle południowego słońca orszak grał barwami i blaskiem okazałych strojów, bogatej broni i klejnotów. Ekkehard znał wszystkich i objaśniał Bolesława. Z ważniejszych po prawicy króla stali: Henryk, biskup wurzburski, dawny nauczyciel Ottona, teraz biskup hildesheimski - Bernward i brat jego, młody graf Tammo - giermek Ottona. Ze świeckich był krewniak królewski Henryk karyncki - podczaszy, i Arnsfried, ongiś giermek królewskiego dziada, a ninie miecznik, ostatni ze starych dostojników, którego Otto nie oddalił z dworu. Z saskich lenników obecni byli Warinus, Fryderyk i brat jego Dietrich, zwany Ziazo, ulubieniec młodego króla. W gromadzie kapelanów i komorników wyróżniał się postawą i pięknem poważnego oblicza nie znany Ekkehardowi duchowny. Choć nie przybrany w żadne oznaki godności, mimo woli zwracał na siebie uwagę.

Dojechawszy na pół stajania, Bolesław skinieniem ręki zatrzymał hufiec i zsiadłszy z konia szedł pieszo naprzeciw Ottona, który przyglądał się polskiemu księciu z życzliwą ciekawością. Bolesław przybrany był jak do boju, tylko na głowie miast hełmu miał purpurową czapkę lamowaną złotem. Doszedłszy na kilka kroków, zdjął nakrycie glowy i skłoniwszy się nisko zamierzał widocznie przemówić, gdy Otto, nie czekając, przystąpił i kładąc mu dłonie na ramionach pierwszy zaczął:

- Wiele o was słyszałem i radem poznajomić się. Mile witam wiernego sprzymierzeńca, tym bardziej żem się was ujrzeć nie spodziewał, a przez posły trudniej się dogadać.

Zwrócił się do Ekkeharda, podając mu rękę, którą margraf, przyklęknąwszy, ucałował, i rzekł:

- I was mile widzę. A to, zgaduję, książę Sobiebór. Podobniście do brata swego, bliskiego sercu mojemu Wojciecha. Słyszałem, że znowu do Rzymu wyjechał, tedy wkrótce ujrzę go zapewne, ale rad od was posłyszę, co skłoniło biskupa, że znowu diecezję swą porzucił.

Gdy»Sobiebór zbierał się odpowiedzieć, Otto przerwał:

- Siadajcież z nami do posiłku, bo przyda się zdrożonym. Tymczasem pewnikiem nadciągną pozostali lennicy. Doszło do nas, że nie bez winy książęcia młodszego,»Bolesława, i jego popleczników biskup Pragę opuścić był zmuszony. Jeśli iście tak, niechaj w oczy oskarżenia wysłucha, by nie mógł rzec, że sąd się odprawia bez oskarżonego.

Otto skinął ręką zapraszająco pozostałym dostojnikom z orszaku Bolesława i wszedłszy pod namiot, którego ściany były podniesione, bo południowe słońce dopiekało, zajął miejsce u szczytu stołu, sąsiednie wskazując polskiemu księciu, i zaczął rozmowę o wyprawie. Bolesław umyślnie nie taił, że nie spodziewa się, by i tym razem doprowadzić mogła do trwałego uspokojenia. Siedzący obok Bolesława Ekkehard, opowiadając o zajściach ubiegłago dnia, zaznaczył, że skończyć się mogły zupełnym jej udaremnieniem, gdyby Bolesław sił swych nie trzymał w pogotowiu. Otto słuchał zachmurzony, a gdy Ekkehard umilkł, odezwał się:

- Jakoż posłuch i pokój wymóc na poganach, gdy nie masz go między chrześcijany, każden własne jeno dobro ma na względzie, pospólne dla niego poświęcić gotowy. Gdy my oto najważniejsze sprawy chrześcijaństwa odkładać jesteśmy zmuszeni, by w kraju ład i pokój zabezpieczyć, lennicy wyprawy nie obeślą, bo się na pana swego pogniewali, że nie tak rządzi, jak

im po myśli.

- Nie pochwalam ja nieposłuchu - wtrącił Henryk wurzburski - ale najważniejszą jest sprawą chrześcijaństwa hardy kark pogański do stóp krzyża przygiąć lub ściąć. Dziad wasz dlatego mógł myśl swobodną rzymskim sprawom poświęcić, że tutaj stary»Gero tarczą i mieczem był przeciw pogaństwu, władzę Kościoła zabezpieczyć umiał, nie szukając wątpliwych sprzymierzeńców, i nikt mu w tym rąk nie wiązał. A ninie niełaska ściga nawet pokolenie w Bogu spoczywającego margrafa Dietricha, za winę mu poczytując, że jakoby jego okrucieństwo przyczyną było pogańskiego buntu, uznanie zasię zyskują ci, którzy w grzesznej wyrozumiałości oczy przymknąć gotowi na krzywdę i zniewagę Kościoła.

Wszyscy zrozumieli, że biskup przeciwnikiem jest rzymskich zamierzeń Ottona, a pije do zatargów»Ekkeharda z magdeburskim Gizylerem i do wygnania synów Ody. Bolesław spojrzał groźnie na biskupa, ale powstrzymał ostre słowa, czekając, czy nie odezwie się Otto. W tej chwili jednak nieznany duchowny powiedział w zamyśleniu:

- Kto wiatr sieje, burzę zbiera.

- Obcym tu będąc, dostojny bracie - zabrał głos Bernward - nie znasz spraw naszych i nie wiesz, co tu popełniono. Zajadłe pogaństwo niczego nie uszanuje. Nawet zmarłemu pasterzowi wieczny spoczynek zakłóciło za to, że praw Kościoła surowo strzegł i posłuszeństwo dla nich umiał wymusić. Nie masz postępowania zbyt srogiego przeciw zgrai rozpasanych zwierząt.

W głosie Bernwarda brzmiała wyraźnie nieżyczliwość. Bolesław poza plecyma Ekkeharda pochylił się do Stoigniewa i zapytał cicho:

- Kto zacz jest?

- Gerbert d'Aurillac - również cicho odparł Stoigniew, patrząc na Ottona, na którego wyrazistej twarzy zjawiło się podniecone zaciekawienie, z jakim wyrostki zwykli oczekiwać spotkania znanych zapaśników. I Bernward musiał to zauważyć, gdyż bardziej dla króla niż dla Gerberta dodał, jak nauczyciel do ucznia:

- Oboedientia mater est et custos omnium virtutum (Posłuszeństwo jest matką i strażą wielkich cnót) - jako rzekł święty Augustyn.

Gerbert uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie i podjął rękawicę:

- Ale powiedział też: iustitia est imperatoris neminem per potentiam opprimere. Homo enim animalibus, non ceteris hominibus natura praelatus est. (sprawiedliwością władcy jest nikogo przemocą nie uciskać. Człowiek bowiem z natury wyższy jest ponad zwierzęta, ale nie innych ludzi) Przeczyłby przeto sam sobie, gdyby przez posłuszeństwo rozumiał odebranie człowiekowi wolności, która jest jego przyrodzonym prawem. Do posłuszeństwa obowiązany być może z umowy, jako lennik dla suwerena, lubo z prawa dla pospólnego, a zatem i własnego dobra, i tylko wtedy przymusu można użyć.

- Zda mi się, wielebny panie - sztywno odparł Bernward marszcząc brwi - że to wy w sprzeczność z sobą popadacie. Najwyższym prawem jest prawo boskie, a najwyższym dobrem - dobro Kościoła. Jeśli przeto Ojciec Kościoła mówi: neminem (nikogo), to oczywiście rozumie jeno członków chrześcijańskiej społeczności. A Zbawiciel klucze Królestwa świętemu Piotrowi ostawił i jego wikariuszom i następcom, cum potestate ligandi et solvendi (z władzą wiązania i

rozwiązywania), i kto Kościołowi odmawia posłuchu, prawu boskiemu się przeciwi.

- Nie wiem, dostojny bracie, co rozumiał święty Augustyn, mówiąc: neminem; człowiekiem zresztą będąc, mógł się nawet mylić, jako i każdy z nas. Ale wiem, że Zbawiciel powiedział: „słowa moje są: tak: - tak, nie - nie". I rzekł: si quis vobis annuntiaverit praeter quod accepistis, etiam angelus de coelo, anathema sit! (gdyby wam ktoś głosił poza tym, coście otrzymali, nawet anioł z nieba, niechaj będzie odrzucony!) Gdy zasię apostołów swych między pogan rozsyłał, by szerzyli Jego naukę, nawet srebra w trzosach mieć im zabronił, cóż mówić o mieczu! Wżdy samemu Piotrowi, gdy oręż podniósł w Jego obronie, do pochew schować kazał. Neque summo pontifici potestas ligandi et solvendi ad placitum concessa est (Nawet najwyższemu kapłanowi władza wiązania i rozwiązywania nie została udzielona wedle jego upodobania) i świętemu Piotrowi jeno ad personam (osobiście) - jak uważa Orygines - a jego następcom wtedy, gdy mądrością i cnotliwym życiem wszyskich przewyższają. Kto by zasię utrzymywał, że prawo przez Zbawiciela ogłoszone tak wyjaśniane być może, by przeczyło prawu natury, którą Bóg stworzył, ten by twierdził, że to Bóg popadł w sprzeczność sam z sobą.

- Ale święty Paweł w liście do Tesalczyków pisze: „Ewangelia nie w słowie stworzona, ale w sile i w Duchu Świętym" - z wyraźną już złością odparł Bernward. - W tym zasię, co mówicie, więcej słyszę pogańskich filozofów niźli Ojców Kościoła, powtórzę tedy, co rzekł legat apostolski, czcigodny opat Leo, waszemu Arnulfowi: Vicarii Petri et eius discipuli nolunt habere magistrum Platonem, neque Virgilium, neque Terentium, neque caeteros pecudes philosophorum. Petrus non novit talia et hostiarius coeli effectus est. Ab initio enim mundi non elegit Deus oratores et philosophos, sed illiteratos et rusticos. Stulta mundi elegit Deus ut confundat fortia (Wikariusze Piotrowi i ich uczniowie nie chcą mieć nauczycielami Platona ani Wergiliusza, ani Terencjusza, ani pozostałej zgrai filozofów. Piotr nie znał tego, a ustanowiony został odźwiernym nieba. Od początku świata bowiem Bóg nie wybrał mówców i filozofów, lecz niepiśmiennych i chłopów. Głupców świata wybrał Bóg, by pognębić potężnych.).

Na pięknej twarzy Gerberta zjawił się wyraz zniechęcenia, ale odparł z niesmakiem:

- I wy, wzorem czcigodnego Leona, jeno małe słówko opuściliście:

„Ewangelia nie tylko w słowie stworzona". Littera docet, littera nocet (Litera uczy, litera szkodzi). Głupi zasię nie mogą mieć wiary, jeno zabobony i przesądy. Wiara bez wiedzy nie więcej znaczy niż wiara bez działania, dlatego Duch Święty apostołów oświecił. Ale któż by śmiał twierdzić, że jeno przez następcę świętego Piotra przemawiać może, nawet gdyby nim był rozpustny młokos! Duch Święty przemawiać może czyimi chce ustami, nawet pogańskich mędrców.

Bernward aż się zachłysnął i głos mu się rwał, gdy odparł:

- To, co mówicie, herezją trąci, a bodaj bluźnierstwem!

Wyjąwszy Ottona, Arnsfrieda i Stoigniewa, świeccy niezbyt rozumieli gęsto łaciną przeplatany spór. Ale wszyscy zrozumieli groźbę rzuconą przez Bernwarda, który na dobitkę, zwracając się do króla, dodał:

- Gdyby praw był wasz preceptor, jeno nam odtrąbić wyprawę i niechaj poganie poczynają, co wola.

- Wilkom prawo natury każe owce pożerać - zgryźliwie wtrącił Henryk wurzburski - ale pasterz, który tępieniu ich się przeciwi, niegodzien jest tego imienia. Świat by na głowie stanął, gdybyśmy

takowych nauk słuchać mieli.

- Ukrzyżuj go! - szepnął Gerbert do siebie. Niedawno przez synod w Mousson pozbawiony został ostatecznie arcybiskupiej godności. Kuria rzymska darzyła go niełaską, niewdzięczni Hugo Kapet i Robert opuścili go, choć jemu w znacznej mierze zawdzięczali francuski tron. Teraz przeciwnicy pozbawić go chcą ostatniego oparcia, jakie znalazł u Ottona, który nadał mu opactwo Sasbach i uczynił swym mistrzem.

Otto jednak, który dotychczas w skupionym milczeniu przysłuchiwał się dyspucie między dawnym a nowym nauczycielem, teraz rzekł porywczo:

- Porównanie nijakie, bo ni my owce, ni poganie wilcy, a przytaczanie słów apostołów wedle swego wyboru, by w błąd wprowadzić, co rzec chcieli - niegodne. Chętnie słuchałem, jak zmagaliście się rozumem i wiedzą. Ale kto zastraszeniem przekonać myśli przeciwnika, sam przyznaje, że przegrał. Tedy dość! Jeśli wasza nauka dla głupich, to nie dla mnie.

Bernward zagryzł wargi i przybladł. Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Bolesław uśmiechnął się pod wąsem, Gerbert wdzięczniejszego ucznia znalazł w Ottonie aniżeli graf Hoiko, który uczył go sztuki wojennej. Zarazem zrozumiał, czym Otto ująć zdołał Stoigniewa: w zachowaniu jego była zniewalająco dobra wiara, uczciwość i siła przekonań. Umie być przyjacielem swych przyjaciół.

Była w nim jednak także młodzieńcza nieprzezorność i dufność, która, mimo budzącej się wzajemnej skłonności do Ottona, zmuszała do ostrożności i rozwagi. Bolesław sądził, że wobec niepewnego położenia w kraju, na skutek ponownego zatargu z Kłótnikiem, Otto, gotując rzymską wyprawę, oprzeć się zechce na duchownych lennikach, gdy świeccy uniezależnili się od króla, dziedzicznymi czyniąc swe lenna. Odtrącenie potężnego Willigiza i zajście z biskupami wskazywało, że Otto z nikim i z niczym się nie liczy, z tego zaś, co mówił Stoigniew, wynikało, że młody władca sam jeszcze nie wie, dokąd zmierza.

Wspólna wyprawa jednak stwarzała sposobność zbliżenia się do Ottona i zyskania jego przychylności, którą zresztą jawnie okazywał, widocznie nie zamierzając ujmować się za Odą i jej synami.

Kłopotliwy nastrój biesiady i rozważania Bolesława przerwał widok wysuwających się z lasu jezdnych. Nadciągali lennicy, z Gizylerem na czele, i Otto wyszedł witać przybyłych, po czym kazał zwinąć obóz i razem ruszyli pod Branibor.

Bolesław ze swym hufcem zamykał pochód. Wolał nie tłoczyć się w ścisku dokoła młodego władcy i nie zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Widział, że i Gerbert odsunął się od Ottona, widocznie również za rozsądniejsze uważając nie kłuć w oczy zawistnych zwłaszcza że Otto w swej dumie i porywczości nie umie i nie chce się przytajać.

Książę przez jakiś czas jechał zamyślony, po czym skinął na jadącego również w milczeniu Stoigniewa.

- Nie wszystko zrozumiałem, o co się Gerbert z biskupami wadził. Czego on chce? Rad bym wiedział, bo zda mi się, że Otto jego głową myśleć będzie.

- Może i tak, choć trudno przeznaczać człeka, który jeszcze nie zna sam siebie. Jedno pewne, że na drogi ojca i dziada nie wkroczył i własnej szuka, a wojownikiem nie jest i nie będzie. Gerbert natomiast wie, czego chce: by światem nie siła, ale rozum władał, prawo, sprawiedliwość i

miłosierdzie; by się z dobrej woli, a nie przemocą w chrześcijaństwie zjednoczył, Kościół i cesarstwo za przewodnika mając, nie za pana, obie zasię władze współdziałać mają ze sobą, a nie walczyć.

Książę pokiwał głową.

- Pięknie by to było, ale - jak rzekł Henryk wurzburski - świat by się nogami do góry obrócił.

- Gerbert istniejącemu porządkowi nie przeczy, jeno go za niezmienny nie uważa, skoro wolę przyznaje każdemu człeku, nawet poganom. Śmiały jest i mądry i tego niemieccy dostojnicy zapomnieć nie mogą, że mu nawet stary Otto nad ich słynnym Otrykiem przyznał pierwszeństwo. Toteż biją na niego jak wrony na orła.

- Mówią, że on czarownik - rzekł książę z uśmiechem. - Może to prawda, bo widzę, i ciebie oczarował. Otto śmiały jest a - jakoś rzekł - niegłupi. Ale lękliwy człek niczego nie osiągnie. Pierwszy raz na niemieckim tronie zasiadł król nam przychylny. Nie zjedna mu to naszych wrogów, ale właśnie dlatego rad bym go wsparł. Pojedziesz z nim do Rzymu - dodał po chwili książę niespodzianie. - Dam ci miech ze srebrem i huf pancernych, choć nie zbywa mi na ludziach i w skrzyni jeszcze dno widać. Ale nim ów powszechny pokój zapanuje, chcę go kupić dla siebie. Jeśli Kuria ode mnie przyjmie denar świętego Piotra z działu mych braci przez rodzica przyrzeczony, o wygnanych upominać się nie będzie. Przódzi nim się chrześcijaństwo zjednoczy, ja nasze plemiona muszę mieć w ręku. Ale choć zda się, że jawne było każdemu, iż rodzic mój dla pospólnego dobra je łączył, przecie się bez miecza nie obeszło. A któż przekona północnych pogan, że krzyż im niosąc, dobro ich ma na względzie, gdy dla nich od pokoleń chrześcijaństwo a niewola lubo zagłada - to jedno.

- Niemcom nie uwierzą, nam może by uwierzyli.

- Wżdy z Niemcami na nich idziem i z mieczem.

Stoigniew odparł z namysłem:

- Ale bez szalbierstwa. Walczyliśmy z nimi, sami poganami jeszcze będąc, oni z Niemcami szli na nas. Wżdy stryk Leszek od ich broni poległ. Ale gdy rodzic wasz czasu drugiej wyprawy Wichmana zwyciężył ich, pokonanych nie zniszczył, jeno pokój zawarł, choć Herman rozkaz miał od starego cesarza wytępienia ich do nogi. Nikt z nas rękojeści miecza w fałdach duchownej szaty zdradziecko ukrytego za krzyż nie podawał. Nawet walcząc, można zyskać szacunek i zaufanie wroga.

Bolesław zamyślił się.

- Prawisz - odezwał się po chwili - że Wojciech Sławnikowic na misję do pogan się wybiera. Niechajby tu przyszedł, wszelkiej pomocy i opieki mu udzielę. Jeśli Wojciech się zgodzi, król przeciwić się nie będzie. W Kurii mógłby sprawę druh nasz, Tuni, poprzeć, bo jemu opiekę nad misją w słowiańskich krajach zawierzono, bywał tu i mowę naszą zna. Wiesz, do czego zmierzam.

Wojewoda skinął głową, ale odparł:

- Jeno zda mi się, że Kuria Wojciechowi na stolicę wracać znowu każe.

Willigiz się o to upomina i w swoim prawie jest.

-Obaczym - rzekł Bolesław. - Ottonowi chcę pomóc, ale nie zapominaj, że pierwsze mi własne sprawy.

- Czy Jaskotel huf powiedzie? - zapytał Stoigniew. - Bywaliśmy już społem w Rzymie, umie on ludzi sobie jednać.

- Nie! Wisław Zabawa - odparł książę. - Jaskotel cztery gody doma nie poświecił, aż się mu małżonka zbiesiła. Ledwo się ujednali, znowu na wyprawę ruszył. Nawet teraz chcę go odesłać, niechaj przy niej posiedzi, a mnie koni przysposobi. Ta wyprawa rozwleka się jako dym we mgle, obędę się bez niego, a potrzebny będzie, gdy pora nastanie odebrać, cośmy do Czechów stracili. Ty buduj z Ottonem owo państwo pokoju, a ja się do wojny będę sposobić.

Rozmowa się urwała i jechali obaj pogrążeni we własnych myślach. Słońce schowało się już za bory, zanim dotarli do obozu, długi wąż połączonych orszaków rozsypał się - każdy zmierzał na swoje miejsce postoju. Noc jednak jeszcze nie zapadła, gdy do Bolesława przyszedł komornik Ottona, kanonik Raro z Bremy, z prośbą, by książę nazajutrz rankiem stawił się na wojenną naradę.

Dzień dojrzewał jak rumiany owoc, o świcie zerwał się wiatr i targał dymami ognisk, przy których warzono poranną strawę. W przyrodzie nasilało się podniecenie, które udzieliło się ludziom. Długo oczekiwane przybycie młodego króla było przedmiotem rozmów zarówno przy ogniskach prostych wojów, jak i pod namiotami dostojników. Starszyzna doglądała przygotowań do zapowiedzianego przeglądu wojsk, czyszczono konie i broń, dostojnicy przybierali się w odświętne szaty, jak na dworski zjazd. Wiadomo było, że zaraz po ukończeniu wyprawy Otto znowu opuścić ma kraj i udać się do Rzymu, by uładzić sprawy Kościoła i włożyć cesarską koronę. Droga daleka i nieprędko król z niej powróci, toteż przedtem należało załatwić sprawy, które wymagały królewskiej obecności. Kto skargę miał czy prośbę, zbierał się ją złożyć. Otto przybył z dworem i kancelarią, kapelani jego, Heribert i Gunter, od wschodu słońca przyjmowali zgłaszających się, by przedłożyć królowi lub zgromadzeniu lenników wniesione sprawy. Na skłonie obłego wzniesienia służba zbijała w półkole ławy, z podwyższeniem pośrodku dla Ottona, a na szczycie pagórka świątnicy w cieniu ogromnego buka ustawiali ołtarz, przed którym arcybiskup Gizyler odprawić miał nabożeństwo. Liczna asysta stała już w pogotowiu, dostojnicy schodzili się, a Gizyler pod namiotem czekał jedynie na przybycie króla.

Wkrótce w towarzystwie Henryka karynckiego i Arnsfrieda nadszedł Otto, przybrany w długą purpurową szatę, lamowaną złotem i haftowaną w złote krzyże. Głowę miał odkrytą, jasnorude włosy ujęte były opaską usianą klejnotami. W uroczystym stroju roślejszy się zdał i tęższy, z twarzą poważną i skupioną. Giermek Tammo, niosący za królem miecz i tarczę, stanął za nim, gdy Otto, podszedłszy do ustawionego przed ołtarzem klęcznika, opuścił się na kolana. Jeden z kapelanów położył przed nim na okrytym kobiercem pulpicie modlitewnik, którego oprawa lśniła klejnotami. Jednocześnie Gizyler, w szatach pontyfikalnych, wyszedł z namiotu i rozpoczął ofiarę. Ruchy miał mocne i twarde, głos szorstki, jakby gniewny, zdał się niecierpliwie i pospiesznie urząd sprawiać.

Wojewoda Stoigniew przyglądał się klęczącemu królowi. Pamiętał olśnione, półprzytomne spojrzenie Ottona utkwione w Wojciechu w czasie nabożeństwa w lesie pod Ratyzboną. Wówczas Otto całym swym jestestwem zdał się brać udział w promieniującej z praskiego biskupa wierze w obecność żywego Boga na ołtarzu. Teraz oczy opuścił, od czasu do czasu jeno rzucając chmurne spojrzenie na Gizylera i jakby w roztargnieniu przekładając karty modlitewnika, myślą daleki.

Stoigniew starał się odgadnąć, jak odczuwa ten wrażliwy młodzian widoczną różnicę między tym apostołem Słowian, aktóremu Bóg widno tylko do własnych jego celów potrzebny, a Wojciechem,

dla którego był bardziej rzeczywisty niż własne ciało.

Wojewoda mimo woli szukał wzrokiem Gerberta, zastanawiając się, co mogło być przyczyną jego nieobecności. Wówczas, pod Ratyzboną, on jeden zdał się nie ulegać przejmującemu urokowi Wojciecha. Do niego widno Bóg przez umysł przemawia. Powstało w Stoigniewie pytanie, za kim pójdzie Otto. Nie ciekawość je dyktowała, lecz świadomość, że od tego zależeć będą losy własnego kraju i całego chrześcijaństwa.

Jedno zdawało się pewne: że Otto nie pójdzie za takimi jak Gizyler, skoro oddalił nawet wszechpotężnego i doświadczonego Willigiza.

Arcybiskup skończył właśnie mszę, nie odszedł jednak od ołtarza, lecz stał przez chwilę ogarniając obecnych spojrzeniem, po czym przemówił:

- Wolno mielą Boże młyny, długo Bóg zwala urągać swemu Imieniu. Obalone krzyże, spalone kościoły, kapłani na ofiarę pogańskim bałwanom wleczeni, spustoszony kraj, strugi krwie chrześcijańskiej od lat wołają o pomstę. Często jednak Bóg diabelską złość synów szatana narzędziem zwykł czynić swej kary, gdy fałszywi prorocy, słów Pisma i Ojców Kościoła wykrętnie nadużywając, do karygodnej wzywają wyrozumiałości wobec wrogów Boga i Kościoła. Ale Chrystus Pan rzekł, iż przyjdzie czas, że trzeba suknię przedać, by kupić miecz. Czas ten nadszedł. Niechaj sprawiedliwy gniew wypełni pierś każdego chrześcijanina, by jak burza wyrwać z korzeniem wybujałe drzewo pogańskiej pychy i nieprawości. Zbawiciel nasz wzniesiony ku Jego obronie miecz Piotrowi do pochew schować kazał, by wypełniło się proroctwo. Ale nam nie lza go schować, póki choć jedne usta urągać będą imieniu Bożemu, bo jedna ma być owczarnia i jeden pasterz. Pismo bowiem mówi: „Wszelka kraina i miasto, które by nie chciało być uczestnikiem tego święta, niechaj mieczem i ogniem zginie i niech będzie tak wygładzone, żeby nie tylko ludziom, ale i bestiom drogi przez nie na wieki nie było.” Jeśli przeto bezrozumnemu bydlęciu przepuszczone być nie może, niechaj miecz wasz nie cofa się przed niewiastą ni dzieckiem, bo ze skażonej roli i zarazą tkniętego drzewa nie czekać dobrego plonu.

Wszyscy, którzy świadomi byli dysputy Gerberta z hildesheimskim biskupem, zrozumieli, że Gizyler z wysokości ołtarza pognębić chce niemiłego sobie człowieka, pozbawiając go możności obrony. Król, który wstał z klęcznika, gdy arcybiskup skończył nabożeństwo, teraz odwrócił się i zanim przebrzmiały ostatnie słowa, szybkim krokiem wszedł na podwyższenie. Gizyler przy pomocy asysty złożył szaty pontyfikalne i skierował się na swe miejsce po prawicy Ottona, który, nie czekając nawet, aż arcybiskup siądzie, zwrócił się do obecnych:

- Dostojny Gizyler zdanie swe już wyraził, przyczyny zła w wyrozumiałości dla pogan się dopatrując. Ale przypomnę, że już dziad nasz północnych pogan bez miłosierdzia doszczętnie wyplenić nakazał, gdy słabsi byli niż ninie, po klęsce od polańskiego Mieszka poniesionej, a oto nie masz roku, byśmy z nimi po kilkakroć walczyć nie byli zmuszeni. Tedy radzić nam nie co, jeno - jak poczynać, by choć pokój i bezpieczeństwo wymóc, a nam ręce do ważniejszych spraw rozwiązać. Gorzki korzeń zła zasię nie, jako u chrzanu, jeden jest, ale jako perz pleni się, posianą już rolę zachwaszczając. Gdzież owa jedność chrześcijańska? Oto bawarski krewniak nasz nam jeno służące prawo obsadzania biskupich stolic sobie przypisuje, posłuszeństwa odmawia i wbrew obowiązkowi wyprawy nie obesłał. Nawet między tymi, którzy stanęli, nie masz zgody i jedności, jeno nienawiść i zwada, które siły rozpraszają. - Otto przerwał, oczyma szukając Sobiebora i patrząc na niego ciągnął: - Słyszeliśmy, jako miły nam czcigodny biskup praski, Adalbert, ponownie stolicę swą opuścić

musiał na skutek obrazy, jakiej na osobie swej i prawach Kościoła doznał. Sprawców tego bezeceństwa nie ukarano, czym rozzuchwaleni, przy poparciu książęcia, młodszego Bolesława, pomstą biskupowi i rodowi jego zagrozili, na skutek czego obecny tu książę Sobiebiór znaczną część sił na pomoc doma ostawić musiał dla bezpieczności, słowu swego suwerena dowierzać nie mogąc, gdy raz przez swawolników złamane zostało. Jakoż tedy oczekiwać nam bezpieczeństwa pasterskiej pracy wśród pogan, gdy w kraju od wieku z górą chrzweścijańskim pasterz przed własnymi owcami uchodzić musi? Gdy jednak arcybiskup moguncki domaga się jego powrotu na stolicę, postanowić należy, jak sprawę Stolicy Apostolskiej przedstawić, a prawa Kościoła i nietykalność osoby pasterza zabezpieczyć.

Sobiebór dźwignął się, rozumiejąc, że król wzywa go, by wywiódł swą skargę, gdy Rudy zerwał się i o głos nie prosząc zaczął gwałtownie:

- Sławnikowice naszymi są hołdownikami i mało wiele wojska na wyprawę przywiedli, nasza sprawa, skoro myśmy swoje stawili. Rodzic mój zasię hołdownikiem jest cesarstwa jako i inni władcy chrześcijańscy, ale rodowym prawem dziedzicznym, nie zasię z czyjejś łaski na praskim tronie zasiada, i jemu sądzić, co mają Wrszowce ze Sławnikowicami. Jeśli zasię o prawa Kościoła chodzi, to nie znam takowego, które by biskupowi wszetecznice przed słuszną karą osłaniać zwalało, a jeśli i jest, niechaj biskup przed kościelnymi władzami się żali. Ale prawo lenne mówi: „wierność za wierność". Niechaj tu Sobiebór zaprzeczy, że się z wrogami naszymi znosi, gdy każdy widzi, że na oczach wszystkich z margrafem Ekkehardem, który Miśnię nam wydarł, i z polańskim Bolesławem przeciwko nam knuje.

Rudy, w miarę jak mówił, podniecał się coraz bardziej. Piegowata twarz nabiegła krwią, żyły wystąpiły na czole. Podniósł jeszcze głos, zwracając się wprost do Ottona:

- Wierność za wierność! Gdyśmy przed trzema laty, jak ninie, wraz z Polany was posiłkowali, ten oto przechera - palcem wskazał na Stoigniewa - pogróżką, iż odejdzie z wojskiem, którego większość nie do jego pana należała, jeno do Ody, wyłudził zaprzysiężenie rozejmu, i temu dziękować, że młodsi Mieszkowice z dziedziny swej siłą zegnani zostali. Niechże tedy sprawiedliwość wasza każe ninie polańskiemu kniaziowi zaprzysiąc, że nas w pokoju ostawi, a jeśli nie, to ja odejdę, bo jużci, że ta wojna nie nasza sprawa i nie od Lutyków ni Obodrytów, z którymi zawżdyśmy bywali w przyjaźni, groźba nad nami wisi, jeno od Polan, i tam mi wojska będą potrzebniejsze. Nikt zasię mnie nie zmusi, byśmy wrogom przeciw przyjaciołom pomagali.

Gdy Rudy mówić zaczął, między zgromadzonymi zaczęły się szepty. Widoczne było, że znajdzie między nimi popleczników, zwłaszcza wśród stronników Kłótnika. Sobiebór, który już wystąpił, cofnął się stropiony. Kochan coś poszeptywał na ucho Rudemu, wyzywające spojrzenia rzucając na Bolesława polskiego, którego czoło przeorała głęboka bruzda. Spod nastroszonych brwi oczy polskiego księcia błyskały gniewem, hamował się jednak widocznie.

Otto zrozumiał, że poruszył mrowisko, rozdwojenie wśród niemieckich dostojników było wyraźne. Gdy Rudy skończył, rozległ się gwar i kłótnie. Otto, zmieszany i niepewny, patrzył na Bolesława, który przeszywał czeskiego krewniaka groźnym spojrzeniem.

Stoigniew pomiarkował, że Otto od Bolesława oczekuje, by odpowiedział. Książę sam musiał to zauważyć, bo mruknął do Stoigniewa przez zaciśnięte zęby:

- Ty mu odrzeknij, bo gdybym odrzekł ja, wojna byłaby dziś, a nie jutro.

Stoigniew wystąpił i skłonił się przed Ottonem. Gwar przycichl nieco, bo wszystkich paliła ciekawość, co odpowie. Spokojnie wyczekał, aż ucichło, i zaczął:

- Nie po to głos zabieram, by obelgą odpowiedzieć na obelgę. Starczy mu - lekceważąco palcem wskazał Rudego - przezwisko, jakim go zowią we własnym narodzie. Ale że rodzica swego tu przedstawia, z którym, choć z dawna nam nieprzyjazny, radzi byśmy żyć w zgodzie i pokoju, tedy niechaj mu, co rzekę, powtórzy: zapomnimy, jak zda się zapomniał knieżyc, że Czesi nie dotrzymali wymuszonego jakoby przeze mnie rozejmu. Zapomnimy, że mieszali się w nasze sprawy między braci, do wojny domowej doprowadziwszy, która przez lat trzy kraj niszczyła, nim układem została zakończona. Zapomnimy, że ruskiego Włodzimierza nakłonili do napaści, by społem pana mojego nie jeno dziedziny, ale i żywota zbawić. Ale nie zapomnimy - Stoigniew podniósł głos - co nam siłą odebrane zostało, gdy my gdzie indziej związani byliśmy. Czemuż to dzisiaj knieżyc Bolesław do sprawiedliwości miłościwego króla i tego dostojnego zgromadzenia się odwołuje, którym raniej wzgardę i nieposłuszeństwo okazał? Niechaj Czesi oddadzą, co wzięli, domowy zamęt, który sami rozpętali, wykorzystując, a wtedy sprawiedliwy i wieczysty pokój zaprzysiężem i niegroźna będzie im przyjaźń i życzliwość, jaką pan mój żywi dla świątobliwego biskupa Wojciecha i jego rodu.

Rudy zerwał się i wrzasnął:

- Nigdy!

Stoigniew zmierzył go spojrzeniem i podjął:

- Nie wiem, zali knieżyc prawo ma odpowiedzieć za swego rodzica, który jeszcze rządy sprawuje i do niego należy ostatnie słowo, o które swoją porą zapytamy, nim do innych sięgniemy sposobów. Ale wierę, że odejść może, skoro go rodzic wodzem przywiedzionych wojsk ustanowił. Niechaj odejdzie, skoro jawnie tu przyznał, że przyjacielem jest wroga, z którym walczymy, tedy zdrady jeno, nie pomocy można się od niego spodziewać. Gdyby zasię on ostał, my odejdziem.

Stoigniew skończył i skłonił się przed Ottonem. Między zgromadzonymi rozległ się szmer, ci, którzy poprzednio gardłować zaczynali za Rudym, milczeli, rozumiejąc, że źle sprawę poprowadził, a Stoigniew błąd jego wykorzystał.

Zrozumiał to także Rudy i zerwał się, zbity z tropu. Rozglądał się po zgromadzonych, widno czekając, czy kto nie przemówi za nim. Milczeli jednak, jeno Gizyler ze złością burknął półgłosem:

- Głupiec!

Rudy, zacinając się ze złości, krzyknął:

- Jużci, że odejdę, gdy mi tu zdradę zadają, a nikto nie skarci zuchwalca!

Rozejrzał się, ale gdy nikt głosu nie zabrał, wyszedł, odprowadzony chmurnym spojrzeniem Ottona, a groźnym Bolesława.

Po odejściu prażan jasne już było dla każdego, że wyprawa nie może przynieść rozstrzygnięcia.

Ciężar jej spoczął niemal wyłącznie na polańskiej i miśnieńskiej piechocie, wprawnej w walkach po lasach i bagnach, a kierownictwo w rzeczy samej znalazło się w ręku Bolesława, z którym ostatecznie, zarówno w boju, jak i na radzie, trzymał margraf Ekkehard, Otto zaś z widoczną ulgą pozostawiał im swobodę w działaniach. Okazywane polskiemu księciu zaufanie i życzliwość młodego króla drażniły niemieckich lenników, a zwłaszcza arcybiskupa Gizylera, który widział w tym niebezpieczeństwo na przyszłość, coraz mniej jednak znajdywał popleczników, gdy wyprawa dłużyła się już wszystkim, nie dając widoków powodzenia, i gdyby nie upór arcybiskupa i jego sufraganów, uchwalono by jej zakończenie. Bolesław rozmyślnie nie mieszał się w powstające na naradach spory. Dla niego cel wyprawy był już osiągnięty. Otto milcząco uznał sprawę dziedzictwa po Mieszku za załatwioną, a choć Bolesław zbliżył się do niego z wyrachowania i nie zapomniał, że Otto potrzebny mu jest do własnych celów, w częstych i poufnych z nim rozmowach sam pozwalał się wciągać w jego marzenia, mimo że doświadczenie mówiło mu, iż powszechny pokój jeno siłą może być zbudowany, a Otto, choć nieświadomie, siły tej szuka u niego, w sobie jej nie czując. Choć i Bolesławowi pilno było do kraju, nie nalegał na zakończenie wyprawy. Chciał utrwalić w Ottonie przekonanie, że sprawy na północy jemu może zawierzyć. Wiedział zresztą, że wobec nadchodzącej jesieni wyprawa długo potrwać nie może.

Skończyła się dość nagle. Korzystając z nieobecności Bolesława, który otrzymawszy wieść, że poganie przeszli Łabę i pustoszą kraj, ruszył przeciw nim na czele lekkiej jazdy, Gizyler na zebraniu usiłował wymóc postanowienie, by wojska przystąpiły do oblężenia Hobolina. Nalegał na to szczególnie biskup Hilderich, rad wrócić na swą stolicę, i ostro starł się z palatynem Jaskotelem, który, zastępując księcia, jego imieniem oświadczył, że polańskie wojska nie wezmą udziału w oblężeniu. Na to Gizyler fuknął gniewnie:

- Zdawałoby się, że wy tu wodzem jesteście! To będzie, co rada uchwali, a miłościwy pan nakaże.

- Jam tu jeno w zastępstwie swego pana, a ten mi nakazał oblężeniu sprzeciwić się. Ale żem na wojnie wyrósł, mogę waszej przewielebności wyjaśnić, gdy doświadczenia wam brak, dlaczego Hobolin - i z przyrodzenia, i sztuką umocniony - jeno głodem wzięty być może. Sprzęt dopiero przyrządzać by trzeba, a piesze wojska sposobne do oblężenia mamy jeno my i margraf Ekkehard. Jest ci tu, niechaj powie, czy wojsk udzieli, po to jeno, by wam dogodzić. Pono w przyjaźni żyjecie - zakończył drwiąco.

Ekkehard parsknął i odparł:

- Juści nie po to, by Hobolina dobyć, bo go nie weźmiem, póki mróz bagien nie zetnie. Komu miłe mokre ciżmy i za kołnierzem woda, niechaj za oblężeniem głos odda.

Gizyler zrozumiał kpinę, ale nie odezwał się już, wiedząc, że każdy rad przed rozpoczęciem jesiennych słot znaleźć się pod dachem, a królowi pilno, by przed zimą przebyć Alpy. W milczeniu już słuchał, jak uradzono, zostawiwszy na boku Hobolin, przejść Hawelę i na kraj Morzyczan uderzyć.

U przeprawy doszło do większej bitwy, Mściwój bowiem próbował jej przeszkodzić, obsadziwszy grząskie brzegi łucznikami, którzy, zaczajeni w przybrzeżnych krzach, znaczne straty zadali wojskom Ottona. Zastanawiano się nad wybudowaniem mostu, ale że zajęłoby to sporo czasu, a wrzesień miał się już ku końcowi, Otto chętnie przystał na radę Bolesława, by o brzasku lekka

jazda - spędziwszy łuczników - umożliwiła przeprawę.

Jaskotel uderzył o świtaniu, ale Mściwój połapał się w porę i przyparł go do rzeki. Polańska jazda poniosła znaczne straty, zwłaszcza w koniach. Jaskotel jednak trzymał się, pewmy, że go bez pomocy nie zostawią.

Gdy Obodryci, zajęci jazdą, niezbyt mogli przeszkadzać, rozpoczęto przeprawę, która jednak wolno szła, bo bród był grząski i mulisty. Niemniej pozwoliło to Jaskotelowi trzymać się na prawym brzegu, mimo że Mściwój uderzył wszystkimi siłami, by zepchnąć nieprzyjaciela do rzeki.

Tymczasem Bolesław na czele ciężkiej jazdy zdołał przeprawić się wpław poniżej brodu i gdy Mściwój rzucił całą siłę na Jaskotela, by zakończyć bitwę, niespodziane uderzenie rozbiło obodryckie szyki, a sam wódz omal nie popadł w niewolę.

Ścigano skutecznie pierzchających, zwłaszcza jazdę, która uchodziła suchą wyżynką. Piesze wojska rozpierzchły się po bagnach, gdzie trudno było je ścigać, ale też pewne, że nieprędko zdołają się zebrać. Pustoszono tedy kraj, Bolesław jednak nie brał już udziału w dalszych utarczkach. Stanął obozem nad Hawelą, gdzie zatrzymał się również Otto ze swym dworem. Król miał nadzieję, że zwycięska bitwa na długo ukróci napastliwość pogan. Październik, choć pogodny, niósł już z sobą krótkie dni i zimne noce, co nie sprzyjało dalszemu prowadzeniu wojny.

Toteż na naradzie jedynie Gizyler domagał się, by pobitego nieprzyjaciela zniszczyć doszczętnie. Bolesław nie bez uszczypliwości odparł, że teraz już własne siły arcybiskupa starczą na to, by zburzyć pogańską świątynię w niezbyt odległej Retrze, niemniej radzi mu się pokwapić, bo może mu być trudno wrócić do Magdeburga, gdyby zaskoczyły go słoty, i nieprzyjaciel, znający przejścia przez bagna, łatwo wziąć może odwet za klęski i straty.

Jaskotel nie mógł się powstrzymać, by nie podrażnić Gizylera. Wtrącił się:

- Zważcie, przewielebny panie, że im cięższy rycerz, tym łacniej w błocie ulgnie. Pomnę ci ja, że gdy sławnej pamięci kniaź Mieszko z dziadem miłościwego pana wojował, większe straty ponieśliście w odwrocie niźli w samej bitwie.

Bolesław spojrzał gniewnie na Jaskotela, ale Gizyler podchwycił sposobność i odparł z naciskiem:

- Wasza dostojność przypominać mi nie potrzebuje, że nie zawżdy od was doznawaliśmy pomocy przeciw poganom.

- Ale bywało, że poganie od was ją otrzymali przeciwko nam - odpalił Jaskotel.

- Pax! - uciął Otto. - Na nic wyrzuty, gdy przeszłości nic nie odmieni.

Gdybyż choć między chrześcijany pokój i jedność zapanowały, niegroźni będą poganie.

- Między chrześcijany! - burknął Gizyler. Bardziej niż zadzierzystość polańskiego wodza gniewała go przyjaźń, niemal uległość, jaką samowolny i uparty skądinąd młody król jawnie okazywał polskiemu księciu, mimo widocznej niechęci wielu lenników. Żegnał Bolesława wylewnie, dziękując za oddane usługi, a zwłaszcza za poczet zbrojny, jaki polski książę przyrzekł dostarczyć na rzymską wyprawę, pod wodzą Stoigniewa, również przez Ottona wyróżnianego. Otto myślał i mówił już tylko o swej podróży do Italii, niemieckie sprawy niecierpliwiły go jeno. Wypowiedział lenno Karyntii zbuntowanemu Kłótnikowi i nadawszy je Ottonowi - synowi Karola, księcia Franków - nie czekając na arcybiskupa, pociągnął spiesznie wraz z margrafami Ekkehardem i Geronem do Akwizgranu, by na zachodzie państwa pierw sprawy załadzić i siły zebrać na wyprawę.

Po wyjeździe króla obóz pustoszał z każdym dniem, zwłaszcza dalej zamieszkali spieszyli, by przed rozpoczęciem jesiennych słot stanąć pod dachem. Wkrótce pozostał jeno Gizyler i sascy wielmoże, którym król na odjezdnym zlecił pogrzebanie poległych i opiekę nad ciężej rannymi. Ale już i Sasi gotowali się do powrotu.

Arcybiskup wyruszył jeden z ostatnich, zapewne nie chcąc zetknąć się w Magdeburgu z Ottonem, który pożegnał go niezbyt łaskawie, poruszając drażliwą sprawę merseburskiego biskupstwa, jakie Gizyler zniósł po objęciu metropolii w Magdeburgu, by zatrzymać dla siebie dochody z tych dóbr, i sprawa jątrzyła się. Gdy jednak towarzyszący arcybiskupowi Warinus zapytał o przyczynę troski, Gizyler odparł:

- Ten młokos dla swoich mżonek zaprzepaści wszystko, co tutaj rodzic jego i dziad zdziałali. Nie widzi, że ów polański sprzymierzeniec nie jeno praw naszej metropolii przez Stolicę Apostolską nadanych uznawać nie chce, ale do tego zmierza, by jemu misję w pogańskich krajach zlecono. Nie darmo onego przecherę do Rzymu wysyła. Taniej nas kosztowało wrogów mieć w polańskich książętach niźli sprzymierzeńców, którzy niedoświadczonego młodzika opętali. Vae regni, cuius rex est puer! (Biada królestwu, którego królem jest chłopiec!)

- Lękam się - odparł Warinus w zamyśleniu - że jeszcze będziem w nich mieli wrogów. Oby się wonczas ziściło, że tańsza z lwem wróżda niźli z lisem drużba.

Ii

Wraz z innymi lennikami opuścił obóz Sobiebór. Choć tęskno mu było za swymi i o domowe sprawy nie był spokojny, nie ruszył krótszą drogą na Branibor, lecz - połączywszy się z Bolesławem - wraz z nim ciągnął na Lubuszę. Mimo życzliwości okazywanej przez Ottona rodowi Sławnika, nadzieja na jego pomoc zawiodła. Na wyjezdnym z kraju, wszystkimi myślami i siłami zajęty koronacyjną wyprawą, nie mógł udzielić Sławnikowicom skutecznej ochrony. Spodziewał się jej natomiast Sobiebór od Bolesława, który upewniwszy się w kraju i zabezpieczywszy od północy, nie tail, że teraz uwagę na południe skierować zamierza, by powetować poniesione w czasie wojny domowej straty, a Sławnikowice byli cennymi sprzymierzeńcami. Wiedział jednak Sobiebór, że zapowiedziane układy z Czechami nie doprowadzą do niczego, a Chrobry, osłabiony jeszcze trzyletnią walką o spuściznę po ojcu, czekać będzie musiał na zamęt u sąsiadów, gdy otworzy się sprawa następstwa po Pobożnym. Choć jednak stary i chory, panował jeszcze, ale od wyjazdu Rudego Sobiebór żył w ustawicznym niepokoju. Poczucie bezradności zmniejszało się jeno w bliskości Bolesława, którego obrotność i pewność siebie budziły otuchę i nadzieję. Liczy się już z Bolesławem sam Otto, będzie musiał się liczyć i Pobożny. Gdyby nie przywiązanie do rodziny i poczucie odpowiedzialności za jej losy - Sobiebór chętnie byłby zgoła z Bolesławem pozostał. W Lubuszy jednak musiały się rozejść ich drogi. Bolesław także spieszył do swej rodziny i spraw, które go czekały w dopiero okrzepłym po niszczących walkach kraju, i zatrzymał się w grodzie jeno na nocleg. Sobiebór ze swymi rankiem zamierzał wyruszyć na Budziszyn i stanął w gospodzie przy gościńcu. Sam, bez orszaku, udał się na pożegnalną ucztę, jaką Bolesław dla niego wyprawił.

Książę przy biesiadzie rozochocił się i starał się rozochocić swego gościa, przypijając gęsto do niego. Choć Sobieborowi wino i miód szumiały już w głowie, nieznany ucisk w piersiach nie ustawał. Książę, widząc smutek i przygnębienie Sobiebora, przygarnął go:

- Bądźcie dobrej myśli, nie żegnamy się na długo. Niech jeno Śląsk odbiorę, znowu będziemy sąsiadami i sam się do was zaproszę w gościnę. A tymczasem zawżdy was i brać waszą mile będę widział u siebie. Niechaj wrogowie wiedzą, że nie zardzewiała drużba, jakąśmy po ojcach odziedziczyli.

Sobiebór też serdecznie żegnał polskiego księcia, dziękując mu za życzliwość oraz przyrzeczenie pomocy, i odszedł dość wcześnie, by przed świtaniem wyruszyć. Bolesław zaś ucztował dalej. Nie nowiną mu było dzień spędzić na koniu po nie spanej nocy. Patrzył na grono swych druhów i towarzyszy, rozhukanych niczym wyrostki, wśród których, jak za młodych lat, rej wodził Jaskotel. Zda się, niedawno wielu z nich wraz z samym Bolesławem bawiło się w wojnę drewnianymi mieczami. Dziś doświadczeni woje i wysocy dostojnicy pozostali tacy sami: prości i niezawodni. To nie książęta niemieckiej Rzeszy, z których każdy swoje tylko ma na celu. Prawdziwa drużyna, która pójdzie za przywódcą, dokądkolwiek poprowadzi. Jak zły sen minęła chwila, gdy Bolesław, klęcząc przy marach ojca, bliski był zwątpienia w swe siły. Dziś pewny był ich i pewny siebie. Sojusz z Włodzimierzem ubezpieczył go od wschodu, niezawodny Sobiesław wraz z gdańskim krewniakiem w ryzach trzymają napastliwą Jadźwież i Prusów, przyjaźń z Ottonem i przymierze z Ekkehardem pozwalają spokojnie patrzeć na zachód. Nikt już jego dziedziny za łatwy łup uważać nie może, nadeszła chwila spokoju, którą wyzyskać trzeba, by ład i sprawiedliwość w kraju wprowadzić. I jemu, i druhom należy się folga, nim pora nadejdzie, by odebrać, co stracił w czasie domowych zamieszek. Patrzył na rozbawionych towarzyszy i żal mu było przerywać ich zasłużone odprężenie. Brakło wśród nich Stoigniewa, ale on do zabawy niezdały. Jest już w drodze do Rzymu, by tam zapobiegać knowaniom wrogów i drogę torować do odległych celów, gdy może kiedyś wraz z młodym cesarzem pokój i ład zaprowadzić przyjdzie w świecie. Niechaj sobie nad tym łamią głowy, Bolesław ma własne, bliższe cele, ale wolno mu o nich na chwilę zapomnieć przy winie i pieśni.

Szarzejące błony w oknach przypomniały jednak, że wstaje późny, jesienny dzień i wkrótce na koń siadać trzeba. Książę skinieniem dłoni uciął zabawę i rozchodzili się biesiadnicy, by gotować się do drogi. Sam Bolesław też ruszył ku wyjściu, chcąc zdrzemnąć się choć przez chwilę.

Stanął jak wryty. W drzwiach ukazał się Sobiebór. W niepewnym półświetle wstającego dnia i gasnących świec wyglądał jak zjawa. Twarz miał szarą, wargi sine, włos rozwiany, w przekrwionych oczach widniała groza.

Książę patrzył na Sobiebora, nie rozumiejąc jego zachowania. Po chwili zapytał:

- Co się stało?

Sobiebór, jakby nie słysząc pytania, chwiejnym krokiem ruszył i, opadłszy ciężko na ławę, czoło oparł o stół.

- Co się stało? - powtórzył książę. - Zachorzeliście?

Ochrypłym, wysilonym szeptem Sobiebór odparł:

- O gościnę prosić was muszę.

Widząc zdumione spojrzenie Bolesława, dodał:
- Nie mam domu ni rodziny.

Wpił dłonie we włosy i głową jął tłuc o deskę stołu.

Młody konwers brzewnowski, Neklan, który»Sobieborowi przyniósł straszliwą wieść, drżał jeszcze na samo wspomnienie przeżytych okropności, gdy powtarzał opowieść Bolesławowi. Głos mu się rwał, ale też opowiadał tak, że książę to pięści zaciskał groźnie, to dłonią przesłaniał oczy, jakby wzrok chcąc oderwać od przerażającego widoku lub ukryć cisnące się do oczu łzy litości nad losem bezbronnych ofiar i współczucia dla pozostałych przy życiu krewniaków.

Bolesławowi od pacholęcia nieobca była srogość. Sam nie miał miękkiego serca. W czasie wojny domowej niejedną załogą zdobywanych grodów do nogi wyrżnąć kazał, obojętny na wrzaski mordowanych, uważał jednak, że tylko oszczędza przeciwnikom cięższej śmierci z rąk oprawcy. W walce umiera się lekko, strach przed śmiercią nie znany był księciu i niezrozumiały u męża w pełni sił, z bronią w ręku. Ale słuchając teraz opowiadania wysłannika opata Radły, książę mimo woli myślał o własnej małżonce i dzieciach. Odczuwał też ból Sobiebora, który siedział bez ruchu, głową oparty o stół, jakby skamieniał, przekroczywszy granicę ludzkiej wytrzymałości. Z rodziny jego, pozostałej w Lubicy, nie przepuszczono nikomu, nawet ciężarnej żonie młodego Czasława, nie uszanowano żadnych praw ni obyczajów - ludzkich, kościelnych ni wojennych. Jakby na drwinę chyba, oszczędzono opata Radłę i kilku duchownych - świadków haniebnego okrucieństwa.

Radło, który na prośbę Sobiebora zjechał w gościnę do Lubicy, wybierał się już z powrotem, widząc, że grabież i pograniczne napaści Wrszowców istotnie ustały. Czekał jeno na święto patrona lubickiego kościoła - Wacława, by odprawić uroczyste nabożeństwo i udzielić licznie zazwyczaj ściągającym pielgrzymom odpustów.

Pogodny i ciepły wrzesień miał się już ku końcowi, dni były coraz krótsze. Rankami i wieczorami z wilgotnych łąk nad Bieliną i Cydliną oraz z mokradeł nad jeziorem Libuszyną wstawały mgły zapowiadające już jesień, a z nią powrót»Sobiebora z wojskiem, być może z przyrzeczeniem poparcia życzliwego Sławnikowicom Ottona, a nawet z polskimi posiłkami. Niebezpieczeństwo zdało się zażegnane.

Niespodzianie pograniczne napady wszczęły się znowu z niebywałą siłą. Na prośbę Sławnikowiców Radło wysłał pismo do starego księcia, domagając się dotrzymania poręki i zwrotu zagrabionego mienia. Posłańca nawet nie dopuszczono przed oblicze księcia, odpowiedź pod jego pieczęcią wręczył Neklanowi Rudy. Była krótka: niechaj na ochronę i pomoc księcia Sławnikowice nie liczą, skoro szukają jej u nieprzyjaciela. Spokój już naruszony zmienił się w popłoch, nie było wątpliwości, że tym razem należy się spodziewać czegoś gorszego niż grabieży i samowoli. Słuszność obaw potwierdzili niemal natychmiast zbiegowie z Osieka nad Mżą. Znaczne siły Wrszowców przekroczyły graniczną rzeczkę Zurzynę i zaskoczeniem zajęły gród.

Radło sam zbierał się jechać do księcia, ale dalsze wieści wskazywały na to, że napaść nastąpiła nie tylko za zgodą Pobożnego, ale z udziałem jego wojsk, które zajęły silny gród Chynów i posuwają się w głąb kraju. Wieść była wstrząsająca, w Lubicy powstał zamęt. Czasław chciał wyruszyć z wojskiem przeciw nadciągającym, bracia sprzeciwiali się, by nie osłabiać załogi grodu, w którym zgromadzili swe rodziny i mienie, licząc na to, że zdołają w nim powstrzymać najazd do jesiennych słot i doczekać powrotu Sobiebora, na którego zwykli oglądać się we wszystkim. Sami czuli się bezradni. Choć Czasławowi brakło doświadczenia wojennego, rozumiał, że na nic czekać z

opuszczonymi rękami. Nie bacząc już na braci, objął dowództwo, zarządził obronne przygotowania i zbierał się do wyjścia na czele jazdy. Liczył na to, że odległa o niecałe pół dnia drogi dawna stolica Zliczan - gród Kurzim powstrzyma jeszcze napastników, gdy mu pomoc z zewnątrz zapewni.

Bracia bez sprzeciwu już poddali się kierownictwu Czasława, którego młodzieńcza pewność siebie wlała nieco otuchy w struchlałe serca. Popłoch przygasł i gdy Czasław wyruszył w pogodny ranek na czele jazdy, gromada dzieci żegnała go wesoło i beztrosko, jakby jechał na łowy, a niewiasty śmiały się nawet, gdy żartobliwie małżonkę swą, która lada dzień spodziewała się zlec, prosił, by zaczekała do jego powrotu, pierwszy bowiem chce zobaczyć swego dziedzica.

Spokój i pewność siebie Czasława udzieliły się pozostałym. Korzystając z ciepłej pogody, niewiasty wysłały dzieci z piastunkami nad rzeczkę, a same jęły się domowych zajęć i pomagały Radle w przygotowaniach uroczystości ku czci świętego Wacława, zdobiąc jesiennym kwieciem i zielenią ołtarz pod jego wezwaniem w przyległym do dworca, niewielkim murowanym kościele.

Na grodzie po dniach zamieszania i zamętu zapanował spokój, aż dziwny, zazwyczaj bowiem na święto patrona i połączony z tym odpust, jarmark i zabawy ściągały do Lubicy tłumy nie tylko z sąsiednich osad, ale i z odległych stron. Teraz pusto było na wiodących do Lubicy drogach i ścieżkach. Nie zjawił się też żaden kupiec z towarem, na który czekały niewiasty, nie ustawiano kramów i ław, nie było ruchu w podgrodziach i pobliskich osadach. W ciszy tej czaił się niepokój oczekiwania.

Spitygniew, który pod nieobecność Czasława przejął po nim troskę o gród, obchodził go wraz ze starym burgrabią, sprawdzając gotowość do obrony. Wzdłuż wału stały kadzie z wodą i beczki smoły, pęki pocisków leżały koło machin, uszczuplona po wyjściu Czasława załoga była na miejscach, jeno nie było w niej otuchy i zapału do walki. Wielu unikało spojrzenia księcia, wszyscy milkli, gdy nadchodził.

Obszedłszy dworskie grodzisko, Spitygniew udał się do południowego, oblanego wodami Cydliny. I tu martwe przedmioty były w gotowości, a ludzie wyraźnie niepewni i upadli na duchu. Jeno znad rzeczki dochodził beztroski gwar dziecięcych głosów, który przybliżał się. Było już południe, dzieci wracały obiadować. Spitygniew rad był, że przerwą gnębiącą ciszę. Nie wszedł jednak do świetlicy, gdzie przy posiłku gromadziła się cała rodzina. Lękał się, że będą go wypytywać, szukając u niego otuchy, której sam nie miał. Żałował, że nie sprzeciwił się stanowczo wyjściu Czasława, u którego łacniej ją było znaleźć. Udał się do kościoła, by porozmawiać z opatem, który doglądał przygotowań do jutrzejszej uroczystości.

Kościół był już przybrany, ołtarz świętego Wacława tonął w kwieciu i zieleni. Spitygniew przyklęknął przed nim, by się pomodlić, i mimo woli wspomniał na śmierć męczennika. Znał jego dzieje z opowiadań i legendy spisanej przez mnicha Laurentego z Monte Cassino, którą przywiózł Wojciech po swym powrocie z klasztoru. Wacław życiem przypłacił to, że wprowadzić chciał chrześcijańskie prawo i obyczaj. Pół wieku minęło od tego pamiętnego dnia, a Wojciecha, kroczącego tą samą drogą, spotkało wygnanie. Nie zmieniło się nic, krew męczennika popłynęła na darmo.

Spitygniewa ogarnęło rozgoryczenie. Wojciech nie tylko nic nie zdziałał dla złagodzenia obyczajów, ale miast na stanowisku praskiego biskupa osłoną być swego rodu i jego dziedziny, zraził starego księcia, rozjuszył Rudego i Wrszowców, a co więcej - zniechęcił własny lud, zmuszając go do przyjęcia niemiłego mu, obcego obyczaju. Spitygniew wyraźnie odczuwał tę niechęć, nigdzie nie widział oparcia. Toteż gdy Radło, pokończywszy przygotowania, zbliżył się do klęczącego,

Spitygniew wstał i wskazując na przystrojony kościół, powiedział z goryczą:

- Po co to wszystko? Gdy nie masz jarmarku i igrów, nie przybędzie nikt.

- Ku czci świętego - odparł opat surowo - a choćby po to, by go o wstawiennictwo ubłagać, które wam potrzebne.

Spitygniew pokiwał głową. Sam modlił się o to, nie widząc innej drogi, ale wolałby ziemską pomoc. Może Sobieborowi uda się ją pozyskać, ale czy z nią nadąży? Od śmierci starego Sławnika, którego żegnali w tak samo przystrojonym kościele, narastały z roku na rok zgryzoty, teraz zdało się nadciągać najgorsze. Jeno mary, jak wonczas, ustawić pośrodku kościoła i lec na nich. Poczucie zupełnej bezradności obezwładniało Spitygniewa. Gdybyż choć Czasław wrócił!

To życzenie miało się spełnić wcześniej, niż się spodziewał. Po posiłku Spitygniew zabrał Bożeja i Pobrasława pod pozorem obejścia wałów, naprawdę zaś, by w nieobecności niewiast naradzić się, czy nie odesłać ich wraz z dziećmi w bezpieczniejsze miejsce. Bracia jednak ni słyszeć o tym nie chcieli. Rodziny mogły znaleźć schronienie tylko w Polsce, ale nijak tam dotrzeć przez zajęty Śląsk czy Morawy. Zresztą żona Czasława do podróży niezdała, a gdyby ją samą tu ostawić, domyśli się niebezpieczeństwa i zaszkodzić może to jej i dziecku. Zresztą niechaj sam Czasław postanowi, on najlepiej znać będzie położenie. Po krótkim sporze bracia zgodzili się czekać z rozstrzygnięciem na powrót Czasława. Spitygniew nie spodziewał się, by rychło nastąpił, ale odczuł raczej ulgę. Na razie ma czas, a potem kto inny weźmie na się odpowiedzialność.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, powietrze stało się przejrzyste i z wysokiego na dwanaście łokci wału, po płaskiej jak stół równinie wzrokiem sięgnąć można było aż po krańce widnokręgu, omal po Kurzim, gdzie ważą się losy. Borzej, który miał oko najbystrzejsze, patrzył ku południowi, jakby chcąc dojrzeć, co się tam dzieje. Ozwał się nagle jakby nieswoim głosem:

- Czasław wraca.

- Po cóż by wychodził, gdyby wracać miał zaraz? - gniewnie, ale z niepokojem sarknął Spitygniew.

- Nie po co, jeno dlaczego - mruknął Pobrasław ponuro.

Bracia zrozumieli, co miał na myśli, i wszyscy trzej wpatrywali się w równinę, na której krańcu chwilami migotały iskry, jakby skośne słońce przejrzało się w żelazie. Za chwilę rozwiały się wątpliwości, migotanie zbliżało się szybko i można już było rozróżnić gromadę jezdnych, gnającą, co tchu w koniach, ku grodowi.

Bracia bez słowa popędzili ku południowej bramie, ale nim jej dopadli, rozległ się huk spuszczanego mostu na Cydlinie i zgrzyt podnoszonej brony, widno dostrzeżono już nadciągających; Spitygniew przystanął i spojrzał. Czasław ze swymi dopadł mostu, który zadudnił pod kopytami, ale o kilka stajań widać było gromady jezdnych. Wracał - ścigany!

Bracia nie pytali go o nic, gdy, zeskoczywszy z konia, stanął przed nimi. Odpowiedź odgadywali z jego ściągniętej twarzy, powiedział z wysiłkiem, jakby wieść nie chciała mu przejść przez gardło:

- Kurzim się poddał.

Zgrzyt łańcuchów dźwiganego mostu i huk zapadającej brony zabrzmiał w uszach braci jak zatrzaśnięcie pułapki. Lubica była odcięta od świata, nie ma co uradzać nad wysłaniem rodzin. Stali w ciżbie, która wyległa na wały, wraz z nią patrząc, jak napastnicy, gdy nie udało im się wpaść do

grodu po karkach Czasławowego hufca, rozdzielali się. Część ruszyła w dół rzeki, widno, by poza zasięgiem pocisków przeprawić się poniżej grodu, reszta odesłała konie na łęg i rozkładała się obozem, niewątpliwie czekając na nadejście pieszych wojsk, by rozpocząć oblężenie. Czasław odszedł do swej małżonki, pozostali bracia stali, patrząc wzajem na siebie, gdy zbliżył się burgrabia Jindrzych i odciągnąwszy Spitygniewa na stronę, powiedział cicho:

- Jeśli radzić wolno, przenieśmy się do starego grodu.

Spitygniew zbladł i patrzył rozbieganymi oczyma na brodatą twarz dawnego piastuna. Nie chciał zrozumieć, co oznacza ta rada. Stary powtórzył gniewnie i niecierpliwie:

- Przenieśnmy się, póki pora. Ludzi sam dobiorę, których pewni być możemy.

Pod Spitygniewem ugięły się nogi, jakby ziemia pod nimi się rozstępowała. Ale widać zrozumiał - pobiegł wydać zarządzenia. Zmrok dopiero zapadał, gdy bracia zasiedli w świetlicy starego dworca przy kościele. Milczeli, patrząc na zapalające się ogniska obozu za rzeką, póki ich blasku nie stłumiła wieczorna mgła, i czekając na Czasława, jakby on przynieść mógł ratunek. Cisza panowała na grodzie, tylko z sąsiedniego kościoła dochodziły odgłosy modłów. To opat Radło zebrał zrozpaczone niewiasty na wieczorne nabożeństwo, może zdoła je uspokoić. Bracia z pewną ulgą myśleli o tym, lękali się mówić ze swymi małżonkami. Po chwili odgłosy modłów ucichły i w świetlicy zjawił się opat. Widząc, że siedzą milcząco w ciemności, kazał przynieść światła i zapytał:

- Co zamierzacie poczynać?

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, dodał z westchnieniem:

- Układów należałoby próbować. - Szkoda krew darmo przelewać.

- Ślijcie - odparł Spitygniew. - Może duchowną suknię uszanują.

Widząc, że upadli na duchu, opat podjął:

- W Bożym miłosierdziu miejcie nadzieję. Jutro dzień świętego męczennika, modły odprawię o jego wstawiennictwo.

- Jeśli wam zwolą - parsknął Borzej.

- Klątwą zagrożę, gdyby się mir tego dnia naruszyć ważyli - odparł opat.

Borzej uśmiechnął się ponuro.

- Wżdy wyklął ich Wojciech. Nie wiem, zali dwie klątwy ważniejsze niż jedna. Ale ślijcie. Dobry i dzień żywota, choć cni się czekać z głową na pieńku.

Przypomniał groźbę Kochana. Nie wierzyli w skuteczność układów, ale czepiali się jałowej nadziei i gdy opat wyszedł, siedzieli nadal, choć noc już zapadła. Teraz pozorem było oczekiwanie na powrót posłańca. Tak ich zastał Czasław, który, ułożywszy żonę do snu, zajrzał do braci. Gdy mu wyjawili, co zamierzają, rzekł gniewnie:

Kochan zaprzysiągł zdjąć nam głowy. Ja w nijakie układy nie wierzę, choćby je zaprzysięgli, i miecza z ręki nie puszczę do ostatniego tchnienia.

- Może choć zwłokę zyskamy na jutrzejszy dzień - niepewnie odparł Spitygniew - a tymczasem coś się odmieni...

- Ani się miesiąc za dzień nie odmieni. Trzeba sobie rzec, że ginąć nam przyszło, zginmy jak mężowie.

- Aleć o niewiasty nam idzie i dziatki...

- A mnie to nie? Czyńcie, co wola, a ja - jakom zapowiedział.

Milczeli. Czasław, który zawsze bywał najlepszej myśli, teraz odbierał im resztę nadziei.

Ale i tak nie żywiliby jej długo - w sieni rozległy się kroki i wszedł opat. Na jego widok zerwali się jak podsądni, gdy wchodzi sędzia, by ogłosić wyrok. Wypisany zresztą był na twarzy opata i jak wyrok zabrzmiały jego słowa:

- Kochan kazał rzec, że Wacław jest naszym świętym, ich świętym zasię Kruty (Bolesław Srogi, zabójca św. Wacława).

- A o poddanie nie chce się układać? - zapytał Pobrasław drżącym głosem.

Czasław dłonią wyrżnął w stół i krzyknął:

- Raniej mi ta ręka uschnie, nim wiarołomnemu wrogowi zawierzę!

Wybiegł ze świetlicy. Opat, opuściwszy oczy, odpowiedział:

- Z grodu wyjść kazał, jak stoim, bez mienia i broni. Jeśli opór stawicie, zapowiedział, że nie przepuści nikomu.

Długą chwilę milczeli. Potem Spitygniew wstał, mówiąc:

- Pójdźmy spocząć. Sił będzie potrzeba, by darmo nie oddać żywota.

Świtało, gdy Neklan kończył swą opowieść. Sobiebór przez cały czas siedział nieruchomo, z głową opartą o stół. Bolesław sądził, że - zmorzony żałością - usnął, ale gdy mniszek, pochlipując, opowiadać jął, jak po wtargnięciu do grodu napastnicy wywabili z kościoła rodzinę Sobiebora i z wyuzdanym okrucieństwem rzeź rozpoczęli od dzieci, na oczach ich bezbronnych rodziców, Sobiebór, nie podnosząc głowy, szepnął:

- Mój mały Wojcieszek!

Nie poruszył się. W głosie jego i postawie było ogromne znużenie. Ale gdy Neklan jął opowiadać, jak wywleczono z kościoła na rzeź ciężarną żonę Czasława, na jej oczach ubiwszy broniącego się rozpaczliwie małżonka, Sobiebór zerwał się i chwyciwszy się za głowę, zatykając uszy, krzyknął:

- Dość! Wiem już!

Niewiele zresztą pozostało do powiedzenia. Nie oszczędzono ni wiernych do ostatka towarzyszy, ni sług, nie oszczędzono kościoła, gród zrównano z ziemią, z licznego pokolenia Sławnika został tylko Sobiebór i dwóch braci mnichów. Państwo lubickie przestało istnieć. Radło wraz z kilkoma

duchownymi uszedł na Węgry, przesyłając Sobieborowi przestrogę, by się w Czechach nie pokazywał, i prośbę, by zawiadomił Wojciecha, który nieświadomy tego, co się stało, wracać mógłby na zlecenie przełożonych do Pragi.

Bolesław odetchnął, gdy Neklan, skończywszy, wyszedł. I jemu słuchać było ciężko. Z ulgą myślał, że sam dzięki Lambertowi oszczędził macochę i braci.

Opanowawszy wewnętrzne poruszenie, książę starał się rozważyć skutki tego, co zaszło. Dotychczas liczył na to, że z chwilą rozpoczęcia zamierzonej walki o odebranie zagarniętych w czasie wojny domowej ziem, Sławnikowice powstrzymają posiłki z Pragi, odcinając w ten sposób pomoc dla czeskich załóg w odebranych Polsce ziemiach i grodach. Teraz odpadł cenny sprzymierzeniec. Spodziewać się jednak należy, że osława nieludzkiej, a niepotrzebnej rzezi odbije się echem w całym chrześcijaństwie, nawet w samych Czechach budząc współczucie dla nieszczęsnych ofiar i wzmagając istniejącą już niechęć do Rudego i jego zauszników. Zajęty italskimi sprawami Otto nie upomni się zbrojnie o krzywdę przyjaznego rodu, ale nie będzie też stawiał w tym przeszkód Bolesławowi. Książę, gdy raz sięgnie do miecza, nie będzie odmierzał, gdzie go zatrzymać, ale teraz czekać trzeba sposobniejszej pory. Póki żyje Pobożny, można o tym tylko myśleć, umacniając się, by w gotowości być, gdy nadejdzie pora. Wówczas Sobiebór znowu stać się może cennym sprzymierzeńcem.

Książę dźwignął się z westchnieniem. Jasny dzień zaglądał już przez błony w oknach, na grodzie słychać było ruch. Zwrócił się do Sobiebora:

- Nie odstanie się, co zaszło. Białkom żale przystoją, a mężowi pomsta.

Na was ninie ciąży obowiązek odbudowania rodu i państwa. Krzepcie się, bo sił będzie trzeba.

- Ani mi o tym myśleć. Jakoby mi szpik z kości wyssało - szepnął Sobiebór.

- Żal spłynie, zostanie powinność. Tymczasem nie troskajcie się o nic.

Jako brata was przyjmę, najdzie się u mnie dla was ziemia i grody, póki własnych nie obsiądziecie. I Wojciecha rad ujrzę, bo jużci do Pragi wracać nie może.

- Osłoną nam miał być i wsparciem - powiedział Sobiebór z goryczą - a oto do czego przywiódł.

- Czynił, co był powinien - odparł Bolesław. - Nie ten, to inny pozór należliby, bo jużci nie po myśli im była ni nasza drużba, ni lubickie państwo. Państwa nie ma, ale drużba ostała.

Przygarnął ramieniem Sobiebora, który rozszlochał się jak dziecko.

Po wyjściu Sobiebora Bolesław zamyślił się. Lubicka rzeź, zmuszając go do odłożenia zamierzeń na południu, uwagę skupić kazała na ujściu Odry, stanowiącym klucz władzy nad Pomorzem zachodnim, które najoporniej zrastało się z resztą państwa. Po śmierci Eryka szwedzkiego i wygnaniu Świętosławy obrona przed naporem Danii i pogańskich sąsiadów spoczywała w opłacanych rękach jarla jomsborskiego bractwa, Sigwalda. Nie były to ręce zbyt pewne, zwłaszcza że rozbójnicza drużyna gotowa walczyć z każdym i przeciw każdemu, gdy tylko obiecywała sobie zyski i rozgłos, a często zwykła była zmieniać przywódców. By móc swobodnie działać na południu, należało na północy obejrzeć się za pewniejszym i trwalszym sprzymierzeńcem. Zrękowiny Świętosławy z Olafem Trygvesonem zdały się na niego wskazywać. Słynny wojownik, którego imię rozbrzmiewało od Islandii po Nowogród, przyjął chrzest z rąk angielskiego Etelreda i po śmierci jarla Hakona zasiadł na ojcowym, norweskim tronie, wygnawszy syna wydziercy, Eryka, który schronił się w Jomsborgu u Sigwalda, niewątpliwie z jego pomocą spodziewając się wziąć odwet.

Bolesław nie mógł do tego dopuścić, jeśli miał znaleźć oparcie w Trygvesonie, ale położenie było niepewne jak marcowa pogoda. Od Świętosławy, która czekać miała na zdawiny w Wolinie, wieści dawno nie było.

Książę wezwać kazał Jaskotela, ale nim palatyn zjawił się, sam już powziął postanowienie. Gdy nadszedł, Bolesław powiedział:

- Jadę do Wolina, zabiorę Wilczka z przybocznymi. Wojska ty powiedziesz do kraju.

- Zaszło coś w Wolinie? - zapytał Jaskotel, zdziwiony niespodziewaną zmianą, ale książę odparł:

- Nie, jeno rozmówić się muszę z Sigwaldem i Świętosławą, jeśli jeszcze tam bawi, a jeśli wyjechała, wieści o niej zasięgnąć.

- Wżdy po Sigwalda słać możecie, od niego też dowiecie się, co z siostrą waszą. W Poznaniu czekają na was - dodał Jaskotel nieśmiało. Lękał się, że gdy książę wyjedzie, on, miast wracać do domu, znowu zająć się będzie musiał zaległymi w czasie wyprawy sądami i objazdami. Bolesław jednak odparł:

- Powiesz księżnej, że wrócę, jeno sprawy załadzę.

Jaskotel roześmiał się z przymusem.

- Gdym to samo rzekł mej Wrochnie, powiedziała: „to nigdy"

Książę widocznie zrozumiał przymówkę, gdyż odrzekł szorstko:

- Wrócę przed zimą, ty zasię możesz jechać do dom, jeno zarządź, co trzeba, a Mszczuj niech dopilnuje.

- Dzięki wam - powiedział Jaskotel z ulgą. - Michał niewiastę ma pojąć, a przystoi, gdym głową rodu, być na weselisku.

- Tedy zabierz i Wilczka - rzekł książę łaskawie. - Sam bym rad z wami się poweselić, ale wiesz, jako jest. Zabierz i Sobiebora - dodał. - Niechaj nie rozmyśla nad tym, co się stało.

- Co zaszło? - zapytał Jaskotel zaskoczony, przed paru godzinami bowiem pił z lubickim księciem strzemiennego i pewien był, że już jest w drodze do domu.

- Prawda, nie wiesz, co zaszło. On ci opowie. Lubicy nie ma, a z rodu Sławnika on jeden pozostał, jeśli nie liczyć mnichów - Wojciecha i Radzima. A czym to dla nas - gadać nie trzeba.

Słotny dzień jesienny zastał już Bolesława w drodze do Szczecina. Znając porywcze i namiętne usposobienie siostry, nie dziwił się, że wiking, o którym pieśni śpiewano, zagarnął serce młodej wdowy, w wiośnie lat za starca wydanej. Bolesław rad był, że tym razem miła siostra nie musi gwałtu zadawać swemu sercu, by zapewnić bratu korzyści, jakie przed dziesięciu laty małżeństwo jej zapewniło ojcu. Trygveson męstwem równy był Erykowi, a przez chrzest sprzymierzeńcem będzie przeciw północnemu pogaństwu, w którym Bolesław, jak i ojciec jego, widział głównego współzawodnika w dziele zjednoczenia słowiańskich narodów i źródło oporu Pomorza przeciw przyjęciu nowej wiary. Jeśli starania Stoigniewa o niezależność polskiego Kościoła odniosą skutek, wprowadzenie chrześcijaństwa na Pomorzu stanie się sprawą pilną, aby znaczną i ważną połać państwa objąć nową więzią. Późnym wieczorem trzeciego dnia uprzykrzonej przez słotę podróży Bolesław z ulgą dostrzegł światła górującego nad przybrzeżną osadą szczecińskiego grodu. Ruchliwa zazwyczaj przystań w zatoce rzecznej, utworzonej przez spadający ze wzgórza wąwóz, leżała martwa nad ciemną jak otchłań rzeką, porywisty północny wiatr niósł bryzgi deszczu. Jesienne burze widno

wstrzymały już żeglugę.

Książę z przyjemnością myślał o wypoczynku pod dachem i zostawiwszy hufiec na podgrodziu, z kilku wojakami, witany przez żupana Małomira, wjeżdżał na obszerny dziedziniec. Pachołkowie z pochodniami biegli odbierać konie od przybyłych, a książę zwrócił się do żupana, pytając o nowiny.

Zdumiał się, usłyszawszy odpowiedź:

- Chyba najważniejsza, że przed wieczerzą zjechała miłościwa siostra wasza.

Wiadomość ta zarazem zaskoczyła i uradowała Bolesława. Brak wieści od Świętosławy tłumaczył sobie tym, że wyjechać już musiała do Viken i znajduje się przy boku Olafa. W Norwegii jeszcze wrzało, a może i walczyć trzeba było ze stronnikami wygnanego Eryka, ale Świętosława nie była płochliwa. Jako młoda dziewczyna bez trwogi wyjeżdżała do Szwecji, mimo że szwedzki Eryk uwikłany był wówczas w ciężką i niepewną walkę ze Styrbjornem. Gdy z wiosną tego roku bawiła w Polsce, pilno jej było do zamierzonego związku, a Bolesław, znając ją, wiedział, że gna ją nie tylko tęsknota za synem i chęć pomsty nad szwedzkimi jarlami, którzy wypędzili ją, zagarniając władzę. Wierzyła ślepo, jak jeno miłość wierzyć potrafi, że Trygveson nie tylko utrzyma się w Norwegii, ale wygna wydzierców i sam obejmie opiekę nad jej synem. Coś więc musiało zajść niespodziewanego, co wpłynęło na zmianę jej zamierzeń, a zarazem przekreślić mogło nadzieje Bolesława.

Książę kazał podać wieczerzę i zasiadł do niej wraz z żupanem, ale jadł niesporo i w milczeniu. Małomir, domyśliwszy się, co takiego zaprzątnęło umysł księcia, że zapomniał o głodzie i znużeniu, odezwał się:

- Na nic zgadywać, czego chce niewiasta. Miłościwa siostra wasza może przyjechała prosić o posiłki dla Olafa, a może zabyła tu grzebienia lub źrzadła...

- Głupiś! - fuknął książę, ale w tej chwili Małomir zerwał się, patrząc na drzwi. Książę obejrzał się zdziwiony - w progu stała Świętosława. Była boso, w gieźle i bez czepca, widno jak ją zastała wiadomość o przyjeździe Bolesława. Nie zmieszana, wzrokiem odprowadziła Małomira, który wymknął się chyłkiem, i podszedłszy do brata, objęła go bez słowa, przytulając głowę do jego piersi.

Przez chwilę trwali w niemym uścisku, a Bolesław pewny już był, że siostrę spotkało coś złego. Po chwili odsunął ją łagodnie, mówiąc:

- Z serca rad cię widzę, tym bardziej iżem się nie spodziewał. Myślałem, żeś już po weselisku, przy boku małżonka.

Mimo niepewnego światła płonących na palenisku głowni zauważył ciemny rumieniec, jaki wybił się na jej białą twarz. Stała z opuszczonymi powiekami, długie rzęsy zatrzepotały, jakby zapiekły ją oczy. Płakać nie zwykła, nawet po śmierci matki oczy jej pozostały suche. Bolesław posadził siostrę obok siebie, umyślnie nie patrząc na nią. Tak łatwiej jej będzie mówić.

Widocznie niełatwo jednak było, bo milczała przez dłuższą chwilę.

Wreszcie odezwała się zmienionym głosem:

- Wracam z Viken.

Zdziwienie odebrało głos Bolesławowi. Nie byle co mogło zmusić Świętosławę do wyjazdu, zwłaszcza w porze jesiennych burz. Gdy milczała, położył rękę na jej pochylonej jasnej głowie.

- Cokolwiek cię spotkało - rzekł - możesz na mnie liczyć, jako ja liczę na ciebie. Nie bywało

między nami tajemnic.

- Tajemnic! - Parsknęła gorzkim śmiechem. - Na uczcie to było. Skaldowie widzieli, Hastein i Stefnir, który opłaca, karmi i poi, by czyny jego opiewali. Drapę o tym ułożą... - Zerwała się i ciągnęła gwałtownie, to zaciskając dłonie, to gryząc je: - Czyny! W twarz mnie uderzył i suką nazwał ten... niewolnik... najmita... mnie, córę Piastowego rodu, wdowę po wielkim Eryku! Gdybym nóż miała w ręku, na stypie by mu zapieli o tym królewskim czynie! - Skręciła się jak ugodzona, nie mogąc znieść wspomnienia. - Pijani byli! Rechotali jak wieprze, gdym mu w twarz cisnęła, że życiem mi za to zapłaci...

W Bolesławie zakipiał gniew, ale przygasiło go współczucie dla siostry i troska. Świętosława, wyczerpana wybuchem, opadła na ławę i twarz ukryła w dłoniach. Wiedział, że cierpi w niej nie tylko duma. Gładził jej zwichrzone włosy, czekając, aż się uspokoi, i rozmyślając nad położeniwem. Pijacki wybryk pewnego swej urody, nawykłego do niewieścich hołdów i z nikim się nie liczącego zuchwalca zdał się przekreślać dotychczasowe rachuby. W zachowaniu Świętosławy Bolesław wyczuł nie tylko gniew i chęć pomsty, ale rozpacz. Porywcza i dumna niewiasta poprzednio nie taiła przed bratem, że miłość słynnego wikinga zda jej się ziszczeniem snów, jakie roiła w zimnej łożnicy starego małżonka. Nieszczęśliwe dzieciństwo Olafa, jego niewola i tułaczka wzruszały ją i rozczulały, wzmagając niemal do uwielbienia podziw dla jego męstwa, jakie z dna poniżającej niedoli wyniosło go na ojcowy tron. Gdy teraz Świętosława lży go od niewolników i najmitów, snadź sama w sobie zwalczyć chce coś, co upokarza ją bardziej niż doznana zniewaga. Trygveson, wytrzeźwiawszy, choć pewny siebie i zuchwały, uprzytomni sobie, że dość już ma wrogów, by przez upór jego i próżność lekce sobie ważyć takiego jak Bolesław sprzymierzeńca. Jeśli zaś się upokorzy i zechce szukać pojednania, Bolesław nie był pewien, co pocznie Świętosława. Rozsądek doradzał nie postanawiać niczego, jak ona, w żalu i gniewie. Przeczekać trzeba, choć czas jest drogi, sprawy na południu każdej chwili mogą przybrać taki obrót, że wszystkie siły tam trzeba będzie skupić.

Siedzieli oboje w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami. Świętosława uspokajała się zwolna, oddech jej wyrównał się. Przez chwilę Bolesław sądził, że - wyczerpana wybuchem - zasypia. Ale znów zaczęła mówić:

- I jam sobie winna. Nie czekałam, aż po mnie przyśle. Chciałam być przy jego boku, gdy walczy, patrzeć na jego męstwo; jak ongiś, po krwawej walce na polach fyrejskich, weselisko święcić wraz ze zwycięstwem, imię swoje w pieśniach złączyć na wieki z jego imieniem. Nie zrozumiał...

Świętosława umilkła. Bolesław powiedział z wahaniem:

- Tyś go jeszcze z serca nie wydarła.

Spodziewał się, że zaprzeczy gwałtownie, ale odparła cicho:

- Nie będę kłamać sobie ni tobie. Nigdy nie zapomnę mej miłości... ni zniewagi. - Spojrzała na brata tak, że serce się w nim ścisnęło, i ciągnęła: - Wiem, iżeś liczył na to, że przeze mnie sprzymierzeńca zyszczesz w Olafie, jak ongiś w Eryku. Nie bądź gniewny, że miast sprzymierzeńca, wroga ci napytałam.

- Nie gniewam się, jeno mi żal - odparł. - I troska nowa. Niezbyt dowierzam Sigwaldowi, podstępny jest i zdradliwy, a mnie iście sprzymierzeńca trzeba na północy, jakim był twój małżonek. Ale go nie wskrzeszę, ciebie zasię nie winuję, jeno żałuję i rozumiem. I wiedz, że zawżdy serca tu na

ciebie czekają. Jedź do małżonki mej, tam łacniej ci będzie czekać, aż pora nadejdzie, byś do syna wróciła. Rzeknij jej, że ja tu ostać muszę, bo Stoigniew w Rzymie, a Jaskotel na Czechy musi dawać baczenie. Ludzi mi brak...

Zamyślił się chmurnie i podjął:

- Żal mi i Emnildy. Oto spodziewa się, że z wyprawy do dom wrócę.

Jaskotelowi rzec kazałem, że ujrzymy się przed zimą. Ty jej rzeknij, że wrócę, kiedy zdołam.

Gdy Świętosława nie odpowiadała, zapytał:

- Nad czym dumasz?

- Jak tobie i jej oszczędzić zawodu - odparła. - Wracaj do małżonki, sprawy tutaj zawieżyć możesz mnie. Znam ja i ludzi lepiej niźli ty, nieobce mi i rządy. Spokojny bądź, że najdę ci potrzebnego sprzymierzeńca.

Spojrzał na nią pytająco, zarazem z wdzięcznością i zaciekawieniem.

- O kim myślisz? - zapytał.

- O Widłobrodym. Z wrogów Trygvesona najpotężniejszy, a mniemam, że i on rad ostanie twoim dziewierzem.

Bolesław przygarnął siostrę, mówiąc:

- Rozważę, czy skorzystać z twej ofiary. Ja bym się nie ważył żądać tego od ciebie. Jeno czyś ty się z sobą policzyła?

- Nie ujrzysz więcej mej słabości, zapomnij, żeś ją widział. Wracaj do Emnildy i dziatek, niech choć one nie tęsknią.

- Wrócę, jakem zapowiedział. Z Sigwaldem rozmówić się trzeba, a potem rozejrzeć, gdzie najskładniej będzie biskupią stolicę założyć. Gród znaczny musi być, a od napaści bezpieczny, ni morza zbyt blisko, ni pogańskiego sąsiedztwa. Nieczęsto tu bywam i nieprędko pewnikiem znowu zjadę, trzeba zależność przypomnieć. Przybocznych do Kamienia wyślę, skąd na Kołobrzeg pociągniem. A jutro z tobą do Wolina. Ninie pójdźmy spocząć.

- W drodze spoczniemy - odparła - ugwarzyć bym się chciała z tobą. Może nie ujrzym się już nigdy, trzeba serce nasycić jak ul miodem, by wspomnienia było czym karmić, gdy noce długie i zimne, a snu przywabić nie sposób.

Bolesław opowiadał o swych zamiarach i nadziejach, trudnościach i troskach, a potem wracać zaczęli do przeszłości, do ludzi, których już nie było, do miejsc, które się zmieniły. Wspólne wspomnienia wstawały od jednego słowa. Wymieniali je coraz rzadziej, aż umilkli zadumani. Bolesław zapytał:

- Może byś jednak wróciła do kraju? Tęsknisz za nim...

- Tęsknię - odparła cicho. - Ale nie wrócę. Tęsknię i za Olafem... za moim synaczkiem - dodała prędko. - Tęsknica to moja dola, próżno przed nią uciekać. A może to zgoła człowiecza dola bo nie wraca, co minęło.»Oto zda mi się, że zaledwie wczora dzieciątko swe do snu kołysałam piosenką, którą macierz nasza mnie usypiała. A jeśli i ujrzę kiedy syna, nie obejmie mnie już tymi małymi rączkami dziecięcymi, których pieszczota słodsza nad wszystko, jeno dłońmi męża, twardymi jak życie. Tylko wspomnienia ostają... Pójdźmy spocząć - ucięła - skoro jutro jechać mamy.

Spojrzawszy na szarzejące błony w oknach, dodała:
- Dziś! Nie masz już wczorajszego dnia.

Szara mgiełka zacierała granicę między nisko wiszącymi strzępiastymi chmurami a wodną płaszczyzną, na której białe smugi grzywaczy zdały się świecić w ponurym półmroku nadchodzącego wieczora. Nadbiegały z szumem i dopadłszy brzegu rozbijały się o częstokół obwarowań Jomsborga, a wiatr porywał bryzgi wodnego pyłu i niósł je mżawką na pustoszejący już, rozległy podworzec. Szary dzień niepostrzeżenie przechodził w mroczny wieczór, światełka mrugające na skłonie grodowego wzgórza przez otwory okiennic długiego budynku, zamykającego od południa prostokąt dziedzińca, przybierały na barwie i blasku. Burzliwa jesień położyła już kres wyprawom, teraz nadeszła pora, by przy miodzie i pieśni roztrwonić łupy, nim z wiosną po nowe przyjdzie wypłynąć. Żelazna karność, która czasu wyprawy czyniła wodza panem życia i śmierci, rozluźniała się. Na thingach głos służył każdemu z bractwa jednaki, a nie żałował go nikt. Niełatwo też było kierować różnojęzyczną zbieraniną poszukiwaczy przygód i zbiegów ze wszystkich krajów na wybrzeżach Długiego i Północnego Morza, często też zmieniali się jarle bractwa, zwłaszcza gdy niepowodzenie towarzyszyło wyprawie. Sigwald drugim już nawrotem był wodzem jomsborskiej drużyny.»Po klęsce pod Hjorungavaag uszedł do ojczystej Skanii, by powrócić, gdy następca jego, Trygveson, w trzysta dziewięćdziesiąt statków popłynął wraz z Gotmundem na łupieską wyprawę do Anglii.

Od ćwierć wieku jomsborscy zbóje pełnili straż nad ujściami Odry, zabezpieczając od łupieskich najazdów bogate i szybko rosnące miasta,»Wolin i»Szczecin, oraz drogę wodną w głąb kraju. Sigwald służył już Mieszkowi, doświadczenia ni męstwa mu nie brakło, jak nikt inny radzić sobie umiał z burzliwą zbieraniną, ale trudno go było przeznać. Związanie się z Bolesławem prócz pokaźnych zysków dawało mu spokojne zaplecze. Dotychczas służył wiernie, ale Bolesław nie wyzbył się nieufności do człowieka, o którym nigdy nie było wiadomo, komu jest przyjacielem, a komu wrogiem, mimo że stary rozbójnik okazywał polskiemu księciu graniczący z podziwem szacunek, a nawet jakby przywiązanie.

I teraz, zawiadomiony o przyjeździe polskiego księcia, oczekiwał go w otoczeniu starszyzny przy pomoście handlowej przystani, otwartej w kierunku zalewu. Zabezpieczona była od pędzonej wiatrem fali falochronami opustoszałej już i zamkniętej żelazną broną przystani wojennej. Na szczycie nadbramnej baszty, na kamiennym łuku płonął ogień grecki, służyć mający spóźnionym żeglarzom za przewodnika, czerwone blaski skakały na drobnej fali zasłoniętego od wiatru spłachcia wody i grały iskierkami na hełmach brodatych wikingów, wpatrzonych w zbliżającą się łódź. Gdy zgrzytnęła burtą o fale pomostu, Sigwald żywo postąpił naprzód, pomagając wysiąść przybyłym. Bolesława witał niemal uniżenie, nie okazał zdziwienia na widok Świętosławy, towarzyszącemu jej Diksinowi ledwo głową skinął i prosił od razu gości na wieczerzę do małej świetlicy górującego nad przystanią dworca starszyzny.

Świętosława z zaciekawieniem rozglądała się po wspaniałościach, których nie zdało się zapowiadać drewniane, z surowych bali dworzyszcze, a z nie mniejszym przypatrywała się zbójeckiemu wodzowi. Nacechowane pewnością siebie jego zachowanie stanowiło jakąś mieszaninę dostojeństwa i przebiegłości, mówił szybko, jakby uprzedzając pytania, równie szybko zmieniając języki, jak potrawy. Gdy skończył się pożywiać, mruknął coś do swych towarzyszy, którzy wstali i skłoniwszy się, odeszli. Potem umilkł i siedział, jakby czekając. Gdy książę posilił się, Sigwald

rzekł:

- Rad bym tak znakomitego gościa widział jak najdłużej, ale wiem, że czasu wam nie zbywa i nie w gościnę zjechaliście. Komory dla was na nocleg przysposobić kazałem. Kiedy mówić zechcecie o sprawach?

- Rankiem do Kamienia jadę - odparł książę. - Tedy mówić możem zaraz, na spoczynek czas jeszcze.

- Czy to, o czym mówić chcecie, tajemnicą ma pozostać? - Sigwald spojrzał na Diksina tak niedwuznacznie, że Świętosława wtrąciła:

- To stary druh i doradca mój. Nie mam przed nim tajemnic.

Sigwald skłonił głowę i jakby ukrywając uśmiech, pogładził krótką brodę.

- Niewieście tajemnice, miłościwa królowo, inne są. Dla mnie tajemnica, gdy wie jeno jeden. Gdy wie dwóch, wymiarkować można, kto ją zdradził...

Świętosława spojrzała wyniośle na Singwalda i rzekła ostro:

- Nie wiem, zali mam rozumieć, że i moja obecność tutaj zbędna?

- Miłościwy książę sam rozważy, co wam powtórzyć zechce - odparł Singwald.

- Tedy każcie nam wskazać, gdzie spocząć mamy - gniewnie powiedziała Świętosława, wstając.

- Sam wskażę - rzekł Singwald i przepuściwszy Śiętosławę z ukłonem, wyszedł za nią i Diksinem.

Gdy wrócił po chwili, Bolesław rzekł oschle:

- Ninie wyjaśnicie może, o czym to siostra moja nie powinna wiedzieć.

- Jako rzekłem, sami rozważycie. Ja znam królową jeno z zawołania - Storrada: popędliwa jest, dumna i przytajać się nie umie.

- To prawda, jeno co to ma do sprawy? - gniewnie rzucił książę.

- Choć widzę, że mi nie ufacie - odparł Sigwald nie zmieszany - chciałbym mówić otwarcie, a ja najmniej ufam niewiastom. Nie wiem, zali słusznie domyślam się, że mówić chcecie o tym, co zaszło między siostrą waszą a Trygvesonem.

- I o tym także - odparł książę.

- Nie mogę rzec, bym się strapił zerwaniem tego związku - ciągnął Sigwald

- choć wiem, że liczyliście, iż Trygveson Eryka wam tu zastąpi.

- Najdzie się inny sprzymierzeniec - burknął książę. - Nie brak Trygvesonowi wrogów.

- Komu brak? Nikto ich szukać nie potrzebuje i wy też nie. A Świętosława, pomstą grożąc Olafowi, nie swoją groziła, jeno waszą.

- Jużci, że nie zapomnę zniewagi.

- Ale lepiej, by on zapomniał, jeśli wam nie pora o to wojnę wszczynać. - Gdy Bolesław milczał, zachmurzony, Sigwald ciągnął: - Mam i ja z Olafem obrachunki, ale ja umiem czekać, by je wyrównać, gdy sił brak. Hakonowego Eryka, gdy do mnie o pomoc się zwrócił, do Szwecji odesłałem. Kto na wilka dół kopie, ślady koło niego zacierać musi. A jeśli radzić wolno, siostrę za mąż wydajcie, niechaj z kim innym pomsty szuka nad Olafem. A pilno, by się nie rozmyśliła.

- Sama o tym mówiła.

Sigwald domyślnie skinął głową:

- Widno i ona sobie nie ufa. I nietrudno zgadnąć, że Swena ma na myśli.

Bolesława domyślność jarla zaczynała drażnić. Przerwał szorstko:

- Rad jestem tedy, że wiele wyjaśniać nie potrzebuję. Ni tego, że z Widłobrodym dotąd nie bywaliśmy w przyjaźni, ni tego, że ja go prosić nie będę, by Świętosławę pojął.

- Brat mój, Thorkil, w przyjaźni żywie ze Swenem. Zaszczyt byłby dla niego swatów się podjąć - wtrącił Sigwald, ale książę przerwał niecierpliwie:

- Jeszcze was o to nie proszę i rozważyć trzeba, zali staraniom o arcybiskupa dla Polski nie zaszkodzi związek z człekiem, który - sam ochrzczony - krzyż obalił w Danii i metropolię zniszczył w Hamburgu. Ważniejsza mi tamta sprawa niźli pomsta nad Olafem.

Sigwald pogładził brodę i odparł:

- Nikt nierad krzyż przyjmować jako jarzmo, nie dziw, że narzucone chce zrzucić. Otto Wtóry ochrzcił Swena nie pytając, gdy go zakładnikiem otrzymał od Sinozębego, po klęsce pod Danewirke. Wżdy i wy nie chcecie, by wam w kraju niemiecki arcybiskup się panoszył. A Swen długo mógłby w Rzymie zabiegać, by go od kościelnej zależności zwolniono. Krócej i taniej mu wyszło zburzyć metropolię w Hamburgu i wygnać nieproszonych apostołów. Ninie jeszcze mu za zasługę będzie w Rzymie poczytane, że misjonarzy z Anglii przywiózł i ponownie naród chrzci; tedy i wam zasługa, gdy mu siostrę oddacie, by chrześcijańska księżniczka, jak ongiś macierz wasza, utwierdziła kraj w wierze. Kurii za jedno, kto będzie dla niej zbierał denar świętego Piotra.

- Dobrze! - odparł Bolesław. - Jeśli Swen przyśle swaty, nie odmówię.

Sigwald skinął głową i zniżając głos do szeptu, powiedział:

- Tedy wierzcie mi, że Trygveson długo wichrzyć nie będzie... choćby wam doniesiono, że zawarłem z nim przymierze.

Bolesław patrzył w jasne, kłujące oczy jarla. Po chwili powtórzył:

- Dobrze! Nie będę wam patrzył na ręce. Spokoju mi tu potrzeba.

Układając się już na spoczynek, książę rozmyślał, co z rozmowy z jarlem powtórzyć może Świętosławie. Iście nie wszystko. Wiedział, że mimo gniewu i zawziętości - nie zgodziłaby się zdradą zgubić człowieka, któremu trudno byłoby sprostać w otwartej walce, a na nią nie mógł sobie pozwolić. Z przykrością myślał, że po raz pierwszy w życiu nieszczery musi być wobec siostry. Myśl o tym gnębiła go nawet we śnie i odczuł ulgę diopiero, gdy łodzie, niosące ich oboje, skierowały się w odmienne strony. I on nie umiał się przytajać. Patrząc na stojącego na pomoście Sigwalda, mruknął do siebie:

- Gad!

Iii

Pożegnawszy księcia, Jaskotel z wojskiem ruszył do Poznania. Ciągnęli wolno, coraz krótsze dni skracała jeszcze jesienna plucha, często zmuszając do wcześniejszego stawania na noclegi, gdy w niewielkich osadach zazwyczaj jeno dla starszyzny miejsca pod dachem starczyło, rozbijanie zaś obozu zajmowało sporo czasu.

Sporo czasu miał też Jaskotel na rozmyślania. Słota nie sprzyjała rozmowie w podróży, po wybuchu rozpaczy Sobiebór zamknął się w ponurym zamyśleniu, Wilczek nigdy nie był mowny. Z innych towarzyszy coraz to odłączał się któryś z bliższej osady, by spocząć pod własnym dachem, nie czekając na podział łupów, którego Jaskotel po sprzedaży wziętych niewolników miał dokonać w Poznaniu. Odłączył się wkrótce i Wilczek, Jaskotel przeto, stanąwszy na nocleg, siadywał sam, gdy zrzuciwszy przemokłe szaty czekał, aż pachołek przyniesie mu wieczerzę.

Za młodu, w burzliwym okresie swego bujnego życia, Jaskotel lubił czasami wyrwać się z jego zamętu i z ubocza patrzeć na świat jak dziecko, które, wymknąwszy się spod rodzicielskiej opieki, idzie przed siebie, nigdzie nie zmierzając. Ogląda po drodze każdy kamyk w strumyku, każdy kwiatek przy ścieżce, każdego ptaszka na gałęzi. Nie spieszy się donikąd, żyje. I wtedy to Jaskotel piosnki swe układał, a właściwie składały się same z szumu wiatru, ptasiej pieśni czy szmeru strumyka.

Od lat już, od powrotu z dobrowolnego wygnania, nie miał takich chwwil samotności. Teraz wreszcie mógł myślom dać folgę, by płynęły, jak chcą, bez celu, ale ze smutkiem spostrzegł, że już nie potrafi. Czepiały się bieżących spraw lub wracały w przeszłość. Czyżby już starość? Jeszcze ni jeden siwy włos nie świecił w bujnych jego kędziorach, sprawne ciało nie wypominało trudów wyprawy, mógł, jak ongiś, przebaraszkować noc przy miodzie i pieśni i na koń siadać, jakby z łoża wstał. Jeszcze czterdzieści godów nie przeszło mu nad głową, zda mu się, niedawno najmłodszy był w dróżynie; a z ówczesnych towarzyszy nie ma już omal nikogo. Za rok, dwa właśni jego synowie będą tymi najmłodszymi, by z kolei, równie szybko jak on, osiągnąć dostojeństwa i bogactwa, żyć wojną, z wojny i dla wojny, stając się najlepszym w ręku księcia mieczem. Zadumał się. A jeśli miecz stanie się zbędny? Niezbyt w to wierzył, wiele jeszcze spraw jeno siłą można załadzić. Ale Ottonowe państwo pokoju musi być czymś więcej niż mrzonką młodzika, skoro książę współdziałać z nim postanowił, a Stoigniew porzucił miecz dla zamierzeń, których mieczem przeprowadzić się nie da.

Stary Audun chował synów tylko dla wojny, bez której sam nie wyobrażał sobie życia. Jaskotel był już inny. Wojna przestała być dla niego podniecającą przygodą, a stała się nawykiem. Ale może da się odwyknąć. Czeka na niego dom, małżonka, mały synek, którego wychować może inaczej.

Lubi psy i konie, biesiady i łowy, jest czym życie wypełnić.

Ale co poczną tacy jak Wilczek? Jeśli człeka można do miecza przyrównać, to właśnie jego. Twardy, zimny, milczący, bezlitosny, posłuszny każdemu rozkazowi. Od najmłodszych lat zamknięty w sobie odludek, rozstali się wcześnie, spotykali się rzadko, mało znał tego brata. W czasie wyprawy starał się zbliżyć do niego, ale jak można przejrzeć człeka, który nigdy nie mówi o sobie, a nawet niczym nie zdradzi, czy go coś boli lub cieszy, nie zna niczego krom obowiązku, jeśli przyjdzie - to po rozkazy.

Iii (cd.)

Sądził, że się zbliżą w powrotnej drodze, gdy społem siadywali bezczynnie w długie wieczory. Wilczek jednak sam nie mówił nic, a słuchał nieporuszony, tak że Jaskotela odchodziła ochota do gadania. Ale zdało mu się, że dopukał się jakiejś rysy w tym kamieniu. Gdy mówił o swym małym synku, coś się w Wilczku poruszyło, nawet rzucił parę pytań. Co mogło twardego samotnika zajmować w dziecięciu, które widział zaledwie kilka razy, jeśli nie tęsknota do posiadania własnego? Jednak gdy Jaskotel mówić zaczął o Michałowym weselu i napomknął, że czas by był Wilczkowi pojąć małżonkę, szorstko odparł, że mu to nie w myśli. Jaskotel nie czuł się dotknięty i wyczuwał, że za szorstkością coś się kryje. Powiedział:

- Wiem, że konia i niewiastę sam człek dobierać lubi. Ale choć od wyrostka dobierałem, przecie mi najlepszą rodzic dobrał. Częściej bo jeździec narowisty bywa niźli koń. Jam teraz głową rodu, ale nie lękaj się, bym cię niewolił. Jeno po cóże masz siedzieć jak pustelnik w osamotnionym domu, skoro i tak na wesele społem jechać mamy? Jedź do mnie, rzeknij Wrochnie, że wrócę, jeno hufce odprawię. I mego malca uściskaj. Cni mi się już bez niego i jemu pewnikiem bez rodzica. Miło czasem poigrać z chłopczyną, własne się dzieciństwo przypomni.

- Dobrze - odparł Wilczek i rozjechali się. Jaskotel rad był, że brat przyjął zaproszenie, widno tęsknił za ojczystym domem. Wesoły Michał też zjedzie, by braci zabrać na swe wesele, Jaskotel synów przywiedzie z Poznania, cały ród znajdzie się pod dachem, spod którego się wywiódł; po dach też będzie radości, może i Wilczek odtaje.

Podniecony tymi myślami Jaskotel, ile się dało, przyspieszał pochód i ostatniego słotnego dnia podróży ciągnęli do późnego wieczora, by dobić wreszcie do celu. Wojska stanęły w warownym obozie nad Bogdanką, dostojnicy rozjechali się po swych dworcach lub w gościnę do towarzyszy, śpiące już w ciszy i ciemnościach jesiennej nocy miasto na lewym brzegu Warty tu i ówdzie przebudziło się, zamrugało światełkami i znowu pogrążyło się we śnie.

Jaskotel minął je, pod kopytami zadudnił most nad niewidoczną w mroku rzeką, na starej Warcie przy wjeździe na Ostrów zatrzymała go straż, której się opowiedział i zleciwszy oznajmić księżnej, że rankiem zjawi się z pokłonem i wieściami, minął ledwo majaczące w ciemnościach zabudowania grodowe i biskupie i ruszył do Audunowego dworca na Śródce.

Nie dotarł jeszcze do mostka na Cybinie, gdy w ciemnościach, przez nagie już gałęzie drzew zamigotało przed nim światełko. Na niewielkim wzniesieniu, skąd sączył się blask, leżał właśnie Audunowy dworzec, gospodarzył tu stary smerd Uchacz z żoną. Czyżby już wiedzieli o przyjeździe pana? Jaskotel pchnął konia, który ostro ruszył znaną drogą. Gdy minęli mostek, do uszu Jaskotela doszły głosy, w których coś było znanego. Na podjeździe, nie czekając na pachołków, zostawił konia, pchnął drzwi i wszedł do sieni. Poznał głos Michała. Dwa inne zarazem obce mu były i swoje. Stanął u wejścia do świetlicy i roześmiał się. Nie poznał głosów własnych synów. Brzmiały po męsku. Gdy słyszał ich po raz ostatni przed wyprawą, obydwaj piali jak młode kogutki. Głos Skarbka, niski i dźwięczny, zaskakiwał siłą przy jego niewielkim wzroście. Przypominał dziada tak, że Jaskotela aż w sercu zakłuło. Prawdę mówią, że przodkowie żywią w swych potomkach.

Na widok ojca chłopcy zerwali się od stołu zastawionego jadłem i napitkiem. W domu Wrochna surowo przestrzegała, by synowie do ust nie brali wina ni miodu, a po ich świecących oczach Jaskotel poznał, że nawet przekroczyli miarę. Ale nie chciał karceniem sobie i im zmącić radości powitania, zwłaszcza że oczywistym winowajcą był brat Michał, który, podszedłszy, objął Jaskotela mówiąc:

- Przecieś przyjechał! Czekam tu na was, by kniazia na weselisko prosić, i cni mi się.

- Bolko nierychło wróci - odparł Jaskotel - a ty mógłbyś źralszych towarzyszy znaleźć do biesiady - dodał poważnie i podając chłopcom rękę do ucałowania, przytulił ich głowy do piersi, głos czyniąc surowym, gdy powiedział:

- Nie chcę was witać pasem, ale dość swawoli. Spać!

Gdy wyszli potulnie, usiadł za stołem. Błogie odprężenie po miesiącach trudów wyprawy i uciążliwej podróży nie pozwoliło mu gniewać się na brata, który zresztą, zgoła nie zmieszany, nalał w kubki i przypił do Jaskotela, mówiąc:

- Dobrze, żeś otrokom nie rzekł, by się na rodzicu wzorowali, bobym śmiechu nie strzymał. Tyżeś zawżdy, od wyrostka po dziś dzień, stronił od biesiady?! Musiałbym im zdradzić, jakoś ty i od dziewek stronił, by się i w tym na ojca podali.

Roześmiał się i ciągnął:

- Pókim sam jeszcze jurny, z młodzikami trzymać wolę. A twoje otroki źrałe już, skoro patrzeć, jak wojować zaczną. Wojak zasię więcej się napości niźli mnich, czemuż sobie folgować nie ma, póki może?

- Folgujże sobie - odparł Jaskotel - ale nie im. Źrebaka krótko przy pysku dzierżyć trzeba, póki nie ujeżdżony. A i ciebie osiodłają, gdy pojmiesz rozsądną i stateczną niewiastę. Ani się obejrzysz, jak cię przykróci, bo i pora ci już.

- Cóżeś się do mnie przypiął? Wżdy się żenię. Wilczka wyswataj. A ninie pijmy, póki wędzidła nie mam w pysku.

Jaskotel jednak myślał widno o swych synach, powiedział bowiem:

- Zda się, dopiero co pod nogami się to pętało, a ninie wąs im się już sypie. Jeno z onym wojowaniem nie wiada, jako będzie, jakoweś zmiany się szykują. Otto do ojca i dziada zgoła niepodobny, powszechny pokój między chrześcijany wprowadzić zamierzył, nawet pogan mieczem nawracać nie chce.

- A ty w to wierzysz?

- Wierzę - nie wierzę, ale Bolko zda się wierzyć, bo po cóż by się z Ottonem sprzęgał? Co mi i dziwne, bo kniaź wojownik z rodu i przyrodzenia. Pomnę przecie, gdy wyrostkiem pierwszy raz w boju stawał, wtedy, gdy to nasz rodzic legł. Nie było nad Bolka zawziętszego na niemiecką juchę, zajadły jak ogar, co się niedźwiedzia czepi, że nie oderwać, choć już dech z niego wyparło. Zmienił się.

- Wszystko się zmienia - lekko odparł Michał. - Choć i nieprawda: wilcy siana nie jadali i nie będą. Słyszałeś, co zaszło w Lubicy?

- Jakoże! Wżdy sam kniazia Sobiebora z jego ludźmi przywiodłem, bo wracać nie miał dokąd. Bolko go przygarnął, póki pora nie przyjdzie na ojcowiźnie go osadzić.

- Bez pomocy miecza? Już ty się nie lękaj, by twoim symom a bogdaj i wnękom brakło wojowania. Wojna jest po to, by pokój mieć, a pokój, by wojnę gotować. Cniłoby się i nikt by pokoju nie cenił, gdyby wojen nie było. Ninie radujmy się, że pokój jest i na weselisko jedziem społem z twymi otrokami. Wdałe junaki, daj i mnie Boże takich, rozrośnie się nasz ród, że i nie przeliczy.

- Wilczek już do Skarbna pojechał, ale ja jeszcze tu ostać muszę, łupy rozdzielić, najemników wypłacić i z Mszczujem omówić, co książę kazali. Ale ty z chłopakami jedź, nie mieszkając, niechaj się Wrochna nimi nacieszy, bo z małym ostać musi, gdy my wyjedziem.

- To książę Bolko nie wrócił? - zapytał Michał. - Na wesele prosić go chciałem i po tom przyjechał.

- Na Pomorzu sprawy załadzić winien po śmierci Eryka, by pokój mieć z tamtej strony. Sam mówił, że rad by się z nami poweselił, ale nie wie, kiedy wróci, tedy czekać nie masz na co.

- To się księżna strapi. Oto ci pokój, koło którego zabiegać trzeba jak koło chorego konia. Zachodu dużo, a pożytku nijakiego.

- Nie tobie wyrzekać, bo żeby nie pokój, nie byłoby weseliska.

- Żeby nie wojna też, bo nie miałbym gdzie małżonki wprowadzić, gdy się włodarz Ody w moich Górach panoszył. Zatem na moje wychodzi: dobry pokój, dobra i wojna, wszystkiego w miarę. Tedy pijmy!

- I to w miarę - odparł Jaskotel. - Wolałbym już kości na czymś miękkim położyć, bom od świtania w siodle. Jutro też dzień, a rankiem do księżnej zapowiedzieć się kazałem.

- Starzejesz się. Dawniej i trzy noce z rzędu mogłeś biesiadować - zaśmiał się Michał.

- Mógłbym i dziś - w zamyśleniu odparł Jaskotel. - Ale rad bym co prędzej być doma. Tam sobie odmierzać nie będziem, jeszcześmy nigdy taką gromadą nie biesiadowali.

- Z Wilczkiem biesiada to stypa. Z nim pić, a samemu - za jedno. Skąd się taki między nami wziął? Ni do pląsów, ni do biesiady. Jak Stoigniew.

Jaskotel ramionami wzruszył.

- Człek nie wie, skąd się w nim samym to czy owo bierze. I zmienia się, nie wiada jak i dlaczego.

Myślał o Stoigniewie. Naprzód zdało się, że mnichem zostanie, potem omal chrześcijaństwa nie obalił w kraju, ninie o Kościół zabiega i przymierze z Niemcami, których raniej zębami by gryzł. Wilczek zawżdy był jednaki, ale może i on się zmieni.

Bracia zaczęli mówić o nim, o poselstwie do Rzymu, o przebiegu wyprawy i zagadali się tak, że trzecie kury piały, kiedy wreszcie spać poszli. Jednak zaledwie wstał dzień szary i mglisty, gdy Jaskotel zebrał się i na gród pojechał.

Księżna wiedziała już, że Bolesław nie wrócił, nie dała jednak poznać po sobie zawodu, jeno gdy Jaskotel wspomniał o swym wyjeździe na wesele brata i jego chybionym zamiarze zaproszenia księcia, powiedziała:

- Jedni czuwać muszą, by inni mogli spać. Małżonkę swą pozdrówcie ode mnie. Często ją wspominam, zły czas przeżyłyśmy społem, śmiałości i przemyślności waszych synów dziękować, że skończył się szczęśliwie. Niechże się Wrocisława ninie swoimi nacieszy, a i wam spoczynek się należy we własnym gnieździe. Tak ci już jest, że gdy jednym radość, innym żałoba.

Nie myślała jednak o sobie, lecz o nieszczęściu Sobiebora i mówić o nim zaczęła, uradzając z palatynem, jak gościa ustalić. Nie dziwiła się, że nawet powitać jej nie przyszedł, lecz ze swym hufcem pozostał w obozie.

- Gdy człeka nieszczęście pościgne - powiedziała z westchnieniem - zaszywa się jak raniony

zwierz. Rana przyschnie, ale osieroconemu nikt najbliższych nie zastąpi. Słychać - świątobliwy Wojciech praską stolicę znowu porzucił. Niechajby do nas przyszedł, obydwu lżej by było.

- Przedni to zamysł - podchwycił Jaskotel. - Wojciech wielkim się mirem cieszy w Rzymie. Gdy Stoigniew o arcybiskupa dla nas zabiegać będzie, łacniej by sprawę przeprowadził, gdyby na niego wskazał. Swój człek, niewyniosły, niechciwy, lepiej by się nadał niźli Unger.

Emnilda wiedziała, że palatyn z poznańskim biskupem koso na siebie spozierają, choć jeszcze stary książę załadził między nimi sprawę, gdy Jaskotel siłą wydarł biskupowi podejrzanych o kacerstwo więźniów - Zyńkę i Gołucha - i klątwą został obłożony. Ale wzajemna niechęć pozostała i nie przyczyniała się do ładu, gdyż kapelani w rozległych ziemiach Awdańców wiedzieli, że biskup przeciw niekarnym nie znajdzie u ich patronów poparcia. Toteż księżna odparła:

- Stoigniewa w tym głowa, jeno że on czasu walki z Odą Ungerowi o paliuszu dla niego wspominał, by biskupa dla Bolka pozyskać.

- Stoigniew niechaj łbem kręci - odparł palatyn - aleć w końcu nie od niego to zależy. Ungerowi niech starczy, że ostał, bo gdyby się po stronie Ody opowiedział, dawno by go nie było. Zawiłe to sprawy i niełatwe, ale w dobrych są rękach, a Stoigniew przyjaciół ma w Rzymie i pewnie już koło nich zabiega.

- Jeszcze w Akqwizgranie bawi przy Ottonie - odparła Emnilda. - Niedawno byli tu od niego posłańce z wieściami i po zasoby potrzebne w Rzymie, by ludzi pozyskiwać i o relikwie świętych się wystarać, bez których nijak nowe kościoły zakładać. Otto wyjazd odwleka, bo Willigiz jego zamierzeniom przeciwny, a lęka się tak potężnego przeciwnika w kraju ostawić.

- Iście jest nad czym głowę łamać - odparł Jaskotel - ale mam ci i ja sprawy zlecone przez księcia. Rad bym się z nimi rychło uporał, by o sobie pomyśleć. Tedy zwólcie mi odejść, przyjdę jeszcze się pożegnać i o zwolnienie mych chłopaków prosić. Michał jedzie do Skarbna, niechby z nim społem jechali.

- Niechaj jadą, Wrochna się uraduje, a oni swobody zażyją, nim ciężar obowiązków dźwigać im przyjdzie. Krótkie są źrebięce lata.

Myślała o własnym małżonku i o tym, że jej małemu Mieszkowi wkrótce już postrzygą miękkie i lśniące kędziory, które tak lubiła, i zabiorą go spod matczynej opieki, by do obowiązków wdrażać, których się już nigdy nie zbędzie.

Iv

Otto uładził się wreszcie z Willigizem, a nawet nakłonił arcybiskupa do wzięcia udziału w wyprawie, tym razem żywiąc niepłonną nadzieję włożenia cesarskiego diademu. Papież Jan XV, znowu wygnany z Rzymu przez Krescencjusza, przebywał w Toskanii u margrabiego Hugona i słał naglące prośby, by Otto wprowadził go na stolicę. Willigiz o tyle łatwiej dał się nakłonić do wyjazdu, że wymóc chciał na papieżu nakaz powrotu Wojciecha do Czech, których pozostawienie bez pasterza grozić się zdało powrotem pogaństwa. Pobożny słał wprawdzie z prośbą, by na

osieroconej stolicy biskupiej osadzić brata jego, Strachkwasa, ale arcybiskup wolał mieć na tym urzędzie Wojciecha, wychowanka magdeburskiej szkoły, światłego, zaprzyjaźnionego z Ottonem i cieszącego się wysokim zawołaniem w Kurii i na Awentynie, niż starego i ponurego mnicha, który sam wzdragał się przed objęciem urzędu. Gdy bowiem Wojciech na wyjezdnym wręczyć mu chciał pastorał, Strachkwas cisnął go na ziemię, mówiąc:

- Sam jestem umarły, nie żądajcie, bym grzebał umarłych.

Otto, nie wiedząc jeszcze, co zaszło w Lubicy, przyrzekł poprzeć u papieża żądanie Willigiza i pochód ruszył wreszcie, choć zima już szła. Wśród lutowych zamieci przebył Alpy, ale w dolinie Padu wstrzymały go wiosenne roztopy. Pobyt w Pawii przedłużył się jednak, gdyż Krescencjusz, widząc, że nie zdoła się oprzeć siłom Ottona, wszczął z papieżem układy. Młody król, choć niezbyt wierzył, by buntowniczy możnowładca szczerze zamierzał się poddać, wolał wejść do Rzymu jako jego prawowity pan niż jako zdobywca.

Czas wyczekiwania nie dłużył się Ottonowi. Wymieniał listy z»Gerbertem, z Janem Filagatosem, ongiś doradcą jego matki, a obecnie arcybiskupem Piacenzy, omawiał zamierzone swaty w Bizancjum z cesarską jedynaczką, by połączywszy obydwa cesarstwa, usunąć podział chrześcijańskiego świata. Z porady podstępnego Greka, z właściwą sobie samowolą i uporem wprowadzał tymczasem na swym dworze bizantyński ceremoniał o grecki język, nadawał nowym urzędom greckie nazwy, w chłopięcej łatwowierności sadząc, że tak zbliża się do zamierzonego celu, nie zważając, że zniechęca jeno niemieckie otoczenie. Poróżnił się nawet z własną siostrą Zofią, gdy mu zarzuciła, że wielu tym zrazi, a nie pozyska nikogo.

Stoigniewowi natomiast czas dłużył się w bezczynności. Znajomość greckiego języka dała mu co prawda sposobność zbliżenia się do młodego władcy i pozyskania go dla sprawy polskiego Kościoła, ale świadom był, iż reszta tylko w Rzymie załatwiona byc może. Nie zamykał jednak oczu na poważne przeszkody, jakie jeszcze będzie musiał pokonać, a zwłaszcza opór Willigiza.

Rozwój wypadków przyspieszyło niespodziewane a pomyślne zarówno dla zamierzeń Ottona, jak i Stoigniewa wydarzenie. Wieść o śmierci Jana XV przyszła jednocześnie z poselstwem Krescencjusza i Rzymian, proszących Ottona o wyznaczenie następcy na stolicę św. Piotra. Oznaczało to usunięcie wszelkich przeszkód na drodze do koronacji i uznanie prawa królów niemieckich do obsadzania Stolicy Apostolskiej. Otto natychmiast wskazał swego brata ciotecznego - kapelana Brunona, syna księcia Kartynii, choć ten nie był nawet biskupem i nie liczył przepisanych trzydziestu lat. Potwierdzenie wyboru papieża przez lud rzymski było już tylko czczym pozorem. W uroczystym pochodzie, ze świętą lancą niesioną na przedzie wkroczył Otto do Rzymu. W pogodny, gorący dzień majowy Bruno pod imieniem Grzegorza V włożył tiarę na swą głowę, jako pierwszy papież z niemieckiego narodu. Z kolei w kilkanaście dni później ozdobił skronie szesnastoletniego Ottona cesarskim diademem.

Kamień węgielny odbudowy imperium został położony bez użycia siły. Otto, patrząc z wyniosłości swego tronu na klęczący tłum, wsłuchany w radosne jego okrzyki, pewny był jak nigdy, że wkroczył na tę drogę wiodącą do wymarzonego państwa pokoju. Usunięta też została ostatnia przeszkoda zamierzonego związku z dziedziczką greckiego tronu, Heleną. Konstanty nie będzie się już wahał oddać córy swej cesarzowi rzymskiemu. Filagatos, Grek z Kalabrii, znał ludzi i stosunki na bizantyńskim dworze i poręczał Ottonowi pomyślny wynik swego poselstwa, które z bogatymi darami wyruszyło zaraz po koronacji. Pierś młodego cesarza przepełniało poczucie szczęścia i dumy.

Zaraz też po koronacji w powrotną drogę do Niemiec ruszył Willigiz, który z Pawii jeszcze wysłał pismo do cesarza z przypomnieniem przyrzeczenia w sprawie Wojciecha. Także od nowego papieża i synodu domagał się stanowczo jego powrotu: sicut vir non debet adulterare, ita nec episcopus ecclesiam suam dimittat (jak mąż nie powinien cudzołożyć, tak biskup nie opuszczać swego kościoła) - powołując się na regułę Chrodeganga.

Po przybyciu do Rzymu Stoigniew pirwsze kroki skierował na Awentyńskie Wzgórze, na którego stokach leżał klasztor świętych Bonifacego i Aleksego. Przed ćwierćwieczem odbudowany z ruiny własną pracą mniszych rąk, już na pierwsze wejrzenie zdał się wyspą ładu i spokoju w mieście, w którym gruzy i resztki wspaniałych budowli sąsiadowały z nędznymi klitkami, a nory biedoty z pałacami możnowładców. W upalne już dni późnego maja cuchnący zaduch utrudniał oddech. Na Awentynie nawet powietrze zdało się czyściejsze, od Tybru pociągał świeży powiew, a biel kamiennych budowli w kwieciu i zieleni starannie utrzymanych sadów i ogrodów wypoczynkiem była dla oka.

Wojewoda, opowiedziawszy się przy furcie, prosił o wezwanie Tuniego.

Młody furtian odparł pokornie:

- Wasza dostojność zechce zaczekać. Pater Antonio naukę konwersów prowadzi do seksty. Zawiadomię go po modlitwie.

Stoigniew, znając benedyktyńską regułę, wiedział, że dość długo czekać mu przyjdzie, ale nawet rad był spocząć po upale i męczącym trybie dworskiego życia w chłodnym cieniu kamiennego wirydarza, otaczającego podworzec gospodarczy klasztoru. Przeciwieństwo dwóch światów, oddzielonych jeno klasztornym murem, rzucało się w oczy, jakkolwiek spokój, który tu panował, nie był martwy ni senny. Cicho jak mrówki snuli się po dziedzińcu mnisi, każdy zajęty swą pracą, rzadko w przejściu zamieniając jakieś słowo. Opodal dwóch mnichów bez pośpiechu, ale i bez przerw piłowało pień drzewa na kloce, które trzeci rozłupywał na drwa.Po chwili nadszedł jeszcze jeden i zdjąwszy powrózek, którym przepasany był jego roboczy szkaplerz, (tu: szata rozcięta po bokach), układał naręcze drew, widocznie by zanieść je do kuchni. Niewielkiego wzrostu, szczupły, przybrany jak inni, nie byłby ściągnął na siebie uwagi wojewody, gdyby nie to, że zajęci pracą mnisi przerwali ją teraz, by pomóc przybyłemu ułożyć brzemię i zadać mu je na barki. W odniesieniu ich było coś opieuńczego, uśmiechali się też do niego z życzliwą pobłażliwością jak do dziecka.

Gdy mnich się odwrócił i z opuszczoną głową, z lekka zataczając się pod ciężarem, zbliżał się do Stoigniewa, wojewoda powstał, zaskoczony i niepewny. Nie był to, jak zrazu sądził, młody nowicjusz: w wąskim pasku ciemnych włosów, okalającym ogoloną głowę, nad skroniami, świeciła siwizna, choć wyraz twarzy miał w sobie coś młodzieńczgo. Stoigniew pozbył się wątpliwości. Zastąpił nadchodzącemu drogę, mówiąc:

- Wasza przewielebność zwoli się powitać.

Wojciech, zaskoczony, podniósł głowę, wypuszczając przy tym z rąk koniec powrózka, którym na pętlę związane były drwa. Brzemię upadło i rozsypało się, a Wojciech stał zdyszany z rumieńcem zawstydzenia na twarzy. Podniósł na Stoigniewa swe jasne, głębokie oczy i powiedział cicho:

- Nie masz przewielebności.

W słowach tych brzmiała radość i ulga z pozbycia się większego niż niesione teraz brzemienia,

które - przykląknąwszy - zbierać jął niezdarnie.

Stoigniew, choć obyty, nie bardzo wiedział, jak odnieść się do byłego dostojnika z panującego rodu, zwłaszcza że on sam widocznie chciał o tym zapomnieć. Ale mimo woli uśmiechnął się na widok jego nieporadności i nie zastanawiając się, przyklęknął również.

- Wasza... pozwolisz, bracie, że ci pomogę - powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, jął składnie zbierać rozsypane drwa w naręcze, ściągnął powrózkiem i zadawszy je sobie bez trudu na barki, zapytał:

- Dokąd mam to odnieść?

- Mnie czcigodny opat zlecił tę pracę.

- Zbyt ciężka dla was - rzekł Stoigniew. Ale Wojciech odebrał brzemię, mowiąc:

- Sam o nią opata prosiłem, nijak się wyręczać. Nie cięży człeku, co z własnej woli weźmie na barki.

Widząc, że Wojciech zamierza odejść, Stoigniew podjął:

- Pomówić chciałbym z wami. Wieści przywożę od brata waszego, Sobiebora, z którym społem byliśmy na wyprawie.

Wojciech stał przez chwilę z opuszczonymi oczyma. W twarzy i postawie widoczne było wahanie, ale odparł:

- Tu mój dom i bracia! Nie wiem, zali opat zwoli wracać mi do spraw, które porzuciłem, by spokój duszy odzyskać.

Ruszył przed siebie, a Stoigniew przez chwilę patrzył za nim, po czym usiadł w zadumie. Istotnie, cóż przynieść mógł Wojciechowi prócz niepokoju, przed którym skrył się w klasztornym zaciszu. Groźba zawisła nad rodem Sławnika, nienawiść i niechęć ściga wszystkich jego członków. Wojciech też nie ujdzie przed nimi, bo papież nie będzie mógł odmówić żądaniu cesarza i Willigiza, by»Wojciech wrócił do Pragi. Mimo swej miłości i uwielbienia dla Wojciecha Otto liczyć się musi z przepotężnym a nieżyczliwym arcybiskupem, nie może sobie pozwolić na jeszcze jedną zadzierkę, nie dotrzymując danego w tej sprawie przyrzeczenia. Wojciech będzie musiał podjąć zrzucone jarzmo wraz z budzącym lęk poczuciem odpowiedzialności za innych, wyrzec się otaczającej go tu powszechnej miłości i uwielbienia. Stoigniew pamiętał straszliwe przygnębienie Wojciecha, gdy po raz pierwszy zmuszono go do powrotu. O ile trudniej będzie mu dzisiaj porzucić spokojną przystań, gdzie otacza go miłość i przyjaźń, gdzie dla osiągnięcia zamierzonego celu starczy posłuszeństwo prostym i jasnym przepisom reguły na każdą niemal godzinę dnia i nocy, a najmniejszą decyzję, nawet rozmowy ze znajomkiem, można poddać rozstrzygnięciom opata. Stoigniewa ogarnęła litość i współczucie dla tego spragnionego jeno odprężenia człowieka, którego znowu wyszczuć mają z cichego schronienia.

Choć nawykły do ustawicznego napięcia, wojewoda sam z ulgą zanurzył się w panującym tu spokoju. Głos sygnaturki wzywający mnichów na sekstę w jednej chwili opustoszył podworzec, zaległa na nim senna cisza południa. Cienie stały się krótkie i ostre, światło jaskrawe tak, że Stoigniew mimo woli mrużył oczy. I myśl popłynęła już spokojniej, od sprawy Wojciecha, któremu mimo współczucia nic pomóc nie może, do tych, jakie go tu przywiodły. Przyjaźń Bolesława z

młodym cesarzem, sojusz z Włodzimierzem i spokój w kraju szybko wykorzystać trzeba, by różne plemiona zespolić w trwałą jedność, wznieść na poziom innych narodów chrześcijańskiej wspólnoty, przystąpić na równych prawach do Ottonowego imperium, które z marzenia zdało się zmieniać w rzeczywistość. Otto pewny był już swego, odesłać zezwolił Bolesławowi posiłki, z Willigizem zaś odeszło sporo niemieckich lenników. Sam cesarz wkrótce wybierał się do kraju, w przekonaniu, że italskie sprawy uładził, a może niezbyt spokojny o niemieckie. Nieufna ostrożność nakazywała Stoigniewowi szybko zbierać plon, jaki już dojrzał. Starania o koronę dla polskiego księcia były przedwczesne, skoro tylko własny arcybiskup może głowę Bolesława uwieńczyć, a by tego pozyskać, Kurię przekonać trzeba, że działalność misyjnego biskupa można uznać za skończoną. Nie będzie to łatwe po doświadczeniach z nawrotem pogaństwa niemal we wszystkich nowo ochrzczonych krajach, Stoigniew dobrze pamiętał, że sam po śmierci Mieszka za jedyną siłę, na jakiej oprzeć się można, skłonny był uważać pogaństwo. Gdy zaś nieufność Kurii przełamie, nie zbraknie innych przeszkód, niemiecka hierarchia kościelna nie wyrzeknie się łatwo spodziewanych zdobyczy.

Z zamyślenia zbudził go odgłos kroków w głębi wirydarza. Z postawy i ruchów nadchodzącego mnicha tchnęło dostojeństwo i swoboda, tak różne od zewnętrznych znamion pokory innych, że wojewoda, nieco oślepiony blaskiem słonecznym, powstał sądząc, że to może sam opat nadchodzi. Ale spostrzegł omyłkę, postąpił naprzeciw, wyciągając ramiona i z uśmiechem mówiąc po łacinie:

- Witajże mi! Lata nie widzieliśmy się, ale po oczach poznałbym cię wszędy. Dobrze, że ich nie opuszczasz, jak każe reguła.

- Nulla regula sine exceptione (nie ma reguły bez wyjątków) - również wbrew regule uśmiechając się, odparł Tuni. A przechodząc na polski język dodał: - Nie sądź, żem niekarny jak ongiś, gdy nas to społem z Guncelinem ojciec Urban do lochu zamknąć kazał. Jako magistrowi nowicjatu i scholastykowi misji opat zezwolił mi w sprawach, które powszechności dotyczą, tak się zachowywać, jak za potrzebne uznam. - Znowu uśmiechnął się, ukazując białe zęby w smagłej twarzy.

- Jakiś był, takiś pozostał - roześmiał się Stoigniew. - Śmiać się lubiłeś, a regułę nie za bardzo. Ale żeś też mowy słowiańskiej nie zabył!

- Sam musi umieć, kto drugich ma uczyć, a często jej używam, odkąd brat Adalbert powrócił. I on się do misji w słowiańskich krajach gotuje.

- Spotkałem go tu i mówić z nim chciałem, ale się uchylił. Pewnikiem nie wie jeszcze, że mu do Pragi wracać przyjdzie, bo moguncki arcybiskup tego się domaga. Sobiebór nawet jakoby żal miał do Wojciecha, że braci w niebezpieczeństwie opuścił, z Pragi uchodząc, choć nie wiada, zaliby gwałtom zapobiec wydolił, jakie cierpieć muszą od wrogiego rodu.

Tuni wbrew swemu zwyczajowi opuścił oczy.

- Nie wiem, czy Wojciechowi wracać przyjdzie - powiedział w zamyśleniu - bo o tym Ojciec Święty postanowi, nie bez wysłuchania opata Leona, skoro Wojciech tu śluby złożył za zezwoleniem Jana Piętnastego, który od niego pierścień i pastorał odebrał. A braci swej nic już nie pomoże...

Tuni urwał, a na pytające spojrzenie Stoigniewa dodał:

- Skorom zaczął, rzeknę, bo wiem, że do czasu zachowasz przy sobie.

Łońskiego roku, w dzień świętego Wacława, Wojciech mszę uroczystą odprawiał. Gdy ukląkł po Podniesieniu, zdało się nam, że zasnął. Ale dziwny to był jakowyś sen, bo klęcząc zesztywniał,

pobladł jak giezło i rozbudzić go nie szło. Nie wiedzieliśmy już, co poczynać, gdy sam powstał i dokończył ofiary. Po nabożeństwie opat wezwał go, by wyjaśnić,co zaszło, i wtedy Wojciech wyznał z płaczem, że w Lubicy był, by konającym braciom udzielić sakramentów i błogosławieństwa. Opat skarcił go surowo, że senną marę za cudowne wydarzenie przedstawia, i mówić o tym zabronił. Aliści przyszło pismo od Radły, który naonczas bawił w Lubicy, a po rzezi na Węgry uszedł, i wszystko tak było, jak Wojciech przedstawił.

Stoigniew milczał, zdumiony. Po chwili zapytał:

- Tedy wie Wojciech, zali nie wie? I czemuż mu nie rzec, że się widzenie jego potwierdziło? Wżdy i tak się dowie.

- Człek rad sam siebie mami, by nie zbyć nadziei czy boleść odsunąć, a na złe wieści nigdy nie za późno - odparł Tuni. - Ale coś ci widno tkwi w Wojciechu, skoro przywiezionych przez ciebie wieści słyszeć nie chciał. A czcigodny opat mówić o tym zabronił, bo i tak ludzie świętym Wojciecha głoszą, za cuda podając uleczenie córy prefekta Glosy, szlachetnej Konstancji de Imizza, i inne wydarzenia. Wielkie to niebezpieczeństwo dla duszy, gdy człek sam w świętość swą uwierzy, bo się na baczności mieć przestaje. Prawdziwym świętym aż po śmierci być można, bo wtedy dopiero od szatańskich podstępów człek jest wolny.

- Że jednak po tym, co zaszło, Willigiz domaga się, by Wojciech do Pragi wrócił! Zaliby on nie wiedział? Bo cóże Wojciech zdziała wśród morderców swej braci, krom tego, że siebie wystawi na niebezpieczeństwo?

- Jego przewielebność pewnikiem wie, co zaszło w jego archidiecezji. On zasię nie mówi o tym, by sobie przeszkód nie stwarzać. Człek jest surowy, rzekłbym - srogi, gdyby nie to, że twardy i dla siebie.

- Tedy wolę i ja nie gadać z Wojciechem - rzekł Stoigniew, wstając. - Z serca mi go żal, a kłamać mu nie chcę ni słowem, ni twarzą. Ty mu rzeknij, gdyby iście do Pragi wracać nie musiał, że go Bolko otwartym sercem przyjmie. O mnichów dla nas tu prosić przyjechałem, a o ciebie nie w ostatku.

- Wiem o tym - odparł Tuni - i ja rad bym pojechał, ale niełatwa to sprawa. Na wszystkie kraje kilka dziesiątków jeno ludzi mamy, bo każdego latami przygotowywać trzeba, opat zasię wie, że łacno z niemieckich klasztorów dostać możecie potrzebnych mnichów, tedy swoich nie udzieli.

- Ty wiesz, dlaczego Niemców nie chcemy, i mógłbyś opatowi wyjaśnić.

- Uczynię to, a nawet Wojciecha uproszę, by się za wami wstawił. Tak mniemam, że opat w głębi serca też Wojciecha za świętego uważa i miłuje go.

- Dzięki ci, i na teraz żegnaj, bracie. Ja nie wyjadę, póki czego nie wskóram, tedy widzę, że długo mi posiedzieć tu przyjdzie, i rad bym cię często widział.

- I ja ciebie - odparł Tuni - a mniemam, że w niejednym pomocny ci być wydolę, bo znam miasto aż po jego smrody.

Stoigniew uśmiechnął się i ruszył ku wyjściu.

W ciemnej mniszej szacie, z pochyloną głową, jak podsądny, stał Wojciech wobec synodu, który rozstrzygnąć miał o jego losie, i jak oskarżenia słuchał odczytywanego przez jednego z kapelanów listu Willigiza: Mortis auctor fit, gui viros, guos potest, curare nolit (Sprawcą śmierci jest, kto mogąc mężów leczyć, nie chce) - kończył arcybiskup swe pismo.

Wojciech kurczył się pod tym zarzutem. Znowu zmusić go chcą, by odpowiedzialność wziął za cudze grzechy. Wszyscy patrzyli na jego wątłą postać z życzliwością i współczuciem, a nikt nie przemawia za nim. Nie wiedział, że przyjaciel od serca, nie tający swego uwielbienia młody cesarz, wyjeżdżając, zostawił zlecenie, by ustąpić żądaniu Willigiza. A co Wojciech może mu przeciwstawić, jak udowodnić, że nic zdziałać nie potrafi, gdy nie wolno mu nawet mówić o przeczuciu, które go naszło. Opat Leo surowo zakazał, choć wie o wszystkim i on jeden miałby możność sprzeciwić się odejściu Wojciecha z klasztoru. Wojciech patrzył błagalnie na surową twarz opata, ale i ten milczał. Opuścili go wszyscy!

Jak wyroku też słuchał słów młodego papieża, który, sam rad i dumny z świeżo a niespodzianie osiągniętej najwyższej godności, zdał się nie rozumieć, że dostojeństwo, o jakie, nie przebierając w środkach, zabiegają inni, może być dla Wojciecha jeno nienawistnym ciężarem, który go złamie. Patrząc na niego przychylnie, ogłosił jednak postanowienie, że pod klątwą wrócić ma na swój urząd do Pragi.

Jak skazaniec po wysłuchaniu wyroku śmierci, kładący swą głowę na pieniek, Wojciech przyklęknął, pochylony, by z rąk papieża przyjąć biskupi pierścień i pastorał oraz błogosławieństwo, które zdało mu się przekleństwem. Skłaniając się, by ucałować stopę, która przygniotła go do ziemi, Wojciech wyszeptał:

- Wasza Świątobliwość raczy mnie jeszcze wysłuchać na osobności, nim odejdę.

- Dobrze, mój synu - odparł łaskawie Grzegorz. - Przyjdź się pożegnać przed wyjazdem.

Wiedząc, że tym razem na zawsze, Wojciech żegnał wszystkich, a wraz z nimi życzliwą wyrozumiałość klasztornych współbraci dla jego nieporadności, podporę swego sumienia, jaką znalazł w opacie, powszechną miłość i cześć, których objawów nie szczędzono mu w tych ostatnich dniach już zburzonego spokoju. Pogłębiało to jeszcze jego żal, graniczący z rozpaczą. Przed nią chroniła go iskierka nadziei, jaką pokładał w przyrzeczonym przez papieża posłuchaniu. Noc przed nim spędził na modlitwie, leżąc krzyżem. Rankiem - zbolały, ale jakby lepszej myśli - przybrał się w oznaki narzuconej sobie godności i udał się do Lateranu.

Papież Grzegorz przypuszczał, że Wojciech będzie go jeszcze błagał o pozostawienie w klasztorze, i wbrew sercu gotował się do odmowy. Znając stosunki w Niemczech, wiedział, że i cesarz wbrew sercu kazał uwzględnić żądanie Willigiza, narażając uwielbianego przez siebie człowieka na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Dziwił się nawet, że porywczy i samowolny Otto tym razem pokierował się rozsądkiem. Tym bardziej jemu nie wolno z osobistych względów naruszyć kościelnej karności, swą powagą zasłaniając nieposłuszeństwo sufragana wobec ordynariusza. By jednak złagodzić odmowę, Grzegorz przyjął Wojciecha niezwykle łaskawie, niemal serdecznie. Klęczącego uścisnął za głowę i podnosząc go kazał mu usiąść u stóp podwyższenia, mówiąc:

- Rad cię widzę, mój synu, i z żalem żegnam.

Chciał z góry zapobiec daremnym prośbom i zdało mu się, że osiągnął cel, Wojciech bowiem milczał, opuściwszy powieki. Ale widno jeno myśli zbierał, bo podniósł oczy i, smutnym spojrzeniem obrzucając papieża, zaczął jak skargę:

- Wróg nie daje mi spokoju, pobudza was, byście mnie zmusili do powrotu tam, gdzie niczego nie zyskam dla dusz, a sam poniosę okrutną szkodę. Zechciejcie złagodzić mój smutek, ostawcie mi

lekarstwo, dajcie przynajmniej otuchę w mym żałosnym pożegnaniu. Jeśli owieczki mego głosu posłuchają, będę żył wśród nich. Jeśli jednak nie znajdę posłuchu, niechaj miłosierdzie wasze udzieli mi tej pomocy, bym gdy one słowami żywota pogardzą, mógł je głosić dzikim poganom, którzy nie znają imienia Bożego.

Grzegorz zaskoczony był prośbą Wojciecha. Odparł z wahaniem:

- Jakże karność w Kościele utrzymać, gdy pozostawimy owcom do rozstrzygnięcia, zali chcą słuchać pasterza lub nie?!

Wojciech jednak przygotowany był widocznie na to, co usłyszał, odpowiedział bowiem bez wahania:

- Wasza Świątobliwość zwoli przypomnieć sobie, że był takowy przykład w Kościele, w skutkach błogosławiony. Święty Emeram diecezję swą w Pictavium porzucił, by apostołem ostać Bawarów, których do prawdziwej wiary przywiódł, a sam koronę niebieską pozyskał. Niechże i mnie choć ta droga do niej otwarta ostanie, gdy z wąskiej, ale prostej ścieżki klasztornego żywota spędzony zostałem.

Widząc na twarzy Grzegorza niepewność i wahanie, dodał:

- Nie miejcie mi za złe, że się ośmielę porównać małe z wielkim - gdy Żydzi słów apostolskich słuchać nie chcieli, święty Piotr powiedział: ecce convertimur ad gentes, quia verbis Dei vos indignos fecistis. (oto zwracamy się do pogan, gdy wy słów Bożych staliście się niegodni) Nie masz owiec, gdzie nie masz posłuszeństwa. Dedecet margeritas ante porcos iacere (nie należy pereł miotać przed wieprze).

Głos Wojciecha, zrazu wątły i niepewny, nabrał dźwięku i mocy. Grzegorz, przejęty i wzruszony, odparł:

- Niech Bóg rozstrzygnie i pokieruje twymi krokami. Jeśli cię twoi nie przyjmą, możesz ponieść słowo Boże poganom.

U stóp Awentyńskiego Wzgórza, koło ruin Wielkiego Cyrku, na swej gospodzie Stoigniew omawiał z Tunim wyjazd Wojciecha, zamierzając mu towarzyszyć do nomentańskiej bramy i tam go pożegnać przed daleką i złowróżbną podróżą.

Czekali już dość długo, widno Wojciechowi niełatwo było oderwać się od miejsc i ludzi, wśród których znalazł swą odrobinę smutnego szczęścia i spokoju. Surowy opat zezwolił nawet, by wraz z nim odszedł z klasztoru brat jego przyrodni, nieodłączny towarzysz od pacholęcych lat. Widocznie Leo, znający Wojciecha do głębi, obawiał się, że nie mając koło siebie ni jednej życzliwej duszy, załamie się. Nie sądził opat, by czeski książę ważył się narazić potężnemu arcybiskupowi mogunckiemu, odmawiając przyjęcia Wojciecha. Łatwiej będzie Pobożnemu jak za pierwszym powrotem nie dotrzymać przyrzeczeń, gdy istotnie niezbyt to od niego zależy. A jeśli go przyjmie, papieskie zezwolenie na misję wśród pogan nie zda się Wojciechowi na nic. Te same widocznie obawy żywił Tuni, gdyż wbrew swemu żywemu usposobieniu siedział teraz posępnie zadumany. Ale

bystra jego myśl pracowała nad tym, jak pomóc Wojciechowi, gdyż odezwał się z wahaniem:

- Jedno, co ninie wolno Wojciechowi uczynić, to miast wracać wprost do Czech, do mogunckiego arcybiskupa się udać, by mu oznajmić postanowienie Ojca Świętego. Willigiz, o powagę Kościoła i własną wielce dbały, łacno się da nakłonić, by od czeskiego księcia zadośćuczynienia i poręki zażądać. Co ten uczyni, trudno przewidzieć, ale Wojciech na czasie zyszcze, a nadziei się nie wyzbędzie.

Stoigniew, który również głowił się, jak z obieży wydobyć zaszczutego człowieka, teraz powiedział z ożywieniem:

- Jeśli powrót Wojciecha do Pragi może być od warunków uzależniony, mam ci ja sposób, by Pobożny odmówił.

- Cóż stąd, że ty masz, skoro warunki jeno Willigiz postawić władny. A skoro uparł się, by Wojciech na swą diecezję wrócił, nie postawi takich, by przyjęte być nie mogły.

- Ale z tego, coś mi rzekł, widne, że wolno samemu Wojciechowi zapytać swego kniazia, zali chce, by wracał.

- Wolno, ale co po tym? Na proste zapytanie odpowie, że iście chce.

- Odpowie, że nie chce, i to tak, że Willigiz, jeśli zaprawdę na powagę Kościoła czuły, więcej pytać nie będzie.

Tuni kręcił głową z powątpiewaniem.

- Wiem, żeś przemyślny i obrotny, nie każ mi zgadywać.

- Niechaj Wojciech zapytanie przez naszego Bolka prześle i doniesie, że u niego na odpowiedź czekać będzie. Rękę dam sobie uciąć, że takowa odpowiedź przyjdzie, iż nikto i nigdy nie będzie Wojciecha zmuszał, by wracał do Pragi. Już raniej w Czechach Sławnikowicom za zdradę poczytywano, iż się z Bolkiem przyjaźnią. Po tym, co zaszło, jego pośrednictwo jako groźba będzie rozumiane, że Wojciech z pomocą Bolesława pomsty szukać zamierza za braci.

Tuni mimo woli uśmiechnął się.

- Chytryś! Nie w ostatku do Polski chcesz ściągnąć Wojciecha.

- Nie zaprzeczę, bo cóż w tym złego? Ani chybi, co ujść zdołało lubickiej rzezi, u nas znalazło schronienie, a już pewnikiem Sobiebór, bo społem z nami był na wyprawie. Będzie Wojciech wśród swoich, nigdzie go radziej nie ujrzą.

- Prawyś! Jeno czy Wojciech się zgodzi twoim podstępem od wydanego pod klątwą nakazu się uchylić? Sumienie ma drażliwe jako nikt.

- Ale jak czędo nieopatrzny jest i łatwowierny. Gotuj, bracie, pismo do Pobożnego, do namysłów Wojciech czasu mieć nie będzie, tedy nie zastanawiając się, podpisze. Ja zasię przez umyślnego Bolesławowi je prześlę, by je do Pragi przekazał. Jeśli w tym i grzech będzie, my go weźmiem na siebie.

Widząc, że Tuni jeszcze się waha, dodał:

- Lękasz się, to wezmę ja. Ja posłuszeństwa nie ślubowałem, wolny jestem.

Jeszcze inkaust dobrze nie obsechł na pergaminie zawierającym pismo Wojciecha do czeskiego księcia, gdy posłańcy Stoigniewa pognali z nim do kraju a zarazem z wieściami o tym, co zaszło w Rzymie.

Choćby chwilowe pozyskanie dla Polski człowieka cieszącego się wysokim zawołaniem w Kurii i przyjaźnią młodego cesarza byłoby wielkim krokiem naprzód w staraniach o niezależny ustrój polskiego Kościoła. W jego osobie najłatwiej byłoby pozyskać arcypasterza nowej metropolii. Przykład miał Stoigniew świeżo przed oczyma: Otto dla swego nauczyciela, Gerberta, biskupstwo Rawenny podniósł do arcybiskupstwa i jego na stolicy osadził. Toteż wojewoda uczynił, co mógł, by cenne pismo nie przepadło w dalekiej, a niezbyt bezpiecznej drodze, zwłaszcza że ze względu na pośpiech poczet nie mógł być zbyt liczny. Pismo wręczył samemu Wisławowi Zabawie, pewny jego obrotności i chytrości, wyjaśniając, jak ważne powierza mu zadanie. Dodał mu dziesięciu co najtęższych wojów na najściglejszych koniach i zalecił drogę obrać przez Styrię, której książę sprzyjał Bolesławowi.

Aż do przeprawy przez Dunaj poczet posuwał się szybko i bez przeszkód, przebył rzekę powyżej ujścia Morawy i jej doliną pociągnął dalej na północ. Tu już uszy i oczy trzeba było mieć otwarte. Co gorsza, pomyślna dotąd pogoda późnego lata psuć się zaczęła, zapowiadając wczesną i słotną jesień, a noclegów pod dachem unikać należało. Dni stawały się krótsze i podróż wlec się zaczynała, Wisław jednak ostrożność przekładał nad szybkość, zwłaszcza że i koni trzeba było szczędzić na najniebezpieczniejszy odcinek drogi lesistym i górzystym działem wód Morawy i Odry, którędy wiódł ruchliwy zazwyczaj i strzeżony gościniec z Pragi do Krakowa.

Na dwa dni drogi przed Ołomuńcem Wisław opuścił dolinę Morawy i bezdrożem skręcił na wschód, by - jak najmniej podróżując gościńcem - jednym dniem dotrzeć do Ostrawicy i z jej biegiem przemknąć się na Opole, omijając zajęty przez Czechów Racibórz. W Opolu stała już polska załoga, tam zadanie będzie mógł uznać za wypełnione i spocząć do woli. Tymczasem stanął na jednodniowy wypoczynek w głębi borów, świadomy, że od chyżości koni może zależeć bezpieczeństwo.

Ruszył wczesnym rankiem. Dzień wstawał słotny i wietrzny, ale tym Wisław się nie trapił. Kupiecki ruch pod jesień ustawał, osad na dawnym śląsko-morawskim pograniczu było niewiele, kogo konieczność nie wyganiała, w psi czas siedział widno w domu, bo do południa poczet nie napotkał nikogo. Na wzniesieniach wicher hulał, siekąc twarze zimnym deszczem, wilgoć przenikała do kości, ale Wisław mijał szybko napotkane osady, nie zatrzymując się na popas, mimo że konie zdrożone już były, a ludzie zziębnięci i głodni. Przed zapadnięciem ciemności dotrzeć chciał do Ostrawicy, a niebo, które przez chwilę zdało się przecierać, zawlekło się znowu, deszcz przybierał na sile i mroczny dzień przechodził we wczesny wieczór.

Spędzenie nocy pod gołym niebem nie uśmiechało się nikomu, co gorzej - konie mogą się zmarnić, a jeszcze czeka je droga przez kraje Gołężyców i Opolan, aż do Odry będące w rękach Czechów. Kilka posiadanych płacht namiotowych starczy ledwo do okrycia koni, ludzie pozostaliby bez żadnej osłony, nawet ognia naniecić się nie da.

Na długi namysł nie było już czasu, ciemność bowiem zapadała szybko. Ludzie człapali w milczeniu jak zmoknięte ptaki, zeszkapiałe konie wlokły się z opuszczonymi łbami. Nie było wyboru, sam Wisław czuł, że trudno będzie przetrzymać noc w mokrych szmatach, bez ciepłej strawy, a nazajutrz też nie wypoczynek czeka. Niedawno na zboczu wzgórza widzieli dymy osady. Kazał

zawrócić. Ciemność już zapadła zupełna, nim dotarli do osady, tak że omal jej nie prześlepili, gdyby nie konie, które, widno, czując stajnię, same skręciły z gościńca. Z bliska już zamigotały światełka przez szpary okiennic, ale podjechawszy tuż, Wisław spostrzegł, że osada jest obronna, jak często na pograniczu. Zbudowana w okrąglicę, obwiedziona była wałem i ostrokołem, zapewne z jednym dostępem przez bramę.

Szukając jej, Wisław ze swymi ruszył wzdłuż wału, ale w zadeszczonym mroku może by i ją minął, gdyby nie ostry głos:

- Kto zacz?

Nie namyślając się, Wisław odparł:

- Poselstwo do miłościwego kniazia Bolesława.

Koło bramy wszczął się ruch, zgrzytnęły wrzeciądze, pod kopytami zadudnił mostek i orszak wjechał na obszerny dziedziniec. Choć Wisław domyślał się już, że na wojaków trafił, nie widział wyboru. Jeśli zawróci, będą go ścigać. Choćby go nie dopadli w ciemności, pogubi swoich, a o wypoczynku nie marzyć. Do granicy jeszcze daleko, nie schwytają go dziś, to jutro. Zawierzył swej obrotności i gdy ten sam ostry głos zapytał: - Polanie? - odparł bez wahania:

- Tak!

- Przystaw gdzie?

Wisław również ostro warknął:

- Nie będę się sprawiał na deszczu i nie wiada komu.

Szybko układał sobie, jak mu kręcić przyjdzie, i niczym do podwładnego dodał rozkazująco:

- Konie odstawić do szopy, a mnie prowadź do starszego. Kto tu rozkazuje?

- Dostojny starosta Krasnota Suchorad - odparł wojak znacznie mniej pewnym głosem. - Nie wiem, zali już nie ułożył się na spoczynek, bo zdrożony jest.

- Jeśli śpi, jutro się rozmówim, a ninie na deszczu czekać nie będę, bo jako posłowi stan mi się należy.

Nie spieszno mu było do rozmowy, by go znowu o przystawa nie zapytano. Najważniejsze - noc spędzić pod dachem. Nakazał swoim spać przy koniach i zebrać się przed świtaniem, a sam czekał na powrót wojaka, który nadszedłszy po chwili oznajmił krótko:

- Starosta prosi.

Mimo chłodu»Wisławowi uczyniło się ciepło. Wielkorządca kraju Wiślan nie da się objechać jak prosty wojak. Jeśli zapyta o przystawa, trudno będzie wyjaśnić, dlaczego nie zażądał go w pierwszym granicznym grodzie. Ale pewnym siebie krokiem ruszył za wojakiem. W obszernej sieni siedziało kilku innych przy palenisku, gotując wieczerzę. Wojak otworzył drzwi do sąsiedniej komory i przepuściwszy przed sobą Wisława wszedł za nim i zatrzymał się przy wejściu, widno czekając na rozkazy.

Na ławie zaścielonej kożuchem siedział poważny, szpakowaty już mąż i podniósłszy bystre oczy

obrzucił przybyłego podejrzliwym spojrzeniem. Nie prosząc Wisława, by usiadł, skinął na wojaka, po cichu wydał mu jakiś rozkaz, po czym ten wyszedł. Nie spuszczając oczu z Wisława, starosta zapytał:

- Poseł od knezia Bolesława?

- Do knezia Bolesława - odparł Wisław wymijająco. - Pismo mam jeno doręczyć.

- Tedy posłaniec. Ale jak zwał, tak zwał, gdzie przystaw i czego szukacie na krakowskim gościńcu, gdy z Poznania do Pragi droga na Wrocław i Kłodzko?

- Ale z Mstowa na Racibórz i Grodziec. Jeno dla pośpiechu ominąłem je, w Ołomuńcu o przystawa prosić zamierzając, bo mi raniej nie był potrzebny, skoro ze stanu nie korzystałem. Ale ninie skorzystać muszę, bo nijak bez dachu nocować, tedy szczęśliwie się złożyło, że was napotkałem, by o stan i przystawa prosić.

- Obaczym - mruknął starosta. Zdał się czekać na coś. Po chwili istotnie nadszedł ten sam wojak i powiedział:

- Iście, od wschodu nadjechali.

Wisław odetchnął. Szczęście, że deszcz zatarł wcześniejsze ślady i starosta mógł mu uwierzyć, iż jedzie do Pragi. Ale Krasnota nie wyzbył się jeszcze podejrzeń, gdyż powiedział:

- Okażcie pismo ze znakiem waszego knezia.

- Pismo mam od praskiego biskupa, jeno miłościwy pan doręczyć mi je kazali swemu dostojnemu wujowi - odparł Wisław.

Na twarzy Krasnoty zjawił się wyraz gniewnego zniecierpliwienia:

- Dość krętactwa - rzucił szorstko. - Gadać, czego tu ze zbrojnym pocztem szukacie, lubo zaraz w pęta wziąć każę.

Wisława jednak niełatwo było zapędzić w kozi róg. Równie szorstko odparł:

- W pętach zali bez - jestem w waszej mocy. Ale może wasz kniaź z polańskim siostrzanem kiedyś gadać zechce, a jakoż, jeśli posłów lubo - jak chcecie - posłańców wzajem więzić będziem.

- Dałby Bóg - spokojniej mruknął starosta - jeno pierw uwierzyć muszę, że iście posłańcem jesteście. Gadajcie, co macie rzec, potem rozważę.

Wisław jednak fuknął:

- Nie przed sądem stoję, bym stojący odpowiadał. A dzień cały w siodle i bez strawy spędziłem. Należy mi się stan lubo nie, a choćby i zdechła u was gościnność, nawet poganie brańców karmią.

Starosta nic nie odrzekł, jeno skinął na czekającego wojaka, każąc przynieść wieczerzę, a gdy ten wrócił, milcząc, wskazał Wisławowi miejsce za stołem. Wisław pożywiał się bez pośpiechu, myśląc, co mu dalej poczynać wypadnie. Najważniejsze, by pismo doszło do rąk czeskiego księcia, a potem, że deszcz za kołnierz nie leje i w brzuchu kruczeć przestało. O resztę się nie trapił. Nie zmieszał się nawet, gdy starosta powiedział:

- Biskup Wojciech w Rzymie bawi...

- Był, ale wyjechał, bo mu papież do Pragi wracać kazał.

- Tedy po co pismo i skąd się u was wzięło?

Wisław znowu stał się czujny, lecz odparł lekko:
- Z Moguncji. Widno tam wielebny biskup przódzi pojechał do swego metropolity.
- Pokażcie pismo - znowu ostrym głosem powiedział starosta. Oglądał pieczęć i mruknął:
- Ani biskupia, ani rodowa Sławnikowiców, ani waszego knezia...

Wisław ramionami wzruszył.
- Jakie mi dali, takie wiozę.

Starosta jął mówić spokojnie, ale w głosie jego brzmiała groźba:
- Ptakiem leciało z Rzynu do Moguncji, ptakiem do Mstowa. Trzeba było i do Pragi ptakiem wysłać. Stanu mu nie trzeba, na gałęzi usiądzie. I dla was gałąź się najdzie, jeśli nie rzekniecie prawdy.

Wisławowi znowu uczyniło się ciepło. Starosta musiał wiedzieć, kiedy Wojciech z Rzymu wyjechał. Zrozumiał, że nie przelewki, ale myślał chytrze, jak i pismo, i skórę ocalić. Odparł:
- Z Rzymu jadę. Pismo jest biskupa, a naszemu panu doręczyć mi je zlecił wojewoda Stoigniew z prośbą, by je swemu dostojnemu wujowi do Pragi przekazał.

Starosta zdał się namyślać. Po chwili mruknął:
- Stoigniew! Znam go. Rozumiem, po co waszego knezia Wojciechowi naraił za baraśnika. Możecie mu rzec, że nie potrzeba. Kler i lud już Strachkwasa nowym biskupem obrali.

Wisław odetchnął. Wręczając pismo staroście, powiedział:
- Nie moja sprawa, jam wojak i czynię, co mi kazali. Jeśli je waszemu panu przesłać zechcecie, każcie mnie do naszej granicy odstawić, bo bez pisma wyłgać się będzie nijak, gdyby mnie kto drugi schwytał. Wy zasię pewność mieć będziecie, że niczego tu nie przepatruję.

Gdy starosta milczał, zadumany, Wisław, by coś rzec, odezwał się:
- Zda mi się, że i wyście radzi, iż biskup Wojciech do Pragi nie wróci?

Starosta podniósł na Wisława zamyślone oczy i odparł:
- Ja? Radem! Chce Wojciech śmierci, niechaj jej indziej szuka. Nam starczy Wacławowej krwie i tych niewinnych dziatek, które Wrszowcy wyrznęli w Lubicy. Wy zasię Bogu raniej podziękujcie, iżeście na mnie popadli, a potem spać.

Stoigniew trafnie przewidział, że podsunięcie Bolesława na pośrednika między biskupem a czeskim księciem wywoła jeno gniew. Pobożny, otrzymawszy pismo, zwołał naradę swych dostojników, wśród których przeważali Wrszowcy. Zamierzał pismo zostawić bez odpowiedzi, uważając, że starczy za nią skierowana do Willigiza prośba o wyświęcenie Strachkwasa, który na nalegania brata objął już urząd, mimo że przedtem nie chciał go przejąć z rąk Wojciecha. Ponieważ

jednak nie było pewne, czy arcybiskup ustąpi, zajadli Wrszowcy wymogli, by wysłać taką odpowiedź, która by na zawsze uniemożliwiła powrót Wojciecha. Drwiąca była i zjadliwa:

„Jesteśmy grzesznikami, naród nieprawości, pokolenie ze sztywnym karkiem. Ty jesteś święty, przyjaciel Boży, prawdziwy Izraelita, i we wszystkim pozostajesz z Panem w jedności. Dla tak wielkiego i prawego człowieka nie starczą pomieszczenia i wspólnota ze złymi. Jeno skądże to nowe stanowisko, że ten nie jednym, lecz różnymi sposobami myślenia rozporządzający biskup na nowo stara się o to, co tak często odrzucał? Poznajemy, jak fałszywy dźwięk wydaje ta świętość pod nabożnym pozorem. Nie chcemy Wojciecha. Bo jeśli wróci, to nie dla naszego zbawienia, lecz by pomścić zło i niesprawiedliwość, jaką wyrządziliśmy jego braciom, a to ku naszemu zadowoleniu. Nikt go przyjąć nie chce - ani jeden!” (historyczne)

Otrzymawszy pismo, Bolesław jeno się uśmiechnął. Zawiadomiony już o zamierzeniach Stoigniewa, rad był, że przewidywania jego nie chybiły. Przyjazd Wojciecha do Polski stanowił duży krok w ziszczeniu jego własnych celów, co więcej - głową Kościoła zostanie człowiek miły i swój, zamiast obcego i sztywnego Ungera. Miał nadzieję, że zatrzyma Wojciecha. Ostatni z jego rodzonych braci, Sobiebór, osiadł w Nakle nad Notecią z wszystkimi bliskimi, którzy uszli zagłady. Nigdzie tylu serc życzliwych nie najdzie Wojciech, który nie umie żyć wśród nienawiści. Ale gdyby nawet stąd wyruszył na misję, zapewne do Lutyków, których język znał, będzie to ostateczny cios dla roszczeń Gizylera do misji w krajach słowiańskich. Wyprawiona z ramienia Bolesława, z jego pomocą i środkami, będzie dowodem, że kraj dojrzał już do kościelnej samodzielności.

Bolesław spieszył, by zebrać owoce przemyślności Stoigniewa, i natychmiast przekazał pismo Pobożnego do Moguncji, dodając własne z zaproszeniem i zapewnieniem wszelkiej pomocy w dalszych zamierzeniach Wojciecha.

Wojciech jednak przeżywał rozterkę, od której daleko jeszcze było do jakichkolwiek zamierzeń. Myślą wracał do klasztoru, który zastąpił mu rodzinę. Wyrwany z niego, wspominał o tych, których w pacholęcych latach musiał opuścić - jedyne chwile beztroskiego szczęścia. Jeszcze choć jeden dzień spocząć wśród swoich! Ale wiedział, że rodzinnego domu nie ujrzy już nigdy, a straszliwy sen czy widzenie podszeptywały mu, że nie ujrzy także nikogo z tych, których tam pożegnał. Wybór pozostawiono mu tylko między powrotem do Pragi, przed czym wzdragał się do głębi duszy, a misją wśród pogan, o której myśl przejmowała go niepokojem. Jeśli marzył o męczeńskiej śmierci, to jak o przystani, w której znajdzie rozwiązanie wszystkich dręczących wątpliwości. Ale by do niej dotrzeć, trzeba wprzód przebyć burzę nienawiści i nieufności pogan, których nauczono patrzeć na krzyż jak na znienawidzone obce jarzmo, przekroczyć bolesną granicę życia. Zapamiętywał się w modlitwie o siłę, której w sobie nie czuł.

W licznym orszaku biskupa Notgera, który wracał do swej siedziby w Leodium, otaczano Wojciecha nabożną niemal czcią, która przygnębiała go tylko. Ciężar świętości za życia był zbyt wielkim brzemieniem na jego wątłe barki. Nie ufał sam sobie, nie wiedział, jak się zachowa, gdy przyjdzie chwila próby. Nic łatwiejszego, jak wyrzec się wszystkiego, co dać może życie, ale do działania nie czuł się zdolny. Nie wyzbył się nawet wątpliwości, czy mimo wszystko nie jest jego obowiązkiem wrócić na swą diecezję. Mortis auctor fit, qui viros, quos potest, curare nolit! - pisał surowy Willigiz. A Wojciech wiedział, że nie chce, choćby nawet potrafił. To Bóg jeno może przewidzieć i jeno Bóg zwolnić go może.

Dwumiesięczna podróż kończyła się wraz z latem. Wojciech z trwogą myślał, że wkrótce stanąć mu przyjdzie przed Willigizem, który - twardy dla samego siebie - nie miał względów dla słabości

innych. Od niego zależy, jakie warunki postawi Pobożnemu, pod jakimi zwolni kraj od klątwy i interdyktu, rzuconych przez Wojciecha, i nakaże mu powrót.

Po dłuższej słocie dzień wstał wyjątkowo pogodny i ciepły, gdy przed podróżnymi zalśniła szeroka wstęga Renu w blaskach pochylonego słońca, a w szarej mgiełce na widnokręgu zarysowały się baszty murów i górujące nad nimi wieże mogunckiej katedry. Orszak przyspieszył kroku, by przed zamknięciem bram wejść do miasta, i wielkie, czerwone, spłaszczone słońce dotykało dopiero nieboskłonu, gdy wjeżdżał w gwarne ulice.

Już przy bramie strażnik oznajmił przybyłym, że arcybiskupa nie masz w Moguncji, po dłuższej bowiem niebytności troskliwy pasterz wybrał się na objazd swej ogromnej archidiecezji i nieprędko powróci. W przejeździe natomiast do Akwizgranu zatrzynał się w mieście młody cesarz.

Na Wojciecha spłynęła ulga. Los udziela mu zwłoki, a obecność młodego pana pozwala żywić nadzieję, że ominie go najgorsze.

Dwa tygodnie, spędzone w gościnie u Ottona, obydwóm zdały się czymś nierzeczywistym. Cesarska sypialnia w ludnym pałacu zmieniła się w pustelnię, wspólnie spędzali w niej dni na rozmowach o marności wszystkiego, co doczesne, o życiu, które jest tylko oczekiwaniem śmierci, o cnotach chrześcijańskich, stanowiących stopnie do wieczystej szczęśliwości; noce zaś na czuwaniu i modlitwach. Otto zapomniał, że zjazd lenników zwołał do Akwizgranu, Wojciech - że czekają go inne troski niż o własne zbawienie. Czas nie płynął i nie liczył się, siedemnastoletni młodzian ze starszym o lat trzydzieści mężem mówili sobie po imieniu jak bracia, zdali się sobie zespolonymi w wieczności duchami, wyzbytymi z doczesnych potrzeb i dążeń.

Jedyne, o czym Wojciech nie zapomniał, to benedyktyńska reguła, która pracą rąk nakazuje zarabiać na życie. Nie mogąc się jąć żadnej innej, po wigilii, gdy zmożony czuwaniem Otto zasypiał twardym snem młodości, Wojciech wymykał się chyłkiem z sypialni, by oczyścić obuwie, które dworzanie wystawiali służebnym pachołkom. Przesądni prostaczkowie, znajdując rankiem wykonaną już pracę, skłonni byli uważać to za cud, zgoła dla nich wygodny, ale przełożony nad pałacową służbą komornik Wolfarius, gdy doszły go o tym słuchy, zaczaił się i przyłapał Wojciecha na tej poniżającej pracy.

Drobne to wydarzenie ściągnęło Wojciecha z niebios na ziemię, łagodne wyrzuty, jakie mu czynił Otto, iż zajmuje się pracą, do której wykonania starczy byle pachołek lub dziewka, przypomniało, że nie takie jest jego zadanie. Tego samego dnia pożegnał Ottona, by wyruszyć w pieszą pielgrzymkę do grobów świętych męczenników, chcąc za ich przykładem i wstawiennictwem wskrzesić w sobie siłę pójścia ich śladami. Oparł się żałosnym naleganiom Ottona, by go nie opuszczał, przyrzekł jeno powrotną drogę obrać na Akwizgran, by się pożegnać. Odmówił przyjęcia zasobów i służby, nawet prośbie Radzima, by pozwolił sobie towarzyszyć. Samotny, jedynie z torbą i laską pielgrzymią, w słotną jesień, po wyboistych drogach, wyruszył w wędrówkę do świętych Marcina w Tours, Benedykta we Fleury, Maura w St. Maure, Dionizego i innych. Zima już szła, gdy wynędzniały i obdarty jak żebrak, ale wzmocniony na duchu, zjawił się w Akwizgranie.

Wieści, które go tu czekały, zdały mu się palcem Bożym, wskazującym dalszą drogę. Otto powitał przyjaciela uściskiem i pocałunkami, łzami zraszając jego twarz. Zdziwiony Wojciech zapytał:

- Czemu płaczesz, mój synu?

- Nad tobą i za tobą - odparł Otto. - Bolesną mam ci oznajmić nowinę.

Wojciech pewny już był, że sprawdziło się jego widzenie. Z uczuciem jednocześnie gryzącego żalu i ulgi, z przymkniętymi oczyma słuchał, jak na polecenie Ottona pałacowy biskup Leo odczytał przywiezione przez polskie poselstwo pismo czeskiego księcia.

Gdy skończył, Otto ze ściśniętym sercem czekał, sądząc, że Wojciech pytać zacznie, jakie to zło i niesprawiedliwość wyrządzili rodacy jego braciom. Ale nie zapytał, obraz rzezi miał pod powiekami. Ku zaskoczeniu i przerażeniu cesarza i biskupa nagle on, który nie śmiał się nigdy, roześmiał się niemal radośnie. Upadł na kolana i wznosząc ręce, zawołał:

„Zerwałeś, Panie, moje więzy. Niosę Ci chwałę i ofiarę podzięki. Odmowa uwolniła moją szyję od stryczka i pęt pasterskiej troski. Nie chcesz tych, którzy nie chcą Ciebie i w dążeniu swym schodzą z drogi prawdy" (historyczne)

Nie zapytał nawet, czy obecny na zjeździe arcybiskup zwolni go teraz z pasterskich obowiązków, jakby to było już bez znaczenia wobec wewnętrznego nakazu.Gotował się do drogi, o której wiedział, że będzie ostatnią. Żegnał Ottona na zawsze, upominając, by cnotliwym życiem zapewnił sobie ich spotkanie w niebie. Ostatniej nocy przed wyjazdem znowu miał sen czy widzenie. Nawykły od lat budzić się w porach przewidzianych benedyktyńską regułą nocnych modłów, tym razem spał kamieniem. Widział lśniący i biały dom, w którym oczekiwał go ostatni z braci, Sobiebór, i prowadził do pięknej komory, gdzie przygotowane dla obydwu stały dwa piękne łoża. Sobiebór wskazał na przeznaczone dla Wojciecha, okryte jedwabiem i purpurą, a na zagłówku ze złotogłowiu złotymi literami wypisane były słowa: „Ten własną ręką sporządzony dar, jaki jest ci przyrzeczony, ofiaruje ci córa królewska". (historyczne)

Obudził się późno, zawstydzony, że zaspał. Gdy przy posiłku opowiedział, co mu się śniło, obecny przy tym biskup Leo zawołał: - „Człowieku, który jesteś sam przeciw sobie! Wnet znajdziesz, czego szukasz". (historyczne)

V

Choć dzień był powszedni, międzyrzecki kapelan, Staniek, kłopotał się ozdobieniem swego drewnianego kościółka, przyległego do obwarowań grodu. Zima już nadciągała, szron zwarzył zieleń i kwiecie. Na grodzie ruch panował niezwyczajny o tej porze, w świetlicy żupanowego dworca zastawiono stoły, na dziedzińcu okazały orszak czekał przy koniach na swego przywódcę, komesa Wilczka Awdańca, który ciągnąc naprzeciw praskiego biskupa tu się zatrzymał, by imieniem księcia powitać go na granicy Bolesławowych ziem i odprowadzić do Gniezna.

Zapowiedź przybycia niezwykłego gościa zburzyła jednostajne bytowanie gródka. Pilnych prac już nie było, a każdy chciał ujrzeć dostojnika, na którego powitanie książę wysyła - jak równemu sobie - własny hufiec przyboczny. Toteż i w podgrodziu, i osadach za rzeką kupiły się gromadki ludzi omawiając niezwykłe wydarzenie. Widywano czasami poznańskiego biskupa Ungera, zawsze wspaniale przybranego, w licznym orszaku duchowieństwa, pachołków i służebnych wojów, których zabierał jeno dla okazałości, od czasu bowiem gdy pokój nastał w kraju, Bolko rozboje ukrócił z taką srogością, że na długo starczy postrachu. Od kapelana wiadomo było, że biskup praski z rodu jest lubickich książąt, w poufałej przyjaźni z samym cesarzem, oczekiwano zatem nie byle jakiego widowiska i gotowano się witać gościa z zapałem.

Tylko żupan Przemił nie zdał się rad, że mu zwyczajny porządek na grodzie zakłócono, gdyż z pewną niechęcią zapytał Awdańca:

- Do Pragi biskup jadą? Gdzież mu tędy droga.

- Nie lza mu wracać do Czech. Ale nie będzie wam długo zawadzać - mruknął Wilczek wyczuwając niechęć. - Książę pilnie na biskupa w Gnieźnie czekają.

Przemił ramionami wzruszył. Miał swoje powody do niechęci. Książę większy szacunek okazuje nawet prostemu duchowieństwu niż rodowemu rycerstwu, jeszcze większy musi żywić dla biskupa. A wżdy biskupem każdy może ostać, sam potężny Willigiz moguncki synem jest pono niewolnego kołodzieja. Dla Przemiła biskup był urzędnikiem książęcym, jeno że zajmował się sprawami, które nie obchodziły żupanów i nieważne były dla niego. A choć Wojciech z rodu jest panujących książąt, biskup bez diecezji tyle znaczył dla żupana, co i książę bez księstwa. Sam pochodził ze szczepowych książąt i patrzył na sprawy, jak nawykł od małości, a włos miał już siwy: kto ma władzę, może nawet nakazać chrzest, jak Mieszko przed trzydziestu laty. Niewiele się przez to zmieniło, tyle że na podgrodziu stanął kościółek, do którego żupan chadzał, gdy mu kapelan przypomniał, że niedziela. Nawet polubił kościelne uroczystości, bo tam nie musiał o niczym myśleć, nic nie rozumiał z tego, co się działo, ale wiedział, kiedy przyklęknąć i kiedy wraz z innymi przywtórzyć kapelanowi „Kyrieelejson", gdy ten skończył gadać po łacinie, od ćwierć wieku to samo. Każdy ma nad sobą jakowegoś pana i jakowegoś boga, a jakiego - bić się o to nie warto. Przemił stary już był, lubił spokój, od czasu zaś gdy Piastowice wszystkich Lechitów do swej woli nagięli, skończyły się napaści Pomorzan, a ostatnio i Weletów, którzy ninie z Niemcami drą się o wiarę. I Pomorzanie, i Weleci poganami ostali. A niech ta, skoro im z tym lepiej! Sam Przemił nie miał nic przeciw chrześcijaństwu, póki mu w jego życiu mieszać nie zaczęło.

Dzieci jego inne już były, może dlatego, że matka - jak to niewiasta - bardzo się nową wiarą przejęła. Gdy zmarła, stary umieścił córy przy księżnej, w nadziei, że gdy dojrzeją, łatwiej wydać je będzie za możnych a miłych księstwu mężów. Potem i synów, gdy podrośli, do Poznania odesłał, by się w świecie otarli i nabrali wojackiej zaprawy. Gdy po roku pojechał odwiezić dzieci, synów odebrał i wrócił z nimi do Międzyrzecza. Byłby odebrał i córy, jeno je księżna wyprosiła, bo wielce jej do serca przypadły i zżyły się z najstarszą księżniczką, z imienia po babce Dobrawką. Mniejsza o nie, zostaną mniszkami, jak pono i księżniczka zamierza, posagów dawać nie będzie trzeba. Ale synów nie po to chował, by mnichami ostali, a na to patrzyło. Miast do konia i miecza, do ksiąg się brali. Ojciec i dziady żyli bez tego i lepiej było niż ninie.

Myślał, że im to przejdzie pod jego ręką, ale i tu więcej się przy kościółku krzątali niż koło stajen. Kapelan rad był temu, bo posiadany mszał znał wprawdzie na pamięć, młócąc go już od wieku, ale gdy przyszło co inszego przeczytać lub napisać, trudził się wielce, na oczy zganiając, że mu już ze starości służyć nie chcą.

Przemił nic by nie miał przeciw temu, by młodszy syn urząd kiedyś objął po kapelanie, ale własny starszemu chciał przekazać, a przede wszystkim wnęków się po obu doczekać. Tymczasem patrząc na nich, przeczuwać zaczynał, że nic z tego nie będzie. I inni ojcowie kłopoty miewali z synami, gdy zbyt do dziewek byli ciekawi, on takich nie miał, choć wolałby. Nie mógł synów zrozumieć. I teraz, choć nie święto, polecieli do kościóła, gdzie krom nich same baby. Bogdaj to licho! I tak się z nich dziewki podśmiechiwały. Nie udali mu się synowie!

Niemiłe rozmyślania przerwał Wilczek: - Jadą! - mruknął.

Jakoż z borów za rzeką wysunęła się na gościniec gromadka konnych otaczająca wóz. Wilczek dosiadł konia i na czele orszaku ruszył naprzeciw. Kto żył, biegł do mostu, z zaciekawieniem czekając na nadciągających.

Gdy się zbliżyli, w tłumie rozległ się szept, w którym brzmiało zdziwieni i rozczarowanie. Gdyby nie to, że komes Wilczek jechał obok jednego z siedzących na wozie, z szacunkiem coś mu odpowiadając, nie wiedzieliby, który z dwóch jest biskupem. Podobni do siebie, nie różni nawet szatą ciemną, z grubego sukna bez żadnych oznak, tyle że młodszy tęższy był i okazalszy.

Zawiedzione czuły się zwłaszcza niewiasty, daremnie wypatrując choćby biskupiego pierścienia na wychudłej dłoni Wojciecha, którą podniósł, by pobłogosławić tłum, gdy tu i ówdzie rozległy się powitalne okrzyki. Na twarzy jego widniało zmieszanie i zakłopotanie tak wyraźne, że okrzyki umilkły i w ciszy słychać już było tylko turkot kół na dranicach mostu, gdy orszak wtaczał się do bramy grodu i wjechał na dziedziniec.

Tu załoga z żupanem na czele stała pod bronią. Przybyli jęli wysiadać z wozu, a do biskupa przystąpił kapelan i przyklęknąwszy przed nim, ucałował rękę, nie mniej zdziwiony brakiem biskupiego pierścienia, jak wyglądem i zachowaniem się dostojnika, którego wszelkie oznaki oddawanej mu czci zdawały się jego zawstydzać. Spojrzenie miał bolesne i spłoszone, a gdy żupan przystąpił, zapraszając na posiłek, odpowiedział cicho:

- Pierw rad bym się pożywił chlebem żywota. - Zwracając się do kapelana, dodał: - Prowadź nas, bracie.

Staniek ruszył przodem, zadowolony, że pochwalić się może odświętnie przybraną śiątynią. Ale Wojciech zdał się nie widzieć, co się dokoła niego dzieje. Gdy w asyście Radzima przystąpił do ozdobionego choiną ołtarza, kapelan patrzył na niego zrazu zdziwiony, a potem wstrząśnięty i niemal przerażony. Działo się coś, czego nie pojmował, nie dlatego, że nie rozumiał już łacińskich słów, które sam powtarzał tylekroć, wyuczywszy się ich jak guseł. Ongiś znał wprawdzie ich znaczenie, gdy objaśniano go w Jordanowej szkole, ale i wtedy pozbawione były dla niego zrozumiałej treści. Wiedział, że łacińska mowa, na równi z grecką i hebrajską, uświęcona została napisem na krzyżu Zbawiciela i dlatego słowami, które powtórzyć mógł nawet we śnie, wzywać należy Boga, tak jak ongiś rodzic zaklęciami wzywał bogów pogańskich. Słowa miał wbite w pamięć jak kołki, w których dawno już wyschły wszelkie soki. W ustach Wojciecha te same wyrazy zdały się ożywać jak laska Aarona, wypuszczać żywe pędy. Kapelan pochylił głowę i przymkną oczy, a potem lękał się je otworzyć, by nie ujrzeć Tego, którego wzywał tylekroć, nie myśląc, że można zostać wysłuchany.

Wilczek i Przemił czekali tymczasem w świetlicy przy zastawionych stołach. Grudniowy dzień krótki jest, zbliżało się już południe, a książę pospieszać kazał. Wilczek wiedział, dlaczego niecierpliwi się książę. Pomyślny dla jego dalekosiężnych zamierzeń układ okoliczności może się w każdej chwili zmienić. Stoigniew z naciskiem nalegał, by przyjazd Wojciecha wykorzystać w kraju, jeśliby ruszył na misję, należy objąć nad nią opiekę, póki Gizyler w niełasce, a młody cesarz, zajęty rzymskimi sprawami, rad zrzucić na barki Bolesława uciążliwe sprawy północnego pogaństwa. Przedstawiał też księciu trudności, jakie w Rzymie napotyka w pozyskaniu choć paru duchownych, a lepszych niż Wojciech i Radzim nie można sobie życzyć.

Inne myśli chodziły po głowie Przemiła. Nie lubił żadnych zmian, a przybycie obcych zdało się je znowu zapowiadać. Przeżył już niejedno, a wciąż jeszcze nie widać kresu. Za dziadów książąt było wielu, ale wielkiej władzy nie mieli, chyba czasu wojny. Podczas pokoju każdy wolny miał głos

na wiecu. Teraz ginąć lub słuchać, nie wiedząc nawet, co z tego wyjdzie, książę sam o wszystkim stanowi. I to samo wszędy. Gdy Mieszko chrześcijańskiej małżonki szukał, wahał się, czy wziąć ją z Lubicy, czy z Pragi. Sławnikowice możni jeszcze byli, zaprzyjaźnieni i sąsiady. Ninie nie masz lubickiego państwa, Sobiebór na łasce jest Bolesława, Wojciech i Radzim tułać się muszą, do ojczyzny powrót mając zamknięty.

Staremu żal się uczyniło człowieka, który nie tylko sił nie ma, by pomścić braterską krew, ale gdyby wrócił na ojcowiznę, własną musiałby dołożyć. Zwrócił się do Wilczka:

- Prawicie, że Wojciechowi nie lza do Czech?

- Pobożny mu nie zwolił. Z żywym jeno kłopot, a ubiją go Wrszowce - zadra z Ottonem i z Rzymem. Tedy mu jeno ostało Lutyków na chrześcijańską wiarę nawracać.

Stary pokiwał głową i mruknął:

- Zagnali go jako wilka w grodzie. Nie dziw, że patrzy, jakby szedł na ścięcie, i modli się, ile wydoli. Skazańce też się modlą po drodze na kaźń, byle ją odwlec.

- Iście coś długo modli się biskup - powiedział Wilczek w roztargnieniu, a stary mruczał:

- Lutyków! Połabianie, choć chrzczeni, kapłanów wyrznęli. Chybaby biskupowi wojsko dać dla osłony. Bez tego, nim gębę rozewrze, zarzną go, jeśli nie gorzej.

Wilczek jednak nie słuchał, myśląc o czym innym. Dźwignął się, mówiąc:

- Pójdę obaczyć, co się wyprawia. Pilno mi.

Dzień był chmurny, błony w oknach niewiele przepuszczały śiatła i wnętrze kościółka ciemne było. Gdy»Wilczek stanął u wejścia, zrazu ujrzał tylko Wojciecha w świetle płonących na ołtarzu świec. Przybrany był w pontyfikalne szaty, ofiarowane mu na wyjezdnym przez Ottona jako biskupowi gentium (biskupowi misyjnemu), lśniące od złota i klejnotów. Ale gdy oczy Wilczka nawykły do mroku, pomiarkował, że nie wspaniała szata ściąga na biskupa oczy klęczącego tłumu. Szkliły się łzami, wpatrzone w Wojciecha jakby w zapamiętaniu.

Wilczek przyklęknął i słuchał. Nie wszystko rozumiał, bo Wojciech mówił po czesku. Ale zrozumiał od pierwszych słów, że to nie kazanie, jakiego nieraz wysłuchiwał, bo tak sobie życzył książę. Wojciech zdał się rozpaczliwie przestrzegać przed jakimś strasznym, bezpośrednio grożącym niebezpieczeństwem. Niczym jest śmierć, której nie ujdzie nikt, niczym - przemijające jak chmura na niebie - wyrzeczenie i cierpienie wobec wydania duszy na łup szatana. Gdy»Wojciech mówić zaczął o wieczystej karze, w oczach jego widniało przerażenie, jakby ją oglądał i uciec chciał przed tym widokiem.

Nie znane Wilczkowi nieznośne uczucie strachu zaczęło mu się udzielać. Ze śmiercią był obyty od wyrostka, że majętności i dostojeństwa nie dają szczęścia - wiedział. Ale spokojny był dotychczas, a Wojciech zburzył ten spokój.

Nie mógł słuchać dłużej, wstał i wyszedł. Ale czuł, że już nie potrafi wyrzucić z myśli spraw, które jej dotychczas nigdy nie zaprzątały.

Gdy biskup wreszcie nadszedł, nie pora już była ruszać w dalszą drogę. Niebo zaciągnęło się burymi chmurami, wstający wicher niósł śniegowe płaty, coraz gęstniejące. Szła ciemność i zawieja, a goście pożywić się jeszcze musieli.

Choć niezbyt pożądani, prawom gościnności uchybić nie można było i Przemił zastawić kazał, co

miał najlepszego. Czuł się dotknięty, gdy biskup pożywiał się jeno chlebem i wodą, a i to jadł, jakby nie wiedząc. Piwa ni miodu nie tknął; trucizny się lęka? Żupan wzruszył ramionami. Jakiego pożytku spodziewa się Bolko po zagłodzonym chuchraku?!

Gdy jednak po posiłku biskup znowu poszedł się modlić do kościółka, a żupan na zwyczajny wieczorny obchód, lekceważenie jego zmieniło się w złość, a zarazem niepokój. Na gród jakby urok padł. Wszyscy mówili jeno o nabożeństwie i kazaniu, ale gdy pytał, co biskup gadał, nikt nie umiał tego ubrać w zrozumiałe słowa. Tyle że nic nieważne krom śmierci.

Przemił wracał do dworca rozdrażniony. Juści, że tak jak Wojciech żyć nie warto. Skoro mu nieważne, iż wycięto jego krewniaków, że stracił ojczyznę i urząd, nie ma co go żałować. Jeno niech drugim w głowie nie przewraca, tym, którzy mają po co i dla kogo żyć.

Przemił rozbierał się w swej komorze, uspakajając się z wolna. Rankiem Wojciech wyjedzie i wszystko będzie, jak było. Miał się właśnie ułożyć, gdy nieśmiało wśliznęli się do komory obydwaj synowie. Nie widział ich przez cały dzień i na ich widok znowu ogarnęła go złość. Odezwał się zgryźliwie:

- Naświętowaliście się zadość? By mi jutro przed świtaniem pachołki z sieciami stali do obierzy i psiarki ze sforą. Ponowa będzie, na łowach wywietrzeje wam ze łbów kościelny zaduch.

- Pożegnać przyszliśmy was - drżącym głosem odparł starszy.

Przemił dźwignął się groźnie i udając, że nie zrozumiał, rzekł:

- Społem pojedziem na łowy. Biskup bez nas najdzie drogę. Dla chleba i wody nie trzeba gospody.

- My z nim odejdziem - z wysiłkiem wykrztusił młodszy i jakby lękając się, że mu ojciec nie da skończyć, jął mówić szybko: - Biskup prawią, że mniszy żywot najwyższy i kto pierwszy przyjdzie, pierwszy nakarmiony zostanie.

- A nie rzekł ci ów żyrzec, że was do lochu zamknąć każę, póki wam ten omam nie przejdzie?

- Mówił, ze największa zasługa cierpieć za wiarę - odparli jak jeden.

Przemiłowi w oczach pociemniało. Chwycił pas i okładać jął synów, gdzie popadło, bez opamiętania. Bił, sądząc, że się spraszać zaczną, ale jeno skomleli cicho. Zmęczył się wreszcie i zadyszany rzucił:

- Starczy wam na dziś tej zasługi? I jakom rzekł, jutro na łowy.

- My odejdziem - powiedział starszy cicho. - Chrystus ojca i matkę rzucić kazał i iść za sobą.

Ręką zasłonił pokrwawioną twarz, sądząc, że ÍPrzemił znowu bić zacznie. Ale ten z zaciętym wyrazem podszedł do drzwi, rozwarł je i warknął:

- Ważniejsze wam to niż ojcowa wola, tedy precz!

Kopniakami wypchnął ich za drzwi i rzuciwszy za nimi: „bogdajście sczeźli!" - usiadł na łożu i rękoma objął głowę, w której kłębiły się ponure i złe myśli. Nie dziw, że Czesi nie chcą tego biskupa ni jego nauk, i nie dziw, że Połabianie wygnali tę niemiecką zarazę. Przyjdzie i u nas do tego, niechby raz nie stało Bolesława!

Ale pomyślał, że stary jest i nie doczeka. A choćby - synów mu to nie zwróci. Na ostatek lat pozostał sam.

Choć książę jak najrychlej spotkać się chciał z Wojciechem, nie wyjechał naprzeciw, musiałby bowiem wracać z nim przez Poznań, gdzie trudno byłoby uniknąć rozmowy z Ungerem o kościelnych sprawach. Bolesław pragnął wpierw upewnić się co do dalszych zamierzeń Wojciecha, a gdyby dał się nakłonić do pozostania w Polsce, sprawę naprzód uładzić w Rzymie i dopiero z bullą papieską w ręku rozmawiać z poznańskim biskupem.

Miał zaś nadzieję, że zdoła Wojciecha zatrzymać, mimo iż wiedział, że wobec odmowy przyjęcia go przez Czechów pozostawiono mu tylko misję wśród pogan. Ale u Połabian nie ustawało wrzenie, poniesiona latem klęska rozjuszyła ich tylko i książę otrzymał wieści, że gotują się wziąć odwet. Istotnie wojska trzeba by przydać Wojciechowi, ale misjonarzy z mieczem Słowianie znali już zbyt dobrze. Bolesław sam nie chciał patronować takiej misji i pewny był, że Wojciech by się na to nie zgodził. Przy poparciu natomiast Ottona i obrotności Stoigniewa spodziewał się zyskać przynajmniej zezwolenie na pobyt Wojciecha, dopóki nie uspokoi się na północy. Na myśl o tym Bolesław uśmiechnął się: na to długo będzie Wojciech czekał, a tymczasem nie braknie mu pracy w spokoju i bezpieczeństwie. Może kiedyś wróci nawet do Czech, ale to odległa przyszłość. Praski wuj po lubickiej rzezi zapadł wprawdzie na zdrowiu, ale słychać, że dźwignął się znowu. Gdy kiedyś Rudy obejmie panowanie, wrychle ono Czechom obrzydnie. Wtedy pora będzie do działania.

Przywykły głośno myśleć przy małżonce, Bolesław nie taił przed nią, co sobie obiecuje po obecności Wojciecha. Mimo żywionej dla Sławnikowiców przyjaźni i współczucia, nie tracił z oka korzyści, jakie przez nich spodziewał się osiągnąć. Emnilda jednak myślała tylko o tym, jak nieszczęśliwemu człowiekowi wygnanie i osierocenie osłodzić. Gdy»Bolesław przyszedł z wiadomością, że wysłany po biskupa poczet nadciąga, powiedziała w zamyśleniu:

- Może byście uwiadomili o tym Sobiebora? Ostatni to z rodzonych braci Wojciecha. Lżej człeku, gdy się boleścią może z kimś bliskim podzielić.

- Słusznie prawisz - odparł książę. - Wraz to uczynię, ty zasię dopilnuj, by miłemu gościowi niczego tutaj nie brakło.

- Słyszę, że świątobliwy biskup niedbały o wygody - odrzekła - ale uczynię, co wydolę. Niechby się tutaj czuł jak między swoimi, choć rodzonych nikt człeku nie zastąpi.

- Ty wydolisz - uśmiechnął się Bolesław, przygarniając Emnildę. - Biskupowi potrzeba spokoju i spoczynku. Ja zawżdy najduję je u ciebie.

- Rzadko ich szukacie - odparła z westchnieniem.

Ale książę roześmiał się i całując żonę w czoło powiedział:

- Po cóż mi szukać, gdy wiem, gdzie należć. - Spoważniał i dodał: - Już i ta świadomość wypoczynkiem jest i spokojem. Łacniej człeku pragnienie wydzierżyć, gdy wie, gdzie źródło, u którego może je ugasić.

Wojciech istotnie potrzebował spokoju i wypoczynku, ale na ziemi nie widział miejsca, gdzie mógłby je osiągnąć. Jak wędrowiec, niosący ciężar nad siły, przyspiesza kroku przed celem, czując, że mu tchu braknie, tak on nie chciał zatrzymać się nawet do przybycia Sobiebora. Dziękował księstwu ze wzruszeniem, że o tym pomyśleli. Bolesław przypuszczał, że biskup lęka się, iż - znalazłszy spokój w życzliwym otoczeniu, w bliskości ukochanego brata - nie zdoła już znaleźć w sobie sił, by wyruszyć w zamierzoną drogę. Książę, sądząc, iż Wojciech czuje się związany tylko

papieskim postanowieniem, przyrzekł natychmiast wysłać poselstwo do Kurii o zezwolenie na przeczekanie w Polsce pogańskiej zawieruchy. Ale Wojciech odparł z widocznym żalem:

- Choćby się Ojciec Święty zgodził - nie mogę. Tam mi słowo Boże głosić przeznaczono, gdzie go jeszcze nie słyszeli.

Pod wpływem rozważniejszego Radzima z trudem zgodził się zostać w Polsce przez zimę, gdy istotnie na gościnę w pogańskim kraju liczyć nie mogli i zginąć by im przyszło bez ciepłej strawy i dachu nad głową, nimby cokolwiek działać zaczęli.

Mimo że zima nadeszła nagła i ciężka, Wojciech, nie chcąc jeść chleba w bezczynności, postanowił wyruszyć w podróż po kraju. Pragnął lud w wierze umocnić i chętnych znaleźć do benedyktyńskiego klasztoru, jaki na prośbę księcia przyrzekł założyć. Trapił się tylko o osobę opata, czyjąc, że nie znajdzie w sobie sił, by wyrzec się Radzima, gdyby mu powierzył kierownictwo zgromadzenia. Ale to zostało Wojciechowi oszczędzone. Jak na wezwanie, w parę dni po nim zjawił się przeor brzewnowski Astryk, ongiś niesforny jego uczeń, który po lubickiej rzezi, w obawie o swe życie, wraz z Radłą uszedł na Węgry. Bawar z pochodzenia, z klasztoru św. Emerama w Ratyzbonie, znał jednak słowiański język, a choć mniej celował w cnotach chrześcijańskich, rzutki był i przedsiębiorczy. Wojciech zlecił mu troskę i zachody związane z rozbudową na klasztor dawnego domu Jordanowych mnichów w Trzemesznie, a także konwersów, których w podróży swej zdołał pozyskać. Obowiązki lekkie zresztą były, książę bowiem, wielką wagę przywiązując do tej sprawy, nie żałował nadań i nakładów, a Wojciech ze swej strony ofiarował pięknie zdobiony mszał, dekretalia i kalendarz świąt. Astryk wziął się do dzieła umiejętnie i z zapałem. W słowiańskich krajach benedyktyńskie klasztory policzyć można było na palcach jednej ręki. Miał nadzieję, że swój macierzystym uczyni, zostając opatem nowej prowincji, a od opackiej laski niedaleko do arcybiskupiego paliusza. Pole przed nim otwierało się rozległe i urodzajne.

Przyjazd Astryka i jego opowiadanie o pobycie na Węgrzech obudziły w Wojciechu przytłumioną tęsknotę za Radłą. Może dlatego, że z nim wiązały się wspomnienia szczęśliwych dni dzieciństwa i beztroskiego pobytu w magdeburskiej szkole. A może dlatego, że świadkiem był straszliwego nieszczęścia, o którym pamięć Wojciech nosił w sobie jak z wierzchu zasklepioną, ale wewnątrz jątrzącą się ranę. Chciał ją rozdrapać, zdało mu się bowiem, że gdy usłyszy o przebiegu budzących grozę wypadków od człowieka, który własnymi patrzył na nie oczyma, zniknie własna jego wizja, którą tłumił w sobie na rozkaz opata Leona, ale która wracała senną zmorą, tak że budził się spotniały z grozy i żalu. Znając węgierskiego Stefana z czasu swego pobytu na dworze Gejzy, Wojciech uprosił księcia, by wysłał do niego poselstwo, przez które przesłał pismo do węgierskiego władcy: „Jeżeli okoliczności zmuszają i konieczność domaga się, zatrzymaj mego piastuna. Ale jeśli tak nie jest, na miłość Bożą, przyślij go do mnie".

Wojciech lękał się, że Stefan, któremu również brakło wykształconych i obytych duchownych, nie zechce zwolnić Radły. Pragnienie ujrzenia starego towarzysza było jednak tak silne, że - wstydząc się sam przed sobą - dołączył w tajemnicy list do Radły z prośbą o przyjazd, pisząc: „Jeśli to możesz uczynić z dobrowolnym zezwoleniem, to dobrze. Jeśli nie, to próbuj to osiągnąć w drodze ucieczki, by przybyć do tego, który Cię z tęsknotą oczekuje, Twojego Wojciecha".

Wysławszy pisma, cokolwiek pokrzepiony na duchu, Wojciech wyruszył na objezd kraju, wrócił jednak wcześniej, niż zamierzał, znużony i rozgoryczony. Lud słuchał go chętnie, po gródkach i dworcach podejmowany był gościnnie. Ale kościoły zazwyczaj zastawał zamknięte, a kapelanów na

miejscu nie było. Wkrótce pomiarkował, że to nie zbieg okoliczności, lecz że unikają go z nakazu, a nietrudno było domyślić się już, kto nakaz wydał. Na połów dusz w cudzej diecezji, jak i ryb w cudzym jeziorze, należy mieć przywilej. Posiadał go Unger i był w swoim prawie. Gdyby Wojciech myślał o pozostaniu w Polsce, widziałby w tym jeszcze jedną wskazówkę, że nie tu cel jego drogi.

Wracając do Gniezna, żywił nadzieję, że nim w dalszą wędrówkę wyruszy, zastanie tam Sobiebora, a może i Radłę. Nie zastał żadnego z nich. Radło zapewne nie mógł przybyć, ale co z Sobieborem? Wojciech, strapiony, próżno głowił się nad przyczyną. Książę domyślał się powodów, ale nie mówił o tym i odwrócił rozmowę. Wieści, jakie otrzymał z wieleckiego pogranicza od Ekkeharda, nie pozostawiały wątpliwości, że misja Wojciecha u Lutyków jest niemożliwa. Obie strony gotowały się do wojny.

Wojciech patrzył bezradnie na księcia, który, uśmiechając się, dodał:

- Widno tedy u nas ostać musicie,

- Nie mogę - odparł Wojciech. - Muszę iść do pogan.

Książę zrozumiał, że darmo przekonywać. Zadumał się i rzekł po chwili:

- Pogan nie brak. Myślę jeno, gdzie posłannictwo wasze mogłoby skutek odnieść.

- Choćby i żywota zbyć - rzucił Wojciech rozpaczliwie. Bolesław odparł z pewnym zniecierpliwieniem:

- I ja nieraz żywot stawiłem, jeno nie darmo.

- Jam nie wojak - szepnął Wojciech. - Chrystus przykład ostawił, że z krwie jest odkupienie.

- Tedy może do Prusów - powiedział Bolesław z wahaniem. - Jeno po prawdzie, nie pomnę takowej zimy, by na pograniczu walk z nimi nie było. Ale chcecie, to was do Sobiesława odeślę na Mazowsze. Z górą pół kopy lat z nimi się zwodzi, najlepiej wiedzieć będzie, jak sobie poczynać.

- Jeno że języka ich nie znam - rzekł Wojciech.

- Najdziecie u Sobiesława ludzi, którzy pruską mowę rozumieją - odparł Bolesław. - Z Prusów też niejeden naszą zna, a juści lepiej byłoby, gdybyście i wy pruską znali.

- Pójdę do Prusów - powiedział biskup cicho.

Wojciech oczekiwał w Płocku powrotu Sobiesława z zimowej wyprawy. Sabinus, archidiakon czerski, podejmował go tymczasem z wielką czcią i godnością, zapewniając, że każdego dnia spodziewać się można wojewody. Zima przesiliła się już, lód na rzece spłynął, zaczęły się roztopy, kładące kres walkom w bagnistym i jeziorzystym kraju.

Sam jednak archidiakon rad byłby zwłoce. Wojciech przynosił mu echa dalekiej ojczyzny, której Sabinus nie spodziewał się już ujrzeć za żywota, budził przebrzmiały oddźwięk własnych jego nadziei i zamierzeń, gdy ongiś i on, jak ninie Wojciech, szedł na misję do dalekiego, nieznanego kraju. Mówić z nim mógł o tym w ojczystej mowie, której zda się zapomniane już słowa odnajdywały się gdzieś w zakamarkach pamięci wraz ze wspomnieniami. Od pierwszego wejrzenia uległ żarowi, jaki promieniował od Wojciecha, a który w nim samym przygasł już, stłumiony wiekiem i doświadczeniami. Choć i biskupowi włos świecił już na skroniach, zdał mu się młodzieńcem potrzebującym rady i przestrogi. A zarazem Sabinus lękał się, by nie przygasić płomienia, przy którym sam się rozgrzewał. Nie chcąc Wojciecha odwodzić z drogi, przedstawiać jednak jął wynikające ze zwyczajnych potrzeb ludzkiej natury trudności, jakich Wojciech zdał się nie

dostrzegać. Widno jednak nie chciał, odparł bowiem słowami świętego Piotra: „kazałeś mi, Panie, zarzucić sieć". Sabinus zrozumiał, że Wojciech idzie za rozkazem, przeciw któremu żadne przeszkody się nie liczą. Ale wiedział też, że słabość ludzka nie w zamierzeniach się ujawnia, lecz w działaniu. Budziło się w nim pragnienie, by Wojciechowi w jego podniebnym locie los skrzydeł nie podciął, by do ostatecznego celu nie musiał, jak on sam, wlec się krętymi i wyboistymi ścieżkami powszedniego dnia.

A zarazem żal mu było skazanego na wielkość słabego człowieka i lękał się, by mu sił nie brakło w drodze, by nie doznał upadku, jaki z tej wysokości może być śmiertelny.

Sabinus odetchnął, gdy dowiedział się o przybyciu Sobiesława. Wojewoda od ziemskiej strony patrzeć będzie na sprawę, bez rozterki między rozsądkiem a niechęcią ściągnięcia Wojciecha na ziemię, po której ten chodzić nie umiał.

Istotnie, wojewoda patrzył na przedsięwzięcie Wojciecha ze swego stanowiska. Z górą pół kopy lat dźwigał brzemię uciążliwego pruskiego sąsiedztwa. Nawykł wprawdzie do niego, co dziwniejsze - nawet przywiązał się, nie tylko do swego zadania, ale i do tego ludu, nie czuł doń żadnej nienawiści czy niechęci, jak łowca nie czuje ich do groźnego zwierza, z którym walczy dla zdobycia jego skóry czy mięsa. Smutne byłyby opustoszałe bory.

W walce poznaje się człowieka. Prusowie byli mężni, ofiarni, wierni, wolność przenosili nad życie. Sobiesław, sam wojak, cenił ich wojackie zalety. Ale rozbici na tyle księstewek, ile gródków rozsianych po wzgórkach i nad jeziorami, nie znający innej władzy niż obieralni na każdą wyprawę wodzowie, prędzej czy później stać się muszą łupem potężniejszego sąsiada, sile skupionej w jednym ręku nie zdoła się oprzeć dzikie męstwo, z jakim każdy Prus rzucał się na napastnika, nie patrząc, czy ma kogoś za sobą. Od pierwszych dni Mieszkowych, a potem Bolesławowych rządów Sobiesław, biorąc udział w budowie państwa, rozumiał cel, jaki przyświecał księciu, gdy kierował Wojciecha na misję do Prus. Dla Bolesławowego dzieła mogło stać się groźnym, gdyby ten kraj opanował ktoś od Prusów silniejszy. Jeśli się powiedzie Wojciechowa misja, połączy nowo ochrzczonych z polskim Kościołem, stwarzając podstawy do sąsiedzkiego współżycia, zbawiennego dla obu narodów.

Pomiarkowawszy, że w żadnym razie Wojciech od swego zamierzenia nie odstąpi, Sobiesław nie taił przed nim trudności podejmowanej wyprawy ni czekających przeszkód i niebezpieczeństw. Zarazem jednak starał się wyjaśnić wszystko, co mogłoby im zapobiec i przyczynić się do powodzenia misji. Niezbyt jednak sam w nie wierzył, widząc przed sobą człowieka, który zdaje się zapominać nawet o tym, że trzeba jeść i spać.

- Stąd do Prus najbliżej przez Gorzno, które przejścia strzeże na granicy. Parę dni drogi jeno, bezpiecznej i nie najgorszej, choć ninie rozkisła. Tam przewodników dostać możecie, którzy przejścia znają przez bagna między Wkrą a Drwęcą do pruskiej już Pomezanii. Tylko że kraj tam rzadko osiadły, rolnika nie uświadczy, jeno bartników, myśliwych i rybitwów. Kazać nie ma komu, chyba drzewom w lesie, a Boga prosić, by nie napotkać nikogo. W ustawicznej z nami i gdańskimi Pomorcami wojnie, żaden bez broni z domu nie ruszy, a napotkawszy obcego, raniej go oszczepem przebodzie lubo maczugą łeb rozbije, zanim zapyta, kto zacz.

- Każcie mnie odesłać do Gorzna - powiedział Wojciech, nie patrząc na wojewodę, ale trzeźwiejszy Radzim wtrącił się:

- To na pograniczu, jako i wszędy. Słyszałem, że Prusowie naród gościnny, a tam, gdzie częściej obcych widują, nie każdego chyba oszczepem witają. Za żywność i noclegi mamy zresztą czym płacić, bo nas książę Bolesław sowicie zaopatrzył.

- Gościnny jako nigdzie - przytaknął Sobiesław. - Taki u nich obyczaj, że komu potrzeba, pod każdy dach wstąpić może, zjeść i wypić, co mu wola, choćby i nikogo w domu nie naszedł. Dlatego złota ni srebra nie chciwi. Gdybyście mowę pruską znali, a włos i brody zapuścili, bo u nich jeno niewolnych strzygą, a na ich modłę się przybrali, moglibyście na północ wędrować jak strzelił, aż nad wielkie jezioro Drużno. Tamże nie brak osad i grodów, a największy Truso, gdzie się targo odbywają i gdzie do obcych nawykli, jako do pieniądza, którego gdzie indziej nie mają w cenie albo i nie znają. A jeśli chcecie rady posłuchać, to rzekę: po cóż wam się tędy przemykać, kiedy tam wodą dotrzeć można bezpieczniej i bez trudu, bo Drużno rzeką Elfing (Elbląg) z zalewem wiślanym się łączy. Do zalewu zasię z Gdańska czy statkiem drogą morską przez wyrwę w mierzei dotrzeć łacno, czy łodzią w górę»Wisły, która rozlewiskami z zalewem od zachodu połączona. Czasu to wprawdzie zbawi więcej, ale go nie stracicie darmo. Polecę was gdańskiemu książęciu, który jest Bolkowym swojakiem i hołdownikiem. Tedy, choć sam poganin, przyjmie was gościnnie i wszelkiej pomocy udzieli. Możecie i u niego lud nawracać, a może i sam się ochrzci, bo wiem, że z dawna o tym zamyśla, tedy i zasługę mieć będziecie. Im zasię dalej w głąb pruskiego kraju dottrzecie niepostrzeżenie, tym lepiej, bo z dala od granic bezpieczniej. Ani wam niewola na Truso się pchać, bo także na wybrzeżach kraj ludny. Prawda, że i tych pilnie strzegą przed obierzą normańskich rozbójników, ale już sposób się najdzie, by was w tajemnicy na brzeg wysadzić.

Sabinus, który początkowo strapiony był tym, co mówi wojewoda, teraz odetchnął i wtrącił:

- Ja zasię dam wam subdiakona Boguszę, który pruską mowę zna.

Posłuchajcie wojewody i niechaj Bóg wasze dzieło uwieńczy.

- Przykażcie mnie tedy odesłać do Gdańska - powiedział Wojciech, a Wisław Zabawa, który mu na rozkaz księcia z Gniezna towarzyszył, również z ulgą rzekł:

- Tedy zwólcie się pożegnać, bo skoro Wisłą popłyniecie, jużem niepotrzebny.

Gdy zaś Wojciech z»Radzimem i Sabinusem opuścili świetlicę, zwrócił się Wisław do Sobiesława:

- Wierzycie, że z onej misji coś wyniknie? Cóże dwóch czy trzech ludzi na cały kraj?

- Nie wiem - odparł w zamyśleniu wojewoda. - Misja - nie wojna, a jedno wiem, że dobrze by było.

- Książę też dużo sobie po niej obiecują i Stoigniew na to nalegał, bo - prawi - wielce by mu sprawy w Rzymie ułatwiło, gdyby»Wojciech, którego tam za świętego uważają, iście apostołom z naszego ramienia ostał. Jeno że Tuni gada, iż świętym za żywota nikto nie jest. Tedy choćby i Wojciecha ubili, zawżdy korzyść będzie.

Roześmiał się niespodzianie i ciągnął:

- Choćby i ta, że relikwie nam taniej wypadną, o które Stoigniew, złotem szastając, dla nowych kościołów zabiega, a nie wiada nawet, za co płaci, bo kto ta rozróżni, ze świętego zali ze zwierza kość. Tu by przynajmniej wiadomo było, że prawdziwe.

Sobiesław zmarszczył się i rzekł:

- Że też i z tego śmiać się wydolicie! Nie żal by wam było dobrego człeka?

- Sam siebie nie żałuję - odparł Wisław lekko - i z siebie samego się śmieję, gdy nie najdę nic

lepszego. A prawdę rzec, rad jestem, że się dalej z biskupem wlec nie muszę, który się nie śmieje nigdy. Gdym z dobrego serca, rozweselić go chcąc w strapieniach, takowe rzeczy prawił, od których inny by pękł, to jeno patrzył na mnie, jakby nie rozumiał, lubo płonił się jak dziewka, gdy cosi sprośnego usłyszy. Co mu po takowym żywocie? Sam zresztą prawi, że żywot jest jeno oczekiwaniem śmierci. A wżdy czekać cni się.

Wezbrana roztopami fala wiślana szybko niosła barkę z»Wojciechem i jego towarzyszami. Subdiakon Bogusza miły był, cichy i usłużny, na pytania odpowiadał krótko i roztropnie. Znał Prusy aż po Sambię, język pruski jak własny.

Wojciech uspokoił się, a nawet rozpogodził. Zapomniał o wróżebnym śnie, po raz pierwszy od wyjścia z klasztoru nie myślał o śmierci, lecz o zadaniu, które mu przypadło. Zaczynał żywić nadzieję, że zdoła je wypełnić. Naród, wśród którego przyjdzie mu apostołować, dobry jest, choć dziki. Może, osiadłszy wśród niego, przywiąże się do swych owieczek, zyszcze ich miłość i ufność, jaką zyskał sędziwy archidiakon, który też przyszedł do pogańskiego ludu, obcego mową i obyczajem. Lecz Sabinus był samotny, Wojciech pomiarkował jego tęsknotę za dawną ojczyzną i podobnymi sobie ludźmi. On zaś ma zawsze przy sobie ulubionego brata przyrodniego, a ostatni z rodzonych, Sobiebór, żywie opodal i nieraz może się z nim obaczyć.

Dowiedziawszy się, że Nakło leży o niecały dzień drogi od ujścia Brdy, koło którego będą przepływać, pomyślał, że jednak teraz najlepsza nadarza się sposobność, która nieprędko może się powtórzyć. Niepokoiło przy tym Wojciecha pytanie, dlaczego Sobiebór do Gniezna nie przyjechał. Może słabował, a słuszny żal mógłby żywić do braci, że - tak blisko będąc - nie odwiedzili go, by społem opłakać tych, których już nie ma.

Wioślarze chętnie zatrzymali się na parodniowy odpoczynem. Wiosna już szła, szara ziemia w oczach pokrywała się nalotem zieloności wszystkich odcieni. Rozrzucone jak skrawki nieba kałuże i jeziorka popstrzone były plamkami wracającego już na lęgi wodnego i błotnego ptactwa, które z krzykiem i łopotem skrzydeł rozbijało wodne zwierciadełka, gdy zbliżali się wędrowcy.

Wojciech wypytał jeno o drogę, nie biorąc z sobą nawet Boguszy. Chciał być sam z Radzimem, wędrować jak ongiś za dziecięcych lat nad Cydliną. Zdrętwiałe bezruchem parodniowej podróży łodzią ciała ich rozprężały się w zdrowym wysiłku, piersi chciwie chłonęły rzeźwe powietrze pogodnego ranka. Wrażliwy na piękno przyrody Radzim z zaciekawieniem rozglądał się po okolicy, słuchał ptasich głosów i w nim też wzbierała ochota do śpiewu.

Widząc, że Wojciech modli się bezgłośnie, powiedział z uśmiechem:

- Qui cantat, bis orat. (kto śpiewa, podwójnie się modli)

Zaczęli od ułożonej przez Wojciecha nabożnej pieśni:

Tyś Zbawiciel wszego świata, zbaw nas i wysłuchaj, Daj nam, Panie, wszystkim w kraju pokój i urodzaj.

Gdy skończyli, Radzim rozpoczął piosenkę, którą niejednokrotnie społem śpiewali w swych chłopięcych wędrówkach. Wojciech teraz nie wtórował, ale się nie sprzeciwiał. Piosenka wzbudziła

pogodne wspomnienia, które - zapominając, że smutniejsze czekają ich u kresu drogi - ubierać zaczęli w słowa. Przyszło im to na myśl, gdy zdrowo zmęczeni ujrzeli w ostatnich blaskach słońca gródek na stoku schodzącego do rzeki wzgórza. Blaski gasły, z nagrzanych mokradeł na lewym brzegu wstawał przenikliwy tuman. Świat posmutniał i oni posmutnieli. Ale podzielony smutek traci swą zjadliwą gorycz. Za chwilę ostatni trzej potomkowie licznego ongiś pokolenia Sławnika ożywią żałosnym wspomnieniem tych, którzy odeszli.

Mrok już zapadał, gdy Wojciech i Radzim zasiedli w obszernej sieni dworca przed płonącym na kominie ogniem i pożywiali się, czekając na Sobiebora, który wyjechał do stadniny, ale zapowiedział swój powrót przed nocą.

Nie widzieli go od dwóch lat z okładem, wiele złego zaszło przez ten czas. Milczeli, ale myśl obydwu wracała do ojczystego domu, w którym pożegnali liczną wówczas rodzinę. Domu nie masz, z całego rodu ocaleli oni trzej. O tym samym myśleć musiał nieraz Sobiebór, osiadając tu samotnie i tęskniąc za ostatnimi, jacy mu z bliskich pozostali.

Długo czekali na jego powrót, nie spieszno mu zapewne było do pustego domu. Po całodziennej wędrówce i wieczerzy zaczęła ich ogarniać senność. Wreszcie Radzim z westchnieniem ułożył się na ławie i natychmiast usnął twardo. Wojciech modlitwą opędzał się od snu, ale w miarę jak czas płynął, wstawał w nim jakiś niepokój i wracało znowu pytanie, dlaczego Sobiebór do Gniezna nie przyjechał. Włodarz mówił, że zdrów jest, wiadomość musiał otrzymać.

Jednak Wojciech zapomniał o swych wątpliwościach, gdy wreszcie przed drzwiami rozległy się kroki i w progu stanął Sobiebór. Na jego widok serce roztajało w Wojciechu i ogarnęło go wielkie współczucie. Sobiebór posiwiał zupełnie, twarz miał wychudłą, łagodne ongiś oczy miały wyraz ponury i twardy. Gdy Wojciech wstał, wyciągając ramiona, on swoich nie otworzył. Usiadł na ławie bez słowa i oczy wbił w polepę.

Wojciechowi opadły ramiona. Ozwał się żałośnie:

- Tak to witasz braci!

- Moi bracia nie żywią - odparł Sobiebór głucho.

Zaległo milczenie, w którym słychać było tylko spokojny i głęboki oddech śpiącego Radzima.

- Nasi bracia - szepnął Wojciech. - Jedna nam macierz i rodzic.

- Szkoda, żeś o tym nie pamiętał, gdyś żywot braci stawił, by ladacznicę ocalić.

Sobiebór mówił z gryzącą drwiną, ale głos mu się łamał. Widać, nie przebolał i szukał winnych, by dać ujście żalowi, który go dławi.

I Wojciecha zapiekły powieki. Przymknął oczy i powiedział:

- Krzywdzisz ją. Bezwinna była, a mnie nie lza bezczynnie patrzeć na pogańskie bezeceństwo. Kto się złu nie przeciwstawia, współwinien jest. Któże...

- Bezwinna! - przerwał gwałtownie Sobiebór. - Tak ci rzekła? Tobie sądzić o niewiastach, coś żadnej nie poznał!

Wojciech chciał coś odrzec, ale Sobiebór ciągnął z wzrastającą gwałtownością:

- Ale niechaj ci będzie. A twój mały chrześniak i imiennik winien był... ten mój najmilejszy!

Chwycił się za głowę. Zdało się, że płaczem wybuchnie, ale mówił zdławionym, rwącym się

głosem:

- Wrszowców to rodowa sprawa, nic ci było do niej. Ale prawisz, że nie chciałeś współinnym się stać ich bezeceństwa. A czymże to wobec tego, co na naszym rodzie popełnili? Tej współwiny się nie ulękłeś!

Wojciech opadł na ławę, wszystka krew uciekła mu z twarzy, a Sobiebór, nie patrząc na niego, ciągnął bez litości, coraz gwałtowniej:

- Nie rzeknij mi jeno, żeś nie wiedział, co zamierzali, bo ci Kochan w oczy rzucił zapowiedź. A ty cóżeś uczynił? Rozjuszyłeś wroga, a sam, własny żywot ratując, uszedłeś do swych braci, pomście Wrszowców moich ostawiając.

W miarę jak mówił, Wojciecha ogarniała graniczą z rozpaczą wątpliwość, czy istotnie niesłuszny żal Sobiebór żywi do niego. W głowie miał zamęt, nie mógł poskładać myśli. Ale ostatni zarzut był tak bez wątpienia krzywdzący, że przyniósł mu niemal ulgę. Drżącymi wargami odparł:

- Na prochy ojców naszych przysięgam, iżem w obronie onej niewiasty własną głowę stawił. A jeślim odszedł, Bogiem się świadczę, że duszę swą jeno ratować chciałem, nie ziemski żywot, którego rad bym zbyć jak najrychlej, bo nie udźwignąć go dłużej... - Głos rwał się Wojciechowi, ale opanował go i dodał wstając: - Skrzywdziłeś mnie, bracie, tym posądzeniem, niechaj ci Bóg wybaczy, boś w żalu to uczynił, który i moim jest. Żegnaj, nie ujrzym się więcej.

Trącać jął Radzima, który - obudzony z pierwszego snu - usiadł na ławie, nie mogąc pozbierać zmysłów. Sobiebór przez chwilę stał w milczeniu. Niespodzianie objął Wojciecha i z rozpaczliwą siłą przytulił do piersi.

Trząsł się, ale oczy jego pozostały suche. Długo stali w niemym uścisku.

Wreszcie Sobiebór wyszeptał:

- I ja bym rad zbył żywota. Jeno jeszcze pomścić chciałbym...

- Bóg pomści swoją zniewagę - przerwał Wojciech. - Słaby człek nic tu dołożyć niewładny, chyba krew własną...

Urwał. Przed oczyma stanął mu sen o dwu łożach i własna przepowiednia, którą w jakimś uniesieniu cisnął w oczy Wrszowcom.

Tej nocy sen się powtórzył i gdy nazajutrz bracia żegnali się, Wojciech pewny był, że na zawsze.

W milczeniu jechali wozem, obzierając się, póki nakielski gródek nie zniknął im z oczu. Gdy skrył się za wzgórkiem, Radzim odezwał się z westchnieniem:

- Ulżyło mi. Lękałem się, gdy Sobiebór nie nadchodził, że widzieć nas nie chce, żal mając, żeś urząd swój porzucił.

Zamyślony nie widział, że Wojciech drgnął i przybladł. Ciągnął dalej:

- Prawdę rzec, może i słusznie. Wżdy prosiłem cię, byś pozostał. Nie ważyliby się Wrszowce tego uczynić. Ale stało się, wola Boża. Dobrze, że choć Sobiebór tak nie myśli.

Książę, odprowadziwszy Wojciecha do Trzemeszna, tam go pożegnał, a sam zajął się nowo założonym klasztorem. Mógł swobodnie myśleć o krajowych sprawach. Układ o małżeństwo Świętosławy i przymierze ze Swenem stanął. Związek Welecki tym razem gotował uderzenie na zachód, w dół Łaby, na południowej i wschodniej granicy panował spokój. Na pierwsze miejsce wysuwał się teraz ustrój kościelny, w którym Wojciechowa misja niemałą odgrywała rolę. Dlatego Bolesław niecierpliwie czekał na wieści.

Pierwsze otrzymał rychło przez wracającego z Płocka Wisława Zabawę. Zamiar Wojciecha obrania drogi przez Gdańsk po myśli był Bolesława. Chrzest gdańskiego Pomorza stworzy nie tylko nową więź z resztą kraju, ale umożliwi przenikanie chrześcijaństwa na Szczecińskie, którego pogaństwo przez swe związki z Radarami stwarzało ciągłą niepewność położenia u ujścia Odry.

Niedługo też czekał Bolesław na dalsze wieści, nadspodziewanie pomyślne. Nie tylko książę gdański wraz z rodziną i dworem, ale i gromady ludu przyjęły chrzest z rąk Wojciecha, bez żadnego przymusu. Donosząc o tym gdański swojak prosił o przysłanie kapłanów, którzy by objęli pieczę nad nowo nawróconymi, by nie zmarnić Wojciechowego posiewu. Sam Wojciech bowiem odpłynął już morzem do Prus pod osłoną trzydziestu doświadczonych wojów, którzy wysadzić go mieli w bezpiecznym miejscu.

Nad ranem drugiego dnia podróży dowódca statku wiozącego Wojciecha z towarzyszami kazał zwinąć żagiel, który, białą plamą odcinając się w mroku bezgwiezdnej nocy, zdradzić mógł ich przybycie. W powszechnym milczeniu słychać było tylko chlupot rozbijanej dziobem fali i chrobot wioseł, który jednak po chwili ustał, gdy w ciemności zamajaczył bliski już, piaszczysty brzeg. Łódź sunęła teraz bezgłośnie, słychać było tylko syk cofającej się z pochyłości brzegu fali. Powierzchnia wody, która w ciemności zdała się bezdenną odchłanią, teraz zaczynała się szklić. Skradał się przedświt.

O kilkanaście sążni od wyraźnie już widocznego brzegu statek zaszurał kilem o dno i stanął. Dowódca rozglądał się przez chwilę i rzekł:

- Nie widać nikogo. Możecie wysiadać.

Bogusza jął zbierać tobołki z żywnością i odzieżą, Wojciech spoglądał z wahaniem na pasmo wody dzielące statek od brzegu. Dowódca rzekł cicho:

- Nie będziem statku wyciągać, bo gdyby nadbiegli, nie zdążymy odpłynąć.

I wam radzę pokwapić się.

Widząc, że Wojciech waha się jeszcze, skinął na tęgiego pachołka, mówiąc:

- Przenieś biskupa.

Za chwilę podróżni znaleźli się na brzegu, patrząc, jak zepchnięty statek odpływa. W półświetle wstającego dnia długo patrzyli na malejącą białą plamkę znowu rozwiniętego żagla, aż roztopiła się w oddali. Zostali sami.

Słońce jeszcze nie wzeszło, chłód był dotkliwy, wstający powiew zganiał jednak mgiełkę, przez którą przeświecać jął błękit pogodnego nieba. Wojciech ukląkł i rozpoczął poranne modlitwy, towarzysze przyłączyli się do nich, ale nie mogli skupić myśli, rozglądając się niespokojnie. Po chwili Radzim wstał, mówiąc:

- Modlić się możem w drodze. Zimno tu i niebezpiecznie. I pożywić zdałoby się.

Po niespanej niemal nocy wszyscy znużeni byli i skostniali, toteż w milczeniu skierowali się na południe brzegiem zalewu. Raz za razem brnęli przez wpadające do niego strumienie, szczęściem niebo przetarło się, ruch i słoneczne ciepło rozgrzewało ich ciała.

Gdy wreszcie wyszli w suchszą okolicę, zdjęli przemoczone ciżmy i nie rozpalając ognia pożywili się, po czym mimo zmęczenia ruszyli dalej. Dotychczas nie spotkali ni człowieka, ni ludzkiej siedziby, ale w miarę jak oddalali się od brzegu, liczyć się ze spotkaniem należało. Dręczyła ich niepewność, jak wypadnie pierwsze zetknięcie, od którego zależeć mogły losy wyprawy. Jakoż wkrótce spostrzegli dym, a potem w kępie drzew zabudowania osiedla nad większym od innych strumieniem. Stanęli, by się naradzić, ale gdy Radzim chciał ominąć osadę, Wojciech rzekł:

- Wżdy do ludzi idziem. Komuż będę kazał?

- Tedy niechaj Bogusza sam idzie wywiedzieć się. Potem postamowim.

Modląc się, z niepokojem długo czekali na powrót subdiakona, z ulgą dojrzeli wracającego, a z większą jeszcze słuchali go. Opowiadał, że gospodarze z wyglądu może i pomiarkowali w nim obcego, ale wedle obyczaju nikt go nie pytał, skąd i dokąd idzie, natomiast wyjaśniono mu, że o niecałe pół dnia drogi na wschód znajduje się targowisko, gdzie nabyć można, co potrzeba. Bogusza pożywił się ciepłą strawą i przyniósł świeżo wędzonej ryby, którą zjedli ze smakiem, i ruszyli dalej, lepszej już będąc myśli.

Słońce zaszło, gdy dotarli do rzeki i stanęli, by przygotować wieczerzę i nocleg. Wojciech usiadł na zwalonym pniu i wydobywszy psałterz zatopił się w czytaniu, Bogusza zaś krzątał się przy rozpalaniu ognia. Szarzało, gdy od rzeki doszły ich głosy ludzkie i za chwilę dostrzegli łódź. Zatrzymała się przy brzegu i z wiosłami w ręku wysiadło z niej dwóch ludzi. Radzim patrzył z niepokojem, jak Bogusza, wyszedłszy naprzeciw, rozmawiał z nimi przez chwilę, po czym wskazał na Wojciecha. Rosły Prus podszedł do niego, patrząc groźnie. Wojciech jednak nie podniósł nawet oczu, czym widocznie rozgniewał Prusa, który z zamachem uderzył go wiosłem w plecy. Psałterz wypadł z rąk Wojciecha, a on sam omal się nie przewrócił, Prus zaś podniesionym głosem powiedział do Boguszy:

- Rzeknij mu, że jeśli natychmiast nie odejdzie, łby wam zetniemy po srogich mękach. Wracajcie, skądeście przyszli, bym was tu jutro nie napotkał.

Prusowie odeszli, obzierając się groźnie, gdy jednak Radzim zwrócił się do brata z naleganiem, by posłuchali przestrogi, Wojciech odparł:

- „Niech będzie błogosławione miłosierdzie Boże. Jeśli więcej nie mam wycierpieć dla Ukrzyżowanego, mam to cenne uderzenie” (Historyczne).

Radzim sądził z odezwania, że Wojciech da się nakłonić do powrotu.

Z tego, co mówił Bogusza, wzięto ich za zbiegłych niewolników, sądząc z ogolonych głów i twarzy, ale gdy wyjaśnił, kim są, wzbudził tylko większy gniew. Radzim już uważał przedsięwzięcie za chybione i, spędziwszy niespokojną noc w krzach przybrzeżnych, obudził towarzyszy przed świtem, nalegając na pośpiech. Niemal z przerażeniem patrzył, jak brat, zebrawszy się, ruszył dalej ku wschodowi. Nie śmieli się jednak sprzeciwiać, Wojciech szedł jakby gnany jakąś siłą, zdał się nie widzieć i nie słyszeć, co dzieje się dokoła, a co przejmowało jego towarzyszy coraz większym niepokojem. Gdy weszli na drogę wiodącą na targ, raz za razem spotykali ciągnących tam ludzi,

wśród których wygląd obcych budził widocznie nieprzychylne zdziwienie, co nawet bez tłumacza nietrudno było wymiarkować. Bogusza, który rozumiał rzucane uwagi, rozglądał się niespokojnie, ale Wojciech szedł jak we śnie, z półprzymkniętymi oczyma, i darmo go było powstrzymywać.

Bez przygody jednak dotarli na targowisko, rojne i gwarne, gdzie przybycie ich spowodowało poruszenie. Wkrótce otoczył ich tłum groźnie pomrukując. Ale Wojciech, skinąwszy na Boguszę, by tłumaczył jego słowa, rozpoczął:

- „Przychodzę z kraju Polan, w którym wasz sąsiad, Blesław, władzę chrześcijańską sprawuje. Przychodzę do was dla waszego zbawienia, jako sługa Tego, który stworzył niebo i ziemię, morze i wszystko, co żywie. Przychodzę wydrzeć was z rąk szatana i straszliwych otchłani piekielnych, byście poznali swego Stwórcę, odrzucili bezbożne obyczaje, wyrzekli się śmiertelnych dróg wraz z wszelką nieczystością i obmyci wodą zbawienia - zostali chrześcijanami w Chrystusie, w Nim znaleźli odpuszczenie grzechów i królestwo nieśmiertelnego nieba” (Historyczne).

W miarę jak mówił, szmer wśród tłumu, który zrazu przytłumiła ciekawość, narastał jak pomruk nadciągającej burzy. Głos Wojciecha zaginął wśród wycia i stukania maczugami o ziemię. Bogusza, pobladły, nie ważył się rozpocząć tłumaczenia, ale widno niepotrzebne było. Z tłumu wystąpił stary, brodaty człowiek i groźnie wskazując na przybyszów, rozpoczął:

- „Za sprawą takich ludzi ziemia nasza nie przyniesie żadnego plonu, drzewa nie będą owocować, nic młodego się nie urodzi, a stare zdechnie. Precz z naszych granic! Jeżeli natychmiast nie odejdziecie, spotka was okrutna kara i zginiecie złą śmiercią” (Historyczne).

Dokoła błyskały groźne oczy, szczerzyły się zęby z zapienionych wściekłością twarzy. Grożono śmiercią nawet tym, którzy obcych do kraju wpuścili, spaleniem ich mienia i zaprzedaniem rodzin w niewolę. Zdało się, że nie ujdą z rąk rozbestwionego tłumu, i polecali już dusze Bogu. Ale wygnano ich jeno z targowiska, szturchając i popychając. Uchodzili chyłkiem, ścigani wyzwiskami i przekleństwami. Gdy umilkły wreszcie ostatnie odgłosy, zatrzymali się bez tchu i patrzyli wzajem na siebie bezradnie. W ciżbie stracili tobołki z odzieżą i żywnością, na gościnę czy kupno liczyć nie było można. Drżąc jeszcze z przebytej trwogi, długo siedzieli w milczeniu. Teraz i Wojciech musiał zrozumieć, że nie przemyślane przedsięwzięcie chybiło, że nawet męczennikiem niełatwo jest zostać. Nie obliczył się z siłami i nie czuł ich w sobie, by po raz drugi spojrzeć w oczy śmierci. Przeżyty lęk pozostawić w nim musiał uczucie głębokiego upokorzenia, bo gdy Radzim, ochłonąwszy, nalegać jął, by powziąć postanowienie co do dalszego działania, nie upierał się już przy misji w Prusach. Sam przyznał, że by skutecznie działać, należy się upodobnić wyglądem i ubiorem do mieszkańców, osiąść wśród nich, pracą rąk zarabiając na utrzymanie, a wtedy może się trafi sposobność głoszenia ewangelii. Jasne jednak było, że przytajenie się jest niemożliwe bez znajomości języka. Obydwaj z Radzimem znali natomiast język Lutyków i do nich postanowili się udać.

Ruszyli przeto w powrotną drogę, teraz starannie unikając spotkania z ludźmi, lecz gdy przeminął strach, zaczął im doskwierać głód. Od porannego posiłku nic nie mieli w ustach. Radzim, który dotychczas patrzyć zwykł na Wojciecha jak na istotę wolną od ludzkich słabości - teraz poczuł się mu równy. Dotarłszy do zalewu, szli w milczeniu piaszczystym brzegiem. Dokoła panowała cisza i przedwieczorny spokój. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale postanowili iść do zupełnej ciemności, by jak najprędzej znaleźć się za granicą. Na wieczerzę nie ma co uwarzyć, przygotowanie noclegu w byle zaroślach nie zajmie czasu.

Ciszę zburzył nagle rozgłośny plusk, jakby w wodzie rzuciło się ogromne zwierzę, i nie wiadomo skąd powstała fala z szumem uderzyła o brzeg.

Wojciech przestraszył się tak wyraźnie, że Radzim powiedział z uśmiechem:

- „Czy twoje męstwo się przeraziło, najwaleczniejszy bojowniku? Gdy na nas naskoczy uzbrojona, wojownicza gromada, co wtedy uczynisz, gdy przed niczym ogarnia cię lęk?” (Historyczne)

Nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć, choć zdawał sobie sprawę, jak głęboko upokorzy tym Wojciecha, który odparł cicho:

- „My jesteśmy ułomni, tyś silny. Ale Bóg jest naszą ucieczką i naszą siłą. Tym bardziej będę Go miłował, im bardziej czuję swoją słabość” (Historyczne).

Radzim nie domyślał się, że w złą godzinę zadrwił z Wojciecha. Gdy bowiem ludzie rozeszli się z targu, wieść o przybyszach z Polski rozniosła się. Waldwiko (rycerz) Slobote, który zimą utracił brata w walkach z Sobiesławem, zapłonął zemstą i zabrawszy kilku konnych puścił się w pogoń za obcymi, by krwią za krew zapłacić.

Nieświadomi tego, ujrzawszy o zmroku wzgórek nad rzeką gęsto porosły, ułożyli się na nocleg. Znużony Radzim spał twardo, ale w nocy miał dziwny sen. Zdało mu się jak na jawie, że Wojciech mszę odprawia w pięknym kościele, w uroczystych szatach biskupich. W rogu ołtarza stał kosztowny złoty kielich. Po Podniesieniu Radzim przystąpił, chcąc z niego się napić, gdy nadbiegł strażnik kościoła i zawołał: „Nie wolno twej gardzieli ze złotego kielicha pić napoju żywota! On sam ma wypić cały, tobie nie zostanie ani kropla dla suchego podniebienia” (Historyczne”.

Gdy rankiem opowiedział bratu swój sen, Wojciech zadumał się i rzekł po chwili:

- „Bracie mój! Z Bożego rozkazu niechaj sen twój się wypełni. Grzeszne i grzeszące ciało nie przeszkadza Bożemu darowi, miłosierdzie Pańskie odniesie zwycięstwo” (Historyczne).

Może zrozumiał, co sen oznacza, bo smutny był i widocznie niespokojny, wszyscy trzej zaś teraz dopiero poczuli wyczerpanie trudami podróży i przeżytym wstrząsem, a na dobitkę nadal nie mieli żywności. Zatrzymali się przeto na dłuższy wypoczynek, by odzyskać siły, Boguszę zaś wysłali, by wystarał się o coś do jedzenia. Miejsce zdało się nie uczęszczane przez ludzi, w gaju gnieździło się mnóstwo drobnego ptactwa, które nieść się już zaczynało, i było czym oszukać głód. Radzim krzątał się koło zdobycia pożywienia, Wojciech modlił się i dumał.

W wigilię świętego Jerzego wrócił Bogusza. Żywności wprawdzie nie przyniósł, natomiast wiadomość, że opodal biegnie droga, przy której widać zabudowania większego dworca. Nalegał, by odejść, podejrzewając, że miejsce, w którym się zatrzymali, poświęcone jest bogom, a naruszenie go przez obcych karane jest śmiercią jako świętokradztwo.

Postanowili tedy wyruszyć przed świtem, zaspali jednak do dużego dnia. Radzim odprawił mszę, po czym zmierzali w dół strumienia, by, dotarłszy do ujścia, iść dalej brzegiem zalewu. Wyczerpani i głodni szli jednak niesporo i koło południa, natrafiwszy na piękną łąkę u stóp pagórka, zatrzymali się na wypoczynek i posnęli twardo.

Obudził ich zbliżający się tętent końskich kopyt i ludzkie głosy. Gdy się zerwali, ujrzeli gromadę zbrojnych, którzy, zeskoczywszy z koni, biegli ku nim. Za chwilę z pętami na rękach szli na skłon wzgórza, gdzie stał człowiek w białej szacie, z podobizną dzika zawieszoną na szyi i z oszczepem w

ręku, mierząc ich okrutnymi oczyma. Wojciech, blady i spotniały, posiniałymi wargami szeptał modlitwy.

Radzim miał jeszcze iskierkę nadziei, że Boguszy uda się przekonać kapłana, iż nic złego nie zamierzali, i skłonić, by przyjął wykup. Ale gdy się zbliżyli, kapłan ruszył ku Wojciechowi, który, patrząc na niego z przerażeniem, wyszeptał:

- „Czego chcesz ojcze?" (Historyczne)

Zamiast odpowiedzieć, starzec z rozmachem wbił oszczep w pierś Wojciecha, który zatoczył się i padł na kolana. Szeroko otwarte jego oczy zdały się patrzeć rozszerzonymi źrenicami na coś przerażającego. Biały całun zasłonił wszystko, a na jego tle wyrastały czarne krzyże jak na olbrzymim cmentarzysku, mnożąc się w nieskończoność, aż zlały się w nieprzebitą ciemność.

W ostatnim przebłysku gasnącej świadomości Wojciech zrozumiał widzenie, ale wypełniającym się krwią płucom nie stało już tchu, by ubrać je w prorocze słowa:

- Zabiłeś własny naród!

Sześć oszczepów przeszyło klęczącego. Cios jednego z nich przeciął więzy na rękach Wojciecha, który, rozłożywszy ramiona, padł na twarz. Kapłan ujął topór i jednym cięciem oddzielił głowę od tułowia.

Pomyślne zrazu wiadomości przynosiły jednak Bolesławowi nową troskę, brakło mu bowiem duchowieństwa dla dawniej ochrzczonych, a wobec zamierzeń, które nie mogły być miłe Ungerowi, nie chciał się zwracać do niego, zwłaszcza że biskup sprowadzić mógł jeno Niemców. Bolesław nadzieję pokładał w Astryku, który przyrzekał szybko wykształcić potrzebnych ludzi. Widząc jego przedsiębiorczość i ruchliwość, książę nie wątpił, że przyrzeczenia dotrzyma, tym bardziej że - w co Bolesław również nie wątpił - miał na względzie także własne wyniesienie.

Trudności sprawiało już nawrócenie gdańskiego Pomorza. Kłopotliwsza będzie sprawa w razie powodzenia misji Wojciecha w Prusach, choć Bolesław niezbyt się z tym liczył.

Wyrzucał sobie, że naraża na niebezpieczeństwo miłego, a w zaświaty jeno wpatrzonego człowieka. Ale gdy Emnilda nieśmiało wyraziła tę samą obawę, odparł nieco podrażniony:

- Gdy huf prowadzę do boju, nie mogę mieć względu na to, że ktoś ranę odniesie albo nawet legnie, choć go i żal. Wojciecha chciałem zresztą w kraju zatrzymać. Nie mógł czy nie chciał ostać - nie moja wina.

- Ale u Lutyków bezpieczniej by mu było - odparła cicho. - Od naszej strony walk tam dawno nie ma i - jak prawicie - nie spodziewać się ich. Biskup język ich zna, a Czechem będąc, nijak za wroga nie byłby uważany, choćby i słowa Bożego słuchać nie chcieli. Z Prusami zasię walki nie ustają, a mściwi są. Wżdy u nich nawet pogłówne nie w obyczaju, jeno krew za krew, i bożycom swoim z ludzi składają ofiary. Od nas przychodząc, Wojciech za naszego będzie poczytany, a na dobitkę mowy ich nie zna.

Emnilda nie zwykła wtrącać się, nie pytana, w poczynania małżonka, a tym mniej przyganiać mu. Toteż Bolesław zaskoczony był, zwłaszcza że nie mógł jej odmówić słuszności. Odparł wymijająco:

- Sabinus dał mu człeka, który zna pruski język i obyczaj, a w głębi kraju, dokąd go Sobiesław skierował, może i nie zapytają, skąd przychodzi. Jako widać zresztą, choćby i u nas, Wojciech nie

tym ludzi jedna, co mówi, lecz tym, jaki jest.

- Jak Chrystus! - szepnęła Emnilda. - Lękam się jeno, by jak On świadectwa danego prawdzie krwią nie zapłacił.

- Samże mówi, że w krwie jest odkupienie - odparł Bolesław z pewnym zniecierpliwieniem. - Ale miejmy nadzieję, że tak się nie stanie, a na mnie wonczas troska spadnie, skąd kapłanów wziąć, którzy by mowę pruską znali, bo słusznie prawisz, że nasi zrazu za wrogów mogą być poczytywani, jak u nas Niemce, a i to duchownych mi brak.

- Miejmy nadzieję - powtórzyła Emnilda, ale Bolesław czuł, że niepokój jej nie zgasł, a udzielił się jemu samemu. Powiedział:

- Nie ze wszystkim źli są Prusowie. Nawet i pomocy obcym udzielają w wielkiej potrzebie, jako to rozbitkom lubo napastowanym przez zbójców. Sam Wojciech nic złego im nie uczynił i starczy spojrzeć na niego, by rozeznać, że nic złego nie zamyśla. A miarkując, że nic nie zdziała, bo po prawdzie takowe dzieło ponad siły jednego człeka, to wróci tu, a może i ostanie. Nic mu nasze strapienie nie pomoże, tedy i nie ma o czym myśleć!

Mówiąc to, chciał uspokoić zarówno małżonkę, jak i siebie, ale sam nie wyzbył się troski o Wojciecha i niepokój w nim pozostał. Nie umiał jednak bezczynnie czekać na bieg wypadków. Postanowił wyjechać nad pruską granicę, tam najprędzej dowie się o losach biskupa, i stamtąd najłacniej będzie udzielić pomocy. Przed Emnildą za pozór wyjazdu służyć miała rozbudowa grodu w widłach Wisły i Ossy.

Bolesław dawno nie był na północnym wschodzie swych ziem, toteż, nie spodziewając się rychło wieści od Wojciecha, nie spieszył się zbytnio. Po drodze zatrzymał się w Kruszwicy, Wyszogrodzie i Świeciu, dokonując przeglądu grodów i odprawiając sądy. W Grudziądzu stanął na dłuższy pobyt. Pruska granica była tuż. Wiosna wczesna i ciepła odmieniła się z nagła, północne wiatry przyniosły zimne deszcze, które nie zachęcały do podróży. Książę otrzymał zresztą wieści z Gdańska, że Wojciecha w połowie miesiąca po dwu dniach podróży bezpiecznie wysadzono wraz z towarzyszami na mierzei, skąd brzegiem zalewu miał się udać w głąb kraju.

Teraz należało uzbroić się w cierpliwość, choć trudno o nią było Bolesławowi. Mając zamiar wysłać do Gdańska dwóch kapłanów, by doglądali budowy grodowej kaplicy na książęcym ostrówku u zbiegu Motławy i Raduni oraz by zaspokoili najpilniejsze potrzeby duchowe nowych chrześcijan, zbierał się sam z nimi jechać. Chciał przy sposobności odwiedzić gdańskiego hołdownika, mając zarazem nadzieję, że tam najrychlej dotrą wieści. Przez Gdańsk bowiem wiele przewijało się obcych, także i z Prus, które prowadziły rozległy handel z Rusią, Normanami i Niemcami, głównie jantarem, zwanym glesum i futrami posiadanymi w nadmiarze.

Wieczorem, przed wyjazdem, książę wydał jeszcze polecenia Wilczkowi na czas swej nieobecności, gdy komornik oznajmił, że zjawił się jakiś obcy człek, twierdząc, że przychodzi z ważną wieścią, ale samemu książęciu chce ją wyjawić.

Bolesława, któremu Wojciech nie schodził z myśli, tknęło przeczucie, że wieść jego dotyczy. Mimo że zbierał się już do spoczynku, kazał zaraz wprowadzić obcego.

Ze stroju wyglądał na Prusa, ale skłoniwszy się, przemówił po polsku, nie czekając na zapytanie:

- Pono wysłaliście do Prus trzech ludzi, by głosili nową wiarę?

- Wysłałem - odparł Bolesław. - Wiesz co o nich?

Zamiast odpowiedzi - nieznajomy rozwijać jął niewielkie zawiniątko. Bolesław, gniewny, z rosnącym niepokojem patrzył na dziwne zachowanie się obcego. Gdy rozwinął płótno, księcia ogarnęła groza. Nieznajomy dzierżył w ręku głowę ludzką. Mimo niepewnego światła zawieszonego u powały kaganka książę nie miał ni chwili wątpliwości. Była to głowa Wojciecha.

W pierwszym porywie gniewu przeciw sprawcom okrucieństwa Bolesław już miał na wargach rozkaz, by drużynę postawić na nogi i pomścić śmierć miłego człowieka, ale pohamował się. Walk z Prusami zadość było, pora niesposobna, a Wojciech nie po to szedł, by jeszcze jednej więcej być przyczyną.

Nad gniewem księcia przemógł żal. Nie można było zwłok męczennika pozostawić na łup zwierza, a jego towarzyszy własnemu losowi. Książę zbyt wstrząśnięty był, aby chłodno rozważyć skutki tego, co zaszło, i co mu należy poczynać. Prusowi kazał nazajutrz zgłosić się po nagrodę, Wilczkowi zaś polecił wstrzymać wyjazd przeznaczonych do Gdańska duchownych i zjawić się o świcie wraz z Wisławem Zabawą.

Noc spędził książę bezsennie, w rozterce między wyrzutami, że przyczynił się do śmierci niewinnego człowieka, którą można było przewidzieć, a rozważaniami nad spożytkowaniem jej dla sprawy, o którą troska zaprzątała jego myśli. Usnął dopiero nad ranem, ale gdy o świcie komornik obudził go oznajmieniem, że stawili się wezwani komesi, książę spokojny już był. Tego, co się stało, odwrócić się już nie da, śmierci cesarskiego przyjaciela i wysoko w Rzymie cenionego człowieka należy nadać rozgłos jak największy, by krew nie poszła na marne.

Brakło Bolesławowi Stoigniewa, który najlepiej potrafiłby doradzić, jak wykorzystać smutne zdarzenie, ale na szczęście pod ręką był Astryk, związany z Wojciechem i również w Rzymie obyty. Książę kazał pilnie słać po niego, a potem wprowadzić Prusaka, by wymiarkować, co uczynić, by odzyskać Wojciechowe zwłoki i ocalić jego towarzyszy, jeśli żyją jeszcze.

V (cd.)

Prus - zwany Kajbute - otrzymawszy sowitą nagrodę, najchętniej podjął się dopomóc w odnalezieniu zwłok i pośredniczyć w wykupnie Radzima i Boguszy, jeśli pojmani zostali, zwłaszcza gdy książę oświadczył, że za żywych czy umarłych zapłaci każdą cenę. Zapytany, jak znalazł i poznał głowę Wojciecha, Kajbute odpowiedział, że spotkał go wraz z towarzyszami na targu, gdzie Wojciech usiłował przemawiać do ludu, oświadczając nieprzezornie, że przychodzi od polańskiego księcia, by chrześcijańską wiarę zaprowadzić. Zakrzyczano go wówczas i wygnano pogróżkami. Wracając po kilku dniach do domu, Kajbute ujrzał głowę zatkniętą na palu przy drodze, nad strumieniem wpadającym do Nogatu. Sądził, że i zwłoki znajdą się w pobliżu, choćby je nawet ciśnięto do wody, bo opodal ujścia do zalewu niemal nie ma prądu. Po kilku dniach ciało musi wypłynąć i zapewne zatrzyma się w przybrzeżnych zaroślach. Nie wątpił też, że zdoła wywiedzieć się od sprawców zabójstwa o losie Wojciechowych towarzyszy, głowę bowiem znalazł w pobliżu świętego gaju, tuż obok rikty (siedziby) najwyższego kapłana, zwanej Chomor. Kriwe Sikko wiedzieć musi o sprawie, jeśli nawet sam ręki do niej nie przyłożył.

Wilczek wraz z Wisławem tegoż dnia jeszcze przeprawili się przez Ossę, wiodąc pod strażą kilku pachołków wóz załadowany cenionym przez Prusów niemieckim suknem oraz wór złota na wykupno jeńców czy zwłok. Wisław przy księciu nie śmiał wtrącać się nie pytany do jego postanowień, ale że nie lubił ani milczeć, ani się trapić, w drodze przysunął się do jadącego w

milczeniu Wilczka i zagadnął:

- Nad czym dumasz? Ja bo w głowę zachodzę, o co księciu idzie. Jeśli o relikwie, to iście taniej tu, choćby na wagę złota, niźli w Rzymie. Ale jeśli o szerzenie wiary u Prusów - gdy płacić będziem złotem za to, że misjonarzy zarznęli lubo pojmali, juści że zarzną każdego, kto by ich jeszcze nawracać przyszedł. Wiarę mają swoją, a pieniądz się im przyda.

Gdy Wilczek nic nie odparł, Wisław, widząc, że słowa z niego nie wydobędzie, mruczał dalej, już do siebie:

- Tak się sumuje, jakby brata utracił lubo pierwszy raz ściętą głowę widział czy o własną się lękał. Ale Kajbute prawi, że Prusowie posłów szanują. Szczęście to, bo jakby tak Wilczka na wagę wykupywać przyszło, toby nawet książęcy skarb nie wydzierżył.

Omal się nie roześmiał na tę myśl. Dobrze, że tacy jak Wilczek męczennikami nie bywają. Wojciech chudziak był, bez głowy jeszcze mniej zaważy. Trzeba podumać, by się Prusom nie nadto opłaciło, że go zarznęli.

Zwrócił się do Kajbuty i dłuższy czas rozmawiali przyciszonymi głosami. Potem Wisław klepnął Prusa po barku, że ten omal się nie przewrócił, i rzekł ze śmiechem:

- Co oszczędzim, połowa dla ciebie. My zasię cud będziem mieli na dokładkę.

Kajbute niemal pewny był, że Sikko ręki przyłożył do Wojciechowej śmierci. Kapłan też znał wartość pieniądza, ale nie znał się na wadze. Pieniądz lekko mu przychodził: każdy wojownik po szczęśliwej wyprawie trzecią część łupu składać musiał, by za jego pośrednictwem na przyszłość łaskę bogów sobie zapewnić. Nie dziw, że kapłanowi do chrześcijaństwa nie pilno.

Sikko istotnie złotem nie gardził. Dowiedziawszy się od Boguszy, kim był Wojciech, zaraz pojmanych towarzyszy biskupa do Bolesława wysłał z wieścią, że zwłoki na wagę złota wyda. Kazał je z wody wydobyć i zabezpieczyć przed zepsuciem, darmo jednak poszukiwał głowy, której brak pozbawiał go znacznej części zysku. Większej nawet niż przypuszczał, bo zwłoki ważyły dziwnie mało, tak że żałował, iż nie zażądał podwójnej ich wagi. Wisław jednak, widząc, że Sikko poczyna się wahać, naurągał mu od szalbierzy, że złotem płacić sobie każe także za sól użytą do zabezpieczenia zwłok, a kapłan, nawykły do nabożnego szacunku, tak był tym zaskoczony, że zgodził się nawet, by dwa funty od wagi potrącić.

Zanim żałobny orszak ze zwłokami Wojciecha dotarł do Grudziądza, książę już z pierwszej ręki, od Radzima i Boguszy, miał wieści o tym, co zaszło. Ale wcześniej nim naoczni świadkowie opowiedzieli przebieg wypadków, już wieść rozlała się po kraju, ubarwiona cudownością. Astryk znał żywoty świętych i wiedział z góry, jakie zjawiska towarzyszyć zwykły ich śmierci. Choć za życia potrafił do gniewu doprowadzić łagodnego Wojciecha, teraz stał się jego najgorliwszym czcicielem i książę nie miał powodu żałować nieobecności Stoigniewa, widząc, jak opat umiejętnie zmierza do wyniesienia na ołtarze swego mistrza.

Wraz z Astrykiem, na wieść o śmierci Wojciecha, zjechała księżna, przybył zrozpaczony Sobiebór, ściągnął sędziwy Sabinus i Sobiesław. Zgromadzeni wieczorem u księcia, z różmymi uczuciami słuchali opowieści Radzima o przebiegu wyprawy i jej żałosnym końcu.

Gdy Radzim skończył opowieść, obecni rozchodzić się jęli w milczeniu.

Bolesław zbliżył się do Emnildy, która siedziała z przymkniętymi oczyma. Gdy położył rękę na

jej głowie, podniosła je na małżonka. Suche były, ale ich wyraz zaniepokoił księcia. Powiedział łagodnie:

- Nie myśl już o tym. Nic wielkiego nie dzieje się bez krwie. I mnie żal Wojciecha, ale nie płakać mi po nim, jeno uczynić wszystko, by nie zmarniła się jego ofiara. Wieści przesłać trzeba do Ottona i Kurii.

Odpowiedziała cicho:

- Lękam się, że z tej krwie nie odkupienie przyjdzie, ale przekleństwo.

Vi

Przedłużający się pobyt w Rzymie nużyć zaczynał Stoigniewa. Co błahszego, dawno uładził, nie posuwała się jednak naprzód sprawa nowego ustroju polskiego Kościoła, mimo że wojewoda nawiązał w Kurii stosunki z wpływowymi dostojnikami oraz z opatem od Świętego Aleksego, Leonem, w czasie częstych odwiedzin u Tuniego, stanowiących jedyną rozrywkę w nudzie oczekiwania.

Stoigniew pokładał jednak nadzieję w misji Wojciechowej. Wiedział już, że podsunięty przezeń sposób uchronienia biskupa przed powrotem do Pragi okazał się skuteczny. Teraz niecierpliwie oczekiwał dalszych wieści, spodziewając się doprowadzić wreszcie swe zabiegi do pomyślnego wyniku i powrócić do kraju, nim letnie skwary pobyt w mieście uczynią nieznośnym.

Upały zaczęły się już z końcem maja. W południowych godzinach powietrze drgało od rozgrzanych kamieni, a blask ślepił oczy. Stoigniew całe dni spędzał na dumaniu w swej gospodzie, w której chłód kamiennych ścian pozwalał oddychać, a wieczorami siadywał w sadach klasztornych, samotnie lub w towarzystwie Tuniego. Często rozmawiali o Wojciechu, starając się odgadnąć, dokąd się udał i co zdziałał, w milczeniu patrzyli na piramidę Cetiusa koło ostyjskiej bramy lub na rosnące mury nowego pałacu, którego budowę rozpoczął Otto między klasztorem a ruinami Wielkiego Cyrku, zamierzając na stałe obrać sobie w Rzymie siedzibę.

Tymczasem jednak cesarz siedział w Niemczech i nic nie zapowiadało jego rychłego przybycia do Rzymu, a bez jego zgody i poparcia nie można było spodziewać się rozstrzygnięcia tej przewlekłej a doniosłej sprawy. Teraz na dobitkę i papież wyjechał do Pawii na synod, który rozważyć miał zatargi Gizylera i orzec o małżeństwie Roberta Kapeta.

Poruszenie tych sporów nie mogło się przyczynić ani do załagodzenia napiętych stosunków z zależną od Roberta francuską hierarchią kościelną, ani do uspokojenia w Niemczech. Grzegorz jednak, choć papieżem został z poręki Ottona, nie miał na to względu. Cesarz i papież, krewniacy, podobni wyglądem i z usposobienia, tym się różnili, że Grzegorz przy równej samowoli gwałtowny był i zawzięty. Nie liczył się z niczym, a najmniej z niechęcią, jaką musiał budzić w Rzymie pierwszy od dwu i pół wieku papież nieitalskiego pochodzenia, co więcej - wszelkie godności i urzędy obsadzający Niemcami, stronniczymi i przekupnymi.

Stoigniew, obznajomiony już z miejscowymi stosunkami, widział w tym niebezpieczeństwo i dla

swoich zamierzeń. Od wyjazdu Grzegorza oraz dworu nie stykał się niemal z nikim i nie wiedział, co się dzieje w mieście. Zaskoczyła go też wiadomość o powrocie z Bizancjum Filagatosa. Dziwił się, że ani nie towarzyszył posłowi greckich cesarzy do Ottona, ani nie wyjechał do Pawii, gdzie jako arcybiskup Piacenzy winien był wziąć udział w synodzie.

Wyjaśnienie przyszło wkrótce. W pogodny, letni już wieczór Stoigniew, jak zwykle, w wirydarzu klasztornego sadu czekał na Tuniego. Rankiem pachołek wraz z żywnością przyniósł wiadomość o jakimś niepokoju w mieście, ale było to zjawisko zbyt powszednie, by do niego przywiązywać wagę. Teraz spokój panował zupełny, świat zdał się zapadać w łagodny sen. Słońce zaszło już za daleki nieboskłon, a w ślad za nim ustępowała zorza i tylko wąska, zielonkawa smuga oddzielała ciemną ziemię od granatowego nieba, na którym jak świetliki wyrajały się gwiazdy. Natomiast zazwyczaj ruchliwe, niezbyt odległe Emporium leżało w ciszy i ciemności, świeciła tylko jeszcze odblaskiem gasnącej zorzy jaśniejsza wstęga rzeki, niknąca za zakrętem koło Watykanu.

Miasto także tonęło w mroku, tu i ówdzie jeno znacząc swą obecność mdłą iskierką światła. O tej porze lud zwykł sypiać na wolnym powietrzu, pałace zaś możnowładców i domy zamożnego mieszczaństwa przeważnie były opustoszałe.

Nagle zamyślone spojrzenie Stoigniewa przyciągnął rozszerzający się odległy poblask, jakby na stoku kwirynalskiego wzgórza. Pożary bywały częste, ale poblask zdał się zbyt słaby na łunę. Stoigniew zastanawiał się właśnie, co może być jego źródłem, gdy na żwirze ścieżki rozległy się szybkie kroki Tuniego. Spieszył się widocznie. Jakoż stanąwszy koło Stoigniewa, nie witając go, Tuni powiedział:

- Lud gromadzi się koło pałacu Krescencjuszy. Mniemam, że nie bez wezwania Numentanusa.

Stoigniew powstał.

- Trzeba wiedzieć, co się gotuje - rzekł. - Pójdę!

- Domyślić się nietrudno - odparł Tuni. - Co zaszło, dowiemy się jutro, a cokolwiek się gotuje, zawżdy rozpoczyna się od grabieży lub nawet od wyrzynania obcych.

- Mnie nikt nie pozna w tłumie i ciemności - beztrosko odparł Stoigniew.

- W tłumie nie, ale na gospodzie wiedzą, ktoś jest. Idź, jeśli pilnie chcesz wiedzieć, ale wracaj tutaj. Będę czekał. Jeśli to iście bunt, to musisz u nas zamieszkać. Opat chętnie udzieli ci schronienia.

- Po raz trzeci zamieszkać mam w klasztorze!

Tuni wyczuł w słowach Stoigniewa uśmiech. Odparł:

- Może taki twój los, abyś na zawsze ostał z nami?

- Nie. Życie mnie obchodzi, nie śmierć. I ciebie też. Twój los wrócić do nas. Jeno świątobliwy Romuald świat cały chciałby zamienić w pustelnię, a wszystkich ludzi w mnichów. Może to i najkrótsza droga do zbawienia, ale ród ludzki skończyłby się w jednym pokoleniu.

- Wielu wierzy, że skończy się w tysięcznym roku - powiedział Tuni zamyślony. - Ciskają władzę, jak stary doża Orseolo, majętności oddają ubogim i kościołom...

- A ci, którzy nie wierzą, zbierają je - przerwał Stoigniew. - Jak zasię mówi Gerbert, ludzie nawet czasu liczyć nie umieją; i że bez rozumu nie ma wiary, jeno ciemnota i zabobon. Ja czynię, co do mnie należy. Ninie wiedzieć muszę, co się dzieje. Wrócę tu, tedy nie żegnam.

Stoigniew szybko schodził ze stoku wzgórza. Droga zrazu pusta była, dopiero koło Wielkiego

Cyrku napotkał gromadki ludzi widocznie podnieconych, wszyscy zmierzali w jednym kierunku. Na Forum Boarium był już niemal tłum, i fala, coraz gęstniejąc, płynęła między Palatynem a Kapitolem, niewątpliwie już w kierunku pałacu Krescencjuszów, na stoku Kwirynału, odbudowanego z ruin starożytnych term Konstantyna. Z posłyszanych urywków rozmów wojewoda wnet wywnioskował, że lud zwołał Krescencjusz. Nie dotarł jeszcze do pałacu, a wiedział już, jaki był cel wywołanego zbiegowiska.

Pałac wyłaniał się z mroku w czerwonym świetle pochodni, trzymanych przez rozstawionych dokoła zbrojnych pachołków. Na stoku ciżba tak zgęstniała, że wojewoda nie usiłował nawet dotrzeć pod bramę, gdzie przemawiał z wyżki jakiś człowiek. Gdy tłum chwilami milknął, pojedyncze słowa dochodziły do wojewosdy, po czym niknęły w szmerze, gdy podawano sobie z ust do ust treść przemówienia. Szmer narastał, przechodził w gwar i nagle wybuchnął burzą okrzyków:

- Papa! papa!

Na wyżce obok Krescencjusza ukazała się postać w szatach pontyfikalnych i błogosławiła ryczący tłum. Z otwartej bramy wysunął się orszak konnych z pochodniami i posuwał się w dół po stoku wśród rozstępującego się tłumu. Na czele, na siwym koniu, jechał Krescencjusz Numentanus, a po prawicy jego dwóch trabantów prowadziło za purpurowe wodze również białego rumaka, z którego Filagatos ruchem łaskawym i dostojnym błogosławił wrzeszczący tłum. Ciżba spływać zaczęła za orszakiem, formując się w pochód. Na Forum zrzedła na tyle, że Stoigniew zdołał się wycofać. Wiedział już wszystko: był oto świadkiem wyboru antypapy, którego Krescencjusz odprowadzał teraz do Lateranu. W powrotnej drodze na Awentyn Stoigniew widział, jak gromady rzezimieszków pod wodzą ludzi w barwach Krescencjusza rzuciły się grabić domy, zapewne jego przeciwników.

W miarę jak wojewoda zbliżał się do klasztoru, droga pustoszała, wrzaski milkły w oddali, przechodząc w szum. W klasztorze panowała cisza. Stoigniew, czekając w parlatorium na Tuniego, głęboko się zamyślił. Najwyższa władza chrześcijaństwa w ręku ciemnego motłochu, żądnego jeno doraźnych zysków, a kierowanego przez ludzi, którzy najniższe namiętności rozpętują dla własnych celów! Wojewodę ogarnęło zniechęcenie. Na tym miały się zakończyć lata starań i zabiegów! Rzucić wszystko i wracać do kraju. Tam panuje ład i spokój, Bolesław wytycza sobie cele, które potrafi osiągnąć, nawet w srogości jego jest myśl, nie wylewa krwi na darmo. Gdy jednak wojewoda rozważył sprawę z Tunim, postanowił pozostać. Bunt może tylko przyspieszyć rozwiązanie spraw, które trzymały go dotąd w Rzymie. Otto nie pozostawi buntu bez odpowiedzi, a motłoch jest zmienny. W zaistniałym położeniu nawet przeciwnicy rzymskich wypraw cesarza nie będą mogli odmówić udziału w poskromieniu schizmy i wprowadzeniu na stolicę prawowitego papieża. Jeśli cesarz nadejdzie z dostateczną siłą, bunt zgaśnie bez walki. Trzeba poczekać.

Najmędrszemu Gerbertowi, uwieńczonemu w trzech klasach filozofii!

Versus nunquam composui Nec in studio habui Dum in usu habuero Et in eis viguero Quod habet viros Gallia Tot vobis mittam carmina

Jeszczem ja nigdy nie składał wierszy I tym się zgoła nie parałem Kiedy zaczynam po raz pierwszy I co wydolę pokazałem Ilu ma Galia mężów w tej dobie Tyle ja pieśni przesyłam tobie

(przekład autora)

W zacisznej komnacie pałacu Karola Wielkiego Otto, skończywszy pisać, w zadumie odłożył pióro. Wzywał Gerberta, by przybył do Akwizgranu. Po wyjeździe Wojciecha odczuł pustkę. Zżył się z nim jak dotąd z nikim, w nieustannym z nim obcowaniu oderwał się od wszelkich spraw doczesnych, błądził wyobraźnią po krainie wiecznej szczęśliwości, gdzie w chwili pożegnania przyrzekli sobie spotkanie. O śmierci mówili jako progu, który przebyć można w sennej zadumie, by obudzić się w spokoju i jasności. Otto zdawał sobie sprawę, na co narażony będzie Wojciech, i godził się z tym, obiecując wkrótce podążyć za nim, by nie rozłączyć się już nigdy.

Życie jednak kołatało do Ottona ze wszystkich stron. Zawiłe i trudne sprawy państwowe mąciły rozmarzenie, nie można być pustelnikiem na cesarskim tronie. Wieczorami, gdy siadywał samotnie, usiłując wrócić do nastroju, jaki towarzyszył mu stale w obecności Wojciecha, ze zdziwieniem stwierdził, że nie tylko nie potrafi, ale nie chce tego. Rozczytywać się zaczął w komentarzach Gerberta do Platona, Terencjusza i Wergiliusza, a potem sam chwycił za pióro, dając ujście swej wyobraźni w pisaniu poezji, z wzrastającą namiętnością poświęcając temu zajęciu każdą wolną chwilę.

Wkrótce jednak zaczęły go dręczyć wątpliwości, czy zdoła dorównać ulubionym wzorom. Zapragnął usłyszeć zdanie Gerberta o swych utworach, coraz częściej myślał o nim, a coraz rzadziej poświęcał myśl Wojciechowi.

Nowy zwrot nastąpił, gdy otrzymał ostatnie dzieło swego mistrza: De rationali et ratione uti. Gerbert pisał: „Mówić, a nie działać - to nie jest naśladowanie Chrystusa. Jakiż cel ma sobie założyć chrześcijanin? Jakie jest najwyższe ludzkie dobro? Świat i władza, które zdają się sprzeczne jak dusza i ciało, przez swe zjednoczenie zachowują porządek pochodzący od Boga, dobro najwyższe. Należy używać wszystkich sił, aby zrobić to, co powinno być zrobione".

Otto musiał przyznać, że pod wpływem Wojciecha zaniedbał obowiązki. Życie nie jest czekaniem na śmierć, lecz polem do działania, jakie Bóg nakreślił mu szeroko, z urodzenia obarczając odpowiedzialnością za losy chrześcijaństwa. Miał być Otto księciem pokoju, a nie potrafi go zapewnić nawet własnemu narodowi. Znad Łaby dochodziły wieści o niszczycielskich napadach pogańskich - zapowiedzi nowego najazdu. Otto poderwał się i z wojskami, jakie były pod ręką, ruszył na wschód.

Patrząc na dorywczo zebrane, różne uzbrojeniem i wyćwiczeniem hufce i ich niekarnych dowódców, Otto mimo woli porównywać je musiał z siłami Bolesława, które stworzyć potrafił wśród najcięższych zmagań. Z podziwem i zazdrością myślał, że by światu zapewnić spokój, takiego jak Bolesław trzeba wojownika, którego woli nikt nie śmie się oprzeć.

Wiosna już była w pełni, gdy Otto dotarł do Merseburga, gdzie z radością powitał Gerberta, którego synod w Pawii ostatecznie pozbawił godności reimskiego arcybiskupa.

Bliskość mędrca zawsze podnosiła Ottona na duchu, jego spokój udzielał się, a niezgłębiona wiedza była źródłem podziwu. Teraz już mistrz nie opuści go, nie mając innego schronienia. Pod pozorem oczekiwania na opieszałych lenników Otto utknął w Merseburgu. Miejsce pobożnych rozmyślań i ćwiczeń zajęły dyskusje o pogańskiej filozofii i poezji, uprawiali wieczorami wspólne czytanie Boetiusa i muzykę, która pozwalała Ottonowi zapominać o troskach.

Rychło jednak dały o sobie znać. Gizyler donosił, że wrzenie wśród Słowian zamieniło się w otwartą wojnę, Weleci i Obodryci parli w górę Łaby, kraj zalewała pogańska fala, grody nad rzeką, w których chronił się, kto wydołał, były zagrożone. Gizyler wzywał do pośpiechu, nie pora była na poezję i muzykę. Otto z żalem pożegnać musiał Gerberta.

Poczucie niemocy wywoływało w Ottonie na przemian przygnębienie i rozdrażnienie. Czuł, że wojna nie jest jego żywiołem, obowiązki przerastały jego siły. Czekał na posiłki Bolesława w nadziei, że polski książę sam je przyprowadzi i jak przed dwoma laty zdejmie z niego ciężar, do dźwigania którego Otto nie czuł ni sił, ni chęci. Umocniwszy Arensburg, zlecił jego obronę Gizylerowi aż do przybycia Lotara z Walbeku, a sam ruszył na wschód i stanął w Licykawie, czekając tam na polańskie posiłki.

Lotar, którego wstrzymywało rozszerzające się na Łużyczan wrzenie, przybył wreszcie, ale podstępnie przez nieprzyjaciół wywabiony z miasta poniósł klęskę. Poganie zajęli Arensburg i zrównali go z ziemią. Jeszcze Otto nie ochłonął po tym ciosie, gdy przyszła wieść, że podobny los spotkał Luneburg.

Ottonowi opadły ręce, bliski był załamania. Po raz pierwszy własne wielkie zamierzenia zdały mu się mrzonką. Przybycie Ekkeharda z potężnym zastępem pieszego ludu, dobrze zbrojnego i doświadczonego w walkach z poganami, podniosło Ottona na duchu. Nargraf zdołał w Milsku utrzymać spokój, a teraz ujął sprawy w swe ręce, fala pogańska, natrafiwszy na tamę, zatrzymała się.

Lato już miało się ku schyłkowi, gdy wreszcie nadciągnęli westfalscy lennicy pod wodzą biskupa Ramwarda z Minden, siły wystarczające, by odeprzeć najazd. Otto odzyskał zaufanie w siebie. Obecność jego nie jest już konieczna, od spraw, które go niecierpliwiły i drażniły, chętnie odwrócił myśli ku swoim zasadniczym celom. Niepokoje wśród pogan będą się powtarzać, dopóki chrześcijański świat nie zjednoczy się w wymarzonym imperium. Wówczas nie będzie takiej siły, która mogłaby mu zagrozić. Poselstwo Filagatosa z prośbą o rękę bizantyńskiej księżniczki winno już powrócić. Otto nie wątpił, że odpowiedź będzie przychylna. Ale nie wątpił też, że Bazyli i Konstantyn stawiać będą warunki, by się podrożyć. Łatwiej się ukłaadać z Italii, gdzie wzywały młodego cesarza także inne sprawy.

Nie czekając już nawet na Bolesława ni jego posiłki, które stały się zbędne, ruszył do Magdeburga, gdzie oczekiwać go miał Gerbert, by razem dalej pociągnąć. Podróż w towarzystwie uwielbianego mistrza pozwoli mu zapomnieć o przeżytym okresie zwątpienia, które jednak tkwiło w nim głęboko, pozostawiając niezatarty ślad.

Niespodzianie w Magdeburgu zastał poselstwo Bolesława z opatem Astrykiem na czele. Polski książę donosił o męczeńskiej śmierci Wojciecha, która zatrzymała go w kraju. Choć takiego wyniku misji Wojciecha Otto mógł się był spodziewać, wieść wstrząsnęła nim. Padł na kolana i wznosząc ręce zawołał: - Dzięki ci, Panie, że za moich czasów powstał bojownik, który osiągnął palmę męczeństwa! - Wrażenie było tak silne, że wyparło wszystkie inne myśli i uczucia. Potem jednak zaczął sobie czynić wyrzuty, że zachęciwszy Wojciecha do zgubnej wyprawy, zapomniał o nim. Zamknął się w swej komnacie, nie przyjmując pożywienia i nie dopuszczając do siebie nikogo. Słychać było jednak, jak nocami jęczał i płakał lub modlił się i przemawiał do Wojciecha, budząc zarazem przesądny strach, jak i obawy o stan swego umysłu.

Szczęściem trzeciego dnia przyjechał Gerbert, przed którym Otto z płaczem jął się oskarżać. Przyrzekł Wojciechowi, że wkrótce za nim podąży. Teraz winien dotrzymać obietnicy i udać się na misje do pogan, by również znaleźć śmierć męczeńską. Mędrzec pozwolił Ottonowi wyżalić się,

potem nakłonił go, by się pożywił, a w końcu dał mu napój na sen, po którym ten spał przez całą dobę i obudził się spokojniejszy, choć przygnębiony i smutny. Gerbert odnosił się do Ottona jak do chorego dziecka, z łagodną i wyrozumiałą stanowczością. Przypomniał mu jego cesarskie obowiązki, stawiał mu za wzór Konstantyna i Karola Wielkiego, którzy zyskali sławę opiekunów Kościoła i - choć bez palmy męczeńskiej - niewątpliwie osiągnęli zbawienie. W wieczności czas się nie liczy, nie jest przeto istotne, kiedy Otto dopełni przyrzeczenia spotkania z Wojciechem, ważniejsze natomiast, by dopełnił obowiązków, a przede wszystkim obowiązku wobec niego samego - rozszerzenia i utrwalenia czci męczennika.

Kojąco działała na Ottona także podróż. Ożywiał się czasami i zaczął już mówić o swych nadziejach i zamiarach, które gorliwie podtrzymywał Gerbert, nie szczędząc nawet pochlebstwa, by mu przywrócić zachwianą pewność siebie.

Skuteczniejszy jednak wpływ wywarły sprawy czekające Ottona w Akwizgranie. Zamiast spodziewanej pomyślnej wieści o wyniku poselstwa Filagatosa czy nawet jego samego, zastał posła cesarzy greckich, Leona. Gładki i śliski Grek wraz z pozdrowieniami i zapewnieniem braterskiej życzliwości przywiózł wspaniałe dary, a między nimi przepiękną rzeźbę z kości słoniowej, przedstawiającą Wniebowzięcie Matki Bożej, której czarowne piękno do łez wzruszyło Ottona. Trudno jednak było wymiarkować, co poza tym przynosi poselstwo. Konstanty zapewniał wprawdzie, że niczego bardziej nie pragnie niż związku z Ottonem, ale na razie nie może dać ostatecznej odpowiedzi, dopóki się położenie w Italii nie wyjaśni, nie chciałby bowiem jedynej córy narażać na zmienne losu koleje.

Na wyjaśnienie zagadki, którego poseł wykrętnie unikał, niedługo trzeba było czekać. Poselstwo Grzegorza zaklinało Ottona, by nie zwlekając przybył z pomocą. Filagatos zdradził, korzystając, że zmarł w drodze przydany mu Bernward wurzburski, zapewnił sobie poparcie bizantyńskich cesarzy przyrzeczeniem uległości,Krescencjusz zbrojną ręką zajął Rzym, wygnał lub stracił stronników Grzegorza i Ottona.

Łagodny z usposobienia Otto zapłonął takim gniewem, że nie bacząc, iż większość jego sił związana jeszcze była walkami na wschodzie, natychmiast nakazał pochód. Z trudem zdołano go przekonać, że niecierpliwością może tylko pogorszyć położenie, a w razie klęski zamierzenia jego mogą być unicestwione na zawsze. Niemniej wyruszył do Ratyzbony, przez gońców wzywając Ekkeharda, by natychmiast po ukończeniu walk tam ciągnął. Do Bolesława zaś wysłał poselstwo z przedstawieniem, że niepokoje w Rzymie zagrozić mogą kościelnym zamierzeniom polskiego księcia i zmarnowaniem męczeńskiej krwi Wojciecha.

W drodze jeszcze dotarła do Ottona wiadomość, że z początkiem listopada w rozstrzygającej bitwie nad Hawelą poganie ponieśli ciężką klęskę od Westfalczyków, przez co wojna na północy pomyślnie została ukończona. Otto pewny był już także powodzenia rzymskiej wyprawy. W obliczu buntu pojednał się z bawarskim krewniakiem. W Ratyzbonie czekali nań margrafowie Ekkehard i Gero, ściągali inni lennicy. Cesarz, nie mieszkając, zleciwszy niemieckie sprawy ciotce Matyldzie, wyruszył do Ratyzbony. Wśród najcięższej zimy przebył Alpy Brennerską Przełęczą, w Trydencie zastał już namiestnika swego na Italię, margrabiego Hugona z Tusculum. Przybierając jak górskie wody, wojska spływały w lombardzką równinę. Coraz to dołączał się orszak któregoś z duchownych wasali, uciskanych przez potężnego Arduina z Iwrei. On sam nie stanął na wezwanie, lękając się zapewne odpowiedzialności za zamordowanie biskupa Piotra z Vercelli z zemsty za rzuconą klątwę. Nie stanęło też wielu innych możnowładców lombardzkich, którzy rozgrabili dobra kościelne i nie na

rękę im było przywrócenie ładu.

Otto jednak nie pozwolił się odwieść od celu wyprawy. Rzym był źródłem buntu, siły miał cesarz dostateczne, by zgasić go jednym uderzeniem. Z obawy przed własną zmiennością i łatwowiernością ślubował sobie, że - wzorem Bolesława - ukarze przeniewierców tak srogo, by sam rozgłos powstrzymał buntownicze poczynania. Gniew jego podniecał jeszcze spotkany w Pawii Grzegorz. Spędziwszy tam święta Bożego Narodzenia, razem już ruszyli do Ferrary. Cesarz zawarł przymierze z potężnym dożą weneckim, Piotrem II, i pociągnął na południe, uprzedzany zapowiedzią, że tym razem zdrajcy nie mogą już liczyć na jego wyrozumiałość. Dwudziestego lutego stanął u bram Rzymu.

Z górą półroczny już pobyt w klasztorze zbiegł Stoigniewowi dziwnie szybko. Ustalone regułą do najdrobniejszych szczegółów życie płynęło tak jednostajnie, że trudno dzień od dnia odróżnić. W kilka tygodni po wszczęciu buntu w mieście zapanował spokój i wojewoda mógł był nawet powrócić na swą gospodę. Pozostał jednak w klasztorze, odesławszy tylko swój szczupły orszak. Zapomniał niemal, że tu oczekuje tylko na rozwój wypadków. Całymi dniami przebywał w klasztornej bibliotece, czytając lub przypatrując się z zaciekawieniem, jak bibliotekarz Jan Canaparius przepisuje księgi, zdobiąc je pięknymi inicjałami. Wieczory spędzał na samotnych rozmyślaniach lub rozmowie z Tunim, Zrozumiał teraz dopiero, co tutaj ciągnęło Wojciecha: klasztor był światem sam w sobie, panowały w nim ład i spokój, wzajemna życzliwość w dążeniu do wspólnego celu, którym kierowała jedna myśl i wola, bez przymusu i ucisku.

Ale Stoigniew utwierdził się w poczuciu, że sam do tego świata nie należy. Ogarnęło go podniecenie i niecierpliwość, gdy tylko przyszła wiadomość, że Otto przekroczył Alpy na czele potężnych zastępów. Teraz wojewoda całymi dniami wałęsał się po mieście, po tawernach, targach i Emporium, starając się z podsłuchanych rozmów wymiarkować, jak zachowa się Rzym wobec nadejścia cesarza, i coraz bardziej upewniając się, że miasto bronić się nie będzie. Kto nie lękał się o swe życie, stanowisko i majętność, o przybyciu Ottona mówił jak o spodziewanym widowisku. Nie mający nic do stracenia próżniaczy motłoch cieszył się nawet, gdyż wszelki nieład niósł sposobność doraźnych zysków i użycia.

Wiedział o tym i Krescencjusz, który zrazu gotował się do obrony miasta, ściągając najemników, żywność, broń i machiny. Łudził się, że Otto napotka opór już w Lombardii i że zanim zdąży go złamać, do Rzymu nadpłyną z południowej Italii posiłki lenników cesarzy greckich. Wiedział o niepokojach w Niemczech i wiedział, że potężny Willigiz przeciwnikiem jest rzymskich zamierzeń Ottona. Jeśli zdoła się utrzymać do nadejścia posiłków, Otto zmuszony będzie odstąpić od oblężenia. Grecy nie zwykli wprawdzie dotrzymywać układów, ale zajęcie Rzymu przez niemieckiego cesarza zagraża ich panowaniu w Italii. W miarę jednak zbliżania się wojsk Ottona patrycjusz coraz jaśniej widział, że w Rzymie się nie utrzyma. Rachuby na opór Arduina zawiodły, w mieście wzrastał nieład, przytajeni przeciwnicy Krescencjusza coraz jawniej podnosili głowy, stronnicy zrazu chyłkiem, potem otwarcie uchodzili z Rzymu. Gdy Otto stanął w Tyburze, Tybrem i południowymi bramami płynął już potok uchodzących spod jego karzącej dłoni.

Jasne było, że obrona miasta jest niemożliwa, Krescencjusz nie mógł jednak poniechać walki, jeśli liczyć miał jeszcze na bizantyńską odsiecz czy choćby pomoc sabińskich krewniaków. Wraz ze swymi stronnikami przeniósł się za Tyber i obwarował w panującym nad Aelijskim mostem mauzoleum Hadriana, by w razie odsieczy utrzymać przeprawę przez rzekę.

Pod pozorem, że zamierza przyspieszyć nadejście odsieczy, w przebraniu pielgrzyma uchodził z miasta antypapa Jan XVI. W rzeczywistości gnała go nieprzytomna trwoga. Ottona znał od dziecka, czytać go uczył, wspomnienia dzieciństwa może zdołałyby wzruszyć wrażliwego i zmiennego młodzieńca. Zdążył jednak poznać Grzegorza i wiedział, że nawet wbrew woli Ottona mścić się będzie za zamach na swe stanowisko. Poza tym, co Filagatosowi mówił rozsądek i znajomość ludzi - brzmiała mu w uszach przepowiednia Nila, iż piekło pozna na ziemi, jeśli świętokradzką dłonią uchwyci klucze Piotrowe. Pycha skłoniła go wówczas do lekceważenia przestrogi człowieka, którego nawet sycylijscy Saraceni uważali za proroka. Teraz nie mógł się wyzbyć myśli o niej, uchodził, wiedząc, że będzie ścigany; z przerażeniem zdawał sobie sprawę, że nie zda się na nic przebranie. Spojrzenie każdego napotkanego człowieka świadczyło, że go poznaje, a on w każdym widział swego Judasza. Zboczył przeto z drogi niemal nieświadomie, zmierzając do pustelni starca z Gaety, jakby w nadziei, że od jego woli zależy odwołanie złowróżbnej przepowiedni.

Ale nawet strach nie mógł bez kresu podtrzymywać wyczerpanych sił, a napięta do ostatnich granic nieufna czujność nie pozwalała zbiegowi zasnąć od chwili, gdy opuścił laterański pałac. Wlókł się bezdrożami ostatnim wysiłkiem, chwilami zasypiał idąc, ale jeszcze budził go upadek. Lękał się jednak, że kiedyś go nie obudzi i spać będzie bez żadnej osłony, by ocknąć się w pętach.

Łaską nieba zdało mu się, gdy ujrzał na stoku pasma wzgórz ruiny zameczku. W zmąconej pamięci odszukał wspomnienie, że stąd niedaleko już do pustelni świętego Nila, ale sił znalazł jeno tyle jeszcze, by wspiąć się po wpół zburzonych schodach na szczyt przybramnej wieży. Legł na kamiennej posadzce i zasnął twardo. Obudził się w pętach.

Concilium zebrane w wielkiej sali laterańskiego pałacu wydać miało wyrok na samozwańczego przywłaszczyciela papieskiej godności. Stał, podtrzymywany przez dwóch pachołków, w szatach pontyfikalnych, z tiarą na głowie. Siedzący na podwyższeniu po prawicy Grzegorza Otto, zagryzając wargi, usiłował zapanować nad mdłością ogarniającą go na widok oskarżonego. Wysyłając w pościg za zbiegiem grafa Bertolda von Breisgau, nakazał mu ze schwytanym postępować z bezwzględną srogością, by okazać tym swą siłę. I znowu ją przecenił. Tego, co ujrzał, nie spodziewał się i nie mógł na to patrzeć. W pamięci zachował piękno oblicza swego pierwszego nauczyciela i zaufanego domownika matki, z której łaski Filagatos został arcybiskupem Piacenzy. Niewdzięczność fałszywego Greka wzburzyła Ottona, postanowił ukarać go tak, by przykład na zawsze odstraszył naśladowców. Ale gdy ujrzał niepodobny do człowieka kształt, przybrany w uroczyste szaty papieskie, ogarnęła go groza. Graf wyłupił winowajcy oczy, obciął nos, uszy i język. Pokryta sczerniałą krwią maska w papieskim diademie budziła taką odrazę, że Otto obawiał się, iż zemdleje. A zarazem lękał się okazać słabość. By ją opanować, podniecał w sobie gniew; ulgą była myśl, że nie jemu przypadło wydać wyrok. Co można orzec przeciw takiemu winowajcy, dla którego śmierć była tylko wyzwoleniem?

Oskarżony nie mógł się tłumaczyć, nie mógł nawet błagać o litość. Błagałby zresztą daremnie, bo Grzegorz gniewu w sobie podniecać nie potrzebował. Na jego rozkaz zdarto z nieszczęśnika uroczyste szaty, nagi łachman wywlekli pachołkowie przed pałac i tam wsadzili na osła, do zadu

twarzą, jeśli ją można było tak nazwać. Prawą dłoń przywiązali do oślego ogona, i wśród wrzasków zbiegającego się na niezwykły widok motłochu pochód ruszył ulicami Rzymu, a idący przodem herold głosił, że tak wraca na Piotrową stolicę człowiek, któremu zachciało się być papieżem. Tłum ryczał i gwizdał, obrzucał jadącego błotem i gnojem, a od czasu do czasu wybuchał śmiechem, gdy osioł, opędzając się od roju much, znęconych zapachem krwi, machał ogonem, poruszając zarazem przywiązaną do niego dłonią, jakby nieszczęśnik błogosławił ten sam motłoch, którego rykiem niedawno wyniesiony został tam, skąd go teraz strącono w błoto i krew.

Gdy wyprowadzono skazańca, Otto odetchnął. Myśl o okrutnej karze łatwiej mu było znieść niż jej widok. Gniewny był nawet na samego siebie, że się tak przejął. Nie ujrzy więcej Filagatosa, rozkazem papieskim skazaniec wtrącony zostanie do lochu na chleb i wodę do końca żywota.

Czekało zresztą wiele innych spraw, odciągających myśli Ottona od tego, co się już stało. Bronił się jeszcze zajadle w Zamku Świętego Anioła Krescencjusz, czekając na odsiecz, która nigdy nie miała nadejść. Bizantyńscy cesarze chętnie widzieliby Rzym w ręku swych sojuszników, ale nie zamierzali wszczynać wojny w czasie pobytu w Italii Ottona z potężnym wojskiem, po to, by narazić się na stratę reszty posiadłości. Krescencjusz zdany był na własne siły, wynik walki nie budził wątpliwości i cesarz, zleciwszy ją Ekkehardowi, mógł myśli poświęcić sprawie, która najbardziej leżała mu na sercu: wyniesieniu Wojciecha na ołtarze. Radzim, który przybył z polskim hufcem posiłkowym, przywiózł prośbę Bolesława o uznanie męczennika za świętego, a teraz w klasztorze Św. Aleksego z Janem Canapariusem spisywali żywot męczennika, potrzebny do uroczystej kanonizacji. Zabiegał o nią Stoigniew, znowu zaopatrzony w zasoby przywiezione przez Wisława Zabawę, pewny już, że i sprawa Kościoła w Polsce dobiega pomyślnego końca.

Zajęty, rzadko widywał się z Wisławem, który na swój sposób korzystał z pobytu w Rzymiie. Wino tu było dobre i tanie, dziewki inne niż w kraju, przede wszystkim jednak zajmowało go prowadzone przez Ekkeharda oblężenie. Obronę mostu Aeliusa złamał margraf jednym uderzeniem, ale prostopadłe, potężne mury mauzoleum nie dały się ugryźć taranem, a zbyt wysokie dla dostawiania drabin ograniczały tymczasem walkę do wymiany wyzwisk, gróźb i pocisków. Wisław, poduczywszy się już języka, chętnie brał w tym udział i z zaciekawieniem przyglądał się budowie olbrzymich wież oblężniczych, na które drewno ściągać trzeba było z daleka, a oblężenie wlokło się od dwóch już miesięcy z górą.

Znowu wiosna miała się ku końcowi, gdy podniecony Wisław przybieżał do Stoigniewa z wieścią, że margraf ukończył przygotowania i zamierza lada chwila przypuścić uderzenie. Wojewoda wśród swych zajęć zapomniał niemal o nie dokończonej jeszcze walce, w której i Wisław z częścią polskiego hufca brał udział, teraz zebrał się i razem szli brzegiem rzeki ku Watykanowi. Wieść o nastąpić mającym uderzeniu rozeszła się już widocznie, gdyż w miarę jak przybliżali się do mostu Aeliusa, tłum gęstniał tak, że przepychali się z trudem. Na przyczółku jednak stał podwójny łańcuch straży, która przepuszczała jeno dostojników, gromadzących się na moście koło cesarza. Widoczny z dala, siedząc na koniu, rozmawiał z Ekkehardem.

Świeciło w słońcu pięć wież górujących nad murami mauzoleum, otaczając je ze wszystkich stron, a zasłonięte nimi czekały w gotowości głębokie szeregi pieszych wojsk. Zamek stał ciemny i milczący, na murach nie widać było ni jednego człowieka. Idący z tłumu szmer ucichł również, gdy margraf, skłoniwszy się przed cesarzem, ruszył w kierunku stojącej na przyczółku machiny. Każdy wiedział, że zaraz się zacznie, i cisza zapanowała taka, że słychać było świszczący lot i piski polujących nad rzeką na owady jaskółek. Cisza nie trwała długo. Rozległ się głos trąbek, któremu

zaraz zawtórowały inne, ze zgrzytem ruszyły z miejsca machiny i w tej samej chwili blanki murów zaroiły się zbrojnymi. Ponad wstającą wrzawę wybił się huk opadających mostów zwodzonych i wielki wrzask zatrząsł powietrzem. Walczono już wręcz na murach.

Zajadłość rozpaczy nie na długo starczyć mogła przeciw przygniatającej przewadze. Spychano obrońców z murów, wrzawa cichła, jeszcze tylko jak w olbrzymim kotle gotowało się we wnętrzu grobowca Hadriana. Potem umilkło wszystko i znowu nastała cisza oczekiwania.

Na murze, znaczny z dala błyszczącą zbroją, ukazał się margraf, a za nim dwóch wojów wiodło jeńca ze spętanymi na plecach rękoma. Nawet najdalej stojący poznali Krescencjusza. Stał z odkrytą szpakowatą głową i z wysokości patrzył na zebrany na brzegu tłum. Przez całe życie umiał kierować nim wedle swej woli. Teraz ni jedna ręka nie podnosi się w jego obronie, upadek jego jest dla motłochu tylko widowiskiem. Czekano z napiętym zaciekawieniem, co się dalej stanie. Margraf skinął dłonią, jeden z wojaków szarpnął w górę związane ręce patrycjusza, tak że ten padł na kolana, z pochyloną do przodu głową. W ręku drugiego błysnął miecz i błyskawicą spadł na odkryty kark jeńca. Oddzielona od tułowia głowa potoczyła się po pochyłej blance muru i koziołkując leciała w dół. Urwany krzyk targnął powietrzem i umilkł, cisza znowu nastała taka, że słychać było, jak głucho uderzyło o ziemię rzucone w ślad za nią ciało.

Cesarz odwrócił konia i wraz z orszakiem, poprzedzany przez straż, ruszył z powrotem ku miastu. Teraz, gdy ściął głowę buntu, może spokojnie budować swoje „odnowione imperium". Rozpierała go duma, zdało mu się, że jak August po zwycięstwie pod Actium w triumfie wkracza do Rzymu. Dziwił się tylko, że w pochodzie tym nie towarzyszy mu żądny wszelkich niecodziennych wrażeń lud. Ale silniejsze wrażenie znęciło go na Mons Gaudii, skąd Drogą Triumfalną wleczono zwłoki Krescencjusza, by je za nogi powiesić na wyniosłej szubienicy. Po obu jej stronach zawisło dwunastu prefektów, by z rozkazu cesarza wisieć tak długo, aż ciała same spadną z powroza. Okrucieństwo zapewni ład i spokój. Otto zmuszał się do niego, uważając je za objaw siły, ale skutków jego nie chciał oglądać i wolał o nich zapomnieć.

Przyszło mu to tym łatwiej, że zaprzątało go ozdabianie nowej siedziby na Awentynie, urządzenie dworu i obsadzanie świeżych godności i urzędów, a przede wszystkim kanonizacja Wojciecha. Canaparius kończył już spisywać jego żywot, Grzegorz wyznaczył termin synodu, na którym nastąpić miało wyniesienie męczennika, a zarazem wyświęcenie brata jego na arcybiskupa powstać mającej polskiej metropolii pod wezwaniem świętego Wojciecha. Sława nowego świętego szerzyła się już w całym chrześcijańskim świecie, głosił ją opat kluniacki, widząc w Wojciechu wzór chrześcijańskiego życia, sam za świętego uchodzący - pustelnik Nil świadczył, że nie znał człowieka, który by szczerzej i goręcej miłował Chrystusa.

Przybycie świątobliwego starca do Rzymu wywołało poruszenie. Rzadko i tylko w najdonioślejszych sprawach zwykł opuszczać swoją pustelnię. Otto, dowiedziawszy się, że Nil przyjęty ma zostać przez papieża, udał się do Lateranu, w przekonaniu, że pustelnik przybył w Wojciechowej sprawie.

Gdy cesarz nadjechał, w wielkiej sali przyjęć laterańskiego pałacu gromadzili się już kościelni i dworscy dostojnicy. Grzegorz na równi z Ottonem przywiązywał wielką wagę do ceremoniału i widocznie zamierzał podkreślić własne znaczenie wobec przesławnego pustelnika z Gaety. Gdy wraz z Ottonem weszli na salę i zajęli miejsca na ustawionych na podwyższeniu tronach, obecni uklękli, a papież pobłogosławił ich, po czym skinieniem ręki dał znak komornikowi, by wprowadził starca.

W powszechnej ciszy słychać było stukot drewnianych chodaków po kamiennej posadzce

korytarza. W otwartych podwojach ukazał się starzec z odkrytą siwą głową i białą jak śnieg brodą, w ciemnej długiej szacie z koziej wełny, z pielgrzymim kosturem w ręku. Bystrym spojrzeniem ciemnych oczu ogarnął dostojników, jakby zdziwiony ich obecnością, po czym postąpił ku podwyższeniu i skłoniwszy się, nie czekając na wezwanie, zaczął:

- Do was posłannictwo moje, ale zda się każdemu słowa ewangelii przypomnieć: „Jeśli odpuścicie ludziom grzechy ich, odpuści też wam grzechy wasze Ojciec Niebieski; lecz jeśli nie odpuścicie ludziom, ani Ojciec wasz nie odpuści wam grzechów waszych".

Na twarzy Grzegorza ukazała się gniewna zmarszczka, gdy odparł:

- Dziękujemy ci, że słowa Pana naszego przypominasz, niepotrzebnie jednak, bo dobrze są zapisane w pamięci naszej.

- A winny być zapisane w sercu - powiedział Nil. - Bo kto przez nieświadomość grzeszy, lżej sądzony będzie. Najciężej zasię, kto, grzesząc świadomie, przez zatwardziałość trwa w grzechu.

Grzegorz domyślał się już, z czym przychodzi starzec, ale jeszcze się hamując, uśmiechnął się wyniośle i powiedział:

- Iście, nieświadomi jesteśmy, do czego zmierza mowa twoja. Pomnij jednak, że nam jeno prawo służy wykładać, jak słowa ewangelii winny być rozumiane.

- Pan nasz prosto mówił, by każdy mógł zrozumieć - odparł Nil. - A biada temu, kto słowom Jego inne znaczenie nadać usiłuje, by własną nieprawość osłonić. Proste jest przykazanie miłosierdzia - ciągnął, nie bacząc, że papież przerwać mu zamierza. - Jakkolwiek zgrzeszył Filagatos, niegodnie z nim postąpiono. Ale co się stało, Bóg jeno w miłosierdziu swoim mógłby odwrócić. Nie lza grzechu do grzechu dodawać, odejmij rękę swoją od karzącej dłoni Bożej. Każ nieszczęśnika uwolnić i leczyć, byś i ty dostąpił Pańskiego miłosierdzia.

Grzegorz powstał na znak, że posłuchanie skończone, Nil jednak zwrócił się do Ottona:

- I ty ukarałeś zbuntowanych, niepomny, że miłosierdzie większe jest od sprawiedliwości. Ale nad zmarłymi sąd do Boga jeno należy i On grześć ich przykazał. Oddaj ich ciała ziemi, a sam pomnij, że nie masz gorszego wszeteczeństwa niż, męża ubiwszy, wdowę po nim niewolić do nierządu.

Otto, który zmieszał się, gdy Nil do niego skierował słowa, teraz gniewnie zagryzł wargi. Nie przypuszczał, że wieść o jego miłostce już się rozeszła, a wobec zgromadzonych postawiony mu zarzut wywołał w nim zarazem wstyd i gniew. W odpowedzi uprzedził go Grzegorz, który rzekł ostro:

- Ty zapominasz, przed kim stoisz, pomnij, że wszelka władza od Boga pochodzi. Nie masz zbyt ciężkich kar na złodziei kluczy Piotrowych ni w tym, ni w przyszłym życiu. A tu na ziemi wyrok, który wydaliśmy, przez nikogo podważony być nie może. Przed Bogiem odpowiemy i przed nikim więcej.

Nil patrzył przenikliwie na siedzących i przez chwilę zapanowało milczenie. Nagle wyraz twarzy starca zmienił się, oczy zabłysnęły groźnie spod zmarszczonej siwej brwi i dobitnie jak wyrok

zabrzmiały jego słowa:

- Nie wołajcie Bożej sprawiedliwości, bo zbliża się już. Krótki jest czas wasz na pokutę, społem pięćdziesięciu lat żywota nie doliczycie.

Odwrócił się i wyszedł. Wśród powszechnego milczenia słychać było tylko stukot jego trepów na kamieniu. Otto siedział, wpatrzony przed siebie. Drgnął jak przebudzony, gdy Grzegorz zwrócił się do niego.

- Pójdźmy! Ważniejsze czekają sprawy, nie pora dumać nad proroctwami.

Zlekceważenie przepowiedni przez papieża pozwoliło Ottonowi wkrótce zapomnieć o niej. Gdy w chwilach przygnębienia przychodziła mu na myśl, modlił się i pościł, fundował kościoły ku czci swego świętego przyjaciela, ojczystemu jego klasztorowi podarował jako wotum swój wspaniały płaszcz koronacyjny, ale myśl o rychłej śmierci daleka była od niego. Skończył dopiero lat osiemnaście. Choć nietęgiego był zdrowia, a italski klimat źle znosił i zwykł był nadużywać swych sił, wierzył niezachwianie, że Bóg powołał go, by Kościół podniósł z upadku i zjednoczył świat chrześcijański w sprawiedliwości i pokoju. W przekonaniu tym podtrzymywali go pochlebcy, cieszący się bezgranicznym zaufaniem młodego cesarza. Gerbert pisał:

Nunc decus imperii, summans qui praegravat artes Tertius Otto sua dignum te iudicat aula Aeternumque tui statuit monumentum laboris Et bene promeritum meritis exornat honestis.

(Teraz ozdoba Cesarstwa, która najwyższe cnoty zaćmiewa Otto Trzeci uznaje cię godnym swojego dworu I wznosi wieczny pomnik twego dzieła I wielce zasłużonego szczytnymi zasługami ozdabia.)

Rozpoczęte dzieło zapowiadało się pomyślnie. Związanie sił bizantyńskich cesarzy walką z Bułgarami nadarzało sposobność zjednoczenia Italii i Otto wyruszył na południe, by przygotować wyprawę. Odebrał hołd książąt Neapolu i Salerno, Laidulf z Kapui i Pandult z Benewentu podejmowali cesarza uroczyście, przyrzekając swój udział w wyprawie. Rozpętana powodzeniem i pochlebstwami duma nie pozwoliła kłaść żadnych granic zamierzeniom. Zjednoczywszy Italię, wyprze z Sycylii Saracenów, zjednoczy świat chrześcijański, odzyska największą świętość - grób Zbawiciela.

Wracając z Benewentu do Rzymu, by poczynić przygotowania do zamierzonej wyprawy, Otto zboczył do klasztoru na Monte Cassino, by w miejscu, gdzie ongiś przebywał Wojciech, złożyć hołd jego pamięci i ożywić wspomnienia o przyjacielu. Smutne były, ale już pogodne. Rozłączyli się, by spotkać się w wieczności. Ale o własnej śmierci myślał Otto jak o czymś odległym, po latach, gdy wypełni wielkie zadanie, jakie mu Bóg wyznaczył.

Jak ustawiony przez dziecko pałac z piasku rozsypała się pogodna pewność siebie Ottona. Zbierał się właśnie do wyjazdu, gdy przybył goniec z wieścią, że dnia piątego lutego w wieku dwudziestu siedmiu lat zmarł papież Grzegorz V.

Ottonowi zdało się, że ziemia się pod nim ugina jak kożuch na bagnie; nie wiadomo, który krok

będzie ostatni. W pamięci jego ożyła groźna przepowiednia. Nie bacząc, że w zaistniałym położeniu powrót do Rzymu stał się sprawą naglącą, skierował kroki do Gaety, w pobliżu której w swej pustelni osiadł starzec, zdający się dzierżyć w ręku los cesarza. Do jego stóp Otto niósł swą koronę, by nią okupić czas na pokutę.

Po powrocie do Rzymu śmierć przypomniała się znowu. Niemal w tym samym czasie zmarła Matylda, której Otto na czas swej nieobecności powierzył niemieckie sprawy, zmarł przyjazny Ottonowi koloński arcybiskup Ewerger. W kraju nabrzmiewał opór przeciw poczynaniom Ottona, powrót do Niemiec stawał się koniecznością. Cesarz tymczasem w jaskini na Mons Caelius modlił się, pościł i biczował.

Vii

W Pradze dogorywał siedemdziesięcioletni Bolesław Pobożny, a wraz z nim potęga i znaczenie Czech. Ponowne uderzenie martwicy było śmiertelne, lekarz książęcy, Tidag, nie czynił nadziei. Sędziwy władca żył jeszcze, ale stracił władzę w członkach i mowę. W przytomnych jednak jego oczach widniała bezsilna rozpacz, patrzeć jeszcze musiał, jak rozsypie się własne i ojca dzieło - jedność i siła państwa. Rudy nie czekał nawet, by rodzic spoczął u Św. Wita, samowolnie pochwycił władzę i po swojemu jął się jej wykonywania. Bracia jego wraz z matką uszli do wuja burgundzkiego przed niechybną śmiercią, stary książę konał samotnie. Na nic się zdały popełnione w Lubicy okrucieństwa, rozlana krew nie stała się spoiwem Czech, ale zarzewiem zamętu i walki. Zostali mściciele: Sobiebór u Bolesława polskiego czeka na dzień pomsty, najmłodszy Radzim, towarzysz męczeństwa Wiojciecha, pod powagą i w blasku jego świętości, popierać będzie w Rzymie wrogów, a uroczyście przed oczyma całego chrześcijaństwa wyniesiony na ołtarze Wojciech przed Bożym tronem upomni się o krew bratnią. Za życia dwukrotnie wygnany, po śmierci nie wrócił też na swą stolicę, w dalekim Gnieźnie patronuje poczynaniom polskiego Bolesława, oczy świata zwracając na Polskę, kraj, o którym niedawno mało kto wiedział na południu. Od niespełna pokolenia dopiero ochrzczony, sam na poły jeszcze pogański, dzięki Wojciechowi podjąć już zdołał misję wśród północnych pogan. Niedawno objęty pożarem domowej wojny, targany uderzeniami wewnętrznych nawałnic, teraz, w powszechnym zamęcie, jak zielona kwitnąca wyspa wśród rozkołysanych fal wynurzał się na oczach wszystkich.

Trzy urodzajne lata pokoju pokryły zgliszcza i samosiewy runią zbóż i kwieciem sadów; ujęły wody groblami, przerzuciły mosty przez rzeki. Kraj poprzecinały gościńce, po których, pod ochroną wyrastających jak grzyby grodów, poruszał się bezpiecznie kupiec z towarem. Z uruchomionych znowu i rozbudowanych kopalń ciągnęły wozy z ołowiem na dachy nowo wznoszonych kościołów, ze srebrem, które w poznańskiej oficynie przebijano na monetę, z żelazem na miecze i groty dla uzbrojenia coraz liczniejszych i lepiej ćwiczonych wojsk. Skarbiec wypełniał się złotem z ceł, srebrem z mennicy, spichrze i lamusy wszelkiego rodzaju bogactwem. Kraj, w którym mało kto nawet znał zachodnią rachubę czasu, nie śmierci myśl poświęcał, ale życiu.

Nadmiar sił kipiał w Bolesławie, ujęty w karby rozumu i doświadczenia. Lata pokoju nie były latami wypoczynku ni dla niego, ni dla kraju. Trzymał go już w ręku, jak biegły jeździec świeżo ujeżdżonego konia, który czasem jeszcze próbuje narowić się, pomny swobodnych źrebięcych lat, ale

twarde wędzidło i kolące ostrogi rychło przypomną mu, że minął czas swawoli. Nie zawsze rozumie, dokąd jeździec zmierza, ale posłuszny niesie go tam, dokąd kieruje silna dłoń.

Bolesław wiedział, dokąd zmierza, znał siły własne, siły i słabość przyjaciół i wrogów. W Niemczech spraw jego strzegli: wierny brat Guncelin i sprzymierzony, rozumem i męstwem przerastający innych możnowładców - Ekkehard, miśnieński margraf, a od niedawna herzog Turyngii. W dalekim Rzymie zaś roztropny i obrotny Stoigniew zabiegał, by dzieło pokoleń, które w kraju dokańczał Bolesław, umocnić koroną. Pierwszy krok został już szczęśliwie uczyniony, Kuria wyznaczyła najmłodszego Sławnikowica metropolitą powstać mającej na ziemiach polskich prowincji kościelnej.

Pomyślną tę wiadomość Bolesław trzymał w tajemnicy. Spodziewał się przeszkód ze strony zazdrosnego o swą władzę, z uporem strzegącego swych praw poznańskiego Ungera. Bolesław nie zamierzał się z nim liczyć, mniej jeszcze z roszczeniami magdeburskiej metropolii ni z samym Gizylerem. Poznań jednak nie może być stolicą nowej prowincji kościelnej, nawet związane z jej kreowaniem uroczystości nie mogą się tam odbyć wobec spodziewanego sprzeciwu Ungera. Powaga dawnej stolicy, grób męczennika, którego imieniem nazwano nową metropolię, wskazywały na Gniezno, pomieścić jednak nie zdoła zapowiedzianego zjazdu.

Ale ta troska ustępowała ważniejszej: zanim wyznaczone zostaną granice archidiecezji, w granicach państwa znaleźć się muszą wszystkie ziemie, które w czasie wojny domowej utracił Bolesław. Włączenie ich do polskiej prowincji kościelnej oznaczać będzie uznanie granic ze strony papiestwa i cesarstwa. Z nie obsadzonej wciąż jeszcze praskiej stolicy biskupiej nie będzie komu podnieść sprzeciwu.

Z silnymi nawet los zda się chętnie wchodzić w przymierze. W marcową zawieję, na dymiącym koniu wpadł do Poznania goniec od żupana Szaszora z Kopanicy z wieścią, że dnia siódmego lutego na wyspie Wełtawy - Dawel - Pobożny dokonał żywota.

Księcia na grodzie nie było. Załatwiwszy bieżące sądy i sprawy, zająć się właśnie zamierzał rozbudową zaniedbanego od śmierci Mieszka pałacu na ostrowiu jeziora Lednicy, tam postanowiwszy podejmować spodziewanych na erekcję metropolii dostojników. Z przysłanym przez Stoigniewa z Rzymu magistrem Wojtkiem i gromadą podległych mu kamieniarzy i murarzy książę wyjechał na Lednicę, by na miejscu wydać zarządzenia. Wieść przejął palatyn Jaskotel Awdaniec. Z dawna wiedział, co ona oznacza: wojnę!

Jeszcze koń Szaszorowego gońca nie ostygł, gdy inne już gnały na wszystkie strony. Nie czekając na księcia, Jaskotel wysłał rozkazy do wojewodów i żupanów, by nie mieszkając ciągnęli na Mstów, gdzie wyznaczony był zbór wojsk, które pod wodzą Bolesława uderzyć miały na Kraków, gdy jednocześnie sprzymierzony Ekkehard ruszyć winien od zachodu, by tam związać siły czeskie. Sam Jaskotel, oczyściwszy Śląsk, przez Kłodzką Bramę wtargnąć miał do dawnego państwa Sławnikowiców. Morawy i Słowacja, odcięte i pozbawione pomocy, nie będą już stawiać oporu, państwo Bolesława znajdzie się w granicach, jakie w chwili swej śmierci zostawił Mieszko.

Ale domyślał się Jaskotel, iż nie na tym koniec. Bolesław pamiętał, że i on jest wnukiem Srogiego. Połączenie Czech z Polską stworzyłoby potęgę wysuwającą się na pierwsze miejsce w wymarzonym imperium Ottona. Francuski Robert wyklęty, w ostrym sporze ze Stolicą Apostolską z powodu swego małżeństwa z krewniaczką, w Italii zamęt i walki wewnętrzne, zagrożenie ze strony Saracenów i Bizancjum. Niemcy - rozdarte i skłócone - nie stanowiły już oparcia dla Apostolskiej Stolicy, która za pewniejszym sprzymierzeńcem rozejrzeć się musi. Sam los wysuwał Bolesława na

czoło.

Ale zarazem oznaczało to, że nieprędko przyjdzie spocząć, może znowu po latach dopiero. Jaskotel nieraz tęsknił już za walką, wśród której sam wyrósł i na której wyrósł jego ród, wyżej nawet niż założyciel, stary Audun, zamierzył. Jaskotel jest pierwszym świeckim dostojnikiem, ziemie Awdańców, większe już od niejednego księstwa, rozprzestrzeniają się - od Nadodrzańskiej Puszczy po średni bieg Warty, od obrzańskich bagien do Baryczy. Krzywin na ostrowiu Obry jest jakoby ich stolicą. A opodal najstarsze rodowe gniazdo - Skarbno, gdzie Wrochna hoduje najmłodszego synka, małego Jaskotela. Imię przejął po zmarłym braciszku i ojcu zdało się nieraz, że to on wrócił po nie zaznane ojcowe pieszczoty. Był owocem pojednania z małżonką, a jej zdał się zakładem i poręką, że ilekroć jeno los pozwoli, będzie miała męża przy boku.

Ale los rzadko na to pozwalał. Wysoki urząd i obszerne majętności wyganiały Jaskotela z domu. Pomna mądrych rad świekry i własnych doświadczeń, Wrochna nie usiłowała już małżonka zatrzymywać. Żegnała go czule, witała gorąco, jednego tylko domagając się: chciała wiedzieć, gdzie bawi i co czyni, by choć myślą mu towarzyszyć, gdy ją samą opieka nad malcem trzymała w domu. Trzy lata pokoju ukoiły i ją. Nie drżała - w ciągłym niepokoju - o życie małżonka ni dwóch starszych synów, teraz już pod wąsem pachołków w przybocznej drużynie księcia. Jeszcze jako podrostki zyskali jego łaskę i wdzięczność za oddaną przysługę. Wrochna z troską uświadamiała sobie, że łaska książęca oznacza wprawdzie dostojeństwa i majętności, ale nie spokój. Odsuwała jednak od siebie myśl, że kiedyś i o nich trwożyć się przyjdzie, i witała ich radośnie, gdy wpadli czasem jak burza do spokojnego, starego dworca, napełniając go gwarem i śpiewem. Niewiele ich zresztą widziała, nie usiedzieli na miejscu ni chwili. Ale i ich nie starała się trzymać przy sobie, dbała jeno, by mieli wszystko, co lubią, by wabił ich dom rodzicielski, póki własnych nie założą. Wiedziała zaś, że najbardziej lubią swobodę, a w drużynie karność panowała surowa. Stryk Wilczek, który hufcem przybocznym księcia dowodził, twardą miał rękę, zwłaszcza dla krewniaków. Chłopcy niezbyt też lubili zamkniętego w sobie stryja, który poza obowiązkami zdał się nie widzieć niczego w życiu. Choć lata mu już szły, żony nawet nie pojął, we własnym domu rzadko poświecił, częściej zjechał do Skarbna. Może go tu ciągnęły wspomnienia dzieciństwa? Choć ogromny, zdał się nie zajmować miejsca, nie słychać go było, młodzi jednak wiedzieli, że głos ma jak grom. Posiedział na mogiłach rodziców, pobawił się z najmłodszym bratankiem, który również lgnął do niego, radośniej go nawet witając niż własnego ojca. Wrochnę czasem zazdrość nawet kolnęła za Jaskotela, ale lubiła swojaka, którego wieczorem, gdy sami zostali, wypytywać mogła o synów, zwierzyć się ze swych trosk i radości. Wilczek o własnych nie mówił nigdy, a wypytywać nie śmiała. Dziwiła ją jednak zażyłość surowego i chmurnego olbrzyma z rozpuszczonym malcem. Domyślała się tylko, że Wilczek tęskni za własnym domem i dziećmi, ale gdy raz zapytała, dlaczego żony nie pojmie, spojrzał na nią przeciągle, aż zapłoniła się zmieszana. Nic nie odpowiedział, a więcej nie pytała. Zjeżdżał też czasem najmłodszy brat męża, żonaty już, Michał, czasem z małżonką, częściej sam, bo niewiastty niezbyt były dobrane wiekiem i usposobieniem. Michałowa Sławka próżna była, lubiła zabawy, klejnoty, obcisłe wzorem zachodnim stroje. Gorszyły one poważną Wrochnę, jak i zalotność bratowej, której nie powściągała nawet wobec starszych bratanków. Oni natomiast lubili młodszego stryja, spoufaleni z nim jak z towarzyszem, zresztą i Wrocisława rada mu była, może dlatego, że jej Jaskotela z urody i usposobienia przypominał. Dziwiła się jeno, że gdy przypadkiem zjechali się z Wilczkiem, rozmowny i wesoły zazwyczaj Michał milknął i posępniał. Nie słychać jednak było, by jakieś spory powstały między braćmi. Może Wilczek i Michała onieśmiela? Pytać nie chciała, skoro

sami nie mówili. Ich sprawa.

W spokoju dzień do dnia podobny i Wrochna jeno po synach miarkowała, że czas płynie. Aż jednego wietrznego popołudnia, gdy zaczęły się już marcowe roztopy i gości najmniej można się było spodziewać, psy rozszczekały się jak na swojego. W Wrochnie zatrzepotało się serce. Po raz pierwszy od powrotu z dobrowolnego wygnania Jaskotel przyrzekł Wielkanoc spędzić w domu, zazwyczaj zjazdy bywały o tej porze, na których jako pierwszy dostojnik musiał być obecny. Wprawdzie do świąt było jeszcze kilka dni, ale może zdołał wyrwać się wcześniej? Wybiegła na dziedziniec i z dala już poznała, że nie małżonek przyjechał, lecz Michał.

Nie okazała jednak rozczarowania i powitała go mile:

- Zjazd, widzę, będzie całego rodu, bo i Jaskotel święta w domu przyrzekł spędzić. Zrazu nawet mniemałam, że to on albo Wilczek, bo wiem, że u siebie bawi w Osieku, a zwykł wstępować do Skarbna. Może i moje chłopaki przyjadą.

Zdziwiło ją, że Michał nic nie odpowiedział i inny był jakiś niż zwykle.

Przeprosiła, że synka wcześniej chce ułożyć, by móc swobodnie pogwarzyć przy wieczerzy, i wyszła. Gdy wróciła, Michał w zamyśleniu chodził po świetlicy. Kazała podać posiłek i zaczęła mówić o spodziewanym na święta zjeździe braci. Przerwał jej:

- Nie ostanę na święta.

- Czemuż to? - zapytała, ale tknęło ją i dodała: - Jaskotela ino patrzeć...

- Kazał ci rzec, że takoż na święta nie przyjedzie. Może tu jeno doskoczy po drodze, jeśli sprawy pozwolą.

- Czemuż to? - powtórzyła przybladłszy. - Wżdy zjazdu nie ma.

- Zjazdu nie ma - powiedział szorstko - jeno wojna. W Krzywinie bawi, gdzie wojska się gromadzą, które powiedzie na Śląsk.

Westchnęła ciężko i umilkła. Skończył się spokój. Tym razem trwożyć się będzie nie jeno o małżonka, ale i o synów. Niedoświadczone, a zadufane w sobie pachołki! Idąc za swą myślą, powiedziała cicho:

- Poproszę Wilczka, by moim otrokom nie zwolił bez potrzeby się narażać.

Pewnikiem i on do książęcia wracać będzie, a tędy mu droga.

- Pono zawżdy mu tędy droga - jakoś nieszczerze zaśmiał się Michał.

Popatrzyła na niego zdziwiona i odparła jakby wyjaśniając:

- Bardzo miłuje małego Jaskotela.

Michał znowu zaśmiał się z przymusem:

- Może i jego.

Popatrzyła pytająco, jeszcze nie mogąc zrozumieć. Michał spoważniał i zaczął:

- Macierz nasza, niechaj jej Bóg nagrodzi, mądrze nas miłowała. I ciebie takoż. Pomnisz, jakem w Bogodarowym dworcu posiekany leżał? Jeszcze mi się rany nie zamknęły i ledwom na nogach się trzymał, a wyjechać mi kazała dlatego, żeś ty chciała ostać. Znała przecie mnie i ciebie, wiedziała, że ty za Jaskotelem świata nie widzisz, a ja, jaki tam jestem, bratowej bym nie tknął. Ale gdy mi się w drodze rana otworzyła, wiesz, co mi rzekła: „Na męskiej skórze rana prędzej - później zagoi się. Na

niewieściej czci - nigdy".

Wrochna, słuchając, naprzemian czerwieniła się i bladła. Zrozumiała wreszcie, o czym Michał mówi, i odparła wzburzona:

- Ni ja, ni Wilczek nie działamy niczego, o czym by Jaskotel wiedzieć nie mógł.

- Wierę - odparł Michał. - Ale macierz nasza mówić zwykła, że niewiasta tak żyć winna, by o niej nie mówiono ni źle, ni dobrze.

Wrochnę ogarnął gniew. Już miała na wargach odpowiedź, by Michał własnej małżonce to powtórzył, ale powstrzymała się i zapytała z goryczą:

- Mam rzec Wilczkowi, by nie przyjeżdżał do domu, w którym się urodził?

Musiałabym wyjaśnić dlaczego. A jeśli zapyta, kto o nas mówi?

Michał siedział zasępiony. Po chwili mruknął:

- Wilczek o nic nie zapyta.

Wrochna wiedziała, że to prawda. Do troski i żalu dołączyła się rozterka i poczucie krzywdy. Za to, że Wilczek nigdy ni słowem nie zdradzał, co czuje, niczego nie żądał, ma go wyświecić z rodzicielskiego domu! Człowieka, za którym przepada jej dzieciak i którego na dobitek prosić chce o opiekę nad synami. Ogarnęło ją oburzenie, które zwróciło się przeciw Michałowi, choć wiedziała, że mówi z życzliwości. Zapytała ostro:

- Ale ja mam prawo wiedzieć, kto o nas mówi?

Gdy milczał, zmieszany, dodała:

- Starczy mi to za odpowiedź.

- Cóż stąd, że wiesz - powiedział przygnębiony. - Łacniej ptaka schwytać, gdy uleci, niż słowo. Ja nic nie gadałem, póki mi się zdało, że nie miarkuje nikt krom mnie. Sławka też nie ze złości, jeno jako to niewiasty, zawżdy ciekawe, kto z kim i co. I dla Wilczka lepiej będzie. Przeboleje i zapomni. Pojmie jakową dziewkę i będzie żył jak drudzy. Wygładzi się wszystko.

- Nie wiem, czy wszystko - powiedziała Wrochna w zamyśleniu. Rozumiała jednak, że gdy tak sprawy stoją, sam na sam widywać się z Wilczkiem nie mogą. Ale jak mu to rzec? Musiałaby mówić o jego miłowaniu, gdy on sam nigdy nie napomknął o tym. A czuła, że nie potrafi zbyć go jak natręta. Wstawał w niej bunt: dlaczego ona mówić ma z Wilczkiem?

Siedzieli w milczeniu. Noc już zapadała, na dziedzińcu ucichły odgłosy dnia, jeno wstający wiatr pogwizdywał w kominie. Nagle rozszczekały się psy, znowu jak na swego. Michał mruknął:

- O Wilczku mowa...

- Tedy ostawię was samych - powiedziała Wrochna, wstając. - Łacniej wam będzie gadać beze mnie.

Skierowała się ku wyjściu. Michał powiedział zmieszany:

- Ciebie łacniej by posłuchał. I prosić go miałaś o opiekę nad twymi chłopakami.

- O nic prosić nie mogę człowieka, któremu dźwierze mam pokazać - odparła i wyszła.

Michał niespokojnie nasłuchiwał głosów. Gdy ciężkie kroki rozległy się w sieni, pewny już był, że się nie myli, i zaklął: po licha mieszał się w tę sprawę! Wycofać się było już nijak, myśl o rozmowie z bratem, z którym nigdy nie był spoufalony, nie uśmiechała mu się, ale nie było czasu na wahanie. W drzwiach stanął Wilczek.

Patrzyli wzajem na siebie, Wilczek nieco zaskoczony, Michał zmieszany.

Przybyły odezwał się pierwszy:

- Nie spodziewałem się ciebie tu ujrzeć. Mniemałem, że w Krzywinie bawisz przy Jaskotelu.

Michał przymknął oczy, jakby skoczyć miał do wody, i odparł:

- Ja zasię spodziewałem się, że ciebie tu spotkam, i lepiej, żeś mnie tu zastał.

Wilczek nie rozumiał jednak, do czego Michał pije. Usiadł za stołem i biorąc się do jadła, mruknął:

- Radem ci. Wojna jest wojna, pożegnać trzeba swoich. A Wrochna gdzie?

Malec śpi już pewnikiem?

Michał zniecierpliwił się. Na nic objeżdżać, trzeba mówić wprost. Odparł gwałtownie:

- Nie do małegoś przyjechał. A Wrochna wyszła, gdy pomiarkowała, że to ty.

Wilczek patrzył nieodgadnionym spojrzeniem na brata. Michał, uciekając z oczyma, mruknął:

- Nie chce gadać z tobą. Mnie to ostawiła.

Przydługie milczenie przerwał Wilczwek:

- Tedy gadaj!

- Nie będę skrywał, co już jawne. Na obmowę ją wystawiasz. Lepiej z tym skończyć, póki nie dojdzie do Jaskotela.

Wilczek patrzył na Michała, który mieszał się coraz bardziej i rzekł ze złością:

- Wziąłbyś babę, skończyłoby się gadanie.

-Może się skończy bez tego - odparł Wilczek, wstając i zbierając się do wyjścia. Michał wstał również i zapytał:

- Dokąd idziesz?

- Wyjeżdżam. Jeno jeszcze mogiły rodzicieli chciałbym pożegnać. Rad bym kiedyś i ja spocząć przy nich. O to gadania nie będzie.

Na surowej jego twarzy zjawił się żałosny uśmiech. Michał skoczył do brata, obejmując go:

- Nie bądźże nagły. Jam ci nie krzyw, ale sam rozumiesz, że skończyć z tym trzeba.

Wilczek oddał mu uścisk i odsuwając go, odparł:

- Rozumiem. Tedy lżej zaraz.

- Na Wrochnę nie poczekasz? - plątał się Michał. - Może nadejdzie. Prosić cię chciała , byś na jej szczeniaków dał baczenie, by się nie rwali, póki im doświadczenia brak.

- Nie Awdańców miejsce w ociągu - odparł chmurnie Wilczek - skoro innym chcą przodować. Ale rzeknij jej, że pókim żyw, uczynię, co w mej mocy, by o nich mogła być spokojna. I niechaj żalu nie chowa, żem ją na niegodną obmowę wystawił.

Wyszedł, a Michał nie śmiał iść za nim. Ogarnął go zarazem gniew i żal, którym dał ujście przekleństwem.

Jaskotel, pokończywszy przygotowania, jeno jak po ogień skoczył do Skarbna, by, pożegnawszy swoich, dopędzić wysłane przodem pod wodzą Michała wojska, nim dociągną do Odry. Zajęty już myślą o wyprawie, zrazu nie zwrócił uwagi, że Wrochna nieswoja jest i jakby go unika pod pozorem przygotowania zapasów. Prawda, że cieszyć się nie miała z czego i przykro odczuć musiała zawód. Jaskotel zabawiał się z małym imiennikiem, czekając na żonę, by z nią pogwarzyć. Chłopczyk, który od piastunki wiedział o pobycie Wilczka, poskarżył się ojcu, że go stryk nie pożegnał. Jaskotel zdziwił się, że ni Michał, ni żona nic o tym nie wspomnieli, i gdy nadeszła, zagadnął ją o to.

- Nie zgadało się jakoś - odparła zmieszana - mniemałam zresztą, że mówił ci Michał.

Jaskotela coś tknęło. Michał też nic nie wspomniał, choć rozmawiali o jego pobycie w Skarbnie. Teraz uprzytomnił sobie, że i brat zbywał pytania.

- Coś przede mną skrywacie - powiedział trochę niespokojnie, trochę gniewnie. - Czemuż to Wilczek wyjechał, nawet małego nie pożegnawszy? Mam prawo wiedzieć, co się dzieje w moim domu!

- Gdybyś częściej w domu bywał, sam byś miarkował - odparła z goryczą. - Ja nic nie mam do ukrywania. A co mają Wilczek lubo Michał - ich pytaj, nie mnie.

Twarz miała gniewną i zaciętą. Nie chciał takiego pożegnania. Prawda, że nie częstym gościem bywał w domu, choć pokój panował. Teraz nieprędko wróci, nawet wieści o sobie przesłać będzie trudno. Zląkł się, by znowu pustego domu nie zastać po powrocie, powiedział więc pojednawczo:

- Nie sierdźże się. Wżdy wiesz, co mnie z dala od domu trzyma. I nie do sprawy cię wołam, jenom niespokojny, co między braćmi zaszło, że przede mną skrywacie. Jam ci głową rodu i mnie rozsądzić, który praw, jeśli się o co pocięli. O co sprawa poszła?

Odwróciła twarz i jeszcze usiłując wywinąć się od wyjaśnień, odrzekła:

- Nie byłam przy ich rozmowie ani się z Wilczkiem nie widziałam.

- Nie wyszłaś do niego, gdy pożegnać się przyjechał przed wyprawą? Tedy między wami coś zaszło. Gadaj mi zaraz!

- Głos Jaskotela zdradzał podejrzliwość, która oburzyła Wrochnę.

Powiedziała ostro:

- Gdy małżonka nigdy w domu nie ma, ludzie się dopatrywać zaczynają, kto w jego miejsce. Nie jam się winna sprawiać, jeno ty. Chcesz wiedzieć, dlaczego do Wilczka nie wyszłam? Bo Michał mi rzekł, że gadają, iżem jest Wilczkową miłośnicą.

Szczęki Jaskotela zwarły się tak, iż zdało się, że słowa nie wypuści. Ale rzucił przez zaciśnięte

zęby:

- Kto by nie był, łeb zetnę!

Wrochna przelękła się. Chwytając go za rękę, krzyknęła:

- Miarkuj się! Wilczek tu więcej nigdy nie przyjedzie, a słowa mieczem nie zabijesz. Jeno byś strawy dostarczył obmowie. Jeśli ci iście o moją cześć chodzi, doma siedź, jak drudzy, bo nie o Wilczku, to o innym gadać poczną.

Mimo iż gniew ćmił mu oczy, Jaskotel nie mógł zaprzeczyć, że w tym, co mówi Wrochna, jest słuszność. Pohamował się, ale odparł chmurnie:

- Któż doma siedzi? Niewolniki. Sama wiesz, że choćbym się rozedrzeć miał, jechać muszę. Wżdy wojna!

- Ninie wojna. Trzy lata panował pokój, a ni trzech miesięcy nie było cię doma. Jak żywot długi, jeno czekam. Dzieci mam rodzić po to, by się trwożyć i o nie, gdy jeno podrosną, jakby mało było o ciebie! Inny i z wyprawy uciecze, gdy zbyt długo trwa. Jeno tobie każda sprawa pierwsza niźli dom i ja.

Zaniepokoił się, że znowu się zatnie jak ongiś, gdy się omal nie rozeszli. Przygarnął ją, mówiąc:

- Już ci przyrzekam, że wracać będę choćby na czworakach. Prawda, że kiedyś wojnie dań spłacić przyjdzie, ale z niej my wyrośli. Jeno po cóż ci myśleć o tym? Czas lutać, gdy będzie o co, bo Awdańcom nie w łożu umierać, jako i mój rodzic nie chciał, choć stary i kaleka. Mawiać zwykł, że ród ważniejszy od człeka, i roście, gdy mu krwie upuszczać. Ale chłopaki nasze sprawne są, tęgie i pod dobrą ręką. Myślę, że długo wojować będą, a dobrze zaczęli.

Westchnęła ciężko i zapytała:

- Dokądże rosnąć chcecie? Zali brak ci majętności czy dostojeństw? Jeno spokoju i szczęścia!

- Ród jest jako drzewo: póki żywie, póty rośnie a nad inne się wynosi, jeśli go burza nie zwali lubo topór nie zetnie. Że się jedna czy druga gałąź obłamie, od tego nie umiera.

- Nad inne się wynosi... - powtórzyła szeptem.

Nie rozumiała Jaskotela. I on jej nie rozumie. A jednak zrozumiał, bo odparł:

- Każdy chce lepszy być od drugiego. Wżdy nawet moja klacz, choćby jak zgoniona, nie zniesie, by inny koń szedł przed nią, bo w przedzie chodzić zwykła.

Wrochna uśmiechnęła się smutno:

- Lepszy chce być! Zali nie starczy, że dobry?

Jaskotel wzruszył ramionami.

- Koń jest dobry, gdy rączy i ognisty, wół zasię, gdy mocny i spokojny.

Trudny wybór, co komu potrzebne - koń czy wół, aleć między końmi każdy woli bystrego rumaka niźli szkapę. A do czego zmierzam? Żywię, książęciu służę, jego rzecz wiedzieć, do czego zmierza, a moja jeno dobrze wykonać, co rozkaże. A że wie, to pewne. Czym byśmy byli, gdyby nie wygnał

macochy, nie jeno my, ale wszyscy, do ostatniego przypisańca? Ninie każdemu lepiej. Oracz wie, że mu plonu nie stratuje obcy wojak, a ty spokojnie chłopaka doma chować możesz, miast po lasach się tułać, by się zmarnił jako tamten...

Zamrugała oczyma. I jemu głos zadrgał, ale chrząknął i rzekł mocno:

- Wojnę niesiem za granice, by jej w kraju nie było. Taki jeno spokój może być. Pono sobie cesarz Otto jakowyś pokój umyślił dla wszystkich, jeno ja w to nie wierzę.

- Tedy nie będzie kresu tęsknicy. Jeno mi wracaj, by choć przed obmową zasłonić.

Jaskotel poderwał się znowu.

- Już ja z Michała wyduszę, kto śmiał! Nie powtórzy więcej!

- A ja proszę, byś poniechał tej sprawy. Kto chce, by ognisko dymić przestało, ziemią je zasypuje, a nie grzebie w nim.

- Może to i słuszne - rzekł po namyśle. - Jeno póki nie ucichnie, Wilczek iście tu zjeżdżać nie może. Żal mi go, bo lubił ojcowy dworzec i naszego malca.

- Będziesz doma, i on może zjechać. Nie będzie gadania - odparła. Ale wiedziała, że Wilczek już nie przyjedzie.

Wcześniej niż do Poznania wieść o śmierci Pobożnego dotarła do Krakowa. Krasnota Suchorad też wiedział, co ona oznacza; nie tylko dla kraju, ale i dla niego samego. W ciągu sześciu lat, gdy jako wielkorządca Wiślan siedział w Krakowie, zapomnieć zdołał wróżbę, że tu stanie nad własnym grobem. Teraz przypomniała się, wraz z groźbą Bolesława, że jeśli Krasnota tu przyjdzie z mieczem, głowę ostawi. Wówczas, gdy zdało się, że sam Bolesław w kraju się nie utrzyma, a może nawet przy życiu, Krasnota uważał to za czczą pogróżkę. Teraz Bolesław wykazał już, że spełniać zwykł, co zapowiedział, a srogość odziedziczył po macierzystym dziadzie!

Stary wojownik nie lękał się śmierci. Bronić miał zresztą nie jeno własnego życia, ale dorobku, któremu je poświęcił, służąc wiernie dwom pokoleniom największych władców, jakich wydały Czechy. Przyłożył się nie tylko do odebrania Mieszkowych zdobyczy, ale i rozszerzenia państwa niemal do granic Wielkich Moraw, których spadkobiercami potomkowie Przemysła się mienili. Wiedział także, iż Kraków kluczem jest tych ziem i Bolesław uczyni wszystko, by dostać go w rękę. Toteż warowny z przyrodzenia gród umocnił jeszcze, a na wieść o śmierci swego księcia natychmiast jął czynić przygotowania do obrony. W nieszczęściu, jakie spotkało Czechy, szczęściem było, iż stało się to w pełni zimy, w porze do wojny nie sposobnej. Nim ziemia stwardnieje po roztopach, które dopiero się zaczynały, i zazieleni się runią, kraj zdoła okrzepnąć po wstrząsie i zebrać siły, które Bolesławowi będzie można przeciwstawić. Jeno równego mu wodza Krasnota nie widział, otuchy wszakże nie tracił. Jeśli Bolesław siły przy zdobywaniu Krakowa wykruszy, sam za wojska nie stanie. Dola zresztą na wojnie krętymi chadza ścieżkami, najważniejsze przetrzymać, gdy się los nie uśmiecha. Liczył też Krasnota na bawarską, a może i węgierską pomoc. Jego rzeczą zdobyć czas, księcia - spożytkować go.

Wieści jednak, jakie napływać zaczęły, nie potwierdziły rachuby Krasnoty.

Rudy rozpoczął wprowadzanie ładu od tępienia stronników swych braci. Nadzieja na pomoc bawarskiego krewniaka zawiodła, burgundzcy, u których schroniła się stara księżna z młodszymi synami, im skłonni byli udzielić pomocy przeciw Rudemu. Do Krakowa zaś, zamiast zasobów i ludzi,

przybył goniec z groźnym rozkazem, by Krasnota pod gardłem gród trzymał do ostatniego człeka, bo książę zajęty jest walką z Ekkehardem. Teraz groźba i wróżba zdały się schodzić.

Krasnota jednak był wojownikiem z krwi i kości. Mimo niechęci do Rudego i nieufności do jego poczynań, nawet przez myśl mu nie przeszło, by mógł nie posłuchać rozkazu prawowitego następcy władców, którym życie przesłużył. Umiał rozkazywać i słuchać. Był bezdzietnym wdowcem, płakać po nim nikt nie będzie, od życia nie spodziewał się już niczego prócz niedołężnej i samotnej starości. Ale gdy po znojnym dniu, spędzonym na przeglądach i objazdach, w izbie swej na kamiennym stołbie grzał przed kominem zgrabiałe na wietrze i deszczu ręce, dziwne myśli przychodziły mu do głowy. Cóż zyskują obydwa narody, że władcy ich, wykorzystując chwile słabości przeciwnika, wzajem wydzierają sobie pograniczne ziemie? Jeno zgliszcz i mogił przybywa. Niechby raz zwyciężył najlepszy. Krasnota jednak odganiał od siebie te myśli. Wojak musi wierzyć w to, o co walczy. Niechby się rozpoczęło, skończy się rozterka i rozważania.

To życzenie miało się spełnić wcześniej, niż Krasnota przewidywał. W pierwsze pogodne dni przedwiośnia z nagła napływać jęli do Krakowa zbiegowie z pomniejszych grodów. Gorsze niż wieść o wkroczeniu wojsk Bolesława były wiadomości, że lud wszędzie chwyta za broń, by zrzucić surowe rządy czeskich starostów. Nie było już bezpiecznych dróg, łączność między grodami zerwała się, ostatnie wiadomości przynieśli zbiegowie ze Sławkowa, który opuszczono bez walki na wiadomość o srogiej rzezi, jaką Bolesław sprawił w zajętym podstępem Siewierzu.

Napływ zbiegów, którzy wypełnili krakowski gród, tak że dziedzińcami przejść było trudno, skończył się, ale troski Krasnoty dopiero się zaczęły. Zapasów było wbród, zawczasu pomyślał o nich, ale natychmiast dał się odczuć brak wody. Jedyna studnia na grodzie nie starczyła dla wszystkich, choć na przedwiośniu była obfitsza. Już teraz zaczynały się przy niej swary, mimo iż konie prowadzono do wodopoju. Nadmiar ludzi należało usunąć, póki pora. Krasnota dokonał przeglądu, wybrał co sprawniejszych, ilu mógł na grodzie utrzymać, po czym zawołał żupana Czastę i zlecił mu z pozostałymi przejść Wisłę, obsadzić grody w Tyńcu i Niepołomicach i strzec brodów na rzece, tak by po rozpoczęciu oblężenia mógł zamkniętym udzielić pomocy, a z chwilą nadejścia wojsk czeskich zapewnić im przeprawę bez strat. Jakkolwiek Krasnota nie liczył się z rychłą odsieczą, nie wątpił, że Rudy myśli o niej, w przeciwnym razie nie wydawałby rozkazu trzymania Krakowa za wszelką cenę.

Po odejściu Czasty na grodzie zapanowała cisza. We dnie przerywały ją tylko głosy rozkazów, nocą obwoływały się straże. Podgrodzia i osady stały puste, ludność uszła przed czeskimi zbiegami, zabierając, co się dało z mienia. Czasu pokoju Krasnota powściągał nadużycia, ale w zamęcie nie starczyło głowy ni czasu tym się zajmować, a nie ma gorszego drapieżnika niż wojak, który wyszedł z karności. Krasnota zresztą nie ufał miejscowym osadnikom, rąk do robót już nie potrzebował, toteż nie przeszkadzał ucieczce. Zabudowania stały ciemne i puste, nie dochodził stamtąd żaden odgłos, dym ni światło nie zdradzały ludzkiego pobytu.

Wielkanoc minęła jak powszedni dzień, nie było nawet nabożeństwa, bo kapelan Prokop wyjechał razem z Czastą. Krasnota samotny siedział w niewielkim kościółku z polnego kamienia, ale nie modlił się. W ciszy i mroku nachodziły go wspomnienia, prócz nich nic mu z życia nie pozostało.

Wrócił do teraźniejszości. Wyszedł na podworzec - ciepły dzień miał się ku schyłkowi, od rzeki i bagien pociągał wilgotny chłód i wstawała mgła z nagrzanych już rozlewisk. Krasnota obszedł wały, sprawdzając obronną gotowość i zalecając szczególną czujność. Mgła gęstniała i podchodziła w górę, jak przybierająca powódź, nad jej białawym morzem górował tylko gród. Na niebie zabłysły

gwiazdy, ale blask ich mętniał. Nim zapadła zupełna ciemność, szary tuman otulił wszystko.

Krasnota, choć znużony, sam czuwał również, siedząc w swej izbie na baszcie. Myślą jeszcze raz obchodził gród. O wyższą jego część nad wąwozem, odrębnie obwarowaną, był spokojny. I niższa, zachodnia część wzgórza od strony Wisły, spadając ku niej przepaścistą skałą, była niedostępna. Tu, gdy ongiś upatrywał słabych stron grodu z myślą, że go dobywać przyjdzie, wojewoda Stoigniew powiedział, iż jeden dobry łucznik stu ludzi zdoła powstrzymać. W nocy i mgle łucznik niewiele zdziała, ale też wspinanie się po urwistej skale nie jest możliwe. Krasnota jednak liczył się z tym, że Bolesławowi nie braknie w drużynie ludzi znających gród jak własną dłoń, toteż dostęp od rzeki zawalił dębowymi pniami o ściętych na ostro konarach. Mimo że wezbrana woda zatopiła je, konary sterczały ponad nią, zamykając dostęp nawet łodzią. Od północnego zachodu również wezbrany Żabi Kruk dochodził niemal do podnóża, groble między nim a Wisłą kazał Krasnota rozkopać, i tu dostęp był trudny, podciągnięcie oblężniczych machin niemożliwe.

Słabą stroną była południowa brama z głównym wjazdem, toteż Krasnota najeżył zbocze potrójnym rzędem ostrokołu. Nieprzyjaciel może się podsuwać tylko wzdłuż wału, cały czas pod obstrzałem z bezpośredniej bliskości. Dużo będzie kosztować, nim dotrze pod bramę, i nietanio przyjdzie mu podsuwać posiłki. I o tę stronę grodu powinien być Krasnota spokojny.

A jednak spokojny nie był. Ludzie jego nazbyt ufali, że grodu zaskoczyć nie sposób. Przed kilku dniami Krasnota zdybał strażnika, który spał. Zapłacił głową za niedbalstwo, powinien być przestrogą dla innych, ale Krasnota nie polegał na tym. Mimo że znużony, zebrał się i przez bramę w murze okalającym wewnętrzny dziedziniec skierował się ku Wiśle.

Szedł cicho, nasłuchując. Mgła tłumiła odgłosy, źródło ich czyniąc niepewnym, ale gdy zbliżył się do zachodniego wału, posłyszał rozmowę. Strażnicy skracali sobie czas, ale czujni byli widocznie, bo zauważyli nadchodzącego i rozeszli się. Krasnota postał chwilę. Cisza panowała głucha. Podszedł jeszcze ku zachodniej furcie. I tu wszystko znalazł w porządku. Północnym wałem wrócił na wysoki gród, uspokojony pożywił się i ułożył. Do świtu było niedaleko.

Usnął, widno jednak nie spała w nim wyostrzona czujność, bowiem ocknął się nagle i bez widocznego powodu. Usiadł na łożu i nasłuchiwał, ale nie słyszał nic. Tylko szklane gomółki w oknach poszarzały już i z mroku izby wyłaniały się: miecz leżący na ławie obok łoża i wisząca nad nim kolczuga wraz z hełmem.

Nie wołając śpiącego w sieni giermka, Krasnota zebrał się, przypasał miecz i wyszedł. Wkrótce zmieniać się będą straże, co zawsze powoduje osłabienie czujności, i tak najsłabszej o świtaniu.

Ciemność już ustępowała. Mgła - choć nasiąkała światłem - gęstniała jeszcze, widocznie osiadając, nie do przebicia ni wzrokiem, ni słuchem. Ale jak jaskółka czuje nadciągającą burzę, Krasnota pewny był, że coś się dzieje na dnie szarego morza. Zawołał setnika Miłosława, polecając mu zabrać kilkunastu ludzi i obejść podgrodzie i osady.

Setnik wyszedł północną furtą, posuwając się ostrożnie podnóżem wzgórza na wschód. Od tej strony żadnych zabudowań nie było. Od Żabiego Kruka, we mgle, słychać było świergot budzącego się ptactwa, które, ciągnąc na północ, tu zwykło zatrzymywać się na nocleg. Widno nie płoszył go nikt, Miłosław, upewniony, ruszył dalej. Przeszedłszy mostek na strudze sączącej się od stawu ku starej Wiśle, obchodzić jął zabudowania rozłożone na wschodnim, wysokim brzegu koryta rzeki. Zewsząd wiało martwą pustką, nic nie zdradzało życia.

Obszedłszy osadę, Miłosław skręcił ku zabudowaniom rozłożonym przy drodze na Sławków, zamierzając wzdłuż niej zawrócić ku grodowi. Choć dzień już wstawał widoczność nie polepszała

się. Gdy jednak dotarł do rozkisłej, błotnistej drogi, świeże ślady ludzkie rzuciły się w oczy. Niektóre nie zdążyły jeszcze podejść wodą, wszystkie wiodły w kierunku grodu.

Miłosław ni chwili nie wątpił, co oznaczają. Zawrócił, wytężając wzrok i słuch, i wykorzystując każdą osłonę, chyłkiem pomykał ku południowej bramie, omijając mostek. Kręta ścieżka przez podmokłą łąkę wiodła ku brodowi, którędy przepędzano bydło, schodziła w zarośla. Dotarłszy do nich, Miłosław ze swymi ruszył biegiem, nie było chwili do stracenia. Nagle stanął jak wryty. Omal nie wpadł na stojącego na ścieżce zbrojnego męża. Nieznany wojak jakby czekał na nadchodzących, nie sięgnął bowiem nawet do miecza, lecz ozwał się spokojnie:

- Kto krzyknie lubo krokiem ruszy, gardło da.

Za chwilę Miłosław ze swymi ludźmi, powiązani jeden za drugim, szli z powrotem ku drodze na Sławków.

Krasnota, obszedłszy gród, wrócił do swej izby, by się posilić. Najniebezpieczniejsza chwila przedświtu minęła, skoro patrzeć, jak wzejdzie słońce i rozpędzi obniżającą się już mgłę. Przez szary tuman zaczynał przeświecać błękit, szczyty baszt zarysowały się na jego tle, od rzeki ruszył lekki powiew. Krasnota pewien był nadchodzącej walki, lękał się tylko zaskoczenia. Teraz, uspokojony, poczuł znużenie i senność. Od dłuższego czasu sypiał jeno po parę godzin, czujny i we śnie. Za młodu mógł nie spać po kilka nocy z rzędu, nie tracąc jasności myśli ni sprawności ręki. Westchnął. Ani się obejrzał, jak podstępnie nadeszła starość, a za nią jak ta mgła ciągnie niedołęstwo. Ogarnęło go zniechęcenie. Bronił się jeszcze przed snem, czekając na powrót Miłosława, by się upewnić, że nic nie przerwie mu wypoczynku.

Czas wlókł się jednak, dzień był już zupełny, a Miłosław nie wracał. Krasnota wstał i wyszedł ku południowej bramie, przez którą nadejść winien wysłany setnik z oddziałem. Nie potrzebował pytać stojących na wyżce strażników, sam bowiem posłyszał szmer kroków na wysypanej rzecznym żwirem drodze wiodącej ku bramie. Gdy wspiął się na górę, wyraźnie widać już było przez rzednącą mgłę zarysy gromady zbliżających się ludzi. Krasnota przez chwilę patrzył z napięciem. Gromada była liczniejsza, niż wyszła, może prowadzą jeńców? Strażnicy gotowali się zejść, by otworzyć furtę.

Powstrzymał ich skinieniem ręki i zawołał:

- Miłosław?

W odpowiedzi rozległ się świst pocisku i głuche uderzenie. Stojący obok żupana wojak zwinął się bez głosu i padł pod jego nogi. Krasnota jak młodzik skoczył w dół i krzyknął:

- Wszystko na wały!

Zaroiły się ludźmi, cichy dotąd gród rozbrzmiewał głosami rozkazów, ale zgłuszyła je wrzawa przy bramie. Tu już toczyła się walka wręcz, kilku napastników zdołało wedrzeć się na wyżkę, gdzie kupą zajadle dawali opór nacierającym obrońcom, widno, by drogę utrzymać, gdy inni, doskoczywszy pod bramę, rąbali ją, aż pogłos szedł po grodzie. Wzdłuż wału pchał się tłum nacierających, niosąc drabiny i bosaki.

Ale już po stromej skarpie leciały belki i głazy. Mimo że osłonięci pękami faszyny, napastnicy opłacali krwią każdy krok, pociski szerzyły spustoszenie. Gdy jednak ranni uchodzili, inni pchali się na ich miejsce, widno chcąc zgnieść opór przewagą liczby.

Krasnota, upewniwszy się, że obrona działa, wycofał się, by mieć oko na całość niższego grodu. O zdobycie wyższego pokusić się można było tylko po opanowaniu zachodniej części wzgórza. Wiedział o tym i nieprzyjaciel, gdyż - nie bacząc na straty - parł na bramę. Czas płynął, słońce prześwietliło rzednący tuman i Krasnota wyraźnie widział każdego człowieka. Odetchnął, gdy dostrzegł, że zepchnięto lub wybito tych, którzy wdarli się na wał. Rozejrzał się. Od strony północnego wału czasami przenosiły pociski, na które odpowiadała załoga, od zachodu panował spokój. Tu istotnie starczyło kilku łuczników, by nie dopuścić żywej nogi.

Ani się Krasnota obejrzał, gdy minęło południe. Słońce przejrzało na chwilę, mgła ustąpiła, ale dzień, który zapowiadał się pogodny, chmurzyć się zaczął. Walczono już od kilku godzin, zajadłość jednak nie malała i Krasnota zaczął się niepokoić. Załogę miał wyborową, ale niezbyt liczną, ludziom z nocnej zmiany trzeba dać chwilę wypoczynku, by się pożywili, rannych należy opatrzyć. Gdy rąbanie bramy ucichło, liczył na to, że nieprzyjaciel, widząc daremność wysiłków, odstąpi od uderzenia. Zawołał dziesiętnika i polecił rannych odnieść na wysoki gród, a walczących wyciągać po kilku na zmianę, by się pożywili. Sam także czuł głód i skierował się do kuchen przy wewnętrznym dziedzińcu. Podjadłszy, pilnował wydawania posiłku, wybierając ludzi z nocnej zmiany. Zezwolił im jeno rozzuć się i rozpiąć pasy, by wypoczęli, po czym wyszedł znowu na zewnętrzny dziedziniec.

Dzień był jeszcze, ale już mroczny, zanosiło się na deszcz. Krasnota spodziewał się każdej chwili końca walki, a potem kilka dni spokoju, gdy nieprzyjaciel, chybiwszy zaskoczeniem, lizać będzie rany i przygotowywać oblężenie, któremu jednak żupan potrafi stawić czoło.

Na zakończenie walki nie zanosiło się jednak. Przeciwnie, gwar wszczął się przy północnej furcie i Krasnota, stojąc na środku dziedzińca, po ruchach swych ludzi wymiarkował, że i tam nastąpiło uderzenie. Sądził, że napastnicy chcą jeno odciągnąć obrońców z południowego wału, by ułatwić swoim zadanie.

Jakoż poznał, że nie pomylił się, wrzawa, która przez chwilę zdała się nacichać, nasiliła się i znowu brama zadudniła od ciosów. Mimo że zbudowana z grubych dębowych bali i okuta żelazem, długo już nie wytrzyma.

Krasnota skoczył po wypoczywających ludzi, ale i tak kto żyw, nie czekając rozkazu, biegł w zagrożone miejsce. W półmroku konającego dnia widać było przewalający się przy bramie tłum, w którym trudno już było rozróżnić poszczególnego człowieka.

Żupan kazał zapalić przy bramie beczki smoły. Rudy blask płomienia nasilał się w miarę postępującego mroku, zaczynał siąpić deszcz. Mimo że obrońcy znużeni już byli do ostateczności, każdy zdawał sobie sprawę, że jeszcze jeden wysiłek, a nadchodząca noc i ulewa muszą zakończyć walkę.

Rozumiał to również książę Bolesław i chmurzył się jak nadciągający właśnie wieczór. Mając wielokrotną przewagę, od rana pchał hufiec za hufcem, nie licząc się ze stratami, które były ogromne. Gdy odpadali jedni, zastępowali ich inni. Książę spodziewał się, że zajadłość nieustannego natarcia znuży wreszcie obrońców, których brakło na wymianę. Ale mimo szczęśliwie rozpoczętego dnia, własne jego wojska ogarniać zaczęło znużenie i zniechęcenie. Prócz przybocznego hufca jazdy, wszyscy już byli w walce, a zaprzestanie jej oznaczało utratę jedynej dotąd korzyści, opłaconej sowicie krwią. Stać przyjdzie pod grodem miesiące, tracąc czas i siły, potrzebne, by rozpoczętą wojnę ukończyć przed zapowiedzianym zjazdem, a także sposobność, która może nie powtórzyć się nigdy, by uzyskać uznanie osiągniętych granic i zapewnić ich trwałość.

Nie wszyscy, nawet pośród starszyzny, rozumieli wagę tej walki. Świadczyły o tym twarze

dowódców, coraz bardziej ponure. W miarę jak upływał krwawy dzień, dawała się już zauważyć ich opieszałość przy wypełnianiu rozkazów ponownego prowadzenia swych ludzi w piekło pod bramę. Nie było już zapału, jaki wzbudził pomyślny początek walki. Gdy zapadnie ciemność, wycofają się nawet bez rozkazu. Tlko świeży i bardzo karny wojak będzie walczył, nie czując oka dowódcy na sobie.

Takich miał książę w swym przybocznym hufcu, ale niełatwo powziąć postanowienie, czy już pora wypuścić ostatni pocisk. Stał na brzegu wiślanym, oczyma i myślą obchodząc gród. Mrok i siąpiący deszcz zaczynał już zacierać szczegóły, ale nie trzeba mu było światła. Tu ongiś jako wyrostek wprawiać się zaczynał do rządów, uczył się hamować wrodzoną porywczość. Przez nią w niezapomnianej pierwszej swej bitwie wytracił bez pożytku znaczną część swego hufca, który tak mozolnie i długo trzeba było uzupełniać. Gdyby o tym nie pamiętał, dawno już sam na czele swych ludzi skoczyłby w zamęt walki. Ale wiedział, że tego mu uczynić nie wolno, na przypadek zdać przyszłość swego i ojców dzieła. Nie pora natomiast się wahać, czy cisnąć w płomień walki kwiat swych wojsk. Zwycięża się ostatnim wysiłkiem.

Powziął widocznie postanowienie, bo skinął na wojewodę Topora. Sieciech ze swymi ludźmi, którzy tu się rodzili, rankiem uderzył pierwszy, ponosząc największe straty. Teraz z chmurną twarzą czekał, kiedy mu znowu przyjdzie poprowadzić zdziesiątkowanych pod bramę. Nie wierzył już, by tam udało się przełamać opór.

Bolesław jednak patrzył ku skale schodzącej do Wisły. Wskazał na nią wojewodzie, mówiąc:

- Wy macie ludzi z dawnej załogi grodu. Wiem, że tędy - wskazał na urwisko - nocami po zamknięciu bram do dziewek na Rybaki chadzali i nie trzeba im było bramy ni furty, by wrócić.

Wojewoda zrozumiał, o czym książę myśli, i odparł:

- Jeno że na górze nikt nie czekał na nich z mieczem lubo toporem, najwyżej dziesiętnik dał po karku. Zresztą cóż zdziała kilku ludzi bez miecza i tarczy, bo jużci, że z tym nie wlezie po skale. Lepiej jeszcze świeżą siłą na bramę próbować. A nie uda się, poniechać będzie trzeba.

- Nie radzić - odparł Bolesław, marszcząc brwi - jeno dostawić mi takich, co się po skale wspiąć wydolą.

Sieciech bez słowa odszedł ku swoim i wrócił, prowadząc kilku młodych pachołków. Książę, wskazując na zębatą linię częstokołu na szczycie skały, rzekł:

- Kto tam dotrze i powróz umocuje, konia, miecz i dziesięć grzywien srebra weźmie nagrodą.

Patrzyli po sobie z wahaniem. Najśmielszy odezwał się:

- Każdy z nas rad nagrodę weźmie, jeno kto tym na górze zabroni przeszkadzać?

- Ty myśl jeno o nagrodzie - rzekł Bolesław, uśmiechając się mimo woli - ja zasię pomyślę, by wam przeszkód nie stawiano. Tedy powrozy brać i do dzieła.

Zwracając się do Wilczka, rozkazał:

- Wybierz co najzdatniejszych pięćdziesięciu chłopa, którzy po linach pójdą od Wisły. Z resztą uderzyć na bramę. Wy zasię ze swymi na półmocną furtę - zwrócił się do Sieciecha. - Nim noc zapadnie, musimy być w grodzie.

Młodzi Awdańce opodal przysłuchiwali się rozmowie. Pierwszy raz mieli wziąć udział w walce i od rana czekali na to. Kilkakroć zagadywali stryja, kiedy im uderzyć przyjdzie, ale jeno ich ofuknął: kiedy książę każą. Wojna nie zabawa. Jużci, że nie zabawa, jeno nuda! Gdy posłyszeli, na co się zanosi, Michał trącił Skarbka:

- Słysz! My pójdziem od Wisły.

- Jeśli stryk zwolą - mruknął Skarbek.

Jasne było, że najważniejszą, ale i najniebezpieczniejszą część zadania wykonać ma niewielki oddział, niespodzianie wdzierając się do grodu. Jeśli nie wywoła zamieszania, które umożliwi innym złamać opór przy bramie, noga z niego nie ujdzie. Ale jeśli się uda - sława i nagroda. Rodzic im mówił, że takie ma wojak zawołanie, jakie zrazu pozyszcze. Złe czy dobre, raz się przyklei, niełacno odczepić.

Toteż gdy Wilczek skierował się ku swym ludziom, poskoczyli ku niemu:

- My od Wisły pójdziem, stryku!

- Pójdziesz, gdzie każą, gołowąsie - odparł Wilczek ostro, odwracając się, ale Michał zuchwale zastąpił mu drogę.

- Książę najzdatniejszych wybrać wam zlecili, a któże zdatniejszy od nas?

Po drzewach łazim jak wiewiórki, nawet bez lezidła, cóże to dla nas wspiąć się po skale!

- Odstąp! - huknął Wilczek. - Wpierw cię nauczę posłuchu!

Rozmowa zwróciła jednak uwagę Bolesława. Przystąpił i zapytał:

- O co sprawa?

Michał, uprzedzając Wilczka, odparł:

- My i bez powroza wyleźć wydolim, a stryk nas puścić nie chce, bo go macierz pewnikiem prosiła, by nas szczędził. Tedy może przy koniach nas ostawi, by się nie pogryzły.

Bolesław spojrzał na Wilczka i zapytał:

- Zali to prawda?

Gdy Wilczek nic nie odpowiedział, książę rzekł:

- Pójdą po skale. To mi najważniejsze. Takich wybieraj, którzy sami iść radzi.

- Tedy ja ich powiodę - mruknął Wilczek.

- Dobrze - odparł Bolesław. - Na bramę poprowadzi Wisław Zabawa.

Pachołkowie z linami już muszą być w górze. Bierz swoich i ruszaj.

Krasnota ze środka zewnętrznego dziedzińca dawał baczenie na walkę, trzymając pod ręką garść tarczowników, by pchnąć ich, gdzie zajdzie konieczność. Gdy posłyszał szczęk broni przy zachodniej furcie, kazał i tam rozpalić beczki ze smołą, lękając się, że deszcz, który nasilał się, uniemożliwi to. Światła będzie potrzeba, gdyby się bitwa przeciągnęła do nastania ciemności. Uwagę miał skierowaną na południową bramę. Tu walka zdała się znowu wzmagać, ale Krasnota pewny był, że

to już wysiłek ostatni. Choć nieprzyjaciel siły miał wielokrotnie większe, również wielokrotnie cięższe musiał ponieść straty.

Ale straty ponosili także obrońcy i Krasnota z niepokojem liczył rannych, którzy wycofywali się sami z zamętu lub wynoszeni byli przez towarzyszy. A ilu nie zdołano wynieść? Najbardziej jednak niepokoiły żupana przebijające przez wrzawę odgłosy rąbania. Brama puścić może każdej chwili.

Krasnota pchnął dziesiętnika, by zebrawszy z wałów kogo się da, zwlókł belki i głazy i wrazie wybicia bramy zawalił nimi wejście. W porę to uczynił, bo dopiero zaczęto je ściągać wzdłuż wału, gdy rozległ się łomot, a po nim wrzaski, iż własnego słowa słyszeć się nie dało.

Ale od wybicia bramy do wtargnięcia przez nią było daleko. Na każdego, kto zdołał się wcisnąć, czekały dziesiątki rąk, a długo już napastnik nie wytrzyma straszliwego wysiłku. Jeno go wypchnąć i bramę zawalić, można się na dziś spodziewać końca. Krasnota sam na czele swych tarczowników ruszył pod bramę. Kilkadziesiąt świeżych rąk winno starczyć, by dokończyć sprawy. Właśnie o tym myślał, gdy tuż za nim rozległy się okrzyki przestrachu i zaskoczenia. Obejrzał się. Na karkach jego ludzi siedziała gromada wrogów. Nie czas było myśleć, którędy wdarli się do grodu, nadchodził koniec walki, ale nie taki, jakiego się żupan spodziewał. Z ludzi, na których liczył jako na ostatnią stawkę, część leżała już na ziemi, reszta rozpierzchła się, nie stawiając oporu.

Krasnota zrozumiał, że jedno już tylko mu pozostało: zamknąć się z resztą ludzi w wysokim grodzie, nim zdoła go uprzedzić nieprzyjaciel. Zapominając o znużeniu, pobiegł wzdłuż wału, ile sił w płucach wzywając do odwrotu. Z kilkudziesięcioma ludźmi dopadł bramy wiodącej na wewnętrzny dziedziniec i czekał obok niej na tych, którym uda się jeszcze wyrwać z zamętu. Ale ku bramie toczyło się już kotłowisko uchodzących z walki. Krasnota w obawie, by wraz z nimi nie wdarli się ścigający, kazał zatrzasnąć bramę i założyć belkami. Ze ściśniętym sercem słuchał wrzasków wyrzynanych, którzy się za nią skryć nie zdążyli. Rozjuszeni zajadłością oporu i poniesionymi stratami, zwycięscy nie przepuszczali nikomu. Dopiero koło północy umilkły ostatnie odgłosy rzezi. Beczki smoły dopalały się, ciemność i cisza ogarniały gród, znużeni całodzienną walką zasypiali zwyciężeni i zwycięzcy. Jeno szemrał przybierający na sile deszcz i szumiał wstający wiatr.

Nie spał tylko Krasnota, mimo że znużony śmiertelnie. Ogarnęło go zobojętnienie, poczucie bezpłodności wszelkich wysiłków, nie jeno ostatnich dni, ale życia całego. Nic od niego nie zależało, nie więcej niż od liścia żywot drzewa.

Ocknął się z odrętwienia. Wiedział, że bez posiłków długo opierać się nie może, ale jest jeszcze Czasta za Wisłą, może nadejdzie sam Rudy. Stary wojak rozumiał, że nie takim wodzom sprostać Chrobremu, ale to już nie jego sprawa. Uczyni, co mu kazano. Spokojny był, może nawet zadrzemał, bo gdy podniósł ociężałe powieki, na polu szarzało. Trzeba obejść straże. Dźwignął się ciężko, wziął miecz i wyszedł na dziedziniec.

Deszcz ustał, ale dzień wstawał mglisty. Straże stały na swych miejscach. Krasnota wszedł do izby strażniczej przy bramie. Panował tu półmrok, zaduch potu i wilgotnych szmat. Ludzie spali, jak który z walki się wycofał, nie zdjąwszy nawet obuwia. Zmęczeni być musieli do kresu sił. Krasnota policzył ich, nie budząc, niech spoczywają, póki można. Sam skierował się do izby w baszcie, gdzie kazał umieścić rannych. Którzy nie doszli, spali również, pojękując przez sen. Z ciężkim sercem pobudził lżej rannych, polecając im objąć straż. Zdatni do walki muszą odpocząć. Wspiął się na mur i patrzył na zewnętrzny dziedziniec, wały i budynki. I tam cisza panowała, żadnego ruchu, nie sprzątnięto nawet zwłok. Jeno czarne ptactwo ciągnęło już od lasów, z krakaniem obsiadając szczyty

budynków i częstokoły, podrywając się chwilami i krążąc nad grodem, jeszcze niepewne, czy można już do uczty przystąpić. Splunął i mruknął:

- Poczekajcie na resztę!

Powlókł się do swej izby. I jemu trzeba spocząć, odzyskać choć trochę sił, bo wkrótce będą potrzebne. Jak stał, rzucił się na łoże, nakrył z głową i usnął.

Zbudził go dopiero głód i zbierał się ociągliwie, nie czując kości. Ale wiedział, że gdy pożywi się i rozrusza, rześkość wróci. Dawno nie spał tak długo i spokojnie.

Zamierzał właśnie wyjść, gdy na schodach rozległy się kroki i w drzwiach stanął dziesiętnik ze straży, oznajmiając:

- Poseł od knezia Bolesława.

Krasnota patrzył na rosłego, szpakowatego męża, w kolczudze, z mieczem przy boku i łańcuchem na piersiach. Przybyły z lekka skinął głową i mierząc Krasnotę surowym spojrzeniem, odezwał się:

- Jam jest żupan tego grodu, Sieciech Topór. Sześć godów temu pan nasz ustąpić mi stąd polecił, by krwie nie marnić, gdy sił nie było. Ninie wy ich nie macie, tedy kazał wam rzec: gród macie opuścić do zachodu słońca, z bronią, ale bez mienia. Swobodne wyjście wam poręcza.

Gdy Krasnota milczał, Sieciech podjął:

- Na nijaką pomoc nie liczcie. Czasta zniesiony, Rudy pobity, Ekkehardowi hołd złożył. Tedy jeśli tu ostaniecie, to na zawżdy. Na miłosierdzie nie czekajcie, skoro wam własnej i naszej krwie nie żal przelewać bez potrzeby.

Krasnota wyprostował się i odparł:

- Jeszcze ja tu jestem żupanem, z polecenia mego pana i jeno od niego przyjmuję rozkazy. Nie wiem, co on pocznie, ale wiem, że mnie nakazał gród trzymać do ostatniego człeka. Prawią u was, że wiara Czechów jak koło ruchoma. Ale ja swojej dotrzymam. Tedy niech i wasz kneź swoje słowo zdzierży, że gdybym tu z mieczem przyszedł, głowę ostawię. Przyszedłem, trzeba będzie zapłacić głową - zapłacę. A jeszczeć i ręce mam.

Sieciech patrzył na Krasnotę groźnie i mruknął lekceważąco:

- Krótkie! I głowa zdałaby się lepsza.

- Mniejszy żal ją oddać. Ale wybaczcie, posilić się muszę. Może zwolicie i wy?

- Nie gościem tu jestem - odparł Sieciech gniewnie. - Odchodzę, ale nie żegnam, bo się skoro obaczym.

Bolesławowi żal było każdego dnia i człowieka. Czasu dotąd nie stracił. Jednym dniem wziąwszy niższą część wawelskiego wzgórza, przed świtem następnego całą jazdę przerzucił za Wisłę. Porozdzielana i niekarna zbieranina Czasty zniesiona została niemal bez walki, on sam popadł w niewolę. Droga na południe stanęła otworem, ale trzeba by zostawić choć szczupłe siły, by zamknąć i ogłodzić niedobitków czeskiej załogi. Tego jednak książę nie chciał, przezorność nie pozwalała na dalsze uszczuplanie sił, nadszarpniętych przez poniesione straty. Wojsk będzie potrzeba

choćby na załogi w zajętych ziemiach. Wieści od Ekkeharda były korzystne, ale nie miał żadnych od Jaskotela.

Mimo pomyślnego wyniku wczorajszych walk, książę wstał chmurny i zatroskany. Straty były większe niż się spodziewał, ale szczególnie zabolała go strata Wilczka Awdańca. Gdy po zakończeniu boju starszyzna zdawała sprawę, nie zjawił się. Z ludzi, których poprowadził, żaden nie umiał powiedzieć, co się z nim stało. Gdy o świcie zbierano ciężej rannych i oglądano poległych, wśród nich też go nie znaleziono.

Strapili się tym i młodzi Awdańce. Skarbek nawet ofuknął Michała, że gdyby mu się nie zachciało leźć po skale, i stryk nie byłby poszedł, ale Michał odparł:

- Mało to nasiekli ludzi pod bramą? Miast winy szukać, kopnij się w głowę, może ci zaświta, gdzie stryk mógł się zapodziać. Jakby w wodę wpadł.

- Głupiś! W wodę wpaść nie mógł, bo przy brzegu zasieki są z pni. Tedy choćby odpadł od skały, tam by leżał.

Michał uderzył się w czoło.

- Wżdy tam nikt nie szukał, bo dostępu nie ma, a walki nijakiej nie było.

Poskoczyli co rychlej ku częstokołowi. Podnóże skały schodzącej do rzeki stąd było niewidoczne, ale powrozy, po których wdarli się do grodu, jeszcze wisiały. Na łeb na szyję opuścili się na brzeg i brodząc lub czepiając się skałek rozeszli się w dwie strony. Ale jeno uczynili parę kroków, gdy Michał krzyknął:

- Pódzi!

O parę łokci powyżej, z występu skalnego zwisała ręka, w której tkwiła strzała. Nie mieli wątpliwości, że to leży Wilczek, ale dotrzeć do niego niełatwo. Czepiając się każdego załomu, wspięli się i stanęli nad nim. Leżał na wznak z rozrzuconymi rękoma, nogi tkwiły w szczelinie skalnej. Obrażeń widać nie było, ale twarz miał szarą, nos wyciągnięty i wyszczerzone zęby.

Pewni byli, że nie żyje, ale gdy Michał przyklęknął nad stryjem, pierś leżącego poruszyła się oddechem. Pomału otworzył zmienione oczy i patrzył na bratanków, jakby zbierając zmysły. Zbielałe wargi poruszyły się szeptem:

- Żywiście!

- Żywi! Co z wami?

Ledwo dostrzegalnie poruszył zdrową dłonią i znowu przymknął oczy.

- Podłóż strykowi kubrak pod głowę i ostań przy nim. Ja skoczę po ludzi - powiedział Michał i nie czekając i nie bacząc, że sam może runąć w dół, wspinać się jął po skale.

Długo trwało jednak, nim sporządzone nosze opuszczono na linach i w końcu ranny znalazł się na dziedzińcu. Gdy Bolesław nadszedł, zawiadomiony o znalezieniu Wilczka, rozebrano i opatrywano go właśnie. Od jednego rzutu oka książę poznał, że jeśli nawet Wilczek nie odniósł wewnętrznych obrażeń i wyżyje, zostanie kaleką. Złamana goleń przebiła mięśnie, zwisająca stopa sczerniała już. Setnik Wysota, który opatrywał rannego, widząc, że książę patrzy na nią, skinął jeno głową. Noga

była stracona. Od przypadkowo puszczonej strzały, po której ranna ręka wkrótce się zagoi, ubył wojownik niewielu mający równych sobie.

Żal Bolesława zmieniał się w gniew przeciw sprawcom nieszczęścia ulubionego woja, książę opanował jednak porywczość, która doradzała natychmiast uderzyć na wysoki gródd i dobrać się im do gardła. Szkoda czasu i krwi. Zawołał wojewodę Sieciecha i polecił wezwać oblężonych do wydania grodu, ofiarując swobodne wyjście. Gdy Sieciech wrócił z odmową, Bolesław wysłuchał go na pozór spokojnie, ale głos miał ochrypły, gdy mruknął:

- Chcą ostać, tedy ostaną... po śmierci.

Za życie nieprzyjaciół chciał kupić czas, odmowa wzmogła jeszcze jego zawziętość, ale nie chciał go już kupować kosztem krwi własnych ludzi, toteż uderzenie gotował starannie, by wykonać je niezawodnie i bez nadmiernych strat. Na oczach czeskiej załogi wrzała praca, zbijano drabiny, gotowano osłony z wierzbowego pręcia, naprzeciw bramy zaś - z taranem na dole, a przerzucanym pomostem na górze - dźwigała się machina, którą na okrąglakach toczyć miano pod bramę. Oblężeni, jak mogli, przeszkadzali, sami nie zaniedbując przygotowań do odparcia uderzenia, ale doświadczeni woje rozumieli, że jeśli z zewnątrz nie otrzymają pomocy, długo nie zdołają oprzeć się przewadze. Krasnota, choć ludzi umiał dobrać pewnych, zataił przed nimi, że na pomoc ni odsiecz liczyć nie mogą. Chciał im zostawić nadzieję, której sam już nie miał. Kazał też zapasy przenieść do górnych izb na stołbie i tam gotował się dać ostatni opór.

Książę zaś naglił przygotowania, ubytek Wilczka z szeregów walczących jątrzył w nim zawziętość. Choć pewne już było, że ranny wyżyje, pewniejsze jeszcze, że koniec jego wojowania. W miejscu gdzie była stopa - został krwawy kikut.

Rannych było sporo; lżej poszkodowani odjechali zaraz lizać się pod własnym dachem, innych odsyłano w miarę, jak zdatni byli do drogi. W przeddzień uderzenia Bolesław, który w czasie przygotowań nie miał ni chwili czasu, przyszedł odwiedzić Wilczka. Zastał go lepiej, niż się spodziewał, dźwignął się nawet na widok księcia, ale Bolesław ręką skinął, by się nie trudził, usiadł przy posłaniu i rzekł:

- Widzę, że ci siły wracają, choć starunku wielkiego tu nie masz. Ja jeno skończę, odejdę, tylu ostawiając, ilu na straż potrzeba, nie będzie komu chodzić koło ciebie. Pod niewieścią, a już swojacką ręką, rany prędzej się goją. Własnej niewiasty nie masz, może do Skarbna cię odesłać?

Lekki rumieniec zabarwił bladą twarz Wilczka, gdy odparł:

- Dzięki wam za troskliwość, ale zwólcie tu ostać, póki się nie wyliżę z ran.

- Nie naglę, jeśli się jeszcze na siłach nie czujesz, i baby jakowe tu sprowadzimy, gdy do osad i podgrodzia wrócą ci, co uszli. Ale za niedzielę lubo dwie podbierzesz się i cóż tu będziesz działać? A ninie i w drodze miałbyś swojacką opiekę, bo bratanków twych odsyłam do Jaskotela. Ciebie Wrochna prosiła o pieczę nad nimi, i słusznie, bo jak szczeniaki do zwierza, rwą się na wyprzódki, póki ich raz i drugi odyniec kłami lubo niedźwiedź pazurem nie zawadzi. Niechaj, gdy tyś już niezdatny, pod ojcową ręką nabierają doświadczenia, bo szkoda by ich było. Jak widzisz, rychło następców trzeba gotować po sobie.

Wilczek odparł cicho:

- Wiem, żem już nieprzydatny, tedy nie troskajcie się o mnie, gdy innych trosk wam nie brak.

- Ostaw to mnie - odparł książę z rozmyślną szorstkością. - Ninie wojować nie będziesz, tedy prawie pora, byś wreszcie o własnym gnieździe pomyślał i następców zostawił, nie gorszych niżeś sam, bo i memu następcy takich będzie potrzeba.

- Wybaczcie, panie - odparł Wilczek. - Dałem, na co mnie stać było, ale następców wam nie dam. I bez nich ród nie zaginie.

- Co prawisz! Chłop z ciebie na schwał, do ożenku stopa niepotrzebna. Nie masz takowego rodu, który by ci córy swej odmówił, ani żadnej przymuszać nie będzie potrzeba. Rozumiem, że trudno patrzeć na sprawy jasnymi oczyma, gdy w zakopconą powałę utkwione, a boleść ciało drąży. Aleć nie jutro weselisko. Choćbyś nie chciał, poczekać musisz, póki ja z wyprawy nie wrócę, bo tak mniemam, że mnie w gości zaprosisz.

- Nie zaproszę, miłościwy panie, bo nijakiego weseliska nie będzie. Czas miałem przemyśleć, co począć z sobą, i już postanowiłem. - Gdy książę patrzył pytająco, Wilczek dodał: - Mnichem ostanę.

Bolesław znał Wilczka od wyrostka, ale zaskoczyło go to, co usłyszał, i milczał. Wilczek zaś, który nigdy nie mówił o sobie, teraz mówić zaczą, nie patrząc na księcia, jakby dla samego siebie ubrać musiał w słowa to, co w nim tkwiło:

- Na wojów rodzic nas chował, ani pomyśleć było kiedy, że można inaczej żyć. Ochrzcić nas dał, dgy kniaź Mieszko kazali, ale nawet imienia nie pomnę, jakiem wonczas otrzymał. Jako przódzi Wilczkiem się zwałem, i prawie. Od wyrostka, jako wilk, ostawiałem za sobą jeno boleść, śmierć i łzy. Szczęścia ni sobie, ni komu. Nawet niewiasty nie pojąłem. Po cóż miała, jak Jaskotelowa, jeno czekać przez żywot cały, kiedy jej małżonka przywiozą, jak mego rodzica przywieźli? Za miłowanie i wierność jeno tęsknica i niepokój. A w ostatku i osława, gdy męża nigdy nie masz doma. - Machnął ręką i zamilkł.

Milczenie przerwał Bolesław:

- Ninie doma byś siedział. Twoja by nie czekała. Praweś, że wojna szczęśliwości nie niesie nikomu, mnie takoż. Wolej jednak być wilkiem niźli zającem, choć i ten gryzie, gdy mu się do gardła dobierają. W raju pono nie gryzły, w pokoju żywiąc obok siebie. Otto pokój chce przynieść światu. Daj to Bóg. Ale pokąd go nie ma dla wszystkich, nietrudny wybór - dać gardło zali wziąć. Szczęśliwość? Dla częda ona przy matczynej piersi. A dla męża bogactwa, dostojeństwa i sława, która nad żywot droższa i trwalsza.

Wilczek zdał się namyślać nad tym, co powiedział Bolesław. Zaczął zamyślony:

- Sława! Rodzic mój na wojnie żywot spędził i tam go położył. Czasem wspomni kto, co o nim od swego rodzica słyszał, że wojownik był zawołany. A częściej przypisaniec lubo niewolnik - że człek dobry był, choć nagły. Krzywdy nie czynił ni czynić nie zwolił nikomu. Bogactwa! Lubił je zbierać jak wyrostek barwne kamyki. A umierał w mroźną noc, korzeń mając pod głową miast zagłówka. Bogactwa nam ostawił, a za wszystko, co mam, ani tej stopy nie odkupię. Dostojeństwa! Wżdy to jeno brzemię. Jaskotel pierwszy jest u was, a sam mi rzekł, że swobodny i radosny był jeno wówczas, gdy u pustelnika na odludziu siedział, kiedy to z rodzicem się pociął. Nie usiedział, bo duch w nim żywie niespokojny, dziewki lubił, biesiady i pieśni. Ja usiedzę.

Bolesław, który słuchał zadumany, odezwał się:

- Prawda, że postanowić musisz, jako dalej żyć, jeno czy nie zbyt pochopnie? Czasu ci nie zbraknie rozważyć, gdy wydobrzejesz. Niemoc i boleść źli doradcy - nie patrzy jasno, kogo na kole łamią.

- Ale zrozumie, czego nie rozumie człek, któremu zda się, że jeno on ból i śmierć może zadawać - cicho odparł Wilczek. - Gdym Wojciechowy zewłok z Drużna wiózł, żałowałem tego człeka, że zmarnił wysoki ród, dostojeństwa i bogactwa po to, by w trwodze umierać, niczego nie dokonawszy. Zdało mi się niegodne męża nawet ręki nie podnieść w swej obronie. A gdym teraz tam na skale leżał, jakby iście na kole łamany, i wyć się chciało jako psu z boleści, a głosu wydobyć nie wolno, by innych nie zgubić, zrozumiałem, że większego męstwa i mocy potrzeba, by zdusić boleść i lęk, niźliby samotnie na cały huf uderzyć. A gdy mnie omdlenie naszło i zdało się, że to już śmierć, jakoby ciężar ze mnie zdjął nie w siły. Wyzwoleniem ona jest, a jeśli tam wieczysta szczęśliwość czeka, cóże ta chwila bólu i trwogi, by przebyć próg? I gdzie takowe dostojeństwo, przed którym klękają cesarze i króle, gdzie takowa siła, która ostaje, gdy ciało w proch się rozsypie? Gdym się ocknął z omdlenia i ból przygasł, jeno słabość, że głosu nie wydać, nie wiedziałem jeszcze, żem okaleczon na zawżdy. Alem wiedział, że miecza więcej nie podniosę, bo łacniej ból zadawać, niż znosić. Coś większego jest we władaniu sobą niż innymi, w wyrzeczeniu niźli w dobywaniu.

Bolesław słuchał w milczeniu. To samo, co ongiś Wilczek, i on myślał o Wojciechu. Żal mu było miłego człowieka, ale jeno dlatego, że zginął, niczego nie dokonawszy. Gdy na wagę złota wykupywał jego ciało, liczył trzeźwo, jaką korzyść własnym jego celom przynieść może głośna już w chrześcijaństwie męczeńska śmierć człowieka, który ongiś orędował w Rzymie o koronę dla polskiego władcy. Bolesław nie rozumiał innego męstwa niż to, które objawia się w walce, ani innej siły niż ta, która daje zwycięstwo. O ludziach takich jak Wojciech z politowaniem sądził, że to nie oni wyrzekli się życia, lecz życie ich się wyrzekło lub zbiegli przed nim, wiedząc, że mu nie sprostają. Czym byłby Wojciech, gdyby z bracią ostał w Lubicy? Małym książątkiem, które, jak oni, zginąć musi bez pomsty, w tym świecie, gdzie tylko dla silnych miejsce.

To, co mówił Wilczek, zmuszało Bolesława do innego spojrzenia na te sprawy, pozwalało zrozumieć, że są inne siły niż te, które zwykł brać w rachubę. Gdyby Wilczek nie potrafił zapomnieć o sobie w chwili śmiertelnego lęku i bólu, byłby zgubił nie tylko tych kilkudziesięciu ludzi, których wiódł, a między nimi swych bratanków, ale zaprzepaścił krwawy wysiłek całego dnia, a skutki tego mogły stać się groźne dla całej wyprawy. Gdyby ongiś młody Lambert przyjął pod wpływem trwogi ofiarowany tylko jemu z litości żywot, byłby nie tylko zgubił matkę i brata. Śmierć ich musiałaby wywołać zadrę z Kościołem, która unicestwić mogła szerokie zamierzenia Bolesława. A jałowy, jak się zdało, zgon Wojciecha, ku któremu zmierzał w lęku i trwodze, by żywot swój rzucić jak kamyk w wodę na przepadłe, stał się płomiennym wyrzutem przeciw tym, którzy krzyż nieśli w rękojeści miecza. Śmierć uczyniła pokornego człowieka niezwyciężonym przywódcą buntu przeciw nieprawości fałszywych apostołów.

Bolesław jednak zwykł stąpać po ziemi z otwartymi oczyma, nigdy nie tracąc z nich własnego celu. Jeno ptak zdoła wzlecieć od razu na szczyt, bartnik piąć się musi mozolnie z gałęzi na gałąź, bacząc, czy ciężar jego utrzymają - by nie runąć w dół. Młody cesarz jest marzycielem, skoro zda mu się, że starczy chcieć, by osiągnąć powszechny pokój i sprawiedliwość. Widno sam zrozumiał, że nie podoła, skoro zamierza złożyć koronę. Ale zechce przekazać komuś myśl, którą pieścił od pacholęcych lat. Pokutna pielgrzymka do grobu przyjaciela nie jest widno jedynym celem

zapowiedzianego przyjazdu, skoro zabrać postanowił najwyższych dostojników.

Cokolwiek jednak zamierza młody cesarz, wpierw należy kończyć rozpoczętą wojnę, by jąć się przygotowań do zjazdu, na który oczy całego chrześcijaństwa będą zwrócone. I świętego znaczenie podnosi, gdy relikwie w złoto są oprawne, i o własnej potędze najłacniej przekonać hojnością i przepychem. Zasobów nie brak, wojna dostarczy ich jeszcze, w samym Krakowie niemały skarbiec być musi.

Bolesław wrócił myślą do najbliższych spraw. Kładąc rękę na głowie Wilczka, który patrzył gdzieś przed siebie, powiedział:

- Nijak mi twe zasługi ostawić bez odwdzięki. Żal, że jutro bez ciebie kończyć przyjdzie, ale klasztorów bardziej niż grodów, mnichów nie mniej mi potrzeba niż wojów. Stoigniew z Rzymu ma ich przywieźć, klasztory będę fundował, opatem mógłbyś ostać.

- Jeślim na łaskę waszą zasłużył - odparł Wilczek - zwolnijcie mnie i od tego, panie. Wolny chciałbym być, a wolnym jest jeno, kto nikogo nie ma nad sobą ni pod sobą.

- Wżdy i w klasztorze jedni słuchać muszą, inni rozkazywać.

- Do onego pustelnika chcę się udać, u którego krewniak mój, Gołuch, się przytulił. On ślepy, ja kulawy, prawieśmy sobie równi, uśmiechnął się smutno Wilczek. - I on szczęśliwości nie zaznał, ale tam nalazł pokój.

Dzień wstawał pogodny i ciepły, prawdziwie już wiosenny. Niebo na wschodzie z granatu przechodziło w zieleń, która rozjarzała się, nasycając świat barwami pękającego po ciepłych deszczach pąkowia. Ptactwo dawno już podniosło poranny gwar, tylko na grodzie panowała cisza, jakby spało jeszcze wszystko. Ale nie spał nikt. Krasnota obudził się na długo przed świtem. Pożywił się, przybrał do boju i wyszedł na dziedziniec. Doświadczony wojownik wiedział, że Bolesław pokończył już przygotowania, a czas jest dla niego cenny. I Krasnota walczyć będzie już jeno o czas, do ostatniego człowieka. Patrzył na swych ludzi, jakby odgadnąć chciał, który z nich będzie ostatni. Krzątali się bez zwyczajnego gwaru; i oni widno spodziewali się uderzenia. Krasnota nasłuchiwał i rozglądał się, czy nie dostrzeże przygotowań do natarcia u nieprzyjaciela, ale i tam panowała cisza, jeno z dołu, od rzeki i bagien, słychać było skrzekliwe głosy rybitw i żałosne kwilenie czajek.

Krasnota patrzył na ciemny kształt oblężniczej machiny, okrytej wilgotnymi skórami dla osłony przed ogniem. Gdy podejdzie pod mur, może uda się ją podpalić. Zawahał się. Drewna miał zapas niewielki, nie może kazać palić pod kotłami ze smołą, póki nie uzyska pewności, że uderzenie nastąpi, a wstawała w nim wątpliwość. Jasno już było, a nie widać żadnego ruchu. Może jeszcze jeden dzień zwłoki, jeden dzień życia. Wkrótce wzejdzie słońce - jego źródło. W jasnym świetle śmierć zda się czymś nierzeczywistym i odległym.

Krasnota zdjął hełm i przymknąwszy oczy z lubością czuł, jak ciepły powiew igra z jego włosami łagodną pieszczotą. Coś z dziecka widno do starości zostaje w człowieku, bo znienacka naszła go chęć taplania się w nagrzanej wodzie podmokłych łąk, gdy jak ongiś, za pacholęcych lat, nad Wełtawą wybierał z gniazd czajcze jaja. Nigdy najznamienitsze łupy nie dały mu tej radości, jaką odczuwał niosąc do domu parę garści ulubionego przysmaku.

Może to odległe krzyki czajek budziły jasne wspomnienia, ale nie trwały dłużej niż letnia błyskawica i zgasły. Krasnota włożył hełm i nasłuchiwał. Jeszcze nieokreślony, ale już wyraźny gwar doszedł do jego uszu. Pierwsze promienie słońca zalśniły właśnie na szczycie baszty i jakby na to

hasło, skrzypiąc, ruszyła z miejsca oblężnicza machina. Rozległy się głosy rozkazów, dziedziniec zaroił się zbrojnym ludem i zadudnił odgłosem tysięcy stóp. Chmary pocisków z sykiem pruły powietrze, rozległy się krzyki rannych, ale wszystko zgłuszył jeden ogromny wrzask. Tłum dopadł pod mur, w mgnieniu oka sterty faszyny wypełniły fosę, a dziesiątki drabin, zgrzytając żelaznymi hakami o kamienie, sunęły po murze. Gdy jedne odpadały spychane bosakami lub łamały się z trzaskiem pod ciężarem walących się na nie belek i głazów, w ich miejsce zjawiały się następne. U stóp muru leżała już mierzwa ludzkich ciał, strzaskanego drewna i kamieni, żaden pocisk obrony nie szedł na marne, ale nie starczyło ich dla wszystkich. Tu i ówdzie już na murze wrzała walka wręcz.

Krasnota własną ręką podpalił stos pod kotłem ze smołą i poskoczył na górę. Machina zbliżała się z wolna, ale nieubłaganie, kilka głazów wypuszczonych z olbrzymiej kuszy odpadło bezsilnie od rozwieszonych skór. Była już o kilkadziesiąt kroków, nie pora czekać, aż smoła roztopi się całkowicie. Da się już wykinąć z kotła i podpalić za murem. Krasnota z dwoma ludźmi poskoczył do ogniska, kazał dźwignąć kocioł, a sam porwał rozżarzoną głownię. W tej chwili posłyszał huk opadającego pomostu, a zaraz potem wrzaski, aż zaświdrowało mu w uszach. Cisnął polano i spojrzał. Na murze wyrzynano jego ludzi, niektórzy na łeb, na szyję zeskakiwali na dziedziniec. Zbliża się kres, jeszcze tylko w stołbie można dać opór. Kopnął się ku niemu, usiłując skrzyknąć choć kilku ludzi. Ale i na to było zapóźno. Napastnicy byli już na dziedzińcu, bez miłosierdzia wycinając nawet tych, którzy cisnęli broń. Krasnota poskoczył w kąt między kościołem a murem i rozejrzał się. Dorzynano już resztę obrońców, ostatni będzie on sam. Kilku wojów bez pośpiechu skierowało się w jego stronę. Krasnota przeżegnał się i wyciągnął miecz.

Widno jednak zamierzali wziąć żywcem wodza, gdyż idący na czele wojak nie sięgnął do broni, lecz krzyknął:

- Oddajcie miecz!

- Weź go sam! - warknął Krasnota, wznosząc broń w górę.

Wojak cofnął się i w tej chwili Krasnota poczuł uderzenie strzały w pierś. Zatoczył się i przyklęknął, łapiąc oddech, od którego bulgotało mu w płucach. Poskoczyli ku niemu, ale dźwignął się jeszcze, mrugając oczyma, by usunąć czarną mgłę, która przesłaniać zaczynała jaskrawe światło dzienne. Jak szybko zapada noc! Koniec walki, można spocząć. Krasnota zwalił się na ziemię.

Do furty kościółka w otoczeniu starszyzny nadchodził książę. Dostrzegłszy stojących nad zwłokami wojów, zatrzymał się i przez chwilę patrzył na poległego. Poznał go widocznie, gdyż odezwał się:

- Zdzierżyłem swoje słowo i on zdzierżył swoje. Pogrześć go z mieczem i w zbroi, jako dzielnego woja i czestnego człeka.

Viii

Rozjuszeni zaciekłością obrony i poniesionymi stratami, woje dosłownie wykonali wydany w gniewie rozkaz księcia, by nie szczędzić nikogo. Z Krakowa nie uszedł ni jeden świadek klęski.

Mimo to wieść o bezlitosnej rzezi uprzedziła pochód, budząc grozę i popłoch, załogi grodów pierzchały na samą wieść o zbliżaniu się wojsk Bolesława. Rudy, poniósłszy na przedwiośniu klęskę od Ekkeharda, miast gotować obronę zagrożonych najazdem dzielnic, tępił nadal stronników braci, im przypisując winę rozprzężenia. Rozpanoszeni Wrszowce stracili wszelką miarę, samemu księciu okazując lekceważenie i dając odczuć, że bez ich poparcia nie utrzyma się na tronie. Bezład i bezprawie osiągnęły szczyt, nikt nie był pewny życia ni mienia. Toteż coraz częściej zjawienie się wojsk Bolesława lud witał z ulgą, widząc, że polski książę bez miłosierdzia łamie wszelki opór, ale tam, gdzie go nie znalazł, równie bezlitośnie powściąga wojacką samowolę, żądając jeno danin i świadczeń wedle istniejących praw i obyczajów, przywracając ład i spokój, wygnane przez Rudego. Wielu zaczynało w nim widzieć wybawcę, godniejszego niż Rudy zasiąść na tronie czeskich przodków.

Zapewne o tym myślał i Bolesław, wolał jednak, by położenie samo dojrzało. Toteż odwołał Jaskotela, który, zająwszy Opole, wtargnął do Czech, łupiąc i pustosząc, i w porę żniw wojska wracały już, obsadziwszy granice, jakie w chwili swej śmierci zostawił Mieszko. Zapowiedziany zjazd z cesarzem zbliżał się, czasu jednak niewiele pozostało na jego przygotowanie, Stoigniew donosił, że Otto na przedwiośniu stanąć zamierza w Gnieźnie. Najpilniejszą sprawą było dokończenie przerwanej na skutek wojennych wypadków rozbudowy kamiennego pałacu na Lednickim Ostrowiu, by stworzyć siedzibę godną potężnego władcy i zdolną pomieścić spodziewanych na zjazd dostojników.

Magister Wojtko, który kierować miał dziełem, nie stracił wprawdzie czasu pod nieobecność księcia i przygotował plany zarówno pałacu, jak i dodatkowych budowli, mających zająć znaczną część samego Ostrowia i sąsiednią wysepkę Ledniczkę. Z rozpoczęciem budowy czekał jednak na księcia, a tymczasem odnawiał ufundowaną jeszcze przez Dobrawkę rotundę pod wezwaniem Najświętszej Panny, zaniedbaną i zniszczoną w czasie zamieszek. Bolesław wyraźnie nakazał nie szczędzić kosztów ni trudu, zarówno by uświetnić i utrwalić pobożne dzieło swej matki, jak i z myślą o tym, by prostota i ubóstwo niewielkiej pałacowej kaplicy nie raziły nawykłych do wspaniałości zachodnich świątyń dostojników. Toteż mistrz, mając wolną rękę, zabrał się do dzieła ze znawstwem i zamiłowaniem. W miejsce zniszczonej drewnianej podłogi osadził na zaprawie z gliny i tłucznia posadzkę z rzeźbionych kamiennych płytek, poczerniałe ściany pokrył malowidłami na świeżej zaprawie. Nowo odkute cztery filary, dźwigające strop, świeciły świeżą bielą w półmroku rozpraszanym światłem dwóch nisko osadzonych okien z południowej strony, naprzeciw wejścia od pola. Zakopcony niski strop nie przygniatał już, pokryty malowidłem o jasnych barwach, całe wnętrze jakby poszerzyło się, reszty dokona bogaty sprzęt i kobierce. Z kopułki nad kaplicą zerwano poczerniałą blachę. Nowe pokrycie z blachy ołowianej z domieszką srebra, wypolerowanej jak zwierciadło, świeciło z dala niczym gwiazda, zapobiegając, by zamierzona kamienna budowla nie usunęła się w cień niewielkiej świątyni.

Viii (cd.)

Mistrz Wojtko patrzył na swe dzieło z zadowoleniem. Znał wspaniałość i ogrom kościołów w Italii i Niemczech. Ale na Ostrowiu, w całości nie większym niż wawelska skała, nie było miejsca na ogrom, zwłaszcza że kamienne budowle mógł udźwignąć tylko niewysoki wzgórek od południowej strony, gdzie woda nie wedrze się do podwalin, przewidziany wyłącznie na rozbudowę pałacowych

pomieszczeń. Całość miał Wojtko przemyślaną do najdrjobniejszych szczegółów, oczyma wyobraźni widział już białe mury w oprawie zielonej wyspy, odbite w jasnych wodach jeziora, i niecierpliwie czekał na powrót księcia, by pomysł zmienić w rzeczywistość, która przetrwa pokolenia.

Bolesław prosto z Moraw wrócił do Poznania, gdzie bawiła Emnilda z dziećmi, obiecując, że da mu już wkrótce nowego potomka. Książę przyjął wiadomość z podwójną radością. Rzadko siedząc przy rodzinie, ani się obejrzał, jak starsze dzieci podrosły, a w okresach wypoczynku lubił zabawiać się z maleństwami. Trzeba już myśleć o ich przyszłości. Do związków, jakie książę w czasie zjazdu zawrzeć pragnął, dojdzie jeszcze jeden: prosić będzie cesarza, by do chrztu trzymał spodziewanego potomka, i jeśli to będzie chłopiec - obdarzył go swoim imieniem. Uroczystość wraz z innymi odbyć się winna na Lednickim Ostrowiu, w odnowionej i wspaniale przystrojonej rotundzie.

Bolesław, nie wypocząwszy nawet po trudach wojennych i dalekiej drodze, w pogodny ranek ze szczupłym orszakiem wyruszył na Lednicę obejrzeć dokonane dzieło i wydać zarządzenia. Stamtąd zamierzał wybrać się na objazd kraju, by - póki sprzyja pogoda - odprawić sądy i załatwić sprawy, które pod jego nieobecność zaległy, a późną jesień i zimę mógł swobodnie na przygotowania do zjazdu poświęcić.

Po raz pierwszy w podróży tej miał mu towarzyszyć mały Mieszko, który od dwóch lat już pod kierunkiem starego Mszczuja wprawiać się zaczynał w potrzebne wojakowi umiejętności, nie zaniedbując przy tym nauki pisma i obcych języków, a zwłaszcza łaciny, by w rządzeniu wielkim państwem, jakie mu ojciec zostawić zamierzył, nie być zdanym na to, co mu obcy powiedzą lub napiszą.

O tym swoim wyborze Bolesław nie mówił jeszcze z nikim, ale otoczenie księcia mogło już pomiarkować, że nie w pierworodnym Bezprymie gotuje sobie następcę. Zdało się, że książę zgoła chce zapomnieć o tym niechcianym synu po narzuconej sobie małżonce. Wróciwszy z wyprawy, nawet o niego nie zapytał ani widzieć go nie chciał, choć Bezprym bawił opodal w Dachowie u swego piastuna Dierżka Łodzi. Dzierżek wiedział, że książę nie ma serca dla tego syna, a chłopak ni urodą, ni wzięciem nie umiał sobie skarbić życzliwości i wyraźnie nie dbał o to. Krępy, smagły, ciemnowłosy, z czarnymi, nieco skośnymi oczyma w szerokiej twarzy, zarazem skryty i gwałtowny, chował się tedy niemal dziko, wałęsając się samopas, z kim popadło. Mało kto pamiętał o jego istnieniu, jeno Emnilda nie mogła zapomnieć lęku, jaki Bezprym budził w jej dzieciach w czasie wspólnego z nimi pobytu, i jego postępku, świadczącego o nienawiści do nich żywionej. Nie mówiła o tym mężowi i młodych Awdańców zaklęła, by zachowali tajemnicę. Rozumiała krzywdę, jaka od niemowlęcia towarzyszyła Bezprymowi, nie widziała jednak sposobu jej wyrównania. Lękała się, że gwałtowny i namiętnie przywiązany do jej dzieci małżonek gotów w gniewie rozlać krew, gdyby pomiarkował, co odtrącony syn w swym sercu dla nich chowa. Wolała, by o nim zapomniał, ale z trwogą myślała, kiedy i jak Bezprym o swym istnieniu przypomni.

Mały Mieszko natomiast, straciwszy z oczu przyrodniego brata, zgoła o nim nie myślał. Do niego życie zdało się uśmiechać jak ludzie, którzy, przewidując w nim przyszłego pana, już teraz starali się zjednać jego życzliwość lub przez niego przychylność ojca, którego był ulubieńcem. Tylko doświadczony Mszczuj surowy był dla wychowanka i wymagający, choć chłopiec uczył się łatwo i chętnie, a zdrowy i tęgi - nie pozostawał w tyle za rówieśnikami w wojackich ćwiczeniach, przewyższając ich bystrością i ogładą. Gdy książę po powrocie zapytał piastuna o postępy syna, Mszczuj odparł w zamyśleniu:

- Niczego w nim nie mogę przyganić, aż zbyt łatwo go prowadzić. Z wami nie tak było.

Bolesław roześmiał się i odparł:

- Rad jestem, że nie słyszę gorszej przygany. Inny czas innego potrzebuje człeka. Ja nie ostawię mu tego, co mój rodzic mnie.

Mszczuj nic nie odparł. Świeżo miał w pamięci, że wola zmarłego księcia niewiele się liczy, przy władzy zostaje silniejszy lub chytrzejszy, a wcale nie był pewny, czy będzie nim Mieszko. Ale Bolesławowi dopiero pół kopy minęło, a silny i zdrowy jak tur. Czas troskać się o następcę.

Od tych myśli wolny był jeszcze Mieszko. Za przywiązanie płacił ojcu ślepym uwielbieniem. Jechał przy jego boku gładką jak stół drogą, wiodącą z Poznania do Gniezna, która w świetle ciepłego, jesiennego słońca wiła się jaśniejszym pasmem wśród zielonych jeszcze łąk, błękitnych jezior i złocistych rżysk. Nie myślał o tym, że wyrównana została trudem tysięcy rąk w przygotowaniu zjazdu i że nie wszystkie leżące przed nim drogi będą równie gładkie. Nie było jeszcze południa, gdy dotarli do osady Latalice, położonej na zachodnim brzegu jeziora, gdzie książę zostawił orszak i konie, a sam z Mieszkiem tylko i Mszczujem przeprawił się na wyspę.

W przystani oczekiwał już księcia mistrz Wojtko, ze swą długą na dziesięć piędzi laską pomiarową, którą dzierżył dumnie niczym berło. Chcąc pochwalić się swym dziełem, prowadził księcia do kaplicy, którą Bolesław obejrzał z uwagą i widocznym zadowoleniem. Gdy mistrz zaczął jednak rozwodzić się, jak zamierza ją przyozdobić, książę przerwał, klepiąc go życzliwie po barku:

- Rad jestem z tego, co widzę, i zdaję się na ciebie. Ale na zdobienie czas będzie zimą, ninie chcę wiedzieć, jak owo palatium zamierzyłeś.

- Tedy przejdźmy do świetlicy, miłościwy panie. Raniej obejrzycie na pergaminie, później in loco, bo rowy pod fundamenta już wykopać kazałem, by czasu nie tracić. Szerokość budowli do tego, co już jest, dostosować się musi, długość - ile miejsce zwoli, by wody w podwalinie nie dostać. Tedy wzwyż zamierzam dźwignąć budowlę, by żądaną przez was przestrzeń pozyskać, ale fundamentum kłaść jeszcze nie kazałem, czekając na waszą zgodę.

Przeszli wejściem naprzeciw ołtarza do świetlicy, której sklepiony strop wsparty był na trzech słupach. Między dwoma oknami w zachodniej ścianie, gdzie najjaśniej było, mistrz urządził swój warsztat. Na obszernym stole leżała sterta pergaminów z rysunkami i obliczeniami, które Wojtko zaczął objaśniać. W środkowej części budynku przewidział wewnętrzny dziedziniec z arkadami na dziesięciu słupach. Na wyżce nad nimi, do której wiodły schody ku otworowi w powale - kilka komór sypialnych z oknami na południe oraz przedsionkiem do alkowy i izby mieszkalnej sklepionej na pięciu słupach. Wyjście wiodło przez zewnętrzne schody od północnej strony, nad oknem obszernej sali biesiadnej na przyziemiu, której strop oparty był na dwóch potężnych filarach. Nad całością, na drugiej wyżce, przewidziany był babiniec, w czasie zjazdu jednak służyć mający na pomieszczenie dworu i dostojników cesarskich.

Prócz kamiennego palatium mistrz zaplanował szereg drewnianych budowli:

dworzec dla pałacowego duchowieństwa koło kaplicy, łaźnie z krytym gankiem, kuchnie obok izby biesiadnej i domy dla dworskich urzędników. Lamusy, budynki gospodarcze i mieszkanie służby przeniesione być miały na Ledniczkę. Pracy był ogrom. Książę z uwagą słuchał objaśnień, a gdy mistrz skończył, zapytał:

- Ile czasu trzeba, by postawić, coś umyślił?

- Jeśli przeszkód jakowych nie będzie, we dwa gody będę gotów - odparł Wojtko.

- A ja ci daję dwa miesiące, by palatium pod dach wyprowadzić - rzekł książę. - Drewniane budowle wznosić można i zimą, ale na Wielkanoc gotowe musi być wszystko.

Gdy Wojtko, zaskoczony i zmieszany, milczał, Bolesław dodał:

- Nie dla siebie buduję, bo siedzieć tu nie będę, jako i mój rodzic nie siedział.

- Wżdy, miłościwy panie, nawet kamienia na miejscu nie ma. Wapień na rzeźby i kapitele zwozić musim z Barcina, głazów na ciosy na polach szukać, bezdrożami ściągać i promem przeprawiać na wyspę. Jeno polnego kamienia na podwaliny, ile trzeba, zgotowałem.

- Możesz je kłaść, choćby dziś. Rzemieślników - ilu i jakich zatrudnić wydolisz - dostaniesz, skarbnik wyda ci wszystko, co potrzeba. A ludzi i sprzężaju do zwózki wielmożom dostarczyć każę, jako wszędy jest obyczaj, gdy władca siedzibę stawi. Gdyby każden, kto powinien, jeno jeden głaz przywlókł, stanęłaby góra.

- Nie trzeba, miłościwy panie. Zbyt wielka ciżba wzajem sobie przeszkadza, pomieścić ją trzeba i żywić, a ład utrzymać trudno - odparł mistrz.

- Nie twoja sprawa. Włodarza ustanowię, który będzie miał prawo sądu i który nad roboczą rzeszą, a troskę, by jej nie zbrakło niczego. Ty jeno buduj. - Zwracając się do Mieszka, który z zaciekawieniem oglądał rysunki i wyliczenia, książę dodał: - Pradziad twój gródek tu jeno niewielki, drewniany wystawił, by drogi strzegł z Poznania do Gniezna. Dziad - to, co widzisz. Chociaż więcej zamierzył, pilniejszych spraw zadość było. Ninie najpilniejsza tu, i moje to dzieło. Cóże ty będziesz działać?

Mieszko, zmieszany i zaskoczony, odparł:

- Jeszcze o tym nie myślałem. Co każecie, miłościwy ojcze.

- Ani się obejrzysz, jak mężem ostaniesz, nie zawżdy ja będę myślał za ciebie. Da mi Bóg, niejedno ja ci gotowe ostawię, jak owo palatium, nawet o małżonce pomyślę dla ciebie, która by ci przymnożyła czci i potęgi. Jeno druhów sam sobie dobrać musisz, na których zdać byś się mógł jak na siebie samego, gdy ci kiedyś ciężar dźwigać przyjdzie nie w siły jednego człeka. Drużba jest jako drzewo, im wcześniej posadzić, tym łacniej się zakorzeni i wyżej wyrośnie.

Mszczuj słuchał w skupieniu. Tego właśnie Mieszko nie umie. Choć nie wyniosły, nie zbliżył się do żadnego z rówieśników, i oni go nie szukają! Piastun pamiętał jeszcze Mieszkowego pradziada. Do Ziemomysła dostęp miał każdy i każdy go rozumiał, gdy społem siadywali na wiecach. Już Mieszko był inny, przybyło spraw, których nie rozumiał dziedzic siedzący z dala od dworu, i ziem, z których każda radziła już tylko o swoich własnych sprawach, gdy o wspólnych książę sam podejmował postanowienia, radząc się jeno najbliższych. Obcy jeno sługami byli, którym bacznie i nieufnie patrzył na ręce. Bolesław nie zwykł się już radzić, jeno zadania wyznaczać. Co zamierza, wie może jeden Stoigniew i on jeden nieproszony waży się radą wystąpić. Mszczuj od małego wpojone miał zaufanie i przywiązanie do Piastowego pokolenia, ale niepokoiły go ciągłe zmiany, których nie rozumiał. Mistrz Wojtko sklepienie swej budowli oprzeć zamierza na wielu słupach. To, co buduje Bolesław, opiera się na nim samym. Znając go od dziecka, Mszczuj wierzył, że podoła ciężarowi, Bolko umiał się przeciwstawić nawet własnemu wielkiemu ojcu, jeno czy nie zbyt szybko buduje, jak ten pałac, który gotowy chce mieć za kilka miesięcy, gdy mistrz zażądał dwóch lat. Czy

zdoła wykończyć, co zamierzył, nim przyjdzie zdać swe dzieło Mieszkowi, który chce tylko słuchać? I po co budować pałace, które można podziwiać, ale mieszkać lepiej w starych dworcach, przytulnych i jak las pachnących żywicą? Pod pałacami lochy są, które Mszczuj dobrze pamiętał. A znowu zmiany się gotują, nie darmo Stoigniew w Rzymie siedzi i nie darmo cesarz do Gniezna przybyć zamierza.Nawet z mieczem nigdy jeszcze Niemce nie wtargnęli tak daleko. Mszczuj byłby spokojniejszy, gdyby najazd groził, przynajmniej wiedziałby, co należy poczynać.

Mylił się jednak sądząc, iż Bolesław nie widzi, że Mieszko wdał się w łagodną, uległą i nabożną matkę, a nie w ojca i dziada. Ale może właśnie dlatego książę przywiązanie do małżonki rozciągnął na tego syna, podobnego do niej nawet z urody, i tym bardziej pragnął wyprostować mu drogi. W uporządkowanym, silnym państwie władca może nie być wojownikiem. Mieszko roztropny jest, rozumny i pojętny, niech się uczy budować. Jeśli iście nadchodzi czas pokoju, może mu dane będzie zostać wielkim władcą. Mszczuj sądził, że Bolesław zapomniał swej nienawiści do Niemców, która tyle zgryzot mu przyczyniła w czasie wspólnej niewoli, że uwierzył w wieczysty pokój i dlatego synowi nad księgami ślęczeć każe, a żony dla niego upatruje wśród niemieckich możnowładców. Nietajne były poselstwa do palatyna reńskiego, Herrenfrieda, zwanego Ezzonem, ni zaproszenie go na zjazd wraz z pierworodną córą - Rychezą. Związek z cesarską siostrzenicą wzmocniłby wprawdzie stanowisko Mieszka na zachodzie, ale nie w kraju. Małżeństwo jego dziada z Odą niczego nie dało krom wojny domowej. Bolko wygnał narzuconą sobie przez ojca niemiecką małżonkę, ale Mieszko nie potrafi tego uczynić, Rycheza, starsza od niego, opanuje skłonnego do uległości małżonka, obca mową i obyczajem, nie będzie następczynią Dobrawki ni Emnildy.

Mszcuja ogarniało rozgoryczenie. Jak jego rodzic, umiał służyć nawet wbrew sercu, wierząc w rozum swych władców i że pospólne dobro mają na celu. Nie mógł jednak zrozumieć, co Bolesław jeszcze osiągnąć chce na zapowiedzianym zjeździe. Kraj zaczynał rozkwitać w pokoju, skarb, wypełniony łupami z wojen i dochodami z ceł, pozwalał zmniejszyć ciężary ludności. Warowne grody strzegą odzyskanych granic starego Mieszka, siedemnaście tysięcy stałych, dobrze zbrojnych i ćwiczonych wojsk, gotowych na każde zawołanie, stanowi siłę, jakiej nie posiada żaden z sąsiednich władców. Dawni wrogowie przestali się liczyć lub zabiegają o przyjaźń. To najlepsze zabezpieczenie pokoju dla siebie, a o powszechny niech się troskają ci, którzy nie potrafią go sobie własną siłą zabezpieczyć. Jedno zaś było pewne, że zjazd wypróżni skarbiec, sama budowa pałacu pochłonie znaczną jego część, nie mniejszą wystrojenie gnieźnieńskiej bazyliki, a zwłaszcza grobu Wojciechowego. Na rozkaz księcia złotnicy przyozdobić go mają trzema tablicami ze szczerego złota, sadzonymi kamieniami, krzyż odlewają tej wagi, co sam książę, a lekki nie jest. Lamusy i spichrze, napęczniałe od zasobów, które książę ściągać każe z całego kraju, po zjeździe opustoszeją.

To Stoigniew nakłania księcia do działań, których Mszczuj, mimo iż blisko stał niego, nie może zrozumieć. A tym mniej będą mogły i chciały zrozumieć stare rody, w miarę zmian zachodzących w coraz głębszy usuwane cień. Droga do bogactw i dostojeństw wiedzie już tylko przez bezwzględne posłuszeństwo, wola księcia staje się jedynym źródłem prawa. Budowla oparta na jednym słupie zwalić się może, gdy go wymienić przyjdzie. Mszczuj przewidywał kryjące się w tym niebezpieczeństwo, ale czuł się bezsilny.

Dwie mile z okładem, dzielące Lednicę od Gniezna, jeno mignęły. Konie rwały rączo po gładkim, szerokim gościńcu i słońce chyliło się dopiero ku pogodnemu zachodowi, gdy w jego promieniach zaświeciły białe mury katedry, której budowę pod wezwaniem N.M. Panny rozpoczęła

jeszcze Dobrawka. Teraz dzieło było już na ukończeniu, wchłonąwszy Mieszkową rotundę z grobem fundatorki. Dach, pokryty nie poczerniałą jeszcze miedzianą blachą, żarzył się rudym blaskiem.

Orszak książęcy skręcił z gościńca na drogę nad Jelonkiem, wiodącą do bramy w wysokim na osiem łokci wale podgrodzia. Poznano widocznie Bolesława, gdyż chodnik zaroił się ludźmi, a przy otwartej na ścieżaj bramie straż stała już pod bronią, gdy książę wjeżdżał, witany burzą radosnych okrzyków. Gniezno, które podupadło, gdy Mieszko siedzibę swą przeniósł do Poznania, teraz wracało do znaczenia. Zapowiedziany zjazd najwyższych dostojników chrześcijaństwa, oczekiwane uroczyste przeniesienie zwłok męczennika z Trzemeszna do wykańczanej właśnie siedziby nowego arcybiskupa już teraz ściągały do Gniezna kupców i rzemieślników. Stare podgrodzie nie mogło ich pomieścić, pagórki na wschód od Srawy świeciły świeżym drewnem nowo wznoszonych budynków, wszędzie panował ruch i gwar.

Tylko na szczycie Wzgórza Lecha, ukoronowanym wałem i częstokołem dawnego książęcego gródka, panował spokój. Znaczną część wzgórza zajęła katedra. Murarze i kamieniarze skończyli już swe prace, sąsiedni dworzec starego Ziemomysła, przeznaczony na tymczasową siedzibę metropolity, opróżniony już z urzędników, dworzan i służby, zajęty był przez kilku kapłanów i kleryków, którzy przysposobić go mieli dla oczekiwanego pasterza.

Prepozyt Jan Jastrzębiec, zawiadomiony o przybyciu księcia, czekał na niego przy głównym, zachodnim wejściu do świątyni. Młodszy syn możnego i bitnego komesa był jednym z tych, którzy na rozkaz Mieszka oddani zostali do Jordanowej szkoły, by krajowe duchowieństwo wychować. Choć od tego czasu z górą pół kopy lat minęło i obecnie Jan sam był scholastykiem, postawą i obejściem bardziej wojownika przypominał niż kapłana. Znając księcia od urodzenia, witał go z uniżoną poufałością i zapraszał do wnętrza, chcąc gotowy już na przyjęcie świętych zwłok grobowiec okazać. Dowiedziawszy się o tym, Bolesław rzekł:

- Rad jestem, bo czekam jeno chłodnej pory, by od Świętego Augustyna tu przywieźć relikwie, nim nowy arcypasterz przybędzie.

- I jam rad tej najcenniejszej ozdobie naszej świątyni - odparł Jan. - Takowej na całym świecie chyba nie masz. Z całego też świata ściągać tu będzie nabożnych, jako i ninie samego cesarza. Aże mi dziwno - dodał w zamyśleniu. - Gdy mnie tu pacholęciem rodzic mój - na rozkaz waszego - Jordanowi oddał, tam, gdzie ninie święty spocznie, bałwan pogański stał w drewnianym chramie, a mnie, jak birkutowi wybranemu z gniazda, jeno się marzyło, by stąd ulecieć. Zda się, że to wczoraj, a jako się zmieniają rzeczy i ludzie. Ninie chyba parą wołów wyciągać by mnie stąd trzeba, a synaczka sam do słóżby Bożej sposobię.

- Dobrze, żeście mi rzekli - uśmiechnął się książę. - Gdy z wiesny na zjazd tu przybędę, nie omieszkam pary wołów zabrać z sobą. - Jastrzębiec, zaniepokojony, spojrzał pytajaco, ale książę dorzucił życzliwie: - Może się i bez wołów obędzie, zresztą czas o tym mówić.

Upatrywał ludzi na obsadzenie nowych diecezji i Jana przeznaczył na Wrocław. Jastrzębce radzi ujrzą rodowca wysokim kościelnym dostojnikiem, a w pogranicznej diecezji książę chciał mieć człeka, który w razie potrzeby roszczeniom Magdeburga i mieczem potrafi się zastawić, w możnym rodzie mając oparcie. Na Kraków przewidywał Poppona, ongiś kapelana stryjny Adelajdy, z Kołobrzegu Reinbern niechaj apostołuje w pogańskim jeszcze kraju. Ale przed przybyciem Radzima Bolesław nie chciał wyznaczać mu sufraganów, dlatego odwrócił rozmowę i rzekł:

- Skoro złotnicy skończyli tutaj pracę, każcie im relikwiarz sporządzić na ramię świętego, które

cesarzowi ofiarować zamyśliłem. Kościół pod wezwaniem męczennika na Tybrowym ostrowiu stawi, rad będzie jego relikwie tam wysłać.

- Jak chcecie, panie. Aleć prawdę rzec - wolę, żem ja nie święty, co i po śmierci tułać się musi, i kiedy spocznę przy ojcach, to ze wszystkim, co mam. Dziwny mi to obyczaj - człeka ćwiartować jak zwierza. Gdy archanioł Gabriel na ostatni sąd zawoła, gdzież potem członków swych szukać po świecie?!

- Pewnikem święci na sąd stawać nie potrzebują, sami orędownikami będąc tych, co ich sobie za patronów obrali. Gdy zasię diabeł do świętych dostępu nie ma, tedy kto by najmniejszą ich cząstkę posiadł, już przed nim bezpieczny. Dlategom ci na wagę złota Wojciechowy zewłok wykupić umyślił, ale widno nie chciał, by nim tarżyć, skoro cud uczynił. By zasię nie myślał, że mu skąpię, com tam oszczędził, tu mu ofiarowałem.

Jastrzębiec skinął głową.

- Jużci prawda, że świętym żałoawć nie przystoi, a i to, że patronem lepiej mieć swego człeka, który wie, czego nam trzeba, a nie jakowychś obcych, kiedy i z żywymi, co nas nałażą, dogadać się trudno. Nawet jeśli ludzie, jako Jordan, świeć im Panie, czestni i niełapczywi, lat trzeba, nim ufność pozyszczą, zwłaszcza prostego narodu.

Książę nic nie odpowiedział. Niechęć do obcych spotykał wszędzie, także i u wielmożów, zawistnych o stanowiska i znaczenie. Prosty lud opornie naginał się do nowego obyczaju, zachowanie najprostszych przykazań wymuszać było trzeba. Książę za złamanie postu zęby wybijać kazał, srożej jeszcze karał rozwiązłość. Ale na dnie duszy podzielał tę niechęć i tłumić ją musiał w sobie, a uchronić od niej chciał syna. Wszedłszy raz w chrześcijańską społeczność, nie może przeciwstawiać się siłom tam działającym, raczej wyzyskać je winien dla własnych celów. A może i wspólnych, jeśli dadzą się pogodzić. Jako wojownik Bolesław rozumiał jednak, że na nic wygrana wojna, jeśli nie wykorzystane zwycięstwo. Ale jak jeden stanowić musi na wojnie, nie czas wyjaśniać i przekonywać ni dla uprzedzeń odrzucać pomoc, jeśli ją należć można. Dlatego Stoigniewowi zlecił w Rzymie nie szczędzić starań ni kosztów, by mnichów od Św. Aleksego wysłano do Polski. Opat Leon, który prośbie żywego Wojciecha odmówił, teraz nie śmiał się widno sprzeciwić woli świętego i ponad spodziewanie zgodził się nawet na wyjazd samego Tuntiego, który ongiś jako wyrostek lata spędził w Polsce, poznał język i kraj, a ze Stoigniewem zawarł młodzieńczą przyjaźń. Chybiona misja Wojciechowa i niepotrzebna - jak się zdało - jego śmierć zaczyna wydawać owoce. Bolesław niecierpliwie czekał na powrót Stoigniewa i przyjazd Tuntiego. Chciał się z nimi naradzić przed zjazdem, by wiedzieć, co przezeń osiągnąć zdoła. Może nawet koronę, o którą też za życia swego bezskutecznie orędował dla niego Wojciech. Gdy ją Bolesław będzie mógł zostawić Mieszkowi, odejdzie spokojny o jedność państwa.

Ix

Stoigniew niecierpliwie oczekiwał dniia swego powrotu do kraju. Po ukończeniu walki z

Krescencjuszem posiłkowy hufiec odesłał, pozostawiwszy jeno kilku wojów z dziesiętnikiem. Wraz ze szczupłym swym orszakiem zajmował gospodę u stóp Awentyńskiego Wzgórza, w sąsiedztwie klasztoru. Zadania swe wypełnił. Wyświęcony już na polskiego metropolitę, pod imieniem Gaudentego, brat Wojciechowy - Radzim gotów był do wyjazdu wraz z magistrem nowicjatu od Świętego Aleksego - Tunim. Przyłączyć się miał do nich młody kapelan Ottona, Bruno z Kwerfurtu, by za przykładem Wojciecha Chrystusa szukać w śmierci. W miarę doświadczeń pobytu w stolicy świata Stoigniewowi coraz częściej przychodziło na myśl, że znaleźć Go można jeno po drugiej stronie życia i tylko tam pokój i sprawiedliwość. Rzym, który podwaliną miał być wymarzonego przez Ottona państwa pokoju, przypominał bagno, w którym najczystsza struga zmienia się w brudną kałużę. Mierziło wojewodę samo miasto, pełne sprzeczności jak ten świat, którego głową było i zwierciadłem: obok szarych ruin wspaniałe nowe budowle, pyszniące się barwami malowideł i mozaik, i nędzne budy, w których gnieździły się choroby i występek. Lśniące od złota i klejnotów orszaki dostojników i zawszone łachmany półnagiego motłochu, w spokojnym czasie kryjącego się po cuchnących zaułkach, do których nawet dzienną porą zapuszczać się nie było bezpiecznie, a wypełzającego ze swych nor przy każdym wstrząsie jak poruszone robactwo. Stolica świata w skwarne lato przesycona była wyziewami zgnilizny i kału, które zatykały oddech w piersiach, w słotne zaś zimy stęchłym, wilgotnym chłodem, przed którym nie było ucieczki w pozbawionej paleniska gospodzie. Chłód zdał się przenikać aż do serca, ściskając je tęsknotą za krajem, w którym wszystko było proste i jasne: zima biała i mroźna, wiosna pachnąca i barwna, lato zielone i gorące, a gdy złota jesień przejdzie w szarugę, od drewnianych ścian domostwa nie ciągnie odpychający chłód, a przy blasku płonących szczap dobrze się myśli. I ludzie prości i zrozumiali, jak ich język. Stoigniew władał obcymi jak ojczystym, wiedział, ż wiele jest spraw, dla których wyrażenia rodzima mowa jest zbyt uboga. Ale drzewa w ojczystych borach nie mówią wcale, a z zamkniętymi oczyma potrafi rozróżnić każde z nich, gdy jeno wiatr zaszumi w listowiu.

Wojewoda pożegnał już ludzi, z którymi w Rzymie nawiązał stosunki i znajomości, nie zdołał jeno dotrzeć do Gerberta. Od wiosny tego roku, gdy pod imieniem Sylwestra II zasiadł na papieskim tronie, widział go tylko raz, w czasie uroczystej kanonizacji Wojciecha. Stoigniew wiedział, że wymógł ją na Sylwestrze Otto. Papież nie był wielbicielem ludzi, którzy nie chcą poprawiać świata takiego, jakim jest, lecz tworzą własny w pustelni lub uchodzą przed nim w śmierć. Jak twierdził - mówić, a nie działać to nie jest naśladowanie Chrystusa, pokoju należy szukać także w tym życiu, dla państwa i Kościoła, dla miast, stowarzyszeń religijnych i jednostek, które tylko wtedy mogą rozwijać swą działalność praktyczną, rozumem dochodzić prawdy i zachować zgodny z nmim i z wiarą obyczaj.

Stoigniew z żalem myślał, że nigdy nie będzie mu już dane przestawać z mędrcem, którego szeroki umysł zdał się ogarniać cały obszar ludzkiej wiedzy, a bystra myśl przenikać do istoty każdej sprawy. Zbyt wielki tłum cisnął się do stóp tronu świętego Piotra, a nie tylko Krescencjusze uczynili swe źródło dochodów z udzielania dostępu do Piotrowego Namiestnika, wojewoda zaś wyczerpał już zasoby, jakie otrzymał z kraju. Jeżeli jednak starał się uzyskać posłuchanie przed wyjazdem, to nie dlatego, by skorzystać z niezgłębionej wiedzy mędrca, lecz by wymiarkować jego zamiary. Gerberta nie zmieniła najwyższa godność w chrześcijaństwie, ale wojewoda rozumiał, że zmieniły się jego zadania. Kościół, stojący na rzymskim bagnie uginającym się pod stopami jak ziemia w czasie trzęsienia, potrzebował podpory, a trzeźwy Gerbert musiał rozumieć, że nie znajdzie jej w Ottonie, który nigdy nie liczył się z rzeczywistością. Stoigniew, obcując z młodym cesarzem od

czterech lat, mimo uroku, jaki wywierało jego namiętne uwielbienie wszelkiej wielkości, sam zaczynał w niego wątpić. Jakby mieszkało w nim kilku ludzi, nie tylko nie umiejących się pogodzić, lecz nie mających z sobą wspólnego języka, a nigdy nie wiadomo było, który z nich dojdzie do głosu. Sprzeczności te odbijały się w jego postępowaniu. Budować chciał swe imperium na tysiąclecia, a jednocześnie wierzył w zbliżający się koniec świata. Uwielbianego mistrza Gerberta, mimo powszechnej niechęci, samowolnie wyniósł na papieski tron, by ziścić jedność dwóch najwyższych władz w chrześcijaństwie w harmonijnej współpracy dla wielkiego celu, a odnosił się do niego jak do któregokolwiek ze swych niemieckich biskupów, dając mu odczuć, że papieżem został z jego łaski i bez jego poparcia nie utrzyma się na Piotrowej Stolicy. A gdy tlący się ustawicznie w Italii bunt znowu wybuchnął jasnym płomieniem w Tyburze, do młodego cesarza nie było dostępu, bo zamknięty u siebie, wraz z młodym grafem Tammonem, przez czternaście dni biczował się, modlił i pościł, rujnując zdrowie i tak nadszarpnięte klimatem stolicy, którego nie znosił.

Nie można budować na płomieniu, ale Stoigniew sądził, że nie tylko dlatego papież za innym oparciem oglądać się będzie zmuszony. Otto nie pozyskał Rzymian obietnicą przywrócenia im przodującego stanowiska w odnowionym imperium, a zniechęcił przez to własnych niemieckich popleczników w chwili, gdy w samej Rzeszy stanowisko jego było zachwiane. U Ottona nie istniało przejście między pokutniczą włosiennicą a sztywną od złota i kamieni szatą, którą wzorem wschodnich cesarzy od czasu koronacji nosić zwykł w czasie uczt i narad, również na bizantyńską modłę siedząc samotnie na podwyższeniu, jak bóstwo na ołtarzu, daleki i niedostępny. Drażnił tym niemieckich dostojników, nawykłych poufale odnosić się do swego króla jako jednego spośród siebie i im zawdzięczającego koronę. Nie znała granic ni jego wyniosłość, ni pokora, uniesienie ni przygnębienie, asceza ni rozpusta. Wiadomo było, że zgwałcił wdowę po straconym Krescencjuszu i utrzymuje z nią grzeszny stosunek. Nie poniechał starań o rękę córy wschodniego cesarza, Konstantyna VIII, by zjednoczyć obydwa cesarstwa, jednocześnie zamierzając złożyć koronę i przywdziać szatę mnicha.

Im dłużej Stoigniew patrzył na Ottona, tym mniej go rozumiał, zdało mu się zresztą, że młody władca nie rozumie sam siebie, i niepokoił się, czy i zamiar pielgrzymki do grobu świętego Wojciecha nie przeminie jak tyle innych. Szła już słotna zima, Rzym tonął w chłodnym błocie, w górach leżały śniegi, przeprawa przez Alpy, zawsze uciążliwa, stawała się niebezpieczna. Niezbyt też bezpieczna dla Stoigniewa była podróż z niewielkim orszakiem przez kraj wrogiego Bawarczyka, czekać przeto musiał na cesarza, a ten z dnia na dzień odwlekał wyjazd.

Jedyną rozrywką w nudzie i pożytkiem z oczekiwania były rozmowy z Tunim, który, zwolniony już z obowiązków magistra nowicjatu, znając w Rzymie wszystkie ścieżki i drogi, wieczorami znosił wieści, co się dzieje w Kurii, na dworze i w mieście. Mimo że w czarnych jego włosach przeświecać zaczynały srebrne nitki, ruchliwy był jak ongiś, obrotny i przemyślny, a choć od wyrostka chowany w surowej klasztornej karności, zachował swobodę myśli i sądu, a przy powadze pogodną, z lekka drwiącą wesołość. Równie niecierpliwie jak Stoigniew oczekiwał dnia wyjazdu, nie tylko dlatego, że wiązały go z Polską młodzieńcze wspomnienia, ale że wreszcie nabytą wiedzę i doświadczenie spożytkować będzie mógł na urodzajniejszym i rozleglejszym polu niż macierzysty klasztor. Czuł, że dorósł do czekających go dostojeństw i godności, nie lękał się związanych z nimi ciężarów i obowiązków, a wiedząc, że pierwszym z nich będzie zakładanie klasztorów, upatrywał ludzi zdatnych i chetnych do pracy w dalekim i nie znanym im kraju, zdolnych zarówno pisać księgi, jak pracować na roli przy wprowadzaniu nowych hodowli i upraw, a przede wszystkim służyć radą i

pomocą nowym biskupom, zanim nie stworzą własnych kapituł. Niewielu mógł zabrać pomocników, tym staranniej też ich dobierał i prosił świątobliwego Romualda, by jego wychowanka Benedykta ściągnął z Monte Cassino.

Było jasne, że ci ludzie to przyszli dostojnicy polskiego Kościoła, że w ręku ich spocznie także niemała część zadań państwa, które niedawno dopiero weszło w skład chrześcijańskiej społeczności, toteż Stoigniew, pomny nieufnej ostrożności, z jaką stary książę odbierał obce duchowieństwo, dokładnie wywiadywał się o każdego z nich. Gdy Tuni wspomniał o Benedykcie, Stoigniew zauważył:

- Znam go i nic nie miałnym przeciwko niemu kromie tego, że i on jak Bruno śmierci chce szukać, gdy nam do pracy żywi ludzie potrzebni.

Tuni uśmiechnął się i odparł:

- Od czasu gdy Wojciecha wyniesiono na ołtarze, jak zaraza szerzyć się jęła chęć męczeństwa. Diabeł nawet świętość dla swego celu wykorzystać umie, a z nasienia pychy żniwo ma największe. Alem je u moich konwersów zdeptał, jeno skiełkowało, wraz pomiarkowawszy, że jego to sprawa. Anim kogo odmawiał, ani przeczył, jeno mówiąc o kraju, do którego jechać mamy, wspomniałem, jako po cydzyńskiej bitwie pogaństwo głowę podniosło i wielu naszych kapłanów swoją to przypłaciło, tak że nawet ni prochu, ni imienia po nich nie ostało. Gdy zasię potem zapytałem, który do Polski jechać chce, to jak przedtem chmara ich była, teraz zgłosili się jeno Jan, Barnaba i Krystyn. Wtedy dopiero diabła do muru przyparłem, oblicze jego odkrywając:

„To nie męczeństwa wam się chce, jeno by - gdy duszę w grzechu pychy diabeł weźmie do swego królestwa - plugawe ścierwo wasze na wagę złota kupowano, by na ołtarzach się panoszyło w złocie i klejnotach, by klękali przd nim cesarze i króle, a imiona ze czcią powtarzano przez wieki". Takowe pokuty im zadałem, że im na długo, jeśli nie na zawżdy przejdzie chęć pchania się między świętych.

Teraz Stoigniew uśmiechnął się i odparł:

- Zawżdy ludzie złoto na miedziaki rozmieniać zwykli. Ale widzę, że i diabła przechytrzyć wydolisz. Jeno że u nas w kraju książę wszelką opiekę duchowieństwu zapewnić władny, tedy może niepotrzebnie ludzi odstraszyłeś, gdy trzeba ich jak najwięcej, Bruno zasię śladem Wojciechowym apostołować się wybiera, tedy iście to samo spotkać go może. Ale choć Wojciech zginął, niczego z pozoru nie dokonawszy, żeby nie śmierć jego, nie byłoby cesarskiej pielgrzymki ni zjazdu. Gdyby Radzim nie był bratem męczennika, z którym społem i u nas apostołował, nie pozyskalibyśmy arcybiskupa, a wonczas nijak książęciu myśleć o koronie.

- Juści, że dobrze świętych patronów mieć na ziemi i w niebie - odparł Tuni - aleć w samym Rzymie kości męczenników tyle, że starczy dla wszystkich kościołów do końca świata, a patronów dla wszystkich ludzi. Jeno, jak sam rzekłeś, nam żywych ludzi potrzeba do orki jako wołów, bo prawie ugór uprawiać przyjdzie, a nie orłów do latania po niebie. Niechajby żywotem naśladowali Chrystusa, a nie śmiercią, bo tamta na zbawienie całego człowieczeństwa starczy, tedy jakoby wodę do studni lał. Ale i na śmierć gotowym być trzeba, jeśli Bóg zrządzi, jeno nie dla próżnej chwały, a nic mi po lękliwych ludziach. Wżdy i ty w swym hufcu nie chciałbyś wojów, którzy walczą jeno, by na nich patrzeć. Ja bo wolę niewielu, ale pewnych.

Stoigniew skinął głową, pomyślał jednak, że jeśli z Rzymu nie otrzyma kapłanów, ilu trzeba,

przez Ungera z Korbei i Fuldy Niemców ściągać przyjdzie. Choć między nimi trafiali się ludzie godni i oddani, jak Reinbern, towarzysz Brunona z ławy szkolnej w Magdeburgu, ale trudniej im ufność pozyskać niż Rzymianom, do których jeszcze Jordan ją zaszczepił. Czy jednak Unger zechce pomagać biskupom ustanowionym z okrojeniem jego władzy, gdy nie ostał metropolitą? Bardziej jednak zaniepokoiła Stoigniewa przyniesiona przez Tuniego wiadomość, że przysłany przez Bolesława opat trzemeszeński Astryk, który po wyjeździe wojewody orędować miał w Kurii w polskich sprawach, znosi się z poselstwem węgierskiego władcy, Stefana, przez małżeństwo z Gizelą, córką Kłótnika, związanengo z przeciwnikami Ottona, a z Bolesławem mającego obrachunki o Słowację i popieranie swych wygnanych braci stryjecznych, Wazula i Zara. Astryk był towarzyszem Wojciecha w czasie pierwszego pobytu w Rzymie, dzięki niemu nawiązał stosunki w Kurii i na Awentynie. Rozszedł się co prawda z Wojciechem po ostrym starciu, teraz jednak wykorzystać umiał odblask jego świętości i dla siebie zyskał godność opata prowincji słowiańskiej. Stoigniew podejrzewał jednak Astryka, że wyżej mierzy, a gdy paliusz dla Polski spoczął już na barku Radzima, o węgierski zabiega. Wiadomo było, że i Stefan zamyśla o koronie, miał zaś nad Bolesławem tę przewagę, że siedząc bliżej, dogodniejszym był oparciem dla papieża niż daleki polski władca.

Sprawa nie była błaha i Stoigniew rozumiał, że ktoś zaufany pozostać winien w Rzymie. Sam nie chciał i nie mógł pozostać. Niezbędny będzie księciu w czasie zjazdu, także i przy cesarzu winien przebywać, w podróży łatwiej się do niego zbliżyć niż na dworze i dopilnować, by nie odmienił zamiarów. Troska i rozterka poruszyły w Stoigniewie tłumioną rozumem nienawiść i nieufność do Niemców, zaszczepione w pacholęcych latach przez Zbrozłę, a rozżarzone u ojcowego stosu. Powiedział z goryczą:

- Oto masz apostołów! Nawet jeśli nie z mieczem idą, jeno ze słowem, własne tylko wyniesienie mają na oku. Onego Niemca Bolko przygarnął, gdy po lubickiej rzezi z Brzewnowa uchodzić musiał, bo gardła nie był pewien. Widno mało mu, że kostur, z którym przyszedł, na laskę opacką z książęcej łaski zamienił, za łachmany paliusz chciałby otrzymać. Na ręce patrzeć mu trzeba, by nas nie przedał, a ja ostać nie mogę. Ostań ty!

Tuni odparł bez wahania:

- Mniemasz, że trzeba, ostanę. - Uśmiechnął się i dodał: - Wżdy i jam obcy. Może byś pomyślał, że i mnie do laski opackiej lubo pastorału spieszno.

- Co prawisz - żachnął się Stoigniew. - Od wyrostków się znamy, wiem, żeś człek poczciwy.

- Tedy znasz mnie lepiej niźli ja sam. Jeno Bóg jest dobry z natury swej, człek nie zawżdy nawet rozeznanie ma, co dobre - a co złe. Jakże często w sądach swych się myli i odmieniać je musi, a nie rzadko musi sobie rzec: video meliora proboque, deteriora sequor (widzę i pochwalam rzecz lepszą, dążę jednak do gorszej). Astrykowi pychę i niewdzięczność przypisujesz dlatego, że Niemiec. Zalibyś u swoich zła nie napotkał? I jakoż jedność chrześcijańska powstać może, jeśli człek światły, bywały i doświadczony wedle tego ludzi osądza, w jakiej mowie Boga chwalą lubo Mu bluźnią. Ptaka po głosie poznasz, drapieżny zali pożyteczny, bo kura nigdy nie kracze ni orzeł nie gdacze. Człek zaś wolną wolę ma i uczynkami swymi kierować władny.

Stoigniew, który słuchał chmurny, odparł:

- Sądzisz, że nie ma złych narodów. Możeś i praw, jeno że z ludzi złych owa społeczność powstać nie może, którą sobie Gerbert umyślił. Zda mi się, nie w porę się urodził ze swymi

zamysłami, których nikt zrozumieć nie chce.

- I ludzi nie masz złych, jeno ich uczynki - przerwał Tuni. - Nawet łotr na krzyżu się nawrócił. Dlatego sąd o ludziach Bogu ostawmy.

- Jedną mową gadamy, a dogadać się trudno - niecierpliwie podjął Stoigniew. - Mnie za jedno, zali Astryk dostąpi zbawienia lubo nie, ale nie za jedno, czy nas nie przedaje. I ani chcę, ani mogę sądzić, który Niemiec dobry, a który zły, a jużci różni są. To wiem, że którego z mieczem na naszej ziemi schwytam, łeb każę zciąć, jakom ongiś po Cydzynie uczynił. A choć wonczas działałem w gniewie i rozpaczy po śmierci rodzica, dziś - gdy ćwierć wieku z górą minęło i czas miałem przemyśleć - uczyniłbym to samo. Bowiem z jawnym wrogiem wiadomo, co poczynać, trudniej z podstępnym przeniewiercą.

- Ja nie wiem, co bym począł, gdyby mi rodzica zabito, bo go nie pamiętam, tedy i nie sądzić mi - powiedział Tuni. - Ale może między tymi, których stracić kazałeś, byli i tacy, co z musu przyszli lubo z głupoty. A to pewne, że po niejednym wdowy ostały i sieroty, ojcowie i bracia, którzy pomsty szukać będą. I tak plenić się będzie zło, póki ludzie nie zrozumieją, że dla ich dobra Zbawiciel przykazanie ostawił: „będziesz miłował nieprzyjacioły swoje" i „pomstę ostaw mnie".

- Swoje! - powtórzył Stoigniew. - Nikczemnego człeka, który skon mej macierzy przyspieszył i cięższym go uczynił, a mnie zgubę gotował, miałem w ręku, a pomstę ostawiłem prawu. Wolno było Wojciechowi ręki nie podnieść we własnej obronie, ale gdzie byśmy byli, gdyby Bolko wrogów miłował, miast ich bić! Sam rzekłeś, że zadość męczenników po wsze czasy. Wiesz, jako w dawnym Rzymie sprawiedliwość przedstawiano: waga i miecz!

- Pogańska to sprawiedliwość. Nad nią wyższa jest charitas.

- Wżdy i miłosierdzie jeno silny słabym może okazać, tedy i to cnota silnych. Mniemam, iż Gerbert tak państwo sprawiedliwości zbudować zamierzył, że Kościół wagę dzierżyć będzie, a cesarstwo miecz. A gdy ten okazuje się jeno witką, za innymi się ogląda. Twoja rzecz będzie pilnować, by wybór padł na Blesława.

W tej chwili zapukano do drzwi i bez wezwania do izby wszedł wojak. W twarzy jego widna była radość i podniecenie. Nie czekając na zapytanie, powiedział:

- Cesarscy obóz na Mons Gaudii zwijają. Wracamy!

Stoigniew odetchnął i powstał. Kładąc dłonie na ramionach Tuntiego, powiedział:

- Tedy żegnaj, bracie, daj Bóg, nie na długo. Przyjeżdżaj budować Bolesławowe królestwo, skoro na Boże jeszcze nie pora.

Drugiego grudnia Otto opuścił Rzym. Gdy poprzednio odwlekał wyjazd bez zrozumiałych powodów, teraz ponaglał, czując, że go siły opuszczają. Piesze wojska od razu pierwszego dnia pozostały w tyle, legat papieski, kardynał oblacjonariusz Robert i jadące wraz z nim na wozach duchowieństwo późną nocą dociągało na postoje, by znowu zrywać się o pierwszym brzasku, nie zdążywszy wysuszyć przemokniętych szat. Ściągnięta i przedwcześnie postarzała twarz Ottona zdradzała cierpienie. Nie słuchał jednak, a nawet zdał się nie słyszeć upomnień, by liczył się z siłami. Zima szła, szczyty górskie pobielały, w dolinach padające deszcze mieszały się już z grubymi płatami śniegu, nawilgłe dery odparzały grzbiety końskie, od przenikliwego chłodu cierpieli ludzie i

zwierzęta. Otto zdał się tego nie czuć i nie widzieć.

Szczęściem, gdy droga pochyliła się ku morzu, pogoda poprawiła się i pocieplało. Dziesiątego dnia podróży dotarli do Rawenny, gdzie w obszernych pomieszczeniach pałacu Teodoryka spodziewano się dłuższego postoju. Ale już następnego dnia cesarz nakazał dalszy pochód. Nie zatrzymał się w Pawii, bez wypoczynku ciągnęli na Weronę i tu już prawdziwa zima wyszła im na przeciw. W śnieżnej zamieci dobrnęli do Trydentu. Zbliżało się święto Bożego Narodzenia, i tu wreszcie Otto zatrzymał się na dłużej. Czas było spocząć przed uciążliwą przeprawą przez Alpy.

Otto nadal zamknięty był w sobie i nieprzystępny. W czasie nabożeństw samotnie klęczał przed ołtarzem, rozmodlony czy zamyślony, przy uczcie świątecznej, w swej sztywnej od złota szacie rzucającej poblask na jego pożółkłą twarz, z lśniącymi w blaskach świeczników jasnorudymi włosami, czynił wrażenie posągu ze złota, niewidzącymi oczyma wpatrzony przed siebie. Nie odzywał się całymi dniami, wieczorem szukał samotności, ale do późnej nocy w komnacie jego płonęło światło. Otoczenie, nawykłe do zmiennego usposobienia młodego władcy, zaczynało się jednak niepokoić o jego zdrowie, nadszarpnięte juz pobytem w Rzymie.

Niepokoił się też Stoigniew, nie tylko dlatego, że nie było dostępu do cesarza, by omówić sprawy, które przed zjazdem rozpatrzyć należało. Choroba Ottona i nieuchronnie związana z tym zwłoka, a nawet zaniechanie zjazdu pokrzyżować mogło wszystkie zamierzenia, przekreślić dotychczasowe osiągnięcia, owoc długich zabiegów i korzystnego dla Bolesława układu stosunków. Z czterech członów swego wymarzonego imperium cesarz mógł liczyć tylko na Polskę, na współpracę Kurii jeno dopóty, dopóki w Rzymie utrzyma się Sylwester, który ją uważał za warunek ładu i pokoju. Stoigniew jednak jasno zdawał sobie sprawę z tego, że nie budzi to zapału w Rzymie, a potężny ruch kluniacki, ogarniający coraz więcej klasztorów, zmierza do całkowitego rozdziału kościoła od państwa, zagarnięcia przez wykształcine i karne, a nie związane węzłami rodzinnymi klasztorne duchowieństwo wszystkich wyższych wartości duchownych i do podpożądkowania ich jedynie papieżowi. Ale wiedział też Stoigniew, że przywódca tego ruchu, opat Majolus, który - będąc bibliotekarzem klasztornym - palić kazał księgi starożytnych poetów i filozofów jako wytwór szatana, nie będzie poplecznikiem Sylwestra głoszącego, że Duch Święty przemawiać może także przez pogańskich mędrców, a nauka świecka potrzbna jest do zrozumienia Pisma świętego. Przeciwne Sylwestrowi prądy silniejsze były od niego, każdy innym korytem zmierzał do innego celu. Galijscy biskupi dążyli do niezależności, znajdując poparcie Roberta, który - rozdrażniony unieważnieniem swego małżeństwa - stał się wrogiem swego dawnego mistrza, a sam uważał się za spadkobiercę Karola Wielkiego. Coraz oczywistsze było dla Stoigniewa, że jedność jeno siłą można zaprowadzić, której nie posiada Otto. Słaby ciałem i chwiejny duchem, sam z sobą uładzić się nie może. Owoce współpracy z nim należy zebrać jak najprędzej, jeżeli zniszczyć ich nie mają grożące zewsząd burze.

Otto jednak miał lat dwadzieścia. Wypoczynek i świeże górskie powietrze wyraźnie poprawiły stan jego zdrowia. Jakkolwiek nadal zamknięty w sobie, wysiłek zimowej przeprawy przez góry nie tylko znosił dobrze, ale widocznie odciągał on jego myśl od jakiejś wewnętrznej rozterki, wracając mu sen i chęć do jadła. Często, gdy droga wciąż jeszcze się wznosząca stawała się zbyt uciążliwa dla koni, szedł pieszo, jakby rad z wysiłku, z twarzą zarumienioną od mrozu i wiatru.

Na sam dzień Nowego Roku pochód minął przełęcz i droga schodzić jęła w dolinę Innu, jeszcze kopna od górskiej zawiei, niemniej najtrudniejszy odcinek leżał już za nimi. W Wilten spędzono święto Trzech Króli, przed ostatnim wysiłkiem przebycia działu wód Innu i Izery. W dolinie drogi

były przetarte, kraj gęściej osiadły, potem gościniec zszedł na otwartą równinę i pod koniec miesiąca bez przeszkód już dotarli do Ratyzbony, na razie celu podróży Ottona. Tu bowiem czekało na niego wiele spraw zaległych podczas jego długiej nieobecności, a na wstępie wiadomość, że siedemnastego grudnia zmarła w swej fundacji w Selz przeciwniczka jego zamierzeń, stara cesarzowa Adelajda.

Stoigniew, upewniwszy się jeno, że zjazd w Gnieźnie nie ulegnie zwłoce, wyruszył do kraju, by przed przybyciem Ottona objaśnić Bolesławowi położenie. Śmierć starej cesarzowej wzmacniała stanowisko Ottona, który, rozdrażniony sprzeciwem Gizylera w sprawie utworzenia arcybiskupstwa w Gnieźnie, nakazał mu opuścić magdeburską stolicę i wrócić do Merseburga. Główny przeciwnik kościelnych zamierzeń Bolesława był obezwładniony.

Przed wyjazdem Stoigniewa zjawił się u niego Ekkehard, który pozostawał w Ratyzbonie przy cesarzu, by towarzyszyć mu na zjazd. Wiązał z nim własne plany i nadzieje, i widno chciał dla nich pozyskać Bolesława. Margraf, przezorny i małomówny, niepewny był, co ostatecznie uczyni Otto, mówić jednak począł o sprawie następstwa, gdyby istotnie cesarz złożył koronę. Dynastia salicka wprawdzie od czterech pokoleń zasiadała na niemieckim tronie, niemniej każdy z poprzedników Ottona za życia swego starał się przeprowadzić wybór następcy. Zapewne i Otto nie rzuci korony na niepewne, a najbliższy krewny i jak on prawnuk ptasznika, Henryk bawarski, nie cieszył się mirem ani u cesarza, ani u najpotężniejszego ze świeckich dostojników - cesarskiego dziewierza, reńskiego palatyna Ezzona. Ekkehard dawał do zrozumienia, że myśli o koronie dla siebie. Gdy Stoigniew wysunął wątpliwość, czy palatyn nie będzie starał się o nią dla własnych synów a siostrzeńców Ottona, Ekkehard odparł z uśmiechem:

- Może się zadowoli cesarską dla swych wnęków. Tron Wielkiego Karola takoż nie jest dziedziczny. Prawią, że siedzi na nim w sklepie akwizgrańskiego tłumu i czeka na godnego następcę. Kto na tym tronie zasiądzie, zawładnie światem. A mniemam, że i wasz książę rad by widział swego wnęka w niemieckiej koronie.

Pożegnał Stoigniewa, pozostawiając go pogrążonego w myślach.

Z Ratyzbony Stoigniew wyjechał chyłkiem i przemykał się jak ścigany przez kraj wrogiego Henryka, unikając miast i zamków, z konieczności jeno i na krótko stając w gospodach. Nieraz, gdy bezdrożami objeżdżać przyszło, spędzał noc w skleconym na prędce szałasie przy ognisku, choć w miarę jak posuwał się na północ i okolica stawała się górzysta, zima srożyła się coraz bardziej. Sądził jednak, że żadna ostrożność nie jest nadmierna. Nie bacząc nawet na osobistą zadrę, jaką Henryk miał z nim czasu pierwszej wyprawy na północnych Słowian, Bawarczyk ani chybi chętnie dostałby w ręce Bolesławowego krewniaka i posła, w przypuszczeniu, że znane mu są zamiary zarówno polskiego księcia, jak i Ottona. Stoigniew pewny był, że nie tylko Ekkehard myśli o koronie dla siebie. Syn Kłótnika, śladem ojca, niewątpliwie dobijać się będzie o nią i jak ojciec nie przebierać w środkach, stawiając przeszkody przeciwnikom, do których jako jednego z najgroźniejszych liczyć mógł Bolesława. Już sam zamiar spotkania cesarza z polskim księciem budził podejrzenia i niepokój. Pielgrzymka do grobu męczennika zdała się pozorem, dla tego celu bowiem Otto nie potrzebował zabierać z sobą najwyższych dostojników i najbliższych doradców. Ze strony Gizylera, rozdrażnionego zagrożeniem roszczonych praw do kościelnego zwierzchnictwa nad ziemiami Bolesława, podróż cesarza napotkała na otwarty i gwałtowny sprzeciw. Gizyler nie był

osamotniony. Z tym wszystkim państwo pokoju Ottona przedstawiało się Stoigniewowi jak wóz ciągniony przez cztery konie, z których każdy rwie w inną stronę. Niemniej rozważny i przezorny Ekkehard nie byłby podsuwał Stoigniewowi rozważań nad tą sprawą, gdyby nie miał żadnych podstaw. Mógł wiedzieć więcej niż inni, od czasu bowiem, gdy stłumił bunt Krescencjusza, cieszył się wyjątkowym zaufaniem Ottona.

Konieczne było omówić te sprawy z Bolesławem przed zjazdem i Stoigniew nie żałował siebie ni swych ludzi, szczędzić natomiast musiał koni przed czekającą jeszcze przeprawą przez górskie pasmo na granicy Bawarii i Turyngii. Dalej, pod władzą Ekkeharda, podróż będzie łatwa i bezpieczna. Niemniej Stoigniew sądził, że mogące mu grozić od ludzi niebezpieczeństwo zostawił już za sobą. Nakluczył dość, by zmylić pogoń, jeśli była. Natomiast przyroda rozsrożyła się tak, że zdała się groźniejsza niż ludzie. W zawiei omal za dnia nie zbili się z rzadko nawet ciepłą porą uczęszczanej drogi wiodącej przez dział wód Menu i Ohrzy, północny wicher siekł w oczy lodowymi krupami, oszroniałe i dymiące konie pod wieczór ledwo wlokły nogi po kopnym powyżej pęcin i sypkim jak piasek śniegu, mimo że od południa ludzie szli pieszo, za końmi szukając zasłony od wichru przenikającego do kości. Odwykli od mrozów w Italii, cierpieli widocznie. Choć nie skarżył się nikt, Stoigniew sam czuł, że wytrzymałość ma swój kres, a spędzenie nocy bez dachu nad głową i ciepłego posiłku równać się mogło zgubie, zwłaszcza gdyby ustały nie pojone od rana i nie obroczone konie. Rozglądał się też za jakąś ludzką siedzibą, ale górska okolica pusta była, a wszelkie ślady zawiał śnieg.

Szczęściem droga weszła w lesisty wąwóz, wicher wył jeno w szczytach drzew na zboczach, śnieg przestał kłuć posiniałe policzki i opadał z suchym szelestem, zmniejszając jeszcze i tak małą w mrocznym wąwozie widoczność.

Wojewoda już miał zamiar wydać rozkaz przygotowania noclegu, gdy zaleciał go zapach dymu, a konie same ruszyły raźniej, widno czując stajnię. Jakoż nie uszli daleko, gdy na zboczu lesistego wąwozu otwarła się polanka i przez zasłonę śniegu dojrzeli w górze pod lasem dość obszerne zabudowania. Ludzie bez rozkazu skręcili ku nim, ale wojewoda nakazał stanąć.

- Karczma pewnikiem - mruknął dziesiętnik Dobiesz.

- Karczma byłaby przy drodze - odparł Stoigniew. - Radziej stróża. Jakoby częstokół widać, obaczyć trzeba, kto tu siedzi.

- Choćby i biesy, konie musimy napoić. I nam zdałoby się spocząć pod dachem - westchnął Dobiesz.

- Ostańcie tu, póki nie zawołam - rozkazał Stoigniew. Dosiadł konia i ruszył ku pochyłości. Zbliżywszy się poznał, że istotnie budynki otoczone są częstokołem, przez śnieg niemal zawianym, brama jednak otwarta była, a zdążając ku niej zauważył również zawiane, ale liczne i niedawne ślady. Wjechawszy na obejście, skierował się ku budynkowi, z którego podstrysza sączył się dym, a błony w oknach jakby przeświecały słabym poblaskiem. Przez chwilę pilnie nasłuchiwał, ale nic się nie poruszyło, podjechał przeto do budynku i zeskoczył z konia. W ciemnej sieni namacał zaworę drzwi do izby, pchnął je i wszedł, a za nim buchnął do wnętrza kłąb pary, przez który ledwo widać było żarzące się na palenisku głownie. Reszta izby tonęła w mroku i zdała się pusta. Gdy jednak wojewoda zamknął drzwi i tuman rozwiał się, dostrzegł rosłego chłopa, który dźwignął się z pieńka przy palenisku, przeciągnął się i zapytał zaspanym głosem:

- Jeszcze nie nadjechali?

Stoigniewa tknęło coś i odparł:

- Nie!

- Pobłądzić musieli w takowy psi czas i w lesie nocują. Tedy ich najdziem za dnia, jeśli wilcy co ostawią - zaśmiał się. - Straż pozostawić przy drodze, reszta niechaj wraca.

Stoigniew nic nie odrzekł i wyszedł. Przypuszczał, że na niego czekano, niemniej należało skorzystać z nieobecności załogi strużу, by się pożywić. Za chwilę wracał na czele swoich, wydawszy rozkaz, by natychmiast obrządzić konie, a sam z dwoma wojakami wszedł do izby.

Tym razem nieznajomy stał tyłem do drzwi, dokładając polan na ognisko.

Przez ramię rzucił:

- Cosi prędko wróciliście.

- Spieszno nam - odparł Stoigniew.

Nieznajomy obejrzał się i drgnął. Płomień oświetlał postacie Stoigniewa i dwóch stojących za nim wojaków. Wojewoda ciągnął: - Długo nie zabawim. Przeprowadzisz nas przez granicę, a jeśli ci głowa miła, bacz, byśmy nikogo nie napotkali. - Gdy nieznajomy stał osłupiały, wojewoda dodał:

- Tymczasem cię zwiążemy, by ci uciekać na myśl nie przyszło. Nie lękaj się, jeno się bezpieczny poczuję, puszczę cię, byś się mógł pokłonić temu, co ci zlecił te łowy.

Noc już zapadła, gdy orszak Stoigniewa z przewodnikiem na powrozie zanurzył się w las. Brnęli w kopnym śniegu bezdrożnym, na szczęście śnieg przestał padać i pojaśniało. Wiatr nacichał, w rzadkich przerwach między gałęziami przebłyskiwać zaczynały gwiazdy. Nie czuli przybierającego mrozu, zgrzani wysiłkiem wspinania się po stromym stoku. Konie, choć idące luzem, znowu chrapać zaczęły, ludzie byli u kresu sił, ale Stoigniew nie pozwolił nawet przystanąć i wlekli się noga za nogą gęsiego.

Stok pochylił się, dość nagle przechodząc w skalisty żleb, a potem w wąwóz. W ciszy mąconej jeno chrzęstem suchego śniegu posłyszeli niepewny zrazu, a potem wyraźny szmer, jakby szept wody. Konie same ruszyły szybciej. Na dnie wąwozu ukazała się ciemniejsza plama i gdy się zbliżyli, ujrzeli bełko strumienia, niewidocznego zresztą pod zwałami śniegu. Konie pchały się do wody, ale Stoigniew nie pozwolił napoić ich do syta.

Zwracając się do przewodnika, zapytał:

- Co to za strumień?

- Sala - mruknął przewodnik.

Szli teraz wzdłuż potoku, coraz częściej występującego spod śniegu. Co parę stajań Stoigniew pozwalał ludziom i koniom na łyk wody. Gdy się upewnił, że strumień stale płynie na północ, kazał rozwiązać jeńca i stanąć na wypoczynek. Ludzie zakrzątali się przy rozpalaniu ognia i zagotowaniu ciepłej strawy. Stoigniew siedział na głazie zamyślony. Gdy polewka się ugotowała, pozwolił pożywić się przewodnikowi i wyjąwszy z trzosa garść srebra wręczył je zdziwionemu, mówiąc:

- Choć, nie z dobrej woli oddałeś mi przysługę, płacę. Dwakroć tyle i łatwiej będziesz mógł zarobić, gdy znowu tędy będę przejeżdżał.

- A co mam robić w zamian?

- Ludzi swych wysłać, a samemu spać, jak wczora.

Dosiedzieli, podrzemując, do chwili, gdy pierwszy brzask zabarwił pogodne niebo. Wówczas Stoigniew podniósł swoich, skinął ręką przewodnikowi, którego już nie potrzebował. Opodal, gdzie Sala skręca na zachód, biegnie gościniec do Miśni, parę dni drogi łatwej i już bezpiecznej.

Z Miśni, gdzie ludzie i konie znaleźli zasłużony wypoczynek, Stoigniew pchnął gońców do księcia z zawiadomieniem o swym powrocie i po dwóch dniach wyruszył kierując się przez Budziszyn i Iławę do Głogowa. Nie spieszył się już, cesarza wyprzedził znacznie, natomiast wiosna zdała się go doganiać. Sprewę, Nysę i Bóbr przebył jeszcze po lodzie, pobyt jednak w Głogowie, gdzie znowu zamierzał spocząć, musiał skrócić, woda bowiem zaczęła występować na lód i obawiał się, że uwięźnie w roztopach, nim przebędzie bagniste rozlewiska Obry. Nocami jeszcze mróz ścinał tające już śniegi w lodową skorupę, ale południową porą podgrzewające słońce niszczyło jego wysiłki, śnieg zmieniając w grząską maź. Na strumieniach lód stał, ale wierzchem płynęła woda rozmiękczając go. W ciepłe dni przedwiośnia podróż była nieuciążliwa, ale przeprawy niebezpieczne. Na pogodnym błękicie wisiały skowronki, pęczniejące sokami gałęzie bezlistnych drzew obsiadały stadami szpaki. Zimową jeszcze biel coraz częściej i szerzej plamiły spłachcie dymiących oparzelisk, na których gwarzyło już powracające z południa wodne i błotne ptactwo. Nim orszak Stoigniewa dotarł do Krzywina, Obra ruszyła, wezbrane wody dźwignęły lodową skorupę, skruszyły ją w krę i spiętrzyły zatory, rozlewając się szeroko. Trzeba było czekać, póki nie spłyną.

Stoigniew się tym nie strapił. Po czterech latach pobytu na obczyźnie, z rzadka miewając wieści o tym, co dzieje się w kraju, ciekawy był wszystkiego i do późnej nocy rozpytywał włodarza Siemisława. Dowiedziawszy się, że Jaskotel bawi w niedalekim Skarbnie, kazał sobie na rano przysposobić konia. Zatęsknił za starym druhem, a nie wątpił, że Jaskotel rad go ujrzy i zapewne najdokładniejszych udzieli mu wieści o stanie spraw i zamiarach księcia.

Ujrzał drucha wcześniej, niż się spodziewał. Zaspawszy do dużego dnia, zbierał się pospiesznie, gdy do izby wpadł Jaskotel. Ujęli się za ręce i przez chwilę wzajem patrzyli na siebie bez słowa.

- Posiwiałeś! - przerwał milczenie przybyły.

- A ty nie zmieniłeś się.

Istotnie, mąż w sile wieku smukły był po chłopięcemu i coś chłopięcego miał w uśmiechu.

- Bogać tam, nic! Skoro patrzeć, jak korzenie zapuszczę. Od powrotu z czeskiej wyprawy doma siedzę, chyba że na łowy lubo do gospodarki wyskoczę na dzionek czy dwa. Zmieniło się tu wszystko, miast wojować - budujem. Sam obaczysz, ile grodów, dróg i mostów przybyło, kupiec ci na targi więcej i lepsze przywiezie, w zamian za łupieże, wosk czy miód, niźli drzewiej łupem się brało krwią płacąc. Dorabia się każdy, srebro dziś znajdziesz u byle chmyza, co dawniej pieniądza na oczy nie widział, przez co i daniny sprawniej i lżej ściągać, bo każden chętnie płaci, gdy ma z czego i wie, za co: za to, że od wygnania Ody żaden wróg na naszej ziemie stopy nie postawił. Toteż błogosławią Bolka, a już moja Wrochna jakby odmłodniała, bo nie jeno ja, ale i chłopaki doma siedzą.

Zaśmiał się znowu i ciągnął:

- Siedzą! Tyle że im kniaź oddech dał, by się przed macierzą nagrodami i zaszczytami pochlubić mogli. Szczeniaki dziesiętnikami już są w przybocznej drużynie. Tymczasem trochę wyręki z nich mam przy budowach i stadninach, i doma ich czasem poświeci, gdy się nadto sterają. Ani się człeku

wierzyć nie chce, że czas by ich ustalić, póki się juchy nie zwłóczą do reszty, bo do dziewek szczęście po mnie odziedziczyli. Mało tego człek łbem nie przypłacił, a co było swarów i zgryzot!

Machnął ręką.

- Widno się starzeję, skoro mi co innego niż młodym smakuje. Aże mi samemu dziwno, że gdy dwa dni małego Jaskotela nie widzę, to mi się za nim tęży.

Gdy Stoigniew, zdziwiony i niepewny, patrzył pytająco, dodał:

- Prawda, że już cię w kraju nie było, gdy się ów malec urodził, któremu imię po tamtym nieboraku dałem, co jeno raz za żywota widział rodzica.

Uśmiech Jaskotela przygasł na niewesołe wspomnienie. Stoigniew wtrącił:

- Raduję się, że w kraju wszystko idzie ładem, a tobie i twoim dobrze się wiedzie. Cóże z bracią?

Twarz Jaskotela zmierzchła.

- Dużo by mówić. Michał dziewkę pojął od Jastrzębców. Młódka urodna, kosy miała do kolan i język nie krótszy. Z głupim się sprząc, sam człek głupieje. Ninie Michał od niej ucieka, bo ją winuje, że na Wilczka nieszczęście przyszło.

Jaskotel widocznie jednak nie chciał rozmazywać tej sprawy, bo uciął:

- Co tam! Jeno byś nie uwierzył, jako nie uwierzyłbym i ja, co Wilczka od maleńkości znałem, że pustelnikiem ostanie. Niemowa zawżdy był, w sobie skryty, zdało się, że jeno wojnę i oręż miłuje. Prawda, że stopę przy dobywaniu Krakowa utracił, aleć i nasz rodzic bez kostura chodzić nie wydolił, a na wojnie żywot położył. Póki człek kolana ma, na koniu dosiedzi, a jeszcze takowy jeździec jak Wilczek! Ale Bolkowi powiedział, że nawet gdyby nie ostał kaleką od ran, miecza by więcej nie podniósł, bo łacniej ból zadawać, niźli znosić. - Zamyślił się i ciągnął: - Kto by się tego po Wilczku spodziewał?... Samego siebie człek widno nie zna, cóż mówić o drugich. Jakoś drzewiej ludzie prostszy mieli żywot. Rodzic mój od maleńkości do zgonu wiedział, czego chce i jak to osiągnąć, wiedział, kogo i za co miłować lubo nienawidzić. Śmierci się nikto nie bał, bo wiadomo - każdemu pisana, ze swymi zmarłymi człek obcował wesoło, z kwieciem, pląsami i pieniem, ninie ze smutkiem i lękiem, bo nie wiada, jaki tam ich los...

Urwał. Po chwili podjął:

- Pono Wojciech wiedział i dlatego żywot na przepadłe cisnął. Żeby nie on i tacy jak on, to bym zgoła myślał, że owo chrześcijaństwo to jeno niemieckie szalbierstwo. Widno nie na mój rozum te sprawy, cóż rzec o prostym człeku. I tego nie rozumiem, skąd tyle poruszenia w świecie o śmierć Wojciecha, jakoby czegoś wielkiego dokonał.

- Może i dokonał - powiedział Stoigniew. - Ci, co cudzą krew rzekomo dla szerzenia chrześcijaństwa rozlewać radzi, kolana przed nim ugiąć muszą. Nam zasię niepoślednią przysługę oddał, bo dla niego Kuria zgodziła się Radzima arcybiskupem u nas ustanowić, a Bolkowi misję zawierzyć u pogan, kres kładąc Gizylerowym roszczeniom.

- Prawyś! Jeno po Wojciechowej śmierci nie łacno najdzie jego następców, i z mieczem tam iść będzie trzeba. Ale to pewne, że gdyby nie Wojciech, nie byłoby zjazdu, po którym Bolko wiele sobie obiecuje.

- Następcy już się naleźli. Jedzie tu z cesarzem krewniak jego, Bruno z Kwerfurtu, któren po Wojciechu misję podjąć zamierzył.

- Coś ci dziwnego jest w chrześcijaństwie - powiedział Jaskotel. - Zawżdy mniemałem, że jeno wojak jest mężny, i wydziwić się nie mogłem, co Wilczek Bolkowi rzekł, iże większego męstwa trzeba, by cierpienie znosić, niźli je zadawać. Wojów najdziesz, ilu zechcesz, choćby za pieniądz, jak owi weleccy Borys i Bierzymyśl, którzy Bolkowi służyć gotowi, nawet przeciw swoim. Kazał im kniaź, to się i pochrzcili. Ale żeby za nic żywot stawić, nawet go nie broniąc?!

- Wierzyć muszą, że za coś cenniejszego niźli żywot.

- Tyś u mnichów chowany, to może co z tego rozumiesz. Ja bo myśleć o tym nie lubię, bo jeno zamęt mam w głowie. Ale gadać możem i po drodze, i u mnie - zakończył, wstając.

- Ciebie jeno ujrzeć chciałem - odparł Stoigniew. - Ninie do książęcia mi pilno, by sprawę zdać, i tylko czekam, aż lód spłynie.

- Nic z tego, bo kniaź na objeździe. Skoro go ujrzysz, bo wojskom ciągnąć kazał do Iławy i zjazd tam zwołał, jakiego jeszcze nie było. Tedy tu czekać zali u mnie - za jedno. A już Wrochna rada cię obaczy, bo słusznie mniema, iże twoja ręka w tym, że pokój mamy, i wierzy, że go na zjeździe utrwalim.

- Zaśmiał się i ciągnął: - Ja zasię niezbyt wierzę, bo nie po to kniaź zaciąg czyni i wojska zbroi, by je gościom pokazać. Nie struże sochy, kto orać nie zamierza.

- Dobrze i pokazać - odparł Stoigniew wymijająco - bo nie sami przyjaciele będą wśród gości.

Nie chciał wyjawić, że sam także mniema, iż pokój jest i długo jeszcze pozostanie jeno owocem zwycięstwa, póki o takich jak Wojciech nie będzie równie łatwo, jak o wojów w sowicie zaopatrzonej Bolkowej drużynie.

X

Jak uchodzący przed ogarami wilk zima zawróciła nagle, szczerząc białe kły mrozu. Bure stada chmur nadleciały z północy, ścięte w grudę błoto nie obeschłych jeszcze gościńców pokryły śniegowym puchem. Przedwcześnie przybyłe ptactwo kuliło się pokornie, czekając, aż obłoki wysypią swą śnieżną zawartość i władzę znowu obejmie wysokie już słońce. Ale nie zasilane roztopami wody spłynęły, udostępniając brody, a stwardniałe drogi, wiodące z Włocławka, Gniezna, Giecza i Poznania na Śląsk, zaroiły się zbrojnym ludem.

Pierwsza przeszła jazda. Cztery tysiące koni dobranych wedle maści i wzrostu zbronowało kopytami białą płaszczyznę, znacząc za sobą ciemny szlak. Za wierzchownymi szło stado jucznych, dźwigając spyżę i sprzęt, by nadmiernie nie uciążać położonych przy drodze osad ni czasu nie tracić na szukanie zaopatrzenia w odleglejszych. Przyszła już bowiem wiadomość, że orszak cesarski wyruszył z Budziszyna i lada dzień stanie na polskiej granicy, a konne hufce dla okazałości

towarzyszyć mu miały w tej drodze. Ciągnęły szybko, aż ziemia drżała. Jeno wypadł ktoś spojrzeć, co dzieje się na spokojnym zwykle gościńcu, już niknęły w oddali, jeno promień zwycięskiego słońca zaświecił jeszcze, odbity w hełmach czy łuskowych pancerzach starszyzny.

Następnego dnia przetartym przez jazdę szlakiem pełznął długi na kilkanaście stajań wąż pieszych wojsk. Szli trójkami pod wodzą dziesiętników, setników i tysięczników, składnie, ale swobodnie. Chłopy tęgie, dobrane i jednolicie przybrane, w parciane portki owinięte na łydkach rzemieniami, w parcianych równierz kubrakach do kolan, rozciętych pod szyją. Narzucone mieli baranie krużny, spięte na prawym ramieniu mosiężnymi guzami; tarczownicy z okrągłymi, obitymi skórą tarczami na plecach i dwiema włóczniami na ramieniu, łucznicy z łukami przewieszonymi przez barki i łubami na strzały przy boku. Jednolitość gromad prostych wojów krasiły stroje starszyzny z sukna odmiennej barwy w każdym hufcu, podbite futrem kunim, wydrzym lub nawet bobrowym, łańcuchy na piersiach, srebrne setników i złote tysięczników, bogata broń i tarcze, często z wymalowanymi na nich rodowymi znakami. Za wojskiem ciągnął długi szereg wozów z wszelkim sprzętem, przy których szli rzemieślnicy z toporami.

Z tyłu wlokły się pędzone przez pastuchów, przeznaczone na ubój stada wołów, świń i owiec i hałas tysięcy ludzkich i bydlęcych głosów daleko wyprzedzał pochód. Dołączała się do niego wrzawa, jaką czyniły gromady biegnących za wojskiem wyrostków, ciekawych wszystkiego, co niezwykłe.

Ale nie tylko wyrostki były ciekawe. Gdy następnego dnia ukazał się na drodze sam książę z orszakiem, kogo jeno pilnie zajęcia nie trzymały w domu, zbierał się do Iławy. Nieczęsto zdarzy się ujrzeć cesarza i wszystkie świetności, jakie książę na jego przyjęcie zgotował. Toteż ciągnący za nim tłum rósł jak lawina, zdać się mogło, że cały naród ruszył za swym przywódcą. Gdy na gościńcu miejsca nie stało, rozlewali się na boczne ścieżki i drożyny lub nawet na pole, jak wezbrane wody, gdy nie mieści ich rzeczne koryto.

A ludzi wciąż przybywało, coraz to dołączył się orszak jakiegoś wielmoży, udającego się na zjazd. Wszyscy przybrani byli, w co jeno kto miał najbogatszego, barwne trzewice, jaskrawe sukna, bogate futra i broń. Nie brakło i niewiast w lśniących jedwabiach, złotogłowiach obszytych gronostajami, w złotych, sadzonych kolorowymi kamieniami kolcach, naszyjnikach i naramiennikach, w haftowanych złotem i perłami namitkach. Cała potęga i bogactwa Polski ciągnęły naprzeciw cesarskich gości, by olśnić ich siłą i przepychem, dorobkiem zaledwie pięciu lat Bolesławowego władania w pokoju, poprzedzonego ciężkim, zdać się mogło zrazu - beznadziejnym zmaganiem z siłami, które zniszczyć chciały wiekowy dorobek ciężkiej, często krwawej pracy Piastowego pokolenia. Ten, który go ocalił od zagład, jechał teraz, by okazać go całemu światu. Wielu z towarzyszących mu tłumów widywało już księcia, ale zazwyczaj w prostej zbroi lub ciemnych szatach, z twarzą nierzadko chmurną lub groźną, o ostrym spojrzeniu błękitnych oczu spod obfitej, czarnej brwi. Dziś spojrzenie pogodne było jak ten słoneczny dzień przedwiośnia, w którym tajały resztki śniegów. Zima odeszła i zda się przeminęło i odeszło na zawsze zło, cały naród święcił swą wiosnę. Chwilami tłum gęstniał tak, że hufiec przyboczny torować musiał drogę. Każdy chciał spojrzeć na księcia. Jechał na wielkim karym koniu, rosły i pleczysty. Ciemny włos, przycięty nad brwiami w równą grzywkę i z lekka falistymi kędziorami opadający na barki, przykryty był purpurową czapką z złotym otokiem sadzonym kamieniami i takąże tęczą skrzyżowaną na wierzchu. Z szerokich barków spływał na lędźwie rumaka purpurowy płaszcz lamowany złotogłowiem, podbity sobolami, z szerokim gronostajowym kołnierzem. Na pasie ze złotych klamer zwisał wspaniały

miecz, o którego cudownym pochodzeniu bajki opowiadano dzieciom. Ale nawet ci, co w nie nie wierzyli, przyznać musieli, że sprawdziły się wyryte na mieczu wróżebne słowa: nullum periculum ei omnino nocebit (żadne niebezpieczeństwo mu nie zaszkodzi). Bolko uszedł wszystkich czychających nań niebezpieczeństw, a teraz jedzie zatknąć wiechę na szczycie wspaniałej, przez siebie wykończonej budowli przodków.

Pod wieczór, gdy pochód zbliżał się już do Bobru, tłumy jęły rozpływać się i rzednąć. Pogodny zachód zapowiadał nocny przymrozek, niewielka osada przygrodowa z trudem pomieści jeno dwór, obszerne błonia nad brodem, jak okiem sięgnąć, zajęte były przez obozujące wojska. Kierowano się do niezbyt odległej Szprotawy, a nawet dalszego Żagania, kto miał nadzieję miejsce znaleźć pod dachem. Większość jednak gotowała sobie nocleg w przybrzeżnych lasach pod namiotami, w szałasach lub zgoła przy ognisku. Przybycie Ottona zapowiedziano nazajutrz i każdy chciał być świadkiem spotkania swego księcia z młodym cesarzem. Jak świat światem, po raz pierwszy niemiecki władca postawić miał stopę na polskiej ziemi jako przyjaciel, nie można prześlepić tej jedynej chwili, lepiej już o świtaniu miejsce sobie wyszukać, by ujrzeć jak najwięcej. Mimo to do późna w noc ciemna zazwyczaj toń Bobru świeciła odblaskiem ognisk, przybrzeżny bór i łęgi rozbrzmiewały głosami gęśli i śpiewów, a radość i podniecenie także płoszyły sen.

Nie spał i Bolesław, jakkolwiek nie radość przeszkadzała mu usnąć. Siedząc z kilku najbliższymi, słuchał sprawozdania Stoigniewa, a twarz jego wyrażała wytężoną pracę myśli. Czasem zmarszczka między brwiami zdradziła, że nie wszystko układa się po jego woli. Odzywał się rzadko, czasem rzucił pytanie, choć Stoigniew w sprawozdaniu swym był dokładny, a w sądach ostrożny, nie ukrywając swych wątpliwości, których było wiele.

Najważniejsze dotyczyły Ottona, którego postępki trudne były do przewidzenia. Poza tym Stoigniew nie sądził, by cesarz zdołał się utrzymać w wieczyście buntującej się Italii, zagrożonej ponadto przez Saracenów i Bizancjum. Zamiar zjednoczenia obu imperiów przez małżeństwo Ottona był już wyraźnie udaremniony. Rzymskie wyprawy wyczerpywały jego siły i podkopywały zdrowie, niemieccy lennicy coraz niechętniej brali w nich udział. Willigiz był im otwarcie przeciwny i gotował opór. Położenie Ottona w samych Niemczech stawało się trudne i niepewne, mimo że posiadał tam jeszcze potężnych stronników. Niemniej stawał się od nich zależny, a Stoigniew sądził, że to jest przyczyna, dla której szuka oparcia w Bolesławie. To samo musiał wiedzieć mądry i przewidujący papież Sylwester, który najlepiej znał swego ucznia. Jeśli Otto istotnie pod wpływem przygnębienia i zniechęcenia złoży koronę, papież stałby się zabawką w ręku italskich możnowładców. Sam wyjazd cesarza z Rzymu zmuszał do oglądania się za innym poparciem, a Stoigniew nie taił, że gdy wszystkie drogi z Polski do Rzymu dalekie są i niebezpieczne, łatwo wybór Sylwestra paść może na związanego z Bawarczykiem węgierskiego Stefana. Gdy opowiedział własne przygody w ostatniej podróży, książę mruknął:

- Złotym kluczem każdą bramę rozewrze!

- Prawda! Ale czasu za złoto nie kupi, a nie jeno poselstwom drogę otworzyć by należało.

- Tedy może otworzymy ją żelazem - odparł Bolesław.

Zrozumieli, że myśli o zajęciu Czech. Oznaczało to wojnę, a znając księcia, wiedzieli, że nie po to rozsiadł się i umocnił w siodle oraz wykuł broń, by spoczywać przy boku małżonki do końca żywota.

Pilniejsza jednak zdała się sprawa następstwa po Ottonie. Gdy Stoigniew powtórzył swą

rozmowę z Ekkehardem, Bolesław odparł żywo:

- Z Ezzonem Herrenfriedem już sprawę uładziłem, czeka jeno przyzwolenia, by najstarszą swą córę a cesarską siostrzenicę zeswatać Mieszkowi. Moja dobrawka służbie Bożej żywot chce poświęcić, aleć i Regelinda, skoro patrzeć, źrała już będzie i jużci rad bym wnęka ujrzał w niemieckiej koronie. Młody Herman na tu przybyć z rodzicem, niechaj się młodzi sobie przyjrzą, bo i tej córy nie chciałbym niewolić. Ale Herman wdały jest, a Regalinda rozsądna, myślę, że jedne i drugie zrękowiny odprawimy.

- Pomnijcie, panie, żeście córę kijowskiemu kniaziowi przyrzekli w zakład przymierza - wtrącił Mszczuj.

- Nie zapomniałem - odparł Bolesław. - Wżdy mam trzecią córę. Skrzat to jeszcze i czas jej do łożnicy, aleć i na ruskie sprawy nie pora, gdy tu pilniejsze. A ninie najlepiej nam spocząć, bo nie wywczasy nas czekają, a o świtaniu wstawać trzeba.

Istotnie niebo dopiero zielenić się zaczynało na wschodzie, gdy gwar się wszczął w osadzie i ruch przy rzece. Na przeciągniętych linach burta o burtę wiązano tratwy, kładąc na nich pływający most z dranic, by nadciągający goście nóg nie zmoczyli w wezbranej jeszcze i zimnej wodzie. W obozie zadymiły ogniska, ale nim płomienie rzuciły blask w półmrok przedświtu, zwyciężyło dzienne światło, a potem nad bory wyskoczyło słońce i świat zalśnił od szronu, który jednak tajał w ciepłych promieniach, zmieniając się w obfitą rosę, grającą wszystkimi barwami.

Ale piękno poranka nie wabiło niczyich oczu. Nadciągające znowu tłumy baczyły jeno, by zająć miejsce przy brzegu, skąd najlepiej widać będzie orszak cesarski. Każdy tłoczył się, byle bliżej wody, aż niejednego zepchnęły w nią napierające z tyłu gromady. Nie obyło się bez swarów i prześmiechów, gwar panował jak w ulu przy wiosennym oblocie. Kto miejsca nie znalazł na polskim brzegu, czym i jak mógł - przeprawiał się na łużycki, niejeden w bród; gdy zepchnięty do wody raz przemoczył szaty - za jedno mu już było.

Największe tłumy pchały się do mostu, ale tu dostęp po obu stronach obsadziły oddziały łuczników i tarczowników, a na łużyckim brzegu aż po odległy o dwa stajania las, w którym niknęła droga. Nie pomoże wytężać oczu.

Czekające tłumy zaczynała ogarniać niecierpliwość, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej. Kto w pośpiechu nie zdążył pożywić się, teraz gotował śniadanie. Napięta uwaga osłabła, ten i ów zadrzemywał w ciepłych promieniach słońca, jeśli nie dospał do rana. W szemraniu nieprzeliczonych tłumów zrazu nie zwróciły uwagi pojedyncze okrzyki dochodzące od lasu na łużyckim brzegu. Wzmagały się, potem nagle umilkły, a pogłos ich skonał i zaległa cisza. Drzemiący zerwali się, porzucano nie dokończony posiłek, wszystkie oczy skierowały się, gdzie droga z boru wybiegała na przybrzeżny łęg. W pędzie wyskoczył na nią samotny jeździec, w mgnieniu oka dopadł brzegu, osadził konia i wiodąc go za uzdę wstąpił na most. Cisza uczyniła się taka, że słychać było tupot końskich kopyt po dranicach. Przebywszy most, zniknął z oczu tłumów, ale nikt już nie patrzył za nim. Bez wątpienia zapowiadał, że nadciąga oczekiwany orszak cesarski.

Jakoż łucznicy na polskim brzegu spychać jęli tłum na boki, opróżniając na przyczółku obszerne półkole. Wypchnięci co prędzej szukali miejsca na dachach przyległych budynków, by nic nie uronić z widowiska, i oni pierwsi spostrzegli, jak z bramy grodu wysunął się orszak książęcy, podjechał na kilkadziesiąt kroków od mostu i zatrzymał się.

Teraz jednak świetność jego nie wabiła niczyich oczu. Wszystkie utkwione były w przeciwległy

brzeg, gdzie na drodze z obu stron obstawionej przez szeregi wojsk ukazał się znowu samotny jeździec w lśniącej zbroi, z lancą w ręku, w której złocony grot świecił w promieniach słońca jak płomyk. Uwagę jednak natychmiast ściągnął na siebie wysuwający się z lasu orszak, na którego czele, na mlecznobiałym siwku prowadzonym za purpurowe, szerokie wodze przez barwnie odzianego giermka, jechał szczupły młodzian. Rudawe włosy jego ujęte były złotą przepaską, z bark na lędźwie konia spływał błękitny płaszcz lśniący od złotych haftów.

Rycerz niosący świętą lancę, oznakę władzy cesarskiej, przebywszy most zsiadł z konia i nie witając się z nikim stanął na uboczu. Książę i jego dostojnicy również zeskoczyli z siodeł i Bolesław podszedł do brzegu, czekając na zbliżającego się cesarskiego gościa. Stał samotny i ogromny, przybrany w łuskową zbroję, w pozłocistym spiczastym hełmie zakończonym tuleją, w której tkwiły białe czaple pióra. Wszyscy z napięciem patrzyli na zbliżające się powitanie.

Otto skinął na giermka, by mu przytrzymał strzemię, i stanąwszy na ziemi żywo podszedł do Bolesława. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Bolesław pochylił się w pokłonie, a Otto niespodzianie zarzucił mu ramiona na szyję i twarz przytulił do jego twarzy.

Na ten widok krzyk targnął powietrzem. Cesarz witał polskiego księcia nie tylko jak równy równego, ale jak brata. Potem ujął jego dłoń i wskazując na stojącego obok z włócznią rycerza powiedział:

- To dziewierz mój. Jeśli Bóg zwoli, będzie i twiom swojakiem. Ja już przyzwoliłem, o wianie zasię i oprawie czas będzie mówić w Gnieźnie.

Bolesław uścisnął dłoń palatyna, a tymczasem Otto witał się ze Stoigniewem i Jaskotelem, przypominając znajomość. Z kolei Bolesław ucałował dłoń papieskiego legata, który bystrymi oczyma rozglądał się, widocznie zaskoczony tym, co tu ujrzał.Z kolei podawał dłoń do ucałowania polskim dostojnikom, których mu oznajmiał Stoigniew, książę zaś zwrócił się do stojącego za kardynałem Radzima:

- Witam was znowu na swej ziemi, teraz już nie jako miłego gościa, ale współgospodarza. Nie obcy wam nasz kraj i mowa, tuszę, że skoro czuć się będziecie jak w ojczyźnie, tym łacniej że i brat wasz tu osiadł i z serca rad was powitać.

Skinął na stojącego z tyłu Sobiebora i odwrócił się, by nie przeszkadzać żałosnemu powitaniu najstarszego i najmłodszego z synów Sławnika. Drogi ich rozeszły się dawno. Teraz zejść się miały u jedynego, jaki im pozostał, grobu najmilszego z braci, bo prochy innych rozwiały wiatry. Stali, trzymając swe dłonie w niemym uścisku, jakby nie witając się po długim niewidzeniu, ale żegnając na zawsze.

Powitanie dobiegało już końca. Książę uścisnął dłoń patrycjusza rzymskiego, Ziazona, dość sztywno skinął głową margrafowi Geronowi, serdecznie natomiast witał Ekkeharda i syna jego Hermana, po bratersku ucałował Guncelina i skinął na pachołków, by podawali konie.

Tymczasem towarzyszące cesarzowi polskie hufce konne przeprawiły się przez rzekę i poszły przodem gotować postoje, przeprawy i noclegi. Za nimi ruszyły połączone orszaki obu władców wśród nie milknących, radosnych okrzyków tłumu. Choć nikt nie wiedział, nad czym radzić będą na zjeździe, każdy rozumiał, że uroczystość, której był świadkiem, to coś więcej niż barwne i świetne widowisko: to uznanie potęgi i znaczenia księcia, który losy kraju dzierżył w swym ręku.

Tłumy zaczęły się rozpływać i pod wieczór spokój zapanował nad cichą rzeką, jeno stratowane

łęgi świadczyły o tym, co się tu odbyło. Wkrótce wiosenna zieleń pokryje te ślady, a nie mogiły, jakie dotąd zazwyczaj zostawały po spotkaniu władców dwóch sąsiednich narodów.

Hojność Bolesława i powaga papieskiego legata przełamały upór Ungera. Zgodził się nawet we własnej katedrze asystować przy konsekracji nowych biskupów przez Radzima, odmówił natomiast wzięcia udziału w jego ingresie, chcąc zaznaczyć tym swą niezależność od gnieźnieńskiej stolicy. Bolesław nie nalegał, ważniejsze sprawy zaprzątały jego myśl. Serdeczna bezpośredniość Ottona przy powitaniu, zezwolenie na związek Mieszka z siostrzenicą cesarską, chętna gotowość, z jaką zgodził się trzymać do chrztu najmłodszego Bolesławowego potomka i nadać mu własne imię, pozwalały spodziewać się, że nie będzie czynił trudności ze zwolnieniem od daniny z Pomorza, wymuszonej ongiś przez starego Gerona w chwili słabości nie okrzepłego jeszcze państwa Mieszkowego. Wzmógłszy się na siłach, Mieszko nie płacił jej, nie miał też zamiaru uiszczać jej Bolesław. Zależność jednak, choćby z imienia, drażniła jego dumę i stwarzać mogła sposobność mieszania się obcych w wewnętrzne sprawy Polski.

Ale i ta sprawa nie była najważniejsza. Jeżeli zamiar Ottona złożenia władzy nie wypływał z chwilowego przygnębienia, najżywotniejszą była sprawa następstwa po nim. Porzucenie korony los jej czyniło niepewnym, Ekkehardowi nie braknie współzawodników, związanie się z nim może się dla Bolesława niekorzystnym okazać, jak swego czasu związanie Mieszka z Kłótnikiem. Wiadomość o zamiarze Ottona pochodziła od Ekkeharda. Bolesław nie wątpił, że margraf jej nie zmyślił. Ale mógł się mylić, a - co bardziej prawdopodobne - Otto mógł zamiar odmienić. Jednak ani w drodze, ani w Poznaniu nie wspominał o niczym. Małomówny był i zamyślony, jakby ważył coś w sobie. Ekkehard był cennym i wypróbowanym sojusznikiem Bolesława, inna rzecz jednak popierać się wzajemnie, a inna ręce sobie krępować trwałymi związkami. Wzrost samodzielności niemieckich panów lennych rozbijał jedność Niemiec, a państwa dłużej żyją niż władcy. Nawet jeśli Otto nie złoży korony, nie wieczny na tronie, a pokój i współpraca z Niemcami związane są tylko z jego osobą. Bolesław nie zapomniał, że w dziejach obu narodów po raz pierwszy, a może i po raz ostatni zaistniała możliwość współdziałania, a postanowienia brzemienne w skutki na przyszłość, za którą wobec swego narodu wziął na siebie odpowiedzialność, trzeba będzie powziąć w najbliższych dniach.

Choć noc już była, a książę czuł się znużony kościelnymi uroczystościami, po których odbyła się uczta w starym grodzie na Ostrowiu, postanowił jednak wezwać Stoigniewa. Jeśli nawet nie pomoże powziąć postanowienia, pomoże rozważyć możliwości różnych poczynań, znając najlepiej położenie. Z jego poręki książę nawiązał łączność z zachodnim światem, a choć Stoigniew pozostawał pod wpływem Gerberta i urokiem Ottona, pewne było, że radą jego nigdy nie kieruje wzgląd na własną korzyść czy wyniesienie.

Książę rozpoczął od omówienia uroczystości chrztu małego Ottona, która odbyć się miała nazajutrz na Lednickim Ostrowiu, ale Stoigniew wiedział, że nie po to wezwany został późną nocą, by omawiać, komu z dostojników jakie miejsce wyznaczyć w zamkowej kaplicy czy przy biesiadnym stole. Myśl Bolesława wyraźnie czym innym była zaprzątnięta; wąsa gładził w zadumie, czasem jakby zniecierpliwiony ręką przejechał po ciemnych włosach. Widocznie pilno mu było do ważniejszych spraw, ale Stoigniew nie pytał, wiedząc, że książę tego nie lubi. Domyślił się od razu, gdy Bolesław zaczął:

- Minął czas, gdyśmy sobie margrafów przez małżeńskie związki jednać potrzebowali.

Na czole księcia zjawiła się bruzda, czarne brwi zjeżyły się. Zapewne wspomniał własne, zerwane małżeństwo z córą Rigdaga czy też związek ojca z Odą. Stoigniew milczał. Nie tylko takim związkom z Niemcami byłby przeciwny, króre się już niekorzystne okazały. Nigdy nie zapomni stryjny Adelajdy, jak zjawy przeszłości na mogiłach przodków, ani własnego rodzica, gdy na zawsze zniknął mu z oczu w płomieniach pogrzebowego stosu. Ale książę nie po to też wezwał Stoigniewa, by dowiedzieć się, co czuje. Nie pytał i Świętosławy, wydając ją za Widłobrodego, choć wiedział, że mimo doznanej od Trygvesona obelgi i upokorzenia pozostał on jedyną miłością jej życia, której się na zawsze wyrzec musiała, by bratu na północy pozyskać sprzymierzeńca. Ale Świętosława była dojrzałą i doświadczoną niewiastą, ofiarę poniosła z własnej woli, wiedząc, co czyni. A Regelinda dzieckiem jest niemal, nie ona poniesie ofiarę, ale własny ojciec rozstrzygnąć ma, czy ją w ofierze złożyć. Zdało się poprzednio, że powziął już postanowienie. Gdy wykonać je trzeba, wstała rozterka. Nie dziw, że pewny chce być przynajmniej, iż ofiara nie będzie daremna. Stoigniew przerwał milczenie:

- Zrękowiny - nie śluby to jeszcze. A czy trzeba przypominać, że i śluby się zrywa?

- Nie trzeba! - popędliwie odparł Bolesław. - Jak cierń w żywym ciele pozostał Bezprym, by nigdy nie zwolić zapomnieć. I nie zabyłem, jakem się szarpał, nim zerwałem ten związek. Rodzic mój zasię związku z Odą zerwać nie wydolił, choć przewidzieć nie było trudno, co z niego wyniknie. Co z niniejszego wyjdzie - wiem ci ja? Postanowić zasię trzeba o losie dziecka, które z ufnością lgnie do rodzica!

- Samiście rzekli, że władcy nie mają rodzin, jeno państwa.

- Rzekłem. Nie powinni, ale mają, jeno ty tego nie rozumiesz. Sam nie masz nikogo, dobrze ci gadać!

- Dobrze mi! - powtórzył cicho Stoigniew.

Było coś w jego głosie, co zmusiło Bolesława zapomnieć o własnej rozterce. Po chwili milczenia powiedział:

- Wybacz. Nie pomyślałem, że ty nie masz ani rodziny, ani - jak ja - własnego państwa.

Zdało mu się, iż Stoigniew użalić się chce nad własnym życiem, które chyliło się już ku starości, a nie dało mu nic krom nieszczęść i trudów.

Ale wojewoda odparł obojętnie, niemal odpychająco:

- O mnie się nie troskajcie, bo wiem, czego chcę. Wiecie i wy, tedy nie patrzcie pod nogi, jeno na swój cel.

- Wżdy nie wiem nawet, co postanowi Otto, a wiele od tego zawisło.

- Wiele. Człek słaby jest i chwiejny, nie w jego siły przeprowadzić, co zamierzył. Jeśli go przeznać zdołałem, waży coś w sobie. Zda mi się, że tu będą rozstaje jego dróg. Wtedy pora powziąć postanowienie...

Tłumy gromadzące się od rana przy gościńcu wiodącym do Gniezna niecierpliwie czekały na

ukazanie się połączonych orszaków obydwu władców, skracając sobie czas opowiadaniem o już widzianych czy tylko zasłyszanych wspaniałościach. Dzień był świetlisty, ale wietrzny, pociągający ze wschodu powiew niósł jeszcze śniegowy chłód. Gromadzono się też koło ognisk, warząc strawę i powtarzając z ust do ust przeciekające przez służebne dziewki i pachołków wieści, co dzieje się na Ostrowiu, gdzie od wczoraj zatrzymali się obcy goście i dwór książęcy, by dziś dalej pociągnąć do Gniezna, ostatecznego celu cesarskiej pielgrzymki, a zarazem miejsca zjazdu. Nowy arcybiskup ze swymi sufraganami wyjechał tam wprost z poznańskich uroczystości, by dokonać przeniesienia świętych zwłok do nowego grobowca i zgotować powitanie cesarskiego pielgrzyma. Hojność księcia budziła zdumienie, niedowierzanie i zazdrość. Szafować miał pono złotem jak mierzwą. Po co? Rozważniejsi jednak zapewniali, że Bolesław nie jeno rękę, ale i głowę ma otwartą. Jeśli płaci, to nie darmo.

Nie mniej zdumiewało, iż Otto nie przyjął ofiarowanych darów. Jużci, że bogactwa mu nie dziwne. Spory toczyły się o to, ile też kosztować musiał błękitny płaszcz, jaki miał na sobie w czasie powitania, iście jakby się odział kawałkiem nieba z gwiazdami. Większość zgromadzonych, która go nie widziała, nie chciała wierzyć, by majętność całą można nosić na grzbiecie. Ale nie brać, gdy dają - dziwaczny jakowyś człek! Pono pieśni układa i sam je pisze, jakby nie stać go było na gędłków i skrybów. Trudno go przeznać: ni wojownik, ni kapłan, licho go wie, po co przyjechał, bo chyba nie po to jeno, by się Wojciechowym prochom pokłonić. Ci, co w Rzymie bywali, mówili o trudach i niebezpieczeństwach drogi. Nigdy jeszcze niemiecki król nie bywał tak daleko, może przepatrzyć chce kraj, ale Bolko wie, co mu pokazać: pięść i kiesę!

Ci jednak, którzy widzieli już cesarza, zapewniali, że nie patrzy na chytrego. Do Niemca niepodobny, choć rudy, jak często bywają Sasi, oczy ma jakby dopiero ze snu obudzony i jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. A Bolko by się z Niemcami nie przyjaźnił, gdyby w tym nie widział korzyści.

Niemniej wszystko razem niezrozumiałe było i dziwne. Zdało się znowu zmiany zapowiadać, a ileż to już ich było w ciągu niespełna pół wieku, co prawda ostatnio na lepsze. Gdyby stary Ziemomysł zmartwychwstał, nie poznałby swego kraju. Spokój jest i obfitość jak po żniwach w urodzajny rok, tedy i czego chcieć więcej? Ma już i Bolko swego arcykapłana i nowych biskupów, pono mu to potrzebne, by książęcą czapkę na koronę odmienić. A niech ta, choć z nowym duchowieństwem nowe ciężary, bo byle jak żyć nie zwykło. Ale jest z czego płacić, a może i za co. Pieniądz pozostanie w kraju, a za to króle nikomu kłaniać się ni dani uiszczać nie obowiązani. Nad nimi już jeno Bóg na niebie i Jego namiestnik w Rzymie. Aleć do Rzymu daleko, do nieba zasię jeszcze dalej.

Rozważania te wzmagały i tak już napięte zaciekawienie, zarówno osobą młodego cesarza, jak i wynikami zjazdu. Wyrostki wspinały się na drzewa przydrożne, spozierając ku kępie drzew nad jeziorem, gdzie na gościniec wybiegała droga od przewozu. Ale wcześniej, niż się na nim ukażą orszaki, zbliżenie się ich ogłoszą przekrzykiwania, jakimi lud zwykł witać swego księcia. Wtedy czas będzie zająć upatrzone miejsca, by nic nie uronić z widowiska.

Jakoż słońce dopiero dobiegało południa, gdy od kępy doszły jakieś odgłosy, ale zmieszane i niepewne. Umilkły zaraz i jeno szmer leciał przez tłum, jak szelest trzcin, gdy wiatr o nie uderzy, i jak trzciny chyliły się głowy jedna ku drugiej, podając coś sobie szeptem, który zamarł w ciszę.

Cisza jednak trwała jedno mgnienie oka, zajmowano co prędzej miejsca przy gościńcu, jak okiem sięgnąć po obu jego stronach wyrósł żywopłot głów. Wszystkie spojrzenia utkwione były w kierunku,

skąd nadciągać winien orszak, choć z lekka falisty i kręty gościniec nie pozwalał spojrzeniu lecieć daleko. Jeno jak stada wron siedzące na bezlistnych jeszcze drzewach wyrostki winny już coś widzieć. Kręcili się wyciągając szyje i szepcąc między sobą. Poleciały ku nim pytania:

- Cóże tam? Gadajcie, co widzicie?
- Gromadę luda. Ale to nie orszak.
- Jakoby krew na gościńcu.
- Głupiś! Skąd by krew!
- Może się kto za mocno wysmarkał i z nosa mu poszła.

Parsknęło kilka prześmiechów, ale wyrostek rzucił:

- Żeby wołu zarżnął, tyla by nie było. Jakoby krasny potok płynął ku nam.

Znowu szmer przeleciał przez tłum, dopytywano się w podnieceniu, ale szepty trwały jeno chwilę - każdy własnymi oczyma ujrzeć mógł, co się dzieje, choć i im trudno było uwierzyć. Gromada pachołków, niosąc postawy purpurowego sukna, rozścielała je na gościńcu. Oczy niewiast aż łzami zachodziły na ten widok. Takie bogactwo koniom ścielą pod kopyta jak słomę!

Ale zdumienie na widok tej rozrzutności ustąpić miało jeszcze większemu. Zamiast oczekiwanego, lśniącego od złota i klejnotów orszaku, z cesarzem na białym koniu, w błękitnym, gwieździstym płaszczu, ukazał się pojedynczy człowiek. Szedł z wolna, boso, z odkrytą jasną głową, z oczyma utkwionymi w dal, zamodlony czy zamyślony. W długiej do kostek szacie z ciemnej, grubej wełny na tle jaskrawej w promieniach słońca purpury zdał się czymś nierzeczywistym jak cień i jak cień sunął cicho wśród powszechnego milczenia.

O kilkadziesiąt kroków za nim, równierz w milczeniu i pieszo, posuwał się orszak kościelnych i świeckich dostojników, z Bolesławem na czele, ale wszystkie spojrzenia biegły za pielgrzymem, póki nie zniknął na zakręcie drogi.

Orszak z wolna mijał stojących w osłupieniu, jakby w biały dzień ujrzeli zjawę z innego świata. Gdy dostojnicy przeszli, tłum spłynął na gościniec i rosnąc ciągnął do Gniezna, pchany jakąś niewidoczną siłą. Każdy słyszał o Wojciechowej śmierci, o wykupieniu jego zwłok za złoto, o czci, jaką oddawano mu w dalekim Rzymie, ale dotąd budziło to zdziwienie i zaciekawienie. Wiadomo, że Prusacy swoich bogów mają i cudzym nieradzi jako i nikt. Po co do nich szedł Wojciecj? Nie byłby zginął zarżnięty jak owca, która się bronić nie umie.

Nadal nie rozumieli, ale widok władcy chrześcijaństwa w pokorze, jak żebrak, niosącego swe prośby do grobu męczennika, budził niejasne poczucie, że może być coś droższego nad życie i inna jakaś siła, mocniejsza niż żelazo i trwalsza niż złoto.

Słońce chyliło się już ku zachodowi i przez otwarte na ścieżaj główne wrota zajrzało do pustego wnętrza gnieźnieńskiej katedry. Na stokach wzgórza wzdłuż drogi stał milczacy tłum, na kościelnym obejściu zgromadziło się duchowieństwo, zawiadomione już o zbliżaniu się pielgrzymki. Przy bramie w otoczeniu biskupów, w pontyfikalnym stroju, z oznakami nowej godności stał Radzim, by powitać władców w swej archikatedrze. Zadumany wzrok kierował jednak nie na pustą jeszcze drogę ku bramie grodu, lecz w głąb świątyni, gdzie w niewidocznym za rotundą Dobrawki grobie, przy wschodniej ścianie, za głównym ołtarzem spoczęły zwłoki Wojciecha.

Nigdy chyba dwóch ludzi bliższych nie było sobie od pacholęcych lat. Jak żywot długi - zawsze

byli razem. I teraz już razem pozostaną na zawsze, gdy kiedyś Radzim spocznie obok Wojciecha pod posadzką swojej katedry, a jednak smutek, jaki odczuwa, jest smutkiem rozstania. Nie dlatego, że Wojciech skończył już ziemską wędrówkę, że wyniesiony na ołtarze i chylą się przed nim najwyższe głowy w chrześcijaństwie. Śmierć nie jest kresem miłości. Razem postanowili szukać w niej Chrystusa, ale gdy przyszło złożyć ofiarę, jak Piotr zaparł się swego Mistrza. W strasznej chwili, gdy Wojciech wydawał ostatnie tchnienie, Radzim jeno ulgę odczuł, że własny żywot uniósł. Teraz zaś w blasku braterskiego męczeństwa, z pomazania jego krwi najwyższy dostojnik polskiego Kościoła - hołdy ma przyjmować dla Wojciecha, którego istotą była pokora. Niełatwo jest iść za Chrystusem, wielu jest wezwanych, ale wybranych mało.

Ze smutnej zadumy obudziło Radzima porusznie i szmer szeptów. W bramie kościelnego obejścia miast oczekiwanego orszaku ukazał się samotny pielgrzym w stroju pokutnika i, widocznie wyczerpany, chwiejnym krokiem zbliżał się do wejścia. Radzim zdumiony poznał w nim Ottona i postąpił naprzeciw, niepewny, jak go witać. Cesarz zatrzymał się, na Radzimie spoczęło spojrzenie załzawionych oczu, a sine wargi poruszyły się szeptem zarazem błagalnym i rozkazującym:

- Chcę być z nim sam.

Wyminą arcybiskupa, na kamiennym progu kościoła opuścił się na kolana i pochylił głowę tak nisko, że jasny jego włos dotknął posadzki. Potem, nie wstając z klęczek, na kolanach poczołgał się w głąb.

Radzim stał zmieszany, nieprzewidziane życzenie cesarza zakłóciło porządek przygotowanych uroczystaści. Witał legata Roberta, który - widocznie znużony - rozglądał się, gdzie by usiąść. Z zakłopotania wybawił arcybiskupa książę Bolesław. Dowiedziawszy się o życzeniu Ottona, powiedział:

- Tedy proście gości do siebie na posiłek. Ja tu poczekam.

Odprawił też świeckich dostojników ze Stoigniewem do jego dworca na Żuławach, sam usiadł na kamiennej ławie pod murem i zamyślił się głęboko. Otto zarówno w swej dumie, jak i pokorze z niczym się nie liczy, a zwłaszcza z własnymi siłami. Słońce chyliło się już ku zachodowi, Otto od wczoraj nic nie jadł i nie pił, z Lednicy do Gniezna opętane dwie mile, a nie nawykł chodzić pieszo.

Po dłuższej chwili Bolesław wstał i zbliżył się do otwartej bramy kościła. Z kamiennego wnętrza ciągnął surowy chłód. Książę przeżegnał się i stanowczym krokiem wszedł do wnętrza.

Słońce rzucało już ostatnie promienie, które zatrzymywały się na rotundzie Dobrawki. Za nią w prezbiterium leżał już cień, słabo rozpraszany światłem niewielkich okienek w grubych murach. Tylko złote tablice na grobie męczennika zdały się jarzyć niepewną poświatą. Książę skierował się ku nim, oczyma szukając Ottona.

Niemal niewidoczny w swej ciemnej szacie leżał krzyrzem na posadzce, tylko blada jego twarz z rozrzuconymi dokoła jasnymi włosami wyłaniała się z mroku. Bolesław, zaniepokojony, przyklęknął i pochylił się nad nim, sądząc, że omdlał. Ale cesarz otworzył oczy i uśmiech rozszerzył jego posiniałe wargi, które poruszyły się szeptem:

- Wiedziałem, że przyjdziesz.

Usiłował powstać, ale zdrętwiały był widocznie, bo opadł z powrotem. Bolesław ramieniem ogarnął jego barki i dźwignął go na klęczki. Otto przez chwilę trwał tak z głową opartą o grób.

Powiedział cicho:

- Oto taki mocarz ze mnie! Wesprzyj mnie!

Książę, sądząc, że cesarz chce powstać, objął go ramieniem, ale Otto przygarnął się do niego i rzekł:

- Tu ostanie moja pycha. Jeszcze jeno popełnione błędy chcę naprawić, a potem, jak on... nudus sequar Christum (nagi pójdę za Chrystusem).

Długo przygotowywany i w podnieceniu oczekiwany zjazd dobiegał kresu. Towarzyszące uroczystościom tłumy topniały już, dogrzewające słońce przypominało, że pora brać się do codziennych zajęć, świętowanie nie może trwać wiecznie. Gniezno i Lednica pustoszały, przybierając zwyczajny wygląd. Ale wspomnienia wydarzeń, których były świadkiem, przetrwać miały wieki, jakkolwiek różne budziły uczucia. Dla prostego ludu były naocznym dowodem potęgi, znaczenia i wspaniałości władcy, o których opowiadać będą wnuki wnukom jak bajkę lub sen, choć do uwierzenia trudny, ale utrwalony pod powiekami, że zda się, jeno je zamknąć, przyśni się znowu.

Potęga i znaczenie Bolesława jasne były i dla tych, którzy z odmiennym na nie patrzyli uczuciem. Niejeden z krajowych wielmożów z niechęcią widział, iż wola księcia o wszystkim stanowi, a z zawiścią patrzył na nowych kościelnych dostojników, którym książę dawał pierwszy krok przed świeckimi. Na dobitkę granice diecezji, nie pokrywając się z plemiennymi, do reszty osłabiały znaczenie dawnych książąt, zaś bogate uposażenie stawiało biskupów między najmożniejszymi. Zależni jeno od samego księcia, wzmacniali jeszcze jego władzę.

Z ziemskich dostojników w pełni rad ze zjazdu opuszczał go Sobiesław. Rozumiał jego znaczenie dla Bolesława, a u siebie na Mazowszu pozostanie nadal, czym był, ze swym starym archidiakonem, zależnym teraz jeno od arcybiskupa Radzima, który wzorem Wojciechowym nikogo siłą nawracać nie każe. Czerski archidiakonat zalążkiem miał być drugiej metropolii, gdy zawierzona Bolesławowi misja pozwoli na założenie na pogańskich dotąd ziemiach nowych diecezji. Obcy dostojnicy gotowali się również do drogi, ładując w sakwy dowody bogactwa i hojności polskiego księcia, też nie z jednakimi uczuciami, choć tylko Herrenfried i Ekkehard znali najważniejsze postanowienia, jakie zapadły na zjeździe. Ofiarowanie Bolesławowi świętej włóczni, która w ręku cesarzy z niemieckiego narodu stanowiła symbol spadku po Konstantynie Wielkim, uważano niemal za świętokradztwo, a uwieńczenie cesarskim diademem polskiego księcia - za wybryk niezrównoważonego młodzieńca, oczarowanego bogactwem, potęgą i hojnością gospodarza. Nie przypisywano im jednak istotnego znaczenia. Bardziej niepokojące były zrękowiny córy Herrenfrieda z młodym Mieszkim, a Bolesławowej z synem Ekkeharda. Spowinowacenie z cesarzem i dwoma najpotężniejszymy możnowładcami Rzeszy zapewniało polskiemu księciu wpływy, których wykorzystać nie omieszka. Dla każdego jasne było, że na wschodnich rubieżach Niemiec nie tylko postawiono nieprzebytą tamę dalszemu zalewowi, ale młode państwo Chrobrego przeć zaczyna na zachód. Misja wśród pogan połabskich zapowiadała dalszy jego rozrost, którego widomym znakiem już teraz było przesunięcie potwierdzonej przed kilku laty przez samego Ottona granicy miśnieńskiej diecezji z Odry na Bóbr i Kwisę na korzyść nowego biskupa wrocławskiego.

Gorycz, z jaką wieziono do Niemiec wiadomość, iż Otto zaprzepaścił dorobek swych poprzedników, osładzały nieco bogate dary. Najwspanialszy z nich, hufiec trzystu pancernych, który Bolesław podarował Ottonowi, stał już gotów do drogi, wraz z przybocznym hufcem Bolesława. Sam

książę bowiem, nie wypocząwszy po trudach zjazdu, towarzyszyć miał Ottonowi aż do dalekiego Akwizgranu. Nitk nie wiedział jeszcze, że młody cesarz zamierza otworzyć grób Karola Wielkiego, by jego złoty tron, symbol władzy nad światem, ofiarować Bolesławowi.

Epilog

Niespodzianie, jak spadająca gwiazda, zgasł w dwudziestym trzecim roku życia cesarz Otto Iii i w szary żużel rozsypały się związane z nim nadzieje. O przyczynie jego śmierci różnie mówiono, nie czas jednak było na żale i na domysły. Siły, które młodzieńcza wyobraźnia zmarłego wprząc usiłowała do wielkiego, wspólnego celu, jak rozbiegane konie, gdy wodze wypadną z rąk woźnicy, przeć jęły każda w swoją stronę. Nadeszła pora ich próby.

Dopiero co okrzepłe młode państwo Chrobrego miało teraz wykazać, czy zdolne jest przeciwstawić sie w dążeniu do własnych celów, gdy wspólny cel rozwiał się jak zjawa z ostatnim tchem swego twórcy. Nie dane było Ottonowi nawet do dnia pogrzebu zachować choćby zewnętrznych symboli swej powagi i władzy. W ostatniej drodze z Italii do Akwizgranu obdarł go z nich po zaciętej walce z kanclerzem Heribertem bawarski Henryk, syn Kłótnika. Był najbliższym męskim potomkiem założyciela saskiej dynastii. Srebrna korona niemiecka nie była jednak dziedziczna. Sięgał po nią Herman, książę Szwabii, sięgał potężny i cieszący się wziętością margraf Miśni i herzog Turyngii - Ekkehard.

Bolesław trzeźwym okiem rozglądał się w nowym położeniu. Plany Ottona, by jemu zdać przywództwo nad chrześcijańskim światem, upadły, ale Bolesław rad by widział na niemieckim i cesarskim tronie rozsądnego i zaprzyjaźnionego Ekkeharda, którego synowi przyrzekł rękę swej córy Regelindy. Wiedział jednak o tym Henryk i, by wbić klin między nich, ofiarował Bolesławowi Miśnię i Łużyce w zamian za pomoc w objęciu tronu i uznanie.

Bolesław nie kwapił się z odpowiedzią, a Henryk tymczasem znalazł korzystniejsze dla siebie rozwiązanie. Jeszcze jego poselstwo bawiło w Gnieźnie, gdy nowym gromem uderzyła wieść: trzydziestego kwietnia margraf Ekkehard zginął w Polde z rąk skrytobójców, Hermana i Atolfa.Bolesław wiedział, że teraz Henryk Miśni i Łużyc mu nie odda.

Henryk działał szybko, tym razem szybciej jednak, choć nie słowem, otrzymał odpowiedź Bolesława. Podniósł na nogi drużynę i gdy Henryk wkładał nową koronę w mogunckiej katedrze, mając dostęp do Akwizgranu zamknięty przez Herrenfrieda, może zamyślającego o koronie dla własnych synów, Bolesław wjeżdżał do Miśni, uroczyście witany przez Guncelina, którego na stolcu margrafa osadził.

Gra była rozpoczęta, choć żadnej ze stron nie spieszno było do miecza. Bolesław świadomy był, że jeszcze mu nie pora zmierzyć się z cesarstwem, Henryk zbyt słabo siedział na tronie, by zaufać sile. Wpierw musiał zyskać uznanie wszystkich plemion niemieckich. Odebrawszy hołd Turyngii, zwołał zjazd saskich wielmożów do Merseburga, zapraszając i Bolesława na układy. Przyrzeczenia zgoła dotrzymać nie zamierzał, ale udawał że zajęcie Łużyc i Miśni dokonane zostało zgodnie z jego wolą, a od Bolesława żądać w zamian chce jeno hołdu i posiłków.

Dla Stoigniewa cięższym wstrząsem była wieść o śmierci Ottona. Stracił zaufanie do samego siebie. Świat ładu i sprawiedliwości istniał tylko w marzeniach Ottona i zgasł z ostatnim jego tchem. Stoigniew zamknął się w sobie, przeżywając jeszcze jeden zawód.

Spotkanie z Tunim i z Guncelinem ożywiło go jednak wspomnieniami młodości. Przy kubkach z uśmiechem wspominali bójkę, od której zaczęła się ich przyjaźń, a Tuni, trzeci bezwinny uczestnik kary, jaką wówczas ponieśli, ongiś niesforny konwers, a teraz najbliższy doradca księcia - dorzuacł własne wspomnienia swego pierwszego pobytu w Polsce, w której przyswoił sobie język, a pozostawił serce.

Na zwołanej przez księcia naradzie Stoigniew omal się nie poróżnił z druhami. Tuni pierwszy wyraził zdanie, że nie należy drażnić Henryka odmową przybycia na zjazd, która by go zmusiła do zbrojnego wystąpienia, Guncelin zaś chciał zyskać uznanie siłą objętej godności. Obznajomiony z zawiłym splotem niemieckich spraw, przewidywał, że Henryk na tronie się utrzyma, ale zależny jeszcze od swych przekupnych doradców, wśród których i Guncelin wpływów nie był pozbawiony, miększy bedzie.

Stoigniew jednak z niezwykłym podnieceniem jął się wyjazdowi sprzeciwiać, tak że Bolesław, który już powziął postanowienie, patrzył nań ze zdziwieniem. Chętnie zasięgał zdania wypróbowanych ludzi, ale nie pozwalał go sobie narzucać. Z gniewną zmarszczką na czole powiedział:

- Niechaj wiem, dlaczego układów mam poniechać. Bo juści łacniej gębą ruszać niż ręką, a taniej do miecha sięgnąć niż do miecza. I mnie nie miły ten podstępny cherlak, ale nie na igry lubo gody zaprasza, a skoro królem się mieni i widno nim ostanie, nijak mu płazem puścić to, cośmy uczynili. Gadaj tedy, dlaczego zmienić mam postanowienie?

Stoigniew opanował się już. Nie mógł powiedzieć Bolesławowi, żo on, który nie zwykł wierzyć w znaki i przepowiednie, teraz kieruje się niejasnym przeczuciem. Śnił mu się w nocy Zbrozło, jak - rozgarniając siwe włosy - okazywał straszliwą bliznę na rozpłatanej zdradziecikm ciosem czaszce.

Powiedział niepewnie:

- Henryk żadnych układów nie dotrzyma.

Bolesław zaśmiał się:

- Otoś i nowinę powiedział. Przetom sam wziął Milsko i Łużyce, że nie wierzę, by mi je dał z dobrej woli, gdy się umocni. Ale ninie słabo jeszcze siedzi i jemu bardziej na rękę gadać, niż się bić. Tedy cóże stawim?

- Nie zawżdy słowiańscy wodzowie ze zjazdów z Niemcami wracali - powiedział Stoigniew cicho, ale Bolesław odparł dumnie:

- Jam nie połabski panek, którego ubić można i jak psa zakopać, jeno cooperator imperii i lennik świętego Piotra. Anim też nie ułomek, ani sam nie pojadę, w końcu i ludzie tam są, którzy przestrzegą w razie potrzeby. A ty nie chcesz jechać do Merseburga - nie jedź, boć i prawda, że wrogów ci tam nie zbraknie i sam Henryk niemile cię ujrzy.

- Pojadę - uciął Stoigniew.

Jaskotel zaś, który dotychczas głosu nie zabierał, a rad był cesarski dwór synom okazać, wtrącił:

- Wojów dobiorę takich, żeby i biesa za ogon przytrzymali, tedy jechać możem bezpiecznie, za co głową poręczam, jakom i Wrochnie poręczył, gdy nas puścić nie chciała. Źle jej się śniło - roześmiał się. - Ot, niewiasta jako niewiasta, serca ma więcej niż rozumu.

Stoigniew drgnął, ale się nie odezwał. Jaskotel kpiarz był, a od wyrostka lekko swą głowę zwykł był stawiać. Kiedyś ją przegra, ale nie o niego szło. Ekkehard też nie był słowiańskim pankiem, a zabójstwo puszczono sprawcom płazem.

W drodze do Merseburga Stoigniew unikał towarzyszy. Coraz mniej dla nich zrozumiały, łatwo znosił samotność, a nawet ją lubił. Natomiast z trudem znosił wewnętrzną pustkę. Chwytał się na tym, że zazdrościć zaczyna innym ich małych celów, łatwych, pospolitych, nawet niskich, ale wypełniających życie. Na myśl przychodził mu Gerbert. Jak on przeżywa zawód u schyłku swego żywota, czy i teraz gardzi losem, ze szczytu strącony do roli kukły w ręku chciwych jeno władzy i użycia możnowładców rzymskich, którą pozwalają oglądać jeno temu, kto się im opłaci. Czy istotnie znalazł spokojną przystań w umiłowanej nauce, równie niezrozumiałej, jak on sam? Dla Stoigniewa nabyta wiedza pozostała jeno narzędziem, z którym nie wie co począć. Są prostsze i skuteczniejsze. Tacy jak Jaskotel nigdy nie zwątpią w swój miecz, jak stary Audun, wypuszczą go z ręki dopiero z ostatnim tchem.

A jednak i Stoigniew swego narzędzia nie umiał porzucić. W Merseburgu, gdzie jak zwykle zjazd możnych ściągnął kupców ze wszystkich stron, a kto żył, rozglądał się za rzadkimi w kraju towarami, Stoigniew pierwsze kroki skierował do kapitulnej biblioteki. Księgi miały jednak dla niego nieprzeparty urok. Przelotnemu słowu i nieuchwytnej myśli nadają trwały kształt, pozwalają przenosić je przez czasy i przestrzenie. Mówią przez nie ludzie, których kości dawno rozsypały się w proch, głos ich słyszy nawet przygłuchy starzec strzegący kapitulnego księgozbioru, który ogarniając ucho wyschłą dłonią, ze zdziwieniem patrzy na dostojnika pytającego o powierzone jego straży skarby, bliższe i zrozumialsze dlań niż ludzie obcego mu już pokolenia. Starzec daremnie szukał wzrokiem na złoty łańcuch Stoigniewa oznaki duchownej godności, daremnie silił się odgadnąć, kiim jest ten dostojnik, który równie biegle włada łaciną, jak niemieckim językiem. Rad jednak, że znalazł kogoś, przed kim może się towarzyszami swej samotności pochwalić, pokazywać jął swoje skarby, jak ojciec dzieci z jednaką miłością pieszcząc je drżącymi rękoma, choć nierówne przymiotami i

urodą; jedne bogato zdobione, oprawne w skórę lub pergamin, okute srebrem, bogato iluminowane, inne w prostych deskach ledwo wygładzonych; jedne pożółkłe i wyblakłe ze starości, inne lśniące świeżą bielą i przepychem barw.

Starzec ożywił się i opowiadał dzieje niemal każdej księgi jak żywych istot. Widząc, że trafił na wdzięcznego słuchacza, oglądając się lękliwie, powiedział:

- Jeszcze coś wam okażę, co jeno w gościnie u mnie jest pod tajemnicą.

Pewnikiem do Ratyzbony odejdzie, którą nowy pan nasz szczególnie sobie umiłował.

Choć zaciekawiony, Stoigniew chciał powstrzymać starca, by go nie narazić, ten jednak widno sam miał chęć nacieszyć oczy skarbem, nim go na zawsze przyjdzie pożegnać. Długo gmerał ogromnym kluczem koło kutej i rzeźbionej skrzyni, zanim dźwignął ciężkie wieko i wydobył księgę owiniętą w purpurowy aksamit. Rozwinąwszy go, rozpostarł na skrzyni jak relikwię, z czcią i troskliwością położył na nim księgę i odstąpił, patrząc na nią olśnionymi oczyma.

Widok mógł olśnić nawet nawykłe do przepychu oczy Stoigniewa. Na krwawym tle aksamitu tęczą rozbłysły różnobarwne klejnoty, którymi usiana była przebogata oprawa, gęściej niż pogodne niebo nocne gwiazdami. Na szlachetnych kamieniach rzeźboine były drobne, ale wtraźne postacie. Największy z nich, z wizerunkiem jakiegoś świętego, umieszczony był nad zajmującą środek okładziny płaskorzeźbą z kości słoniowej, której spokojna i szlachetna biel wśród przepychu barw mimo woli przyciągała wzrok. Nieznany artysta żmudną pracą może wielu lat zaklął w niej modlitewną wizję: pod filigranowym baldachimem o dwu słupkach spoczywała na łożu postać Bożej Matki, jakby w spokojnym uśpieniu. Ale na twarzach zgromadzonych dokoła apostołów widniał smutek i żal, że dusza Jej odeszła już, a unoszący się nad zwłokami dwaj aniołowie z całunami w ręku przylecieli, by zabrać ciało i odnieść je Synowi.

Stoigniew stał w milczącej zadumie, ale nie tylko nad pięknem przedziwnym tego arcydzieła. Widział je już dawniej i znał jego dzieje. Rzeźba, jak zresztą wskazywał napis, była darem bizantyńskiego cesarza Bazylego Bułgarobócy dla Ottona Iii, z czasu gdy wymieniali poselstwa, przez które Otto zmierzał do usunięcia rozłamu w cesarstwie. Plany te rozwiały się jeszcze za jego życia, ale wrażliwy na piękno umysł młodego cesarza tak był oczarowany urokiem tego klejnotu sztuki snycerskiej, że kazał go wprawić w swój ewangeliarz, z którym się nie rozstawał, by po zamierzonym wyrzeczeniu się władzy i świata móc zabrać go z sobą do swej pustelni i z nim kiedyś być pochowany. Teraz klejnot znalazł się w ręku wydziercy, który zrabował go bezbronnym zwłokom Ottona.

Stoigniew stał jeszcze zamyślon, choć staruszek schował już klejnot.Jak kruche są ludzkie zamiłowania i namiętności, zamiary i chęci. O ileż trwalsze piękno tej okładziny czy treści księgi. Człowiek sam jeno narzędziem jest, przez które rodzi się mądrość i piękno, nieważnym, gdy już wykona swe zadanie. Ocknął się. Jeśli służyć chciał pięknu i mądrości, należało pozostać w zaciszu klasztoru. Z własnej woli obrał inną drogę, do niej się przygotował. Może być jeszcze potrzebny.

Na uroczystej intronizacji Henryka w katedralnym kosciele Stoigniew z odmiennym uczuciem patrzył na znany mu również, przepiękny strój koronacyjny, przyjęty przez zmarłego cesarza wraz z bizantyńskim ceremoniałem dworskim. Widział go w tym stroju w Gnieźnie, w niezapomnianym dniu największych nadziei. U Ottona był wyrazem zamiłowania do piękna, symbolem wielkich zamierzeń. Zdarty z jego zwłok, na barkach Henryka - znamionował w oczach Stoigniewa jeno żądzę władzy i pozór potęgi, w którą sam Henryk nie wierzył. Szerokie obszycie kołnierza tuniki z ciężkiego białego adamaszku, z wyhaftowanymi złotymi gryfami na polach na przemian błękitnych i czerwonych,

rzucało sinawy poblask na jego nic nie mówiącą twarz. Tylko spod lśniącej nowością korony o sześciu liliach, zakończonych perłami i przedzielonych postaciami aniołów, małe oczy Henryka rzucały niepewne spojrzenia, pełne chytrości i obłudy. Po podniesieniu na tarczy przez świeckich dostojników, wedle obyczaju, i włożeniu mu korony przez duchownych, z magdeburskim Gizylerem i bremeńskim Liemarem na czele, słuchał przemówienia księcia Bernarda saskiego, który szczegółowo przedstawiał mu prawa i żądania Sasów. W sięgającym do ziemi, obszernym, półkolistym płaszczu z ciemnobłękitnego jak nocne niebo jedwabiu, sztywnym od ciężkich złotych haftów z wyobrażeniem postaci świętych, znaków zodiaku i apokaliptycznych zwierząt objaśniających napisami, Henryk czuł się widocznie nieswojo, jakby ciężar, który wziął na siebie, przytłaczał go. Barki miał przygarbione, a głowę pochylił, gdy, nie patrząc na nikogo, przemówił w odpowiedzi:

„Słów mi nie staje, by wyrazić najpierw Bogu, a potem wam wszystkim należne dzięki. Dlatego wyjawię wam moje ukryte zamiary, które z Chrystusa pomocą dla waszego dobra w pełni wykonać pragnę. Wiem bowiem, z jakim oddaniem staraliście się zawsze i wszędzie okazywać królom waszym poparcie i posłuszeństwo".

Stojący w pierwszym szeregu obok Bolesława Henryk ze Schweinfurtu, któremu Bawarczyk nie dopełnił obietnicy nadania bawarskiego lenna pod pozorem, że Bawarom służy prawo wolnego wyboru, powiedział zjadliwie i niemal głośno:

- Zwłaszcza rodzic miłościwego pana następcom Wielkiego Ottona.

Ktoś parsknął przytłumionym śmiechem, ale Henryk ciągnął, jakby nie słyszał:

„Przeto tym bardziej pragnę otoczyć was najwyższym szacunkiem, miłować was i strzec was dla dobra państwa i mojego zbawienia. I, żebyście mieli pełne zaufanie, oświadczam zgodnie z waszym życzenim i nie obrażając honoru królewskiego dostojeństwa, że staję przed wami obdarzony tą godnością króla nie wbrew waszej woli, lecz przeciwnie - z waszą zgodą i na wasze wezwanie".

Król podniósł opuszczone oczy i spojrzał dziwnie na Henryka ze Schweinfurtu, który odpowiedział drwiącym i zuchwałym spojrzeniem. Potem król zakończył:

„Pragnieniem moim jest nie naruszać w niczym waszego prawa i póki życia mego stosować je z całą łagodnością we wszystkich wypadkach oraz zwracać uwagę, w miarę mych możliwości, na wasze uzasadnione życzenia".

Skończywszy, Henryk wstąpił na stojący na podwyższeniu tron, a sędziwy Bernard saski wręczył mu świętą włócznię jako oznakę władzy i pierwszy złożył mu hołd. Po nim składali go kolejno duchowni i świeccy dostojnicy ze swych beneficjów i alodiów. Wszyscy do ostatniego kleryka wiedzieli jednak, że srebrna korona niemiecka znajduje sie w niedostępnym Henrykowi Akwizgranie, a prawdziwa włócznia świętego Maurycego, o którą Ptasznik omal wojny nie wszczał z Rudolfem burgundzkim, w symbolicznym darze ofiarowana przez Ottona Bolesławowi, wraz z tronem Karola Wielkiego spoczywa w skarbcu krakowskiej katedry. Stoigniew pewny był, że musi dojść do wojny. Święta włócznia i złoty tron w ręku Bolesława nie były czczymi symbolami. Henryk nie mógł znieść sąsiada, który nie tylko tamę położył pochodowi na wschód, przechwycił misję w pogańskich krajach, odbierając dogodny pozór zdobyczy, ale sam, korzystając z zamętu, rozpoczął parcie na zachód. Jasne było, iż ta obawa była przyczyną, że król odmówił bawarskiego lenna Henrykowi ze Schweinfurtu. Gdyby Bolesław utrzymał się w Łużycac i Miśni, a sprzymierzony z nim Henryk z Bawarii, Czechy prędzej czy później znalazłyby się w ręku Bolesława. Zachodnia Słowiańszczyzna pod jednym władcą zagrażała podstawom cesarstwa.

Toteż Stoigniew z nieufnym zdziwieniem przyjął wynik przeprowadzonych nazajutrz układów, mimo iż sam uprzednio niejeden trzos złota zaniósł królewskim doradcom. Henryk bowiem bez większych targów zgodził się pozostawić Łużyce i Milsko w ręku Bolesława i zatwierdził Guncelina na stanowisku margrafa, a kraj Głomaczów z grodem Strzałą nadał przyszłemu zięciowi Bolesława - Hermanowi. Bolesław wymienił z królem bogate dary i rad z osiągniętego wyniku zbierał się do powrotu.

Stoigniew nie poszedł na pożegnalną ucztę, jaką Bolesław wyprawił dla prawdziwych czy kupionych przyjaciół, którzy dopomogli mu do korzystnego załadzenia spraw. Pozostał w pałacu, w którym z powodu licznego zjazdu tylko najdostojniejsi znaleźli gościnę. Inni dostojnicy zajęli gospody w mieście, a orszaki stały pod nim obozem. Książę nawet nie nakłaniał Stoigniewa do wzięcia udziału w biesiadzie. Nie był wesołym towarzyszem, a Bolesław lubił zapomnieć o troskach w gronie lekkomyślnych wojaków. Podejrzliwość Stoigniewa ciążyła mu, nie pozwalając się odprężyć. Mimo iż świadomy był, że w znacznej mierze Stoigniewowi zawdzięcza gładkie przeprowadzenie układu, nie zapomniał, iż gdyby za jego radą na zjazd nie stanął, miałby teraz wojnę miast uczty i miast zabezpieczyć nabytki, mógł je stracić.

Stoigniew tym lepiej dorozumiewał się, co musi myśleć Bolesław, że sam przeciw sobie burzył się, iż zazwyczaj trzeźwo myślący, pozwala się opanować snom, przeczuciom i obrzydzeniu do obłudy Henryka, który nawet niewydolność swą, nie popozwalającą spodziewać się potomstwa, przedstawia jako cnotę. A jednak Stoigniew nie mógł się opędzić wrażeniu, jakie wywarł na nim sen, tym bardziej że znowu się powtórzył. Próżno mówił sobie, że gdyby się coś stać miało, dość było po temu sposobności podczas trwania zjazdu. Rankiem wyjadą i będzie musiał powiedzieć sobie, co rzekł o Wrochnie Jaskotel: więcej serca niż rozumu!

Nie czekając na powrót Bolesława, który długo zwykł ucztować, Stoigniew ułożył się na spoczynek, ale nurtujący go niepokój nie pozwalał mu zasnąć. W półśnie słyszał jeszcze, jak powrócił książę ze swymi brońcami. Odetchnął głęboko i natychmiast usnął twardo.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo spał, gdy zerwał się spotniały, z bijącym sercem. Znowu we śnie ujrzał Zbrozłę. Z rozpłatanej głowy krew grubymi kroplami z cichym pluskiem skapywała na posadzkę. Ale przez dudnienie w skroniach Stoigniew posłyszał jakiś rzeczywisty odgłos i opanował się natychmiast. Istotnie ktoś ledwo dosłyszalnie pukał do drzwi.

Stoigniew poskoczył i otworzył zaworę. W sklepionej sieni mrok był, jeno szklane gomóły w oknach jaśniały już przedświtem lipcowego dnia. Jakaś zakapturzona postać stała pod drzwiami. Gdy Stoigniew je otworzył, nieznajomy powiedział szeptem:

- Zbierajcie się zaraz i uchodźcie.

Stoigniew chciał pytać, lecz już nie było nikogo, jeno szelest kroków zdradzał, że nie zjawa to była ni przywidzenie. Poskoczył za węgieł do drzwi komnaty, którą zajmował Bolesław. Przed nim stał jeden z brońców, kiwając się sennie, drugi siedząc spał głęboko. Stoigniew chciał wejść, ale strażnik zastawił mu drogę:

- Pan ino co zasnął. Powiedział, że łeb rozbije temu, co go obudzi.

- Niech rozbije - mruknął Stoigniew, rosły wojak jednak rozkraczył się tylko szerzej i przez szparki klejących się oczu patrząc ze swej wysokości na Stoigniewa, odparł:

- Nie rozbije, bo was nie puszczę, choćbyście mnie łeb rozbić mieli... albo ja wam.

Podpity był widocznie. Stoigniew zrozumiał, że nic nie wskóra. Bolesław do straży przybocznej dobierał ludzi posłusznych jak psy i jak one zajadłych. Ale dwóch jeno było pod ręką, a rozmiar i rodzaj niebezpieczeństwa nieznany. Zawahał się, wyboru jednak nie widział. Sam musi skoczyć do miasta o pomoc. Kopnął śpiącego strażnika, a gdy ten zerwał się, przecierając oczy, nakazał ostrym szeptem:

- Nie ruszać się spod drzwi, choćby się paliło. Który zaśnie, pójdzie na hak. a kto by chciał wejść, bić, nie pytając, choćby sam król przyszedł.

- Żeby i bies, nie puścim, skoro kniaź zakazał. Ani do bicia nas nie prosić - odparł strażnik.

Stoigniew pewny był, że póki żywi - nie wpuszczą ale wcale nie było pewne, czy długo żyć będą. Chyłkiem wypadł na podworzec.

Dopiero szarzało, żadnego ruchu. Strażnik przy bramie szeroko otworzył klejące się oczy na widok złota, jakie mu w rękę wcisnął Stoigniew, każąc otworzyć furtę, i patrzył ze zdziwieniem za dostojnikiem, który pognał pustą ulicą jak ścigany.

Gospoda, w której stał Jaskotel, nie była daleko i Stoigniew z ulgą posłyszał, że biesiadnicy jeszcze się nie rozeszli, bo gwar rozlegał się aż na ulicę. Gdy dobiegał, hałas ścichł, doszedł go natomiast głos Jaskotela. Śpiewał. Nie był widno pijany, głos był silny i czysty, miał w sobie przejmującą siłę, która zniewoliła do milczenia podpitych biesiadników, choć słowa niezrozumiałe, bo śpiewał w normańskim języku pieśń pożegnalną wikinga, który na zawsze opuszcza swe brzegi.

„Jako na mocnej linie kotwicę Serce ostawiam wśród swoich, Z sobą zabieram jeno tęsknicę, Której ni śmierć nie ukoi. Zimny mnie wicher od was oddala, Może się kiedyś odwróci I choć mój zewłok łaskawa fala Na brzeg ojczysty wyrzuci. Więc pieśnią żegnam was, zastęp bratni, Wychylmyż jeszcze puchar ostatni.”

Stoigniew zatrzymał się, by złapać oddech. Przejmujący żal, jaki drgał w głosie Jaskotela, odezwał się w jego piersi. Niewesoły koniec uczty. Jaskotel zwykł śmiać się nawet w bitwie. Stoigniew otrząsnął się z wrażenia i wszedł. Na jego widok Jaskotel urwał, roześmiał się swym zwykłym zaraźliwym śmiechem i powiedział:

- Późno przychodzisz, właśnie się żegnamy. Ale strzemiennego z nami się napijesz.

- Nikt nie wypije. Kto żyw za broń i ze mną!

Umilkli zaskoczeni, tylko siedzący obok Jaskotela Henryk ze Schweinfurtu zapytał:

- Co się stało?

- Nic jeszcze, da Bóg. Ale coś się złego przeciw książęciu gotuje. Na potem pytania. Słać po konie, budzić ludzi, a kto gotów - za mną!

Henryk zerwał się i wybiegł. Inni też zbierali się pospiesznie, przypasując miecze. Jaskotel chwycił dziedziczny topór, któremu ufał najbardziej, i dognał Stoigniewa, spieszącego do pałacu.

- Przyśniło ci się coś? - zapytał. Gdy Stoigniew nic nie odrzekł, tym razem bez drwiny dodał: - Mnie takoż. Rad bym już był doma.

Dzień wstawał, ale brama zamkowa była jeszcze zamknięta. Na szczęście stał przy niej ten sam strażnik, który na widok kiesy pokazanej przez Stoigniewa bez słowa otworzył furtę. Rozbudzona chciwość zgłuszyła lęk przed odpowiedzialnością za wpuszczenie gromady zbrojnych do pałacu. Ale

szła już zmiana straży, bramę i tak zazwyczaj otwierano o tej porze. Widno jednak dziś miało być inaczej, bo z liczniejszą niż zwykle strażą szedł sam graf Heziko. Stoigniew ze swymi skręcił ku wejściu do budynku, w którym stał gospodą, mówiąc do Jaskotela:

- Tu stój i nie wpuszczaj nikogo. A wy za mną - zwrócił się do młodych Awdańców.

Epilog (cd.)

Już biegnąc korytarzem słyszał, jak Jaskotel spiera się z grafem. Nim dopadł drzwi, na podworcu wszczęła się wrzawa, która przybierała na sile. Na szczęście Bolesława nie trzeba było budzić. Drzwi się rozwarły i stanął w nich, zaspany i gniewny:

- Co się tu wyprawia?! - huknął.
- Zbierajcie się! Trzeba uchodzić.
- Ty znowu swoje. Bacz, by mi nie zbrakło cierpliwości...

Urwał. Z podworca nad wrzawą wybijał się głos Hezikona, który wydawał rozkazy, by siłą usunąć napastników. Bolesław, nie pytając więcej, cofnął się i za chwilę ukazał się z mieczem w ręku, mówiąc:

- Pójdźmy!

Ale wyjść nie było łatwo. W sieni kłębił się tłum, przy wejściu słychać było głos Jaskotela, który drwił z grafa, wołając, że wraz opuszczą pałac, jeno razem z księciem, który nie zapomni, że go siłą w gościnie chciano zatrzymać. Drwić było łatwiej, niż wykonać zamiar. Gdy dwaj brońcy z pomocą Awdańców wypchnęli stłoczonych w przejściu ludzi, od czoła rozległ się szczęk broni. Ponad głowy walczących Bolesław spojrzał ku bramie. Mimo iż już wzeszło słońce, brama zamknięta była, a silny oddział tarczowników bronił do niej dostępu. Pułapka zatrzasnęła się, a zewsząt nadbiegali napastnicy. Teraz Bolesław zrozumiał, dlaczego Henryk miękki był w układach. Ze zmarszczoną brwią i zaciśniętymi szczękami rzucił się ku przodowi, gdzie Jaskotel wyrąbywał drogę ku bramie toporem. Przed księcia wyskoczył Stoigniew, dwaj brońcy zaś pilnowali boków. Wszyscy razem parli ku bramie, otoczeni już ze wszystkich stron. Wrogów przybywało jednak, a ubywało obrońców. Jaskotel, kilkakrotnie cięty, zachwiał się i byłby upadł, ale podchwycili go synowie. Teraz Stoigniew wyskoczył na czoło i dotarli pod bramę. Tu już wszyscy brali udział w walce, zdało się, że nie ocaleje nikt.

Niespodzianie nacisk od strony podworca zelżał. Stoigniew, odcinając się, kątem oka spostrzegł księcia Bernarda saskiego. Siwa jego głowa bez chełmu znaczna była w tłumie, który rozstępował się przed nim. Za nim szedł zwarty zastęp pieszego ludu, widno w pomoc Bolesławowi. Bernard był dziewierzem zamordowanego Ekkeharda, teraz zapewne wie już, komu winę bezkarnego zabójstwa przypisać, i nie chce się hańbą dzielić z nowym panem.

Ale pomoc Bernarda przyszłaby za późno, napastnicy bowiem, odskakując przed nim w jednym miejscu, nacierali z innch stron. Nagle z trzaskiem runęła dębowa, kuta żelazem brama, a ciężkie jej skrzydła przygniotły kilku knechtów, pozostali rozskoczyli się w popłochu. Przez otwartą drogę przewalił się w jednym mgnieniu oka polski zastęp, a napierający z tyłu odskoczyli. Pod bramą, na

czele silnego oddziału tarczowników i konnego hufca, stał Henryk ze Schweinfurtu i ponad gwar, w jaki rozsypała się wrzawa bitewna, wołał, by szybko uchodzić.

Nie było pewności, czy król nie każe ich ścigać, toteż, wlokąc z sobą ciężej pobitych, a lżej rannych wsadziwszy na konie, cały oddział przetoczył się ku mostowi na Sali, by przynajmniej rzekę pozostawić za sobą, a obsadziwszy most przyjść do sprawy i zaczekać, by dociągnął, kto jeszcze ujść zdoła. Tutaj dognał ich Guncelin, który, posłyszawszy o wypadkach w pałacu, pozostał, by zasięgnąć języka o dalszych zamiarach króla, mimo że sam życia nie był pewny. Od niego dowiedzieli się, że Henryk na zarzut Bernarda, iż w niegodny chrześcijańskiego księcia sposób zgładzić chciał niewygodnego sobie władcę, z którym dopiero zawarł pokój, wyparł się wszystkiego, zrzucając winę zajścia na ludzi Bolesława, że zbrojnie, przemocą czy podstępem, nocną porą wtargnęli do pałacu i, nie ustąpiwszy na rozkaz burgrafa, pierwsi wzięli się do broni, wywołując bójkę, która powszechną się stała.

Bolesław słuchał sprawozdania Guncelina, hamując gniew. Wykręt Henryka był oczywisty. Otrzymana przez Stoigniewa przestroga świadczyła o powziętym z góry zamiarze usunięcia podstępem polańskiego władcy, gdy Henryk pomiarkował, że ma on stronników wśród własnych jego doradców, którzy otwartej walce będą przeciwni.

I Bolesław liczył siły. Świadomy był, iż gdyby jego nie stało, Henryk łatwo by sobie poradził z Polską, choćby popierając szesnastoletniego już Bezpryma, okrutnika i gwałtownika, który wiedział, że ojciec od rządów usunąć go zamierza. Wciąż jeszcze losy państwa związane były z życiem Bolesława. Zwrócił się do Stoigniewa:

- Praw byłeś. Teraz już wiada, po co mnie ten ciastoch wezwał na układy.

Jeszczem ci też nie podziękował. Wybacz!

Gdy Stoigniew milczał, zapytał:

- O czym dumasz?

- Zda mi się - odparł Stoigniew - że Otto i Gerbert przyszli na ten świat za wcześnie. Nie pora na pokój. Gdy słowu ufać nie można, trzeba zaufać sile.

Bolesław zamyślił się ponuro. Niedługo było pokoju, za który go błogosławiono. Ciężkie miał powziąć postanowienie. Powiedział:

- Znowu krwi żądać muszę.

Stoigniew odparł:

- Nie pożałujemy jej wam, do pośledniej kropli... jak Jaskotel.

- Co prawisz? - rzucił Bolesław niespokojnie. - Wżdy jego rany lekkie są.

- Zdały się. Jeno krwawi wciąż i nijak zatamować. Gdyby leżeć mógł spokojnie, może by wydobrzał. Ale jakoż go tu ostawić?

Książę bez słowa skierował się ku wozom, które gotowano, by przewieźć ciężej poranionych. Od najważniejszych spraw myśl jego odwróciła się ku druhowi z pacholęcych lat, z którym tyle przeszli przygód i niebezpieczeństw. Z nim wiązało się wspomnienie pierwszej bitwy, on go jeździć uczył. Społem cierpieli niewolę, jemu zawdzięczał uwolnienie. Tylko w młodości zyskuje się takich przyjaciół. Jakby wraz z nim najlepszą część własnego życia miał utracić, lęk przed utratą druha nie pozwalał księciu myśleć o niczym innym.

Gdy stanął nad Jaskotelem, poznał, że obawa nie była płonna. Bolesław, od pacholęcia spoufalony ze śmiercią, kładzione przez nią znamię rozpoznał na twarzy Jaskotela. Szara była jak popiół, wargi sine, nos wyciągnięty i pożółkły. Wpadnięte oczy zakrył powiekami i dyszał szybko. Dwaj synowie klęczeli przed nim, usiłując poić go miodem, jak zalecił Stoigniew. Przytomny jednak być musiał, bo gdy Bolesław stanął nad nim, podniósł powieki i patrzył na księcia rozszerzonymi źrenicami. Potem na ściągniętej jego twarzy pojawił się uśmiech. Ze śmiechem przeszedł życie i tak je widno chciał zakończyć. Ale widok ten zwiększył ucisk w sercu Bolesława. Gdy Jaskotel szeptać coś zaczął, przyklęknął obok niego, mówiąc:

- Nie gadaj, spokojnie leż. Ostaniem przy tobie, póki będzie trzeba.

Czuł na sobie wzrok Stoigniewa i spojrzał na niego jakby z wyzwaniem. Wiedział, że to, co zamierza, jest nierozsądne, ale Jaskotel też nigdy się nie namyślał, czy życie ma stawić za druha. Stoigniew patrzył na księcia ze współczuciem i Bolesław opuścił powieki, bo czuł, że go pieką. Posłyszał wysilony szept Jaskotela:

- Każcie mnie do dom wieźć, prędko.

- Leżeć musisz - odparł przez ściśnięte gardło Bolesław. Omal nie dodał, że jest mu potrzebny. Ale myślał o potrzebie serca, a nie o tym, że trudno będzie o wojownika, który by go zastąpił godnie. Jaskotel jakby księcia zrozumiał, bo uśmiechnął się znowu i wyszeptał:

- Dwóch wam w zamian za siebie ostawiam. I trzeci nie będzie gorszy, gdy podrośnie. Należę się zadość... koło rodzica. A Wrochniem przyrzekł, że wrócę. Niechby mnie ona choć ujrzała, skoro ja już jej nie ujrzę. Upały się biorą. Każcie mnie wieźć... prędko.

Zamknął oczy i Bolesławowi zdało się, że przez powieki przyjaciela przesączyły się dwie krople. Książę wstał, chując jakby czyjąś dłoń ściskającą mu gardło, i spojrzał pytająco na Stoigniewa, który jeno skinął głową i zwracając się do młodych Awdańców, powiedział:

- Odwieziecie do dom rodzica, skoro tak chce.

Jaskotel jednak usłyszał jeszcze i podniósłszy powieki, powiedział z wysiłkiem, lecz wyraźnie:

- Skarbek mnie odwiezie. Michał niech ostanie. Wojna idzie!

Bolesław patrzył suchymi już oczyma, jak wóz, wiozący Jaskotela, zniknął na zakręcie drogi. Wiedział, że przyjaciela więcej nie ujrzy. W uszach brzmiały mu ostatnie jego słowa, a przed oczyma miał przykład niezłomnego męstwa i wierności, jak święty ogień przekazywany z pokolenia w pokolenie. Choć nieświadomi jeszcze celu, pójdą za swym przywódcą, gdzie rozkaże, nie bacząc na siebie. To jest siła, której nie złamie nic. Zwracając się do Stoigniewa, powiedział:

- Wojna!

Nie było już wahania w jego głosie, choć w pełni zdawał sobie sprawę, ile trudu i krwi kosztować będzie jeszcze, by wykazać, że żadna burza nie zwali budowli, którą wzniósł on i jego przodkowie na tysiąclecia.

Obrona Niemczy

Żupan Miłosław znał niemal każdy kamień w Niemczy, gdzie spędził już ćwierć wieku z górą. Nie opuszczał grodu niemal nigdy. Rządził w nim jak dobry dziedzic we własnym dworcu, spodziewając się, że kiedyś spocznie tu koło kościółka Św. Wojciecha, w którym corocznie rzesze pielgrzymów z Czech, Bawarii, a nawet i z dalsza, zatrzymywały się w czasie swej pobożnej wędrówki do grobu świętego męczennika w Gnieźnie.

Gród jednak ważniejsze miał zadanie niż straż nad bezpieczeństwem i udzielanie gościny pielgrzymom. Od wieków strzegł on drogi handlowej wiodącej z południa przez Pragę na Wrocław i w nadwiślańską nizinę. W obecnej swej, odmiennej od innych polskich grodów postaci zbudowany został rękoma niemieckich rzemieślników na rozkaz króla czeskiego Bolesława Srogiego, by bronił przełęczy w Górach Sowich między Wartą a Kłodziem, stanowiącej przejście z Polski do Czech. Od budowniczych też gród wziął swoją nazwę. Położony wśród wysokich przedgórzy sudeckich, na urwistym pagórku kształtu wydłużonej gruszki zwróconej cieńszym końcem ku północy, zabezpieczony od zachodu stawem, którego wody łączyły się fosami z opływającą wzgórze od wschodu Ślęzą, gród niełatwy był do zdobycia.

Tego roku w Niemczy nie zjawili się pielgrzymi. Na Śląsku toczyła się wojna - cesarz Henryk po raz trzeci usiłował zmusić Chrobrego do posłuszeństwa, a czeski Oldrzych popierał swego pana lennego, wiedząc, że nigdy nie poczuje się pewny na tronie, dopóki potęga Bolesława nie będzie złanana.

Wojna zresztą, jak zazwyczaj, toczyła się daleko na północy, pod Krosnem i Głogowem, gdzie były najlepsze brody na Odrze. Teraz jednak przybliżyła się. Miłosław z wyniosłości koło kamiennego stołbu patrzył na obóz cesarskich, który rozłożył się za stawem. Żupan włos miał już szpakowaty, ale oczy bystre i policzyć mógł każdego niemal wojaka. Nie było ich zbyt wielu. Taką siłą cesarz nie mógł się pokusić o zdobycie grodu. Wysłał ją jednak w jakimś celu.

Miłosław przebiegał wzrokiem okolicę. Wśród stromych wzgórz kryć się może niebezpieczeństwo. Potem zwrócił oczy ku Ślęży (góra zwana później Sobótką), rozsiadłej szeroko jak kwoka na ich północno-zachodnim krańcu. Zdała się bliska i odcinała się wyraźnie na nieboskłonie. ÍMiłosław, który patrzył na nią od dziesiątków lat, wiedział, że zapowiada to zmianę pogody. Skinął głową, jakby czemuś potakiwał: dobrze będzie, jeśli wody, którą wysuszyło gorące lato, przybędzie w przykopach i rozkisną brzegi stawu i rzeczki. Ale i bez tego pewien był wygranej. Na jego czerstwej, choć już zmarszczkami zaczynającej się bruździć twarzy nie znać było najmniejszego poruszenia, nie śpieszył się też, idąc wałem zachodnim ku południowemu krańcowi grodu. Tam jest jedyne łatwiej dostępne miejsce, którędy ongiś, przed dwudziestu siedmiu laty, za wielkiego Mieszka, biorąc udział w zdobywaniu grodu, sam wdarł się pierwszy do Niemczy, by na zawsze w niej pozostać. Przystępu broniła od tej strony brama z drewnianą nadbudówką z potężnych bali dębowych i zwodzony na linach most przez rów.

Gdy Miłosław dotarł do bramy, gasły już zorze długiego letniego dnia. Wszystko zastał w największym porządku, gotowe do obrony. Straże czuwały wszędzie, machiny stały gotowe do użytku, kadzie z wodą i smołą tkwiły na wyznaczonych miejscach. Żupan znał swych ludzi, a oni jego.

Zabawiwszy chwilę, ruszył spokojnie dalej, by wschodnim wałem wrócić do stołbu, pożywić się i spocząć choć kilka godzin. Trzeba być gotowym na wszystko i Miłosław wolał przed świtem sam

być na nogach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować w ciemnościach wypadu na nieprzyjaciela. Noc zapowiadała się ciemna, niebo zaciągało się oparem. Żaden z wojów ni słowem nie ważył się wyrwać nie pytany, choć oczy ich zdradzały, że cni im się siedzieć za tynami, gdy inni wojują, zdobywają sławę i łupy. Wiedzieli, że Miłosław sam zwykł myśleć o wszystkim, a myśleć lubił spokojnie.

Gdy żupan, ważąc przedsięwzięcie, zbliżył się do miejsca, gdzie - na zboczu - wał wykonywał głęboki skręt, by z dwóch stron zabezpieczyć ścieżkę wiodącą od mokradła między rzeczką a stawem do furty koło stołbu, wieczorną ciszę, zalegającą już gród, zakłóciły nagle jakieś odgłosy, które zbliżały się szybko. Miłosław stanął i słuchał. Napaść z tej strony byłaby szaleństwem. Napastnicy musieliby iść jeden za drugim, by na zboczu dostać się między dwa wały najeżone częstokołem, wystawieni z obu stron na pociski z odległości niewielu kroków. Kilku ludzi starczy, by nie dopuścić do furty choćby największej gromady.

A jednak odgłosy zdradzały walkę. Wyraźnie już dochodziły krzyki i szczęk broni. Miłosław, co sił w nogach, pobiegł ku furcie. Załoga była na miejscu. Ciemne postacie stały w milczeniu, nasłuchując. Walka wrzała u stóp wzgórza przy ścieżce przez mokradło. Ktoś widno chciał dostać się do grodu, a cesarscy przeszkadzali.

- Bierz, Okuń, dziesięciu chłopa i skocz obaczyć, co się dzieje - zlecił Miłosław dziesiętnikowi, a sam stanął i słuchał dalej. Zanim zaskrzypiała furta, odgłosy walki ucichły, a Miłosław dojrzał w ciemności kilka postaci, które pięły się po zboczu. W ciszy, jaka zapanowała, słyszał stukot kopyt po kamiennym podłożu. Chwila jeszcze, a nadchodzący znaleźli się tuż pod nim. Miłosław zapytał cicho:

- Kto zacz?

- Stoigniew Ściborowic, od kniazia - odparł głos z ciemności.

Słowa te poruszyły Miłosława bardziej niż zajście. Pomorski wojewoda, krewniak i przyjaciel Bolesława, służył władcy w najważniejszych sprawach. Zawistni szeptali, że nieraz prowadzi grę ponad głową księcia. Ale gadki to być musiały, bo co uradzili między sobą, wiedzieć mógł chyba tylko jeszcze ulubiony doradca Bolesława, opat Tuni. Jedno było pewne, że cesarz nie miał bardziej zajadłego i niebezpiecznego wroga niż Stoigniew. On to, posłując do Rzymu na cesarską koronację, poróżnić potrafił Henryka z papieżem Benedyktem, cesarskim zasadzkom przypisując, że trybutu z Polski do Rzymu wysłać nie można. On wyjaśnił w Kurii, że Henryk nie jest takim mocarzem u siebie, za jakiego chce uchodzić. Jemu przypisywano bunt rzymskiego ludu przeciw cesarzowi, który zmusił Henryka do opuszczenia Rzymu, i napaści Arduina i Olbertynów, jakie znosić musiał w powrotnej drodze. Niemal na marne poszedł wówczas trud i ogromne sumy, na które cesarz zadłużył się w kościołach i klasztorach. Henryk sierdził się, podejrzewając w tym rękę Bolesława, a gdy Stoigniew zjawił się na jego dworze, rzekomo, by siebie i księcia usprawiedliwić, zaraz wybuchło rozdwojenie wśród cesarskich doradców i bunty jego dziewierzy w Lotaryngii. Cesarz, nie bacząc na poselską godność Stoigniewa, schwytać go kazał i zamknąć w lochu.

Miłosław nie wiedział, że Stoigniew wrócił z cesarskiej niewoli, dlatego też w zdziwieniu jego była ciekawość i niepokój, z czym tak niezwykły poseł przybywa. Sam jednak, nie znosząc pytań od własnych podwładnych, ni słowem nie zdradził teraz zaciekawienia i podniecenia. Z szacunkiem prowadził posła do swej izby w stołbie, zleciwszy pozostałych wojów i konie opiece włodarza.

Niemniej gdy zasiedli w izbie przy świetle łuczywa, z ciekawością patrzył na dostojnika, którego raz jeno widział przed laty. Ciemny, jedwabisty jego włos świecił siwizną. Wojewoda dochodził już

kopy lat, ale - wyblakła nieco, widno od mroku lochów - wyrazista twarz jego piękna była jeszcze. Postawa smukła i wdzięczne ruchy, pełne spokojnego dostojeństwa, onieśmielały nawykłego do rozkazywania i rzadko spotykającego się z dostojniejszymi od siebie żupana. Trudno było wytrzymać spojrzenie stalowobłękitnych oczu Stoigniewa; przenikliwe były i groźne, gdy patrzył nimi wprost. Natomiast gdy w zamyśleniu opuścił powieki o długich rzęsach, rzucających cień na policzki, na twarzy jego zjawiał się wyraz niewieściej niemal słodyczy. Żupan zerkał na posła spod oka, myśląc, że nie tak wygląda wojownik.

Gdy jednak Stoigniew zaczął mówić, Miłosław ze zdumieniem poznał, że sprawy wojenne nie tylko nie są mu obce, ale że stan grodu zna nie gorzej niż sam żupan. Pytania, które rzucał jakby od niechcenia i bez namysłu, zdradzały, że wie wszystko i chce się jeno upewnić, czy nie zaszły jakieś zmiany. Gdy skończył, znowu siedział czas jakiś w zamyśleniu, po czym niespodzianie zapytał:

- Ilu i jakich ludzi, broni, sprzętu, zapasuw i czasu potrzebowaliście, by zdobyć ten gród?

Zaskoczony i zdziwiony, Miłosław odparł:

- Wybaczcie! Nie pomnę już. A ninie bronić go mam, nie dobywać. Jedno mogę rzec: póki żywię, nie dobędzie go nikt. Tedy i po co mi liczyć?

Blady uśmiech przeleciał przez twarz Stoigniewa, gdy rzekł:

- Chwali się. Aleć przecie i ten gród był dobyty. Ninie dobyty być nie może - dorzucił twardo.

Miłosław zadumał się. Wspomnienia jego pobiegły do pamiętnej chwili, gdy o świcie jesiennego dnia na czele kilku wojów wdarł się na mur przy bramie. Pod następnymi złamała się drabina. Gdyby się wówczas zawahał, kości jego i towarzyszy od dwudziestu siedmiu lat próchniałyby pod bramą.

Powiedział jak do siebie:

- Serca tracić nie lza.

Czesi stracili je wówczas. Choć mieli wielokrotną przewagę, pierzchnęli na boki, a nim się połapali, że napastników jest jeno kilku, Miłosław już zeskoczył na dziedziniec przybramny i uderzył na nie spodziewających się napaści wojów, zajętych ściąganiem na mury kłód i pocisków. W całym grodzie wszczął się wonczas zamęt. Nikt nie wiedział, co się stało, jedno było pewne: walka wre wewnątrz. Załoga jęła pierzchać z murów, a w ślad za nimi wdzierali się polscy woje. Gdyby obrońcy ustali na miejscu, Miłosław nie utrzymałby się ni dwóch pacierzy. Odpowiadając swym myślom, dorzucił:

- Prawy mąż tam umiera, gdzie go postawią.

- Każdy gdzieś umiera - zauważył Stoigniew z pewną niecierpliwością. - Ale wyście tu wodzem. Nie umierać macie, jeno grodu bronić, jak sami rzekliście. Tedy ilu ludzi i sprzętu wam trzeba, by obronić się, gdyby sam cesarz z całą potęgą się zwalił? Nie pytam po próżnicy.

- Nie wiem, jaka jest cesarska potęga - odparł Miłosław. - Ale wiem, ilu ludzi mogę do obrony użyć, a w grodzie pomieścić i wyżywić. Zbyt liczni woje jeno sobie nawzajem przeszkadzają - straty są większe. Mam kilkunastu rycerstwa i trzysta chłopa, z których za każdego niemal porękę dać mogę jako za siebie. Tyny w obwodzie mają dwa tysiące kroków... Mogę potrzebować jeszcze do tysiąca, jeno takich, co mi na miejscu dostoją, póki ja nie dam rozkazu albo oni ducha. Dacie mi tylu tarczowników i łuczników, to niech cesarz czy sam bies próbuje gród brać. Zęby na tynach połamie.

- To i dobrze - odparł Stoigniew. - Jeno wiedzcie, o co gra: kniaź we Wrocławiu ze swoją siłą stoi, bacząc, kędy się Henryk obróci, a część naszych sił z Moraw na Czechy ma uderzyć, by Oldrzycha odciągnąć, a Bawarów powstrzymać. Obodrycki Mściwój, przekupiony przez Bolesława, w domu pozostał, tedy Henryk na Pomorze iść nie ma po co. Przeprawy na Międzyrzec i Poznań ninie nawet nie próbował. Jedno mu ostało: od Milska i Łużyc nas odciąć, które go jątrzą jako oścień w żywym ciele. Gdyby Niemczy dobył, silnie stopę na Śląsku postawi.

- Niechże próbuje - mruknął Miłosław.

- Co tam Henryk uczyni, jeszcze nie wiada - odparł Stoigniew, patrząc badawczo na żupana. - Ale jedno pewne: dwanaście hufców tu wysłał; przednia straż już nadeszła, reszty każdej chwili patrzeć. A pomocy dla was nie wcześniej niż za trzy dni. Te trzy dni musicie sami wydzierżyć - dokończył twardo.

Żupan milczał, opuściwszy oczy. Gdy się nie odezwał, Stoigniew zapytał:

- Wydzierżycie? Bo jeśli nie...

- Jedno słowo mam w gębie - gniewnie przerwał Miłosław. - Mnie nie wyżenie stąd nikt. Choćby pod murawą, ostanę.

- Jako rzekłem, nie o was chodzi.

- Juści wiem. Choćby na samym stołbie, utrzymamy się. Trzy dni nie wieczność.

Stoigniew uśmiechnął się nieznacznie i wstając podał rękę Miłosławowi:

- Tedy żegnajcie i krzepcie się. Od was dziś w znacznej mierze zawisło, zali cesarz po raz trzeci z niczym odejdzie. Od piętnastu lat kark usiłuje przygiąć Bolkowi. Ninie zmęczony już. Jeszcze jeden wysiłek, a będziem spokój mieli od cesarza.

- Nie ostaniecie pożywić się i spocząć? - zapytał Miłosław.

- Trzy dni nie wieczność - powtórzył Stoigniew z uśmiechem. - Alić dłużyć się mogą. Im prędzej wyjadę, tym prędzej spodziewać się możecie posiłków.

- Tedy zwólcie, że sam was przewiodę, by was znowu cesarscy nie napastowali.

- O mnie się nie troskajcie.

- Nie o was - szorstko odparł Miłosław. - Jeno jeśli was schwytają alibo ubiją, kto mi za was słowo zdzierży?

- Niech każdy z nas o swoje się troska - odparł Stoigniew. - Kniaź nie zapomni zasługi.

Po chwili zamknęła się furta w południowej bramie za Stoigniewem i pochłonęła go ciemność. Miłosław przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, gotów wyskoczyć, gdyby zaczęła się walka. Upewniwszy się, że Stoigniew przejechał, zwrócił się do strażnika:

- Biegnij do starszyzny, niech nie mieszkając stawi się w stołbie.

Sam ruszył wałem i szedł, patrząc na ogniska cesarskich za stawem. Zdało mu się, że ruch panuje koło nich. Pod stołbem zastał już zebraną starszyznę. W obszernej dolnej izbie mieszkalnej wieży, dokąd weszli, wpatrywał się przy świetle łuczywa w twarze dobrze znanych ludzi, jakby ich widział po raz pierwszy. Dotychczas go nie zawiedli. Teraz znowu przyszedł czas próby. Zaczął, jakby o zwykłą rzecz chodziło:

- Kniaź nakazał utrzymać gród. Za trzy dni dostaniem tysiąc wojów załogi.

Przysposobić dla nich, co należy. Jeno zaraz, bo od rana może nie stać czasu na sen i jadło. Na Niemczę idzie dwanaście hufców cesarskich, jeśli już nie nadeszły. Te musimy wydzierżyć sami. Chceli który z was co rzec?

- Mało nas - mruknął stary Biegan. Śmielszy był, bo z dawna z Miłosławem spoufalony. Mimo to żupan zmarszczył brwi i odparł ostro:

- Babom ostawcie wyrzekania. Mało nas. Mniej jeszcze będzie, a gród utrzymać przyrzekłem. Nad tym radzić, jak podołać.

- Tedy ja bym samego jeno stołbu bronił - odezwał się Rusota. - Bo jeśli siłą się wedrą, czasu może nie stać, by w nim się schronić. I co wonczas? I stołbu nie utrzymamy.

- Tedy trzeba by zaraz niewiasty z dziećmi z grodu usunąć, bo ani ich w stołbie pomieścić, ani czas będzie o nich myśleć, gdy zacznie się walka - rzucił wiekiem i służbą najmłodszy z obecnych, Milik.

- Ty zawżdy masz czas myśleć o babach - wtrącił zgryźliwie Biegan. - Jakoż je teraz usunąć, gdy może cesarscy gród już obstawili. Acz i nie, dokąd niewiasty z dziećmi pójdą? A zamkniemy się sami w stołbie, to wydamy je pod nóż lub w powrozy.

Troska widniała we wszystkich oczach. Sam Miłosław miał na grodzie córkę.

Ale nie chciał myśleć o tym. Odezwał się ostro:

- Nie o białkach nam radzić. Ty, Milik, swojej nie masz, nie troszcz się o cudze. Co nam tu będziesz błąść (głupstwa gadać)!

- Pozwólcie skończyć, skorom zaczął - ciągnął Milik. - I krowa się broni, gdy jej wilk cielę napastuje. Tedy, skoro nas mało, białki zgonić na wały. Kamienie i kłody praskać wydolą jak i każdy z nas. A wrzątkiem lać lepiej od nas umieją. Dawno to - dodał, zwracając się do Rusoty - wasza Unce Krzepiszowej łeb wrzątkiem oblała, aż jej sierść wyliniała?

Wszyscy tłumili śmiech, a nawet sam Miłosław do wąsa niby sięgnął. Prócz Rusoty i Krzepisza każdy wiedział, że o Milika poszło, który się do każdej zalecał, a o żadną nie dbał. Urodny był jucha, czarny wąsik dopiero niedawno mu się wysypałm, ale taki, że żadna nie mogła nań spojrzeć, by o pocałunku nie pomyśleć. Żupan jednak ręką o stół uderzył i fuknął:

- Nie na krotochwile my przyszli. O obronie nam radzić.

- Wżdy o obronie gadam. A pośmiać się zawżdy zdrowo. Chcemy czy nie chcemy, niewiasty do niej wprząc należy.

- Dwadzieścia godów wojuję, a nie słyszałem, by baby wojowały - bąknął Potyra.

Zaraz jednak pożałował, że się odezwał, bo Milik odpalił:

- Choć taki z was wojak bywały, dawnoście to sami przed waszą Żyznawą aże na wały uchodzić musieli, choć macie przy boku miecz, a ona jeno kosior (ożóg) miała?

Widząc jednak, że Miłosław pięścią się zamierzył, by w stół grzmotnąć, prędko odwrócił:

- Już o obronie gadam. Imiennie o obronie Miśni. Nie ma dwóch godów, jakeśmy ją pod młodym Mieszkiem oblegali. I dostalibyśmy ją, żeby nie baby. Gdy wietników (półwolna ludność służąca z bronią) nie stało, one miotały kamienie, smołę lały, a gdy jej zbrakło - gorącą kaszę. A nie stało wody, miodem gasiły pożar, cośmy zażegli. Jak się białka rozeżre, na wszystko gotowa. Chłop zaś

serca nie ma białki mieczem bez łeb zdzielić czy przebość oszczepem. Sam byłbym wnet życia, a bogdaj urody zbył. Lezę po drabinie i patrzę, a nade mną jedna się taka wychyla. Urodna, że cud. Zęby do niej szczerzę miast grotu, myśląc, że ustąpi. Bogać tam! Ona mi wiadrem wrzącej kaszy prosto w pysk. Ledwom zdążył z drabiny uskoczyć, małom nóg nie połamał, a tych, co za mną leźli, oblała, iże po spadali.

Teraz już niczym nie skrępowane rozległy się śmiechy. Milik zaś kończył prędko, bojąc się, że mu Miłosław przerwie:

- Też o trzy dni jeno szło, jak się okazało. Łaba wezbrała, bał się Mieszko, że nas woda odetnie, i odstąpił. Można rzec, że białki Miśnię obroniły. Dlaczego by nie miały Niemczy obronić?

- Niech i tak będzie - odparł żupan. - Każde ręce dobre, kiedy ich nie ma za wiele.

- Tedy mnie nad białkami uczyńcie wojewodą.

Pod moim okiem każda będzie się starała.

- Dość - uciął Miłosław. - Budzić niewiasty. Biegan się nimi zajmie.

Stare i niedołężne wraz z dziećmi na dziedzińcu przy stołbie zebrać, by nie przeszkadzały obronie. Niech strawę dla wszystkich warzą. Reszcie wyznaczyć, co która ma czynić. A ty - zwrócił się do Milika - w pięćdziesięciu co tęższego chłopa staniesz pośrodku między stołbem a bramą. Chybkiś, tedy biegać możesz. Tam skoczysz, gdzie obrona pęknie. Każdy z was wyznaczy sobie następcę, gdyby z boju odpadł. Spać i jeść będziem na wałach, póki odsiecz nie przyjdzie. Trzy dni nie wieczność - powtórzył i skinieniem ręki odprawił starszyznę.

Szedł na górę do swej izby zadumany. Ubyło mu troski o los grodu, a teraz w to miejsce wtargnęła własna, ojcowska. Trzeba obudzić córę. Nie dopuścił nawet myśli, by korzystając ze swego stanowiska wyłączyć ją od walki. Wnet zaczęłyby się sarkania. Niech nikt nie wyrzeka, że żupan siebie i swoich oszczędza, gdy od podwładnych żąda wszystkiego.

Skoro jednak stanął nad śpiącą Chwaleną, nie mógł się przemóc, by ją obudzić. Spała spokojnie, z rozchylonymi ustami jak dziecko. Wątła była i drobna, nie nawykła do wysiłku, ręce miała maleńkie - co po takich w walce? Czy nie dość, że trzech synów wojuje przy księciu? Siebie też żupan szczędzić nie zamierzał. Ciężko było Miłosławowi na sercu, ojcowska troska zmieniła się w złość przeciw Milikowi. Teraz żupan nie myślał o tym, że nie było innego wyjścia, lecz że młodemu wojakowi łatwo było podsunąć tę myśl i z całej starszyzny on jeden może czekać na walkę z lekkim sercem. Lubił bitkę, a troszczyć się nie ma o kogo. Lubił Milik zresztą i Chwałkę, ale której on nie lubił? Babiarz był i lekkoduch. Gorzej, że i dziewczyna zdała się ku niemu nakłaniać, na co żupan patrzył niechętnie. Nie darzył zaufaniem Milika, którego młody książę Mieszko przysłał przed dwoma laty, zalecając jego zmyślność i męstwo. O tym żupan dotychczas nie miał możności się przekonać. Widział natomiast, że rozhukany młodzik zamęt czyni w spokojnym dotychczas grodzie.

Miłosław zmusił się, by myśleć o obronie. Spocząć trzeba, póki jeszcze czas. Wnet zaczną się dla niego bezsenne noce. Położył się, lecz nie mógł usnąć. Gdy po dłuższej chwili otworzył oczy, zdało mu się, że w ciemności rysują się już serca w okiennicach. Letnia noc krótka, a dzień długi. Żupan wstał i jął trącać Chwalenę. Gdy otworzyła zaspane, dziecięce oczy, powiedział z wymuszoną oschłością:

- Przybierz się i pójdź do Biegana. On ci rzecze, co masz czynić.

Uzbroił się i wyszedł. Istotnie zaczynał się przedświt chmurnego dnia. Na podworcu przed stołbem krzątały się już stare niewiasty, gromada dzieci leżała pod częstokołem. Niektóre maleństwa płakały, przestraszone nieobecnością matek. Dobrze, że deszcz jeszcze nie padał, chmury wisiały nisko. Miłosław wyszedł przez furtę w częstokole i zmierzał ku południowej bramie, gdzie spodziewał się pierwszego uderzenia. W półmroku zauważył jakąś zmianę. Gdy podszedł bliżej, dojrzał, że przejście przez szeroką, główną ulicę, wiodącą od bramy do stołbu, zamknięte jest wysoką przegrodą z belek i kamienia, odcinającą przybramny dziedziniec od reszty grodu. Przyśpieszył kroku i natknął się na Milika krzątającego się koło przegrody i wydającego rozkazy narocznikom. Zapytał:

- Przeczżeś to uczynił?

- Jeśli Niemce bramę przełamią, już by hulać mogli po całym grodzie. A tak ich na dziedzińcu odetniem i wytracim.

- Mniemasz, że przełamią? Jeno jak tędy nasi woje uchodzić mają albo i ty z pomocą skoczyć?

- Ujść mogą wałami. Jeno by mi zamęt zrobili, gdyby tędy szli. A jak skoczyć z pomocą, teżem pomyślał: przejścia kazałem przez domy powybijać...

Urwał i nasłuchiwał:

- Cichajcie! Chełst jakowyś słychać.

Jakoż od bramy dochodziła wzmagająca się wrzawa wojenna. Żupan warknął niecierpliwie:

- Kędyż mi teraz do bramy?

- Sam was przeprowadzę.

- Tu masz tkwić jak kołek - odparł żupan ostro. - Gdy będziesz potrzebny, rogiem ci znać dadzą.

Żupan niemal biegł za wojem, który wiódł go przez opustoszałe domy i wąskie przejścia między nimi. Hałas był coraz większy. Gdy wypadli na przybramny dziedziniec, pociski już szły chmarą nad wałami; stukały po ścianach, z chrzęstem uderzały w twardą ziemię dziedzińca i sunęły po niej bezsilne już. Żupan co prędzej kopnął się pod tyny. Wytchnąwszy, wspiął się na nadbudówkę nad bramą i spojrzał przez strzelnicę.

Dzień był już jasny, choć szary. Przy ziemi trzymała się mgiełka, przez którą u stóp wyniosłości widać było gromady napastników. Część ich zasypywała rów, inni wypuszczali strzały z łuków lub z rozmachem miotali z proc kamienie. Machin jednak i innego sprzętu oblężniczego widać nie było. Snadź nieprzyjaciel spodziewał się zgnieść obronę samą przewagą liczby.

Roje przeciw garstce.

Miłosław tego się nie lękał. Patrzył, jak ranni napastnicy wlekli się do tyłu; innych ubitych czy niezdolnych uchodzić wynosili towarzysze. Widział, jak obrońcy odpowiadali strzałami na strzały, a już skrzypiały napinane machiny do miotania belek i głazów. Żaden z obrońców nawet jeszcze ranny nie był.

Ale jakby w złą godzinę żupan pomyślał o tym, bo w tej chwili ujrzał, że jeden z polskich wojów łuk naciągany właśnie z rąk wypuścił i bezwładnie przechylił się przez blankę. Towarzysze ściągnęli zaraz trafionego, a Miłosław szybko zbiegł obaczyć, któremu się to przygodziło. Gdy dopadł, leżało już trzech. Miłosław krzyknął:

- Kryć się! Na trzy dni starczyć nas musi, a dopiero się zaczęło.

Spojrzał przez strzelnicę między blankami. Cesarscy w jednym miejscu przeszli już fosę, ale nie pchali się pod górę, widno czekając, aż przeprawi się tylu, by na całej długości południowego muru uderzyć. W tej chwili jednak zafurkotała wypuszczona z kuszy belka i koziołkując w powietrzu, wpadła w gromadę, rozpraszając ją. Do uszu Miłosława doszły krzyki rozkazów i napastnicy co rychlej wycofywać się jęli za fosę. Zapewne dowódcy uznali, że straty są zbyt wielkie, i postanowili lepiej przygotować uderzenie. Miłosław odetchnął. Do południa było jeszcze daleko, ale każda chwila droga. Belki i głazy, skacząc po pochyłości, leciały za cofającymi się Niemcami, którzy wkrótce znaleźli się jednak poza ich zasięgiem - i zapanował spokój. Z polskiej strony rozległy się radosne okrzyki, ale Miłosław stłumił tę niewczesną radość. Pierwsze powodzenie mogło być tylko przestrogą dla nieprzyjaciela, by nie lekceważył obrony. Żupan nie wątpił, że następna próba będzie cięższa. Szedł wzdłuż muru i liczył straty.

Nie były wielkie. Prócz lżej poszkodowanych, którzy nie odpadli z boju, trzech zabitych i dwóch ciężko rannych niczym się mogło zdać obrońcom wobec kilkudziesięciu zwłok, których nie zdążyli unieść napastnicy. Ale Miłosław wiedział, że ma jednego woja na czterdziestu, a pierwszy dzień dopiero się zaczął. Gdyby tak dalej szło, nim minie trzeci, zabraknąć może obrońców. Miłosław szukał Biegana, chcąc z nim uradzić, jak użyć niewiast, by wojów oszczędzić. Nie wątpił, że dojdzie do walki wręcz, a do tego chłopów musi mieć, nie baby. Tymczasem widział, jak korzystając z chwilowego spokoju, znosiły pod mury belki i kamienie. I to ulga dla mężów, którzy tymczasem pożywią się i spoczną.

Milikowi zaś cniło się. Siedział między domami jak w kojcu, nie tylko nie biorąc udziału w walce, ale nawet jej nie widząc. Wspiął się na przegrodę i patrzył, jak niewiasty noszą ciężary i strawę dla wojów. Zaczepiał je, szczerząc zęby i pokpiwając. Nie pozostawały dłużne i przez dziedziniec miast strzał latały teraz słowa, czasem pobudzając do śmiechu, a czasem do złości.

Siestrzawa z dwiema innymi dźwigała belkę nabitą gwoździami.

Spostrzegłszy Milika, odezwała się:

- Taki olbrzym z ciebie, a patrzeć jeno umiesz, jak się słabe niewiasty mozolą.

- W pyskuś mocna, w zęby weź - odciął się Milik.

- I tyś w dziobie najmocniejszy. Jeno ci czerwonego grzebienia brak, byś wyglądał jako kurek, co z płotu pieje.

- Sama wiesz, że nie grzebień u kura najważniejszy. Będziesz co przeze mnie nosiła, to ci pomogę.

- Juści! W łożu byś za mnie leżał.

- Za ciebie nie. Aleć za twego starego - mógłbym. Jeno nie dziś. Żupan mi tu sterczeć kazał i spoczywać, bym siłę miał, gdy jej waszym chłopom zbraknie.

- Do takiej pomocy zawżdyś skory. Znają cię, złe ziele!

- Alebyś mnie rada naszła w lesie przy młodym miesiącu - odpalił Milik i ugryzł się w język. Szła Chwałka, niosąc spory głaz. Twarz miała zaciętą, aż przybladłą z wysiłku. Może też usłyszała, co mówił Milik. Zeskoczył z dwusążniowej wysokości i, podbiegając do niej, powiedział:

- Nie na twoje to rączki. Dajże, to poniosę.

- Tym pomóż, co cię proszą o to - odparła, nie patrząc na niego.

Zmieszał się i coś zaczął bąkać. W tej chwili świsnęła strzała i otarłszy się niemal o dziewczynę,

utkwiła w ziemi, a już z sykiem leciały następne. Niewiasty idące z belką przyśpieszyły kroku, omal się nie przewróciły, ale Chwałka szła wolno dalej, jakby nie słysząc i nie widząc. Milik obejrzał się z wahaniem, po czym, dopadłszy dziewczyny, porwał ją na ręce i skoczył ku bramie. Nie broniła się, oczy miała zamknięte. Gdy ją postawił na ziemi, nad sobą na chodniku muru dojrzał żupana. Widział czy nie widział? Milik nie czekał, co żupan powie, lecz pędem puścił się z powrotem. Za sobą usłyszał huk. Głaz wypuszczony z machiny wyciął w bramę, a już leciały z furkotem dalsze. Zaczynało się na dobre.

Milik dygotał z niecierpliwości i choć pociski z łuków i proc przenosiły już do środka grodu, wskazując, że napastnicy się zbliżyli, raz za razem wspinał się w górę i patrzył na ciężko pracujących na tynach towarzyszy. Z dala widział, jak podnoszą belki i opuszczają je za mury: nieprzyjaciel dotarł już pod nie i pnie się po drabinach. Milik nasłuchiwał, czy nie odezwie się głos rogu, wzywający go do walki, ale obrońcy bez jego pomocy wciąż jeszcze dawali sobie radę z nieprzyjacielem: gryzł ręce z niecierpliwości i podniecenia. Klął w duchu żupana. Od czasu do czasu podbiegał ku stołbowi, by nasłuchiwać, czy z innej strony nie dochodzą odgłosy walki. Ale uderzenie obejmowało tylko południową część wzgórza, od jednej baszty narożnej do drugiej. Gdzie indziej panował spokój.

Dzień dłużył się Milikowi, zdał się bez końca. Usiłował przespać się, bo noc spędził bezsennie, ale nie szło. Zły usiadł pod ścianą przegrody, pomny, że nogą mu się stąd nie wolno ruszyć, póki go róg nie wezwie. Nad wieczorem wszakże zerwał się raz jeszcze, zapominając o zakazie. Pod bramą panował niezwykły zgiełk. Gdy wyskoczył na swoje miejsce na przegrodzie, dojrzał, że brama puściła, a zewsząd biegły niewiasty, zawalając wejście, czym się dało. Pod murem legło już nieruchomo wiele ciał. Milik nie zważał na lecące pociski, stał, pewny już, że lada chwila skoczyć mu przyjdzie. Ale zaczęło się uciszać. Tymczasem słońce wyjrzało przez szczelinę między nieboskłonem a oponą chmur, pobarwiło czerwonym światłem gród i zapadło. Jeden dzień oblężenia mieli za sobą.

Noc jednak nie przyniosła spokoju. W ciemnościach słychać było ruch, na tle ognisk obozu, obejmującego już gród łukiem od rzeczki do rzeczki, jeszcze późno po północy widać było uwijające się postacie, a do uszu straży dochodził huk toporów i młotów. Także od strony bagienka, leżącego między rzeczką a stawem, szły jakieś odgłosy.

Mało kto spał w grodzie tej nocy. Na wałach płonęły beczki ze smołą, a czerwone światło i czarne cienie skakały po zboczach grodowego wzgórza.

I w grodzie wszędzie wrzała praca. Tylko Milik tkwił na swym miejscu, jakby niepotrzebny nikomu. Po północy mżyć zaczęło, wlazł więc do opuszczonego domu i do snu się ułożył. Niedługo spał jednak, bo wkrótce zbudził go wojak, do żupana wzywając. Poskoczył niezbyt pewny, czy się sprawiać nie przyjdzie. Ale żupan zawiadomił tylko Milika, że połowę jego ludzi zabiera. Bieganowi też nakazał co młodszymi niewiastami mury obsadzić na całej długości. Milik zaniepokoił się o Chwałkę i nie wytrzymał, by nie zapytać:

- Nie obejdzie się to jeszcze bez białek?

- Wżdy sam ich użyć doradziłeś. Ale przestań już o nich myśleć - odparł żupan ostro i odwróciwszy się, odszedł. Milik zagadnął Biegana:

- Nie widzieliście Chwałki?

- Widziałem. Bo co?

- Nic. Omal jej rano bełt nie zawadził. Nieobrotna dziewucha.

- Są i takie, co je zawadził. Podle kościoła leżą, czemuż o nie nie pytasz? Wżdy się do wszystkich zalecałeś.

Milik, zeźlony, wlazł do chałupy i nakrył się z głową. O czym ma myśleć?

Czekać jak pies na głos rogu? Ze złości zasnął twardo.

Zbudził go hałas. Wpadł na pole i rozejrzał się. Dopiero szarzało, ale w niepewne światło chmurnego przedświtu mieszały się różowe błyski. Milik skoczył za węgieł poprzecznej uliczki i dojrzał płomienie. Cesarscy ognistymi strzałami podpalili dom stojący najbliżej tymów od zachodniej strony. Szczęściem wiatru nie było i deszcz popadywał. Zaraz jednak uwagę Milika odwrócił zgiełk od południa. Nowy dzień próby wytrwałości dla innych, a cierpliwości dla niego. Zacisnął zęby i usiadł pod wałem. Niewiasty przyniosły śniadanie. Próbowały go zagadnąć, ale nie odezwał się i zabrał do jedzenia. Żuł pomału każdy kęsek i sam przed sobą udawał, że nic go nie obchodzi coraz głośniejszy wrzask, który dochodził już niemal zewsząd. Tylko od wschodu, od strony rzeczki, panował jeszcze spokój.

Koło południa słońce prześwieciło przez chmury, dając poznać, że dzień, choć się wlecze, jednak mija. Przez krótki czas zapanował spokój, potem hałas wszczął się znowu, ale ani razu róg nie wezwał Milika na pomoc. Widno obrona wszędzie sprostała natarciu. U schyłku dnia znowu przy bramie wrzawa wszczęła się taka, że Milik pewny już był, iż zaraz skoczyć przyjdzie. Poderwał wojów, a sam wspiął się na swe miejsce na przegrodzie i dojrzał, jak biją się na kupie rumowiska zagradzającego wejście przez rozwaloną bramę. Kilku cesarskich wojów wdarło się nawet na dziedziniec. Milik już bełt zakładał, by choć z dala wziąć udział w walce, ale zakotłowało się koło nich, więc poniechał, by swojego nie ugodzić. W mgnieniu oka wybito napastników i zapanował spokój. Milik z westchnieniem zszedł na dół. Warczał jak pies, który ze smyczy patrzeć musi, gdy inne duszą zająca.

- Morowa zaraza na nich! Za psami miotać takich wojów. Widno jeszcze za dużo nas na tę cesarską zbieraninę. Świnie im pasać!

Gniew jego zwrócił się przeciw cesarskim. Jeszcze jeden dzień, a minie dla niego sposobność, by utwierdzić swą sławę i łaskę książęcą. Na dobitek niewiasty natrząsać się będą z niego, że gdy one walczyły z jego dorady, on jak dziecina tkwił schowany w najbezpieczniejszym miejscu. Gród chyba opuścić przyjdzie. A o tym myślał z ciężkim sercem.

Ulżyło mu jednak, gdy z zapadnięciem ciemności nadszedł żupan. Twarz żupana spokojna była jak zawsze, ale jakby zmalała i postarzała. Ze zmarszczoną brwią słuchał Rusoty, który dowodził obroną od zachodniej strony. Rusota nie starał się ukryć swego przygnębienia, które przeszło w złość, bo - nie bacząc na Milika i jego ludzi - rąbnął:

- Jeśli mi nie dacie choć z dwudziestu chłopa i tyleż niewiast lubo bodaj wyrostków, sami brońcie tynów od stawu. Aże się na nim roi od tratew i ani chybi tamtędy pójdą uderzenia. A ja ni jednego nie przetrzymam.

Miłosław zmarszczył się. Zdało się Milikowi, że wybuchnie, ale jeno rzucił ostro:

- Ja bronię całego grodu i sam wiem najlepiej, kogo i gdzie postawić.

Żyły nabrzmiały mu na skroniach, widno hamował się. Dodał jednak zgryźliwie:

- Z tych se dobrać możecie, co pod kościołem leżą. Innych nie mam.
- A ci? - warknął Rusota, wskazując na Milika i jego wojów. - Gdy my z nóg lecim, oni bąki zbijają, zęby do białek miast do Niemca szczerząc.

Milik już miał na końcu języka, że obejmie obronę od zachodu. Ale zmilczał, gdy żupan odparł zimno.
- Oni jutro odrobią za trzy dni z okładem. Daj Bóg, by wydolili.
- Coby nie! - wtrącił Milik beztrosko. - Jużem u rąk wszystkie paznokcie poogryzał. Jutro bym chyba u nóg ogryzał, gdyby roboty nie było.

Miłosław spojrzał na niego dziwnie, aż się Milik zmieszał. Widział czy nie widział zajścia z Chwaleną? Ale Miłosław rzekł jeno do Rusoty:
- Machin i pocisków macie, ile strzyma. Porozbijać tratwy, to i natarcie osłabnie.
- Ale po dwie ręce jeno mamy. Kto machiny będzie napinał?

Żupan wzruszył tylko ramionami i odszedł. Milik zaś, zwracając się do swych wojów, rzucił:
- Słyszeliście? Teraz jeść i spać, a jutro...

Nie dokończył, ale dłonią po dłoni przejechał, jakby ją ostrzył. Sam z ochotą wziął się do wieczerzy. Jutro wreszcie pokaże, że potrafi coś więcej, niż zalecać się do niewiast. Może go nawet Chwałka ujrzy przy robocie. Choć lepiej, by nie ujrzała. Tam, gdzie mu walczyć przyjdzie, najcieplej będzie.

Podjadłszy, owinął się w znalezioną derę i usnął natychmiast.

Spał twardo i śniły mu się łowy. Gdzieś z dala doszedł go głos rogu.

Serce mu załomotało, pełne łowieckiej ochoty. Pewnie psy zwierza ruszyły. Aż się poderwał na posłaniu, usiadł i oprzytomniał w jednej chwili. Sen pierzchnął, ale róg istotnie słychać było od zachodu. Rusota prawdę mówił, że nie wytrzyma ni jednego uderzenia. Niedołęga!

Ale gdy Milik ze swoimi wojami wypadł pod zachodni mur i ogarnął spojrzeniem, sam nie wiedział, gdzie prędzej rąk dołożyć. Od narożnej baszty do stołbu widział jeno kilkudziesięciu ludzi, a co najmniej tyleż drabin sterczało ponad blanki, świecąc świeżym drewnem. Milik w mgnieniu oka był na murze. Tuż koło niego dwie niewiasty z wytrzeszczonymi z wysiłku oczyma usiłowały odepchnąć bosakami drabinę ugiętą pod ciężarem pnących się po niej wrogów. Przyskoczył, pochwycił za drzewce i pchnął. Drabina przez chwilę wahała się i runęła w tył na strome zbocze. Choć pociski szły chmarą, Milik wychylił się i parsknął śmiechem. Koziołkując po stromiźnie, sypali się woje aż na brzeg stawu. Ale nie czas było się radować, bo inni już podjęli drabinę, by ją na nowo ustawić. Milik chwycił za nabijaną gwoździami belkę i krzyknął na niewiasty:
- Brać! Puścimy im na łby!

Belka poleciała i na dole rozległy się wrzaski, ale Milik nie miał czasu spojrzeć, bo przez gwar walki doszedł go głos rogu, tym razem od wschodniej strony, gdzie dotąd spokój panował. Przekrzykując hałas, wrzasnął do dziesiętnika:
- Okuń! Ostawiam ci dziesięciu chłopa. Radźcie, jak możecie!

Skrzyknął najbliższych i zeskoczywszy z muru pognał ku przeciwległej stronie grodu, nie bacząc nawet, kto za nim podąża. Najtrudniej dostępne z tej strony wzgórze - najsłabiej było obsadzone, a walka wrzała już na tynach. Napastników nie było wielu, bo tylko w jednym miejscu zdołali ustawić drabinę na urwistym stoku, ale przybywało ich - gdyby zaś wdarli się do grodu, mogli wywołać popłoch taki, jaki niegdyś Pobożny utratą Niemczy przypłacił. Milik bez wahania skoczył ku walczącym.

Obrona rozsypywała się już, a rycerz w lśniącym pancerzu, który widno przewodził napastnikom, wskazywał mieczem na furtę przy stołbie, widocznie zamierzając ją opanować. Za nic nie wolno do tego dopuścić. Milik gnał, zdając sobie sprawę, że jego woje nie mogą za nim nadążyć, a każda chwila jest bez ceny. Nim skoczył, spojrzenie jego padło na płonącą beczkę smoły, której widocznie straż nie zdążyła ugasić, zanim nastąpiło uderzenie. Gdy opancerzony Niemiec na widok nadbiegającego podniósł tarczę, gotując się do odparcia ciosu, Milik niespodzianie przystanął i, zaparłszy się o blankę, przewrócił beczkę. Struga płonącej smoły chlusnęła na chodnik pod nogi napastników i ciekła, rozszerzając się z wolna, a płomień chwytał leżące na chodniku belki. Czarny dym przesłonił Niemców, odcinając pnącym się jeszcze po drabinie dostęp, ci zaś, którzy już byli na wałach, zeskakiwać jęli pod mur. Ale już tam nadbiegli woje Milika, a pierzchający obrońcy, widząc, że nadeszła pomoc, zawrócili i w jednej chwili otoczywszy napastników przyparli ich do ściany. Zawrzała krótka walka. Po chwili pod murem leżało już tylko kilka ciał. Jeńców, którzy rzucili broń, kazał Milik babom odprowadzić na stołb i zamknąć w lochu. Sam wspiął się na górę i spojrzał wokół. Na stoku stało kilkudziesięciu wojów, widocznie nie wiedzących, co począć. Milik wskazał na płonące belki i krzyknął na swoich:

- Praskać!

Za chwilę pod murem płonął stos, a napastnicy uchodzili za rzeczkę, ścigani krzykami i pociskami. We wschodniej stronie grodu zapanował spokój. Milik kazał podtrzymywać ogniska w miejscach, gdzie był dostęp pod mur, zabrał swoich wojów i odszedł ku zachodniej stronie. Dwóch było rannych dość ciężko. Z westchnieniem pomyślał, że niewielki jego zastęp zmalał jeszcze. Gdy dotarł do zachodniego wału, zastał tam położenie już opanowane. Odciążeni od bezpośredniej obrony ludzie Rusoty sami wziąć się mogli do machin. Potrzaskane tratwy na stawie wskazywały, iż machiny działają skutecznie. Milik zabrał przeto resztę swych wojów. I tu brakło jednego. Pociął się z Rusotą, który chciał, by mu ich zostawił, i wrócił zadowolony na swe miejsce.

Gdy jednak wspiął się na swą przegrodę, znów ogarnął go niepokój. Od południowej strony uderzenie trwało bez przerwy. Z nadbudówki nad bramą sterczały już jeno zmierzwione belki, wyszczerbione blanki nie dawały ochrony przed pociskami, które szły ulewą. Co chwila na nowo widać było błyski grotów i mieczy na murach, pod nimi leżały już sterty ciał, zapewne i nieprzyjacielskich, bo obrońców wszystkich razem tylu by nie zebrał. Jeśli natarcie przeciągnie się do wieczora, nie będzie komu podnieść ręki z bronią. Miłosław, który sam tu dowodził, twardy jest. Nie wzywa pomocy, choć zdałoby się przez chwilę odetchnąć pracującym ciężko ludziom. Milika aż podrywało, by skoczyć żupanowi z pomocą, ale się powstrzymywał. Miłosław sam wie najlepiej, czy się utrzyma, on zaś może być potrzebny gdzie indziej.

Istotnie, Rusota po południu ponownie wezwał pomocy, ale bez większego trudu udało się odeprzeć wroga. Potem znowu czas wlókł się Milikowi nieznośnie. Odgłosy walki od południowej

strony, które przez chwilę jakby nacichały, nasiliły się znowu. Wrzask dochodził już bez przerwy. Milik właśnie zamierzał wspiąć się, by zobaczyć, co się dzieje, gdy z przejścia między domami wynurzyło się dwóch ludzi, wiodąc Miłosława. Żupanowi z ust ciekła krew. Opuścił się bezsilnie pod przegrodą, skinął na Milika, a gdy ten się pochylił ku niemu, wyszeptał z wysiłkiem:

- Bierz wszystkich swoich ludzi i obejmij za mnie obronę. Rób, co zdolisz, by wydzierżyć, póki się da. Nie wydzierżysz - rogiem daj znak i ściągaj się do stołbu. Pośpieszaj! - dodał, widząc, że Milik zamierza o coś pytać.

Krętymi przejściami Milik podążył wraz ze swymi ludźmi. Po drodze od wojaków, którzy przywiedli żupana, dowiedział się, że głaz ugodził Miłosława w pierś. Zrazu zdało się, że legł, bo oddech ze wszystkim stracił, ale potem dychać zaczął, jeno krew puściła mu się ustami. Jeśli go nie zalała od razu, to i wyżyje, ale ludziom serca ubyło, a zda się, że wróg postanowił dziś dobyć grodu. Albo wie, że nadchodzi pomoc, albo się spodziewa, że książę Bolesław tak ważnego grodu bez pomocy nie ostawi.

Milik czuł, że gra idzie o ostatnią stawkę. Wpadł na mury jak w ukrop. Dokoła leżeli ranni i zabici. Pierwszą ujrzał Siestrzawę. Leżała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, a w piersi jej tkwiła strzała. Milikiem targnął niepokój o Chwałkę, ale nie było czasu rozglądać się. Na mury darły się roje nieprzyjaciół - ostatnia była chwila, by podeprzeć obronę. Gdy zepchnięto pnących się - spojrzał na niebo, by obliczyć się z czasem. Mroczne było od nisko ciągnących chmur, które już opierały się na szczytach wzgórz. Zdałaby się tęga ulewa, by oślizły gliniaste stoki, którędy podprowadzali machiny i pięli się nieprzyjaciele. Ale już trzeci dzień, jak zbiera się deszcz, a jeno mży po trosze.

Milik wszystkich wojów spędził do machin i wnet na gromadzące się znowu zastępy nieprzyjaciół poleciały belki i głazy, zamęt siejąc w szeregach. Niewiastom zaś, ile ich było, kazał znosić belki i beczki ze smołą. Nie dbał już, że zbraknąć może smoły do oświetlenia, grał o wszystko i postanowił ogniem skrócić linię obrony. Jeżeli pomoc nie nadejdzie na przyrzeczony czas, jutrzejszego dnia gród i tak już nie przetrzyma.

Gdy niewiasty schodziły z murów, by wykonać polecenia, Milik stanął przy zejściu. Ledwie poznał Chwalenę. Z rozwianymi włosami, w potarganej odzieży, z pokrwawioną twarzą i rękoma szła, nie patrząc na niego. Uchwycił ją za rękę, mówiąc:

- Rodzic twój wyżyje. Siedzi sam pod przegrodą. Ostań przy nim, bo starunku mu potrzeba.

Oczy opuścił pod jej obcym, rozgorzałym spojrzeniem, gdy odparła:

- O tym myśl, co ci rodzic nakazał.

Wyrwała rękę i odeszła. Milik zawstydził się. Przywykł ją za rozpieszczone dziecko uważać, a ona jego za trzpiota, który urodą tylko podbija serca. Pokaże jej, że pomyliła się. Ze złością poskoczył na górę i własnymi rękoma jął spychać belki i szczątki drewnianych blank za mury. Gdy jeno rozpalono pierwszą beczkę smoły, chlusnął jej zawartość i patrzył, jak ogień chwyta drewno. Nieludzkie ryki rannych, których dosięgnął płomień, zdały mu się jękami potępieńców. Nie zważał na nic. Choćby miał spalić cały gród, a w ostatku i siebie - póki stoi na nogach, nie dopuści do zajęcia Niemczy. Wkrótce kilka ognisk w miejscach najbardziej zagrożonych broniło do nich dostępu, ale też stojących nad nimi machin użyć nie było można z powodu żaru. Milik kazał niewiastom

podtrzymywać ogniska, a mężów skupił na krótkim odcinku koło bramy. Spodziewane posiłki tędy jeno przyjść mogą.

Resztki dziennego światła z trudem już przesączały się przez czarną zasłonę coraz niższych chmur, a łuna ognisk podbarwiać je zaczynała czerwienią. W półświetle tym widział gromadzące się na przeciw bramy zastępy nieprzyjaciół, które posuwały się zwarcie. Walka teraz skupić się miała w jedynym dostępnym miejscu. W półmroku trudno już było rozróżnić poszczególnych ludzi, jeno czerwone skry skakały po zbrojach i grotach. Szli w milczeniu, w ciszy słychać było jeno szelest grubych kropel nadciągającej ulewy, które coraz to gęstniały. Świat ogarniała już ciemność, tylko czoło grodu świeciło ponurym, rudym blaskiem smolnych płomieni. Każdy wiedział, że najbliższa chwila będzie rozstrzygająca. Jeżeli uda się odeprzeć i to natarcie, reszta zależy już od tego, czy Stoigniew dotrzyma przyrzeczenia. Jeżeli nie odeprą, nie zdążą nawet schronić się w stołbie. Rozpalone walką ciała prężyły się do ostatniego wysiłku, a coraz rzęsistszy deszcz zmywał znój z twarzy.

Milik ogarnął spojrzeniem swych ludzi. Było ich jeno kilkudziesięciu, a większość od świtu bez przerwy w walce. Zaciężyła mu odpowiedzialność i w piersi poczuł bolesne wahanie. Jeżeli nie wytrzymają, nie będzie nawet czasu dać znak pozostałej załodze, by się wycofała do stołbu. Podniósł róg i opuścił go znowu. Jego głos może być wyrokiem śmierci dla wszystkich, których stołb nie pomieści lub którzy schronić się nie zdążą: na rannych, niewiasty i dzieci. By przeciąć wahania, krzyknął:

- Bij!

Odpowiedziały mu wrzaski z obu stron i ciemna masa runęła ku bramie. Jakby chcąc ugasić walkę ludzi, lunęła fala ulewy, a kłęby pary wraz z dymem przytłumiły blask ognisk. W czerwonym półmroku resztki obrońców zwarły się z gromadami napastników, którzy tłumem parli ku rozwalonej bramie i pięli się przez rumowisko, samym ciężarem spychając garstkę, która stawiała im czoło.

W pierwszym szeregu walczył Milik. Strugi deszczu ślepiły mu oczy. Tarczę wzniósł nad głowę, ale nie potrzebował nawet patrzeć, gdzie uderza. Gęstwa była przed nim. Zadając ciosy, cofał się krok za krokiem, by zyskać miejsce do rozmachu. Walczono w zupełnym niemal mroku, strugi wody zalewały już ogniska.

Milik potknął się i, chwytając równowagę, opuścił tarczę. Nagle jakby tysiąc gwiazd zabłysło mu przed oczyma, tysiąc wichrów zaszumiało mu w głowie, głusząc odgłosy walki. A potem nastąpiła cisza i ciemność. Fala nieprzyjaciół przeszła przez niego i nie słyszał już straszliwej wrzawy, jaka wszczęła się po obu stronach bramy. Wróg wdarł się do grodu, resztki obrońców pierzchały na boki, by wzdłuż tynów dostać się do stołbu.

Ale nim ich dopadli, ten i ów stawał i słuchał, uszom nie wierząc: za bramą wrzała walka, przeraźliwe krzyki tłumiły nawet szum ulewy. Zrozumieli i radość zaparła dech w piersiach niedobitków. Skoczyli z powrotem pod bramę i przecierając oczy, patrzyli, jak w ciemności wlewały się przez nią tłumy. Ponad cichnące już odgłosy walki dźwięczny głos zawołał:

- Kto tu dowodzi?

Po chwili milczenia ktoś powiedział:

- Milik.

- Milik legł - odpowiedział inny.

- Tu Stoigniew. Żupan gdzie?
- Potłuczony. U siebie być musi, na stołbie.
- Prowadźcie mnie do niego.

Po nocnej zlewie dzień wstał bez chmurki. Ze szczytu stołbu wzrok ogarnąć mógł ogromną przestrzeń kraju. Ale Stoigniew patrzył zrazu na krzątających się w dole wojów, a potem skierował spojrzenie za rzeczkę. Na łączce za nią rozeznał stanice Lutyków. Gród opasany już był dokoła. Ale tymczasem panował spokój. Stoigniew zwrócił się do Miłosława:

- Cesarz z Lutykami i Oldrzychem już nadszedł. Ale zda mi się, że będziemy mieli dłuższy oddech. Zbyt drogo zapłacili, dyfając jeno liczbie.

Miłosław z twarzą bladą i podkrążonymi oczyma siedział na blance muru.

Wysilonym głosem odparł:

- Mało brakło, a starczyłoby, aby gród wziąć. Sami teraz raczycie objąć obronę? Słaby jestem, ledwo na nogach ustoję.

-Nie - odparł Stoigniew. - Kto orał i siał, niech zbiera. Wytrzymaliście najgorsze, teraz już się o gród nie lękam. Kniaź Bolko nadejdzie w ślad za cesarzem. Trzeba będzie jeszcze pomocy - dostaniemy.

- Najgorsze wytrzymał Milik - odparł Miłosław.
- Kniaź i jemu nie zapomni. Zresztą Milik bez duszy leży.
- Myślicie, że wyżyje?
- Nos ma jeno przetrącony i twarz rozciętą. Ale od tego się nie umiera.
- On by wolał życia zbyć niż urody. Prawdę rzec, za kieckami jeno gonił.

Choć go knieżyc Mieszko zalecał, anim się po nim nie spodziewał, by taki twardy był.

Stoigniew jednak zdał się już myśleć o czym innym, bo zapytał:

- Czy prócz rzeki i stawu cesarscy mają inną wodę?

Patrzył na staw pokryty drzazgami rozbitych tratew. Pojono właśnie konie, które zwłóczyły pnie widocznie na budowę nowych. Miłosław odparł:

- Są źródełka, ale daleko i nieobfite. Nawet w Ślęzy na tyle wojsk wody nie starczy, zwłaszcza że susza idzie. Dlaczego pytacie?

Ale odpowiedzi nie dostał, bo w tej chwili z zapadni wychyliła się głowa Biegana, który z pewnym podnieceniem powiedział:

- Poseł cesarski stoi pod bramą i domaga się widzenia z dowódcą grodu.
- Przywieść go na stołb - odparł Stoigniew, a zwracając się do żupana, dodał:
- Pozwolicie, że ja z nim pogadam. Mam ja parę słów rzec cesarzowi.

Miłosław skinął głową i zeszli do świetlicy. Po chwili przy wejściu rozległy się głosy i wszedł Biegan, oznajmiając:

- Jego przewielebność biskup Arnulf od cesarza. Biskup wkroczył dumnie w towarzystwie

dwóch rycerzy. Na widok Stoigniewa zmieszał się wyraźnie, zaczął jednak wyniośle:

- Cesarz jako pan wszego chrześcijaństwa oszczędzić chce niepotrzebnego krwi przelania. Obwieścić mi polecił, że zezwala wyjść z grodu każdemu z bronią i mieniem, bezpieczeństwo poręczając.

- Wżdyśmy dopiero przyszli - odparł Stoigniew. - Choć spocząć wypada.

Arnulf udał, że nie rozumie kpiny, i dodał:

- Nie nam pilno. Namyślicie się, przyjeżdżajcie.

- Dzięki za łaskawość, alem niedawno dopiero cesarską gościnę opuścił.

Jeśli się namyślam, to czy was jako zakładników nie zatrzymać, jakoście wy niedawno opata Tuniego zatrzymali.

- Widzę, że nadal judzić jeno umiecie, by układom przeszkodzić - odparł Arnulf dostojnie, ale przybladł wyraźnie.

- Kniaź Bolko nadciąga - odparł Stoigniew. - Sposobność macie z nim się układać, gdy zaś ja tu siedzę, tedy i przeszkadzać nie będę.

- To nie moja sprawa ni wasza. Jeno sądzę, że nawet z wami uładzić się wydolę: poległych chcieliśmy uczcić chrześcijańskim pogrzebem. Przypomnę wam, że gdy przed dwoma laty biskup Eido w takiejże sprawie do waszego pana się odniósł, nie tylko przyzwolenie, ale i pomoc uzyskał. Sami zresztą widzicie, że upały idą, a już ninie złe powietrze od zwłok aż tu zalatuje.

- Mniej tu na górze niż u was na dole, tedy o nas się nie troskajcie. Czy i pogańskich Lutyków chrześcijańskim chcecie uczcić pogrzebem, jako że z wami przeciw nam wojują? Niemieckiej krwi cesarz chce oszczędzić, dlatego pogan przeciw chrześcijanom wiedzie. Niemców tedy, nie chrześcijaństwa jest panem. I to go słuchać nie chcą - dorzucił lekceważąco.

Arnulf poczerwieniał i odparł ostro:

- Ja waszej odpowiedzi cesarzowi nie powtórzę, bo jątrzyć go nie chcę, by słusznemu pokojowi nie przeszkodzić.

- Tedy, by nie obciążać swego sumienia, pismo weźmiecie do cesarza.

Stoigniew wstał i wyszedł. Po dłuższej chwili wrócił i wręczając biskupowi zaopatrzony pieczęcią zwitek pergaminu, powiedział:

- Nic tam nie ma, czego byście już nie wiedzieli. A może i to wiecie, że Mieszko Oldrzychowi Czechy pustoszy, Michał Awdaniec zaś na Łużycach Białą Górę oblega. Niechże tedy cesarz baczy, by wracać miał kędy, gdy się namyśli w pokoju nas ostawić.

- Wielkie jest wasze zuchwalstwo - odparł Arnulf. - Baczcie wy, byście głowę stąd unieśli.

- Głowa moja tedy niech wam stanie za porękę, że noga wasza tu nie postoi. Ani nawet poselska, bo w lochu zatrzymam, jako mnie trzymano - zakończył ostro.

Biskup skłonił się sztywno, a Stoigniew polecił go odprowadzić, sam zaś wyszedł z Miłosławem na wały, by robót przy umocnieniach doglądać. Na całym grodzie ruch panował. Cieśle naprawiali zniszczone blanki, budowali nowe machiny i wznosili nadbudówkę nad bramą. Od wschodu szedł lekki powiew, lecz chociaż tam najmniej zwłok leżało, niósł i stamtąd mdłą woń rozkładających się ciał. Miłosław zapytał:

- Czemu nie zwoliliście, by zwłoki pogrzebali? Za kilka dni jeść się nie da od smrodu.
- Bez jedzenia łacniej wydzierżyć niż bez picia. Pogrzebiemy je sami.
Każdemu trupowi kamień do szyi i w wodę. Cesarskim na zdrowie.

Henryk, wysławszy część swych wojsk celem zajęcia Niemczy, sam na drugi dzień nadciągnął za nimi, opasując gród dokoła. Lutycy stanęli od wschodniej strony, oddzieleni od reszty wojsk rzeczką, której bezpieczniej było nie przekraczać, bowiem mimo przymierza panowała z dawna zakorzeniona wzajemna wrogość i nieufność.

Cesarz miał już wiadomość o napaści Mieszka z morawskimi wojskami na Czechy i to go właśnie skłoniło, że - zaniechawszy zamiaru wkroczenia do Wielkiej Polski - całym wojskiem ruszył z Głogowa na Niemczę, zwłaszcza że nalegał na to Oldrzych, grożąc, że w przeciwnym razie odejdzie własnego kraju bronić. O napaści natomiast na Łużyce Henryk nie wiedział, a gdyby niała pomyślny dla Bolesława przebieg, cesarz znaleźć by się mógł - jak przed dwoma laty - bez możności odwrotu. Zdobycie Niemczy było koniecznością, by drogę przez Czechy utrzymać. Dotychczasowe jednak niepowodzenia wywołały rozdwojenie wśród cesarskich doradców, a zniechęcenie wśród wojska. Zwłaszcza wśród saskich dostojników nie brakło takich, którzy wspominali wzajemne korzyści przymierza, jakie ongiś zawarła cesarzowa Teofano z Mieszkiem, a Otto Iii z samym Bolesławem, i przebąkiwali o konieczności zakończenia wojny oraz zmiany stosunku do Polski. Cesarz jednak uparty był, a liczył jeszcze, że działania kijowskiego Jarosława na wschodzie, a węgierskiego Stefana na południu zmuszą wreszcie Bolesława do uległości. Wysławszy tedy biskupa Arnulfa, siedział przed swym namiotem w otoczeniu lenników - kościelnych, z arcybiskupem moguncki Archinbaldem, i świeckich z czeskim Oldrzychem na czele. Nie zagajał narady, albowiem przedmiot jej zawisł od odpowiedzi, jaką przyniesie Arnulf. Toteż z niechęcią spojrzał na magdeburskiego Gerona, który zagadnął:

- Radzić mamy, jak dobywać Niemczy, zali jak kończyć tę wojnę, która nas tu trzyma, gdy gdzie indziej ważniejsze są sprawy, a niepowodzenia obniżają jeno cesarską powagę.

W odpowiedzi wyręczył cesarza Oldrzych, który, hamując gniew, odpowiedział:

- Zda mi się, że najbardziej powadze cesarskiej ubliża zuchwalstwo lennika, który do posłuszeństwa nagiąć się nie chce. Ta zaś wasza troska o ważniejsze sprawy zda mi się jeno troską o własną prowincję kościelną.

- Nawet gdyby i tak było, nikt nie mógłby czynić mi z tego zarzutu, gdy na skutek ciągłego niepokoju na wschodzie sufragani moi z Hawelbergu i Miśni tułać się muszą, stolic swych wyzbyci. Wam ta wojna potrzebna, bo gdyby Bolesław przy Śląsku i Łużycach się utrzymał, wasz stolec książęcy zawsze na chwiejnych stać będzie nogach.

- Gdyby zasię i to prawda była - gniewnie odparł Oldrzych - nie wam czynić mnie zarzuty. Ninie ci najwięcej o pokoju mówić radzi, którym strach, by im cesarz nie przypomniał, że majętnością swą mu poręczyli posłuszeństwo Bolesława, gdy szło o wypuszczenie Mieszka, którego ja pojmałem i lepszą poręką był niźli wasze zapewnienia.

Cios był zuchwały a celny, wśród cesarskich bowiem dostojników nie brakło takich, którzy za swe poręczenie wzięli od Bolesława pieniądze. Dlatego milczeli teraz i nikt już nie poruszył podniesionej przez Gerona sprawy. Natomiast merseburski Ditmar, który taką nienawiść żywił do

Bolesława, że nie umiał bez przezwisk mówić o nim, wtrącił:

- Zda mi się, żeśmy tu po to przyszli, by Niemczy dobyć i zetrzeć plamę, jaka pamięć w Bogu spoczywającego Ottona kala, że ze sługi panem uczynił pyszałka, który nikogo już nad sobą uznawać nie chce.

- Radźmy tedy o wojnie - wtrącił palatyn Burchard, który niedawno ranę odniósł w bitwie z Bolesławem. - Nie żałowałbym swojej krwie, gdyby na darmo nie poszła. Ale żal i cudzej, gdy nią szafować bez potrzeby. Niemcza umocniona jest, pięściami jej nie weźmiem, liczbą też nie, skoro dostępna jeno w niewielu miejscach. Wieże zbudować należy, które by przewyższały umocnienia. Tarany, balisty i sprzęt wszelki przygotować i dopiero wówczas do działania przystąpić.

- Stary Mieszko ojcu memu Niemczę wydarł, niewiele mając sprzętu, którego przygotowanie czasu dużo zająć by musiało - wtrącił Oldrzych.

- Ludzi macie zadość, tedy odbierajcie ją sami - odparł Burchard. - Ja swoich na zatratę nie dam.

- Zda mi się, że przedwcześnie się spierać - wtrącił pojednawczo bamberski Eberhard. - Wpierw należałoby powrotu brata Arnulfa doczekać. Gród znacznie uszkodzony, straty też musiał mieć niemałe, może przez dowódcę głos rozsądku przemówi.

Henryk, który dotychczas w niechętnym milczeniu przysłuchiwał się przymówkom, teraz uciął:

- Arnulf każdej chwili wrócić winien. Gdy Niemczę będę miał w ręku, Bolesław sam zacznie mówić o pokoju.

- Biskup wraca już - odezwał się graf Wilo.

Jakoż zza kępy krzów rosnących za stawem ukazał się oczekiwany. Z dala już twarz jego zdradzała, że z wyniku poselstwa nierad. Gdy przystąpił, Henryk, wskazując mu miejsce, zapytał:

- Co przynosicie?

- Wiadomość, że Awdaniec Białą Górę na Łużycach oblega. I że tu Stoigniewa spotkałem. Starczy to za odpowiedź. A oto pismo jego.

Merseburski Ditmar aż oczy wzniósł ku niebu i westchnął:

- Czyż wszędzie spotykać musimy tego franta, kłamcę i mąciciela pokoju?

- Obaczymy, co pisze - rzekł cesarz gniewnie i skinąwszy na kapelana swego, Dytryka, wręczył mu pergamin.

Dytryk rozłamał pieczęć i, przebiegłszy pismo oczyma, zaczął:

„ Jeżeli wolno tak powiedzieć, nie tracąc łaski królewskiej: czy jest to dobrem prześladować chrześcijan, a przyjaźnić się z ludem pogańskim? Co za zgoda Chrystusa z Belialem, co za zrównanie światła z ciemnością? Jak mogą zgodzić się diabeł Swarożyc i wódz świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem święta włucznia i godła pogańskie, karmione krwią ludzką? Czy nie wierzysz w grzech, o królu, gdy głowa chrześcijaństwa, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?...” (Cytat z listu Brunona do cesarza Henryka Ii)

- Dość! - krzyknął cesarz. - Ten zuchwalec drwić z nas się ośmiela!

Wyrwał pergamin z ręki kapelana, zmiął go i deptał nogami w nagłym napadzie wściekłości.

Niektórzy z doradców patrzyli ze zgorszeniem na cesarskie niepohamowanie. Nie darmo był synem Kłótnika. Archinbald moguncki jednak, nie kryjąc wzburzenia, odezwał się:

- Rozumiemy, panie, że rozgniewać was mogło zuchwalstwo tego, jak mówi brat Ditmar - franta. Aleć to słowa nie jego, jeno brata naszego, Brunona, Bożego męczennika, który ani chybi na ołtarze wyniesiony zostanie. Rozumiemy konieczność działania, ale na pogardę te słowa nie zasługują.

Henryk powściągnął się. List ten w swoim czasie niemało napsuł mu krwi i dobrej sławy w chrześcijaństwie. Przypomnienie go teraz, gdy znowu ramię w ramię szedł z poganami, przeciw czmu burzyli się nie tylko duchowni, ale nawet prości rycerze, było wetknięciem kija w mrowisko, a przypomnienie ze strony tego, który na każdym kroku kłody rzucał cesarzowi pod nogi, odczuł Henryk jak policzek. Wstając, powiedział:

- Gdybym miał i połowę wojsk wytracić, muszę dobyć Niemczy, choćby po to, by tego łotra dostać w ręce. I poganom go wydam, by jego krwią nakarmili swego bożka.

Odwrócił się i wszedł do namiotu. Pozostali siedzieli w milczeniu, które przerwał Burchard:

- Tedy i wiemy, o czym radzić! Połowę wojsk? To znaczy połowę nas i naszego rycerstwa.

- Tak się mówi w prędkości - wtrącił się dziewierz cesarski, bawarski Henryk. - Ale wierny lennik sam ujmuje się za obrazę swego pana.

- Cóż za obraza słowa niemieckiego biskupa powtórzyć? - wtrącił Eberhard bamberski.

- Quod licet Iovi, non licet bovi (Co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi)

- odparł oczytany Ditmar pouczająco, ale szpetna twarz ułomnego człowieka poczerwieniała zaraz od złości, która nachodziła go, ilekroć tylko pomyślał o Bolesławie. Nie znosił w ogóle ludzi, którzy wybijali się siłą własną bez łaski cesarskiej, jak on, i dodał porywczo:

- A ktokolwiek pozostaje w służbie tego ryczącego zwierza, nie jest niemieckim dostojnikiem, lecz wrogiem cesarstwa.

Patrzył znacząco na grafa Ekkeharda, wyraźnie do niego kieryjąc te słowa.

Ale zaczepiony odparł wyzywająco:

- Czy odrzekacie się także brata waszego Wernera? Wiadomo, że potajemnie jeździł do Bolesława, zapewne nie w pobożnej pielgrzymce do grobu świętego Adalberta.

Słowa padały coraz ostrzejsze. Wzajemna złość, zawiść i nieufność aż kipiały, zaczynały latać obelgi. Oldrzych słuchał zmieszany. Przerwał w końcu:

- Zważcie, wasze czeście i wielebności, że zuchwalec ten tylko pana dotknąć zamierzał, słowa Brunona powtarzając. Oto jak wygląda nasza narada, która na celu miała obmyślenie środków, jak Niemczy dobyć i wyprawę, takim trudem i kosztami podjętą, doprowadzić do chwalebnego końca.

Pohamowali się i umilkli, sapiąc jeszcze z podniecenia. Po chwili palatyn Burchard powiedział:

- Ja rzekłem już, co myślę, i tego nie zmienię. A jeśli wam spieszno Niemczę odebrać, dość macie wojsk, by samemu przypuścić uderzenie. Ani cesarz, ani nikt z nas się nie sprzeciwi i niech was święty Jerzy wspomaga.

Wstał i odszedł. Inni też rozchodzić się zaczęli. Arnulf rzucił za nimi:

- Wiele dałby ten przechera, gdyby wiedział, jaki jest skutek jego pisma.

- A więcej jeszcze cesarz, gdyby go w ręce dostał - dorzucił Ditmar, po czym zwrócił się do Oldrzycha:

- Macie sposobność panu się przysłużyć, a sobia zarazem. Próbujcie!

- Spróbuję iście - odparł Oldrzych.

Znał ludzi i wiedział, że ktoś musi zacząć działać. Gdy raz zacznie się walka, wypadki potoczą się własnym rozpędem. A tak wszystko może się rozpłynąć w jałowych kłótniach i wzajemnych wyrzutach.

Zarówno Burchard, jak i Ditmar mieli słuszność. Cesarz nie tylko nie sprzeciwił się czeskiemu uderzeniu, ale nagrodę przyrzekł za głowę Stoigniewa. Oldrzych w trzy dni pokończył przygotowania i o pogodnym świcie letniego dnia ruszyły czeskie zastępy, przeszły niemal bez strat zasypaną już poprzednio fosę i piąć się jęły pod górę, dla ochrony od pocisków niosąc płotki z trzciny wodnej.

Męstwo i zaciętość przemagały się z obu stron. Koło południa udało się nawet Czechom wtargnąć na wały koło wschodniej baszty i opanować ją, wyciąwszy załogę. Ale Miłosław głowy ni serca nie stracił i, choć z kosturem jeszcze miast miecza, sam poprowadził przeciwuderzenie na czele tarczowników i wymiótł napastników za wały, a ci z nich, którzy byli w baszcie zamknięci, widząc, że odwrót mają odcięty, rzucili broń. Natarcie się załamało. Znużeni upałem i zniechęceni Czesi wymieniali jeszcze z grodem pociski i obelgi, ale Oldrzych, widząc, że nic już nie wskóra, a ludzi traci daremnie, przed zachodem słońca wycofał wojska. Tym razem gród nie czynił przeszkód w wydaniu poległych. Smród bijący ze stawu dawał się we znaki nawet na górze, jeńcy zaś zeznali, że w cesarskim wojsku zaczęły się choroby, mimo że wodę na jego potrzeby czerpano tylko z rzeczki powyżej grodu, która wysuszona upałem nie mogła dawać wiele. Cesarz wprawdzie nakazał wyławiać zatopione zwłoki, ale staw odcięty od przepływu przez zasypanie fos cuchnął nadal i nawet konie pić z niego nie chciały. W obozie od smrodu wytrzymać było trudno, tak że nocami wielu wymykało się pod wiatr, bo zaduch nie pozwalał spać. Zdarzało się, że nie wracali. Albo sprzykrzyło im się oblężenie, albo - jak przypuszczano - wpadli w ręce podjazdów Bolesława, który główną siłą stał jeszcze we Wrocławiu, ale nadejść mógł każdej chwili.

To skłaniało cesarza, by przyspieszyć przygotowania, uderzenie zaś Oldrzycha prócz szkód i strat wyrządzonych w grodzie miało i ten skutek, że przekonało innych lenników, iż uda się może ubiec gród, jeśli uderzenie należycie przygotować i nie żałować trudu ni krwi. Niemniej każdy wolał szczędzić swych ludzi, ale tym pilniej wzięto się do przygotowań. Gdzie była ścieżka między bagienkiem a rzeką, ścielono drogę z okrąglaków, na Ślęzy przerzucono kilka mostów, a nad brzegiem stawu znowu bielały tratwy. Uderzenie ze wszystkich stron naraz rozproszyć winno obronę, główne jednak natarcie iść musiało od południa, tam też naprzeciw bramy pracowały największe gromady przy budowie oblężniczej wieży.

Na grodzie także wrzała praca, ale Stoigniew, choć snuł się po nim we dnie i w nocy, nie mieszał się Miłosławowi do jego zarządzeń. Niemało natomiast czasu poświęcał rannym, umiejąc tamować krew, usuwać złą gorętwę i składać złamane członki. Ze zdziwieniem, ale i z wdzięcznością spoglądano na wysokiego dostojnika i książęcego krewniaka, który nikomu potrzebującemu nie odmówił żadnej, nawet babskiej posługi, a rękę miał lżejszą od niewieściej. Korzystał z pomocy jego

zwłaszcza Milik, który, wróciwszy do zmysłów, nie pozwalał niczego koło siebie robić niewiastom. Stoigniew, który nakazał mu leżeć spokojnie, sam musiał go karmić. Usługi Stoigniewa zdały się upokarzać Milika, który nigdy o nic nie prosił, natomiast wyrywał się z łoża, tak że gdy jeno zamknęła się rana, Stoigniew, choć niechętnie, wstać mu pozwolił.

Na chwiejnych nogach wywlókł się Milik na pole. Straszliwa blizna od czoła przez nos aż do brody naznaczyła go na zawsze. Złamany nos zrósł się nieforemnie, rozcięte usta wykrzywiły się jakby w drwiącym uśmiechu, ukazując wyszczerbione zęby. Ale Milikowi bynajmniej nie do śmiechu było ni drwin. Od wyrostka nawykł, że oglądały się za nim niewiasty. Teraz, gdy obejrzała się która, to w oczach jej widział jeno litość, która go drażniła. Usiadł pod ścianą kościółka i patrzył na świeżą mogiłę, pokrywającą kości wielu towarzyszy. Gorycz przelała się w nim, gdy z kościoła wyszła Chwałka. Zdało mu się, że jeszcze wypiękniała. Już ją miał zagadnąć po staremu, gdy oczy jej padły na niego. Zobaczył w nich współczucie, ale wyraźnie go nie poznała. Milik wstał, odwrócił się bez słowa i ująwszy kostur powlókł się na wały. Wolałby leżeć pod darnią. Przynajmniej dziewczyna wspomnieć by go mogła takim, jak był poprzednio.

Na wałach wrzała praca. Codziennie między grodem a oblegającymi latały pociski, którymi obrońcy starali się przeszkadzać przygotowaniom, a napastnicy niszczyć umocnienia i wzniecać pożary, rzucając baryłki z płonącą smołą i rozżarzone głownie. W czasie panujących upałów zmuszało to obrońców do ustawicznej czujności i zlewania wodą szmat i skór, którymi pokryte były drewniane budowle przy wałach.

Szczególnie od południowej strony oblegający miotali bez przerwy głazy na bramę i baszty. Miłosław kazał przeto obłożyć bramę i blanki trocinami w skórzanych worach, które łagodziły uderzenia, a sam również odpowiadał pociskami. Z troską jednak patrzył na rosnącą poza ich zasięgiem wieżę. Wznosiła się coraz wyżej, dochodząc już osiemdziesięciu stóp. Miłosław polecił nawet zbudować machinę o szczególnej doniosłości, którą zamierzał spalić wieżę, ale teraz widział, jak dla zabezpieczenia od ognia okładano przednią stronę wieży skórami. Rozmyślał właśnie, co poczynać, gdy stanął koło niego Stoigniew. I on myślał o tym samym, bo po chwili milczenia odezwał się:

- Trzeba się tego pozbyć.

- Ba! Jeno jak? Wypad chyba zrobię.

- Strzec muszą dobrze. Prędzej by chytrością jeden człowiek uradził.

Tymczasem poczekajmy,aż drewno przeschnie. Lepiej się będzie paliło.

- Nie wiem, zali czasu starczy. Wieża już niemal gotowa.

- Znam takowe wieże. We wnętrzu najmniej drugie tyle roboty. Na nią mamy czas. Zda mi się, że wcześniejszą będziemy mieli sprawę.

Patrzył na przedpole i dodał:

- Lutycy zza Ślęzy przenoszą obóz na tę stronę. Przymierze przymierzem, a nienawidzą się wzajem z Niemcami i dlatego ich rzeczką rozdzielono, by bójkom zapobiec. Teraz cesarz pewno pogańskiej krwi będzie chciał upuścić, skoro chrześcijańskiej szczędzi. Albo słowiańskiej - dorzucił zjadliwie - bo czeskiej już upuścił.

- Lutycy mężni są, a biegli zarówno w budowie umocnień, jak i ich dobywaniu - powiedział Miłosław w zamyśleniu.

- Dostoim - odparł Stoigniew. - Ale iście lepiej, by odeszli. Pomyślę o tym.

Miłosław spojrzał na niego pytająco, ale wojewoda odwrócił się i odszedł w kierunku narożnika, gdzie stał Milik. Przystanął koło niego i obaj patrzyli na przygotowania cesarskich.

- Cni się bez walki? - zagadnął Stoigniew.

- To i co, że się cni? Kostur oto ledwie utrzymam w ręku. Ledwom się przywlókł ze stołbu, i to nogi trzęsą się pode mną - westchnął Milik z goryczą.

- Młodyś, tedy niecierpliwy. Siły wrychle ci wrócą, skoro jeść już możesz wszystko. Życie przed tobą.

- Wolejbym go zbył - odparł Milik odwracając twarz, by nie pokazać, że szklą mu się oczy. Potem powiedział:

- Wybaczcie! Dziękować wam winienem za starunek.

- Nie dla twej podzięki to czyniłem - odparł Stoigniew. - Ale życie nie po to człeku dane, by nim igrał, a zbył go, gdy się zecni - dodał surowo.

Milik, zmieszany, milczał, Stoigniew zaś ciągnął:

- Młodemu nieraz z byle głupiej przyczyny zda się, że żyć nie chce. A gdy iście życie oddać przyjdzie, zawaha się.

- Ja się nie zawaham - wybuchnął Milik. - Ale do walkim niezdolny, a obwiesić się - grzech.

- Są takie sposoby walki, do których sił nie trzeba. Przyjdzie pora, przypomnę ci, coś rzekł. Obaczym, czy mężem jesteś, który zna samego siebie, czy niewieściuchem, co się jeno nad samym sobą użala.

Stoigniew odszedł, zostawiając Milika w zadumie.

Spodziewane uderzenie Lutyków odciągało się i żupan sądził już, że cesarz zwleka, by, pokończywszy przygotowania, uderzyć całą siłą. Choć przeto nie ze wszystkim jeszcze doszedł do sił, zbierał się uczynić wycieczkę, by zniszczyć przygotowania, a zwłaszcza groźną wieżę. Czekał tylko na noc chmurną lub bezksiężycową. Pogoda jednak była przejrzysta jak woda, a nów wypadał dopiero za kilka dni. Z niepokojem patrzył na podsuwające się do grodu ze wszystkich stron ziemne roboty i już postanowił nie zwlekać dłużej z wypadem, gdy przed świtem trzeciego dnia od rozmowy ze Stoigniewem zbudziły go wrzaski z wałów, zwiastujące, że wszczęła się walka. Pewny niemal, że to cesarz przypuścił ogólne uderzenie, porwał miecz i hełm i - nie bacząc, że dech mu jeszcze zapiera - pobiegł na wał. Pociski już szły ze wszystkich stron, furkotały belki, huczały głazy. W półświetle wstającego dnia, z dala widoczne, leciały wysokimi łukami baryłki z płonącą smołą, wlokąc za sobą czarne warkocze dymu, które długo stały w spokojnym powietrzu, jakby siecią ogarniając gród. Tu i ówdzie w grodzie istotnie pokazały się płomienie, ale gasły zaraz, widno obrona była na miejscu. Wkrótce wszelkie blaski zgasiło promienne słońce, które, wychyliwszy się zza wzgórz, wzbijało się szybko.

Żupan, dobiegłszy do bramy, zastał tam Stoigniewa. Zresztą kto jeno żył w grodzie, był już na nogach. Nawet ci z rannych, którzy zwlec się mogli z nar, wylegli teraz, by ile jeno sił w kalekich członkach pomoc dać towarzyszom. Wszyscy sądzili, że cesarz uderzył całymi siłami i wszystkie też siły wytężyć należy, by udaremnić uderzenie.

Ale uderzyli tylko Lutycy, a cesarz kazał jeno poprzeć ich natarcie ze wszystkich stron grodu, by jak największą ilość obrońców odciągnąć od południowej strony. Stał teraz w otoczeniu swych

wasali, patrząc z bezpiecznej odległości, jak poganie, okrzyknąwszy na cześć Swarożyca, z szaleńczą odwagą ruszyli i w mgnieniu oka dotarłszy pod wały piąć się jęli na nie. Mimo odległości, w jaskrawym świetle porannym poznać można było niemal każdego człeka. Zdało się też Henrykowi, że wśród obrońców rozeznaje Stoigniewa. Zwracając się do otoczenia, powiedział:

- Poganie czy nie poganie, a oto są już na wałach. Zda się, że dziś skończymy. - Zwracając się zaś do Burcharda, dodał:

- Mniemam, że i wam po sercu ludzi swych oszczędzić, gdy z fałszywymi chrześcijanami poganie walczą.

- Jużci, że wolę, ale nie wiem, czy będzie tak, jak mówisz, królu - rzucił palatyn, patrząc na wały. Jak odbita od brzegu fala, po stoku spływały właśnie ścigane pociskami gromady wojowników, a z blanków zeskakiwali ci, którzy już wdarli się na nie. Mało który z nich jednak do swoich dopaść zdołał.

Ale już naprzeciw uchodzących nadchodziła druga fala, zagarniając ich swym pędem. Pod stanicą z wyobrażeniem Swarożyca biegł sam Mszczuj, by nie dać obrońcom wytchnienia. W tej chwili jednak wszyscy spostrzegli, że nad bramą wzniósł się krucyfiks. Rzeźbiona w lipowym drzewie, nie poczerniała jeszcze postać Chrystusa górowała nad wszystkimi rozpiętymi ramionami, zdając się bronić dostępu Swarożycowi.

Tak musieli to zrozumieć rozjuszeni Lutycy, bowiem na widok krzyża kto jeno z nich miał w ręku łuk lub procę, miotać jął pociski na chrześcijańskie godło. Widać było, jak trzaski sypią się z drewna, a potem jak postać Chrystusa przekrzywiła się i zwisła na jednym ramieniu. Jeszcze chwila, a krzyż przechylił się i zniknął, jakby ustępując przed Swarożycem, którego wizerunek na wysokiej stanicy ukazał się na wałach. Archinbald odwrócił się i rzekł głośno:

- Nie wiem, zali to są prawdziwi chrześcijanie. Ale wiem, że prawdziwym ani patrzyć na to nie przystoi.

Odszedł, a Henryk z niepewnym uśmiechem, który miał być drwiący, odezwał się:

- Jedno i drugie drewno, w którym nie masz krwi.

- W hostii świętej też nie ma krwi - odparł wzburzonym głosem Gero. Inni milczeli, ale żaden nie patrzył na cesarza. Zresztą uwagę ich odwrócił niezwykły wrzask, jaki wszczął się na wałach. Wizerunek Swarożyca przechylił się i runął w dół wraz z dzierżącym go człowiekiem. Za bóstwem swym jeden za drugim sypali się pogańscy wojownicy, unosząc swą świętość, której utrata za największą hańbę uchodziła. Poza zasięgiem pocisków dźwignięto znowu w górę stanicę i Mszczuj zaczął sprawiać szyki, ale teraz i cesarz wstał, by odejść. Zbliżały się już skwarne godziny, a przestał wierzyć, że poganie jednym uderzeniem zdołają skończyć sprawę. Zapewne zresztą wytchnąć zechcą przed nowym natarciem. Palatyn Burchard potwierdził myśl cesarza:

- Nie wiem, zali naszej krwie oszczędzimy.

- Obrońców od tego nie przybyło - mruknął niechętnie Henryk - a Niemczy muszę dobyć. Pokończym przygotowania, sami uderzym.

Odwrócił się i odszedł do swego namiotu. Słońce już prażyło nieznośnie. W namiocie duszno było, ale dawał trochę cienia. Cesarz kazał go otworzyć na przestrzał i podać posiłek.

Pożywiał się z roztargnieniem, więcej pijąc, niż jedząc. Burzył się na swych lenników, a

wściekłość na Stoigniewa ściskała mu gardło. Gdyby nie przypomnienie listu Brunona, nikt zapewne nie miałby zastrzeżeń przeciw użyciu pogan, choć powszechnie nienawidziło ich zwłaszcza wschodnie rycerstwo i duchowieństwo. Zbyt wiele już od pokoleń w ziemię ich wsiąkło niemieckiej krwi.

Od tych rozmyślań oderwała Henryka wrzawa, która wszczęła się znowu. Pewny, że to Mszczuj po raz trzeci uderzył, wyszedł z namiotu, by spojrzeć na walkę. Ale na stoku pod bramą prócz rozrzuconych ciał nie było nikogo, natomiast w obozie nad rzeczką przewalały się tłumy, czymś widno wzburzone, bo wrzask dochodził stamtąd coraz większy.

Cesarz właśnie zamierzał posłać giermka, by się wywiedział, co zaszło, gdy w pędzie przypadł graf Wilo i z konia jeszcze krzyknął:

- Pośpieszcie, panie! Jeszcze chwila, a nasi wdadzą się z poganami w bitwę!

- Co się stało?! - krzyknął cesarz.

Kazał co prędzej podać sobie konia, a tymczasem graf Wilo opowiadał:

- Chytrze to wróg umyślił, by przeciw Swarożycowi wizerunek naszego Zbawiciela wystawić. Skoro nasi ludzie ujrzeli, jak poganie na niego miotają pociski, jęli się burzyć. Gdy Lutycy wracali, któryś z naszych kamieniem cisnął w ich bożka i nos utrącił. Poganie rozsrożyli się i do broni wzięli, szczęściem naszych niewielu było i uciekli.

- To znowu tego przeklętnika dzieło - warknął cesarz przez zaciśnięte zęby.

Doskoczył podanego mu konia i pognali. Nie było daleko i w porę przybyli, by powstrzymać ludzi Gerona, którzy już skrzyknęli się, by na Lutyków uderzyć. Wzajemna zajadłość wybuchnęła zaraz płomieniem jak sucha mierzwa od podrzuconej przez podpalacza iskry. Miotano plugawe obelgi na lutyckiego bożyca. Cesarz, dopadłszy, ujrzał, jak dostojnicy z trudem usiłują powstrzymać rozjuszonych ludzi, lutycka starszyzna zaś szykuje swoich do odejścia. Co uczynią, wróciwszy do kraju, nietrudno było się domyślić.

Cesarz wysłał grafa Wilona do Mszczuja z poleceniem, by go zapewnił, że ręczy mu za bezpieczeństwo i wzywa na rozmowę w celu obustronnego załagodzenia sprawy. Zsiadł z konia i udał się do najbliższego namiotu, gdzie u merseburskiego Gerona zastał też Poppona trewirskiego i bremeńskiego Unwana. Posłał po bliżej stojących świeckich lenników i czekał.

Z dala widać było, jak graf Wilo, stojąc w gromadzie starszyzny lutyckiej, żywo z nią rozmawia. Henryk odetchnął, gdy odłączyło się od gromady kilku ludzi i zmierzało w jego kierunku. Po siwej, krótkiej, kędzieżawej brodzie poznał między nimi samego Mszczuja.

Nadszedłszy, Lutycy stanęli w milczeniu, bez powitania nawet, ponurym spojrzeniem obrzucając cesarza i jego dostojników. Henryk, udając, że tego nie spostrzega, ozwał się pojednawczo:

- Wielce bolejemy nad tym, co się stało, ale to przecie nie powód, byście zerwali zaprzysiężone przymierze przeciw wspólnemu wrogowi.

- Nie wiem, kto i czyim jest wspólnym wrogiem - odparł Mszczuj. - Aleć to wiem, że myśmy przymierze na tegoż Swarożyca poprzysięgli, któregoście znieważyli. Tedy więcej gniewny byłby za dotrzymanie jej bluźniercom niż za złamanie.

- Co tam jeden głupi pachoł uczynił, tego nam przypisać nie lza - odparł Henryk. - Każde zaś bóstwo można przebłagać.

Arcybiskup Unwan splunął nieznacznie, Henryk jednak udał, że tego nie zauważył, a Poppo, hamując się widocznie, zwrócił się do Mszczuja:

- Samiże wasi zawinili, wizerunek Pana naszego pociskami obrzucając.

- Nie ma zniewagi w bitwie - wtrącił namiętnie jeden z wodzów lutyckich, Nakon. - Niech bogowie walczą z sobą. Ale dziećmi lub niewiastami bylibyśmy, swego obrażać zezwalając.

- Czego żądacie - przerwał cesarz niecierpliwie - by waszego boga przebłagać?

- Za zniewagę bóstwa płaci się krwią, jako i u was - odparł Mszczuj. - Wydajcie tego, co je znieważył, byśmy go, jak jest obyczaj, na oczyszczalną ofiarę spalili. Wtedy możemy ostać, inaczej - nie.

Duchowni spojrzeli po sobie ze zgrozą, ale Henryk, uprzedzając ich wystąpienie, machnął ręką ze złością; sam wiedział, że nie może wydać pogańskiej pomście biskupiego woja, jeśli nie chce wzniecić buntu we własnym wojsku. Powiedział do Mszczuja:

- Czy wspólny wróg waszemu Swarożycowi nie urągał? Nad wrogiem ja wam dam pomstę, która boga waszego, ani chybi, przychylnie dla nas usposobić winna; wydam wam wszystkich jeńców, jakich weźmiemy w grodzie.

- Tedy nie odejdziemy, jeno poczekamy, aż wy gród weźmiecie - złośliwie wtrącił trzeci z wodzów, Mestwin. - Ale tymczasem to oni naszych jeńców mają, a między nimi bratanka mego.

- Za kilka dni pokończę przygotowania i uderzymy wszystkimi siłami - odparł Henryk niecierpliwie. - Ani chybi, gród padnie tym łacniej, im więcej sił będzie.

- Swarożyc zna przyszłość, nie my - odparł Mszczuj. - Ale nie przebłagany odmówi nam swego błogosławieństwa. Ani się kapłani czekać nie zgodzą.

- Dam im dwanaście funtów srebra, by ubłagali chociaż o cierpliwość - odparł Henryk ze złością.

Niemiły mu był targ w obecności chrześcijańskich dostojników kościelnych o łaskę pogańskiego bożyca i przychylność jego wyznawców. Chciał go skończyć jak najprędzej. Lutyccy wodzowie naradzali się szeptem. Mszczuj odpowiedział:

- Jeśli zaraz zapłacicie - ostaniemy. Ale w walce weźmiemy już udział jeno społem ze wszystkimi wojskami. I mamy wasze cesarskie słowo, że wszyscy jeńcy nasi?

- Macie - odparł Henryk z ulgą. - Srebro zaś skarbnik zaraz wam odwiezie.

Wyszedł z namiotu i dosiadłszy konia odjechał. Nie chciał teraz słuchać, co o tej sprawie myślą arcybiskupi. Ale wiedział.

Lutycy zajęli z powrotem swój obóz za rzeczką, by prości woje nie stykali się ze sobą, co mogło na nowo wywołać zajście, miejsce zaś Lutyków naprzeciw bramy zajęły saskie zastępy grafów Zygfryda i Ezikona.

Przygotowania widocznie miały się ku końcowi i Miłosław z rosnącym niepokojem patrzył na wieżę. Na szczycie jej, na ruchomym, wysuwanym pomoście ustawiono już machiny, które z tej wysokości znacznie powiększyły swój zasięg, zwlekano pociski i beczki ze smołą. Nów wypadał następnej nocy, ale pogoda utrzymywała się i Miłosław postanowił nie odkładać już koniecznej wycieczki. Odszukawszy Stoigniewa, powiedział do niego:

- Wolej mi chociaż i stu ludzi stracić, a wieżę spalić, niż wszystkich razem z grodem. Jutro, bez ochyby już, sam ludzi powiodę.

- Zasię lepiej jednego niż stu - odparł Stoigniew. - Ja spróbuję dziś.

- Nijak się na to zgodzić nie mogę - żachnął się Miłosław. - Kniaź by mi łacniej stratę i tysiąca wojów lub zgoła grodu wybaczył...

- Ale nie dla tego, żem krewniak - uśmiechnął się wojewoda - jeno że mu krwi oszczędzić umiem; i swojej też nie chcę oddać bez potrzeby - dorzucił.

- Nie powiedzie się mnie dziś, jutro wy spróbujecie. Tak postanowiłem - uciął, widząc, że Miłosław jeszcze się zbiera sprzeciwić.

- Zwólcie chociaż, bym z ludem z wałów wyszedł ochronę dać, gdyby was ścigali - próbował jeszcze przeprzeć swoje żupan, ale wojewoda odparł:

- Starczy, jeśli na wałach będą czuwali, by mi drabinę podać, gdy będę wracał. A kogo mi będzie potrzeba, sam dobiorę.

Miłosław odszedł niespokojny. Nie miał mocy powstrzymać wojewody, a nie wierzył w powodzenie jego przedsięwzięcia. Nawet we dnie straże stały koło wieży, od jeńców zaś wiedział, że cesarz cenę wyznaczył za głowę Stoigniewa. Jeśli wpadnie w niemieckie ręce, ani go wykupić, ani wymienić.

Stoigniew natomiast, spokojny jak zawsze, szedł wałem i patrzył na nieprzyjacielskie przygotowania. Widocznie już były na ukończeniu. Nowych robót nie wszczynano, poprawiając tylko uszkodzenia, jakie niemal codziennie czyniła w nich grodowa załoga. Na północnym krańcu wału spotkał Milika. Przystanął koło niego i obaj patrzyli na leżący w dole staw. Po chwili milczenia wojewoda zagadnął:

- Widzę, żeś już do sił przyszedł, skoroś się pchał do walki z Lutykami.

- Gdzie mi tam do dawnych sił - odparł Milik. - Cięciwy do brody nie dociągnę, tedy bełt nie tylko pancerza, ale nawet skórzanego kubraka nie przebodzie. Ni głazu sporego dźwignąć, bo mi we łbie ćwierka, ni hełmu mieczem rozbić...

Machnął ręką i urwał. Stoigniew zapytał:

- Tedy po coś się pchał do walki?

Gdy Milik odwrócił w milczeniu oczy, wojewoda dorzucił cicho:

- Śmierci szukasz?

Nie otrzymawszy i teraz odpowiedzi, ciągnął:

- Pytam, czyś się nie rozmyślił. Ale iście namyśl się dobrze, nim odpowiesz, bo nie pytam darmo. Jakobyś wyrok miał wydać na samego siebie, a bez rozwagi czynić tego nie lza. Chcę, byś sam siebie zrozumiał.

Patrzył na Milika przenikliwie i podjął:

- Chcę i ja ciebie zrozumieć. Ułatwmy sobie wzajem: widziałem, że Chwalena cię szuka. A ty jej unikasz.

- Ona się i nad kulawym psem lituje - wybuchnął Milik z goryczą. - A mnie nawet nie poznała, gdy ujrzała pierwszy raz, kiedym się z wyra dźwignął...

- Juści, żeś się zmienił - wtrącił wojewoda.

- Zmieniłem się - zaśmiał się Milik z przymusem. - Widzę ci, jak i inne na mnie spozierają: żal im mojej gęby jako rozbitego garnka, co dobry był, a ninie już jeno na śmietnisko...

- Czy to najważniejsze? - zapytał wojewoda.

Milik spojrzał na piękną jeszcze, choć przywiędłą twarz Stoigniewa i pomyślał, że i za nim musiały oglądać się niewiasty, nie słyszał natomiast, by się z którą uwikłał. Nawet żony nie pojął. Wstyd było Milikowi wprost odrzec, że nic mu po życiu bez białek. Powiedział niechętnie:

- Żyć się nie chce, gdy nic człeka nie raduje.

- Jeśli tak iście, nie lepiej ci to żywot oddać, zyskując sławę i zasługę, niźli darmo?

Milik pobladł, lecz odparł bez namysłu:

- Za nic mi wszystko. Aleć zrobię, co każecie.

- Tedy skoro zmierzchnie, bądź gotów. Będę czekał pod bramą. Wieżę zniszczyć musimy.

Stoigniew odszedł, zostawiając Milika pogrążonego w zamyśleniu. Dziwnie się świat odmienia, gdy go żegnać przychodzi. Milik niemal cały dzień spędził samotnie na szczycie stołbu Patrzył jakby skądś z dala i jakiś żal ściskał mu gardło. Wspomnieniem przechodzi całe swe krótkie życie, w które wpadł rozhukany jak młody źrebak na łąkę kwiecistą, gdy wiosną po raz pierwszy stado na zieloną paszę wypuszczą. Śmierć znał od wyrostka, nieraz przechodziła koło niego, wiedział, że i jego może pościgнąć, ale w to nie wierzył. Jeśli nawet myślał o niej, to bardziej z ciekawością niż z trwogą. Igrał z życiem, zarówno walkę jak miłość mając za zabawę, w której szastał nadmiarem sił, nigdy nie docierając do ich kresu. A starczyło jednego ciosu, by odmieniło się wszystko, jakby kartę odwrócił: poznał, co to bezsiła, gdy ręka własna zda się ciężarem nie do dźwignięcia, gdy nogi unieść nie chcą wychudłego ciała, a odgryzienie kęsa osuchy jest bolesnym wysiłkiem, gdy głód skręca wnętrzności. Tak musi wyglądać starość. Milik wiedział, że siły mu wrócą, bo przybywało ich z każdym dniem. Ale z równą pewnością wiedział, że nie wróci utracona uroda. Nigdy już w oczach niewiast nie ujrzy zachwytu, do którego nawykł jak król do hołdów. Jedyna może matka ucałowałaby z miłością zeszpeconą jego twarz. Ale nie ma jej już. Inna niż macieżyńska miłość nie sięga głębiej niż po gładką skórę. Teraz o takiej miłości myślał z gorzką pogardą. Ale w sobie czuł pustkę i chłód, z którymi żyć się nie da. Żałował, że w czasie ostatniej walki hełm miał na głowie, który złagodził cios. Teraz byłby już wolny od czekania na śmierć jak skazaniec.

Dzień wlókł mu się nieznośnie, jak na złość dziwnie spokojny. Nieprzyjaciel, zapewne już gotowy do ostatecznego uderzenia, nie chciał tracić sił na codzienną walkę bez wyniku. Tak rozumiał to i Miłosław i również od południa zarządził zaniechanie wszelkich działań, by ludzie należycie wypoczęli przed walką i przygotowali się do niej. Niemniej czas sunął nieubłaganie i Milik ze stołbu patrzył już na pogodny zachód, który krasił świat wszystkimi barwami, ukazując piękno, jakiego Milik nie dostrzegał dotychczas. Jakby blaski słoneczne utkwić chciały w oczach, nim nieprzenikniona ciemność ogarnie je na zawsze; aż powieki zapiekły Milika, że przymknąć je musiał. Gdy je otworzył po chwili, ostatni wycinek słonecznej tarczy barwy rozżarzonego złota chował się

właśnie za dalekimi górami. Tylko zorze stały jeszcze na niebie, ale wieczorny chłód dreszczem przeniknął jego ciało. Milik odwrócił się i zszedł na dół.

Przy wyjściu z wieży spotkał wojewodę, który zapytał krótko:

- Gotowyś?

Gdy Milik jeno głową skinął, dorzucił:

- Z broni weźmij jeno nóż, a żaru w łubowej almarze z suchym mchem, byśmy się krzesaniem bawić nie musieli. Gdy zmierzchnie, czekam przy bramie.

Odwrócił się i odszedł.

Zorze długo jeszcze stały na niebie. Resztki ich gasły właśnie, gdy Milik wyszedł ze swej gospody i chodnikiem wzdłuż zachodniego wału skierował się ku bramie. Pusto było, tylko na wałach stały straże. W grodzie panował spokój i aż dzwoniąca w uszach cisza. Kroki Milika dudniły po dranicach, a pogłos ich oddawały ściany budynków. Mimo zapadającego zmroku spostrzegł z dala jakąś drobną postać. Gdy zbliżył się, poznał Chwałkę. Stała, jakby na coś czekając. Gdy minąć ją chciał bez słowa, zapytała cicho:

- Nawet nie pożegnasz się ze mną?

Coś go za gardło ścisnęło, ale odparł, siląc się na drwinę:

- Dziw, żeś mnie o ćmie poznała, skoro nie poznałaś przy słońcu. Może by mnie w nocy i ucałowała która na pożegnanie, skoro gęby nie widać.

Mimo mroku dostrzegł, jak twarz jej zaszła krwią. Odparła przez zaciśnięte wargi:

- Ja nie...

Skoczyła za węgieł poprzecznej uliczki. Może mu się zdało, że słyszy szloch, ale machnął ręką ze złością i ruszył dalej. Płakać jest łatwiej niż umierać. Litości nie trzeba mu od nikogo. Ale z wysiłkiem czynił każdy krok, jakby wlókł jakiś ciężar. Dotarłszy do bramy, obejrzał się, szukając Stoigniewa. Z wnęki koło furty dochodził szept. Gdy się zbliżył, drgnął i zatrzymał się. To Miłosław rozmawiał z jakimś niemieckim rycerzem. W półmroku świecił złoty łańcuch na szyi Niemca, złotolite obramowanie długiej do kolan szaty, spiętej na prawym ramieniu wielkim guzem, oraz pas ze złoconych klamer, na którym zwisał frankoński miecz w bogato zdobionej pochwie. Ktoś znaczny musi być.

Milik wiedział, że Stoigniew ma wśród cesarskich dostojników przekupionych ludzi, i w sercu jego zaświtała iskierka nieuświadomionej i nieśmiałej nadziei, że Stoigniew odstąpi od zamiaru spalenia wieży samemu, a osiągnąć to zamierza zdradą. Ale iskierka zgasła, nim miała czas rozpłomienić się, gdy nieznajomy rycerz skinął na niego i powiedział półgłosem:

- Pójdź! Zmówić się musimy, jak swego dopiąć.

Teraz Milik poznał w obcym Stoigniewa i zrozumiał niemal jego zamierzenie. Ze zmarszczoną brwią słuchał, zimny już i twardy w sobie. Gdy Stoigniew skończył, skinął jeno głową i wręczył mu łubowe pudełko z żarem. Nie odezwał się nawet, gdy po otwarciu furty Miłosław podał mu rękę i

szepnął, usiłując ukryć wzruszenie:

- Żegnaj! Żalu nie miej do mnie. Nie znałem cię. Nie w głowni, lecz w brzeszczocie wartość miecza, a tę poznaje się w walce.

Milik oddał żupanowi uścisk, ale nie odrzekł nic, bo przeżuwał gorycz. Teraz już Miłosław nie potrzebowałby mu do Chwałki przeszkadzać. Ale to wszystko już przeszłość. Przed nim jeno śmierć, obyż choć w walce. Stoigniew przestrzegał go, by się ze sobą policzył. Nie powiedział jednak, jaka czeka go śmierć. Teraz Milik omal nie krzyczał, że nie chce. Ale mu już jeno wybór między hańbą a śmiercią. Zacisnął zęby i ruszył przodem, lękając się, że w ostatniej chwili nie potrafi się przemóc. Byłby biegł, gdyby wojewoda nie chwycił go za rękę, szepcząc:

- Podejść musimy niepostrzeżenie jak najbliżej, inaczej obaj darmo zbędziem żywota.

- A tak zbędę jeno ja - syknął Milik, ledwo panując nad sobą.

- Ale nie darmo. Ważne, by wieżę spalić, a czy wrócim obaj, jeden czy żaden - za jedno. To tylko w przyszłości pewne, że kiedyś umierać trzeba. Ale nikt nie wie, gdzie i kiedy kości złoży. A lękasz się, nic mi po tobie.

Pójdę sam.

Milik miast odpowiedzi wyrwał rękę i ruszył. Umilkli, bo zbliżali się już do miejsca, gdzie za dnia stały straże. W zupełnej ciemności na tle dalekich ogni obozu majaczyła wieża. Posuwali się teraz niezmiernie wolno, by nie zaszeleściła gałązka czy nie stuknął potrącony kamień. Dokoła leżały rozrzucone głazy i belki, którymi Miłosław z machin usiłował dosięgnąć wieży. Zatrzymywali się co chwila, nasłuchując, czy jakiś ruch lub głos nie zdradzi obecności straży. Milik nie widział nic, ale Stoigniew musiał coś dostrzec, bo znowu chwycił go za rękę i skręcił ku rzeczce. Przed nimi ciemniejsza od otoczenia czerniła się rozpadlina wymyta przez spływające ku Ślęzy opadowe wody. Zsunęli się do niej i posuwali się teraz jeden za drugim, mijając wieżę. Zaczynały się nie stratowane zarośla, których pas dochodził, od wschodniej strony, na kilkadziesiąt kroków do machiny.

Wspięli się z powrotem na równy już brzeg i Stoigniew szepnął:

- Bądź gotów. Idź, jakbyś był sam. O mnie nie myśl, jeno jak wieżę podpalić.

Milik zacisnął zęby i nie odrzekł nic. Wydobył nóż i ruszył od krzewu do krzewu, przystając za każdym z nich, wypatrując i nasłuchując. Wiedział, że musi natknąć się na straż, ściskał w garści broń, ostatnią nadzieję, że uda mu się zginąć w walce. Nie śmierci się lękał, ale bezsilnego czekania na nią, by zginąć z ręki oprawców. Zarośla kończyły się już, od celu był o kilkanaście kroków, ale nie widział nikogo. Przez mgnienie oka zaświtała w nim nadzieja, że zaniechano straży - wieżę zdoła podpalić i zbiec. Zawahał się, czy pozostałej odległości nie przebyć skokiem. Wytężając oczy, Milik wychylił się zza krza i serce stanęło w nim na chwilę. Stał oko w oko z wojakiem. Mimo mroku widział jego wytrzeszczone z zaskoczenia oczy. Zamachnął się i rozpoczęty krzyk skonał jakby pianiem zarzynanego koguta, które zburzyło ciszę. Milik rzucił się na leżącego, by zdusić ten głos, ale w tej chwili ktoś przycisnął go kolanem, wydzierając broń z ręki, i posypały się straszliwe klątwy w niemieckim języku. Jeszcze usiłował wyszarpnąć się, gdy z wieży wybiegło kilkanaście ciemnych postaci. Liczne dłonie uchwyciły miotającego sie jak szaleniec Milika i przycisnąwszy twarzą do ziemi, wiązały mu ręce na plecach, wykręcając ramiona. Osłabł i nie stawiał już oporu. Gdy go postawiono na nogi, pociemniało mu w oczach i zatoczył się. Już po wszystkim, byle nie darmo. Jak przez szum ulewy słyszał głos Stoigniewa, który klął i płazował strażników, rozkazując jednym

przeszukiwać krze, innym zaś odprowadzić jeńca do obozu.

Milik szedł, zataczając się. Po gwałtownym wysiłku wciąż jeszcze tańczyły mu przed oczyma czarne i czerwone płaty. W głowie miał pustkę zupełną, świeża blizna rwała go nieznośnie, każde potknięcie odzywało się w niej bulem. Z oszołomienia wyrwało go dopiero zachowanie strażników. Jeden z nich znienacka obalił go na ziemię i siadł na nim, inni zaś pędem kopnęli się z powrotem.

Leżąc, Milik oprzytomniał i otworzył oczy. Spojrzał i serce załomotało mu w piersi: szczyt wieży, który poprzednio zamazywał się na tle ciemnego nieba, odcinał się teraz nasilającym się w oczach czerwonym poblaskiem, a po chwili - ukoronowany warkoczami płomieni - oświetlił kłęby czarnego, smolistego dymu, jakie wywijały się w spokojnym powietrzu, podbijane żarem. Jednocześnie koło wieży wszczął się wrzask; nasilał się i rozszerzał, zda się, razem z pożarem, który widno spostrzeżono już i w obozie, bo kto żył, pędził na ratunek.

Ale nie było co ratować. Zanim tłum dobiegł z bosakami i wiadrami, ogień objął już cały górny pomost, a stojące na nim beczki ze smołą zaczęły się rozpadać, gdyż z góry kapały na ściany raz za razem ogniste łzy, obejmując wieżę soplami płomienia, które pięły się z powrotem ku górze, łącząc się w jedno z głównym buchającym coraz wyżej ogniskiem. Cała wieża rozjarzyła się jak olbrzymi słup, a płomień buchał pod niebo, krwawą łuną oświetlając okolicę. Czerwone błyski zagrały na stawie, a huk ognia górował nawet nad wrzawą, jaką czyniły biegnące zewsząd gromady.

Starszyzna, widząc już, że wszelki ratunek niemożliwy, spędzać jęła tłum w obawie, że nieprzyjaciel może wykorzystać zamieszanie. Wkrótce dokoła olbrzymiego ogniska, w jakie zapadła się wieża, uczyniło się pusto i stos płonął samotny. Koło północy płomień zaczął przygasać i tylko pojedyncze języki ognia wyskakiwały chwilami z pogorzeliska, które pokrywać zaczynał coraz grubszy osad popiołu; słabo przeświecał jeszcze rudziejący żar, ale i ten poblask zniknął w półświetle wstającego dnia i jeno czerniawe dymy snuły się jeszcze długimi pasmami nad doliną Ślęzy. O wschodzie wstał lekki powiew i zegnał je. Rozwiały się jak nadzieja Henryka na rychłe i pomyślne zakończenie oblężenia. Wysiłek trzech tygodni zmienił się w stertę siwego popiołu.

Gdy postacie odchodzących rozpłynęły się w mroku, Miłosław, oddech niemal wstrzymując, słuchem śledził drogę Stoigniewa i Milika. Syknął gniewnie, gdy usłyszał szmer lekkich kroków. Poznał Chwałkę i palec na ustach położył. Stali w milczeniu, ale żaden już głos nie zdradzał ruchu,. Żupan wiedział, że wojewoda z towarzyszem iść musi niezmiernie ostrożnie. Ale choć zazwyczaj spokojny i opanowany, nie był daleki od tego, by wbrew zakazowi Stoigniewa zabrać ludzi i wyjść w ślad za nim. Nie nawykł biernie czekać na wypadki, a teraz, gdy szło o najwyższą stawkę w jego życiu, zdany był na bezczynność.

W rozterce między obawą a nadzieją czas dłużył się żupanowi nieznośnie. Choćby najostrożniejsi, już winni być koło wieży. Muszą się natknąć na straże i nie obejdzie się bez walki, a walka bez odgłosu. Ale w dzwoniącej w uszach ciszy żupan słyszał jeno przyspieszony i nierówny oddech Chwałki. Domyślał się, co ją tu trzyma. Ale czy wyprawa powiedzie się, czy nie, Milik i tak nie wróci. Przynętą ma być w pułapce, którą cesarskim zastawia Stoigniew. Miłosławowi żal się uczyniło Milika. Ciężka śmierć może go czekać. Cesarz nie omieszka wywrzeć swego gniewu na sprawcy udaremnienia swych zamierzeń. Chyba że w ręce dostanie Stoigniewa. Ale o tym żupan wolał nawet nie myśleć, tym bardziej jednak żal mu było córy. Przedtem zdało mu się, że Milik podoba się jej z urody jako i innym niewiastom. Ale ninie niewiele zostało z otroka, który jeno zamęt wprowadzał na grodzie. A może dlatego właśnie zapadł głębiej w serce Chwałki, że pościgło go

nieszczęście. Ale czyż to nieszczęście dla męża stracić urodę w walce? Żupan wzruszył ramionami. Stary już jest i nie rozumie tych spraw, zresztą ważniejsze zaprzątają mu głowę. I na boleść córy jeno bezradnie patrzeć może.

W miarę jak czas płynął, wzrastał niepokój Miłosława. Żupan wysilał wyobraźnię, by odgadnąć, co mogło być przyczyną zwłoki, a zarazem przywoływał doświadczenie, które mówiło, że w walce możliwe jest wszystko. Starczy, by któryś z idących nogę skręcił w ciemności, aby zgoła udaremnić przedsięwzięcie, niecierpliwość zaś wydłuża czas.

Nagle Miłosław drgnął. Od strony wieży doleciał jakiś niepewny odgłos, potem wyraźny już krzyk, zaraz potem zmieszany gwar. Pod Miłosławem zadygotały nogi. Jeżeli zamierzenie Stoigniewa powiodło się, w najbliższej chwili żupan winien dostrzec blask płomienia. Wytężał oczy aż do bólu, a serce łomotało w nim jak nigdy jeszcze. Chciał, ale nie śmiał wierzyć, by się powiodło. Jeszcze zdało mu się, że łudzi go wysilony wzrok: niepewną linią szczyt wieży oddzielił się od ciemnego nieba. Miłósław chwycił córę za rękę:

- Widzisz co? Mów!

Ale nie widziała nic, bo zalane łzami oczy przesłoniła ręką. Nie trzeba zresztą było jej potwierdzenia. Czerwony blask nasilał się, już widać było błyski płomienia. Jeszcze krótka jak mgnienie oka chwila niepokoju - czy nie zgaśnie. Ale szczyt wieży płonął, a ogień schodził ku jej dołowi. Tego nie ugasi już nikt. Żupan przygarnął córę.

- Nie lutaj! Patrz!

Olbrzymi płomień wydobył z ciemności zarysy grodu i stojących na wale ludzi. Kogo jeno nie trzymał obowiązek, biegł patrzeć. Szmer tłumu przybierał jak szum nadciągającej fali, poczucie ulgi wzbierać zaczynało okrzykami, ale żupan pohamował je zaraz, rozkazując gapiom zejść z wałów. Na radość czas jeszcze. Choć i jemu największa troska spadła z piersi i odżałował już Milika, ale nie był jednak wolny od niepokoju o Stoigniewa. Musiał być gotów na wszystko. Furtę polecił otworzyć, wojom kazał przygotować się do wyjścia, sam zaś stał, znowu wytężając oczy. Ale jaskrawe światło pożaru ślepiło je, nie pozwalając nic rozeznać na zrytym rowami, zarzuconym belkami i głazami stoku. Znowu żupan liczył chwile, uspokajając się tym, że może Stoigniew przyczaić się musiał, aż uspokoi się ruch panujący dokoła wieży. Roiło się przy niej jak przy mrowisku, które ktoś ogniem zaprószy. Potem wieża runęła i miliony iskier wzbiły się pod niebo, a światło pożaru zaczęło przygasać. W tej chwili Miłosław już całkiem blisko dostrzegł jakąś postać pochyloną pod wielkim brzemieniem.

Jeszcze stał niepewny, czekając na zawołanie, ale Chwałka już biegła do furty. Poskoczył za nią. I w nim zaświtała myśl, że Stoigniew niesie rannego Milika. Ale jeno wojewoda wszedł w ciemną wnękę bramy, cisnął na ziemię niesionego człowieka i odsapnąwszy powiedział:

- Jeniec! Zaspał w wieży. Byłby spłonął, a nam się przydać może. Jeno ogłuszony.

Chwałka uchwyciła się za włosy.

- Nad nim mieliście zmiłowanie, jeno nie nad Milikiem!

- Poniechaj, dziewczyno - warknął Miłosław. Ale potulna zazwyczaj Chwałka zdała się nawet nie słyszeć. Wargi jej latały, gdy niemal krzyczeć zaczęła:

- I siebie zdołaliście ocalić... jeno nie mojego...

Miłosław rękę na ustach córy położył, ale odtrąciła ją gwałtownie i rzuciła się do kolan Stoigniewa:

- Ratujcie go! Mówią, że wszystko możecie - głos jej nabrzmiały był łzami. - Albo ubijcie i mnie! - krzyknęła z rozpaczą.

Stoigniew stał bez słowa. Miłosław uchwycił córkę pod ramiona i, oderwawszy od kolan wojewody, powiódł słaniającą się ku stołbowi. Nie mówił nic, bo co było rzec? Radość z pomyślnego wyniku przedsięwzięcia przytłumiła troska o córę. Jej nic pomóc nie może.

Gdy Miłosław oddalił się, Stoigniew przez chwilę stał w milczeniu. Potem skinął na wojów i wskazując leżącego jeńca rozkazał:

- Ocucić go, a gdy do zmysłów wróci, przywieść do mnie na gospodę.

Stał jeszcze i patrzył na przygasający pożar. Ruch dokoła zgliszcz uspokajał się. W cesarskim obozie przywrócono już spokój i ład. Zapanowała cisza, sen znowu ogarnął wybitych z niego podnieceniem. Tylko grafowie Zygfryd i Eziko, których ludzie straż trzymali koło wieży, nie zaznali jeszcze spoczynku. Rano sprawiać się przyjdzie przed cesarzem, a gwałtowny jest. Trzeba znaleźć ofiary dla jego gniewu.

Każdy zresztą, kto obawiał się własnej odpowiedzialności, szukał ofiary. Rycerz Wilhelm, który dowodził strażą, bił i lżył dziesiętników, oni z kolei kopali i wyzywali knechtów i długo trwało, nim zamieszanie uspokoiło się na tyle, że Eziko zdołał ustalić, iż jakiś nie rozpoznany dostojnik przyłapał skradającego się do wieży polańskiego woja w chwili, gdy ten ubił strażnika. Jasne było, że wojak przedtem wieży podpalić nie mógł, gdy dokoła stały czujki, a w samej wieży spali strażnicy.

Stary graf Zygfryd siedział przed namiotem, otępiały i bezradny, ale bystrzejszy Eziko przesłuchiwał ludzi i wpadł wreszcie na ślad. Skoro wieży podpalić nie mógł pojmany jeniec, uczynić to musiał ktoś inny właśnie w chwili, gdy straż w wieży, obudzona hałasem, na rozkaz nieznanego dostojnika rozbiegła się na poszukiwania. Polańskich wojów musiało być tedy więcej. Jednego ze strażników nie można się było doliczyć. Eziko przez chwilę powziął podejrzenie, że to on, przekupiony, mógł podpalić wieżę, ale po namyśle odrzucił ten domysł: Polanie nie potrzebowali w takim wypadku skradać się do niej. Eziko kazał sprowadzić jeńca, by go przesłuchać. Ale knechci, którzy z kolei szukali ujścia dla własnej złości, pobili go tak, że otworzyła mu się świeża blizna na ustach i wargi zapuchły mu, że nie mógł mówić. Eziko kazał go tedy opatrzyć i pilnować jak skarbu, by choć tę ofiarę zachować dla cesarza. Zdany nadal na domysły, wpadł na to, że jedynym człowiekiem, który był przy wybuchu pożaru, a jeszcze nie podał, co wie o nim, był ów nieznany dostojnik. Przeto jeno szaro się uczyniło, Eziko po kolei zaczął obchodzić wszystkich znaczniejszych ludzi, pytając się, kto pojmał polańskiego woja. Choć niewątpliwie nie było powodu taić swej zasługi, jednak nie przyznał się do niej nikt. Eziko upewnił się w podejrzeniu, że nieznany dostojnik był właściwym sprawcą pożaru.

Koło południa Eziko, wezwany do cesarza, podał wyniki dochodzeń i podzielił się podejrzeniem. Henryk kazał sprowadzić jeńca, który tymczasem przyszedł nieco do siebie i na pierwsze zapytanie odpowiedział, że dostojnikiem był przebrany Stoigniew. Ku zdziwieniu Ezikona, Henryk, miast wybuchnąć gniewem, ozwał się zjadliwie:

- Tego obwiesia kołem łamać każę przed grodem, by wiedzieli, co ich czeka, gdy go zajmę. A

Stoigniewa dołapię choćby spod ziemi i tak z nim poigram, że dzieci będą mną straszyć.

Milik rozumiał niemiecką mowę i na czoło wystąpiły mu kropelki potu, opanował się jednak i rzekł zuchwale:

- Stoigniewowi możecie odkazywać, gdy odbudujecie wieżę, cośmy spalili.

Do tego czasu dzieci z waszych przegrażań śmiać się będą. Mamy i my waszych jeńców, i koło też się najdzie.

Milik umyślnie rozeźlić chciał Henryka, by go zaraz ubił, ale na twarzy cesarza zjawił się jeno zły uśmiech:

- Niedługo śmiać się będą. Iście szkoda mi swoich na pomstę wydawać. Ale obiecałem jeńców wydać Lutykom. Niechże ich ofiarują swemu bogu, by go za obrazę przebłagać. Ty zaś pewny bądź, że grodu dostanę i żywa noga zeń nie ujdzie. Czemuż się nie śmiejesz?

Nawet cesarskim dworzanom groźba Henryka wobec poniesionej klęski zdała się przechwałką. Stoigniew zaś tym mniej zważał na to, co by cesarz z nim uczynił, gdyby go dostał w swe ręce, że myśl jego zaprzątała zgoła inna troska. Niemal od rana wypytywał niemieckiego jeńca o wszystko, co tylko mogło mieć wpływ na dalszy przebieg oblężenia. Skończywszy, kazał Niemca odprowadzić do lochu, a przywieść jednego z Lutyków.

Straż przy furcie koło stołbu zdziwiona była, gdy wojewoda, nadszedłszy z jeńcem, kazał otworzyć furtę i wypuścić pojmanego. Jeniec jak szczygieł, któremu otwarto klatkę, nie obejrzawszy się, popędził ku rzeczce, przebrnął ją i dopadł swoich. Strażnicy stracili go z oczu, gdy wmieszał się w gromady wojów, uwijające się po obozie w jakimś podnieceniu.

Na dziedziniec, na którego środku tkwiła stanica z wizerunkiem bożka, zwłóczono bierwiona. Oblężeni sądzili zrazu, że poganie zamierzają budować jakąś nową machinę. Ułożono je jednak w stos przed stanicą, dokoła którego jaskrawą bielą zalśniły w słońcu szaty kapłanów, wojownicy zaś rozstąpili się, czyniąc wolną przestrzeń. Zapewne poganie składać będą ofiarę Swarożycowi.

W grodzie tymczasem panowało radosne podniecenie, jak gdyby wróg już odstąpił. Imiona Stoigniewa i Milika były na wszystkich ustach. Mężowie pod niebo wynosili ich męstwo, niejeden zazdrościł Milikowi sławy. Niewiasty natomiast użalały się nad nim, a nawet burzyły przeciw wojewodzie, że go na przepadłe zostawił. Gdy ten zjawił się jednak na wale, by spojrzeć, co się u Lutyków dzieje, pierzchnęły z przesądną trwogą, patrząc na niego z dala. Stoigniew nie zwracał jednak uwagi na coraz liczniejszy tłum gapiów. Zdał się czekać na coś. Istotnie po dłuższej chwili obecni spostrzegli, jak z lutyckiego obozu wyszli dwaj ludzie z zielonymi gałęziami w rękach i skierowali się do mostku na Ślęzy, gdzie zatrzymawszy się, jęli powiewać witkami. Na wałach nastąpiło poruszenie: poselstwo!

Ciekawość paliła wszystkich jak płomień, z czym poganie przychodzą. Gdy Stoigniew, który widocznie czekał na nich, wyszedł samotnie przez furtę i przez chwilę rozmawiał z posłami, zagotowało się od domysłów. Mężowie przypuszczali, że wojewoda usiłuje przeciągnąć Lutyków na swoją stronę lub przynajmniej skłonić do odejścia, i niejeden ofuknął nawet niewiasty, które twierdziły, że sprawa dotyczy Milika. Gdzie by się Stoigniew, który najważniejsze sprawy wojenne ma na głowie, zajmował jednym wojem! O własną głowę nie dba, gdy trzeba ją postawić. Ale niewiasty uparte były i po całym grodzie rozniosła się wieść, że Milik wraca. Powtarzano ją z ust do

ust jako pewną i na wale od strony lutyckiego obozu zgromadziły się tłumy w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Nie dotarła tylko wieść do Chwałki, którą Miłosław po całonocnym czuwaniu i wybuchu rozpaczy ledwo zdołał nakłonić, by się położyła. Siedział koło niej strapiony i bezradny. Posłyszawszy jednak gwar tłumu, wyszedł i przy wyjściu z dziedzińca natknął się na wracającego wojewodę. Z dala widziano, jak rozmawiali przez chwilę i razem skierowali się do stołbu. Ciekawość i podniecenie wzrosły jeszcze. Los Milika zdał się wszystkim ważniejszy niż własny.

Znał Milik lutyckie obyczaje. Gdy posłyszał, że cesarz każe go wydać poganom, zagryzł spuchnięte i okrwawione wargi. Każdą inną śmierć wolałby niż spalenie żywcem, a piekło od czekania na nią. Powstał w nim bunt, który zaraz przeszedł w przygnębienie. Mimo to pamiętał, co mówił Stoigniew: sam wydał wyrok na siebie i sam sobie okazać winien, że mężem jest, który skutki swych postanowień potrafi obliczyć i ponieść. Zaciął się i prowadzony przez dwóch knechtów szedł wyprostowany, dumnym wzrokiem odpowiadając na pełne złości i nienawiści spojrzenia, jakimi obrzucali go cesarscy. Przywodził sobie na pamięć, że kosztem swego życia zniszczył owoc trzytygodniowych przygotowań i może gród ocalił. Życia nie straci darmo.

A jednak żal mu go było. Cóż znaczyły miłostki, które dotychczas zdały mu się jego treścią! Teraz żałował, że już mu nie będzie dane dokonać czynów, które, jak czyny Stoigniewa, ważą na losach wszystkich. Z niewiast pamiętał tylko o Chwałce. I ona o nim nie zapomni, choć już wiatr rozniesie jego prochy. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy już jest za późno. Żal go ogarnął, że ją odtrącił.

Ale wszystkie myśli przygasły w nim, gdy pod stopami zadudniły deski kładki wiodącej przez Ślężę do lutyckiego obozu. Gdy z rąk niemieckich knechtów odebrało go dwóch kudłatych wojów lutyckich, ogarnęło Milika uczucie tak rozpaczliwej bezradności, że aż nogi ugięły się pod nim. Wlókł je jak starzec, potykając się i przeklinając samego siebie. Stoigniew przestrzegał go, by się sam z sobą obliczył. Obliczył się źle. Dotychczas znał tylko śmierć w walce i tej się nie lękał. Ale uczucie bezradności ofiarnego bydlęcia prowadzonego na rzeź obce mu było zupełnie. Nigdy nie przypuszczał, że próg śmierci może być tak trudny do przebycia i że co innego jest życia zbyć, a co innego świadomie je poświęcić. Stoigniew musiał to wiedzieć, a jednak nie wahał się siebie postawić. Znało go wielu Niemców. Gdyby go poznano w przebraniu, czekała go jeszcze gorsza śmierć. Milik opanował się. Skoro wojewoda jego wybrał na wspólnika swego czynu, on okazaniem niemęskiego lęku nie pozwoli sobie zmącić uczucia gorzkiej dumy. Losu swego i tak nie odwróci. Wyprostował się i szedł śmiało, drwiącym i zuchwałym spojrzeniem odpowiadając na zaczepki i groźby. Gdy go zamknięto w szopie, modlił się już jeno, by do końca zdołał utrzymać na wodzy kłębiący się w nim lęk oraz by koniec ten nastąpił prędko. Już się nie buntował. Nim słońce zajdzie, za jedno będzie, dlaczego chciał umrzeć i jaką śmiercią skonał. Ale pamięć jego czynu i męstwa, z jakim przyjął jego skutki, przetrwa długo.

Serce stanęło w Miliku przez chwilę, gdy otwarły się zbite z dranic drzwi szopy i potężny, brodaty mąż, widocznie ktoś ze starszyzny, skinął na niego, mówiąc:

- Pójdź!

Ale Milik był już panem siebie. Wstał, nie śpiesząc się, i szedł otoczony przez kilku wojów, nie patrząc na nikogo. Oczy utkwił w widnej z dala na wysokiej stanicy pośrodku obozowego dziedzińca postaci Swarożyca. Gdy minęli szereg namiotów i otworzył się widok na wolną przestrzeń koło

stanicy, jeszcze raz serce zatłukło się w Miliku. W słońcu świecił świeżym drewnem stos smolnych bierwion, ostateczny cel jego drogi. Tego był tak pewny, że sam zatrzymał się przy nim. Ale idący w przedzie mąż obejrzał się i powtórzył:

- Pójdź!

Teraz nogi zatrzęsły się pod Milikiem. Starczyło mu opanowania, by dojść do miejsca, gdzie spodziewał się umrzeć, nie starczyło już na czekanie. Zachwiał się i byłby upadł, ale strażnicy ujęli go pod związane ramiona i wiedli za starszym, który szedł ku rzece.

Milik oprzytomniał nieco, ale jak przedtem przed rozpaczą, tak teraz całym wysiłkiem bronił się przed nadzieją. Może poganie myją ofiary przed ich złożeniem? Gdyby dopuścił do siebie nadzieję i ona go zawiodła, czuł, że się już załamie. Ale gdy wyszli zza krzów, zasłaniających mostek leżący naprzeciw furty koło stołbu, nadzieja porwała Milika jak wicher liść. Za mostkiem stał wojewoda wśród kilku ludzi, między którymi Milik poznał lutyckich jeńców. Zrozumiał, ale mimo to zdało mu się, że śni. Zdjęto z niego więzy. Strażnicy przeszli wraz z nim mostek, odebrali swoich i zawrócili.

Milik osłabł zupełnie i ciężko wsparł się o poręcz mostka. Wojewoda skinieniem ręki odprawił wojów, którzy przywiedli lutyckich jeńców. Stał, patrząc na Milika, który odwrócił twarz, by nie okazać cieknących po niej nieodparcie łez. Stoigniew przez chwilę czekał w milczeniu, potem położył rękę na ramieniu Milika mówiąc:

- Prawy mąż i nad radością umie panować.

Milik przetarł oczy i spojrzał na Stoigniewa, który patrzył na niego z łagodnym zrozumieniem. Na surowej jego twarzy zjawił się uśmiech, gdy dorzucił:

- Ostaw łzy białkom. Dzieciuchem wyszedłeś, mężem wróciłeś. Bywa, że chwile starczą za lata. Mniemam, iże nie masz mi za złe, żem ci umrzeć nie dał. Teraz już będziesz wiedział, jak życiem szafarzyć.

Miast odpowiedzi Milik uchwycił rękę wojewody i do ust przycisnął.

Stoigniew objął go za głowę, mówiąc:

- Wzajem sobie dziękować winniśmy, że cesarz z hańbą odejdzie. A teraz, gdyś się już z życiem pogodził, pójdź, bo wszyscy czekają na ciebie. A najbardziej Chwalena. Łacniej samemu umrzeć, niż bezradnie patrzeć na śmierć najmilszego.

Cesarz, dowiedziawszy się o uwolnieniu jednego ze sprawców klęski, która na losach całej wojny mogła zaważyć, wpadł w gniew. Sam nie wierzył swej groźbie, że gród weźmie wbrew wszystkiemu. Na budowę nowej wieży nie było już czasu. Szedł wrzesień, a z poprzednich wypraw Henryk pamiętał, że pora jesienna nie sprzyja wojnie w tym kraju. Wojska gnębiły choroby. Już przedtem lennicy i sprzymierzeńcy byli zniechęceni - trzymała ich tylko nadzieja zdobycia grodu za pomocą machiny, z której obecnie pozostała jeno kupa popiołu. Henryk rozumiał, że nawet gdyby nie nadszedł Bolesław, którego podjazdy coraz częściej kręciły się po okolicy, odcinając dowóz żywności, dłużej pod grodem stać bez nadziei zdobycia go niepodobna, nikt zaś już nie wierzył w powodzenie przedsięwzięcia.

Wbrew rozsądkowi, pod wpływem gniewu, Henryk postanowił jednak spróbować jeszcze, czy nie uda mu się nakłonić wasali do uderzenia, i zwołał naradę wodzów. Z Lutyków przyszedł jeno

sam Mszczuj. Cesarzowi skłonił się niezbyt uniżenie, innych dostojników zdał się nie widzieć. Usiadł na osobności i oczy wbił w ziemię. Na jego widok Henryka znowu ogarnęło rozdrażnienie i zwrócił się do niego zjadliwie:

- Widzę ja, że niezbyt dbacie o cześć swego boga, skoroście ujść zezwolili ofierze, która go przebłagać miała.

Mszczuj spojrzał ponuro i odparł zuchwale:

- Ale wy dbacie o nią. Jeńca musieliśmy wypuścić, bo Stoigniew zagroził, że naszych, których miał w ręku, spalić każe. Swarożycowi starczy tymczasem cesarskie słowo, że dostaniemy wszystkich, jakich weźmiecie w Niemczy.

Między obecnymi nastąpiło poruszenie, a palatyn Burchard wybuchnął:

- Na to nie liczcie! Nie będziem swoich ludzi tracić, by waszemu bałwanowi cześć wyrządzić!

- Nie liczyć mamy na jeńców czy na słowo cesarskie? - drwiąco zapytał Mszczuj, cesarz jednak przerwał gniewnie:

- Com rzekł, dotrzymam. Jeno Stoigniewa sam muszę dostać w ręce.

- Ale widzę, że wasi lennicy niezbyt się troszczą o wasze słowo.

Przypomnę jeno, żeśmy społem z wami, a nie za was wojować ślubowali.

Arcybiskup Archinbald, który słuchał z niechęcią, teraz wtrącił się wzburzony:

- Czasem haniebniej słowa dotrzymać, niż je złamać. Wstyd byłby w całym chrześcijaństwie wydawać chrześcijan na ofiarę pogańskiemu bożkowi, własnego Boga obrażając.

Henryk gniewnie ręką machnął, ale Mszczuj wstał i odparł:

- Juści najlepiej byłoby, gdyby każdy dbał o cześć własnego boga. Trzeba nam było odejść, gdyście naszego obrazili. I nam nie zaszczyt społem z wami wojować, jeno nasze słowa nie plewa. Ale żem też nie dziecko, jenom na wojnie osiwiał, jedno jeszcze rzekę: macie uderzać, uderzajcie zaraz, nie czekając, aż wam ludzie z chorób wyzdychają, a Bolko zwali się na głowę. Chcecie czekać, aż wasz bóg cud uczyni, to czekajcie sami, bo my czekać nie mamy na co. Gdy was Bolko przyciśnie, przez Czechy ujdziecie, a nam wracać którędy? Tedy czekamy jeszcze trzy dni. Uderzycie, uderzym społem, nie - to odejdziem, a wy czyńcie, co wam się zda.

Skłonił się i wyszedł. Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał Henryk:

- Słyszeliście. Nie chcę mówić o zuchwalstwie tego poganina. Ale praw jest, że czekać nie ma na co. Nim słoty się zaczną, odejść musimy. Tedy uderzajmy, nie mieszkając, bo iście dogodniej nam własnej krwie oszczędzić.

Spojrzał po swych wasalach, ale nie patrzyli mu w oczy i milczeli. Tylko magdeburski Gero zabrał głos:

- Oto i cała korzyść z przymierza z poganami, że znosić musimy ich zuchwalstwo i korzyć się przed ich bałwanem. Cóż się zmieniło od chwili, gdyśmy zgodnie postanowili wieżę zbudować, bo bez niej grodu nie weźmiem? Tyle że nam ludu od chorób i ran ubyło.

Oldrzych, który dotychczas siedział ponuro zadumany, teraz wtrącił:

- Na budowę nowej machiny czasu nie starczy. Mamy uderzać, uderzajmy zaraz. Nie, to odejdę i ja, bo mi Bolkowe wojska kraj pustoszą, a jeno patrzeć, jak nam drogę na Kłodzko odetną.

- Mam wieści, że Awdaniec niczego nie wskórał pod Białą Górą - powiedział cesarz niepewnie, ale palatyn Burchard wtrącił:

- Widzę, że radzimy, którędy wracać. Tedy wedle mnie przez Czechy, i to zaraz, póki droga wolna.Wziął Bolko Białą Górę czy nie, w Milsku i Łużycach jego wojska siedzą, a wszyscy pomnimy, ile nas w poprzedniej wojnie odwrót kosztował.

Teraz rozwiązały się języki. Cesarz słuchał chmurnie, jak jeden przez drugiego doradzali odstąpić od oblężenia i, nie mieszkając, wracać przez Czechy. Henryk wstał i powiedział oschle:

- Szkoda już każdego słowa i dnia. Ruszamy na Kłodzko.

Odszedł, nie odpowiadając na ukłony. Dostojnicy rozmawiali jeszcze. Dojadła im już wojna, w której ustawicznie ponosili porażki, nie mogąc zmusić Bolesława do walnego spotkania. Mimo woli jednak nie mogli oprzeć się uczuciu podziwu dla oblężonych, którzy tak skuteczny opór stawić umieli całej potędze cesarskiej. Potem zaczęli się rozchodzić, by wydać rozkazy zwijania obozu. Merseburski Ditmar, idąc za swym arcybiskupem, powiedział w zamyśleniu:

- Nigdy nie słyszałem o oblężonych, którzy by z większą wytrwałością i przezorniejszą zaradnością zabiegali o swą obronę.